

Elizabeth Haydon

RAPSODIA

DZIECKO KRWI

Rhapsody

Przełożyła Anna Reszka

*Listopadowi, październikowi i wrześniowi,
trzem miesiącom roku
z podziękowaniem
za wszystko, co mi dały.*

PROROCTWO O TROJGU

*Zjawi się Troje, odejdą wczesnie, przybędą późno:
Dziecko Krwi, Dziecko Ziemi, Dziecko Nieba.
Każdy człowiek, zrodzony z krwi,
Chodzi po ziemi i z niej żyje,
Sięga nieba i znajduje pod nim schronienie,
Dopiero umarły staje się częścią gwiazd.
Krew daje początek życia, ziemia – strawę,
Niebo daje marzenia w życiu i wieczność po śmierci.*

PRZEPOWIEDNIA O NIEPROSZONYM GOŚCIU

*Nieproszony wyruszył z ostatnimi, przybył z pierwszymi,
Szukając nowego gospodarza w nowym miejscu.
Zdobyl moc, będą pierwszym,
Stracił ją, będą ostatnim.
Niczego nieświadomi gospodarze żywią gościa,
A on, cały w uśmiechach,
Sekretnie zatruwa strawę,
Zazdrośnie strzegąc swoje władzy.
Gospodarz nigdy nie spłodzi dzieci,
Ale nieproszony gość będzie próbował się rozmnożyć.*

UWERTURA

MERIDION

Meridion usiadł przy Edytorze Czasu i wziął się do pracy. Wyregulował soczewki, sprawdził szpule przezroczystych nici, od grubych i mocnych zwojów przeszłości po cienkie jak pajęczyna włókienka przyszłości. Ostrożnie wytarł delikatne narzędzia, rozwinął nić ze szpuli przeszłości, naciągnął ją na szkielet maszyny i umieścił pod mikroskopem. Staranie rozdzielił poszczególne linie czasowe, poprzez wieki i lata do dni i chwil, aż znalazł punkt, którego szukał.

Uśmiechnął się do siebie, gdy zobaczył chłopca maszerującego dziarskim krokiem po leśnej drodze. Jego chód bardzo się różnił od tych, które zwykle widywał. Letni poranek był pogodny i świeży, ale młodzieniec najwyraźniej nie zwracał uwagi na urodę otaczającego go świata.

Meridion zatrzymał maszynę. Ze szklanego dysku umieszczonego obok Edytora Czasu zdjął małą flaszeczkę odlaną z czarnego kamienia. Odkorkował ją i gwałtownie cofnął głowę, gdy doleciał go gryzący zapach. Zamrugał kilka razy, żeby ręką nie wycierać łez, które stanęły mu w oczach. Wiedział, co mu grozi, jeśli dostanie się do nich choćby najmniejsza kropla, nie mówiąc o marnotrawstwie cennej substancji.

Gdy odzyskał zdolność widzenia, powoli wyciągnął z fiolki pędzelek grubości włosa. Zaczekał, aż na końcu uformuje się owalna lza, i wkroplił płyn w oczy chłopca na zastygłym obrazie. Patrzył przez chwilę, jak roztwór rozlewa się po szafirowych tęczęwkach. Niezwykle ważna była precyzja.

Następnie zakorkował buteleczkę i odstawił na iskrzący się dysk. Zdjął szpulę z Edytora Czasu i zastąpił ją inną, odleglejszą przeszłością. Bardzo ostrożnie rozwinął nić, ze względu na wiek i miejsce pochodzenia, od dawna zatopione przez morskie fale. Odnalezienie właściwego momentu tym razem trwało dłużej, ale Meridion był cierpliwy. Wiele zależało od prawidłowego wykonania czynności.

Ponownie zatrzymał maszynę, sięgnął po inne narzędzie. Z wprawą wykonał równe cięcie i delikatnie przeniósł obraz z pierwszej nici na drugą. Zbadał pod mikroskopem rezultat swojej pracy.

Chłopiec nie stracił przytomności, leżał twarzą do ziemi i energicznie tarł oczy. Meridiona ogarnęły jednocześnie śmiech i współczucie. Powiniennem przewidzieć, że będzie walczył, pomyślał. Rozparł się na krześle i skierował wzrok na ścienny ekran, żeby obejrzeć spotkanie i rozstanie.

ZAGINIONA WYSPA

1139, TRZECI WIEK

Ból ustał równie szybko, jak się zaczął. Gwydion splunął śliną zmieszaną z kurzem i z głuchym jękiem przewrócił się na plecy. Spojrzał w niebo i natychmiast się zorientował, że coś jest nie tak. Przed chwilą był poranek, teraz późne popołudnie. W dodatku znajdował się w całkiem obcym miejscu.

Na szczęście w darze od natury otrzymał pragmatyzm. Oswoiwszy się z nowym otoczeniem, wstał i zaczął dumać, co dalej. Nie interesowało go w tej chwili, co właściwie mu się przytrafiło i dlaczego.

Stwierdził, że powietrze jest tutaj rzadsze niż w jego rodzinnych stronach. Rozejrzał się i w pewnej odległości wypatrzył niewielki zagajnik. Ruszył w jego stronę wydłużonym krokiem.

Dotarłszy do schronienia, padł na ziemię. Oddychał szybko i płytko, czekając, aż płuca przystosują się do nowych warunków. Osłonił załzawione oczy i namacał rzeczy, które zabrał ze sobą w drogę do miasta: sztylet i sakiewka były na miejscu, podobnie jak bukłak na wodę i jabłko. Napił się łapczywie. Raptem wyczuł lekkie drżenie gruntu. Zbliżał się jakiś pojazd.

Ujrzawszy w oddali gęstą chmurę kurzu, Gwydion przypadł do ziemi. Ostrożnie unióśł głowę i dostrzegł trzech ludzi idących obok wozu zaprzężonego w dwa woły, wyładowanego słomą i workami z ziarnem. Powoził czwarty mężczyzna. Wszyscy mieli na sobie obce ubiory, ale widać było, że są chłopami, rolnikami.

Gwydion wytyężył słuch, nadal zamglony wzrok skierował na usta wieśniaków. Raptem wyraźnie zobaczył formułowane przez nie słowa i mimo turkotu kół usłyszał głosy, jakby podróżni mówili mu prosto do ucha. W głowie mu zawirowało, kiedy rozpoznał język.

Rozmawiali po starocymriańsku. To niemożliwe! Starocymriański był martwym językiem, używanym obecnie tylko przez kapłanów w czasie ceremonii religijnych lub przez snobów szczycących się swoim rodowodem. Ależaby posługiwali się nim chłopci jak wiejską gwarą! Niemożliwe, chyba że...

Gwydion zadrżał. Serendair, ojczyzna Cymrian, zatonała w morskim kataklizmie, który przed ponad tysiącem lat pochłoniął wyspę i sąsiednie lądy. Stamtąd pochodzili jego przodkowie. Większość ocalałych rozproszyła się po świecie i padła ofiarą wojen pustoszących kraje gospodarzy. Czyżby tutaj przetrwała garstka jego ziomków i żyła tak samo jak przed trzynastoma wiekami?

Kiedy stracił z oczu wóz i towarzyszący mu tuman kurzu, wyszedł z zagajnika. Zdążył jeszcze dostrzec, że pojazd mozolnie wspina się na strome wzniesienie i znika po drugiej stronie, kierując się na zachód. Odczekał jakiś czas, sprawdził, czy droga jest pusta, i ruszył w

tę samą stronę. Na wzniesieniu zatrzymał się i spojrzał na pagórkowatą okolicę, na łąki oblane blaskiem letniego słońca. Nigdy wcześniej nie widział tej pięknej krainy, bo na pewno by ją zapamiętał. Wszystko aż kipiało zielenią, powietrze przesyciła odurzająca wonie.

Po sam horyzont ciągnęły się pola uprawne i pastwiska. Tu i ówdzie rosły drzewa, lecz nigdzie nie było śladu prawdziwego lasu ani dużego zbiornika wodnego, tylko małe strumienie wily się przez łąki. Wiatr nie niósł zapachu morza.

Gwydion nie miał czasu zastanawiać się, gdzie jest. Słońce opadało ku zachodowi, wóz zbliżał się do niewielkiej wioski położonej w następnej dolinie. Między osadą a pagórkiem, na którym stał, znajdowało się kilka małych gospodarstw i jedno duże. Postanowił zajść do pierwszego, znaleźć jakiś nocleg, może zadać parę pytań.

Zdjął z palca złoty pierścień herbowy i schował do sakiewki. Po raz ostatni powiódł spojrzeniem po łagodnych wzgórzach i zaczerpnął oddechu. Płuca już przywykły do rozrzedzonego powietrza. Czulo się w nim słodczy, łąkowe zapachy i woń siana, kojarzące się ze szczęściem, którego jeszcze nie zaznał w krótkim życiu.

Ogarnął go spokój. Po co łamać sobie głowę, skąd się tutaj wziął? Lepiej wykorzystać okazję i poszukać przygody. Puścił się biegiem w stronę gospodarstwa leżącego na końcu drogi. Okna już jaśniały blaskiem świateł.

Mężczyźni właśnie skończyli codzienne zajęcia i prowadzili zwierzęta do stajni i obór. Zachodzące słońce kładło różowe i karmazynowe plamy na zabudowania.

Parobcy śmiali się i żartowali. Panował radosny nastrój po długim znojmym dniu. Gwydion wypatrzył mężczyznę dużo starszego od pozostałych, o siwej czuprynie i muskularnym ciele. Cichy głos, którym wydawał polecenia, nie pasował do jego krzepkiej postury.

Chłopiec ruszył ścieżką prowadzącą w stronę domu. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Partch! – Rozległ się kobiecy głos. – Zdaje się, że mamy nową parę rąk do pracy.

W drzwiach stała żona gospodarza, uśmiechała się i wskazywała na niego palcem. Gwydion odwzajemnił uśmiech. Wszystko poszło łatwiej, niż się spodziewał.

Starszy mężczyzna przekazał lejce parobkowi i podszedł do gościa, wycierając ręce w koszulę.

– Cześć, Sam. Szukasz pracy?

– Tak, proszę pana – odparł Gwydion, ściskając podaną dłoń. Miał nadzieję, że jego akcent jest prawidłowy, ale gospodarz od razu się zorientował, że przybysz nie pochodzi z tych stron. Skinął na jednego ze swoich ludzi i zaczął mówić wolniej.

– Asa, pokaż Samowi szopę. Rozgość się tam, chłopcze. Niestety przegapiłeś kolację, ale dzisiaj w miasteczku są tańce z okazji zbiorów. Wszyscy młodzi się wybierają. Może pojedziesz z nimi, jeśli jesteś głodny? Jedzenia będzie w bród.

– Zostały resztki z kolacji, Partch – odezwała się kobieta. – Chodź ze mną, młodzieńcze.

Gwydion wszedł do domu i zdumionym spojrzeniem ogarnął wnętrze. Kamienne ściany od środka wyłożono drewnem, proste, ale solidne meble nosiły ślady cymriańskiego rzemiosła. Tralki krzesel i poręczy schodów były identyczne jak w balustradzie otaczającej ołtarz bazyliki w świętym mieście Sepulvarta. Bardzo podobne stoły widział w wielkiej sali tyriańskiego zamku.

– Proszę, chłopcze – powiedziała kobieta, wręczając mu talerz. – Może weźmiesz jedzenie do stodoły i najpierw trochę się odświeżysz? Zabawa przed żniwami to w naszych stronach wielkie wydarzenie. Czy u siebie też takie urządzenie?

– Nie, proszę pani – odparł Gwydion z szacunkiem.

– Na pewno ci się spodoba. To ostatnie tańce przed małżeńską loterią, więc baw się, póki możesz.

Mrugnęła do niego porozumiewawczo i zaczęła się krzątać po izbie.

– Loteria małżeńska?

– U was jej nie ma?

– Nie.

Gospodyni otworzyła mu drzwi i sama też wyszła na podwórze. Przy studni myli się dwaj mężczyźni.

– Chyba nie pochodzisz ze wsi.

– Nie, proszę pani – odparł Gwydion, skrywając uśmiech na wspomnienie miejsca, w którym mieszkał.

– Więc lepiej się pospiesz. Zdaje się, że wszyscy są już gotowi.

– Dziękuję.

Szybko zjadł kromkę chleba, po czym ruszył za Asa do szopy, w której sypiali najemni robotnicy.

Gwydion zeskoczył z wozu. W czasie całej jazdy parobcy traktowali go przyjaźnie, choć prawie się nie odzywali. Od samego początku wyczuwał ich rezerwę, ale nie bardzo wiedział, czemu ją przypisać: nieufności wobec obcego czy temu, że jest mieszanej krwi. Wszyscy bez wyjątku miejscowi, których do tej pory spotkał, łącznie z gospodarzem i jego żoną, byli ludźmi, a wszędzie na świecie przeważali mieszańcy.

Wieś oświetlały liczne lampy ustawione na beczkach lub zawieszane na drzewach. Tworzyły świąteczny nastrój. Społeczność nie wyglądała na bogatą, lecz gospodarstwa były porządne, mieszkańcy zaś dobrze odżywieni i ubrani.

W oczy się rzucał całkowity brak luksusów. Dekoracje wykonano z najprostszyc rzeczy. Świeże gałęzie drzew iglastych i pachnące kwiaty zdobiły główny budynek, który służył jako jednocześnie dom modlitwy, miejsce zebrań i szkoła. Długie stoły, rozstawione wzdłuż ścian dużego pomieszczenia z klepiskiem zamiast podłogi, uginały się od jedzenia. Każdy skrawek wolnego miejsca ustrojono muślinowymi kokardkami.

Przyzwyczajony do bogactwa i wystawnego stylu życia Gwydion stwierdził, że podoba mu się prosta wiejska zabawa; w niczym nie przypominała nudnych i poważnych ceremonii, które tak dobrze znał.

W miarę, jak przybywało młodych kobiet w pastelowych sukienkach i młodych mężczyzn w czystych płóciennych koszulach, podniecenie rosło. Pojawili się muzycy – jeden z nieznanym Gwydionowi instrumentem strunowym i dwóch z minarellami, w jego stronach nazywanymi czasem harmoszkami. Cała wieś szykowała się do uczczenia nadchodzących zbiorów.

Wkrótce sala się zappełniła i Gwydion zrozumiał, że nie uda mu się pozostać niezauważonym. Przechodzące obok młode kobiety mierzyły go spojrzeniami od stóp do głów, a potem coś do siebie szeptały i wybuchały śmiechem. Poczłł się nieswojo, ale tylko na chwilę. Ocenil, że dziewczęta mają około czternastu lat, czyli są w jego wieku, natomiast chłopcy wyglądali na starszych o cztery lub pięć lat, choć było też paru młodszych.

Podszedł do stołu z przekąskami. Starsza kobieta gestem zachęciła go, żeby się poczęstował. Skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Nikt go o nic nie wypytywał, choć niewątpliwie wszyscy zauważyli, że nie pochodzi z tych stron. Najwidoczniej wielu gości przybyło spoza wioski. Miejscowi przeważnie mówili na obcych Sam albo Jack. Teraz Gwydion zrozumiał, dlaczego gospodarz tak właśnie się do niego zwrócił przy powitaniu.

W pewnym momencie do sali wszedł starszy człowiek ze sporą drewnianą szkatułką. Przez tłum przebiegł szmer podniecenia. Starsza kobieta pospiesznie zrobiła na stole miejsce dla zawartości pudełka – licznych świstków pergaminu, kilku kałamarzy oraz piór do pisania. Zebrani podzielili się według płci, z tym że młode kobiety nadal krążyły po sali, a mężczyźni otoczyli stół. Gdy znajdowali właściwą karteczkę, zapisywali na niej parę słów. Gwydion uznał, że chodzi o dobrze mu znane balowe karneciki, i postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zapadła noc. Niebo było czarne. Podwórze oświetlały lampy i świece, chętni do zabawy nadal się schodzili pośród wesołych śmiechów i przekomarzań. Potrącali Gwydiona, jakby go nie dostrzegali. Dopiero teraz, obserwując ich, zdał sobie sprawę z wagi uświęconego rytuału. Pod lekkim nastrojem wyczuwało się pełne napięcia oczekiwanie. W niewielkich, zamkniętych społecznościach dobieranie się w pary i zakładanie rodzin było niezbędnym dla przetrwania.

Ruszył na poszukiwanie ciemnego zakątka, z którego dobrze widać gwiazdy. Był biegły w astronomii. Przypuszczał, że kiedy spojrzy na nocny firmament, uda mu się określić miejsce, do którego nieoczekiwanie trafił.

Światło lamp utrudniało obserwację. Musiał odejść spory kawałek od budynku, żeby cokolwiek dojrzeć na niebie. Niepotrzebnie zadawał sobie trud. Nie rozpoznał żadnej konstelacji, żadnej gwiazdy. Jedna, bardzo jasna, wisiała tuż nad horyzontem, ale ją również widział po raz pierwszy.

Po plecach przebiegł mu dreszcz strachu. Do tej pory sądził, że stosunkowo łatwo odnajdzie drogę do domu, ale widać zawędrował bardzo daleko, skoro nawet gwiazdy okazały się obce. Dziwne, bo pora roku była ta sama co wtedy, gdy opuszczał rodzinne strony. Nic nie rozumiał. Usiadł na jednej z beczek wytyczających ścieżkę do głównego budynku i próbował zwalczyć paniczny lęk, który z wolna w nim narastał.

Nagle jego uwagę zwrócił ruch po drugiej stronie drogi. Odwrócił głowę i kątem oka dostrzegł, że ktoś skrada się za identycznym rzędem beczulek, od czasu do czasu zerkając ponad nimi ku sali tańców. Postanowił sprawdzić, co się dzieje. Większość skromnego dobytku zostawił w szopie dla parobków, ale nadal miał przy sobie sztylet. Ścisnął go w dłoni i nisko pochyłony, bezszelestnie pobiegł w ciemność.

Wyprostował się ostrożnie i rozejrzał. Ku swojemu zaskoczeniu spostrzegł, że za beczułkami ukrywa się młoda kobieta i obserwuje rozbawiony tłum. Nie widział jej twarzy. Zauważył jedynie długie proste włosy opadające na plecy jedwabną kurtyną koloru lnu. Raptem naszała go ochota, żeby je pogłaskać. Wyciągnął rękę, dotknął ramienia nieznajomej. Drgnęła i obejrzała się, omal nie przewracając pustych beczek na drogę. Choć jej rysy wykrzywiały przestrasz, Gwydion stwierdził, że nigdy w życiu nie widział piękniejszej istoty. Miała delikatną twarz, duże ciemne oczy ocienione czarnymi rzęsami, ślicznie wykrojone usta. W przeciwieństwie do pozostałych uczestniczek zabawy była mieszanej krwi, tak jak on. Gdy cofnęła się gwałtownie, włosy rozsypały się jej na ramiona, zasłaniając bukiet kwiatów, który zdobił dekolt.

– Nie bój się – powiedział Gwydion cicho. – Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i uważnie przyjrzała się jego twarzy. Zamrugowała szybko, jakby powstrzymywała łzy. Minęła dłuższa chwila, nim odzyskała mowę. Kiedy się odezwała, jej głos przyprawił Gwydiona o drżenie.

– Jesteś Lirinem – stwierdziła.

– Tak, w połowie. Ty też?

Wolno skinęła głową. Gwydion zakaszał nerwowo, czując, że na policzki wypełza mu rumieniec.

– Mieszka tu wielu Lirinów?

– Nie. Ty jesteś pierwszym, jakiego widzę, nie licząc mojej mamy i braci. Jak się nazywasz?

Gwydion zastanawiał się gorączkowo. Nie chciał kłamać, ale już nie był pewien, jak brzmi prawda.

– Sam – odparł po prostu. – A ty?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy. Gwydiona ogarnęło silne wzruszenie, przyprowadzając o zawrót głowy i jednocześnie budząc niepokój. Poczul, że traci kontrolę nad własną mimiką.

– Emily – powiedziała dziewczyna i obejrzała się za siebie.

Drogą nadchodzili dwaj mężczyźni. Rozmawiali wesoło, a jednocześnie pilnie się rozglądali po okolicznych polach. Dziewczyna omal na niego nie wpadła, błyskawicznie chowając się za beczułki. Gwydion przykucnął obok niej.

Nagle w domu rozbrzmiała muzyka. Towarzyszył jej wybuch radości i brawa. Mężczyźni przyspieszyli kroku, weszli do środka. Emily odetchnęła głęboko.

– Znasz ich? – spytał Gwydion.

– Tak – odparła krótko dziewczyna.

Uklękła i ostrożnie wystawiła głowę ponad beczki. Nie dostrzegłszy nikogo, wstała i otrzepała spódnice z kurzu.

Gwydion również się podniósł. Do tej pory niewiele miał do czynienia z kobietami, młodymi czy starymi, ale czuł, że ta dziewczyna jest inna. W jej oczach błyszczała inteligencja i tajemnica. Fascynowała go. Może dlatego, że była jedyną przedstawicielką jego rasy, którą do tej pory spotkał. A może chodziło o to, że nie potrafił oderwać od niej wzroku. Tak czy inaczej nie chciał, żeby mu uciekła.

– Dlaczego się ukrywasz? Nie lubisz tańczyć?

Gdy Emily na niego popatrzyła, znowu doznał dziwnego uczucia. Krew uderzyła mu do głowy, ręce zaczęły się pocić, ogarnęła go słabość.

– Uwielbiam – odpowiedziała z rozmarzeniem w głosie.

– W takim razie może zatańczymy? To znaczy, jeśli masz ochotę.

Natychmiast zawstydził się własnej niegrzeczności. Emily potrząsnęła głową. Na jej twarzy odmalował się żal.

– Nie mogę – powiedziała ze smutkiem. – Jeszcze nie teraz. Przykro mi.

– O co chodzi?

Spłoszona, obejrzała się za siebie. Chyba nie dostrzegła żadnego zagrożenia, bo odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Czy to wszystko nie wydaje ci się... barbarzyńskie?

Gwydion był zaskoczony, wybuchnął śmiechem.

– Owszem – przyznał z wahaniem. Nie chciał być niegrzeczny. – Trochę tak.

– Więc wyobraź sobie, jak ja się czuję.

Dziewczyna podobała mu się coraz bardziej. Wyciągnął do niej rękę.

– Chodźmy stąd – powiedział.

Emily zerknęła za siebie, a następnie podała mu dłoń. Ruszyli drogą między beczkami. Noc była piękna, ciepły wietrzyk niósł dźwięki skocznej muzyki i radosne głosy. Zabawa trwała w najlepsze.

Gwydionowi cisnęło się na usta tyle pytań, że nie wiedział, od czego zacząć. Nie chciał odstręczyć Emily wścibstwem. Wskazał bukiecik.

– Przyszłaś tutaj z kimś?

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Nie – odparła z lekkim uśmiechem. – To prezent od mojego ojca. Na tańce przed żniwami nie przychodzi się parami.

– Rozumiem.

Gdy znaleźli się w blasku lamp, skorzystał z okazji, żeby lepiej przyjrzeć się Emily. Suknia z ciemnego aksamitu, chyba granatowego, miała głęboki dekolt z koronkową wstawką, obrębek z takiej samej koronki i rząd drobnych srebrnych guziczków. Jasne włosy okalające twarz były przewiązane wstążką odpowiedniego koloru.

Lirińskie pochodzenie dziewczyny zdradzała drobna budowa ciała i delikatne rysy. Zobaczył niewielką bliznę na nadgarstku i zgrubienia na dłoniach, ale nie dostrzegł żadnych cech charakterystycznych dla wieśniaczek. Otaczała ją natomiast aura godności i dostojeństwa, która przeczyła młodemu wiekowi. Gwydion żałował, że w słabym świetle nie może dojrzeć koloru jej cery i pięknych oczu.

Po raz pierwszy poczuł wdzięczność do ojca, że przez lata gonił go do intensywnej nauki cymriańskiego.

– Co teraz zrobisz, skoro nie chcesz tam iść?

Emily zerknęła za siebie.

– Chyba zaczekam, aż o północy przyjdzie po mnie brat – odparła z lekkim przygnębieniem.

– Żałosny sposób na spędzenie letniego wieczoru.

– Mogło być gorzej.

Gwydion ze współczuciem pokiwał głową. Zauważył, że dziewczyna pochodzi z zamożnej rodziny, skoro może sobie pozwolić na suknię balową... choć w jego stronach wzięto by ją za biedną chłopkę albo co najwyżej córkę zwykłych dzierżawców. Względna zamożność w połączeniu z urodą i pewnością czyniły z niej łakomy kąsek dla tutejszych młodzieńców. Lecz w przeciwieństwie do innych młodych kobiet Emily nie była łatwą zdobyczą i za to ją szanował.

– Mam pomysł – powiedział. – Niedaleko jest kawałek równego terenu. Stamtąd na pewno będzie słyhać. Może tam zatańczymy? Oczywiście jeśli chcesz – dodał niezręcznie mimo lat dobrego wychowania.

Twarz Emily pojaśniała.

– Świetny pomysł. Bardzo chętnie. Dziękuję.

Uszczęśliwiony poprowadził ją ku niewielkiej łączce, którą wcześniej wypatrzył. Z budynku wyszła na świeże powietrze większa grupka osób, ale udało im się przemknąć obok niepostrzeżenie.

Gdy dotarli na miejsce, akurat kończył się mazurek. Onieśmieleni stanęli twarzą do siebie, czekając na następną melodię. Emily uniosła rąbek sukni, Gwydion ujął jej dłoń, ramieniem otoczył talię i aż przeszył go dreszcz. Ruszyli przez łąkę do rytmu muzyki.

Niemal od razu zaczęły się kłopoty. Taniec był prosty, ale Gwydion znał tylko jego dworską wersję i w rezultacie, przy czwartym pas, Emily wykonała inny krok i nadepnęła go lekko na duży palec u nogi. Oblała się rumieńcem. Gwydion udał, że niczego nie zauważył, ale chwilę później przy tej samej figurze sytuacja się powtórzyła. Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła do niego plecami.

– Bardzo przepraszam, Sam. Pewnie uważasz, że poruszam się z gracją krowy. Chyba powinieneś wrócić na zabawę.

Gwydion wziął ją za ramiona i obrócił do siebie.

– O czym ty mówisz? To ja nie znam kroków. Proszę, nie rób tego.

– Czego?

– Nie zachowuj się, jakbym był jednym z nich. Lubię twoje towarzystwo, Emily, i wcale nie uważam, żebyś w czymkolwiek przypominała krowę. Wiesz, jaki będzie następny taniec?

Na twarz dziewczyny wrócił uśmiech.

– Zdaje się, że walc.

– Może jeszcze raz spróbujemy? Chyba sobie poradzę.

Emily skinęła głową. Gwydion dopiero teraz zauważył, że nie puścił jej ręki i ona jej nie zabrała. Kiedy popłynęła melodia, starał się trzymać podstawowych kroków i unikać wymyślnych figur. Tym razem szło im doskonale. Wirowali przez polanę do rytmu przytłumionej muzyki, a oczy dziewczyny iskrzyły się, jakby przyciągały światło gwiazd. Nim taniec się skończył, oboje jaśnieli mocniej niż latarnie.

– Emmy, co tam robisz? Nie wchodzisz do środka?

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie. Gwydion spojrzał ponad jej głową i dostrzegł na skraju polany małą grupkę. Wołającym okazał się młody ciemnowłosy mężczyzna mieszanej rasy, zapewne brat Emily. Obok stały dwie kobiety i jeden z chłopców, którzy wcześniej jej szukali. Na ich twarzach malowała się dezaprobatą.

– Wszyscy na ciebie czekają, Emmy. Twój karnet jest pełny, a już przegapiłaś trzy tańce. Chodź.

Dziewczyna wyprostowała plecy.

– Później, Ben – odparła z rozdrażnieniem. – Nic mnie nie obchodzi karnet. Nie ja włożyłam go do koszyka.

– Zamówiłem u ciebie pierwszy taniec – odezwał się drugi młodzieniec równie poirytowanym tonem. – Idziesz?

Emily zeszywniała.

– Nie waż się mówić do mnie w taki sposób, Sylvus – powiedziała chłodno. – Przyjdę, kiedy będę gotowa.

Gwydion z trudem pohamował śmiech, widząc przerażenie w oczach młodych kobiet i zdumienie na twarzach brata Emily i Sylvusa. Ben uśmiechnął się lekko.

– A nie mówiłem, chłopie? Na pewno chcesz do końca życia znosić takie traktowanie?

Mrugnął do siostry, odwrócił się i ruszył w stronę budynku. Dziewczęta poszły za nim. Sylvus wytrzeszczył oczy.

– Pospiesz się, Emily – wykrztusił w końcu. – Czekam. – Na odchodnym posłał rywalowi groźne spojrzenie.

– Nieznośny typek – mruknęła dziewczyna pod nosem. Gwydion nachylił się do jej ucha.

– Dzielnie się spisałaś. Masz ochotę się przejść?

– Chętnie – odparła Emily bez chwili wahania. – Pokażę ci moje najulubieńsze miejsce na świecie.

Puścili się biegiem przez łąkę ku łagodnemu wzgórzu, zostawiając za sobą odgłosy i światła zabawy. Właśnie wschodził księżyc.

Gwydion zawsze lepiej się czuł pod gołym niebem niż w zamkniętych pomieszczeniach. Wiele czasu poświęcał na spacerowanie i bieganie, lecz mimo treningu ledwo dotrzymywał kroku Emily, która w sukni balowej bez wysiłku pędziła na wzgórze.

Jeszcze nie całkiem przyzwyczyił się do rzadkiego powietrza, więc choć wytrzymał siły, często zostawał z tyłu. Od czasu do czasu dziewczyna przypominała sobie o nim i zwalniała lub odwracała się i podawała mu rękę. Gdy po raz kolejny w podnieceniu zaczęła biec, wreszcie się zbuntował. Emily zrozumiała i resztę drogi pokonali razem, ręka w rękę, w niezłym, ale rozsądnym tempie.

Niedaleko wierzchołka dziewczyna przystanąła. Światło księżyca posrebrzało jej włosy.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmiła. – Zamknij oczy.

Gwydion wypełnił polecenie i ruszył dalej po omacku, prowadzony przez Emily.

– Uważaj, tu jest dół.

Ominął przeszkodę i poczuł, że dziewczyna się zatrzymuje.

– Już możesz otworzyć oczy.

Aż zaparło mu dech w piersiach. U jego stóp rozciągała się jak okiem sięgnąć dolina zalana księżycowym blaskiem, szachownica pól uprawnych i łąk. Nad strumieniem, który przecinał ją na pół, pochylała się ogromna wierzba. Nawet w ciemności Gwydion doceniał urodę tego miejsca, zwielokrotnioną jeszcze przez to, że Emily je kochała.

– Gdzie jesteśmy?

Dziewczyna usiadła na ziemi, a on z ulgą poszedł za jej przykładem.

– Na jednym ze wzgórz, które otaczają nasze gospodarstwo. Pola przy strumieniu, gdzie rośnie wierzba, są moim posagiem. Nazywam to miejsce Patchworkiem, bo w świetle dziennym wygląda zupełnie jak moja narzuta, ma różną fakturę i barwy.

Gwydion poczuł, że otwiera się jego serce. Tym razem było to coś więcej niż zwykłe fizyczne podniecenie, które nim zawładnęło w chwili gdy ją ujrzał, wprowadziło w stan oszołomienia, ogłupiło. W głębi duszy obudziło się pragnienie o wiele silniejsze. Miał wrażenie, że zna Emily od dnia narodzin, a może po prostu jego życie zaczęło się dopiero,

kiedy ją spotkał. Tak czy inaczej, wiedział na pewno, że nie zniósłby rozłąki. Wyraz jej oczu świadczył o takich samych odczuciach, dziwnych i cudownych zarazem.

Dziewczyna skierowała wzrok z powrotem na dolinę.

– Podoba ci się? – zapytała niepewnie.

– To najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek podziwiałem.

Nachylił się ku niej z wahaniem; jeszcze nigdy się nie całował.

Aż zdrętwiał na myśl, że Emily odskoczy przestraszona.

Lecz ona uśmiechnęła się tylko, zamknęła oczy i podała mu usta. Gwydion nie spodziewał się, że jej wargi będą takie miękkie. Mimo że noc była ciepła, przebiegł go zimny dreszcz. Zanim odsunęli się od siebie, dziewczyna palcami dotknęła jego twarzy. Ten gest poruszył go do głębi.

Raptem ogarnął go chłód, mącąc nowo odkryte szczęście. Gwydion spojrział na dolinę, ale zamiast srebrzystej poświaty ujrzał matową szarość dymów, tłące się zagrody, zgliszcza domów i budynków gospodarczych. Pola i łąki spływały rzekami krwi. Zadrżał gwałtownie, gdy czerwona fala ruszyła prosto na nich. Nieubłaganie zbliżała się po zboczu, podchodziła coraz wyżej.

– Sam? – W głosie Emily brzmiał strach. – Co się stało?

Obraz zniknął. U stóp wzgórza leżała sielska dolina. Emily nadal dotykała jego policzka. Na jej twarzy malował się wyraz konsternacji. Gwydion wziął jej rękę w trzęsące się dłonie. Oczy dziewczyny pociemniały z troski.

– Sam?

– Emily, gdzie my jesteśmy? Jak się nazywa wioska?

– Merryfield.

Gwydionowi żołądek ścisnął się ze strachu. Na starych mapach, mniej więcej pośrodku Szerokich Łąk, wielkiego obszaru równin zajmujących dużą część środkowozachodniej Serendair, znajdowała się wioska o tej nazwie. Przez Łąki przetoczyła się wojna. Nie ocalała ani jedna osada. Kiedy nastał pokój i rozpoczęto odbudowę, wyspa uległa zagładzie.

– Jakie są najbliższe miasteczka? Albo większe miasta?

Niepokój Emily rósł z każdą chwilą.

– Nie ma żadnych w odległości co najmniej stu mil, Sam. Mój ojciec jeździ do miasta tylko raz do roku. Podróż w tę i z powrotem zabiera mu ponad miesiąc.

– Jakie to miasto, Emily? Wiesz?

Dziewczyna ścisnęła mu dłoń w uspokajającym geście, ale widział, że nie rozumie powodu jego paniki.

– Na zachodzie, po drugiej stronie wielkiej rzeki, leży Hope Landing, a na południowym wschodzie Easton, chyba największe miasto w kraju.

Gwydiona zapiekły oczy. To niemożliwe, pomyślał z rozpaczą. Niemożliwe! Takie nazwy nosiły miasta na Serendair.

– Sam? – Emily zaczął się udzielać jego nastrój.

Patrząc na nią, raptem odzyskał zdolność rozumowania, do głosu doszła jego pragmatyczna natura. Strach i rozpacz zniknęły w jednej chwili. Oczywiście, pomyślał. Znalazł się tutaj, żeby ocalić ją od śmierci. Już wiedział, dokąd pójść, do kogo się zwrócić. Z niewiadomych powodów dobry Los wysłał go w przeszłość, dał mu szansę.

Uśmiechnął się do dziewczyny. Zrozumiał, że ona właśnie jest jego wybranką. Odzyskał spokój, pewność siebie i radość. Ta dziewczyna była jego pokrewną duszą.

Przyciągnął Emily do siebie.

– Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć. – Pocałował ją. – Muszę ci coś powiedzieć.

Odsunęła się od niego.

– Co?

– Musimy jak najszybciej wyruszyć na wschód, do Eastan. Jeśli cokolwiek mi się przydarzy albo z jakiegoś powodu się rozdzielimy, odzyskaj ludzi o nazwisku MacQuieth, Farrist i Garael. Proszę, obiecaj, że to zrobisz. – Tym razem głos mu się nie załamał, co się zdarzało, gdy był podniecony albo zdenerwowany.

Emily wytrzeszczyła oczy.

– O czym ty mówisz?

Gwydion zastanawiał się gorączkowo, jak jej wszystko wyjaśnić, ale nie znajdował odpowiednich słów. I tak by nie zrozumiała. Nikt nie wiedział, co się zbliża. Wojna jeszcze tu nie dotarła, a zagłada była odległa o całe wieki. Raptem przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Może nigdy nie wróci do domu. Może miał żyć i umrzeć w przeszłości.

Emily najwyraźniej rozumiała jego smutek i obawy, chciała je rozproszyć. Szukała odpowiedzi w jego oczach, zatroskana i pełna współczucia. Wezbrała w nim czułość. W tym momencie zrozumiał, że lepiej umrzeć z nią tutaj, niż wrócić i żyć bez niej.

Księżyc przesunął się na niebie i napełnił blaskiem jej oczy. Emily uśmiechnęła się i strach zniknął. Gwydion pocałował ją, tym razem dłużej. Gdy poczuł, że jej wargi rozchylają się lekko, szybko uniosł głowę. Bał się, że zaraz straci panowanie nad sobą. Na jej twarzy dostrzegł wyraz zachwyty.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę się zjawiliś – szepnęła. – Skąd jesteś?

– Co masz na myśli? – spytał ze zdziwieniem. Emily wzięła go za rękę. Zaczęła drzeć z podniecenia.

– Spełniło się moje życzenie. Przybyłeś, żeby mnie wybawić od loterii małżeńskiej, zabrać stąd, prawda?

Gwydion przełknął ślinę.

– Można tak powiedzieć. Dlaczego uważasz, że spełniło się twoje życzenie?

Na jej twarzy nie było śladu nieśmiałości ani zakłopotania.

– Wczoraj tuż po północy poprosiłam swoją gwiazdę, żeby cię przysłała, i oto jesteś. Sprowadziłam cię z daleka?

Gwydion wytrzeszczył oczy i uśmiechnął się głupio.

– Tak, zdecydowanie.

Emily westchnęła.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Prawie rok czekałam na tę noc i udało się. Nareszcie jesteś.

Po policzku dziewczyny spłynęła łza, przez co jej uśmiech wydał się jeszcze bardziej promienny. Jest w niej magia, pomyślał chłopiec. Może na tyle silna, że ściągnęła mnie tutaj przez fale Czasu.

Emily wstała z ziemi i podała mu rękę.

– Chodźmy. Pokażę ci czarodziejski fort.

Zeszli na dno doliny, teraz wolniej, i ruszyli ku rzeczce wijącej się przez łąki. Gwydion spojrzał w górę. Nieznane gwiazdy odsunęły się jeszcze dalej, czarne niebo było pełne obietnic.

Gdy dotarli do strumienia, dziewczyna zatrzymała się jak wryta. Woda płynęła szybciej niż zwykle, brzeg okazał się błotnisty. Jedna noga ugrzęzła jej w mule. Gwydion pomógł ją wyciągnąć. Emily spojrzała na wierzbę, a następnie przeniosła wzrok na balowe pantofelki.

– Przykro mi, Sam – powiedziała z rozczarowaniem w głosie. – Nie mogę zdjąć butów, bo ich wkładanie trwa godziny. Ale ty powinieneś pójść. Widok stamtąd jest niesamowity.

– Bez ciebie nie idę – oświadczył Gwydion.

Rozejrzał się w poszukiwaniu dogodniejszego zejścia, lecz brzeg wszędzie był grząski. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Nie wiedział tylko, czy starczy mu odwagi, żeby się nim podzielić z Emily.

– Mógłbyś mnie przenieść – zaproponowała, jakby czytała w jego myślach. – Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ skąd – odparł z ulgą. Tym razem głos mu się załamał. Ukrył zmieszanie, schylając się, żeby zawiązać poły opończy.

Gdy twarz przestała go palić, wyprostował się i nadstawił rękę. Jednocześnie przyrzekł sobie w duchu, że jeśli upuści Emily, znajdzie trującą roślinę i oszczędzi sobie dalszych upokorzeń.

Dziewczyna podeszła bez śladu wahania i objęła go za szyję. Dźwignął ją bez trudu, ostrożnie zszedł do wody i ruszył przez strumień. Na drugim brzegu nie zatrzymał się, tylko poszedł po mokrej trawie pod samo drzewo. Dopiero tam delikatnie postawił Emily na ziemi.

Pnia ogromnej wierzby nie opasałoby ramionami nawet trzech mężczyzn. Liczne konary zwieszały się nad wodą, drobne listki rzucały na ziemię koronkowe cienie. Wyglądały niczym płatki śniegu.

Emily z czułością pogłaskała drzewo.

– Ludzie wierzą, że samotne drzewo rosnące pośrodku pola jest schronieniem dla wszystkich łąkowych wrózek. – Zadarła głowę i uśmiechnęła się. – Ta wierzba jest magiczna.

Nikt nie ośmielił się jej ściąć. Jeśli czarodziejski fort spłonie od pioruna, jest to bardzo zła wróżba.

Gwydionowi stanęły przed oczami pola strawione przez ogień. W jego wizji wierzba była osmalona i martwa. Zadrżał mimo woli. Tymczasem Emily obchodziła drzewo, dotykając gałęzi i szepcząc cicho w języku, którego nie rozumiał. Po chwili stanęła przed nim.

– Już zobaczyłeś dom wrózek. I co dalej? Chcesz wracać?

– Jeszcze nie. Znasz się na gwiazdach?

– Tak, a dlaczego pytasz?

– Pokażesz mi niektóre?

– Jeśli sobie życzysz.

Zamierzała usiąść pod drzewem, ale jej nie pozwolił. Zdjął opończę i rozpostarł ją na ziemi. Uśmiech wdzięczności, który posłała mu Emily, przyprawił go o dreszcz.

– Sam?

– Tak?

– Przeszkadzałoby ci, gdybym się rozebrała?

Gwydion poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy. Nim zdążył się odezwać, zawstydzona Emily pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Przepraszam. Powinna wyrażać się ściślej. Chodziło mi o suknię. – Dotknęła granatowego aksamitu. – Zapewniam cię, że pod spodem jestem bardzo przyzwoicie ubrana. Po prostu to moja jedyna suknia balowa i jeśli ją zniszczę, bardzo zmartwię mamę. Mogę?

Przez głowę Gwydiona przemknęło wiele odpowiedzi. Niemal w jednej chwili wszystkie znalazły odbicie na jego twarzy.

– Tak.

Emily podeszła do wierzby, odwróciła się do niego plecami i zaczęła rozpinąć srebrne guziczki. Gwydion obserwował ją z zapartym tchem. Gdy zsunęła z siebie suknię i niedbale rzuciła ją na gałąź, poniewczasie uświadomił sobie, że zachował się bardzo nietaktownie. Dziewczyna wróciła w samej halce z białej koronki. Usiadła na opończy, a on zajął miejsce obok.

– Co chcesz wiedzieć o gwiazdach? – zapytała, spoglądając w nocne niebo.

Włosy rozsypały się jej po ramionach. Gwydion miał wielką ochotę je pogłaskać. Z trudem się powstrzymał. Emily położyła się na ziemi, opierając głowę o omszały pień.

– Wszystko – powiedział. – Cokolwiek. Nie rozpoznaje żadnej, więc przyda mi się każda wskazówka. Tam, skąd przybywam, konstelacje są zupełnie inne.

Proste stwierdzenie faktu nie wiedzieć czemu wywołało zachwyt na twarzy dziewczyny.

– Po pierwsze i najważniejsze, to jest Seren, od której wzięła nazwę wyspa. O północy wiosną i latem świeci bezpośrednio nad głową.

Gwydion wyciągnął się obok, ale tak żeby jej nie dotknąć. Emily po raz kolejny tej nocy odgadła jego myśli i podłożyła sobie pod głowę jego ramię, nie przerywając lekcji.

Kolejno wymieniała nazwy gwiazdozbiorów, dorzucając trochę wiadomości z astronomii i historii. Miała też pewne pojęcie o nawigacji. Gwydion podziwiał jej wiedzę, lecz już po chwili, zamiast obserwować firmament, przeniósł wzrok na twarz Emily. Wkrótce doszedł do wniosku, że podziwiając gwiazdy w jej oczach, nauczy się dużo więcej, niż patrząc w niebo. Przewrócił się na bok, oparł głowę na zgiętym ramieniu i zaczął się na nią gapić z rozanielonym uśmiechem.

W pewnym momencie Emily spojrzała na niego, jakby się obudziła. Dostrzegłszy głupi wyraz jego twarzy, zarumieniła się i usiadła pospiesznie.

– Przepraszam, trochę się rozgadałam.

– Wcale nie. Słuchałem bardzo uważnie. Opowiedz mi coś jeszcze.

Znowu się położyła, ale twarz miała poważną i przez dłuższy czas nic nie mówiła. Kiedy wreszcie się odezwała, w jej głosie brzmiała nuta smutku.

– Wiesz, odkąd pamiętam, to miejsce śniło mi się do niedawna co noc. Stoję tu w ciemności i wyciągam ręce. Gwiazdy spadają z nieba, a ja je łapię. Zaciskam pięść i widzę, że przeświecają mi przez palce. Wtedy się budzę, zawsze z uczuciem szczęścia, które nie opuszcza mnie przez cały ranek. Później sen się zmienił. Chyba wtedy, gdy po raz pierwszy miałam wziąć udział w loterii małżeńskiej. Osiągnęłam stosowny wiek, ale tata uważał, że dla mnie jest jeszcze za wcześnie. W tym roku nie mogłam jej uniknąć, rodzice też ulegli sile tradycji i wystawili mnie na aukcję, jak konia. Całe moje życie się odmieniło, a wraz z nim mój sen, choć teraz nawiedza mnie znacznie rzadziej.

– Co ci się śni? – zapytał Gwydion ze współczuciem.

– Początek jest podobny, gwiazdy są takie same, ale nie mogę utrzymać ich w rękach. Wpadają do strumienia. Patrę w wodę, a one leżą na dnie i tylko do mnie mrugają.

Mówiła z takim smutkiem, że Gwydionowi ścisnęło się serce.

– Domyślasz się, co to może znaczyć?

– Chyba tak. Wreszcie zrozumiałam, że moje marzenia nigdy się nie ziszczą. Zamiast zobaczyć świat, uczyć się i przeżyć cudowne przygody, do których tęskniłam w dzieciństwie, skończę tak jak wszystkie moje przyjaciółki. Poślubię mężczyznę, którego wybierze mi ojciec, założę rodzinę i osiadę w dolinie. Tego również pragnęłam, lecz jeszcze nie teraz. Kocham te krainę i mogłabym być tutaj szczęśliwa. Ale myślałam...

– Co myślałaś?

– Że czeka mnie coś więcej. Wiem, że to samolubne i dziecinne, ale miałam nadzieję, że pewnego dnia zobaczę cuda świata, o których śniłam. Zmiana, która nastąpiła w moich snach, świadczy, że pogodziłam się z losem. Za kilka dni porzucę głupie nadzieje. Poślubię człowieka wybranego na loterii. Jeśli szczęście mi dopisze, będzie dobry albo przynajmniej nie okrutny jak niektórzy wieśniacy. Umrę, nie zrobiwszy kroku poza dolinę. Chyba przez cały czas wiedziałam, że tak właśnie będzie. Śnię coraz rzadziej. Pewnie wkrótce w ogóle przestanę, a wtedy zapomnę o marzeniach i będę żyć jak wszyscy.

Gwydion usiadł raptownie.

– Nie.

– Nie?

Do głosu znowu doszedł pragmatyzm. Rozwiązanie samo się narzucało.

– Emily, jakie są tutejsze zwyczaje? Co mam zrobić, żeby uniknąć loterii i o twoją rękę poprosić bezpośrednio rodziców?

Oczy dziewczyny rozbłysły, lecz po chwili znowu posmutniały.

– Tata nigdy się nie zgodzi. Odkąd się urodziłam, oszczędzał na mój posag, trzymał te łąki specjalnie dla mnie, by mieć pewność, że po zamążpójściu zostanę tutaj, blisko rodziny. Nigdy nie pozwoli, żebyś mnie stąd zabrał.

Gwydionowi zrobiło się słabo. Nie potrafił jej wyjaśnić, dlaczego natychmiast muszą opuścić te strony.

– Odejdiesz mimo wszystko, Emily? Uciekniesz ze mną?

Dziewczyna opuściła wzrok na swoje dłonie. Gwydion ją ścisnął w gardle, kiedy w napięciu czekał na jej odpowiedź. Wreszcie podniosła na niego oczy.

– Tak – powiedziała zdecydowanie. – Nie mogę zmarnować szansy, skoro moje życzenie się spełniło, prawda?

Gwydion doznał niewysłowionej ulgi. Przygarnął dziewczynę i dotknął jej twarzy gorącym policzkiem.

– Tak. Czy ktoś w wiosce może nam udzielić ślubu?

Emily westchnęła.

– Dopiero za kilka dni, po loterii. Wszyscy wtedy będą zawierać małżeństwa.

Gwydion przytulił ją mocniej. Nie wiedział, jak długo mogą zwlekać z odejściem, ale uznał, że warto zaryzykować. Postanowił zaczekać, żeby niepotrzebnie nie straszyc Emily.

– Sam?

Puścił ją niechętnie i usiadł prosto. Kiedy tego ranka wstawało słońce, był całkowicie wolny, taki jak inni chłopcy w jego wieku. Nie myślał o przyszłości.

I oto patrzył na swoją żonę. Nieraz zastanawiał się, jaka będzie jego wybranka. Teraz był nią zachwycony i pełen wdzięczności, że jest taka cudowna. Nie mógł się nadziwić własnemu szczęściu. Perspektywa spędzenia całego życia u jej boku przyprawiała go o zawrót głowy, a jednocześnie o strach. W następnych latach co dzień oplakiwał jej śmierć, wracał myślami do tej chwili, przypominał sobie, jak wyglądała, kiedy pierwszy raz spojrzął na nią innymi oczami, gdy jeszcze wierzył, że czeka go długa miłość.

– Tak?

– Czy kiedyś zobaczymy ocean?

W tym momencie był gotów obiecać jej wszystko.

– Oczywiście. Możemy nawet tam zamieszkać, jeśli zechcesz. Nigdy nie widziałas morza?

– Nie opuszczałam tych stron ani razu. – Jej oczy przybrały nieobecny wyraz. – Mój dziadek jest żeglarzem i wciąż obiecuje, że kiedyś zabierze mnie nad morze. Do niedawna jeszcze mu wierzyłam.

Dostrzegłszy smutek na jego twarzy, szybko odwróciła wzrok. Gwydion zrozumiał, że Emily udziela się jego przygnębienie. Kiedy znowu na niego spojrzała, jej oczy błyszczały. Widocznie wymyśliła sposób na poprawienie mu nastroju. Nachyliła się i szepnęła, jakby dzieliła się wielkim sekretem:

– Ale widziałam jego statek.

– Jak to możliwe, skoro nigdy nie byłeś nad morzem? – zdziwił się Gwydion.

Dziewczyna uśmiechnęła się w ciemności.

– Jest bardzo mały, taki jak moja dłoń. Dziadek trzyma go na kominku, w butelce. Kiedyś mi go pokazał.

Gwydionowi łzy napłynęły do oczu. Choć w życiu spotkał wielu sławnych i wybitnych ludzi, był pewien, że żaden nie dorównuje Emily czystością duszy. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Jesteś najcudowniejszą dziewczyną na świecie – wykrztusił w końcu.

– Nie, Sam, po prostu mam dużo szczęścia – odparła z powagą.

Ręce mu drżały, kiedy dotknął jej nagich ramion. Pocałunek niósł w sobie zapowiedź małżeńskich rozkoszy. Tym razem Gwydion wcale nie czuł się niezręczny. Z trudem oderwał się od ust dziewczyny.

– Sam?

Piękne ciemne oczy lśniły w blasku księżyca.

– Tak?

– Muszę ci powiedzieć dwie rzeczy.

Po jej uśmiechu poznał, że zaraz usłyszy coś miłego.

– Tak?

Emily na chwilę spuściła wzrok.

– Po pierwsze, jeśli pocałujesz mnie jeszcze raz, skończy się na tym, że skonsumujemy nasze małżeństwo tu i teraz.

Gwydion zaczął drżeć jak w gorączce.

– A po drugie?

Przesunęła dłonią po jego twarzy.

– Chcę, żebyś mnie pocałował.

Rozłożyła się na opończy, a Gwydion usiadł na piętach i patrzył na nią, aż wyciągnęła do niego ręce. Ze ściśniętym gardłem wziął ją w objęcia i przytulił mocno, lecz tak, żeby nie zrobić jej krzywdy. Długo trzymał ją w ramionach, ale kiedy jedwabiste włosy musnęły jego dłoń, zrobił to, o czym marzył przez cały wieczór.

Pogłaskał złote pasma, zachwycając się ich gładkością i chłodem. W pewnym momencie poczuł, że Emily zaczyna rozpinąć mu koszule. Zadrżał, kiedy wyciągnęła ją ze spodni i przesunęła dłońmi po jego brzuchu i piersi. Jej śmiałość dodała mu odwagi. Zamknął oczy i przywarł do niej całym ciałem. Dziewczyna drżała tak samo jak on.

Ciepły nocny wiatr owiewał ich, pieścił skórę. Gwydion w twarzy Emily nie dostrzegł śladu zakłopotania ani strachu, tylko czułość i zachętę.

Nie spuszczając z niej oczu, sięgnął do pierwszego guzika w kształcie serca. Palce mu drżały, jakby łagodny zefirek był lodowatym wichrem. Przy kolejnych guzikach ręce trzęsły mu się coraz bardziej, wreszcie piąty szarpnął tak mocno, że go urwał.

– Przepraszam.

Oblał się rumieńcem wstydu, zerknął spłoszony na Emily i zobaczył wesoły uśmiech. Dziewczyna wyjęła mu guzik z ręki i obróciła go w palcach.

– Ładne, prawda? – powiedziała w zadumie. – Ojciec przywiózł je z ostatniej wyprawy do miasta i dał mi na urodziny. Na pewno dużo kosztowały.

– Emily...

Uciszyła go, kładąc mu palec na wargach. Wcisnęła mu guzik w dłoń.

– Zatrzymaj go na pamiątkę nocy, której oddałam ci serce. – Czując gorące łzy na szyi, otoczyła chłopca ramionami i przyciągnęła do siebie. – Już dobrze, Sam. Nie zrobisz mikrzywdy. Wszystko będzie dobrze.

Znowu czytała mu w myślach. Gwydion odzyskał pewność siebie. Rozchylił delikatny materiał stanika i przywarł ustami do zagłębienia między piersiami Emily. Z ogromną czułością musnęła delikatną skórę, a jednocześnie wolną ręką zsunął koszulkę z ramion dziewczyny.

Potem zaczął pieścić drobne piersi. Gdy dotknął ich wargami, Emily przeszedł dreszcz. W tym momencie zza chmur wyszedł księżyc i Gwydion dostrzegł łzy w jej oczach. Zobaczył również, że nie ma w nich cienia wątpliwości ani potępienia. Wrócił ustami do obnażonych piersi, ręce wsunął pod szeleszczącą halkę. Kiedy dotknął ciepłej skóry ud, przeraził się, że zaraz oszaleje.

Emily drżącymi rękami rozwiązała troki i niewprawnie ściągnęła mu spodnie. Przywarł do niej mocno, szukając ciepła, po czym uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Ich wyraz przyprawił go o ból serca.

– Kocham cię, Sam. Tak długo na ciebie czekałam, ale wiedziałam, że przyjdiesz, jeśli wypowiem życzenie.

Wsunął się w nią powoli, najdelikatniej, jak potrafił, usilnie starając się nie tracić panowania nad sobą mimo niewyobrażalnej rozkoszy, która go przeniknęła.

Emily gwałtownie wciągnęła powietrze, objęła go mocniej i przyciągnęła do siebie. Odchyliła głowę do tyłu, a on z wdzięcznością przywarł ustami do jej szyi i zrosił ją łzami. Poczuli, że miękka dłoń głaszcze go po głowie kojącym gestem.

Przez chwilę leżał bez ruchu, z obawy, że jeśli się poruszy albo zaczerpnie oddechu, nagle się ocknie i stwierdzi, że to był tylko sen. Nawet jeśli śnił, nie chciał się obudzić.

Emily ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała żarliwie, po czym otoczyła go nogami i zaczęła wolno się poruszać.

Gwydion poczuł, że od czubków palców napływa rozżarzona lawa i stopniowo pochłania go całego. Zapomniał o całym świecie. Emily szepnęła jego imię i zaczęła je powtarzać coraz szybciej między westchnieniami. Poddał się gwałtownemu spazmowi, a Emily krzyknęła i chwyciła się go jak kotwicy, gdy porwała ją ta sama potężna fala ekstazy.

Czas stanął w miejscu. Gwydion nie potrafił ocenić, jak długo się kochali, ale wydawało mu się, że całą wieczność. Z każdą sekundą jego miłość do Emily rosła, aż w końcu całkiem nim zawładnęła. Spodziewał się, że takie doświadczenie nastąpi w jego życiu dużo później i będzie mniej znaczące, więc szloch, który wyrwał mu się z piersi, gdy już było po wszystkim, kompletnie go zaskoczył.

– Sam? – W dziewczęcym głosie brzmiał niepokój.

– O bogowie, chyba cię nie skrzywdziłem, Emily?

W odpowiedzi przytuliła go mocniej, pocałowała czule i odsunęła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Żartujesz? Czy wyglądam na skrzywdzoną?

Zaśmiała się, a Gwydion oparł głowę o jej ramię, nagle słaby jak dziecko.

– Emily, nigdy, przenigdy nie skrzywdziłbym cię świadomie. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Oczywiście, że wiem. Dlaczego miałbyś wyrządzić krzywdę komuś, kto należy do ciebie? Bo ja do ciebie należę, Sam. Jestem twoja.

– Dzięki bogom – wyszeptał.

– Nie, dzięki gwiazdom – poprawiła go Emily z powagą. – To one cię sprowadziły.

Gwydion z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał w niebo usiane diamentowymi okruchami.

– Dziękuję! – krzyknął.

Dziewczyna zachichotała, po czym westchnęła ze smutkiem, gdy odsunął się od niej i zaczął doprowadzać się do porządku. Ona również usiadła i sięgnęła po ubranie. Nagle spojrzała w stronę wioski i przez jej twarz przemknął wyraz rozczerowania.

– Grają walc Lorany. Lepiej wracajmy. Zabawa wkrótce się skończy.

Gwydion westchnął ciężko. Najchętniej zostałby z Emily na wieki. Podał jej rękę i pomógł wstać z ziemi, po czym chwycił ją w ramiona i ucałował. Na prześlicznej twarzy nie dopatrzył się śladu żalu czy wyrzutów sumienia. Malowało się na niej błogie zadowolenie.

Włożył opończę, wziął Emily na ręce i przeniósł przez strumień. Wiedział, że opuszczają miejsce, które ukochała najbardziej na świecie. Ze smutkiem uświadomił sobie, że ich pospieszna ucieczka oznacza nieodwołalne pożegnanie z rodzinnym domem.

Ruszyli przez łąkę, trzymając się za ręce. Szli wolniej niż w tę stronę. Kiedy wspięli się na wzgórze, Emily nagle ścisnęła mocniej jego dłoń. Gwydion zerknął na nią zaniepokojony.

– Co się stało?

– Nic, tylko muszę na chwilę usiąść.

– Źle się czujesz? – zapytał z troską, siadając obok niej.

Emily uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Nie. Po prostu muszę odpocząć.

– Jesteś pewna?

– Tak. Mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście. O co tylko chcesz.

– Ile masz lat?

– Czternaście. A ty?

Emily zastanawiała się przez chwilę.

– Jak sądzisz, która może być godzina?

– Około jedenastej.

– W takim razie trzynaście.

Gwydion spojrzał na nią zdziwiony.

– Dlaczego pora ma dla ciebie takie znaczenie?

– Bo za godzinę skończę czternaście lat.

– Dziś są twoje urodziny?

– Jutro.

Otoczył ją ramieniem.

– Wszystkiego najlepszego, Emily.

– Dziękuję. – Nagle roziskrzyły się jej oczy. – Zaczekaj, mam pomysł! Przyjdiesz do nas jutro na kolację?

Uściskał ją mocno.

– Byłoby wspaniale.

Emily uwolniła się z jego objęć.

– Poznasz moich rodziców i braci. Jeśli tata zobaczy, jaka jestem z tobą szczęśliwa, może da nam zgodę na ślub.

Uśmiechnął się na widok jej zapału.

– O której?

– Najlepiej o piątej. Zwykle jemy o szóstej.

Gwydion z niepewną miną spojrzał na swoje zakurzone ubranie.

– Niestety, nie mam nic innego.

Emily dotknęła koszuli uszytej z delikatnego materiału, jakiego jeszcze nigdy nie widziała. Cały strój był tak wykwinny i doskonale skrojony, że najlepsze szwaczki w wiosce podobnego by nie uszyły.

– Lepszego nie potrzebujesz – stwierdziła. – Chodź, po drodze pokażę ci mój dom.

Gwydion wyjął z kieszeni sakiewkę i zajrzał do środka. Nie miał przy sobie nic, co nadawałoby się na prezent. Poza tym wątpił, czy w wiosce znajdzie coś odpowiedniego. Wyłowił z mieszka pięć złotych monet i położył na dłoni Emily.

– Marny podarunek, ale chcę, żebyś miała pamiątkę po tej nocy.

Przyrzekł sobie, że rano zrobi bukiet z najpiękniejszych kwiatów, jakie znajdzie na łąkach. Emily w popłochu wytrzeszczyła oczy.

– Nie mogę ich przyjąć, Sam. Są warte połowę mojego posagu. – Obróciła w rękach jedną z monet. Widniała na niej twarz księcia Rolandii, kraju, który miał powstać dopiero za siedem wieków. – Zresztą gdybym wróciła do domu z pieniędzmi, rodzice pomyśleliby, że zrobiłam coś bardzo złego.

Gwydion poczerwieniał, gdy dotarło do niego znaczenie jej słów. Raptem przyszedł mu do głowy inny pomysł. Jeszcze raz przeszukał sakiewkę i wydobył z niej trzynastokątny miedziak. Wręczył go Emily, po czym wygrzebał z mieszka jeszcze jedną, identyczną monetę.

– O ile wiem, są tylko dwie takie na całym świecie. Mają wartość wyłącznie dla mnie. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł dać ją komuś innemu.

Emily przez chwile patrzyła na miedziak, potem uśmiechnęła się i przytuliła do Gwydiona.

– Dziękuję, Sam. Będę go strzec jak skarbu. A teraz już chodźmy. Pomógł jej wstać i strzepnął źdźbła trawy z aksamitnej sukni.

– Szkoda, że nie mogę ci dać lepszego prezentu. Ruszyli w dół zbocza, kierując się ku wiosce.

– Tej nocy dostałam od ciebie najwspanialszy dar. Przybyłeś z daleka w odpowiedzi na moje prośby. Czy można prosić o więcej?

Gwydion otoczył ją ramieniem.

– Ale to twoje urodziny.

– Naprawdę chcesz mi dać coś wyjątkowego?

– Bardzo.

Emily uśmiechnęła się i wysunęła z jego objęć. Wzięła go za rękę.

– Opowiedz mi o miejscach, w których byłeś, i o cudach, które widziałeś. – Oczy błyszczały jej z podniecenia. – Chcę usłyszeć, dokąd pójdziemy i co zobaczymy pewnego dnia.

– Cóż, możemy zacząć od wielkich statków, które przewożą ludzi przez Morze Środkowe.

Opowiedział jej o masztach i żaglach, o plecionych łózkach zwanych hamakami, w których śpią żeglarze, o ogromnym porcie Kesel Tai, gdzie widywało się statki z całego świata, o morskich magach. Wspomniał o porcie Fallon z latarnią morską wysoką na sto

łokci, oświetlającą drogę zagubionym marynarzom. Na koniec opowiedział o lirińskim porcie Tallono i kobiecie, która dzięki smoczej mądrości i mocy zmieniła otwartą zatokę w bezpieczną przystań.

Emily z zachwytem chłonęła jego słowa. Oprzytomniała tylko na krótką chwilę, żeby mu pokazać rodzinną farmę. Gwydion od razu rozpoznał duże gospodarstwo, które po południu wypatrzył z drogi. Przy bramie wejściowej paliły się lampy, zapraszając zbłąkanych przybyszów.

Gwydion miał w zanadrzu jeszcze wiele opowieści: o rzece, zimnej i miejscami tak szerokiej, że w ciężkiej porannej mgle nie widać było drugiego brzegu, o rzece płynącej do lirińskiej krainy Gorllewinolo, gdzie Emily spotkałaby ziomek swojej matki i nawet jako mieszaniec zostałaby przyjęta z otwartymi ramionami.

Opowiedziałby jej o wyroczni Yarim i jej szalonych wieszczkach, o Sepulvarcie, mieście licznych świątyń, gdzie rządził Patriarcha, o Wielkim Białym Drzewie. Niestety, nie zdążył, bo dotarli do wioski. Gdy zwolnili kroku, obiecał sobie, że pewnego dnia pokaże jej to wszystko.

Przy beczkach wytyczających ścieżkę do domu zabaw Emily zatrzymała się raptownie.

– Jak będzie brzmiało nasze nazwisko rodowe?

Gwydiona przeszedł dreszcz radości i jednocześnie strachu.

– Cóż, to trochę skomplikowane. Widzisz, ja nie mam na imię...

– Emmy, tu jesteś! Gdzie się podziewałaś, u licha? Wszyscy cię szukają.

W tym głosie brzmiała ulga i gniew. Emily zignorowała pytanie.

– Cześć, Ben. Jak udała się zabawa? Sam, to mój brat Ben.

Gwydion wyciągnął rękę. Ben zmierzył go wzrokiem, uściśnął podaną dłoń i natychmiast odwrócił się do siostry.

– Dostaniesz za swoje, kiedy ojciec się dowie.

– Czego się dowie?

– Że nie poszłaś na tańce.

– Oczywiście, że poszłam i świetnie się bawiłam.

Ben poczerwieniał z irytacji.

– Nie zatańczyłaś ani razu, Emmy. Musiałem uspokajać wielu rozsierdzonych.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Tańczyłam, ale nie w środku. Przecież mnie widziałeś. Daj spokój, Ben. Spędziłam cudowny wieczór.

– Emmy? – rozległ się jeszcze jeden głos.

Gwydion odwrócił się i zobaczył, że w ich stronę idzie wysoki ciemnowłosy młodzieniec. Emily wybiegła mu na spotkanie, a on chwycił ją w objęcia i dźwignął z ziemi.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – wykrzyknął i ucałował ją w policzek. – Wieczór był miły? Dobrze się bawiłaś?

– Bardzo dobrze – odparła dziewczyna z uśmiechem. Przedstawiła Gwydionowi najstarszego brata i razem ruszyli do wozu, którym Justin po nią przyjechał.

– Dziękuję, Sam – powiedziała Emily. – Zobaczymy się jutro.

– O piątej. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Będę o tobie myślał przez cały czas, póki się nie spotkamy.

Emily cmoknęła go w policzek i pobiegła do wozu. Gwydion jeszcze nie wiedział, ile prawdy jest w jego słowach, ale jego serce przeszył ból.

– Kocham cię! – zawołał za nią, gdy konie ruszyły.

Emily przyłożyła dłoń do ucha, pokazując, że nic nie usłyszała. Machała do niego, póki wóz nie zniknął w mroku.

Następnego ranka Gwydion obudził się przed świtem i razem z innymi parobkami ochlapał się przy studni, nagi do pasa. Potem zawinął bukłak, sztylet i koszulę w opończę, a tobołek wepchnął pod swoje posłanie. W tym momencie dostrzegł na suknie trzy ciemne plamki. Wyciągnął z powrotem węzełek i przysunął do oczu. To były ślady krwi.

Obejrzał się od stóp do głów, ale nie znalazł żadnego skaleczenia. Schował opończę pod siennik i ruszył od pracy. Jako nowy robotnik dostał w miarę lekkie, ale niewdzięczne zadania. Z niesmakiem patrzył na coraz brudniejsze spodnie.

Kiedy o świcie parobcy zrobili sobie przerwę na śniadanie, poszedł na łąkę po kwiaty dla Emily. Uznał, że orliki rosnące w wysokiej trawie doskonale nadadzą się na urodzinowy bukiet. Po powrocie wyczyścił spodnie mokrą szmatą, żeby jako tako prezentować się w czasie wizyty. Nie chciał cuchnąć gnojem, prosząc ojca Emily o jej rękę. Wiele lat później przemknęło mu przez myśl, że ta woń na pewno nie była farmerowi obca.

W nadziei, że zostały jakieś resztki ze śniadania, ruszył w stronę domu. Od porannego upału lekko zakręciło mu się w głowie. Kiedy wchodził po stopniach ganku, zrobiło mu się słabo jak jeszcze nigdy w życiu.

Meridion unieruchomił maszynę. Ponownie sprawdził narzędzia i chwycił nimi delikatną nić. Uśmiechnął się do siebie, gdy obraz przez chwilę nie chciał się odkleić, zupełnie jakby chłopiec przytrzymał go siłą woli. Ostrożnie przeniósł wycięty fragment w dokładnie to samo miejsce, z którego go wziął. Następnie spojrzął w okular.

Gwydion stał pośrodku leśnego duktu. Słońce wytaczało się na niebo, ptaki śpiewały wśród listowia. Zadrzał lekko, kiedy ciepły wiatr owiał jego nagą pierś. Rozejrzał się jeszcze raz. Ten sam świeży poranek, ta sama droga. Wszystko było takie samo... oprócz wspomnień.

Ogarnęła go panika, serce zaczęło walić młotem. Puścił się biegiem przed siebie, rękami młóćąc powietrze, żeby wrócić do innej rzeczywistości. Osiągnął jedynie tyle, że wzniecił kurz ze ścieżki.

Po głowie tłukły się różne myśli. Czyżby miał halucynacje? Zwariował? Chętnie uznałby ostatnie przeżycia za urojenie, ale w głębi duszy wiedział, że były prawdziwe. Nawet w najdzikszych fantazjach nie potrafiłby wymyślić tak cudownej istoty jak Emily.

Emily. Ze strachu krew zastygła mu w żyłach. Gdzie ona teraz jest? Co się z nią stało? Przeszył go ból na wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy napomknął o rozłące. Czy go zrozumiała, czy wzięła sobie do serca jego ostrzeżenie? Ocalała z zagłady?

Spojrzał na siebie. Nie miał przy sobie bukłaka na wodę, sztyletu, koszuli i opończy. Na wspomnienie węzełka utkniętego pod siennikiem oblał go zimny pot. Dopiero teraz zrozumiał, co oznaczały ciemne plamki na suknie. Kochali się na jego rozpostartym płaszczu, razem stracili dziewictwo, przypieczętowując małżeństwo, które zawarli pod gwiazdami.

Z wolna ogarniała go rozpacz. Gorączkowo zaczął przetrząsać kieszenie spodni. Odetchnął z ulgą, kiedy trafił na sakiewkę, jedyną rzecz, której nie zostawił w szopie.

Drżącymi palcami rozwiązał rzemyki i wsadził dłoń do środka. Uśmiechnął się, namacawszy drobny przedmiot. Wyjął go ostrożnie. Guzik Emily. Dowód, że nie dostał pomieszania zmysłów, że jego wspomnienia nie były halucynacjami.

Westchnął głęboko, zdjęty bezmiernym smutkiem. Pomyślał o farmie i wiosce obróconej przed wiekami w zgliszcza, a następnie pochłoniętej przez ocean, który stał się grobem dla wyspy. Nie dopuścił do siebie myśli, że popioły Emily też rozwiął morski wiatr. Bał się popaść w szaleństwo.

Ojciec będzie wiedział, co robić. Emily na pewno przeżyła i odnalazła cymriańskich przywódców, o których jej powiedział na łące. Wsiadła na któryś z wielkich statków. Spełniło się jej marzenie, by zobaczyć ocean. Serce przepełniła mu nadzieja.

Nie chciał rozważać innych możliwości – że została zabita w czasie wojny, że ocalała z pożogi, ale umarła, zanim Cymrianie uciekli z wyspy, że wsiadła na jeden ze statków, ale nie przeżyła podróży, która kosztowała życie wielu ludzi, że dotarła bezpiecznie do lądu, lecz wkrótce potem zginęła. Doszedł do wniosku, że musi wrócić do domu i porozmawiać z ojcem. On będzie wiedział, jak ją odnaleźć.

Zawrócił i ruszył w stronę, z której przyszedł. Letni dzień stracił dla niego cały urok. Zbierały się ciemne, groźne chmury. Po kilku krokach padł na ziemię, twarzą prosto w kurz, przejęty niezgłębionym żalem. Z gardła wyrwał mu się rozdzierający szloch, krzyk bólu, który spłoszył zwierzęta w promieniu wielu mil.

Rankiem w dniu swoich urodzin Emily spała dłużej niż zwykle. Miała słodkie sny, lecz obudził ją ostry, rozpaczliwy krzyk.

Raptownie usiadła na łóżku, drżąc jak osika. Przez zasłony przesączał się słoneczny blask, śpiewały ptaki. Był piękny dzień. Minęła dłuższa chwila, nim ochłonęła ze strachu, który objął mrozem jej serce.

Na wspomnienie Sama i poprzedniej nocy rumieniec ubarwił jej policzki, a złe przecucia rozwiały się jak mgła. Wskoczyła z łóżka i w białej muslinowej koszuli nocnej ruszyła tanecznym krokiem przez pokój, licząc chwile do spotkania.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Pomagając matce w szykowaniu kolacji, zwierzyła się jej tyle, ile uznała za stosowne. W miarę, jak zbliżał się wieczór, jej podniecenie rosło. W końcu ojciec stwierdził, że jeszcze chwila, a będzie mogła oświetlić sobą drogę dojazdową.

Umówiona pora wizyty przyszła i minęła. Emily stała w oknie w najlepszej białej bluzce i różowej spódnicy. Przyszła i minęła pora kolacji. Potrawy wystygły i zrobiły się nieapetyczne. W końcu matka łagodnie odciągnęła ją od okna i posadziła przy stole. W czasie posiłku niewiele rozmawiano. Wyraz dziewczęcych oczu odbierał wszystkim ochotę na wesołą paplaninę.

Po kolacji bracia i rodzice wręczyli jej prezenty. Emily podziękowała z uśmiechem, ale sercem i myślami była gdzie indziej. Po zapadnięciu nocy wróciła do okna, pewna, że Sam przyjdzie.

Wreszcie, dużo po północy, ojciec wziął ją delikatnie za ramię i szepnął, że powinna iść spać. Skinęła głową i w odrętwieniu ruszyła do schodów. Po kilku krokach obejrzała się na rodziców.

Zobaczywszy głęboki smutek na ich twarzach, natychmiast oprzytomniała. Nie mogła znieść myśli, że cierpią razem z nią. Posłała im promienny uśmiech i powiedziała lekkim tonem:

– Nie martw się, tato. Na loterii będzie jeszcze wielu chłopców. Może w którymś się zakocham.

Oboje westchnęli z ulgą, a z oczu matki zniknął wyraz troski.

– Właśnie, skarbie. Na pewno będą.

Emily posłała im całusa i weszła po schodach, dodając w myślach: Ale mnie nie będzie.

Po latach i wielu bezowocnych poszukiwaniach Emily znalazła MacQuietha, którego nazwisko chłopiec wymienił tamtej nocy pod wierzbą. Natknęła się na niego przypadkiem, na ulicy wielkiego miasta, i choć on był sławnym wojownikiem, a ona nikim, zdobyła się na odwagę i zapytała go o chłopca. MacQuieth z początku okazał irytację, lecz dojrzawszy w jej oczach rozpaczliwą nadzieję, trochę złagodniał.

– Bardzo mi przykro, ale nigdy nie spotkałem takiego człowieka ani nie znam nikogo o tym imieniu.

Widząc jej minę, skrzywił się. Po raz pierwszy w życiu zapomniał o czekającym go zadaniu. Przez dłuższą chwilę stał na chodniku i patrzył za oddalającą się dziewczyną o nagle przygarbionych ramionach. Nie był jasnowidzem, ale nawet on potrafił dostrzec, kiedy z człowieka uchodzi dusza, kiedy rozpoczyna się jego upadek, bezsensowna egzystencja i odliczanie dni do wytęsknionej śmierci.

Gwydion czekał na odpowiedź wieszczki z całą cierpliwością, na jaką go było stać, ale na jego twarzy wyraźnie malowały się rozpacz i ból. To dobrze, że Wyrocznia jest moją babką, tłumaczył sobie.

Anwyn mierzyła wnuka przenikliwym spojrzeniem płonących niebieskich oczu o barwie jeszcze intensywniejszej niż oczy chłopca. Nie mogła się nadziwić, że nie odziedziczył stoickiej natury charakterystycznej dla całej rodziny. Miała dar widzenia przeszłości, ale przyszłość też umiała odczytać, stąd wiedziała, że pewnego dnia Gwydion będzie potężnym człowiekiem, podobnie jak wszyscy przedstawiciele jego rodu. Tylko on był w stanie przywrócić dynastii dawną chwałę, dlatego musiała roztoczyć na nim pieczę.

To moja pokrewna dusza, mówił łamiącym się głosem. Jestem tego pewny, babciu. Proszę. W jego oczach lśniły łzy. Krople Meridiona już dawno wyparowały, jeszcze zanim wpadł na pomysł, żeby przyjść do niej po radę. Anwyn jednak rozumiała, o czym świadczyły fakty podane przez Gwydiona: pieczenie oczu i przeniesienie w czasie.

Inna rzecz, kto je zastosował. Formuła eliksiru od tysiąca lat spoczywała w głębinach oceanu razem z Serendair. Choć Anwyn знаła część odpowiedzi na pytanie wnuka, niektóre wydarzenia z przeszłości były również przed nią ukryte. Odpędziła niemłą myśl i wróciła spojrzeniem do drżącego chłopca.

Podjął wielkie ryzyko, żeby się z nią zobaczyć. Musiał stawić czoło wichrom, z furią smagającym niedostępne, ponure tumie, wśród których stało kamienne zamczysko. Dłonie mu krwawiły od czepiania się skał w drodze do jej kryjówki. Widocznie bardzo mu zależało na spotkaniu, a ją rzadko odwiedzali goście, szczególnie w ostatnich czasach. Dobrze było znowu mieć towarzystwo, zwłaszcza kogoś, kto pewnego dnia mógł się przydać, choć na razie był pogrążony w rozpacz i zajęty wyłącznie sobą.

Jej twarz przybrała nieobecny wyraz. Zastanawiając się nad pytaniem wnuka, uświadomiła sobie, że musi w odpowiedni sposób przekazać mu wieść. Obejrzała ręce Gwydiona i zaczęła je owijać miękkim płótnem.

– Ona nie dotarła do lądu – powiedziała ze smutkiem. – Przykro mi, chłopcze. Nie postawiła stopy tutaj ani w Manosse. Jeśli była Lirinką, gwiazdy powinny wiedzieć, gdzie jest, a nie wiedzą. Na innych ziemiach też jej nie ma. Nie opuściła wyspy na żadnym ze statków z uciekinierami.

– Jesteś pewna? Może zaszła jakaś pomyłka? Proszę, babciu, spojrzysz jeszcze raz. A jeśli płynęła z drugą flotą, która zboczyła z kursu?

Anwyn powstrzymała się od uśmiechu i ruszyła do ołtarza, na którym leżała zaśniedziała luneta, jeden z dwóch najstarszych przedmiotów w tym kraju. Jej ojciec użył go pierwszy, żeby ostrzec mieszkańców tych ziem przed niebezpieczeństwem. Wzięła instrument do ręki i przez chwilę napawała się jego ciepłem i mocą. Następnie podeszła do wielkiego okna wychodzącego na morze odległe o tysiąc mil. Przystawiła lunetę do oka. Długo przez nią patrzyła, po czym odwróciła się do wnuka.

– Cóż, dziecko, przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale nikogo o tym imieniu i odpowiadającego podanemu przez ciebie opisowi nie było wśród ludzi, którzy opuścili wyspę przed jej zagładą. Ta dziewczyna nie dotarła do lądu.

Gwydion osunął się na podłogę, przytłoczony bólem. Jego ciałem wstrząsnął potężny szloch. Anwyn wolnym krokiem wróciła do ołtarza i odłożyła lunetę. Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Co powiesz na obiad?

CZEŚĆ PIERWSZA

1146, TRZECI WIEK

Poruszał się jak cień chmury sunącej po niebie, niezauważony nawet przez wiatr, który owiewał go, jakby nie napotykał żadnej przeszkody. Ukradkiem dotarł na szczyt wzgórza i przeskakał wzrokiem pola leżące w dole. Wypalone trawy uginały się pod silnymi podmuchami. Żaden dźwięk nie mącił ciszy.

Gdy się ściemniło, Brat wstał i zerknął przez ramię. Skinął głową i podjął obserwację.

Chwilę później dołączył do niego ogromny cień. W resztkach dziennego światła liczne rękojeści sterczące zza pleców sierżanta wyglądały jak szczęki gigantycznego kraba. Wielkolud podążył za spojrzeniem Brata i zapytał:

– Ile mamy czasu?

Postać w czerni milczała przez dłuższą chwilę, przechylając zakapturzoną głowę, jakby nasłuchiwała dalekiej rozmowy.

– Kwadrans. Ale nie oni mnie niepokoją.

– Wiem. – Olbrzym westchnął. – Nie uda się nam, co?

Brat nie odrywał oczu od horyzontu.

– Raczej nie. – Obejrzał się na olbrzyma. – Ty dałbyś radę uciec, gdybyś wyruszył natychmiast.

– Nic z tego, panie – odparł gigant, uśmiechając się drapieżnie. – Tak daleko zaszedłem, że szkoda byłoby teraz wracać. Zresztą dopadliby mnie wcześniej czy później. Jeśli tobie to nie czyni różnicy, panie, wolałbym zostać.

Brat kiwnął głową i wrócił spojrzeniem ku rozległym polom.

– Więc lepiej, żeby łowcy nas nie schwytali.

Jednym ruchem zdjął z pleców broń podobną do kuszy i ruszył w dół zbocza.

– Też tak uważam – mruknął sierżant, ale usłyszał go tylko wiatr.

Ciemność, która już zapadła, była cięższa niż kroki Brata, którego nie wyczuły ani nie dostrzegły nawet małe polne stworzenia. Wysoki, chudy, w czarnej opończy, poruszał się jak duch. Nie wydawał żadnego dźwięku, nie zostawiał śladów, stapiał się z mrokiem. Gdyby tę postać dostrzegł ktoś o sokolim wzroku, puls na pewno by mu przyspieszył, oddech uwiązł w krtani na ułamek sekundy, co Bratu wystarczyłoby w zupełności. Świadek zginąłby przed następnym uderzeniem serca.

Czarny cień w żaden sposób nie zakłócał miriadów wibracji świata, które tylko on odbierał. Tropieni przez niego ludzie mogli budzić grozę, wyraźnie czuł ich siłę. Jego były pan nie szczędził kosztów na pościg, co Brat traktował jako rzecz oczywistą.

Przyklęknął i naszykował broń. Na twarzy ukrytej pod obszernym kapturem zagościł ponury uśmiech. Cele znalazły się w zasięgu strzału. Jeszcze ich nie widział, ale nie musiał. Z dużej odległości potrafił usłyszeć ich stapania, bicie serc. Niczym rekin w wodzie wyczuwał ich krew i ruchy. To był jego dar odziedziczony po przodkach, tyle że jeszcze silniejszy niż u Draków czystej krwi.

Zamknął oczy i skupił się na ruchu powietrza, zmianach kierunku wiatru i subtelnym prądach, które mogły wpłynąć na tor pocisku. Po chwili zrobił wydech i delikatnie nacisnął spust.

Jego broń, długa na dwa łokcie, nie miotła zwykłych strzał ani bełtów, lecz po trzy cienkie metalowe dyski o rozmiarach klonowego liścia. Ich kurs zmieniał się pod wpływem silnych podmuchów, ale strzelec wyborowy uwzględniał te czynniki. Zanim pociski dotarły do celu, Brat ponownie załadował broń i wystrzelił. Posyłał serię za serią w czoła i oczy ofiar znajdujących się w odległości prawie ćwierci mili od niego.

Pierwsze dyski wbiły się w gałkę oczną zbójcy, wwierciły głęboko w czaszkę, wypadły z drugiej strony i przecięły gardło drugiego nieszczęśnika. Czterej kolejni rozbójnicy zginęli, nim zorientowali się w sytuacji. W tym czasie kat był już daleko. Tylko dowódca zdążył odwrócić głowę i spojrzeć w twarz śmierci.

W oddali, na szczycie wzgórza, z którego wcześniej prowadził obserwację, Brat zatrzymał się i rzucił spojrzenie za siebie.

– Dowódca był szybki – powiedział do towarzysza.

Olbrzym skinął głową.

– Ale niedostatecznie szybki, co?

– Tym razem nie.

Obszedłszy teren wokół obozu, Brat upewnił się, że tej nocy nikt nie zobaczy ich ogniska. Na wszelki wypadek Grunthor osłonił je trzema metalowymi płytami. Nadzwyczajne środki ostrożności nieraz ratowały im życie.

Wielki Bolg spojrział znacząco na ciężki plecak z zapasami żywności. Brat skinął głową. Grunthor wyjął z worka udziec łani, którą zabili dwa dni wcześniej, i usiadł przy ognisku. Nadział mięso na długą kość, umieścił ją w dwóch wrębach metalowych płyt, zaczął obracać nad niskim płomieniem. Siedzieli w milczeniu, póki udziec się nie przypiekł. Brat nasłuchiwał podejrzanych dźwięków, Grunthor nie zwracał uwagi na nocne odgłosy. Wiedział, że towarzysz uprzedzi go o niebezpieczeństwie.

W końcu zdjął udziec z ognia, oddzielił kawałek wielkości dłoni, podał go Bratu, resztę zostawił sobie. Zaczął rwać mięso zębami. Drak pokroił swoją część sztyletem. Pieczeń miała paskudny, lekko rybi smak. Z trudem przełknął kęs.

– Prawie zepsute.

Gigant skinął głową.

– Tak, chyba musimy napocząć suchy prowiant.

– Będziemy go potrzebować na korzeniu Wielkiego Drzewa.

– Wiem, ale nic innego nie mamy.

– A co z królikiem?

– Zjedliśmy wczoraj.

Brat odłożył resztę mięsa.

– Więc jutro zapolujemy.

Znowu nastąpiło tradycyjne milczenie. Po chwili Grunthor wyciągnął się przy ognisku i zapadł w sen. Brat tymczasem przeniósł się myślą ku wydarzeniom, które sprowadziły ich w to miejsce.

Przypomniał sobie, jak szedł przez tonącą w ciemnościach Podziemną Komnatę F'dora. Nic nie mógł poradzić na to, że jego buty stukają głośno na wypolerowanej obsydianowej posadzce. Nawet gdyby jaskinia była oświetlona, gładkie ściany z czarnego wulkanicznego szkliwa znajdowały się tak daleko, że ledwo dostrzegłby wyryte na nich misterne rysunki o obscenicznej treści.

Mimo piecyków płonących czarnym ogniem jedyne jaśniejsze miejsce stanowił krąg światła, do którego właśnie się zbliżał.

Pośrodku komory stał odziany w purpurową kapłańską szatę mężczyzna, który go tutaj wezwał, niegdyś człowiek, teraz gospodarz demona, złączony z nim w jedną plugawą istotę. Z własnej woli nigdy nie przyjąłby od niej zlecenia.

Brat zacisnął zęby, walcząc z instynktowną reakcją na tę świątynię zła, na potwora w ludzkiej skórze, na wynaturzenia, do których tutaj dochodziło. Miał wrażenie, że w jego żyłach płyną igły. Odwieczna nienawiść, podsycana w Drakach przez wieki kruczaj przeciwko F'dorom, obudziła się w nim z całą siłą w miejscu, które wrogowie jego rasy uczynili swoim domem.

Obie strony jego natury – dracka wrażliwość na wibracje odziedziczona po matce i bolgańska miłość do głębin ziemi przekazana przez nieznanego ojca – buntowały się przeciwko kalaniu świętego miejsca. Jeszcze silniejsza była odraza do demona, który zawładnął bezwolnym człowiekiem. Władca Tysiąca Oczu. F'dor. Tsoltan. Jego pan.

Gdy wszedł w krąg światła, usłyszał cichy głos, słodki jak miód:

– Mam dla ciebie zadanie.

Ciemne oczy z czerwonymi obwódkami wpiły się w Brata, badając jego reakcję. Czułe nerwy zaprotestowały przeciwko brutalnemu wtargnięciu; zupełnie jakby rzeźnik obmacywał

mięso, szukając najlepszego miejsca do nacięcia. Drak nic nie odpowiedział. Zrobiłby wszystko, żeby nie oddychać tym samym powietrzem.

– Ręka – powiedział kapłan-demon.

Brat rozwarł pięść i wyciągnął do niego lewą dłoń. F'dor zachichotał w półmroku.

– Bawi mnie twój opór. Chyba już się przekonałeś, że nigdy nie odzyskasz swojego prawdziwego imienia. Za żadne skarby ci go nie zwrócę. Nie wyjawię również, jak je zdobyłem. Twoje usługi są dla mnie zbyt cenne.

Ze szklanej podłogi tuż przed Bratem wyrosła winorośl. Najeżona obsydianowymi kolcami, sama wyglądała jak ze szkła. Do najwyższego pędu był przyczepiony klucz.

– Weź go.

Brat sięgnął bez wahania w górę. Obsydianowy wąs roztrzaskał się jak nóżka delikatnego kielicha.

Drak podsunął klucz pod oczy przystosowane do mroku jaskiń, z których wyszli Bolgowie. Uśmiechnął się w duchu, słysząc, że ludzkie serce demona zaczyna bić szybciej w odpowiedzi na jego buntowniczą postawę. Klucz był zwyczajny, tyle że wykonany z czarnej kości i wygięty jak zebro.

– Udasz się z nim do przerwane mostu lądowego prowadzącego na północne wyspy. W jego podstawie znajduje się brama, przez jaką nigdy jeszcze nie przechodziłeś. Struktura ziemi jest w tamtym miejscu mocno osłabiona. Możesz się tam źle czuć. Jeśli przekroczysz wrota we właściwy sposób, znajdziesz się na rozległej pustyni. Będziesz wiedział, w którym kierunku iść. Wyjdzie ci na spotkanie mój stary przyjaciel. Uzgodnisz z nim datę, kiedy przeprowadzisz go na tę stronę. Zależy mi na czasie. Najpierw jednak wrócisz do mnie, a ja przygotuje się do roli przewodnika. Jasne?

– Tak.

– Przekażesz mi wiadomości od niego i powiesz, jakie są ustalenia.

– Nie jestem posłańcem.

– Masz rację. Jesteś zwykłym lokajem.

Blask odległego piecyka padł na czarny talizman wiszący na szyi demona. Promienne złote koło otaczało spiralę utworzoną z czerwonych kamieni. W samym jej środku było wyryte pojedyncze oko o takim samym przesywającym spojrzeniu jak to, które teraz wpijało się w Brata.

F'dor zrobił krok w jego stronę. Brat skrzywił się, poczuwszy swąd spalonego mięsa bijący od demona, zwłaszcza z jego ust. Ten smród towarzyszył całej rasie, lecz odór Tsoltana był wyjątkowo silny.

– Chcę, żebyś wykonał zadanie jak najszybciej. Mniejsza o ofiary. Ich śmierć nie będzie miała żadnego znaczenia. Ja jestem panem, a ty moim niewolnikiem, chyba że podążysz za mną z własnej woli albo porwie cię moje zwycięstwo.

Zrobił to, czego żądał demon.

Do tej pory nigdy nie odczuwał wyrzutów sumienia z powodu zabójstw, nie cofał się przed złem, ale tego, co zobaczył w spustoszonej krainie za horyzontem, nie dało się opisać słowami. W obliczu zagłady, która groziła światu, po raz pierwszy w życiu postanowił uciec, porzucić wszystko, zaryzykować wieczność gorszą od śmierci. Nawet dla niego inne wyjście było nie do pomyślenia.

Otrząsnął się z zadumy, gdy jego zmysły zarejestrowały ruch w oddali. Klucz, który trzymał w ręce, lśnił mimo ciemności. Wsunął go szybko do kieszeni.

Spojrzał w kierunku wibracji. Zbliżały się wilki. Były jeszcze daleko, polowały. Nieharmonijne wibracje świadczyły, że nie są to zwykłe drapieżniki, lecz stworzenia używane przez F'dorów jako szpiedzy.

Cmoknął cicho. Grunthor natychmiast otworzył oczy i sięgnął do pasa z bronią. Bezszelestnie odwrócił się do towarzysza.

Brat pokazał mu gestami: sześć wilków, po trzy na każdej flance. Grunthor skinął głową. Położył pikę, zdjął z pleców wielki łuk. Drugą ręką przeniósł dużą metalową pokrywę, którą zakrył i zgasił ognisko. Drak przygotował cwellan, dziwną broń podobną do kuszy. Bolg dodatkowo położył obok siebie pikę. Nasłuchiwał w skupieniu. Wilki nawet nie zwolniły. Popędziły dalej, nie zauważywszy małego obozowiska ukrytego w zadrzewionej dolinie. Kiedy przekroczyły granicę, poza którą nie sięgały jego zmysły, Drak skinął głową i odetchnął głęboko.

- Za każdym razem są coraz bliżej – powiedział.
- Nic dziwnego. Znają nasz zapach, a poza tym mamy klucz. Pewnie go wyczuwają.
- Wiem. Musimy szybko dotrzeć do miasta. Zniknąć w tłumie.
- Świetnie. Wiem, jak bardzo lubisz miasta, panie.

Gdy minęła najciemniejsza część nocy i zaczął padać letni deszcz, zwinęli obóz i skierowali się ku Easton, żeby zdążyć przed nadciągającą burzą.

– Jeszcze zupy, kochanie?

– Nie, dziękuję, Barney. – Młoda kobieta obdarzyła szynkarza promiennym uśmiechem. – Ale bardzo mi smakowała.

Opuściła wzrok na nierówny plik kartek, które wraz z paroma dziwnymi przedmiotami zaśmiecały stół. Znowu zaczęła skrobać gęsim piórem po pergaminie i nucić coś cicho pod nosem.

Barney westchnął i sięgnął po wazę z zupą. Na widok czarownego uśmiechu jak zwykle przeszedł go dreszcz. Rozejrzał się spłoszony. Miał nadzieję, że Dee nie zauważyła jego głupiej miny. Też lubiła dziewczynę, ale lepiej nie kołysać małżeńską łodzią.

Pod pretekstem czyszczenia lady zaplamionej piwem pozwolił sobie na jedno ukradkowe spojrzenie. Dziewczyna odgarnęła z oka kosmyk złotych włosów i z roztargnieniem dotknęła prostego złotego medalionika zawieszzonego na szyi.

Nadal zawzięcie pisała, od czasu do czasu robiąc przerwę, żeby zerknąć na jeden z przedmiotów rozłożonych na stole albo trącić struny harfy, którą trzymała na kolanach. Choć siedziała w głębi pomieszczenia, na swoim ulubionym miejscu, jej podniecenie wyraźnie udzielało się bywalcom. Środek dnia zazwyczaj był wyjątkowo cichy i smętny w tawernie Pod Piuropuszem. Dzisiaj panował zgiełk jak wświąteczny wieczór. Nic dziwnego, że Dee ją lubi, pomyślał Barney i cicho zachichotał. Dzięki niej interes się kręci.

Pośród gwaru głosów i szczekania kufla niewiele osób zwróciło uwagę na obcego, który niecierpliwie torował sobie drogę przez tłum. W końcu przecisnął się do stolika pod ścianą. Stał nad dziewczyną i czekał, lecz ona nie przerywała pracy, marszcząc czoło przy kolejnym błędzie.

– Ty jesteś Rapsodia – odezwał się w końcu nieznajomy. Zamiast podnieść głowę, dziewczyna ułożyła kartki w równy stos i sięgnęła po następną. – Więc jak?

Nie zaszczyliła intruza nawet jednym spojrzeniem.

– Dziękuję, że mi pan przypomniał, jak mam na imię. – Po chwili dodała: – Proszę mi wybaczyć, ale jestem zajęta.

Mężczyzna przełknął ślinę, z trudem hamując gniew. Czuł, że kierują się na niego liczne oczy.

– Reprezentuję pewnego szlachcica, pani przyjaciela – oznajmił, starając się panować nad głosem.

Dziewczyna nie odrywała wzroku od zapisków.

– Naprawdę? Ciekawe kogo?

– Michaela Wiatr Śmierci.

Wrzawa panująca w tawernie ucichła w jednej chwili, ale młoda kobieta zachowała kamienny spokój.

– Albo zmieniło się ostatnio znaczenie słów „szlachcic” i „przyjaciół”, albo używasz ich, panie, w całkiem dowolny sposób. A czegoż on chce ode mnie?

– Twoich usług, oczywiście.

– Już ich nie wykonuję.

– Nie sądzę, żeby go interesowała twoja sytuacja zawodowa.

Po raz pierwszy kobieta przerwała pracę i spojrzała na natręta.

Jej niezwykle zielone oczy, w których nie było cienia strachu, płonęły tak intensywnym blaskiem, że mężczyzna cofnął się o krok.

– Natomiast mnie nie interesują jego życzenia – oświadczyła spokojnie. – A teraz proszę mi łaskawie wybaczyć, bo jak już wspomniałam, jestem bardzo zajęta.

Wróciła do pisania.

Minęła dłuższa chwila, zanim mężczyzna odzyskał rezon. Kiedy po twarzy poranej brzdami rozlał się wyraz wściekłości, bywalcy zaczęli wymykać się chyłkiem z tawerny albo chociaż przenosić w bezpieczniejsze kąty. Obcy walnął pięścią w stół, po czym zmiął w garści plik kartek.

Znieruchomiał w jednej chwili, gdy między swoim palcem wskazującym i serdecznym ujrzał sztylet wbity w drewniany blat. Ruch był tak szybki i płynny, że nawet go nie zauważył.

– Staralam się być uprzejma, ale najwyraźniej mnie nie słuchałeś, panie. Jeśli zniszczysz mi choć jedną nutę, od tej pory będziesz mógł liczyć tylko do sześciu, i to najpierw spuściwszy spodnie. Zostaw mnie w spokoju, proszę.

Umoczyła pióro w atramencie i zabrała się do pracy. Drugą rękę nadal trzymała na sztylcie.

Mężczyzna spiorunował ją wzrokiem i ostrożnie zabrał dłoń ze stołu. Rozpychając nielicznych klientów, którzy odważyli się zostać, wymaszerował z tawerny i zatrzasnął za sobą ciężkie drewniane drzwi. Barney odprowadził go spojrzeniem, a następnie podbiegł do stolika Rapsodii z wyrazem troski na dobrotliwej twarzy.

– Wiesz, dla kogo pracuje ten człowiek, kochanie? – zapytał z niepokojem, oglądając się na Dee, która wzięła się do sprzątnięcia naczyń i resztek ze stołów opuszczonych w pośpiechu przez gości.

Rapsodia metodycznie zwijała płachty zapisanego pergaminu.

– Oczywiście. Dla Michaela Zarazy Morowej. Cóż za głupi przydomek.

– Nie wyrażałbym się o nim z takim brakiem szacunku, skarbie. Ostatnio zrobił się bardzo niebezpieczny. I ma więcej uszu niż kiedyś.

– O, więc teraz będzie ciekawiej.

Wcisnęła zwoje do nieprzemakalnego worka i zaczęła pakować pozostałe rzeczy. Zostawiła na stole tylko zwiędły pierwiosnek oraz świstek welinu. Starannie zakorkowała kałamarz, schowała do wewnętrznej kieszeni plecaka, owinęła harfę w materiał jutowy i położyła na wierzchu. Na koniec skreśliła parę słów na papierze welinowym, tym razem wolno i metodycznie.

– Namysliłam się, Barney. Zjem jeszcze trochę zupy.

Towarzysze już zwijali obóz, kiedy Gammon dotarł do posterunku przy północno-zachodnim murze Easton. Słyszając ton Michaela, który rzucał rozkazy swoim siepaczom i wymyślał szeregowym żołnierzom, uznał, że dostarczenie wiadomości wiąże się dla niego ze sporym ryzykiem. Mógł się jedynie łudzić, że dowódca, znany ostatnio z chwiejności nastrojów, zapomniał o zadaniu, z którym go wysłał. Gdy Michael odepchnął sługę, którego akurat sztorcował, i podszedł do Gammona wielkimi krokami, wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, by nadzieja prysła jak bańka mydlana.

– Gdzie ona jest? – warknął.

– Podobno już nie pracuje w tym interesie, panie.

Michael wytrzeszczył oczy, ale jeszcze nad sobą panował.

– Nie znalazłeś jej? Jak to możliwe?

Gammon się zawahał.

– Znalazłem, panie, ale odmówiła przyjęcia.

Dowódca zamrugał, a jego oczy wyraźnie pociemniały z gniewu. Chwilę później wrócił do nich spokój.

– Odmówiła? Tak po prostu?

– Tak, panie.

Michael obejrzał się na żołnierzy, którzy pakowali broń i siodłali konie.

– Może źle zrozumiałeś mój rozkaz, Gammon – powiedział głosem wypranym z emocji.

– Nie chciałem, żebyś spytał tę dziewczkę, czy raczy nam towarzyszyć. Oczekiwałem, że z nią wrócisz.

Napłynął ku nim czarny gryzący dym z wygaszonych ognisk, po czym przykrył rozległą łąkę, niczym brudny wełniany koc.

– Tak, panie.

– Idź jeszcze raz do miasta i sprowadź ją natychmiast. Bogowie, ona ledwo sięga ci do ramienia! Przywlecz ją za piękne złote włosy, jeśli będzie trzeba. Widziałeś jej włosy, Gammon?

– Tak, panie.

– Wciąż o nich myślę. Wyobrażasz sobie, jakie są w dotyku?

– Tak, panie.

– Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić, bo nie jesteś mężczyzną – stwierdził Michael lodowatym tonem. – Nie miałaś jej, prawda? Tak myślałem. Ja natomiast ją posiadałem i było to dla mnie silne przeżycie. Ona jest pół-Lirinką, zauważyłeś? Lirińskie kobiety są wyjątkowo słodkie, a ona najśłodsza. Włosy to tylko jeden z jej powabów, o jakich ci się nie śniło. Ale może, jeśli pozostaniesz w moich łaskach, pozwolę ci spróbować jej miodu. Tyle, by twoje nędzne życie stało się cokolwiek warte, ale żebyś nie wyrządził sobie dużej krzywdy. Chciałbyś?

Gammon wiedział, że to podstęp.

– Pójdę po nią, panie.

– Dobry z ciebie człowiek – powiedział Michael i wrócił do swoich żołnierzy.

Rapsodia właśnie skończyła zapisywać welinową karteczkę i suszyła atrament, kiedy Gammon wrócił do tawerny. Pod Pióropuszem było teraz pusto. Barney i Dee ze strachem patrzyli, jak obcy przemierza salę dużymi krokami i zatrzymuje się przy stoliku w rogu. Dziewczyna i tym razem nie podniosła na niego wzroku, dopóki nie skończyła pracy.

– Pójdiesz ze mną – oznajmił Gammon.

– Dzisiaj nie mogę. Przykro mi.

– Dość tego! – warknął.

Jedną ręką sięgnął do złocistych pukli przewiązanych zwykłą czarną wstążką, drugą dobył krótkiego miecza.

Karczmarze raptem zobaczyli, że obcy zgina się wpół z bólu i łapie powietrze ustami, przygwożdżony do ściany rogiem stołu, który Rapsodia wbiła mu prosto w genitalia. Jego głowę z hukiem stuknęła o blat, a wytracony z ręki miecz błyskawicznie podniosła z ziemi.

– Jesteś grubianinem – szepnęła nieszczęśnikowi prosto do ucha. – Idź i powiedz swojemu dowódcy, żeby sam sobie zrobił to, co zamierzał zrobić ze mną. Pojąłeś?

Gammon łypnął na nią spode łba. Rapsodia przystawiła mu sztylet do gardła i dopiero wtedy odsunęła przeszkodę.

– Jeszcze jedno – dodała, prowadząc go do drzwi. – Zaraz po tobie wyjdę stąd i nigdy nie wrócę. Zapewne ty lub zbiry, których wezwiesz na pomoc, zechcą niepokoić tych ludzi albo próbować mnie schwytać. Na twoim miejscu nie traciłabym czasu.

Cisnęła miecz na ulicę. Gammon splunął jej pod nogi, po raz drugi tego dnia odchodząc jak niepyszny.

– Bardzo źle wychowany człowiek – stwierdziła Rapsodia, zwracając się do karczmarzy. Położyła garść monet na stole i uściskała Dee. – Wyjdę frontowymi drzwiami. Powinniście zamknąć tawernę do wieczora. Przepraszam, że ściągnęłam na was kłopoty.

– Bądź ostrożna, skarbie – powiedziała karczmarka, walcząc ze łzami.

Rapsodia zdjęła płaszcz z kołka i ruszyła do drzwi. Po drodze wcisnęła Barneyowi do ręki świstek papieru i obdarzyła go ostatnim uśmiechem.

– Powodzenia. – Cmoknęła go w policzek. – Jeśli kiedyś spotkasz trubadura, poproś, żeby ci to zagrał.

Właściciel tawerny spojrział na karteluszek. Była na nim narysowana pięciolinia i nuty.

– Co to jest, kochanie? – zapytał.

– Twoje imię – oparła Rapsodia i wyszła.

Dee zgarnęła ze stołu monety, sprzątnęła wazę z zupą, łyżkę i zużyte pióro.

– Bamey, chodź i popatrz na to.

Na stole leżał pierwiosnek, świeży i pachnący jak w chwili zerwania.

Ciemne i chłodne zaułki Easton stanowiły dobrą ochronę przed palącym słońcem. Dwaj mężczyźni szli po miejskim bruku cicho jak koty, nie zauważeni przez kłócących się przekupniów i jazgotliwe kumoszki. Sprzyjał im oślepiający blask dnia i głęboki cień bocznych uliczek. Zwykle na widok Grunthora milkły rozmowy, podczas jego rzadkich wizyt w miastach ruch zamierał.

Brat wyczuwał rojne ulice, jeszcze zanim do nich dotarli. Jego uszy i skóra odbierały ogłuszające wibracje niezliczonych serc. Gdy najbliższa przecznica była mocno zatłoczona, wybierali inną drogę. Tracili sporo czasu, ale unikali ryzyka. Szli przez wyludnione zaułki, omijając góry odpadków i szumowiny, które na kocich łbach odsypiały nocne pijaństwa, bekały i mamrotały przez sen. Pokonując przeszkody, nie patrzyli pod nogi ani nie wypadali z rytmu marszu.

Następna uliczka była pusta i prowadziła do dużych arterii w południowo-wschodniej dzielnicy. Brat wiedział, że jeszcze kilka przecznic i znajdą się na nabrzeżach, gdzie wtopią się w tłum. Znajdowali się pięćdziesiąt kroków od rogu, gdy nagle dostrzegli zamieszanie. Kilku niezdarnych miejskich strażników ścigało uliczną dziewczkę. Brat i Grunthor z konieczności zatrzymali się w cieniu domów.

Rapsodia wyszła na ulicę przed tawernę Pod Piuropuszem i rozejrzała się za łotrami, których pamiętała ze zbieraniny Michaela.

Tawerna znajdowała się na Kingsway, jednej z najruchliwszych alej Easton, niedaleko północno-zachodniej bramy. Panował tu duży ruch i hałas. Nie dostrzegłszy żadnego zbira, dziewczyna przecięła błotnistą jezdnię, omijając kałuże, które zostały po nocnej burzy.

Pośrodku Kingsway natknęła się na piekarza Pilama. Pchał ciężki wózek okryty brezentem i tamował ruch. Ludzka masa rozdzielała się i okrążała, jak rzeka otacza kamień leżący w środku nurtu. Łysina Pilama była czerwona z wysiłku i zroszona potem, ale twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Rapsodia! Jak się miewasz w to piękne popołudnie?

– Cześć, Pilam. Pomogę ci.

Dziewczyna ponownie omiotła spojrzeniem ulicę, odsunęła się na bok, robiąc miejsce kilku przechodniom, po czym chwyciła wózek i wypchnęła go z koleiny. Gdy pojazd ruszył z gwałtownym szarpnięciem, spod brezentu wypadło kilka bochenków chleba. Piekarz chwycił jeden, chroniąc go przed upadkiem w błoto.

– Proszę, weź go wraz z podziękowaniami.

– Pilam, jesteś bardzo miły. Dziękuję! – zawołała Rapsodia z uśmiechem, od którego ugięły się pod nim kolana.

Schowwała bochenek do worka i rozejrzała się jeszcze raz. Ostentacyjne zachowanie jasnowłosej dziewczyny zwróciło uwagę przechodniów, i bardzo dobrze, bo taki był jej zamiar. Im więcej świadków, że wyszła z tawerny, tym bezpieczniej dla Barneya i Dee.

Gdy dotarła do rogu, spostrzegła, że pewien mężczyzna wyglądający znajomo zaczepia miejskiego strażnika i coś do niego mówi, żywo gestykulując. Szybko naciągnęła kaptur na głowę i cofnęła się za stos beczek ustawionych przed warsztatem bednarza. Tymczasem do rozmowy włączył się drugi strażnik. Po chwili wszyscy trzej ruszyli szybkim krokiem w stronę tawerny. Po drodze zatrzymywali przechodniów. Z początku najwyraźniej nie mieli szczęścia, dopiero jakaś kobieta skinęła głową w odpowiedzi na ich pytanie i wskazała mniej więcej w jej kierunku. Rapsodia westchnęła z ulgą, kiedy mężczyźni zawrócili i puścili się biegiem, oddalając od tawerny. Zsunęła niżej kaptur i skręciła za najbliższy róg.

Zostawiwszy za sobą Kingsway i dzielnicę handlową, weszła w labirynt wąskich uliczek. Dobrze знаła tę okolicę. Wiedziała, że łatwo tu o nisze i bramy, w które zawsze można uskoczyć. Nagle usłyszała za sobą krzyk.

W jej stronę biegło kilkunastu mężczyzn, w tym paru strażników z wyciągniętą bronią. Zdziwiła się bardzo. Michaelowi nigdy nie udało się przekupić straży miejskiej, gdy w swoim czasie miała z nim do czynienia, ale od tamtej pory minęły prawie trzy lata. Widać Barney lepiej orientował się w sytuacji. Nie doceniała czekających ją kłopotów.

Błyskawicznie skoczyła za róg, przebiegła ulicę i wpadła w zaułek, przy którym stała z jednej strony parterowa chata kryta słomą, a z drugiej – piętrowy budynek z cegły. Przy chacie znajdowała się piwniczka na warzywa. Rapsodia wskoczyła do środka i nakryła się kawałkiem strzechy, który odpadł od dachu. Wytężyła słuch.

Sądząc po odgłosach, ścigający podzielili się na mniejsze grupki i zaczęli przeczesywać okolicę. Było ich chyba dużo więcej.

Wstrzymała oddech. Trzech mężczyzn mijało właśnie jej kryjówkę. Rozglądali się i przeklinali, kopiąc puste skrzynie i pudła.

Chętnie sama by się zwymyślała. Jak to możliwe, że przegapiła wzrost wpływów Michaela? Po prostu nienawiść do niego wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i mogła teraz wpędzić ją w poważne tarapaty. Zaraz, zaraz, przecież nie miała innego wyboru. Było nie do pomyślenia, żeby grzecznie poszła z Gammonem.

Tymczasem jeden ze strażników roztrącił nogą stos węgla leżący przed sąsiednim budynkiem. Na ulicę wypadł człowiek w skórzanym fartuchu, złorzecząc i wygrażając pięściami. Rapsodia skorzystała z awantury, wymknęła się z kryjówki i popędziła w stronę Kingsway. Dobięła prawie do rogu, gdy usłyszała za sobą krzyk.

Nie mogła poszukać schronienia w żadnym z okolicznych domów, bo sprowadziłyby nieszczęście na mieszkańców. Bez namysłu skręciła w boczną uliczkę i w tym samym momencie tuż przed nią wyrosło dwóch prześladowców. Znalazła się w pułapce.

Nie zdążyła uskoczyć w najbliższy zaułek, bo została przygwożdżona do bruku. Chwile później mężczyzna przewrócił ją na plecy i z rozmachem uderzył w twarz. Odwzajemniła się, kopiąc go w jądra. Gdy zwinął się z bólu, próbowała wstać, ale dopadł do niej drugi strażnik. Wykręcił jej rękę i dźwignął z ziemi. Choć wierzgała i kopała, zaczął ją wlec ku głównej alei.

– Potrafisz narobić kłopotu – warknął jej do ucha. – Ale Michael na pewno nie pożałuje. Kiedy będzie ci wsadzał, pomyśl o mnie, kochanie. – Przywarł ustami do jej szyi, a wolną ręką zaczął obmacywać piersi.

Z nadludzkim wysiłkiem oswobodziła jedno ramię. Ból przeszył je aż po koniuszki palców. Walcząc z falą mdłości, sięgnęła po sztylet. Zamachnęła się do tyłu. Widać trafiła w cel, bo mężczyzna natychmiast ją puścił i zgiął się wpół. Jego wrzask zaalarmował czterech kolegów, którzy zaprzestali pościgu, gdy zobaczyli, że została schwyтана.

Zanim ruszyli się z miejsca, popędziła na złamanie karku główną ulicą. Trzej strażnicy pobiegli za nią, a czwarty ukląkł nad krwawiącym towarzyszem. Tymczasem Rapsodia śmignęła obok dwóch kobiet niosących kosze z bielizną i wpadła w ciemny zaułek.

Po paru krokach zatrzymała się i rozejrzała gorączkowo, ale nie znalazła żadnej kryjówki. Już chciała pomknąć dalej, gdy raptem zobaczyła, że z naprzeciwka nadchodzą dwaj ludzie.

Pierwszy z nich był olbrzymem w zbroi z metalu i skóry. Na głowie miał szpiczasty hełm. Drugi, odziany w płaszcz z obszernym kapturem, przy towarzyszu wyglądał na drobnego, choć nie należał do ułomków. Poruszał się z zadziwiającą zwinnością. Kiedy ją dostrzegł, natychmiast przystanął, o trzy kroki wcześniej niż gigant.

Rapsodia obejrzała się za siebie. W tym momencie zza rogu wypadli trzej strażnicy. Po raz drugi tego dnia znalazła się w pułapce. Zostało jej tylko jedno wyjście.

– Pomóżcie mi, proszę – wysapała, zwracając się do dwóch nieznajomych. – Pozwólcie mi przejść.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, lecz ani drgnęli.

Strażnicy zbliżali się teraz wolnym krokiem, idąc ramię w ramię. Rapsodia uśmiechnęła się promiennie do dziwnych podróżnych. Wiedziała, że musi pozyskać sojuszników.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy moglibyście na chwilę mnie przyjąć do rodziny? Byłabym bardzo wdzięczna.

Szczuplejszy z mężczyzn lekko skinął głową.

– Dziękuję – powiedziała Rapsodia i odwróciła się do prześladowców. – Cóż za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Zdażyliście, panowie, w samą porę, żeby poznać mojego brata. Oto... Achmed... Wąż.

W tym momencie oblał ją war. Usłyszała daleki, ale wyraźny trzask, a po nim przytłumiony odgłos podobny do echa po wybuchu. Doznała dziwnego uczucia, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Pewnie to zawrót głowy po biegu, pomyślała i skrzywiła się w duchu na wspomnienie idiotycznego przydomku, który pierwszy wpadł jej do głowy. Lecz wyglądało na to, że sztuczka się udała, bo prześladowcy stanęli jak wryci, a na ich twarzach odmalował się paniczny strach.

Z tyłu rozległa się seria cichych dźwięków, potem świst. Lśniące pociski, cienkie jak skrzydła motyla, przeszły gardła strażników. Wszyscy trzej padli na ziemię.

Rapsodia przez chwilę w osłupieniu gapiała się na nieruchome ciała. Kiedy przeniosła wzrok na swoich wybawców, niższy właśnie chował pod płaszcz dziwną broń, trochę przypominającą kuszę.

– Ładna robota – powiedziała ze szczerym podziwem, – Dziękuję.

Zakapturzony wyciągnął do niej dłoń w skórzanej rękawicy.

– Chodź z nami, jeśli chcesz żyć – przemówił po raz pierwszy. Miał suchy, nienaturalnie zgrzytliwy głos.

Słyszając kroki następnych strażników, Rapsodia obejrzała się szybko przez ramię, po czym bez wahania ujęła rękę obcego. We trójkę pobiegli przed siebie, kryjąc się w głębokim cieniu zaułków Easton.

Opuścili miasto przez wschodnią bramę, blisko doków. Mury dawno zniknęły w oddali i mrok spowił błonia, nim troje podróżnych zatrzymało się, żeby rozbić obóz.

Easton było kwitnącym miastem portowym założonym w drugim wieku, w okresie wojen rasowych. Według oryginalnego planu miało być wielkim ośrodkiem kultury i sztuki na skrzyżowaniu szlaków handlowych, ale w niespokojnych czasach zmieniono je w ufortyfikowaną twierdzę, otoczoną z trzech stron przez potężne kamienne mury, grube na dwanaście łokci i kończące się na nabrzeżu.

Rapsodia nieraz przemierzała ulice Easton, parę razy była nawet po nich wleczona, ale nigdy nie pokonała ich w takim tempie jak teraz. Dwaj towarzysze prowadzili ją, ciągnęli, a czasami prawie nieśli przez podwórka i zaułki wyłożone kocimi łbami. Dotrzymywała im kroku tylko dzięki dobrej znajomości miasta, ale po jakimś czasie nawet ona straciła orientację. W końcu ten niższy zatrzymał się przed zatłoczoną portową tawerną.

– Te się nadadzą – powiedział i w biały dzień ukradł dwa osiodłane wierzchowce.

Ruszyli konno dalej. Wkrótce wyjechali z miasta, przecięli błonia i skierowali się na południe, równoległe do linii brzegowej.

Wielkolud trzymał się nieco z tyłu. Rapsodia słyszała, że jego koń ciężko pracuje, by utrzymać tempo narzucone przez mężczyznę w kapturze. Choć siedziała przed nim na siodle, nie słyszała jego oddechu. Zupełnie jakby wierzchowcem kierował duch. Na szczęście wstrząsy maskowały jej drżenie.

Rapsodia nigdy wcześniej nie była za południowymi murami Easton. Od czasu do czasu rzuciła za siebie tęskne spojrzenia na gliniane domy kryte strzechą, na niszczące marmurowe świątynie, kamienne budowle i wysokie rzeźby, które stawały się coraz mniejsze. O zmierzchu ledwo widziała długi mur schodzący do portu rozjarzonego światłkami. W gęstniejącym mroku wyglądał jak czarna Unia.

Straciwszy miasto z oczu, trochę zwolnili, ale nie zrobili postoju, nawet kiedy zapadła noc. W pewnej chwili Rapsodii przemknęło przez głowę, że nie została uratowana, tylko porwana. Pomyślała też, że jazda po ciemku, gdy nie widać drogi, może być niebezpieczna. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, mężczyźni wstrzymali konie.

– Zsiądź – dobiegł z tyłu chrapliwy głos.

Nim zdążyła zareagować, człowiek w kapturze zсадził ją z siodła. Sam zeskoczył lekko na ziemię i oddał wodze towarzyszowi.

– Grunthor, puść konie wolno – powiedział i rozpląnął się w mroku.

Rapsodia przeniosła wzrok na giganta, który w nocy wydawał się jeszcze większy. Cofnęła się o krok i sięgnęła po sztylet ukryty na nadgarstku.

Tymczasem Grunthor klepnął wierzchowce po zadach i powiedział cicho:

– No, uciekajcie.

Zmęczone zwierzęta dalej stały w miejscu. Olbrzym zdjął hełm, stanął przed nimi, rozłożył ramiona i huknął. Rapsodia aż podskoczyła, a konie po chwili bezruchu rzuciły się do panicznej ucieczki.

Grunthor odwrócił się do dziewczyny. Spojrzawszy na jej twarz, ryknął śmiechem.

– Hej, kochanie, widzę, że zapalałaś do mnie miłością od pierwszego wejrzenia. Bardzo się cieszę. A teraz chodźmy.

Rapsodia nie była pewna, czy to rozsądne włączyć się po nocy z nieznanym wielkoludem, ale szybko doszła do wniosku, że lepiej olbrzyma nie drażnić. Ruszyła za nim potulnie. Starając się dotrzymać mu kroku, dumiała nad swoim położeniem.

– Dokąd idziemy? Będziemy wędrować na piechotę?

– Wątpię. Już dość się dzisiaj nabiegaliśmy.

Zza horyzontu wychynął złoty księżyc w pełni, nad samym morzem przesłonięty mgiełką. Jego blask nie rozproszył ciemności czarnej jak smoła. Rapsodia kierowała się raczej słuchem niż wzrokiem.

Idąc o krok za gigantem, ścieżką widoczną tylko dla niego, omal nie wdepnęła w małe ognisko. Grunthor zatrzymał ją w ostatniej chwili.

Obóz był już rozbity.

Olbrzym zdjął hełm i z głębokim westchnieniem usiadł przy ogniu. Rapsodia rzuciła worek na ziemię i usadowiła się naprzeciwko. Tu nie przeszkadzał jej dym, a poza tym uznała, że w razie czego płomienie mogą stanowić jakąś ochronę.

W ich blasku przyjrzała się towarzyszowi podróży. Był o dwie głowy wyższy od przeciętnego człowieka, zbudowany jak koń pociągowy. Pod ciężkim wojskowym płaszczem dostrzegła błysk metalu. Zbroja wyglądała jak wężowa skóra wzmocniona metalowymi płytkami. Rapsodię zdziwiło, że do tej pory nie słyszała nawet szcęknięcia, zwłaszcza że mężczyzna nosił na sobie cały arsenał: ogromny topór, pikę, kilka groźnych mieczy, noże.

Jeszcze większe przerażenie budziła jego twarz. Zrogowaciała skóra miała nieokreślony kolor, z ust wystawał jeden ostry ząb, oczy, uszy i nos były wyjątkowo duże. Rapsodia podejrzewała, że Grunthor ma wzrok, słuch i węch znacznie lepsze niż ona. Jego wielkie łapska kończyły się szponiastymi pazurami. Ktoś taki mógł śmiało pojawić się w sennym koszmarze. Olbrzym wyjmował z worka zapasy, nie zwracając na nią uwagi.

– Niech zgadnę. Słyszałaś o Firbolgach, ale nigdy żadnego nie spotkałaś, tak?

Rapsodia drgnęła na dźwięk zgrzytliwego głosu, który rozległ się tuż za nią. Zupełnie nie wyczuła obecności drugiego mężczyzny. Przez trzaskające płomienie spojrzała na Grunthora.

– Jesteś Firbolgiem? Nigdy bym nie przypuszczała.

– Co miałaś na myśli?

– Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna – rzuciła pospiesznie, oblewając się rumieńcem. – Po prostu w swojej niewiedzy sądziłam, że Firbolgowie są potworami.

– Z mojego, całkiem sporego doświadczenia wynika, że Lirinowie są smakowitą przekąską – odparł Grunthor bez cienia urazy.

– Zapewne nie skłaniasz się, pani, ku żadnej z tych opinii – odezwał się człowiek w kapturze.

– Oczywiście – powiedziała Rapsodia z wymuszonym uśmiechem. Odniosła wrażenie, że wielkolud wcale nie żartował.

Jego towarzysz rzucił na ziemię dwa zabite króliki.

– Kim jesteś, pani?

– Mam na imię Rapsodia. Studiuję muzykę. Jestem Pieśniarką.

– Dlaczego ścigali cię miejscy strażnicy?

– Ku mojemu zaskoczeniu i żalowi okazało się, że ci ludzie służą pewnemu durniowi, który kazał mnie do siebie sprowadzić.

– W jakim celu?

– Przypuszczam, że dla rozrywki.

– Czy ten dureń ma jakieś imię?

– Nazywa się Michael Wiatr Śmierci. Wielu nazywa go trochę mniej pochlebnie, oczywiście za jego plecami.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Skąd go znasz?

– Z przykrością muszę wyznać, że przed laty, kiedy pracowałam jako prostytutka, był moim klientem. Niestety w tej profesji zwykle nie ma się dużego wyboru. Tak się pechowo złożyło, że Michael dostał obsesji na moim punkcie. Zapowiedział, że kiedyś po mnie wróci, ale nie wzięłam poważnie słów tego pompatycznego bubka. To był pierwszy z moich błędów. Drugi popełniłam wczoraj, kiedy przysłał po mnie jednego ze swoich pacholków, a ja nie chciałam z nim pójść. Gdybym miała do czynienia tylko z jego siepaczami, wywiodłabym ich w pole, ale od czasu, kiedy ostatni raz widziałam Michaela, udało mu się przekupić straż miejską.

– Nie mogłaś przystać na spotkanie, a potem się ukryć? – zapytał Grunthor.

– To byłoby oszustwo.

– I co z tego, skoro oznaczałoby przeżycie? – zdziwił się zakapturzony.

– Nigdy nie kłamię. Nie potrafię.

Olbrzym parsknął śmiechem.

– Masz bardzo usłużną pamięć, siostrzyczko. O ile się nie przesłyszałam, oświadczyłaś strażnikom, że jesteśmy spokrewnieni. Coś mi się zdaje, że na naszym rodzinnym zjeździe wyglądałaś trochę dziwnie.

– To dlatego wpieryw nas poprosiłaś, żebyśmy cię przyjęli do rodziny – stwierdził jego towarzysz ze zrozumieniem w oczach.

Rapsodia kiwnęła głową.

– Właśnie. Musiałam powiedzieć prawdę, choćby częściową.

– Dlaczego?

– Kłamstwo jest zabronione w zawodzie, który wybrałam. Mijając się z prawdą, nie można zostać Bajarzem. W mowie musi panować harmonia, zgodność z wibracjami świata. Każdy fałsz je zakłóca, wypacza sens słów. Oczywiście nie jest to nauka ścisła, bo prawda często zależy od punktu widzenia. I tyle, jeśli chodzi o akademickie rozumowanie. Natomiast co do mojej prywatnej filozofii, to rodzice zawsze mi powtarzali, że nie wolno nikogo oszukiwać. Odkąd porzuciłam dotychczasowe... hm, zajęcie, najbardziej cenię sobie prawdę. Jako dziwka wciąż musiałam udawać, gryźć się w język, zgadzać na cudze fantazje, choćby najbardziej obmierzłe. Kiedy więc skończyłam z dotychczasowym życiem, nie mogłam ani minuty dłużej ukrywać swojej pogardy dla Michaela. Pewnie to był błąd, ale nie wiem, czy umiałabym żyć dalej, gdybym zachowała się inaczej.

– Nic złego się nie stało.

– Owszem. Sama skazałam się na wygnanie z Easton. Próbując się uwolnić, chyba oślepiłam jednego ze strażników i teraz nie mogę wrócić.

Człowiek w kapturze roześmiał się głośno.

– Wątpię, czy zostali naoczni świadkowie.

– Was może nikt nie widział, ale wiele osób zauważyło mnie, kiedy uciekałam przez pół miasta.

– W takim razie masz kłopot. – Popatrzył w dym, skręconymi smugami unoszący się ku gwiazdom. – Możesz po prostu postanowić, że nie wracasz. Zostawiłabyś rodzinę albo kogoś bliskiego?

Mówił całkowicie obojętnym tonem, co sprawiało wrażenie, że prowadzi przesłuchanie. W Rapsodii powoli dochodziło do głosu zmęczenie. Nie miała siły nadal ich przekonywać, że nie stanowi zagrożenia ani nie jest cenną zdobyczą. Sądziła, że już jej się to udało.

Tymczasem Firbolg oprawił króliki i nadział na szpikulce. Rapsodia nie byłaby zaskoczona, gdyby mięso zostało zjedzone na surowo. Nie wiedziała też, czy oczekiwać poczęstunku. Gdy postanowiła, że zostanie Pieśniarką, na jednej z pierwszych lekcji poznała epicką pieśń o Firbolgach. Historia tej rasy wywarła na niej ponure wrażenie, a dwaj wybawcy do tej pory zrobili niewiele, żeby je zmienić.

Zachowywali się, jakby od dawna razem podróżowali. We wszystkich ich działaniach widać było rutynę i wzajemny szacunek. Niższy upolował króliki i rozpałił ognisko, wyższy oprawił i upiekł zdobycz. Przez cały posiłek nie zamienili ze sobą słowa, a Rapsodię traktowali jak powietrze. Tylko raz Grunthor przypomniał sobie o niej i podsunął szpikulce ze skwierczącym mięsem, ale potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję.

Wydzieliła sobie małą porcję z bochenka chleba, który dał jej Piłam. Resztę schowała do kieszeni płaszcza zamiast do worka. Z każdą minutą czuła się coraz bardziej nieswojo, więc wolała być gotowa do ucieczki, a plecak znajdował się dość daleko od niej. Normalnie nawet nie pomyślałaby o zostawieniu instrumentów, ale kiedy niższy z towarzyszy podróży przestał jeść, zobaczyła jego twarz.

Choć gigant budził grozę wyglądem, przeżyła wstrząs, nie przygotowana na widok jeszcze mniej ludzkiego oblicza. Na skórze pokrytej bliznami, dziobami po ospie i odsłoniętymi żyłami nie było ani jednego gładkiego miejsca. Widywała twarze naznaczone czasem, chorobami i alkoholem, ale ta wyglądała, jakby przegalopowała po niej cała armia jeźdźców Apokalipsy, miażdżąc wszystko kopytami.

Uwagę przykuwały zwłaszcza oczy, jakby wzięte z dwóch różnych głów, nie pasujące do siebie ani wielkością, ani kształtem, ani kolorem, w dodatku umieszczone niesymetrycznie. Rapsodia spostrzegła, że patrzą prosto na nią.

W ciągu lat spędzonych w mieście nauczyła się przewidywać ludzkie reakcje, tak że rzadko przyłapywano ją na jawnym przypatrywaniu się komuś. Na szczęście błyskawicznie odzyskała rezon.

– Dokąd zmierzacie?

– Byle dalej od wyspy.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Chyba też rozdrażniliście kogoś ważnego.

Nagle chmura przesłoniła księżyc, ale jednocześnie płomienie buchnęły wyżej. W ich blasku zobaczyła spojrzenie człowieka w kapturze i wyobraziła sobie, że zamiast króliczego mięsa przeżuwa jej słowa. Od razu pożałowała, że nie przyjęła poczęstunku. Wszyscy zasługują na ostatni posiłek, przemknęło jej przez myśl.

Lecz jako prawdziwa Bajarka, usłyszała w trzasku płomieni i milczeniu towarzyszy podróży własną muzykę. Po czystości tonu, najlepszym kryterium prawdy, poznała, że słuch płata jej figle. Wtem zobaczyła, że zakapturzony mężczyzna wstaje, i zrozumiała, że jest za późno na ucieczkę. Jej powieki raptem zrobiły się ciężkie nie tylko z wyczerpania. Dym z pewnością zawierał hipnotyczne zioło, którego nie znała.

Człowiek w kapturze był zły, ale jej nie tknął. Porwał natomiast jej worek i zaczął w nim grzebać. Płaszcz mu dymił od skoku przez ognisko.

– Kim jesteś? – wyszczał.

– Hej, odłóż to!

Próbowała wstać, ale tylko zakręciło się jej w głowie.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu, panienko – przemówił gigant, podnosząc się z ziemi. – Lepiej odpowiedz na pytanie.

– Już wam mówiłam. Mam na imię Rapsodia. Odłóż worek, panie, zanim coś zniszczysz.

– Nigdy niczego nie niszcę, chyba że mam taki zamiar. Spróbuję jeszcze raz. Kim jesteś?

– Wyraziłam się jasno, ale powtórzę jeszcze raz. Rapsodia. Czy nie tak powiedziałam? – Język jej się plątał. – Co dosypaliście do ognia?

– Zaraz wrzucę do niego twoje włosy. Skąd wiedziałaś, kim jestem?

Ścisnął jej ramię jak obcęgi. Przy każdym uderzeniu serca mięśnie kurczyły się boleśnie, choć nimi nie ruszała. Lecz nie zamierzała się ugiąć. Była twarda. Nieraz musiała znieść brutalną przemoc. Nauczyła się również, że ukrywanie bólu i strachu pomaga przeżyć.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie wiem, kim jesteś. Puść mnie.

– Podałaś strażnikom moje imię.

Palce jej zdrętwiały, ale nie próbowała się wyrwać. „Zdążyliście, panowie, w samą porę, żeby poznać mojego brata. Oto... Achmed... Wąż”. Ogarnęło ją zakłopotanie.

– Potrzebowałam sojusznika, a wy akurat znaleźliście się pod ręką. To było pierwsze imię, które przyszło mi do głowy. Przepraszam, jeśli kogoś uraziłam.

– Nie o to mu chodziło – wtrącił się Grunthor. – Skąd wiedziałaś, że jest Bratem?

– Czyim bratem?

Stalowe palce zaciskały się coraz mocniej, jakby chciały odciąć jej ramię. Rapsodia przez chwilę myślała, że zaraz zemdleje, ale mężczyzna w kapturze nagle ją puścił. Spojrzał przez ognisko na towarzysza i z powrotem na nią.

– Mam nadzieję, że tylko udajesz głupią.

– Obawiam się, że nie. Zupełnie nie wiem, o czym mówisz. Powinnam znać twoje imię?

– Nie.

– Więc może dasz mi spokój?

Grunthor pomógł jej wstać, a tymczasem potwór wrócił do przeszukiwania jej torby.

– Rzecz w tym, że ludzie, którzy ciebie szukają, są zupełnie niegroźni w porównaniu z tym, co nas ściga. Sprawa jest poważna, panienko. Mój przyjaciel pyta, skąd wiedziałaś, że jest Bratem.

– Przykro mi, ale nigdy nie słyszałam o Bracie, jeśli tak masz na imię. Chciałam jedynie obronić się przed strażnikami. Zapytałam was, czy mnie przyjmiecie do rodziny, żeby nie musieć kłamać. Po prostu niefortunny zbieg okoliczności. Albo mi uwierzcie, albo zabijcie, tylko nie niszczone moich instrumentów.

– Połamie wszystkie, jeśli nie wyznasz całej prawdy. Może miałaś dobrych rodziców, kiedyś byłaś dziwką, potem złożyłaś przysięgę, a teraz jesteś żoną jakiegoś świętego człowieka, który czerpie radość z twojej szczerości. Powiedz mi, kim naprawdę jesteś i skąd znasz moje imię.

– Najpierw wy mi powiedzcie, kim jesteście i co zamierzacie ze mną zrobić.

Dziwne oczy przeszły ją na wskroś.

– To jest Grunthor.

– Możesz mnie nazywać „Najwyższym Autorytetem, Którego Należy Słuchać Za Wszelką Cenę” – dodał gigant lekkim tonem. – Tak robią moi żołnierze.

Żart odniósł zamierzony skutek. Człowiek w kapturze trochę się odprężył.

– Do mnie możesz się zwracać Achmed, skoro tak postanowiłaś. Jeśli pytasz, kim jestem, i o swój los, trzeba to dopiero ustalić. Przy strażnikach wymówiłaś moje imię, a ci, którzy nas ścigają, potrafią zmusić umarłego do mówienia i z pewnością to zrobią, jeśli uznają, że w ten sposób mogą się czegoś dowiedzieć. Na co ulicznicy takie drogie instrumenty?

Rapsodia rozmasowała ramię. Ból powoli ustępował.

– Nie jestem ulicznicą, tylko studentką muzyki. Na razie uzyskałam stopień lirińskiej Pieśniarki, czyli Enwr w naszym języku. Moim celem było zostanie Bajarką, czyli Canwr. Cztery lata temu zaczęłam się uczyć u Heilesa, bardzo sławnego Bajarza z Easton, niestety, jakiś rok temu zniknął bez śladu, więc musiałam samodzielnie kontynuować studia. Ostatnie badania zakończyłam dzisiaj rano.

– Co potrafisz?

Rapsodia wzruszyła ramionami i przysunęła dłonie bliżej ognia.

– Dużo umiem. Głównym zajęciem Pieśniarza jest zgłębianie wiedzy. Składają się na nią stare opowieści, historie ras albo kultur. Czasami chodzi o konkretną dziedzinę, jak zielarstwo lub astronomia. Tworzy się również zbiory pieśni poświęconych ważnym wydarzeniom, które inaczej popadłyby w zapomnienie.

Achmed wpił w nią badawczy wzrok.

– A czasami jest to wiedza o pradawnych mocach.

Rapsodia nerwowo przełknęła ślinę. Przedmiotem jej studiów była bardziej religia niż nauka. Lirinowie czerpali mądrość, a dzięki niej moc, z wibracji otaczającego ich świata. Dla nich życie i Bóg oznaczały to samo, więc korzystanie z wiedzy stanowiło formę modlitwy, zetknięcie się z wiecznością. Na ten temat nie miała ochoty rozmawiać z obcym, zwłaszcza takim.

W tym momencie napotkała jego intensywny wzrok, który wręcz zmuszał do mówienia, domagał się odpowiedzi.

– Czasami tak, ale na ogół jest to dziedzina zastrzeżona dla Bajarzy i najbardziej doświadczonych Pieśniarzy. Lecz nawet Bajarze czerpią moc z pierwotnych żywiołów, takich jak ogień albo wiatr, lub pomniejszych, jak czas, tylko jeśli posiadają wielką znajomość rzeczy. To kolejny powód, dla którego od Bajarzy wymaga się mówienia prawdy. Gdyby któryś wprowadził do naszej wiedzy fałsz, podważyłby jej wiarygodność w oczach wszystkich.

Achmed schował harfę do plecaka i zaciągnął rzemyki.

– Zapytam jeszcze raz, Pieśniarko. Co potrafisz?

Gdy Rapsodia się zawahała, podniósł worek z ziemi i zaczął balansować nim nad ogniskiem, trzymając na jednym palcu. Z tak subtelną groźbą nie zetknęła się jeszcze nigdy.

– Niewiele. Znam sporo historycznych ballad i eposów. Wiem, jakie zioła wrzucić do ognia, żeby hipnotyzować ludzi, ale oczywiście ta umiejętność wam nie zaimponuje. Potrafię sprowadzać sen albo go przedłużać, co jest sztuką bardzo użyteczną dla rodziców małych dzieci. Potrafię uśmierzać ból ciała i serca, leczyć drobne rany, pocieszać umierających, czynić ich odejście łatwiejszym. Czasami widzę, jak ich dusze zmierzają ku światłu. Umiem odtworzyć historię z kilku faktów i reakcji słuchaczy. Kiedy mówię absolutną prawdę, udaje mi się zmienić rzeczywistość.

Skinieniem głowy wskazała worek. Gdy Achmed go oddał, sięgnęła do środka i po chwili wyjęła zwiędły kwiat. Delikatnie, żeby nie zgnieść płatków, położyła go na otwartej dłoni i wymówiła nazwę, tak jak mogła brzmieć w parny letni dzień jego chwały.

W miarę, jak szeptała, płatki z wolna ożywały. Wkrótce całkiem się rozwinęły. Grunthor z niedowierzaniem dotknął ich szponiastym palcem. Kwiat drgnął lekko, jak wtedy, gdy był świeży. Kiedy Rapsodia umilkła, życie natychmiast z niego wyparowało.

– Teoretycznie mogłabym również zabić całe pole kwiatów, powtarzając imię ich śmierci, oczywiście, gdybym je znała. Sądzę więc, że dzisiejsze zdarzenia da się wytłumaczyć w następujący sposób: nieoczekiwanie wpadliśmy na siebie i przypadkiem wymówiłam twoje prawdziwe imię. Chwilę później je zmieniłam i teraz jesteś Achmedem Wężem. Pokornie przepraszam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że już to umiem robić. Z tobą ta sztuka wyszła mi po raz pierwszy.

– Co za ironia losu! – rzucił szyderczo mężczyzna. – Ciekawe, ilu ludzi już to słyszało.

– Tylko jeden – odparła bez śladu urazy w głosie. – Już mi się znudziło powtarzanie, że nigdy nie kłamie. W każdym razie świadomie.

– Wszyscy kłamią, nie bądź naiwna. Zastanawiam się, czy swoją sztuczką przyspieszyłaś nasz koniec, czy zmyliłaś trop.

– Może przynajmniej mi powiecie, przed kim uciekacie? Ja wam wyznałam, co zrobiłam i kto jest moim prześladowcą. Wywieźliście mnie gdzieś na pustkowie, nie wiem, kim jesteście ani dokąd zmierzacie. Chcę się zorientować, czy nie lepiej wrócić do Easton.

– Zakładasz, że masz wybór.

Achmed odwrócił się do niej plecami i zaczął cicho rozmawiać z towarzyszem. Tymczasem Rapsodia otrząsnęła się z oszołomienia i z powrotem ułożyła swoje rzeczy w worku, jednocześnie rozmyślając o ucieczce. Gdy akurat się zastanawiała, jak znaleźć drogę do miejsca, gdzie byłaby bezpieczna, podszedł do niej Grunthor. Rozejrzała się szybko, ale nigdzie nie dostrzegła Węża.

– Powinnaś pójść z nami, panienko.

– Dlaczego? Dokąd?

– Powrót do Easton to śmierć. Jeśli nie Zmaza Morowa, znajdą cię nasi prześladowcy. Wydostaną z ciebie wszystko, co wiesz, chyba że umrzesz wcześniej.

– Udam się do innego miasta. Jest wiele miejsc, w których można się ukryć. Poradzę sobie sama, dziękuję.

– Twój wybór, złotko, ale lepiej chodź z nami.

– Gdzie się podział tamten?

– Pytasz o Achmeda? Poszedł sprawdzić, czy Michael już trafił na nasz ślad.

Oczy Rapsodii rozszerzyły się z przerażenia.

– Michael jedzie za nami?

– Niewykluczone. Trudno powiedzieć. Kiedy wyruszaliśmy, obozował przy północno-zachodnim murze, więc prawdopodobnie jest jeszcze daleko, chyba że bardzo mu zależy na znalezieniu ciebie. Do nas nic nie ma.

Rapsodia obejrzała się z niepokojem.

– Dokąd zmierzacie?

– Jeśli chcesz, możesz się z nami zabrać aż do lasu.

– Do lirińskiego lasu? Do Zaczarowanej Puszczy?

– Tak.

– Sądziłam, że zamierzacie opuścić wyspę.

Gigant potarł szczękę.

– Owszem, ale najpierw musimy dotrzeć do lasu.

– Czego tam szukacie?

– Właściwie wybraliśmy się na pielgrzymkę, panienko. Chcemy zobaczyć Wielkie Drzewo.

Na twarzy Rapsodii odmalował się głęboki szacunek.

– Sagię? Idziecie do Sagii?

– Zgadza się. Pokłonimy się ogromnemu Lirińskiemu Drzewu.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Nie zrobicie mu krzywdy, prawda? To byłby wielki błąd z waszej strony.

Grunthor zrobił obrażoną minę.

– Oczywiście, że nie. Zamierzamy się tam pomodlić.

Rapsodia złagodniała.

– W porządku. – Sięgnęła po plecak. – Idę z wami do lasu.

– Na długo starczy ci sił, panienko?

– Na długo.

– Obawiam się, że jesteś wyjątkiem. Podróżujemy przez cały dzień i zamierzamy tutaj obozować. Może się prześpisz? Obudzimy cię przed świtem.

– Będziemy bezpieczni? Chodzi mi o Michaela.

Przez twarz olbrzyma przemknął wyraz rozbawienia.

– Bardzo bezpieczni, kochanie. Nie martw się.

– Mogę trzymać wartę – zaproponowała dziewczyna. – Mam sztylet.

– Na pewno zasnę jak kamień, wiedząc, że nas chronisz – dobiegi z ciemności głos Achmeda. – Spróbuj nie zrobić krzywdy małym zwierzątkom, które nas zaatakują, chyba że będą jadalne.

U podnóży Wysokich Turni, w krypcie z obsydianu, ośrodka władzy ukrytym wewnątrz Iglicy, ludzki gospodarz F'dora otworzył zaczerwienione powieki.

Szczęknął łańcuch.

Tsoltan usiadł wolno na wypolerowanym katafalku, na którym zwykle spał. Przesunął dłońmi w ciemności, próbując namacać niewidzialne końce metafizycznych pęt, które utrzymywały w poddaństwie jego największą zdobycz. Nic, nawet zbłąkanej nitki dotychczasowej władzy absolutnej.

Smycz, na której trzymał Brata, wymknęła mu się z rak.

Gdy w demonie-kapłanie wezbrał gniew, powietrze wokół niego nagle zrobiło się rzadkie i suche. Niemal słychać było trzaski. Tsoltan wstał szybko i ruszył przez długie korytarze do Podziemnej Komnaty.

Za nim sypały się iskry, wypalały dziury w gobelinach, draperiach i szatach kilku pechowych kapłanów, którzy stanęli mu na drodze. Słudzy zaczęli łapczywie chwytać oddech w duszącym powietrzu i drżeć ze strachu przed wybuchem demonicznego gniewu.

Wściekły Tsoltan zszedł po stopniach z czerwono żyłkowanego marmuru do głównego ołtarza, na którym składano krwawe ofiary. Lity blok obsydianu, wydobyty w drugim wieku przez Naina z Gór Północnych, niegdyś był kamieniem węgielnym świątyni Boga Życia, zbudowanej wysiłkiem zjednoczonych ras.

Teraz spoczywał na szczycie ogromnych schodów w formie koncentrycznych marmurowych kręgów sięgających niewidocznego sklepienia Iglicy. Zbiór skórzanych pęt i metalowych naczyń stanowił pouczające świadectwo tego, jak zmieniają się czasy. Było to stosowne miejsce do przechowywania prawdziwego imienia Brata, Draka, którego z racji urodzenia łączyły więzy pokrewieństwa z ludem Serendair. W pewnych kręgach znano go jako Dziecko Krwi.

Duże piecyki używane podczas ceremonii, do tej pory zimne i ciche, obudziły się do życia i ryknęły czarnymi płomieniami, kiedy Tsoltan je mijał. Na odległych ścianach zatańczyły ponure cienie, wijąc się i skręcając w oczekiwaniu.

Dotarwszy do stołu ofiarnego, kapłan wyciągnął drżącą rękę i delikatnie pogładził symbole nienawiści wyryte na gładkiej powierzchni kamienia, przesunął palcami po żłobieniach wypełnionych resztkami czarnej zaskorupiałej cieczy i prowadzących w dół do mosiężnego zbiornika.

Przez te metalowe usta karmił zniewoloną duszę zabójcy krwią jego własnej rasy, a kiedy Drakowie zostali wytępieni, krwią innych niewinnych istot, utrzymując przy życiu najcenniejszego jeńca.

Mistrzowskim posunięciem zapewnił sobie usługi Brata, choć nie żywił złudzeń co do jego lojalności. Zabójca był znany z tego, że przyjmuje wyłącznie zlecenia, które mu odpowiadają. Zdobyć jego prawdziwego imienia wszystko zmieniło. Uczyniło z Draka najskuteczniejszą broń na ostatnich etapach wprowadzania w życie wielkiego planu.

F'dor zacisnął dłonie na brzegach ołtarza i wymamrotał słowa Otwarcia w pradawnym języku sprzed powstania świata, tajne zaklęcia mocy bezpośrednio związanej z narodzinami ognia, żywiołu, od którego wywodziła się jego rasa. Czarny kamień zamigotał, rozjarzył się na czerwono. Potem w obsydianie zapłonął ogień, roztopiając szkliwo. Ołtarz rozpadł się z hukem na dwie części.

Tsoltan wsunął dłoń przez warstwy płynnej skały, aż sięgnął do relikwiarza, w którym zamknął imię Brata. Gdy je tu przyniósł i umieścił pod ołtarzem, odczuł wyjątkową satysfakcję, przynajmniej w tym życiu.

Niezapomniana chwila była zwieńczeniem długotrwałych poszukiwań i ogromnych wydatków, najpierw żeby zdobyć imię, a potem je uwięzić. W końcu, po miesiącach wymyślnych tortur graniczących ze sztuką, przekonał największego Bajarza Serendair, żeby nutami zapisał imię na starożytnym jedwabiu. Tsoltan osobiście wyjął zwój z martwej ręki i z troską otoczył go wirującą kulą ochronnej mocy, zrodzoną z ognia i podtrzymywaną przez ruch obrotowy samej Ziemi. Była to rzecz niezwyklej urody i umieszczenie jej wewnątrz ołtarza napełniło Tsoltana dziwnym smutkiem, który niemal wyparł radość ze zdobycia imienia.

Teraz ogarnęła go prawdziwa rozpacz. W relikwiarzu nie było świetlistej kuli, nie było zwoju Bajarza, tylko zwęglony jedwab. Tsoltan rozwinął go gorączkowo, lecz nie znalazł śladu zapisu nutowego.

Ryk wściekłości wypełnił ogromną pieczarę, odbił się echem od szklistych ścian. Słudzy Tsoltana z lękiem czekali na wezwanie, ale nie usłyszeli więcej żadnego dźwięku. Chwilę później ich strach zmienił się w śmiertelne przerażenie. Otoczyła ich namacalna ciemność, zimna jak mgła.

Tsoltan wzywał Szing.

Rapsodię akurat dręczył senny koszmar, gdy wielka dłoń zakryła jej usta. Dziewczyna raptownie otworzyła oczy. Serce próbowało wyrwać się jej z piersi, ale, podobnie jak krzyk stłumiony przez Grunthora, zostało na swoim miejscu i tylko w panice objało się o zębra.

– Ciii, panienko – szepnął jej ktoś łagodnie do ucha. – Zostań tu, leż spokojnie i nie rób hałasu, dobrze?

Gdy lekko skinęła głową, Grunthor cofnął rękę i odsunął się. Pod plecami wyczuła drżenie ziemi. Po chwili pośród zawodzenia wiatru usłyszała daleki tętent wielu galopujących koni. Przewróciła się na bok, uważając, żeby nie wystawić głowy ponad trawiasty pagórek. Po ognisku nie zostało śladu.

Grunthor ukląkł obok niej. Z radością na twarzy zaczął wyciągać z butów i zdejmować z pleców broń. W blasku księżyca sprawdził każdą sztukę, nucąc cicho pod nosem. Potem zniknął nagle i bezszelestnie.

– Niezbyt dokładnie wypełniasz polecenia, Rapsodio – odezwał się tuż nad nią cichy głos. – Grunthor zakazał ci ruszać się z miejsca. Wyłącznie dla twojego dobra.

Stłumiła okrzyk i szybko przywarła do ziemi. Poczowała na twarzy lekki ruch powietrza. Ciemność zafalowała i obok niej ukląkł Achmed.

– Oczywiście, jeśli chcesz, możesz się pokazać. Głupcy, którzy właśnie nadjeżdżają, to przecież twoi znajomi.

– Michael? – zapytała drżącym szeptem.

Spod kaptura łypnęły na nią oczy nie od pary. Po dłuższej chwili skierowały się w stronę, gdzie zniknął Grunthor. W tym momencie Rapsodia usłyszała cichy szum podobny do bzyczenia owadów. Achmed wrócił do niej spojrzeniem.

– To ludzie Michaela – powiedział lekko ochrypłym głosem. – Jego z nimi nie ma.

– Skąd wiesz?

Nad nią rozległ się cichy pomruk irytacji.

– Dlaczego nie wstaniesz, nie pomachasz rękami, nie zawołasz do niego? Jestem pewien, że ucieszysz się na twój widok, jeśli tam jest.

– Przepraszam – szepnęła.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zerknęła w bok. Strach chwycił ją za gardło.

– Achmed?

Ciepły nocny wiatr rozwiął luźne pasma złotych włosów, dmuchnął w twarz suchymi żdźbłami trawy. Dudnienie było coraz głośniejsze. Rapsodia zacisnęła powieki, ale nie

wytrzymała długo. Otworzyła oczy i spojrzała w niebo, szukając gwiazd. Pozostało jej tylko czekać i nasłuchiwać.

Karvolt, zastępca Michaela, ściągnął wodze i dał swoim ludziom znak, żeby zachowali czujność. Wysoka trawa, spalona przez słońce, falowała łagodnie na nocnym wietrze. Poza nią w promieniu wielu mil nie było nic, odkąd opuścili Easton. Wyczuwał jednak niepokój i opór swojego wałacha, które zwykle sygnalizowały niebezpieczeństwo, choć równie dobrze mogły być rezultatem zmęczenia. Jechali bardzo szybko, ponaglani wspomnieniem gwałtownej reakcji Michaela na odkrycie, że zdobycz uciekła. Dziewiętnastu członków oddziału pościgowego zwolniło dopiero teraz.

Dowódca po raz kolejny przeszukał wzrokiem Szerokie Łąki. Słyszał tylko parskanie zgrzanych koni, ciężkie oddechy i szepty podwładnych. Wiatr przecesał mu włosy, musnął kark, ale zamiast osuszyć pot, przejął dreszczem do szpiku kości. Karvolt aż się wzdrygnął. Nie dostrzegł niczego oprócz rozkołysanych traw i cieni ścielących się w zagłębieniach terenu.

Wsunął palec za kołnierz zbroi i dotknął grubej pręgi, która zrobiła mu się na szyi. Rzucił wzrokiem na swoich ludzi. Niektórzy kładli się na końskich grzbietach, inni odkręcali bukłaki i piłłapczywie. Poklepał wałacha po karku i wyczuł jego drzenie. Rozejrzał się znowu. Nic.

– Uwaga – powiedział cicho. Jak zwykle każde słowo kosztowało go wiele wysiłku. – Mój koń się boi. Wasze też?

Zamiast odpowiedzi do jego uszu dobiegł dziki okrzyk wojenny, pełen gniewu i jednocześnie radości. W migotliwym blasku letniego księżyca pojawiły się obnażone kły, pazury, skórzana zbroja. Potwór wyprostował się na pełną wysokość, odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, jeszcze straszniejszym niż niedawny wrzask bojowy. W jego rękach lśniły dwa ostrza.

Konie zarżały w panice i stanęły dęba, zrzucając jeźdźców. Zaczęły ich tratować, kręcić się w kółko jak oszalałe, tarzać po ziemi. Po chwili popędziły na oślep przez łąki, na zachód. Jeden pociągnął za sobą nieszczęśnika, który nie zdążył wyplątać nóg ze strzemion. Jego krzyki szybko ucichły.

– Zdaje się, że usłyszałem jednogłośnie „tak”.

Karvolt dźwignął się na kolana, dysząc ciężko. Ku niemu zbliżał się człowiek odziany w płaszcz z dużym kapturem. Nadchodził jak czarna śmierć, bez pośpiechu. Karvolt zaczął się cofać, gramoląc przez ciało jednego ze swoich żołnierzy. Spoconą drżącą ręką namacał broń.

Zerknął na siodło i juki. Niestety, leżały o kilka kroków za daleko, żeby mogły posłużyć za osłonę. Z lewej strony dobiegał przyprawiający o mdłości szczeł metalu i głuchy odgłos spadających głów, które ścinał gigant, śmiejąc się jak szaleniec.

Dowódca cofał się dalej, usiłując odzyskać zimną krew. Wokół niego ludzie, którzy ulegli panice, zrywali się do ucieczki, ale zaraz padali na ziemię skoszeni przez olbrzyma. Takich

scen nie widział w najgorszych koszmarach ani w czasie żadnej z krwawych kampanii, które prowadził z Wiatrem Śmierci. Wstał chwiejnie i dobył miecza.

Niektórzy żołnierze, do tej pory znieruchomiali z przerażenia, też sięgnęli po broń. Karvolt kuśtykał wolno do tyłu, nie spuszcżając z oczu postaci w rozwianym płaszczu.

Człowiek ten szedł przez pole lekkim krokiem, zatrzymując się przy rannych. Wytrącał im miecze z rąk, odpierał desperackie ataki z cierpliwością i wprawą zawodowca. Choć Karvolt wiedział, że jego ludzie dają z siebie wszystko, wyglądało tak, jakby dobrowolnie oddawali broń. Czarny cień poruszał się szybko, tu podrzynając gardło, tam wsadzając sztylet w ucho, niemal dobrotliwie, z szacunkiem.

Niczym anioł zagłady dotarł do dwóch ostatnich żołnierzy leżących na ziemi. Jednemu podał rękę jak dawno niewidzianemu krewniakowi, odebrał mu nóż i natychmiast zwrócił, prawie niedostrzegalnym ruchem wbijając go biedakowi pod pachę. Drugiemu łagodnie przytrzymał dłonią szyję i błyskawicznie pozbawił go życia. Nie przystawał ani na chwilę, ale też się nie spieszył. Michael nazywał siebie Wiatrem Śmierci, lecz na to miano bardziej zasługiwał tajemniczy zabójca.

Gdy Karvolt uświadomił sobie, jak szybko zginie, doznał ulgi. Czuł, że skórę wokół oczu i na czole ma napiętą, wiedział, że jego twarz stężała w wyrazie obłądnego przerażenia, który tak często widywał na twarzach swoich ofiar, ale wcale nie doświadczał aż tak wielkiego strachu.

Kiedy groźna postać ruszyła w jego stronę, nie mógł zrozumieć, jakim cudem jego żołnierze zdobyli się na walkę do samego końca. On w obliczu śmierci zapomniał wszystkiego, czego się nauczył przez lata uprawiania wojennego rzemiosła.

Wykrzesawszy z siebie resztki woli, uniósł triatinę, która należała kiedyś do jego ojca. Był pewien, że nieznamy patrzy na niego ze współczuciem, choć nie widział jego twarzy pod kapturem. Szczupła dłoń, twarda jak żelazo, zacisnęła się na jego nadgarstku. Głos, który przemówił mu do ucha, brzmiał uprzejmie, niemal dwornie.

– Pozwól.

Zabójca delikatnym skrętem wyjął mu broń z ręki, po czym wbił trójkątne ostrze w jego pierś.

W tej ostatniej chwili Karvolta ogarnęło zdumienie, że nie czuje bólu ani szarpnięcia, kiedy stojący nad nim cień wyciągnął miecz z rany. Zadanie ułatwił mu ciężar bezwładnego ciała osuwającego się na trawę. Nim dowódca oddziału pogrążył się w nieprzeniknionej ciemności, usłyszał strzęp rozmowy swojego kata z krwiożerczym gigantem.

– Nie żałowałaś czasu, żeby do niego dotrzeć, panie.

– Miał ciekawą broń. Dołącz ją do naszej kolekcji.

Gunthor znalazł Rapsodię w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Siedziała bez ruchu, wpatrzona przed siebie. Odsunął nogą ciało jednego z żołnierzy Michaela, który upadł tuż obok niej. Nachylił się i delikatnie podniósł ją z ziemi.

– Wszystko w porządku, panienko?

Dziewczyna powiodła pustym wzrokiem po poboju i lekko skinęła głową. Roztarta ramiona, jakby była przemarznięta, ale poza tym nie zdradzała żadnych emocji. Ruszyła przed siebie.

– Prawdziwy hołd dla twojej urody – odezwał się Achmed z posępnym uśmiechem. – Zginęli z tęsknoty, żeby znowu cię ujrzeć.

Rapsodia zatrzymała się przy trupie Karvolta. Przewróciła go na bok, żeby zobaczyć twarz. Wstrząsnął nią dreszcz. Wymierzyła kopniak w głowę martwego dowódcy, a potem kolejne, z coraz większą nienawiścią. Oddychała płytko i mamrotała przekleństwa. Grunthor był zachwycony.

– Nieźle jak na małą ślicznotkę! Mogłaby nas paru nauczyć, nie sądzisz, panie? Chyba znała tego człowieka.

Achmed uśmiechnął się.

– Skąd taki domysł? Dosyp ziół do ognia i dopiero wtedy spróbuj ją odciągnąć. No, musimy ruszać.

Dym wisiał nisko w ciężkim powietrzu, mieszając się z poranną mgłą. Dziewczyna jeszcze nie wróciła. Kilka minut wcześniej udała się na drugą stronę dolinki. Nic jednak nie wskazywało na to, że szykuje się do ucieczki. Achmed czuł powolne i równomierne bicie jej serca. Zamieszał gęsty gulasz perkoczący w kociołku nad ogniskiem.

Choć do tej pory też nie była rozmowna, od poprzedniego wieczora nie odezwała się słowem. W czasie marszu Grunthor kilkakrotnie pytał ją, czy dobrze się czuje, a ona za każdym razem kiwała głową, patrząc prosto przed siebie.

W przeciwieństwie do towarzysza, który uważał, że dziewczyna jest w szoku, on skłaniał się do przypuszczenia, że Rapsodia myślami przemierza stare szlaki, dużo trudniejsze niż kamieniste pole, przez które szli. Zresztą nie obchodziły go jej nastroje.

Już podczas pierwszej rozmowy z Grunthorem po ucieczce z Easton oświadczył, że powinni zabrać ją ze sobą. Z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. Wcale nie troszczył się o jej bezpieczeństwo. Doszedł do wniosku, że musi zachować ją przy życiu, póki nie odkryje, co naprawdę stało się z jego imieniem.

Niewidzialna obręcz poddaństwa, którą nosił na szyi, odkąd F'dor zdobył nad nim władzę, zniknęła bez śladu. Uwolnił się od niej w chwili, kiedy w mrocznym zaułku miasta Rapsodia przedstawiła go strażnikom. Co więcej, stał się innym człowiekiem. Ta lekkomyślna dziewczyna była obdarzona niebezpieczną mocą. Ogromną, skoro ujarzmiła wolę F'dora. Potężna i głupia. Wspaniale! Achmed prychnął z irytacją.

Na szczęście zmiana imienia nie odebrała mu wrodzonego daru. Teraz też, tak samo jak od dnia narodzin, w snach i na jawie słyszał bicie milionów serc.

Lecz jeszcze nie znał siebie nowego. Musi zatrzymać dziewczynę przynajmniej do końca podróży, by się upewnić, że niczego nie przeoczył. Przed zniewoleniem był panem nie tylko swojego losu, ale decydował również o życiu innych ludzi. Nie wiedział, czy działanie Bajarki przywróciło mu dawne możliwości. Zamiast wdzięczności odczuwał złość.

Poranny wiatr przyniósł cichy dźwięk, który uspokoił pulsowanie krwi, oczyścił umysł. Dziewczyna śpiewała. Żółty promień słońca przebił się przez mgłę zmieszaną z dymem, rozjaśniając szarość poranka. Achmed zerknął na Grunthora, który właśnie otworzył oczy i jak zahipnotyzowany spozjrzał ku miejscu, z którego dobiegał głos Rapsodii.

– Co to? – zapytał gigant, potrząsając głową, jakby chciał się rozbudzić.

Jego towarzysz zamieszał gulasz.

– Modły.

– Co?

Achmed zabębnił łyżką w kociołek.

– Ona pochodzi z Liringlasów, którzy pieśnią czczą wschody i zachody słońca i gwiazd.

Olbrzym uśmiechnął się szeroko.

– Urocze. A skąd to wiesz?

Achmed wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Drakowie i Lirinowie mieli wspólnych przodków, ale uznał, że nie warto wspominać o tym drobiazgu.

Muzyka ucichła, a jego opuściło dobre samopoczucie, które chwilę wcześniej mu przyniosła. Kiedy Rapsodia wróciła do obozowiska, na ukrytej pod kapturem twarzy Achmeda znowu gościł mars. Natomiast posępna mina, która jeszcze niedawno szpeciła dziewczynę, zniknęła bez śladu. Zastąpił ją wyraz spokoju, niemal radości.

– Dzień dobry – powiedziała Rapsodia z uśmiechem. Gigant wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Dobry, panienko. Lepiej się czujesz?

– Tak, dziękuję. Dzień dobry, Achmedzie. – Nie czekając na odpowiedź, usiadła przy swoim worku i zaczęła pakować rzeczy. – Dziękuję za... pomoc zeszłej nocy.

Słońce wyszło zza horyzontu, oblewając świat różowozłotym światłem, dodając blasku włosom dziewczyny. Rapsodia wyjęła z kieszeni suchy chleb. Strząsnęła okruszki z brązowych wełnianych spodni i białej koszuli, pobrudzonej trawą i ziemią. Chciała poczęstować kromką towarzyszy podróży, ale odmówili, więc zaczęła jeść sama.

– Pospiesz się – powiedział Achmed, nakładając gulasz do dwóch poobijanych cynowych kubków. – Dzisiaj przed nami kawał drogi.

Rapsodia przestała żuć twardą skórkę.

– Przed nami? Dzisiaj? Nie rozumiem. Przecież... ludzie Michaela nie żyją.

Drak podał kubek Grunthorowi.

– Czy wszyscy Bajarze lubią pochopnie wyciągać wnioski? Michael ma wielu żołnierzy. Naprawdę myślisz, że wysłał tylko jeden oddział?

Zignorował ostre spojrzenie Grunthora i uniósł kubek do ust. Rapsodia zbladła, ale po chwili odzyskała spokój.

– Jak daleko jest do Wielkiego Drzewa?

– Niecałe dwa tygodnie marszu, jeśli pogoda się utrzyma.

Dziewczyna skinęła głową.

– Nadal chcecie, żebym z wami poszła?

Achmed zgarnął z dna naczynia resztkę gulaszu i oblizał palec. Następnie wyczyścił kubek trawą i schował go do worka. Zarzucił ekwipunek i broń na plecy, pod czarny płaszcz. Pytanie przez cały czas wisiało w powietrzu.

– Zastanowię się, pod warunkiem że dotrzymasz nam kroku i będziesz trzymać buzię na kłódkę.

Przez dwanaście koszmarnych dni wędrowali w morderczym tempie. Zatrzymywali się rzadko i na krótko. Pостоje nie zależały od pory dnia czy nocy, lecz od decyzji Achmeda, który wyprawiał się na rekonesanse. Rapsodia odnosiła wrażenie, że on z daleka wyczuwa obecność żywych istot, ludzi albo zwierząt.

Bywało, że ukrywali się godzinami, czekając, aż minie ich grupa podróżnych. Miała wtedy okazję się zdrzemnąć i skwapliwie z niej korzystała, bo nigdy nie wiedziała, kiedy trafi się następna. Zdarzało się też, że jeśli droga była wolna, szli przez cały dzień. Jakoś dotrzymywała kroku towarzyszom, przyzwyczajonym do forsownych marszów. Zmęczenie uświadamiała sobie dopiero wtedy, gdy stwierdzała, że słońce znowu jest w tym samym miejscu co w czasie ostatniego odpoczynku. Po tygodniu bez trudu dostosowywała się do narzuconego tempa.

Wreszcie, koło południa dwunastego dnia, Achmed się zatrzymał. Zamienili z gigantem kilka słów w nieznanym Rapsodii języku, po czym Bolg odwrócił się do niej i spytał:

– No, panienko, jesteś gotowa na dziesięciomilowy bieg?

– Bieg? Nie sądzę, żebym dała radę po nieprzespanej nocy.

– Tego się obawiałem. Wskakuj mi na barana.

Przykucnął i klepnął się w ramię. Rapsodia z trudem zbierała myśli. Gdy wreszcie zrozumiała, że olbrzym chce ją ponieść, wzdrygnęła się na widok licznych rękojeści sterczących pod różnymi kątami zza jego pleców. Równie dobrze mogłaby położyć się na łożu nabijanym gwoździami.

– Nie. Przykro mi, ale nie mogę.

Achmed spojrzał na nią z irytacją.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Mamy cię tu zostawić czy przyjmiesz pomoc Grunthora? Wybieraj. Las już widać. Tych, którzy go bronią, jeszcze nie, ale na pewno nie będą tolerować osób pętających się blisko ich zewnętrznych posterunków.

Rapsodia powiodła wzrokiem po okolicy. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, i nie dostrzegła żadnego lasu. Po raz kolejny zaczęła rozważać pomysł, czy nie zostawić niebezpiecznych towarzyszy, ale tak jak poprzednio doszła do wniosku, że przecież ci dwaj ją uratowali, na swój sposób otoczyli opieką. Zgodziła się z ociąganiem.

– Dobrze, ale najpierw pójde na własnych nogach, jak długo dam radę, zgoda?

– Jak chcesz, panienko. Tylko mi powiedz, kiedy się zmęczysz.

Rapsodia przewróciła oczami.

– Jestem zmęczona od wielu dni, ale przyznam się, gdy już nie będę mogła dalej iść.

– W porządku.

Otoczony czerwonawą mgiełką księżyc wisiał nisko. Milczący obserwator wydarzeń.

Wezwanie F'dora, które dobiegło z podziemnej świątyni, wydostało się na świat przez kamienną wieżę rysującą się na tle czarnego nieba. Strzelisty obelisk był cudem architektury, wspólnym dziełem człowieka i natury. Tysiące ton bazaltu tworzyło podstawę obsydianowej kolumny wieńczącej ogromną fortecę ukrytą milę pod ziemią, w Wysokich Turniach, niedostępnym paśmie górskim na północy Serendair. Czarny monolit przewiercał pędzące chmury, sterczał butnie ku niebu, zwężając się ku czubkowi wyrzeźbionemu w kształt oka. Gdy rozbrzmiał śpiew, opary mgły przesłaniającej Iglicę rozwiały się natychmiast. Oko przygotowywało się do poszukiwań.

Prastare słowa Wezwania, odśpiewane przez kapłana przy ołtarzu ofiarnym, pochodziły sprzed powstania świata, kiedy dopiero rodziły się żywioły. Zakłęcie odwoływało się do najstarszej najbardziej podstawowej ze wszystkich więzi: między ogniem i rasą, która od niego się wywodziła F'dorami.

Jej nieliczni pozostali przy życiu przedstawiciele, perwersyjne, zazdrosne i chciwe istoty o zdradliwej naturze, dążyli tylko do tego, by tak jak żywioł pochłonąć wszystko, co je otacza. I podobnie jak ogień nie mieli cielesnej postaci, lecz wybierali sobie gospodarza i żyli jego kosztem.

Demon-duch, który zadomowił się w Tsoltanie, najwyższym kapłanie Bogini Pustki, powoli i cierpliwie przejął nad nim władzę. Od chwili narodzin w ognistym łonie ziemi długo obserwował zewnętrzny świat, starannie planował kolejne kroki, wynajdywał słabych i mało ważnych gospodarzy, żeby zyskać dla siebie czas na nabranie mocy.

Nawet kiedy po ich śmierci lub stoczonych walce przechodził do coraz potężniejszych żywicieli, odwlekał moment ujawnienia się, by mieć pewność, że nic mu nie przeszkodzi w osiągnięciu najważniejszego celu. Wybór Tsoltana okazał się genialnym posunięciem, w dodatku kapłan uległ chętnie. Dwoistość natury uczyniła F'dora podwójnie silnym, dzięki

złagodzeniu wrodzonej zachłanności dużą dozą rozwagi i opanowania. Żyjąc raz w świecie ludzi, raz w mrocznej krainie czarnego ognia, bywał na przemian człowiekiem i demonem.

Lecz żaden z nich nie miał mocy niezbędnej, żeby ujarzmić Brata.

Z ziemi wokół Iglicy zaczęła parować rosa. W nagrzanym powietrzu letniej nocy ciepłe opary skręcały się i tańczyły, powoli tworząc chmury. W blasku księżyca obłoczki wydłużały się coraz bardziej, stopniowo przybierając ludzkie kształty.

Pod obeliskiem utworzyła się najpierw jedna, potem kilka, a na koniec mnóstwo świetlistych postaci, odzianych jak Brat, lecz z ciemną pustką wewnątrz kaptura, gdzie powinna znajdować się twarz. Istoty w szatach utkanych z mgły były początkowo chude jak szkielety, ale w miarę jak rozbrzmiewał śpiew, nabierały ciała. Wyrastały im ogniste pazury, świadczące o tym, że w ich powstawaniu brała udział demoniczna moc. Tysiące oczu F'dora. Szing.

Pod ziemią, w ogromnej pieczarze, Tsoltan obserwował je przez oko Iglicy, drżąc z napięcia i radości. Postacie wisiały nieruchomo w powietrzu, wchłaniając coraz więcej ciepła, które przekazywał im pan. W miarę, jak on słabł, robiły się coraz silniejsze.

W pustych kapturach od czasu do czasu pojawiał się błysk, który wyglądał jak refleks księżyca, ale był to odbłask soczewki wielkiego oka, utworzonego przez postacie. Szing czekał, raz w świecie żywych ludzi, raz w królestwie duchów, przemieszczając się między nimi wraz ze swoim panem. Wysłany na poszukiwanie zdobyczy, stawał się nieuchwytny jak wiatr, bezlitosny jak czas i nieubłagany jak śmierć.

Tsoltan chwycił się ołtarza. Sił ubywało mu z każdą chwilą. Za chwilę tysiąc oczu zacznie wytrwale tropić ofiarę, póki jej nie dopadnie.

Najgorsze, że Szing miał zabrać całą jego siłę życiową. Demon-kapłan zadrżał, ogarnięty słabością. Gdy ugięło się pod nim najpierw jedno, potem drugie kolano, zadał sobie pytanie, czy Brat doceni jego trud i poświęcenie. Uderzył głową w lśniąca obsydianową posadzkę. Krew z rozbitego czoła splamiła gładki kamień.

– Znajdźcie Brata – wyszeptał.

Tsoltan, najwyższy kapłan, człowiek i symbiotyczny demon-duch, przetoczył się na plecy i wlepił pusty wzrok w ciemność. Milę wyżej tysiąc Szingów wyruszyło z wiatrem, pod niemrugającym spojrzeniem obsydianowego oka.

Achmed z rzadka uznawał, że można bezpiecznie rozbić obóz, a wtedy Rapsodia kładła się jak najbliżej ogniska mimo letnich upałów, które odczuwało się nawet w nocy. Trzaskanie płomieni i zapach dymu uspokajały ją i dodawały otuchy, przypominając dom, którego od dawna nie widziała.

Głosy w jej snach już nie powtarzały szyderczych słów Michaela i jemu podobnych, lecz pochodziły z odleglejszej przeszłości, z dobrych czasów i miłych chwil spędzanych przy innym ogniu. W czujnym śnie pod gołym niebem wspomnienia przynosiły duszy ukojenie zamiast strachu.

– Mamo, opowiedz mi o wielkim lesie.

– Najpierw wejdź do wanny. Przytrzymaj się mojej ręki.

Mydlane bańki lśniły w blasku płomieni, wirowały przez chwile w powietrzu i znikwały przed uśmiechniętą twarzą matki.

Ciepła woda i żar buchający od pieca.

– Co tym razem wrzuciłaś do kąpieli?

– Usiądź. Lawendę, werbenę, płatki róż, śniegową paproć...

– Śniegową paproć? Przecież to się je!

– Właśnie. A dlaczego woda jest taka gorąca, jak sądzisz? Wcale cię nie kąpię, tylko gotuję zupę.

– Mamo, przestań się ze mną drażnić. Proszę, opowiedz mi o lesie. Czy mieszkają tam Lirinowie tacy jak my?

Matka usiadła na piętach i oparła łokcie o brzeg wanny. Jej twarz zachowała pogodny wyraz, lecz oczy zaszyły mgłą jak zawsze, kiedy wspominała przeszłość.

– Pod pewnymi względami tak. Są do nas podobni bardziej niż ludzie, ale mają inne kolory.

– Jakie?

– Bardziej pasujące do lasu. Nasze odpowiadają barwom otwartych przestrzeni i pól, które są domem Liringlasów. – Delikatnie ściągnęła jej wstążkę. – Gdybyś mieszkała w lesie, te piękne złote włosy, które tak lubi tatuś, byłyby prawdopodobnie brązowe albo rudawe, skóra ciemniejsza, oczy piwne zamiast zielonych. Dzięki temu stapałabyś się z otoczeniem, mogła niezauważona chodzić po puszczy.

Kaskada ciepłej wody. Szczypanie w oczy.

– Mamo!

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że nagle się odwrócisz. Chociaż przez chwilę siedź spokojnie.

– Czy u leśnych Lirinów też są małe dziewczynki?

– Oczywiście. I mali chłopcy, kobiety, mężczyźni. Również domy i miasta, tyle że inne niż nasze.

– Zobaczę je kiedyś? Czy w Roku Rozkwitania pójdę do lasu tak jak ty?

Muśnięcie dłonią po policzku, smutek w oczach matki.

– Nie wiem. Mieszkamy wśród ludzi, dziecko. Tu jest nasz dom. Twój ojciec może nie zechceć pielęgnować zwyczajów mojego rodu, zwłaszcza gdybyś musiała wyjechać na tak długo. Trudno go winić. Co byśmy robili bez naszej dziewczynki?

– Byłabym bezpieczna wśród Lirinów, mamó, prawda? Nie nienawidziliby mnie za to, że jestem w połowie człowiekiem?

Matka odwróciła wzrok.

– Nikt nie będzie cię nienawidził. Nikt. Wstań, małeńka, i wyjdź ostrożnie. – Chłód powietrza, szorstki ręcznik energicznie trący mokrą skórę. Ciepło koszuli nocnej i matczynych ramion. – Siądź mi na kolanach. Uczeszę cię.

– Opowiedz mi o lesie, proszę.

Głębokie, melodyjne westchnienie.

– Jest rozległy, jak sięgnąć wzrokiem, większy, niż możesz sobie wyobrazić, pełen zapachów i życia. Tylu kolorów nie widziałas nawet w snach. We wszystkich żyjących tam istotach można usłyszeć jego pieśń. Ludzie nazywają go Zaczarowaną Puszcza, ale Lirinowie znają jego prawdziwą nazwę: Yliessan, miejsce święte. Gdybyś kiedyś się zgubiła, las cię przyjmie, bo masz w sobie lirińską krew.

Trzask płomieni, migotliwy blask na włosach matki.

– Opowiedz mi o strumieniu Windershins, o Sadzawce Pragnień, o Szarej Skale. I o Wielkim Drzewie. Mamó, opowiedz mi o Sagii.

– Znasz te opowieści lepiej ode mnie.

– Proszę!

Miękka dłoń głaszcząca po włosach, ostre zęby grzebienia.

– Dobrze, opowiem ci o Sagii, a potem odśpiewamy modlitwę. Wielkie Drzewo rośnie w sercu Yliessan. Jest tak wysokie, że ledwo widać dolne gałęzie. Nigdy nie zobaczysz wierzchołka, jeśli nie jesteś ptakiem, bo najwyższe konary sięgają nieba. Legendy mówią, że wyrosło w miejscu, gdzie zaczął się Czas, gdzie światło gwiazd po raz pierwszy dotknęło ziemi. Sagia jest bardzo stara i czerpie moc z samego Czasu. Nazywa się ją również Dębem o Głębokich Korzeniach, bo sięga nimi do innych miejsc na ziemi, gdzie zaczął się Czas. Główny korzeń biegnie wzdłuż Axis Mundi, osi świata, a boczne oplatają całą wyspę, wiążąc ją ze wszystkim, co rośnie. Wiadomo, że to moc Sagii chroni Yliessan, tworzy jego pieśń. A teraz chodźmy. Słońce już zachodzi.

Chłód wieczornego wiatru, ciemne smugi chmur na ostatnim skrawku bladoniebieskiego nieba tuż nad horyzontem. Blask pierwszej gwiazdy nad rozległymi polami i dolinami. Czysty głos matki, nieporadne próby dostosowania się do jej tonacji. Łza na policzku matki.

– Bardzo dobrze, maleńka. Szybko się uczysz. Wiesz, jak się nazywa tamta jasna gwiazda?

– Oczywiście, mamó. To Seren, od której bierze nazwę cała kraina.

Objęcia matki, ciepłe i silne.

– To również twoja gwiazda, dziecko. Urodziłaś się pod nią. Pamiętasz, jak się na nią mówi w naszym języku?

– Aria?

– Tak, doskonale. Nie zapomnij, że chociaż mieszkasz wśród ludzi, pochodzisz z dumnego, szlachetnego ludu i oprócz ludzkiego masz również lirińskie imię. Seren lśni na południowym firmamencie, nad lasem Yliessan. Tam zawsze zostaniesz przyjęta z otwartymi ramionami. Jeśli potrafisz odszukać na niebie swoją gwiazdę, nigdy się nie zgubisz, nigdy.

Dotyk wielkiej szponiastej ręki, gryzący dym ogniska. Przejmujący poranny chłód. Niski głos zagłuszający ostatnie słowa matki.

– Panienko? Obudziłaś się już?

„Jeśli potrafisz odszukać na niebie swoją gwiazdę, nigdy się nie zgubisz, nigdy”.

Rapsodia zacisnęła powieki, próbując zatrzymać sen, ale obrazy przeszłości szybko zbladły w świetle dnia. Poczowała ściskanie w gardle. Wstała z ziemi i otrzepała się z trawy.

– Tak. Jestem gotowa.

Od kilku dni mieli przed sobą liriński las, zanim Rapsodia się zorientowała, co widać na horyzoncie.

Gdy w oddali, na skraju Szerokich Łąk, po raz pierwszy dostrzegła szeroki ciemny pas, doszła do wniosku, że niechcący zoczyli na wschód i teraz mają przed sobą ocean. Powietrze nad nim drżało jak nad ciepłym morzem, przydając mu tajemniczości. Mimo opowieści matki nie była przygotowana na ogrom lasu i na moc, która z niego promieniała.

W południe ukryli się w gąszczu traw i dopiero wtedy Rapsodia zrozumiała, co rozciąga się przed jej oczami. Wstała jak zaczarowana, wpatrując się w ciemny bór. Wielkie łapsko natychmiast chwyciło ją za tył płaszczka i ściągnęło na ziemię.

– Co ty wyprawiasz? Schowaj się.

Rapsodia ze złością odepchnęła rękę Grunthora.

– Puszczaj. O co ci chodzi? Nikogo nie widać, chcę tylko popatrzeć na las.

– Cicho! – syknął obok niej rozkazujący głos.

Tym razem posłuchała bez słowa protestu. Achmed patrzył ku zachodowi, przykucnięty za kępą wysokiej trawy. Uniósł otwartą dłoń z odchylonym palcem wskazującym.

– Widzieli cię.

Z oddali dobiegał jedynie szum wiatru. Achmed nadal trwał w tej samej pozycji, oczy miał zamknięte, nasłuchiwał w skupieniu. Rapsodia spojrzała na zachód i zobaczyła jedynie falujące trawy.

Nagle, dużo bliżej, niż się spodziewała, dostrzegła wyłaniającą się z gęstwiny postać. Brązowożłote włosy, twarz prawie takiego samego koloru jak pożółkłe trawy, stapiała się z otoczeniem. Dziewczynę zalały wspomnienia, poczuła ściskanie w gardle.

Duże oczy w kształcie migdałów, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, gładka skóra, smukła budowa ciała, długie kończyny. Lirin. Trochę ciemniejszy niż jej matka i Liringlas, którego kiedyś spotkała, gdy zapuściła się na łąki otaczające Easton. Prawdopodobnie jeden z Lirinvedów, nomadów, którzy czuli się dobrze zarówno w lesie, jak i na otwartych przestrzeniach, ale nigdzie nie zagrzewali miejsca.

Na słońce nasunęła się chmura, rzucając cień na pole. Rapsodia dostrzegła za zwiadowcą kilkadziesiąt par błyszczących oczu. Chwilę później wszyscy Lirinvedowie zniknęli, jakby rozplynęli się w powietrzu.

Nie odrywała wzroku od tamtego miejsca, lecz kątem oka dostrzegła obok siebie błysk metalu. Achmed nie wiadomo kiedy zdjął z pleców cwellan i trzymał go teraz w rękach, gotowy do użycia, ale nie wymierzony w cel.

W Rapsodii zamarło serce, gdy uświadomiła sobie, że Grunthor też na pewno jest uzbrojony. Ogarnięta paniką, zaczęła gorączkowo myśleć.

Achmed jeszcze nie strzelał, co uznała za dobry znak. Najwyraźniej nie chciał rozlewu krwi. Pamiętając jednak, co obaj zrobili z ludźmi Michaela, nie miała wątpliwości, że są w stanie poradzić sobie z każdym przeciwnikiem, nieważne jak liczny. Teraz jednak znajdowali się na obcym terenie, co mogło dawać mieszkańcom łąk pewną przewagę.

Gorzej, że Rapsodia nie wiedziała, po której stronie byłaby bezpieczniejsza. Choć ci dwaj ją uratowali i nie próbowali jej skrzywdzić, nie ufała im. Rzeź oddziału Michaela wywołała w niej przerażenie.

Czuła się duchowo związana z Lirinami, ale dla nich była kimś obcym, może nawet wrogiem. Przypomniała sobie słowa Grunthora: „Las już widać. Tych, którzy go bronią, jeszcze nie, ale na pewno nie będą tolerować osób pętających się blisko ich zewnętrznych posterunków”. Nagle usłyszała za sobą ciche szcęknięcie. Dyski zostały załadowane do cwellana.

Niesione wiatrem suche źdźbło smagnęło ją w twarz. Zamknęła oczy przed drobnymi nasionkami, które wysypały się z kłoska. Trawa łąkowa porastająca rozległe równiny. *Hymialacia*, powiedział mentor na lekcji zielarstwa. Prawdziwa nazwa.

Raptem opuścił ją strach, ale gardło nadal miała zaschnięte. Odchrząknęła i zaczęła nucić. *Hymialacia. Hymialacia. Hymialacia. Hymialacia.* Te ciche dźwięki wprawiały powietrze w drgania. Czuła je na skórze.

Achmed dotknął jej pleców. Ostrożny gest świadczył, że Drak jej nie widzi. Stopiła się z otoczeniem jak Lirinowie. Sama zmieniała się w trawę łąkową.

Drżącą ręką ujęła dłoń Achmeda, nie przerywając śpiewu.

Jestem *Hymialacia*, Achmed Wąż jest *Hymialacia*... Powtarzała ich imiona, włączając do pieśni melodię wiatru, chmur sunących po niebie, imię ciszy. Achmed ścisnął jej rękę, sygnalizując, że rozumie.

Chwilę później szepnął coś w swoim języku do Grunthora. Z Firbolgiem czekało ją trudniejsze zadanie – nie znała jego prawdziwego imienia.

Szelest trawy omal nie wytrącił jej z transu. Lirinowie zbliżali się cicho, nieubłaganie. Rapsodia zamknęła oczy i dotknęła ramienia olbrzyma.

Pagórek, zaśpiewała cicho. Garb, kopiec, wzniesienie terenu, znane z wędrówek z ojcem po dolinach i wzgórzach rodzinnych stron. Pagórek.

Otworzyła oczy, wytrwale nucąc pieśń imion. Przed nią, w miejscu gdzie kuczał Grunthor, pojawił się mały trawiasty wzgórek z młodymi pędami karłowatych drzewek na szczycie. Przesunęła nad nim dłońmi. Pagórek. *Hymialacia*. Wiatr. Chmury. Trawy łąkowe.

Przed sobą, w zaroślach, dostrzegła nogi odziane w spodnie płowego koloru i skórzane buty. Blisko, bardzo blisko. Pagórek, szeptała, zachowując spokój. Przeszkoda. Niebezpieczeństwo. Pagórek.

Nogi zwolniły i nie zatrzymując się, skrzyły na południe. Rapsodia też nie widziała Grunthora ani Achmeda, tylko kołyszące się trawy. Nie słyszała nic oprócz własnego śpiewu, bzyczenia owadów, trzaskania suchych gałązek pod stopami Lirinów. Nie czuła nic oprócz palącego słońca i podmuchów ciepłego wiatru. *Hymialacia*.

Śpiewnym głosem powtarzała wciąż te same słowa, a tymczasem słońce przesunęło się na niebie i zaświeciło jej prosto w oczy. Zamrugała. Już dawno minęło południe. Z wyczerpania zaschło jej w gardle. Pieśń imion nagle umilkła.

Po lewej stronie trawa się rozstała i z ziemi wstał Achmed.

– Poszli sobie – stwierdził.

Rapsodia spojrzała w prawo. Mały pagórek urósł na jej oczach, rachityczne pędy przybrały solidniejszą formę niezliczonej broni. Kopiec uśmiechnął się do niej szeroko.

– To było imponujące, panienko.

– Rzeczywiście – powiedział Achmed oschle. – Znowu spróbujesz nam wmówić, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłaś?

Rapsodia otworzyła usta i w tym momencie niebo przekrzywiło się pod dziwnym kątem. Achmed chwycił ją za ramię, łagodząc upadek. Gdy już leżała na ziemi i patrzyła na chmury, zobaczyła tuż przed oczami wirujące niebieskie kręgi.

– Wody! – wychrypiała i straciła przytomność.

Zmierzch otulił łąki niczym szara mgła, a Rapsodia jeszcze się nie obudziła. Była pogrążona w głębokim śnie. Po raz pierwszy od początku podróży nie dręczyły jej koszmary. Nie jęczała, nie rzucała się ani nie zrywała z krzykiem mrozącym krew w żyłach.

– Nic dziwnego, że wycofała się z zawodu – skomentował Grunthor po jednej ze szczególnie męczących nocy. – Klienci nie mogli się wysypiać.

Achmed jedynie się uśmiechnął.

Rapsodia tylko raz przewróciła się na bok, a potem leżała spokojnie. Słońce zniknęło za krawędzią świata, nocna warta przeszła z Achmeda na Grunthora. Firbolg wziął się za liczenie zapasów znalezionych w jukach żołnierzy Michaela. Od czasu do czasu wlewał nieprzytomnej dziewczynie do ust po parę kropel wody z bukłaka. Potem wyciągnął się na ziemi po północnej stronie obozowiska.

Gdy jeszcze bardziej się ściemniło, zerknął ku horyzontowi. Po chwili potrząsnął głową i ułożył się wygodniej. Zaraz jednak usiadł prosto i trącił nogą śpiącego towarzysza. Drak nie poruszył się, tylko otworzył oczy.

– Coś widzę.

Achmed uniósł się na łokciu i podążył za spojrzeniem Grunthora. Miał lepszy wzrok niż on, zwłaszcza w nocy, ale nic nie zobaczył. Skoncentrował się, lecz nie wyczuł w oddali żadnego bicia serca. Pokręcił głową.

Gigant wzruszył ramionami, ale sekundę później zerwał się na równe nogi. Drak zamarł.

– Znowu, panie. Jestem pewien. Coś tam jest.

Achmed też wstał i ruszył w stronę trawiastego wzniesienia. Ze szczytu popatrzył na północ, wyciążając wzrok.

Chwilę później on również dostrzegł skupisko migotliwych światełek. Były ich setki, może tysiące. Rozmieszczone w równych odstępach, tworzyły długą linię poruszającą się wolno na południe. Ledwo widoczne w szarym półmroku, prawie natychmiast zgasły. Tropiciele? Ale kto lub co mogło być takie ważne, że tylu ludzi wysłano z lampami w nocy na pustkowiu?

Zamknął oczy i zsunął kaptur z głowy, żeby lepiej poczuć wibracje na skórze. Uniósł dłoń, wyprostował palec, otworzył usta, żeby chwycić wiatr i sprawdzić, czy źródło tysiąca rytmów zbliża się ku niemu. Nie wyczuł żadnego smaku, żadnego bicia serca ani wibracji. Otaczała go cisza, którą mąciło tylko poświstywanie nocnego wietrzyka.

Otworzył oczy i znowu ujrzał krótki jak mgnienie błysk wielu ogników, bliższy niż przed chwilą. Potem zapadła ciemność. Wiatr nie przyniósł najmniejszego drgnienia.

Raptem jego uszy wypełnił łomot, od którego włoski zjeżyły mu się na skórze. To było jego własne serce.

– O bogowie – wyszeptał. Szing.

Zabrali śpiącą dziewczynę oraz jej rzeczy i pobiegli na oślep ku wielkiemu mińskiemu lasowi.

Rapsodia obudziła się w ciemności. Księżyc zaszedł, po niebie pędziły chmury. Próbowala usiąść, ale zrezygnowala, kiedy za oczami poczuła ostry ból. Ostrożnie przewróciła się na bok i oparła głowę na dłoni. Jęk, który wyrwał się jej z piersi, zabrzmiał obco. Natychmiast zjawił się przy niej Grunthor z wodą. Napiła się z wdzięcznością, przytrzymując bukłak drżącą ręką. Gdy zaspokoila pragnienie, usiadła powoli i rozejrzała się. Wcześniej otaczały ich wysokie trawy, teraz ukrywali się w rzadkim zagajniku. Na całkiem bliskim horyzoncie rysował się pas ciemniejszy niż sama noc.

– Co to? – zapytała szeptem. Achmed zerknął na nią spod kaptura. – Las.

Uśmiechnął się i odwrócił wzrok, ale zdążył dostrzec jej reakcję. Rapsodii szybciej zaczęło bić serce, krew napłynęła do twarzy.

– Nieśliście mnie? Przez całą drogę? Jak śmieliście?!

– Teraz to mówisz, panienko. Dlaczego wtedy nie protestowałaś? – Na widok jej gniewnej miny Grunthorowi uśmiech zniknął z warg. – Daj spokój, panienko. Przecież nie mogłem cię zostawić na łąkach.

Chuda ręka zacisnęła się na jej ustach jak imadło, zgrzytliwy głos syknął do ucha:

– Posłuchaj uważnie, Pieśniarko, i oszczędzaj gardło. Pod wieloma względami ci się to opłaci. Na razie jesteśmy sami, ale już niedługo. Dotarliśmy prawie na skraj lirińskiego lasu, który jest dużo lepiej strzeżony niż łąki. Gdy wejdziemy do puszczy, musimy jak najszybciej dotrzeć do Wielkiego Drzewa. Na południowym wschodzie, niedaleko stąd, znajduje się posterunek obsadzony przez dwudziestu czterech strażników leśnych. To Lirindakowie, leśni Lirinowie, więc w świetle dziennym jeszcze trudniej ich dostrzec niż tych, których spotkaliśmy, zanim ucięłaś sobie drzemkę. Jak można ich ominąć?

– Skąd masz te wiadomości? O tym, że Michaela nie było w oddziale pościgowym, też z góry wiedziałaś, podobnie jak o tym, że zbliżają się Lirinvedowie i że mnie zauważyli. Teraz znasz dokładną liczbę strażników i wiesz, gdzie jest posterunek. Po co ci w ogóle moja pomoc?

Achmed zmierzył ją chłodnym wzrokiem, po czym spojrzał w przestrzeń. Nie zamierzał wyznać prawdy. Choć we wschodnich krainach cieszył się sławą legendarnego zabójcy, o jego darze wiedział tylko jeden przyjaciel i nieliczni wrogowie. Zastanawiał się, jak sformułować odpowiedź, żeby osiągnąć dwa cele: uspokoić dziewczynę i jednocześnie pozyskać ją do współpracy.

Zwykle gniew czy przerażenie zakładnika nic by dla niego nie znaczyły, lecz teraz sytuacja wyglądała całkiem inaczej. Pieśniarka nie tylko posiadała wielką moc, ale również

emitowała wibracje, które miały na niego kojący, wręcz zbawienny wpływ. Może był to rezultat jej muzycznego wykształcenia.

Zaczerpnął powietrza i odparł, wążąc słowa:

– Nie my potrzebujemy twojej pomocy, tylko Lirindakowie.

Rapsodia osłupiała.

– Jak to?

– Tylko ty jesteś w stanie zapewnić im bezpieczeństwo.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Nie rozumiem.

Achmed przeszył ją spojrzeniem.

– Nie musimy robić im krzywdy. W przeciwieństwie do reszty zadowolonych z siebie głupców mieszkających w tej krainie Lirinowie, których spotkaliśmy na łąkach, i Lirindakowie żyją w harmonii ze światem. Nie są ślepi, wiedzą, co się szykuje, a przynajmniej czują, że coś wisi w powietrzu.

Rapsodia zmartwiła.

– Co się szykuje? O czym mówisz?

Spod kaptura dobiegł nieprzyjemny śmiech.

– Jak to możliwe, że Pieśniarka niczego nie wyczuwa, nic nie słyszy? Ogłuszył cię hałas Easton? Pozostałaś naiwna i niewinna, Rapsodio? Niewinna dziwka, dobre sobie! A może bujasz w obłokach?

Zielone oczy na powrót przybrały twardy wyraz.

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie, Rapsodio, ty powiedz. Lirindakowie ze wschodniego posterunku właśnie idą w naszą stronę. Niebawem do nas dotrą. Grunthor i ja musimy dostać się do Wielkiego Drzewa, i to szybko. Nie pozwolimy, żeby cokolwiek nam przeszkodziło. Od ciebie zależy, czy spotka ich krzywda.

Na twarzy dziewczyny odmalował się niepokój.

– Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Nie wiem, gdzie jestem. Jak możesz ode mnie czegośkolwiek oczekiwać?

Achmed zdjął z pleców cwellan.

– Widzę, że nie mogę. Grunthor, przygotuj łuk.

Niepokój przerodził się w strach.

– Nie, proszę! Nie róbcie tego. Proszę!

– Więc co proponujesz? Po wczorajszym popołudniu spodziewałem się po tobie innej reakcji.

Na ramieniu dziewczyny spoczęła wielka dłoń.

– Spokojnie, panienko, na pewno potrafisz coś wymyślić. Skup się.

Rapsodia nabrała powietrza w płuca i oczyściła umysł, tak jak uczył Heiles, jej pierwszy mentor. Po chwili usłyszała głos, który dawno temu snuł opowieści o lirińskiej puszczy.

Mamo, opowiedz mi o wielkim lesie.

Jest ogromny, większy, niż potrafisz sobie wyobrazić, pełen zapachów i życia. Tylu kolorów nigdy nie widziałaś, nawet w snach. Jego pieśń rozbrzmiewa w każdym stworzeniu, które w lesie mieszka. Ludzie nazywają go Zaczarowaną Puszczą, bo tamtejsze istoty i rośliny są dla nich całkiem obce. Lecz my, Lirinowie, znamy jego prawdziwą nazwę: Yliessan, święte miejsce.

Achmed dostrzegł zmianę w oczach Rapsodii.

– No więc?

Lirinowie znają jego prawdziwą nazwę: Yliessan. Dziewczyna spojrzała na gwiazdy.

– Znam prawdziwą nazwę lasu – powiedziała cicho. Na jej twarzy pojawił się spokój i determinacja. – Lecz żeby wszystko było jasne, skoro wkrótce się rozstajemy: skorzystam ze swojej wiedzy, żeby ochronić ich, a nie was.

– Uczciwe postawienie sprawy – stwierdził Grunthor z uśmiechem.

Gdy niedługo potem patrol Lirindaków ich mijiał, nie dostrzegł nic niezwykłego. Usłyszał jedynie szum wiatru śpiewającego w koronach drzew i ruszył dalej.

O świcie dotarli na skraj lasu. Wiał łagodny wietrzyk. Rapsodia zdjęła czarną aksamitną wstążkę i rozpuściła włosy. Oczyściła umysł z bolesnych wspomnień, które zostały w nim jeszcze z poprzedniego dnia.

Stanąwszy przed nieprzerwaną linią drzew, próbowała przebić się wzrokiem przez gąszcz listowia o wszelkich odcieniach zieleni, zajrzeć w głąb prastarego boru. Ścisnęło się jej serce, gdy wyobraziła sobie matkę jako młodą kobietę, właściwie dziewczynę w Roku Rozkwitania, patrzącą na las z tego samego miejsca, w którym ona teraz się znajdowała.

Wysmukła, średniego wzrostu, o złotych włosach splecionych w misterne lirińskie warkocze, ubrana w powiewną tunikę i dopasowane borillowe spodnie, uszyte według starych zasad, przepasana tradycyjną skórzaną mekwą. Jej oczy zapewne błyszczały podnieceniem. Ciekawe, czy była wtedy szczęśliwa. Nawet jeśli tak, to niedługo.

Tuż po osiągnięciu dojrzałości odbyła tradycyjną pielgrzymkę do Sagii i spędziła w lesie trochę czasu, ucząc się jego sekretów, ale nie lubiła mówić o tamtym okresie. Rapsodia dowiedziała się wszystkiego, dopiero kiedy miała kilkanaście lat.

Gdy Rok Rozkwitania dobiegł końca, matka wróciła z pielgrzymki i zastała dom zupełnie pusty. Cała rodzina zginęła. Przez lata opłakiwała najbliższych i nie mogła odżałować, że tylko ona przeżyła.

Gdyby potrafiła cofnąć czas, nie opuściłaby domu, wolałaby zginąć ze wszystkimi, niż zostać sama na świecie. Szczęście, które później znalazła, było zżądzone przez wspomnienia.

Rapsodia odczuwała taki sam nabożny lęk, jak kiedyś matka. Dopiero teraz uświadomiła sobie w pełni własne pochodzenie, choć w ostatnich latach spotkała więcej Lirinów niż przez całe dzieciństwo.

W Easton, głównym ośrodku handlowym wschodniego wybrzeża, widywała przedstawicieli wszelkich ras. Może w Yliessan zostanie przez lud matki przyjęta z otwartymi ramionami. Może wreszcie znajdzie siłę, żeby wrócić do domu.

O zachodzie weszli między pierwsze drzewa. Poczekali jednak, aż zapadnie noc, nim odważyli się zapuścić głębiej, czujnie wypatrując w ciemności błysku oczu.

Wiele razy podczas długiej wędrówki Rapsodia szeptała imię lasu: Yliessan, Yliessan, Yliessan. W odpowiedzi gałęzie się rozchylały, krzaki jeżyn i malin nie próbowały ich zatrzymać, lecz pozwalały przejść szybko i cicho mimo ciemności.

W szumie wiatru śmigającego wśród liści, w nocnych odgłosach słyszała zaproszenie, serdeczne powitanie. Łapczywie chłonęła wonne powietrze, napełniała płuca, oczyszczając je przy każdym wydechu. Żałowała, że jest noc, bo chętnie by zobaczyła, jak naprawdę wygląda las. Choć dla Lirinów było to miejsce święte i tylko oni znali jego nazwę, legendy o Zaczarowanej Puszczy i Wielkim Drzewie krążyły wśród ludów mieszkających nawet w odległych krainach.

Gdy poprzedniego dnia ukryła dwóch towarzyszy i siebie przed oczami Lirinwedów, zmogło ją wyczerpanie, ale teraz las przywracał jej siły. Przepęniała ją radość i poczucie bezpieczeństwa jak we własnym domu. Chłodny spokój oczyszczał jej umysł, koił półlirińskie serce. Yliessan. Witaj, Dziecko Nieba. Yliessan.

– Jakież propozycje?

Rapsodia drgnęła. Achmed mówił jej prosto do ucha, mimo że chwilę wcześniej nie było go przy niej.

– Co masz na myśli? – odszepnęła.

– Drzewo. Wiesz, gdzie jest? – W jego tonie brzmiało silne niezadowolenie.

Zamknęła oczy i wystawiła twarz na nocny wietrzyk, który przeczesywał gałęzie i liście. Jego szelest przypominał szum morza w centrum miasta, na tyle odległym od nabrzeża, że nie docierał do niego portowy zgiełk.

Po dłuższym skupieniu Rapsodia usłyszała niski, głęboki ton, który dobiegał spod ziemi. Z pewnością pochodził od Wielkiego Drzewa.

Wskazała na południowy zachód.

– Tam.

Achmed skinął głową. On też wychwycił cichą melodię. W milczeniu ruszyli przed siebie, ostrożnie torując sobie drogę wśród podszycia. W pewnym momencie Rapsodia zorientowała się, że to ona prowadzi, ale nie wpadła w panikę, bo ton stawał się coraz głośniejszy. Odbierała go teraz przez stopy.

Przypuszczała, że nie dotrą do celu przed świtem, więc była zaskoczona, gdy z bardzo bliska usłyszała pieśń Wielkiego Drzewa.

Dostrzegła, że sosny tworzą ciemną ścianę, barierę niemal nie do przebycia. Melodia dochodziła właśnie zza tego niedostępnego muru. Rapsodia i Achmed bez słowa przyspieszyli kroku. Za sobą usłyszeli kilka stłumionych przekleństw. Grunthor najwyraźniej nie słyszał pieśni.

Zbliżali się ostrożnie do linii drzew. Czuli wokół siebie obecność ludzi, ale nikogo nie widzieli. W końcu weszli między strzeliste sosny o wierzchołkach sięgających czarnego nieba. Rosły tak gęsto, że z trudem się między nimi przeciskali, zwłaszcza Grunthor. Po drugiej stronie bariery przystanęli.

Mech zasłany suchymi sosnowymi szpilkami ustąpił miejsca dziewiczej, idealnie równej trawie. Blask księżyca posrebrzał bladezielony dywan, który ciągnął się aż do następnej linii drzew, jeszcze bardziej zwartej niż pierwsza, złożonej z prastarych dębów o sękatych pniach.

Rapsodia zrobiła krok, ale w tym momencie poczuła, że ktoś ciągnie ją z tyłu za płaszcz.

– Zaczekaj.

Achmed i Grunthor, którzy pozostali w bezpiecznej gęstwinie, zaczęli się cicho naradzać we własnym języku.

Niecierpliwiła się. Przeszła z nogi na nogę, nie mogła ustać w miejscu. Drzewo ją wzywało, nagliło do pośpiechu. Trudno było się oprzeć jego magnetycznemu przyciąganiu.

– Myślałam, że wam się spieszy – syknęła ze złością.

Achmed uciszył ją gestem ręki i jeszcze raz się rozejrzył. Nad leśną łąką zwieszały się ogromne konary, tworząc liściaste sklepienie. Nie podobało mu się, że muszą przejść przez rozległą polanę, ale wiedział, że nie ma innej drogi. Ostrożnie zdjął cwella z pleców i skinął głową. Nie słyszał w pobliżu bicia żadnych serc, oprócz swojego własnego.

Wszyscy troje puścili się biegiem przez otwarte pole. Po drugiej stronie, tuż za linią drzew, rozpościerała się głęboka dolina wypełniona powietrzem jeszcze słodszy niż w pozostałej części lasu lirińskiego. Nocne odgłosy całkiem ucichły, kiedy skradali się ku niej między grubymi pniami. Cisza była prawie namacalna.

Rapsodia z początku nic nie widziała. Dopiero kiedy oczy przywykły jej do ciemności, w snopie księżycowego światła ujrzała przed sobą Wielkie Drzewo, święty biały dąb, Sagię, Dąb o Głębokich Korzeniach.

Srebrnobiałą korę, gładką jak kamień na dnie strumienia, znaczyły wyżłobienia głębokie jak rzeki. Rapsodia nie dostrzegła żadnych konarów, bo Wielkie Drzewo było tak wysokie, że pierwsze gałęzie ginęły w mroku. Ziemię wokół pnia zaścielały liście, zielone i dorodne, ze złotym żyłkowaniem.

Nie dało się naraz objąć spojrzeniem całej Sagii. Pień miał taki obwód, że gdyby stanęli wokół niego w trzech różnych miejscach, nie usłyszeliby się nawzajem, nawet gdyby krzyczeli. Dąb wypełniłby główny plac w Easton, na którym odbywały się wszelkie publiczne

uroczystości. Jego ogrom wzbudził w Rapsodii podziw i jednocześnie lęk, zwłaszcza kiedy stwierdziła, że jest sama.

Rozejrzała się za towarzyszami podróży, ale nigdzie ich nie dostrzegła. Gdy nagle sobie uświadomiła, że nie zna ich zamiarów, serce zaczęło jej łomotać, ręce zrobiły się zimne. Z wolna narastała w niej panika. Na szczęście głęboka cisza doliny koła, podobnie jak głęboki ton Wielkiego Drzewa. W jego prostej pieśni Rapsodia wyczuwała mądrość wieków. Zamknęła oczy i słuchała najczarowniejszej melodii na świecie.

Gdy tak stała, chłonąc hymn Sagii, ustąpiło napięcie mięśni szyi, które dokuczało jej od dwóch tygodni, odkąd w tawernie Pod Pióropuszem zjawił się Gammon. Ogarnął ją spokój. Muzyka przemawiała do tej części jej duszy, o której istnieniu dawno zapomniała.

Znowu usłyszała głos matki, jak w niedawnym śnie. Matka opowiadała po lirińsku stare baśnie, śpiewała rytualne pieśni, wyrażające cześć dla cudów natury takich jak Wielkie Drzewo.

Rapsodia nie wiedziała, jak długo trwa bez ruchu, z zamkniętymi oczami wsłuchując się w hipnotyczną melodię. Raptownie wróciła do rzeczywistości, kiedy ktoś chwycił ją za ramię i szepnął cicho:

– Gdzie się podziewasz? Chodź, czekamy.

Odwróciła się, zaskoczona.

– Na co czekacie? Sądziłam, że przyszedliśmy złożyć pokłon Sagii. Właśnie to robię.

– Chodź, znalazłem główny korzeń.

– I co z tego?

– Nie chcę rozlewu krwi.

W głosie Achmeda brzmiało ostrzeżenie. Rapsodia zmartwiała ze strachu, lecz po chwili zalała ją fala wściekłości.

– Co miały znaczyć te słowa? Czy to groźba?

Zamiast odpowiedzieć, Achmed uniósł rękę. Trzymał w niej klucz wykonany z materiału podobnego do kości, ale lśniącego niczym wypolerowane złoto i tak przejrzystego, jakby ktoś schwytał w mroku refleks słońca. Blask zakłuł Rapsodię w oczy.

– Chcesz zobaczyć, do czego pasuje, czy będziesz tu stać jak głupia?

– Nie, pójdę za tobą jak głupia.

Kipiąc złością, ruszyła za Achmedem. Spojrzała w górę, ale i tym razem nie dostrzegła żadnych konarów. Fragment liściastego dachu zobaczyła dopiero w dużym odbiciu Wielkiego Drzewa w sadzawce znajdującej się po jego południowej stronie. Pieśń Sagii niosła się po wodzie, wzbudzając dreszcze w duszy Rapsodii.

Przystanąła na chwilę, zauroczona niecodziennym widokiem, a kiedy się ocknęła, Achmed znowu gdzieś zniknął. Pobiegnęła i po chwili ujrzała go klęczącego przy pniu. Zajrzała mu przez ramię. W ziemi u podstawy Wielkiego Drzewa tkwił klucz.

– Patrz – powiedział Achmed krótko.

Gdy przekręcił klucz w niewidocznym zamku, w górę uniósł się snop opalizujących iskier. Pośród nocy zajaśniał prostokąt czerwonego światła wielkości sporych drzwi i prawie natychmiast zgasł.

Rapsodia cofnęła się przestraszona. Szeroko otwartymi oczami patrzyła, jak Grunthor unosi część korzenia, odsłaniając dziurę w ziemi. W środku panowała absolutna, wręcz namacalna ciemność.

– Co robicie?! – krzyknęła, nim Achmed zdążył zasłonić jej usta. – Ciii... Posłuchaj. Oto jedno z miejsc, w których zaczął się Czas. Moc wyspy sięga wszędzie, dokąd prowadzi korzenie tego drzewa. – Odwrócił ją do siebie. – Musimy uciec tam, gdzie nawet demon, który nas ściga...

– Demon?

– Właśnie, chociaż demon to niewłaściwe słowo. Raczej potwór, który dał mi ten klucz. Drzewo jest związane z materią świata. Kryje się w nim potężna magia. Musimy pójść tam, dokąd zaprowadzi nas tunel.

Rapsodia spiorunowała go wzrokiem.

– Więc idźcie.

– Ty też idziesz. – Achmed wyciągnął do niej rękę.

– Nie mogę. Nie chcę. – Głos zaczął jej drżeć. – Dlaczego zakładasz, że z wami pójdę?

– Chciałabyś zobaczyć początek Czasu? A serce Wielkiego Drzewa lub całego świata? Co dałby Lirin, żeby poczuć jego bicie?

– Nie.

Grunthor uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz, co ci powiem, panienko? Chodź z nami, to uratujesz korzeń przed zniszczeniem. Zostawisz nas samych, a...

Rapsodia jęknęła z przerażenia.

– Nie odważycie się! To święty dąb, źródło mądrości całego ludu Lirinów, nie tylko tych, którzy mieszkają w lesie. Uszkodzenie go w jakikolwiek sposób...

– ...nie byłoby trudne, panienko.

Grunthor zniknął w ciemnej dziurze. Achmed zajrzał do środka, przesłaniając dziewczynie widok.

– Nie chcesz zobaczyć, jak tam jest?

Rapsodia bardzo chciała mimo lęku przed zbezczeszczeniem uświęconego miejsca. Na samą myśl, że dwaj intruzi wchodzi do Sagii, lęk ścisnął ją za gardło. Doskonale wiedziała, że nie ma szansy ich powstrzymać, ale musiała spróbować, nawet za cenę własnego życia.

– Stójcie! – krzyknęła, wyciągając sztylet.

– Decyduj się szybciej – rzucił Achmed, znikając w otworze. – Ciekawe, co powiesz strażnikom Lirindakom, którzy na pewno zjawią się lada chwila. Na twoim miejscu wolalbym stąd zniknąć. Grunthor, wzięłeś siekiere?

Rapsodia obejrzała się spłoszona. Wydawało jej się, że z oddali rzeczywiście dobiega odgłos cichych kroków. Co gorsza, pieśń wyraźnie się zmieniła, jakby stary dąb odczuwał ból.

Przyjrzała się dziurze, w której zniknęli Drak i Firbolg. Z niepokojem przesunęła dłonią po srebrzystej korze i poczuła pod palcami wibracje, które wcześniej odbierała sercem. Kiedy szukała uszkodzeń w prastarym dębie, z otworu wysunęła się ręka, chwyciła ją za ramię i wciągnęła do podziemnego korytarza.

Rapsodia krzyknęła, a tymczasem Achmed przekazał ją Grunthorowi i szybko przekręcił klucz. Drzwi z kory zamknęły się cicho, pogrążając ich w całkowitej ciemności.

Rapsodia umilkła i próbowała wyrwać się z rąk Bolga, ale olbrzym tylko się zaśmiał i mocniej ścisnął jej ramię. W tym momencie zorientowała się, że grzęźnie po pas w ciepławej brei, w której pływają jakieś rozciągliwe liny utrzymujące jej ciężar.

Chwilę później zajaśniał maleńki ogienek i w jego nikłym blasku pojawiła się koszmarna twarz Achmeda. Z wrażenia dziewczynie zaparło dech. Grunthor sięgnął ręką do tyłu, zdjął z pleców pochodnię i podał towarzyszowi. Drak zapalił łuczywo i uniósł nad głowę. Wokół nich zatańczyły cienie. Zwężający się ku górze szyb niknął w kompletnej ciemności.

Znajdowali się w nieregularnym walcu o półprzezroczystych ścianach koloru ciemnej zieleni, bladej żółci i nakrapianej bieli. W miarę jak przesunęło się po nich światło pochodni, Rapsodia zobaczyła, że są grube, włókniste i mokre od brunatnej cieczy, takiej samej jak ta, w której stali po pas.

Tunel biegł wewnątrz korzenia. Z czasem wejście zarosło gęstą roślinnością, która utworzyła sprężystą sieć. Właśnie na niej teraz balansowali. Błotnisty płyn, który przemieścił się w momencie, gdy otworzyli drzwi, znowu napływał falami, wybijając przez oka w płataninie łądyg.

Od wilgotnego, pełnego oparów powietrza skóra od razu zrobiła się lepka. Rapsodia spojrzała w górę, ale nie dostrzegła nawet śladu otworu, przez który weszli. Ściany były gładkie, jakby nigdy się nie rozstały.

Ponowiła próbę uwolnienia się z rąk Grunthora. Gdy Firbolg puścił ją na znak Achmeda, przesunęła dłońmi po wewnętrznej powierzchni pnia, lecz nie namacała żadnej rysy. Tuż obok siebie, na wysokości biodra, zauważyła duży węzeł. Z trudem wydobyla nogę z błotnej mazi i ostrożnie postawiła na nim stopę. Wyglądał na dostatecznie mocny, żeby udźwignąć jej ciężar, więc znalazła oparcie dla rąk i podciągnęła się do góry.

Gdy jej głowa i ramiona znalazły się w szybie, drżącymi rękami zaczęła na oślep macać wokół siebie. Żadnej szczeliny, żadnego otworu, żadnego korytarza.

– Gdzie są drzwi? – wykrztusiła, usiłując opanować strach. – Co z nimi zrobiliście?

– Zamknęliśmy – odparł Achmed bez cienia sarkazmu w głosie. Gdy zachwiała się na wąskiej półce, Grunthor podparł jej ręką plecy. Odwróciła się i tuż przed sobą zobaczyła jego bursztynowe oczy, dziwnie ludzkie w monstrialnej twarzy. Dostrzegła w nich współczucie.

– Drzwi zniknęły, panienko. Przykro mi, ale już nie możemy zawrócić. Musimy iść przed siebie.

Rapsodia przeniosła gniewny wzrok na Achmeda. W świetle pochodni jej oczy płonęły zielonym blaskiem.

– Co to znaczy, że nie możemy zawrócić? Wypuście mnie stąd natychmiast!

– Nie da rady. Utknęliśmy. Lepiej pogódź się z sytuacją i chodź z nami. Nie będziemy czekać, aż się zdecydujesz.

Z każdym oddechem powietrze robiło się cięższe.

– Iść z wami? Czyście zwariowali?! Tu nie ma dokąd iść.

– Naprawdę lubisz wyciągać pochopne wnioski.

Achmed Wąż rozsunał zwieszające się sznury podobne do gałęzi i brnąc przez galaretowatą ciecz, przeszedł na drugą stronę szybu, gdzie miąższ wyglądał na cieńszy. Zdjął skórzane rękawice i powoli przesunął dłońmi po miękkiej powierzchni, aż znalazł najsłabsze miejsce. Zerknął na towarzysza. Grunthor skinął głową i zdjął z pleców miecz o trójkątnym ostrzu, który kiedyś należał do Karvolta. Przyjął postawę jak do rzutu włócznią. Napiął mięśnie potężnych barków, zamachnął się i z wielką siłą wbił triatinę głęboko w mięsistą ścianę. Następnie oparł się na niej całym ciężarem i szarpnął, wyrywając kawałek na pół zdrewniałej tkanki wielkości dłoni i konsystencji melona. Melodyjne wibracje Wielkiego Drzewa, stłumione od chwili, gdy znaleźli się pod ziemią, nagle zmieniły się w ogłuszający hałas.

– Przestań, na bogów! – krzyknęła Rapsodia, zeskakując z półki. – Ranisz Sagię.

Ruszyła przez breję w stronę Grunthora, ale zatrzymał ją Achmed żelazną dłonią.

– Bzdura. To tylko korzeń. Drzewo ma ich tysiące.

Bolg zrobił kolejną wyrwę we włóknistej ścianie. Rapsodia zadrżała.

– Dziura szybko się zasklepi. Nie zauważyłaś, że korytarz wypełnia się przez cały czas, kiedy rozmawiamy? – Achmed wskazał kleistą ciecz, w której stali. Jeszcze niedawno sięgała im do pasa, teraz dochodziła do piersi.

Gigant po raz trzeci zamachnął się trójgraniastą bronią. W szybie rozległ się trzask.

– Przebiłem się, panie – zameldował Grunthor. Achmed skinął głową i spojrzał na Rapsodię.

– Posłuchaj uważnie, bo drugi raz nie powtórzę. Musimy wyjść ze środka korzenia i iść dalej po jego zewnętrznej stronie. Rozszerza się on i kurczy w zależności od tego, ile ma w sobie wody, więc otacza go rodzaj tunelu, który posłuży nam jako korytarz. Znajdziemy w nim wodę i powietrze. Jeśli nie opuści nas szczęście, dotrzemy do miejsca, gdzie będziemy bezpieczni przed tymi, którzy nas ścigają. Michael nigdy cię tam nie znajdzie. Decyzja należy do ciebie. Możesz pójść z nami albo zostać tutaj i utonąć, gdy korzeń wypełni się wodą. Twój wybór.

Oszołomiona Rapsodia uwolniła się z jego rąk i ruszyła w stronę dziury, którą wyrąbał Grunthor. Gdy wielkolud się odsunął, wetknęła głowę w otwór. Na dole zobaczyła nieprzenikniętą ciemność. Spojrzała w górę. To samo. Szyb otaczający białawy korzeń biegł w czarną przepaść, prosto w głąb ziemi.

Tymczasem Achmed sprawdził ekwipunek.

– Idziesz?

Dopiero w tym momencie, z siłą błotnej lawiny, dotarła do Rapsodii powaga sytuacji, omal nie zwalając jej z nóg. Uwięziona wewnątrz Wielkiego Drzewa, mogła jedynie iść w bezdenną otchłań, którą pod sobą widziała. Już sama konieczność ucieczki z Easton była dla niej straszna, ale na myśl o innych rzeczach, które musiałaby zostawić, wystąpił na nią zimny pot.

Odepchnęła Achmeda, wróciła na dawne miejsce i z rozpaczą zabębniła pięściami w wewnętrzną ścianę korzenia. Ogarnięta paniką zaczęła wzywać pomocy, wrzeszczeć z całych sił, w nadziei że usłyszą ją Lirinowie strzegący świętego Wielkiego Drzewa. Potem długo nasłuchiwała odgłosów zbliżającej się odsieczy. Na próżno.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, potem na nią. Rapsodia znowu zaczęła krzyczeć. Ponawiała próby jeszcze cztery razy, zanim Achmed stracił cierpliwość. Postukał ją po ramieniu.

– Jeśli już skończyłaś z wrzaskami, proponuję, żebyśmy ruszali. Jak chcesz, możesz spędzić ostatnie chwile życia, gadając do ściany. Niezbyt produktywne zajęcie, ale twój wybór, przynajmniej póki otwór się nie zasklepi.

Rapsodia wybuchnęła szlochem, co nieczęsto się jej zdarzało. Wszyscy, którzy ją znali, wiedzieliby, że jest to przejaw skrajnej rozpacz. Drak skrzywił się z bólu wywołanego przez silne wibracje. Chwycił ją za ramię i warknął bez cienia współczucia:

– Przestań! Jeśli chcesz iść z nami, pamiętaj, że nigdy więcej nie wolno ci tego zrobić. Od tej chwili płacze i lamenty są zabronione. A teraz decyduj, czy z nami idziesz... oczywiście, jeśli umiesz się powstrzymać od tego hałaśliwego zawodzenia.

Skończywszy tyradę, zlekceważył twarde spojrzenie, które rzucił mu towarzysz, i zbliżył się do dziury. Grunthor natomiast obdarzył dziewczynę uśmiechem.

– Uspokój się, panienko, nie będzie tak źle. Pomyśl, że czeka cię przygoda. Kto wie, co znajdziemy na końcu drogi, a poza tym już nigdy więcej nie będziesz musiała oglądać Zarazy Morowej.

Wymienił spojrzenie z Achmedem i skinął mu głową. Drak zniknął w otworze.

– Rodziny i przyjaciół także – dodała Rapsodia, połykając łzy.

– Niekoniecznie, kochanie. To, że Achmed i ja nie zamierzamy wracać na Serendair, nie oznacza, że ty nie możesz tego zrobić. Ale trudno wrócić do miejsca, którego się nie opuściło, prawda?

Rapsodia omal się nie uśmiechnęła. Potwór z sennych koszmarów próbował dodawać jej otuchy, a z pozoru bardziej ludzki z dwóch towarzyszy podróży traktował ją z całkowitą obojętnością, czasami wręcz okrutnie. Może to wszystko jej się śni? Otarła łzy i ciężko westchnęła.

– Chyba rzeczywiście nie mam wyboru. Chodźmy. Ten korzeń musi gdzieś wychodzić na powierzchnię.

– Dzielna dziewczyna – pochwalił ją Grunthor. – Lepiej idź za mną, skarbie. Wolałbym na ciebie nie spać.

Wszedł do czarnej dziury, w której przed chwilą zniknął jego towarzysz.

Rapsodia przekroczyła krawędź rozdarcia i namacała pęd, który mężczyźni wykorzystali jako linę. Chwyliła go mocno i ostrożnie zaczęła opuszczać się w ciemność. Wkrótce miała się przekonać, jak trafnie nazwano Dąb o Głębokich Korzeniach.

Michael chodził wśród ciał swoich ludzi i włosy jeżyły mu się ze zgrozy. Nie znalazł wprawdzie żadnych śladów tortur ani rytualnego kaleczenia ciał, w dodatku sam robił w życiu straszniejsze rzeczy, ale tym razem największe przerażenie budziła w nim niezwykła skuteczność zabójców.

Gammon szedł cicho za nim, wzrok wlepił w ziemię. Bał się odezwać, bał się podnieść oczy na dowódcę, który mógł w nich zobaczyć strach. Widywał potworniejsze rzezie, więcej trupów na pobojowiskach, ale jeszcze nigdy nie zetknął się z taką nonszalancją i brakiem ludzkich uczuć. Michael przynajmniej lubił swoje zajęcie. Profesjonalna obojętność była stokroć gorsza od jego zajadłości.

Wreszcie dowódca zatrzymał się i skinieniem głowy kazał Gammonowi pomóc żołnierzom, którzy układali ciała na stosie pogrzebowym. Sam spojrzął po rozległej łące, na której jego oddział pościgowy został wybity do nogi. Dłonią osłonił jasnoniebieskie oczy przed popołudniowym słońcem. Nie dostrzegł ani jednego miejsca nadającego się na zasadzkę. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, wysoka trawa, sucha od letniego upału, kołysząca się cicho na wietrze.

Istniała tylko jedna możliwość. Brat.

Michaelowi nagle zaschło w gardle. Pomyślał o dziewczynie. Falujące trawy, rozświetlone słonecznym blaskiem, skojarzyły mu się z jej długimi, złotymi, jedwabistymi włosami. Jakże uwielbiał ich muśnięcia na nagiej piersi. To wspomnienie często go nawiedzało, ale starał się je odpędzać, bo rozpraszało i narażało na niebezpieczeństwo.

Lecz dziewczyna zniknęła, a łąkowe trawy będą mu od tej pory przypominać, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Jeśli Brat ją porwał, dla niego była stracona. Drak na pewno ją zabił i wrzucił ciało do morza, zanim opuścił Easton. Niewiele wiadano o legendarnym zabójcy oprócz tego, że nie ma serca ani żadnych cielesnych żądz, które dawałyby Rapsodii cień szansy na przeżycie.

– Spalcie ciała – rozkazał. – Zbierzcie ekwipunek i siodła. Koniec poszukiwań.

Już na samym początku zaczęły się kłopoty.

Tuż pod wyrwą, którą Grunthor zrobił w korzeniu, znajdował się niewielki występ, liszajowata narośl proporcjonalna do rozmiarów drzewa. Rapsodia opuściła się na nią i zerknęła w głąb tunelu, którym oddalali się od niej dwaj towarzysze podróży wraz ze słabym migotliwym światłem pochodni.

– Poczekajcie! – zawołała lekko drżącym głosem. – Za szybko idziecie.

Tańczące wokół cienie przyprawiły ją o zawrót głowy i zimne poty.

– Zabawne – rozległ się w dole zgrzytliwy głos, wzmocniony i zwielokrotniony przez echo. – Można by pomyśleć, że to raczej ty idziesz za wolno.

– Proszę! – krzyknęła, walcząc z narastającym lękiem.

Odpowiedziała jej cisza. Raptem półka zadrżała i na krawędzi pojawiły się dwa ogromne łapska, a za nimi twarz Grunthora, wilgotna od wyziewów. Nawet w mroku widać było jego szeroki uśmiech.

– O co chodzi, księżniczko?

– Chyba nie dam rady – wyszeptała Rapsodia, nienawidząc samej siebie za słabość.

– Oczywiście, że dasz radę. Tylko się nie spiesz.

– Jestem Lirinką...

Firbolg się zaśmiał.

– Lepiej mi nie przypominaj. Dziś jeszcze nic nie jadłem.

– ...i nie czuję się dobrze pod ziemią.

– Widzę. Może w takim razie udzielę ci lekcji? Chodź. – Skinął na nią ręką. Drugą trzymał się włóknistej liny.

Rapsodia ostrożnie przesunęła się na brzeg występu i spojrzała w dół.

– To twój pierwszy błąd. Nigdy nie patrz w dół. Zamknij oczy i odwróć się.

Posłusznie wypełniła polecenie. Płytki zbroi zaskrzypiały cicho, kiedy Bolg muskularnym ramieniem otoczył ją w pasie i zdjął z półki. Z trudem zdusiła okrzyk przestrawu. Nozdrza wypełnił jej zapach metalu, potu, wilgoci i ziemi.

– Dobrze. Nie otwieraj oczu, obejmij korzeń i poszukaj punktu oparcia.

Bezpieczna w ramionach Grunthora, wyciągnęła ręce przed siebie i zaczęła przesuwając nimi po chropowatej powierzchni. Po chwili lewą namacała małe wgłębienie, a prawą – grubą odrośl. Chwyła się mocno.

– Teraz stopy. Dobrze. Możesz otworzyć oczy.

Tuż przed sobą ujrzała cętkowaną korę poznaczoną kłęczami i omszałymi naroślami, szorstką i nierówną w przeciwieństwie do gładkiej wewnętrznej ściany. Przyłożyła do niej ucho i usłyszała pulsujący szum. Dostała gęziej skórki. Pieśń podziałała na nią kojąco, nawet tutaj, w czarnym grobie.

– Wszystko w porządku?

Rapsodia pokiwała głową, nie odrywając się od Korzenia, upiornie bladego w półmroku. Wciągnęła głęboko jego ostrą woń. W tym momencie ledwo już widoczna pochodnia zamigotała i zgasła z sykiem.

– Sama widzisz, że nieźle sobie radzisz. Nie patrz w dół, idź bez pośpiechu. Jeśli zaczniesz spadać, złapię cię.

Olbrzym niezdarnie poklepał ją po plecach i ruszył w dół.

– Dziękuję – mruknęła za nim Rapsodia.

Wymacała następne uchwyty dla rąk, po czym ostrożnie opuściła nogę, aż trafiła na dogodny występ. Ramiona już ją bolały, dłonie piekły, kolana dygotały, a podróż jeszcze na dobre się nie zaczęła.

Wydawało się, że schodzą już wiele godzin, może nawet dni. Znajdując dużą narośl albo kłęczę, Rapsodia za każdym razem korzystała z okazji, żeby odpocząć, dać wytchnienie obolałym mięśniom, zebrać siły.

Nie widziała towarzyszy, ale słyszała ich od czasu do czasu. Kiedy Achmed docierał do kolejnego występu, okrzykiem dawał znać, gdzie się znajduje, wtedy ona i Grunthor czekali na swoją kolej.

Podczas jednego z tych krótkich postojów, gdy stopę miała zaklinowaną w szczelinie, a ramionami kurczowo obejmowała korzeń, znowu ogarnęła ją panika. Szeroki u podstawy Wielkiego Drzewa tunel, powstały w ciągu wieków dzięki obfitym wiosennym deszczom, stawał się coraz węższy, w miarę jak schodzili niżej. Sam korzeń był cieńszy, wyrastało z niego więcej bocznych pędów. Im bliżej schodziły się ściany, im bardziej zamykała się wokół niej ziemia, tym głośniej łomotało serce Rapsodii. Jako półkrwi Lirinka, była dzieckiem nieba i otwartych przestrzeni, a nie podziemnych korytarzy jak, Firbolgowie, rasa Grunthora. Każdy oddech stanowił udrękę dla płuc i duszy. Zaczęło się jej kręcić w głowie. Czuła się żywcem pogrzebana. Wiedziała, że nikt jej tu nie znajdzie. Lirinowie nie chowali swoich zmarłych w grobach, lecz powierzali ich ciała wiatrowi i gwiazdom, paląc je na stosach pogrzebowych. Świadomość, że znajduje się tak głęboko, przejmowała ją grozą. Tak głęboko.

Raptem poczuła na ramionach każdą grudkę ziemi, każdą bryłkę gliny. Ich ciężar wyduszał powietrze z płuc. Mocniej chwyciła się korzenia. Miała coraz silniejsze zawroty głowy, oblewał ją war.

Pieśń Wielkiego Drzewa, tak wyraźna i kojąca na początku drogi, teraz ucichła do ledwo słyszalnego szeptu. Rapsodia straciła resztki odwagi. Uszy wypełnił jej szum własnego

oddechu i łoskot serca, zupełnie jakby tonęła. Zaczęła łapać powietrze. Za głęboko. Za głęboko.

...Przestań młócić rękami!

Surowy, ale nie zagniewany głos ojca.

Zamknęła oczy i skupiła się na swojej nucie. Ela, szósty ton skali. Pierwsza rzecz, której się nauczyła na lekcjach muzyki, mentalny kamerton pozwalający ocenić wysokość dźwięku. Teraz pomoże jej zwalczyć panikę. Wzięła głęboki oddech i zaczęła cicho powtarzać jedną nutę.

Woda w stawie była chłodna, pokryta zieloną pianą, przez którą nie mogła dojrzeć dna.

...Tato?

Jestem tu, dziecko. Wolno poruszaj ramionami. Tak lepiej.

Zimno mi, tato. Tu jest za głęboko. Pomóż mi.

Spokojnie. Przytrzymam cię...

Zaczerpnęła powietrza i poczuła, że ściśnięte płuca rozprężają się trochę. Przed oczami stanęła jej uśmiechnięta twarz ojca, krople skapujące z brody i krzaczastych brwi, strużki płynące po policzkach.

...Nie woda jest groźna, tylko strach. Zachowaj spokój.

Rapsodia kiwnęła głową, tak jak wtedy, ale zamiast wody ze stawu strząsnęła z włosów kropelki potu.

...Bardzo tu głęboko, tato.

Fontanna wody z ust ojca.

To nieważne, póki masz głowę na powierzchni. Możesz oddychać?

Tak.

Więc nie przejmuj się głębokością. Skup się na oddychaniu, a będzie dobrze. I nie wpadaj w panikę. Ona najprędzej cię zabije.

Kolejny oddech był jeszcze łatwiejszy. Wspomnienia to pierwsze źródło wiedzy, mawiał Heiles, jej mentor. Kryje się w nich wielka moc, bo sama je zapisałaś. Z nich przede wszystkim czerp siłę i mądrość.

Już dwa razy sięgnęła w przeszłość i znalazła to, czego potrzebowała.

Głębokość nie ma znaczenia. Skup się na oddychaniu, a będzie dobrze. I nie wpadaj w panikę.

Powoli otworzyła oczy.

– Panienko?

Zaskoczona głosem dobiegającym z dołu, na chwilę straciła równowagę. Kurczowo objęła korzeń, ale mimo to zaczęła się zsuwać. Kora zdzierła skórę z rąk, odrosty i boczne pędy łamały się pod jej ciężarem, kalecząc ją i smagając po twarzy.

Spadała jak kamień, aż w pewnym momencie zatrzymała się gwałtownie na Grunthorze. Jego ciało przejęło cały impet i nawet nie drgnęło. Rapsodia wykręciła szyję i zobaczyła wesoły uśmiech na dużej szaro-zielonej twarzy.

– Witaj, księżniczko! Cały czas miałem nadzieję, że wreszcie kiedyś zaczniesz spadać! Może filiżankę herbaty?

Żart rozładował napięcie, które w niej narastało od dwóch tygodni. Parsknęła śmiechem, a olbrzym jej zawtórował.

– Grunthor! – Ostry głos położył kres ich wesołości. – Zmieniamy kierunek.

– Poczekasz tu, maleńka?

Rapsodia skinęła głową. Bolg znalazł jej dogodny punkt oparcia, a następnie podał małą buteleczkę. Gdy wypila parę łyków, zszedł do Achmeda, żeby się z nim poradzić. Wrócił po chwili.

– Trochę niżej jest całkiem szeroka półka. Tam się prześpimy. Mogę cię znieść.

– Nie, dziękuję. Jeśli to niedaleko, chyba sobie poradzę.

– Jak chcesz. Wystarczy mi świadomość, że na mnie lecis.

W dalszej drodze towarzyszył mu cichy śmiech Rapsodii.

Posiłek zjedli w milczeniu. Achmed zatknął pochodnię w płytką szczelinę nad ich głowami. Rapsodia rozkoszowała się blaskiem i ciepłem niewielkiego płomienia. Wcześniej była zbyt zaabsorbowana walką ze strachem, by zwracać uwagę na ciemność i wilgotny chłód.

Drak zebrał wcześniej z kory różne gatunki porostów i teraz wypróbował je kolejno jako źródło światła. Najlepiej i najdłużej paliła się pewna odmiana gąbczastego grzyba. Zrobił spory zapas paliwa i schował go do worka.

– Będziemy mieli światło i trochę ciepła – powiedział do Grunthora.

Firbolg, który właśnie oglądał kawałek suszonego mięsa znaleziony w jukach żołnierzy Michaela, z roztargnieniem skinął głową.

– Wody też nam nie zabraknie – dodał Achmed.

Na dowód słuszności tych słów wykręcił brzeg płaszcza. Popłynęła wąska strużka cieczy.

Rapsodia skończyła w milczeniu swoją rację. W miarę bezpieczna, mogła nareszcie pomyśleć o sytuacji, w jakiej się znalazła. Wiele kosztowała ją ciągła walka ze strachem, który nie opuszczał jej ani na chwilę. Nie zauważyła, że Achmed podaje jej jakieś warzywo. Musiał dopiero potrząsnąć nim tuż przed jej nosem.

– Zjedz.

Posłała mu mordercze spojrzenie, ale wzięła zielony pęd. Ugryzła kawałek i skrzywiła się. To coś było mdłe i włókniste. Z trudem przeżuła kęs i połknęła.

– Paskudztwo. Co to takiego?

– Korzeń. – Achmed uśmiechnął się na widok jej miny. – Korzeń?! Jesz Sagię?!

– Ty ją jesz. – Chwycił ją za ramię, gdy próbowała wstać. – Zastanów się dobrze, nim zwymiotujesz. Nie wiadomo, jak długo tu będziemy, a mamy niewiele zapasów. Co nam zaproponujesz do jedzenia, kiedy prowiant się skończy? – Zlekceważył jej gniewne spojrzenie. – A może wolisz, bym zadał to pytanie Grunthorowi?

– Bez obawy, panienko – odezwał się Firbolg. – Nie sądzę, żeby można się tobą najeść. Nie obraż się, ale jesteś koścista. Poza tym na pewno byłabyś twarda.

– Pasożyty nawet nie zauważają, że zjedliśmy trochę korzenia. Sagia również. Nie zrobisz jej krzywdy, a sama przeżyjesz. Po prostu dosłownie potraktujesz alegorię, że Wielkie Drzewo jest żywicielem Lirinów.

Rapsodia już chciała odparować, że Sagia ma duszę i jest żywą istotą, ale wykrztusiła tylko jedno słowo:

– Pasożyty?

– Nie zauważyłaś dziur? – zdziwił się Grunthor. Dziewczyna rozejrzała się niespokojnie. Do tej pory była zbyt pochłonięta ratowaniem się przed upadkiem na łeb, na szyję, by dostrzegać szczegóły. Teraz też zobaczyła jedynie omszały biało-zielony korzeń i otaczający go mroczny tunel. – Nie.

– Znajdujesz się w głębi ziemi, Rapsodio – powiedział Achmed nienaturalnie cierpliwym tonem. – To królestwo robaków, które żywią się korzeniami. Pewnie zauważyłaś, że jest tu dużo korzeni, prawda? – Dostrzegłszy w oczach dziewczyny lęk, chwycił ją za ramiona. – Posłuchaj, Grunthor i ja wiemy, co robimy, przynajmniej tak nam się wydaje. Jeśli będziesz postępować zgodnie z naszymi wskazówkami, może uda ci się stąd wydostać. Jeśli wpadniesz w panikę, zginiesz. Rozumiesz? – Gdy skinęła głową, dodał: – To już jakiś początek. Wspomniałaś, zdaje się, że jako Pieśniarka potrafisz sprowadzać albo przedłużać sen, tak?

– Czasami.

– Ta umiejętność może się nam bardzo przydać. No, trochę odpoczniemy i ruszamy dalej. Korzeń w tym miejscu odgałęzia się i przez jakiś czas biegnie poziomo, więc zmienimy kierunek. A teraz się prześpijmy.

Oparł plecy o korzeń i ukrył dziobatą twarz w kapturze.

Rapsodia przysunęła się bliżej pochodni. Miała nadzieję, że zdąży usnąć, nim światło zgaśnie. Zamknęła oczy, ale nie mogła odpędzić dręczącej wizji, że oblażą ją robaki żyjące w Sagii.

W ciszy śpiew Wielkiego Drzewa rozbrzmiewał głośniejsz, łagodnie kołysał ją do snu. W ostatnim przeblysku świadomości dziewczyna zanuciła melodię Bajarki w harmonii z pieśnią Sagii, która miała podtrzymywać ją na duchu w tym strasznym tunelu.

Tymczasem w otchłani, o jakiej Rapsodia nie śniła w najgorszych koszmarach, głęboko w trzewiach ziemi, ogromny wąż rozplótł potężne zwoje, nie budząc się ze snu. Owinięty wokół korzeni Wielkiego Drzewa, leżał w czarnych tunelach Sprzed Czasu i czekał na wezwanie.

Wkrótce rozgorzeje wojna, drzwi do świata zewnętrznego staną otworem i zacznie się długo oczekiwane zerowanie.

Achmed zbudził się w ciemności i od razu się zorientował, że Grunthor też już nie śpi. Sierżant patrzył na dziewczynę z wyrazem troski na twarzy. Rapsodia rzucała się i jęczała, dręczona przez koszmary.

– Biedactwo. – Bolg usiadł i oparł się plecami o korzeń. – Myślisz, że powinniśmy ją obudzić?

Achmed potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie. Jest Pieśniarką. Prawdopodobnie ma dar jasnowidzenia.

– Na pewno. Miłe z niej stworzenie. Lubię ją.

Drak uśmiechnął się lekko pod kapturem.

– Może widzieć przyszłość albo przeszłość, bo Pieśniarze są zestrojeni z wibracjami świata. Niewykluczone, że jej koszmary niosą ważne informacje.

Gdy Rapsodia zaczęła szlochać przez sen, Grunthor potrząsnął głową.

– Kiepski dar, jeśli ktoś chce znać moje zdanie. Powinna go zwrócić.

Achmed zamknął oczy i skupił się na biciu serc. Oprócz własnego odbierał silne i równomierne Grunthora, dobrze mu znane, i Rapsodii – galopujące jak oszalałe. Poza tym wokół nich dudniło tętno ziemi. Głęboki, mocny ton dobiegał z daleka, pulsował w jej żyłach – korzeniach Sagii. Lecz Drak nadśluchiwał innego, powolniejszego rytmu.

Minęła długa chwila. Ciągły szum Wielkiego Drzewa zagłuszał wszystko oprócz uderzeń trzech serc, kapania wody i cichych trzasków, gdy ściany tunelu pękały niepostrzeżenie. Achmed wiedział jednak, że prędzej czy później wyczuje potwora.

Otworzył oczy i spojrzał na przyjaciela. Grunthor nadal czujnie obserwował Pieśniarkę. Nogę wyciągnął wzdłuż krawędzi półki, chroniąc dziewczynę przed upadkiem.

– Będziemy musieli przywiązywać ją liną do pnia, zwłaszcza w czasie snu – rzekł Achmed, a Firbolg skinął głową.

Drak wstał i zerknął w bezdenną otchłań. Korzeń był coraz cieńszy, tunel również się zwężał.

– Stać cię na szlachetność, Grunthorze?

Towarzysz spojrzał na niego pytająco, po czym się uśmiechnął.

– Oczywiście. Mam ją we krwi, odkąd przed paru laty zjadłem pewnego księcia. A dlaczego pytasz?

– Chyba będziemy musieli nadłożyć drogi.

Z dręczącego snu obudziło Rapsodię ciepło na twarzy. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że klęczy nad nią Achmed z płonąca pochodnią, w kapturze naciągniętym na głowę. Jeszcze rozespana, pomyślała, że może nie jest całkiem pozbawiony wrażliwości. Zadbaj o to, żeby zaraz po przebudzeniu nie ujrzała jego przerażającego oblicza. Stłumiła w sobie niechęć, którą czuła od chwili, gdy wciągnął ją do korzeni Wielkiego Drzewa.

– Dzień dobry – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Może i tak. Mnie to raczej wygląda na noc.

Pomógł jej wstać. Rapsodia zadrżała, spojrzawszy poza krawędź obozowiska rozbitego na gigantycznym grzybie.

– Gdzie jest Grunthor?

– Po drugiej stronie korzenia. Musimy zmienić trasę. Wątpię, czy ci się to spodoba, bo czeka nas wspinaczka, ale później droga przez jakiś czas będzie biegła poziomo.

Rapsodia złożyła w kostkę szorstki wojskowy koc, pod którym spała, i podała go Achmedowi.

– Skąd wiesz, że nowa droga nie zaprowadzi nas głębiej w ziemię? – zapytała, starając się panować nad głosem.

Nic nie odpowiedział. Podeszedł do ściany i chwycił linę zamocowaną wcześniej przez Grunthora.

– Idź za mną – rzucił krótko.

Pokonywanie korzenia w poprzek okazało się trudniejsze niż schodzenie. Rapsodia kurczowo trzymała się liny i unikała patrzenia w dół. Mięśnie rąk i nóg drżały jej z wysiłku. Robiło się coraz zimniej.

– Nie spiesz się, panienko.

Zaczerpnęła oddechu. Wiedziała, że olbrzym jeszcze jej nie widzi. Nawoływał od chwili, gdy ruszyła w drogę, dodawał jej odwagi. Tym razem jednak w dudniącym basie brzmiał niepokój. Tak długo tkwiła w jednym miejscu, że zaczął się o nią bać.

– Idę! – odkrzyknęła.

Nie poznała swojego głosu. Zirytowana własną słabością, twardo postanowiła wytrwać. Odchrząknęła i spróbowała ponownie:

– Jestem prawie na zakręcie, Grunthorze.

Chwilę później Bolg wyciągał do niej rękę, szczerząc się od ucha do ucha. Stał przy wejściu do niewielkiego poziomego tunelu. Od głównego pała, którym do tej pory schodzili, odgałęziały się w tym miejscu boczne korzenie.

– Nie spiesz się – powtórzył wielkolud po raz setny. Skinęła głową i zamknęła oczy. Szła powoli, krok za krokiem, wsłuchiwała się w rytm łomoczącego serca. Tak jak dzień

wcześniej, zaczęła szeptać swoje muzyczne imię, dostrajając je do pieśni Wielkiego Drzewa. Wkrótce poczuła, że muzyka Sagii wypełnia ją, podtrzymuje na duchu, dodaje sił.

Po chwili, która dla niej trwała całą wieczność, silne dłonie objęły ją w pasie, uniosły w powietrze i delikatnie postawiły na twardym gruncie. Otworzywszy oczy, stwierdziła, że znajduje się w odnodze głównego korzenia, niewiele wyżej od Grunthora. Z gardła wyrwał jej się zduszony śmiech. Padła na kolana, ciesząc się, że nareszcie ma pod nogami solidne oparcie. Gigant też się zaśmiał.

– Podoba ci się tu, co, księżniczko? Ruszamy dalej? – Podał jej rękę. – Musimy dogonić Achmeda.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie, z którym walczyła od początku wędrówki. Potrząsnęła głową, kładąc się na plecach.

– Nie mogę. Muszę odpocząć. Przepraszam.

Przesunęła dłonią po ścianie wąskiego tunelu, zerknęła na popękane sklepienie. Z twarzy Bolga zniknął uśmiech.

– Dam ci minutę, księżniczko, ale potem idziemy. W każdej chwili sufit może ci się zwalić na głowę. Przypuszczam, że wolałabyś przy tym nie być.

Mówił ze spokojem, ale zdecydowanie. W taki sam sposób zapewne wydawał rozkazy swoim żołnierzom. Rapsodia westchnęła.

– Dobrze. Chodźmy.

Z początku szli wyprostowani, lecz niebawem musieli się wręcz przeciskać przez coraz węższą osłonę bocznego korzenia, a pod koniec nawet pęłzać. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie tunel się poszerzał. W oddali Rapsodia dostrzegła światło. Serce podskoczyło jej w piersi na myśl, że są blisko powierzchni ziemi.

Przyspieszyli kroku. Gdy w końcu wyszli z korytarza i stanęli prosto, Rapsodia gwałtownie wciągnęła powietrze. Przed nimi majaczyła potężna okrągła wieża, z której wyrastały pająkowate, miękkie odnogi. Z góry zwisały się długie cienkie kłaczka. Korzeń, którym do tej pory schodzili, był zaledwie jednym z odgałęzień.

Wyżej gigantyczny słup ginął z ciemnościach. Wnętrze tunelu, który stanowił jego osłonę, rozjaśniała wprawdzie czerwona poświata, ale dawała więcej ciepła niż blasku. Nie odchodził od niego żaden poziomy korytarz.

Bolesne rozczarowanie szybko ustąpiło miejsca mimowolnemu podziwowi.

– O bogowie, co to jest?

– Chyba korzeń palowy, który łączy drzewo z główną osią – powiedział Grunthor.

– Główną osią? O czym ty mówisz?

Usłyszała pogardliwe prychnięcie. Achmed tak całkowicie wtapiał się w mrok, że dopiero teraz go zauważyła. Stał na brzegu tunelu.

– Można by sądzić, że powinnaś mieć gruntowniejszą wiedzę. Myślałaś, że to koniec podróży? Jeszcze nie dotarliśmy do właściwego korzenia.

Starając się nie poddać rozpacz, Rapsodia wróciła pamięcią do historii, które opowiadała jej matka. „To Dąb o Głębokich Korzeniach. Jego żyły i arterie są liniami życia, które oplatają całą ziemię i łączą je z innymi świętymi drzewami rosnącymi na świecie”. Mama wspominała o ogromie Sagii, ale w dziecięcych wyobrażeniach Rapsodia widziała strzelisty pień sięgający nieba, jednak nie tak potężny, że ledwo by się mieścił na największym placu targowym stolicy.

Główne korzenie świętych drzew biegły wzdłuż Axis Mundi. W przeciwieństwie do swoich sąsiadów Lirinowie uważali, że Ziemia jest okrągła. Według nich oś, wokół której się obracała, stanowiła niewidzialną linię mocy, połączoną z korzeniem Sagii. To dlatego Wielkie Drzewo tak nieprawdopodobnie się rozrosło. Związane ze wszystkimi duszami na świecie, zgromadziło w sobie całą mądrość wieków.

– Masz na myśli Axis Mundi?

– Tak – odparł Grunthor.

Tymczasem Achmed splunął na ręce i chwycił jedno z wiotkich kłaczy. Oderwał się od ziemi, lekko rozkołysał i postawił stopę na wystającym węźle gigantycznego korzenia. Zaczął się wspinać powoli, obejmując ramieniem bladezielony trzon, żeby nie przeciążać słabszych bocznych odrostów. Po paru metrach spojrzał w dół.

– Wskakuj, Grunthor – powiedział nagłoco, po czym spojrzał obojętnie na Rapsodię i spytał: – Idziesz?

– Dokąd?

– Kto wie. Jak daleko sięgam wzrokiem, widzę to samo co tutaj. Zresztą jaki masz wybór?

Nie musiała odpowiadać. Wprawdzie nadal nie była pewna, czy Achmed jest jej wybawcą czy porywaczem, lecz jedyne, co mogła teraz zrobić, to podążyć za nim. Wciągnął ją w pułapkę, uwięził w Wielkim Drzewie, ale zdawała sobie sprawę, że bez niego nigdy się stąd nie wydostanie. Stłumiła nienawiść i westchnęła ciężko z głębi piersi.

– Przez ciebie nie mam żadnego wyboru. Idę.

Wspinaczka okazała się mordęgą. Rapsodia często się ześlizgiwała, co kilka razy omal nie doprowadziło do tragedii. Na szczęście, w korzeniu palowym było dużo węzłów i narośli, które służyły za oparcie dla rąk i nóg. Początkowo wchodziło się całkiem łatwo, jak po drabinie, lecz wkrótce tępy ból w ramionach stał się nie do zniesienia. Rapsodia próbowała lepiej wykorzystywać siłę nóg, żeby dać odpocząć rękom, ale żadne wysiłki nie przynosiły ulgi ani nie usuwały strasznego zmęczenia. Mężczyźni szybko zostawili ją daleko w dole, ale nawet oni coraz bardziej zwalniali. Przez cały czas miała ich w zasięgu wzroku. Przynajmniej Grunthora. Nie widziała nic oprócz Bolga i niekończącego się bladego korzenia.

Po godzinie nie dostrzegała pod sobą już niczego, co choć trochę przypominałoby ziemię. Otaczała ją wieczna ciemność. Czowała się jak zawieszona na niebie, między gwiazdami.

Na myśl o gwiazdach ścisnęło ją w gardle, ale dzielnie powstrzymała łzy, pamiętając o ostrzeżeniu Achmeda. Rasa jej matki, Liringlasowie, Pieśniarze Nieba, wierzyli, że wszystko, co żyje, jest częścią Boga i zbiorowej duszy wszechświata. Twierdzili, że niebo, które osłania swoje dzieci, jest święte. Dlatego oddawali mu cześć, śpiewem połączonym z modłami witali wschody i zachody słońca oraz pojawienie się gwiazd.

Cierpieniom, których doświadczyła w życiu, sama była winna. Uciekła z domu jako nastolatka, ale nadal marzyła o dniu, kiedy skruszona wróci do rodziny. Codzienne modlitwy, zwłaszcza pieśni do gwiazd, dawały jej pociechę. Sumiennie śpiewała poranne aubady i wieczorne vespery, myśląc o matce. Wiedziała, że ona również nuci prastare pieśni swojego ludu i wspomina dziecko, które utraciła. A teraz jej marnotrawna córka tkwiła uwięziona we wnętrzu ziemi, wiele mil pod powierzchnią, i prawdopodobnie nigdy więcej miała nie ujrzeć nieba.

– Wszystko w porządku, panienko?

Głęboki głos wyrwał ją z zamyślenia. Grunthor z troską spoglądał z góry. Rapsodia westchnęła ciężko.

– Tak! – odrzyknęła i podjęła mozolną wspinaczkę.

Achmed znalazł półkę dostatecznie szeroką dla nich dwóch i, trochę niżej, mniejsze wgłębienie dla niej. Rapsodia usadowiła się w niszy, cała odrętwiała z bólu i zmęczenia. Grunthor wychylił się ze swojej grzędy i podał jej butelkę wody, którą zebrał z kłaczy.

– Dobrze się czujesz, panienko?

Dziewczyna zdobyła się jedynie na słaby uśmiech i skinienie głową. Napiała się z wdzięcznością. Chwilę później na jej kolanach wylądowała lina.

– Przywiąż się do pnia – polecił Achmed. – Będziemy tu spać. Od tej pory musisz zawsze zabezpieczać się w ten sposób.

Rapsodia spojrzała w górę i napotkała jego spojrzenie. Mimo skrajnego wyczerpania dobrze zrozumiała sens jego słów. Końca drogi nie było widać. Możliwe, że podróż nigdy nie dobiegnie kresu.

Rapsodia straciła poczucie czasu. Wydawało się, że na świecie istnieje tylko korzeń, ich troje i wspinaczka bez końca. Nie wiedziała, jak długo już idą. Rzadko odczuwała głód, jej towarzysze jadali jeszcze rzadziej, więc nie mogli odmierzać mijających godzin według posiłków albo przerw na sen. Wreszcie zrezygnowali z prób określenia czasu. Została im tylko wędrówka i coraz słabsza nadzieja, że kiedykolwiek dotrą do celu.

Achmed i Grunthor przywykli do towarzystwa Rapsodii. Dziewczyna nigdy się nie skarżyła, niewiele mówiła, tylko czasem napędziała im strachu. Korzeń był za gruby, żeby

mogła go objąć, więc zsuwała się częściej niż oni. Od czasu do czasu Grunthor musiał na nią czekać.

Najbardziej uciążliwe okazały się dla nich nocne koszmary Pieśniarki. Nie zdarzało się, żeby przespała spokojnie choć kilka godzin. Zawsze budziła się z krzykiem, zlaną zimnym potem, rozdygotana.

We wnętrzu ziemi jej sny stały się bardzo plastyczne. Były to przeważnie tajemnicze wizje, nie mające żadnego związku z dotychczasowymi przeżyciami. Często też widziała Sagię, obchodziła ją w ciemności, dotykała z zachwytem lśniącej kory, ale nie mogła znaleźć dziury, przez którą weszli.

Pewnej nocy, w szczególnie niepokojącym marzeniu sennym, zobaczyła gwiazdę spadającą do morza. Fale wokół niej buchnęły płomieniem, po czym ogromna ściana wody pochłonęła wyspę. Rapsodia ujrzała Sagię i tysiące lirińskich pieśniarzy uczepionych jej gałęzi. Odziani na zielono, z wiankami polnych kwiatów na głowach i szyjach, śpiewali pięknie jak nigdy, podczas gdy drzewo znikало pod powierzchnią oceanu.

Dziewczyna jęknęła przez sen i zaczęła się miotać na wąskiej półce, szarpiąc linę, którą była przywiązana do korzenia. Achmed, który akurat pełnił wartę, zerwał jedną z bulwiastych narośli i cisnął w dół. Rapsodia rzeczywiście się uspokoiła.

Wkrótce przyśnił się jej burdel, w którym pracowała przed kilkoma laty. Zobaczyła wyraźnie sypialnię, urządzoną na czerwono jak we wszystkich domach publicznych, i królewskie łoże. Zadrżała gwałtownie, gdy przed oczami zaczęły się jej przesuwac wspomnienia, choć ze wszystkich sił próbowała je odpędzić.

Michael spoczywał w leniwej pozie na łóżku, ubłoconymi butami brudząc pościel.

– O, jesteś, Rapsodio – powiedział, wodząc po niej zachwyconym wzrokiem. – Już myślałem, że nie przyjdiesz.

– I nie zamierzałam przychodzić – stwierdziła oschle. – Co tutaj robisz? Co powiedziałaś Nanie? Dlaczego jest taka zdenerwowana?

– Poprosiłem jedynie o spotkanie z moją ulubioną dziewczyną. Chyba nie ma w tym nic złego?

– A ona na pewno cię poinformowała, że odmówiłam przyjmowania twoich wizyt. Dlaczego więc nadal tu jesteś?

Michael usiadł, ściągając przy okazji narzutę na podłogę.

– Pomyślałem sobie, że zmienisz zdanie, kiedy się przekonasz, jak mnie unieszczęśliwiła twoja decyzja.

Zdjął buty i dał znak jednemu ze swoich siepaczy. Zbir zamknął za nią drzwi.

Rapsodia zmrużyła oczy. Twarz stężała jej z gniewu.

– Nie wyglądasz mi na zdruzgotanego. Proszę, idź sobie. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Michael patrzył na nią ze szczerym podziwem. Była drobna, ale silna duchem. Wyraźnie czuł jej moc. Jako jedyna nie tylko mu się sprzeciwiała, ale nie odczuwała przy tym lęku.

Strach go podniecał, lecz wyzywająca postawa również, zwłaszcza że w końcu i tak miał wygrać.

– No, no, nie bądź taka popędliwa, Rapsodio. Mam za sobą bardzo długą drogę. Przynajmniej pozwól mi powiedzieć, czego chcę.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz. Wynos się!

– Aj! – zawołał Michael, chwytając się za pierś. – Jesteś zbyt zuchwała, moja droga. Nie toleruje bezczelności u swoich ludzi, ale u ciebie, o dziwo, ta cecha robi na mnie wrażenie. A skoro już mowa o wrażeniach, siądź obok mnie.

Poklepał łóżko i zaczął rozwiązywać spodnie.

– Przepraszam, Michaelu. Już ci mówiłam, że mnie nie interesujesz. Na pewno znajdziesz tu wiele innych dziewczyn, które będą bardziej niż szczęśliwe, mogąc ci służyć.

Ruszyła do wyjścia, lecz drogę zagroził jej siepacz.

– Masz racje, ale jestem zdruzgotany twoją obojętnością – rzekł Michael. – Na szczęście przygotowałem się na wypadek, gdybyś trwała w uporze. Jest tu twoja zastępczyni. Chcesz ją zobaczyć?

– Nie.

Spiorunowała wzrokiem szczerzącego się od ucha do ucha pacholka. Obecność dwóch zbirów ani trochę jej nie deprymowała. Powszechnie było wiadomo, że Nana ma najlepszych strażników w Easton, a ponadto dobre stosunki z gwardią miejską.

Wyczuła, że Michael się uśmiecha, choć stała do niego plecami.

– Dobrze, Rapsodio. Niech będzie po twojemu. Przykro mi, że nie doszliśmy do porozumienia. Puść ją, Karvolt.

Pacholek szerokim gestem otworzył przed nią drzwi. Okrutny grymas nie schodził mu z twarzy.

W tym momencie do sypialni wszedł trzeci opryszek, prowadząc dziecko, najwyżej siedmioletnie. Mała Liringlaska trzęsła się jak osika. Szal otulający jej ramiona należał kiedyś do dorosłej osoby, teraz był brudny i poplamiony krwią. Zaraz po wejściu dziewczynka pobiegła wzrokiem ku jedynej kobiecie obecnej w pokoju. Przerazenie malujące się w jej oczach kontrastowało ze stoicką twarzą, charakterystyczną dla przedstawicieli tej rasy.

Rapsodia z trwogą spojrzała na Michaela, który właśnie zdejmował spodnie.

– Co ona tutaj robi?

– Jeszcze nic – odparł, wyraźnie zadowolony z siebie. Strażnicy wymienili rozbawione spojrzenia. – Do widzenia, moja droga.

Ściągnął koszulę przez głowę i wyciągnął się nagi na łóżku.

– Zaczekaj! – syknęła Rapsodia. – Co ty sobie wyobrażasz? Skąd się wzięło to dziecko?

– To Petunia, moja podopieczna. Cała jej rodzina zginęła w pożarze domu. Doprawdy tragiczne. Ale nie martw się, kochanie. Ja się nią zaopiekuję. Możesz już iść.

Rapsodia wyrwała się siepaczowi, który ją trzymał, ukucnęła i wyciągnęła ręce do dziecka. Petunia podbiegła i ukryła twarz na jej ramieniu.

– Nie, Michaelu. Nie możesz tego zrobić. Na bogów, jesteś najbardziej odrażającym typem, jakiego w życiu spotkałam.

Zaśmiał się, coraz bardziej pewny siebie.

– Nie? A niby dlaczego, Rapsodio? Ona należy do mnie. Zostajemy tu dzisiaj na noc, bo nie chcę, żeby goście jakiegoś zajazdu nie mogli spać z powodu... hm, hałasów. Czy to nie wspaniałomyślne z mojej strony? Tutaj nikt nic nie zauważy. Prawdę mówiąc, odgłosy mogą nawet podniecić niektórych klientów.

Rapsodia spojrzała w krystalicznie niebieskie oczy i nie dostrzegła w nich śladu duszy, tylko triumfalny uśmiech. Michael wiedział, że ją podszedł. Przeniosła wzrok na dziecko. Mała zadrzała ze strachu i mocniej do niej przywarła, bliska łez.

– Wypuść ją.

– Nie bądź śmieszna. Ona mnie potrzebuje.

Rapsodia przeklęła go w ojczystym języku.

– Puść ją – powtórzyła.

– Dlaczego? Co ty mówisz? Jesteś zazdrosna! Nagle serce ci odtajało? Jakim cudem? Czyżby na widok mojej osoby w całej okazałości?

– Też coś! – prychnęła ze złością. Poglaskała dziewczynkę po włosach, szepcząc jej po lirińsku do ucha słowa otuchy. – Dobrze, Michaelu. Czego chcesz?

– Po pierwsze, trochę prywatności.

– Tę prośbę mogę spełnić. – Rapsodia wstała, biorąc dziecko za rękę. – Z radością zostawimy cię samego.

Michael zmrużył oczy.

– Nie marnuj mojego czasu, kochanie. Taka gra jest zabawna tylko przez chwilę. Odprawię swoich ludzi, gdy dostanę od ciebie słowo, że po zaprowadzeniu małej do Nany spełnisz wszystkie moje życzenia. Jestem pewny, że właśnie taki masz zamiar, prawda? I wiem, że mogę ci zaufać, skarbie. Jesteś tutaj dobrze znana.

– Cóż, ty również – odparowała Rapsodia. – Dobrze, ty bydlaku. Zaraz wracam.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła z Petunią do drzwi.

– Zaczekaj – powiedział Michael szczególnym tonem, który od razu wzbudził w niej niepokój. – Jeszcze nie omówiliśmy warunków.

– Warunków? Czyżbyś oczekiwał czegoś innego niż zwykle? Może lekcji szycia?

Roześmiał się.

– Naprawdę mnie zadziwiasz, moja droga. Impertynencka nawet w obliczu poważnego niebezpieczeństwa. – Przetoczył się na brzuch i podpełził do krawędzi łóżka. Mięśnie grały mu pod skórą jak u kota czatującego na zdobycz. – Karvolt, zabierz małą na korytarz.

Rapsodia pogłaskała dziewczynkę po głowie i puściła jej rękę. Gdy zostali sami w pokoju, Michaelowi rozbłysły oczy.

– A teraz posłuchaj, moja droga. Moi ludzie i ja zostajemy tutaj przez dwa tygodnie, po czym ruszamy w drogę. Bardzo długo nas nie będzie. Oczywiście będę za tobą tęsknił. Prawdopodobnie miną lata, nim znowu się zobaczymy, ale obiecuję, że wrócę. Mam do ciebie słabość, Rapsodio. Śnię o tobie prawie co noc. I wiem, że ty czujesz do mnie to samo. – Uśmiechnął się, widząc odrazę na jej twarzy. – A oto pierwszy warunek naszej umowy: aż do wyjazdu będziesz na każde moje skinienie. Nana łaskawie zgodziła się wynająć mi ten pokój na cały pobyt. Jeśli spełnisz moje oczekiwania, jak zawsze, zostawię ci małą. Gdybyś jednak stroiła fochy, zabiorę ją ze sobą i do końca życia nie uwolnisz się od wyrzutów sumienia. Drugi warunek: oczekuję, że będziesz bardzo wylewna w okazywaniu mi uczuć i pragnienia, które, jak wiem, ciebie też trawi.

– Chętnie bym ci zademonstrowała, czego teraz najbardziej pragnę – odparła, starając się panować nad głosem. – Daj mi swój pas.

– Karvolt?! Czy Petunia ma się dobrze? – Z korytarza dobiegł mrozący krew w żyłach krzyk bólu. – Przepraszam, kochanie, ale nie dosłyszałem. O czym mówiliśmy? – Roześmiał się na widok dzikiej wściekłości, która zapłonęła w jej oczach. – Widzę, Rapsodio, że jesteś zagniewana. Coś się stało? – Jego wzrok nagle stwardniał. – Wracajmy do naszej umowy. Nie tylko zaspokoisz wszystkie moje życzenia, ale zrobisz to ochoczo, z najwyższą radością. Dowiedziesz swojej miłości słowami i czynami. Odjeżdżając, chcę zabrać ze sobą twoje serce. Możesz mi obiecać wzajemność?

– Nie. Przykro mi. Zgadzam się na pierwszy warunek, ale kłamać nie potrafię, o czym dobrze wiesz. Zresztą i tak rozpoznałbyś fałsz.

Uniósł się na łóżku.

– Karvolt, przyprowadź Petunię!

Chwile później zbir wciągnął dziewczynkę do pokoju.

– Nie, Michaelu, proszę. Proszę!

Gdy dziecko zaczęło szlochać, zagroziła Karvoltowi drogę. Wyrwała mu Petunię z rąk.

– Dobrze, Michaelu, powiem wszystko, co zechcesz, ale zostaw ją w spokoju.

– Udowodnij to, kochanie. Przekonaj mnie, że mogę ci wierzyć.

Rapsodia rzuciła groźne spojrzenie rozradowanym siepaczom i pospiesznie wyciągnęła dziecko na korytarz.

– Nana! – zawołała. – Daj jej coś do jedzenia.

Obdarzyła dziewczynkę uśmiechem i łagodnie pchnęła ją w stronę schodów. Na dole już czekały na małą kobiety. Rapsodia westchnęła i wróciła do sypialni.

Michael akurat poprawiał poduszki.

– A teraz powiedz, czego pragniesz, kochanie. – Mówił ciepłym szeptem, zmysłowym, ale jednocześnie groźnym.

Spojrzała mu w oczy i wypraktykowanym ruchem zaczęła powoli rozpinąć guziki bluzki.

– Zostawcie nas – rzuciła do strażników. – Chcemy być sami.

Michael uśmiechnął się lubieżnie.

– Słyszeliście? Ta piękna kobieta pragnie zadowolić kochanka. Prawda, skarbie?

Nie odwróciła wzroku. Zdjęła bluzkę i upuściła ją na podłogę. Michaelowi przyspieszył puls.

– Tak. Zostawcie mnie z moim kochankiem.

Rapsodia zaczęła się rzucać i mamrotać przez sen. Achmed szturchnął nogą Grunthora, by go obudzić. Dziewczyna mruczała coś do siebie i sypała wyzwiskami, nie otwierając oczu. Potem wybuchnęła płaczem i ze wszystkich sił próbowała uwolnić się z pęt. Grunthor przytrzymał się długiego pędu i mocno wychylił. W tym samym momencie lina się rozwiązała i Rapsodia runęła z występu. Ocknąwszy się, krzyknęła przerażona i kurczowo chwyciła za korzeń. Dłonie aż ją zapiekły od szorowania po szorstkiej powierzchni. Jednocześnie poczuła, że silne ramię obejmuje ją w pasie i ciągnie do góry.

– No, no, księżniczka tym razem leciała na kogoś innego, co?

Chwile później Bolg postawił zdezorientowaną dziewczynę na nogi, ale nadal przyciskał ją mocno do potężnej piersi. Rapsodia zadarła głowę i zobaczyła, że groźne rysy rozjaśnia szeroki uśmiech.

– Dziękuję. – Rozejrzała się po tunelu i wróciła spojrzeniem do twarzy wielkoluda. – Bardzo ci dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie, złotko. Wybacz mi śmiałość, ale może lepiej, żebyś spała między nami, co?

– Kiepski pomysł – dobiegł z góry chropawy głos. – Nie wiadomo, czy spadające ciało, nawet takie drobne, nie pociągnie cię za sobą, Grunthorze.

– Achmed ma rację, panienko. Przykro mi – powiedział Firbolg.

Rapsodia gotowa byłaby przysiąc, że olbrzym patrzy na nią ze szczerym współczuciem.

– Rozumiem.

Ruszyła w dół, ale nagle się pośliznęła. Grunthor złapał ją błyskawicznym ruchem, po raz drugi ratując przed upadkiem.

– Chodź no tutaj, panienko.

Dźwignął ją bez wysiłku na swoją grzędę, po czym wyciągnął się jak długi. Łagodnie przytulił dziewczynę do piersi i otoczył potężnym ramieniem.

– Jej wysokość życzy sobie tu spać? – zapytał, głaszcząc ją niezdarnie po głowie. – Już ja zadbam, żebyś była bezpieczna, skarbie.

Zerknąwszy na koszmarną twarz, Rapsodia doszła do wniosku, że maluje się na niej dobroć, a nie głód. Firbolg budził grozę samym wyglądem, poza tym na własne oczy widziała, do czego jest zdolny, ale czuła, że nie zrobi jej krzywdy. Mogła mu zaufać.

- Dziękuję – powiedziała cicho i uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Położyła mu głowę na piersi, zamknęła oczy. Grunthor zadrżał.
- Oooo, strzeż się tego uśmiechu, panie. Jest zabójczy.
- Dzięki za ostrzeżenie – dobiegło z góry. – Jakoś sobie poradzę.

– Widzę przerwę w tunelu.

Zgrzytliwy głos odbił się od ścian i wypełnił cały szyb. Ziemia na ogół pochłaniała dźwięki, więc echo zaskoczyło Rapsodię i Grunthora, wyrываяc ich ze snu. Dziewczyna usiadła gwałtownie. Złote włosy niczym pled okrywały pierś Firbolga, który z kolei posłużył jej za materac.

Olbrzym spojrział w górę i dostrzegł ledwo widoczną zmianę w czerwonej poświacie. Skinął głową na znak potwierdzenia.

– Tak, chodźmy tam szybko – powiedział.

Wspinaczka tym razem wydawała się łatwiejsza. Rapsodia znalazła w sobie nowe siły na myśl o świeżym powietrzu i otwartej przestrzeni, poruszała się pewniej. W czasie wędrówki mrocznymi korytarzami odpędzała wszelkie rojenia o ucieczce. Budziły w niej panikę, wywoływały rozczarowanie, odbierały nadzieję i ducha. Nawet teraz wołała hamować podniecenie.

Okazało się, że mądrze robiła. Choć szli w górę bez chwili odpoczynku, przerwa w tunelu wcale się nie przybliżała. W końcu, gdy zabrakło im sił, rozbili obóz i pożywili się resztką zapasów, które niósł Achmed.

Gdy Rapsodia przeżuła suchą fasolę oraz kawałki Sagii i popiła je kubkiem wody zebranej z cienkich korzonków grubości włosa, ogarnęło ją poczucie osamotnienia i strach. Od poprzedniej nocy udawało się jej nie myśleć o ostatnim śnie, bo miała w perspektywie koniec mordęgi, a w dodatku pocieszała się, że Michael nigdy jej nie znajdzie. Teraz nieproszone wspomnienia wróciły z całą siłą.

Najgorsza w czasie tamtych koszmarnych dwóch tygodni była nie jego deprawacja, lecz całkowita nieprzewidywalność. Czasami zamykał się z Rapsodią w pokoju na całe dni, nie pozwalając wyjść, domagał się nieustającej uwagi. Potem, bez wyraźnych powodów, ciągnął ją na dół do jadalni i brał na stole, pośród srebrnej zastawy, przy osłupiałych podkomendnych, którzy mogli jedynie patrzeć albo odwracać wzrok, podczas gdy stygło im jedzenie.

Czasami opanowywała go zazdrość. Raz zbił do krwi jednego ze swoich pachołków za to, że spojrział w jej kierunku. Kiedy indziej zmuszał ją do świadczenia usług tyłu mężczyznom, ilu zdołał zwołać, jednemu po drugim. Marzyła o śmierci. Jediną jej pociechą była myśl, że przynajmniej dziecko jest bezpieczne.

Wreszcie nadszedł koniec udreki. Ostatniego dnia Rapsodia stała i patrzyła, jak Michael siodła konia. O dziwo, był w wyjątkowo dobrym humorze. Uśmiechnął się szeroko, wziął w dłonie jej twarz i z czułością pocałował na pożegnanie.

– Cudownie, że cię znowu zobaczyłem, Rapsodio. Już nie mogę się doczekać powrotu. Będziesz za mną tęsknić?

– Oczywiście – zapewniła skwapliwie. Kłamstwa już nie więzły jej w gardle.

– Grzeczna dziewczyna. Karvolt, bierz Petunię i ruszajmy.

Ogarnęło ją przerażenie.

– Co?! Przecież ona zostaje. Taka była umowa.

– Nie bądź śmieszna. Zanim rozplątałem głowę jej drogiemu ojcu, przyrzekłem mu, że osobiście się małą zaopiekuję. Chyba nie oczekujesz, że złamię słowo, prawda?

Z wnętrza domu dobiegły krzyki i po chwili wyszedł z niego Karvolt, niosąc dziewczynkę.

Rapsodia wpadła w panikę. Doskonale wiedziała, że wymuszanie umów i ich łamanie leży w charakterze tego człowieka. Michael uśmiechał się od ucha do ucha, patrząc, jak łzy ciekną jej po twarzy. Nie puszczał jej do Petunii. Wreszcie poddała się, szlochając.

– Proszę, Michaelu, nie łam słowa. Oddaj mi ją, błagam.

– Dlaczego miałbym to zrobić, moja droga? Właśnie spędziłem najlepsze dwa tygodnie w życiu. Przyzwyczyłem się do rozkoszy. Ktoś musi cię zastąpić.

Odwrócił się na pięcie, ale Rapsodia chwyciła go za ramię.

– Więc weź mnie ze sobą. Zostaw dziewczynkę. – Wiedziała, że najpierw wykorzystałby Petunię, a potem ją zabił.

Twarz Michaela jaśniała triumfem.

– Jakież to wzruszające! Kto by uwierzył, że jesteś tą samą dziewczyną, która dwa tygodnie temu publicznie mnie odtrąciła? Domyślam się, że to moje starania wpłynęły na zmianę twojego nastawienia, moja droga, prawda?

– Tak. – Pomyślała z goryczą, że przez ten czas rzeczywiście dużo się w niej zmieniło.

– Jestem lepszy, niż sądziłem. Przykro mi, Rapsodio, ale nie mogę ci pomóc. Wątpię, czy będziesz na mnie czekać, więc trudno oczekiwać, żebym ja był ci wierny. Siodłaj konia, Karvolt.

W ostatnim akcie desperacji Rapsodia zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała go w usta. Michael osłupiał, ale już po chwili zaczął ją obmacywać z zapalem. Przytuliła się do niego i szepnęła mu do ucha:

– Zrobiłbyś coś takiego kobiecie, która cię kocha?

Michael odsunął ją od siebie i spojrzał jej w twarz.

– Kochasz mnie? Naprawdę? Przysięgnij, a zostawię ci Petunię.

Rapsodia spostrzegła, że Karvolt uważnie obserwuje ją z siodła.

Za nim wierzgała związana dziewczynka.

– Dobrze, ale najpierw oddaj ją Nanie.

– To musi być szczerza przysięga, Rapsodio. Nie nabiorę się na żadne sztuczki.

– Będzie szczerza, obiecuję.

Michael dał znak. Karvolt rozwiązał dziecko i zсадził je z konia. Nana pospiesznie zabrała małą do domu.

– No dobrze, moja droga. Co chciałaś mi powiedzieć?

Rapsodia wzięła głęboki oddech.

– Przysięgam na Gwiazdę, że do końca świata moje serce nie pokocha innego mężczyzny. Czy to ci wystarczy?

Uśmiech zwycięstwa, który rozlał się po jego twarzy, przyprawił ją o mdłości. Michael nachylił się i pocałował ją delikatnie.

– Tak. Ja też cię kocham i w moim sercu nie ma miejsca dla żadnej innej. W łóżku może tak, ale nie w sercu. Wróć do ciebie, Rapsodio, i potem już zawsze będziemy razem.

Kiwnęła głową w odrętwieniu. Przed chwilą poświęciła coś, co znaczyło dla niej mniej, niż Michael sądził. Swoje serce oddała już dawno temu, umarło wraz z tym, który je zabrał.

Skrzyżowawszy ramiona, patrzyła za odjeżdżającymi. Michael uśmiechnął się promiennie i pomachał jej na pożegnanie. Zaczekała, aż oddział zniknie z oczu, po czym pobiegła za krzaki i wymiotowała.

– Robaki!

Rapsodia usiadła raptownie i spojrzała zaskoczona na Achmeda; najwyraźniej czytał jej w myślach. Lecz gdy powędrowała wzrokiem za jego wyciągniętym palcem, gwałtownie wciągnęła powietrze. Po korzeniu pełzły w dół białe wijące się stwory, większe od jej przedramienia, zwabione ciepłem wydzielanym przez ciała ich trojga.

Zadrżała i błyskawicznym ruchem sięgnęła po sztylet. Robaki były trzy razy dłuższe od ostrza, co oznaczało, że nawet jeśli zabije jednego, pozostałe zdążą ją całą obleźć.

Nagle Grunthor silnym ramieniem objął ją ciasno w pasie, odsunął do tyłu, a sam wspiął się wyżej, aż znalazł szerokie wgłębienie, gdzie bez trudu się zmieścił. Rapsodia ruszyła jego śladem. Po paru krokach natrafiła na kępę cienkich korzeni tworzących występ, na którym mogła swobodnie stanąć.

Słyszając cichy świst pocisków wypuszczonych z cwellana, zaczęła się modlić, żeby Achmed nie spudłował, bo dyski posypałyby się na nią i Grunthora.

Robaki poruszały się nadzwyczaj szybko, ich marszu nie opóźniały żadne przeszkody. Wkrótce dotarły do Achmeda, zaroily się. W jego rękach błysnęła stal. Choć Rapsodia nie dostrzegła poszczególnych ciosów, z góry spadły pierwsze martwe ciała. Niektóre musnęły ją w locie.

Były to larwy takiego samego białawego koloru jak korzeń, ale z cienkimi purpurowymi żyłami rysującymi się tuż pod skórą. Lepki miały podobne ubarwienie. Jedna larwa wplątała się jej we włosy i ugryzła ją w głowę małymi, ostrymi zębami. Dziewczyna z trudem powstrzymała się od krzyku.

Tymczasem Grunthor zdjął z pleców wielki miecz i zaczął siać wokół siebie spustoszenie. W głąb tunelu poleciał deszcz bezgłowych larw.

Z refleksem wykształconym na ulicach Easton Rapsodia zrobiła unik i skupiła uwagę na robakach, które uniknęły gwałtownej śmierci, a teraz sunęły z góry prosto na nią. Były ich dziesiątki.

Grunthor zerknął w dół.

– Hej, panienko, nie możesz walczyć tym maleństwem – stwierdził, nie przerywając rzezi. Rapsodia ledwo zdążyła się uchylić przed masą krwawych szczątków. – Weź jeden z moich kozików. – Stał w taki sposób, żeby mogła dosięgnąć jednej z licznych rękojeści, którymi były najeżone jego plecy.

Potrząsnęła głową.

– Umiem się posługiwać wyłącznie sztyletem.

Na potwierdzenie tych słów odcięła głowy dwóm robakom, które przywarły do korzenia tuż nad nią. Trzeci zatopił zęby w jej ramieniu. Krzyknęła i zaczęła energicznie machać ręką, żeby go strząsnąć.

– Odwróć się – powiedział spokojnie Firbolg. Schylił się, nabił larwę na czubek miecza i cisnął w przepaść. Dziewczyna syknęła z bólu, bo w paszczy stworzenia został kawałek jej ciała. – Później udzielę ci paru lekcji, skarbie – zapowiedział olbrzym.

– Jeśli przeżyję – odmruknęła, broniąc się przed kolejnym atakiem.

– Ja już skończyłem ze swoimi – oznajmił Achmed i zjechał po linie na występ, na którym stał jego przyjaciel.

– Mnie zostało tylko parę – odparł Grunthor, wywijając mieczem. – Lepiej pomóż księżniczce.

– Połóż się – rzucił krótko Drak.

Rapsodia go posłuchała, przy okazji rozgniatając jedną larwę. Zaciśnęła powieki, gdy nad uchem świsnęły jej dyski z cwellana.

– Już możesz otworzyć oczy – rozbrzmiał obok niej zgrzytliwy głos.

Aż zapało jej dech, gdy raptem ujrzała Achmeda tuż przed sobą. Zwykle szedł pierwszy, ona na końcu, więc już zdążyła zapomnieć, jak wygląda jego twarz.

– Dziękuję – wykrztusiła ochryple i nagle zauważyła jego przedramię. – Ty krwawisz.

Achmed nawet nie spojrzał na ranę.

– Pewnie tak.

Zerknął na towarzysza. Kiedy Grunthor skinął głową, Drak objął korzeń i ruszył w górę.

– Pozwól, że najpierw opatrzę ci ranę. Kto wie, czy te stwory nie są jadowite. – Rapsodia mówiła spokojnie, choć serce waliło jej młotem. Nieraz już się przekonała, że w chwilach niebezpieczeństwa potrafi zachować zimną krew. Dopiero poniewczasie uświadamiała sobie w pełni, co jej groziło, i z opóźnieniem odczuwała skutki napięcia.

– Przeżyję – burknął Wąż.

– Ona może mieć rację, panie. Kto wie, skąd przyszły te robale. Mogą być sługami naszego miłego przyjaciela.

Po chwili namysłu Achmed zsunął się w powrotem na występ, na którym stała Pieśniarka.

– Dobrze, tylko się nie grzeb.

– Jesteś umówiony na randkę? – odpaliła Rapsodia.

Obejrzała jego przedramię. Rana była głęboka i mocno krwawiła. Dziewczyna ostrożnie poliała ją wodą z bukłaka. Mięśnie Achmeda napięły się, ale twarz pozostała kamienna.

Rapsodia wyjęła z plecaka małą buteleczkę. Gdy ją odkorkowała, w powietrzu rozeszła się intensywna woń ziół i octu winnego. Nasączyła miksturą czystą lnianą chusteczkę i przyłożyła do rany, po czym całość owinęła kawałkiem płótna. Achmed drgnął.

– Nie ruszaj się – skarciła go. – Nigdy przedtem tego nie robiłam.

– Pociuszające. – Skrzywił się, czując nieznośne pieczenie. – Jeśli zamierzasz pozbawić mnie ręki, to wiedz, że nie potrzebuję obu, by cię zabić.

Rapsodia się uśmiechnęła. Twarz miała umorusaną i zakrwawioną po walce, ale oczy błyszczały jej w ciemności. Achmedowi mimo woli drgnęło serce. Grunthor miał rację. Uśmiech Pieśniarki potrafił zniewalać. Na przyszłość lepiej być czujnym.

Tymczasem dziewczyna nuciła monotonną melodię, która szybko zaczęła go irytować. Bał się, że lekkie wibracje na nowo podrażnią świeżą ranę, która dopiero co przestała go szczypać.

– Przestań hałasować – rzucił szorstko. – Dzwoni mi w uszach.

Rapsodia się zaśmiała.

– Inaczej lek nie zadziała. To pieśń uzdrawiająca.

Nic nie odpowiedział. Po chwili do melodii dołączyły słowa w nie znanym mu języku.

– Ładna – odezwał się z góry Grunthor. – Jeśli po wydostaniu się z tej śmierdzącej dziury nie znajdziemy pracy, może księżniczka nauczy nas paru piosenek i zostaniemy wędrownymi trubadurami. Już to widzę: „Objazdowy Teatr Doktora Achmeda Węża”.

– Świetny pomysł – stwierdziła Rapsodia. – Niech zgadnę. Pewnie śpiewasz tenorem, Achmedzie. – Nie zwracając uwagi na jego chmurne spojrzenie, powoli zaczęła odwijać bandaż. – Prawdę mówiąc, obaj powinniście bardziej cenić muzykę. Ona ma wielką moc.

– To prawda. Swoim śpiewem potrafię całkiem niezłe zadawać ból. Przynajmniej tak twierdzili moi żołnierze.

Rapsodia uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Śmiało, kpijcie sobie, jeśli chcecie. Ale to właśnie muzyka w takiej czy innej formie pomoże nam się stąd wydostać.

– Owszem, jeśli tak bardzo mnie zdenerwujesz swoim zawodzeniem, że użyję cię jako tarana – burknął Achmed.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Muzyka to tylko rodzaj przewodnika wśród wibracji, z których jest utworzony świat. Posiadając właściwą mapę, można dotrzeć wszędzie.

Otworzyła worek i wyjęła z niego uschnięty kwiat.

– Pamiętasz? Uznałeś, że to zwykła sztuczka, ale po prostu nie rozumiałeś, jak ona działa. Nawet po długim czasie można przywrócić go do życia.

Zlekceważyła ironiczne spojrzenia, które obaj wymienili. Położyła kwiat na dłoni Achmeda, cicho zaśpiewała jego nazwę i wróciła do odwijania bandaża.

Tymczasem płatki zaczęły pęcznieć od wilgoci, prostować się, ożywać. W cuchnącym powietrzu tunelu rozszedł się delikatny zapach pierwiosnka.

– Śpiew działa tylko na kwiaty?

– Nie, na wszystko.

Gdy Rapsodia wreszcie zdjęła opatrunek, w miejscu ziejącej, poszarpanej rany widniała cienka różowa kreseczka świeżej blizny. Po chwili ona również zniknęła bez śladu.

Nawet Achmed był pod wrażeniem.

– Jak to zrobiłaś?

– Nic nie dorównuje mocą nazwie. W niej zawarta jest tożsamość, istota rzeczy, jej indywidualna historia. Dzięki niej dana rzecz może stać się na powrót taka, jaka była kiedyś, nawet jeśli bardzo się zmieniła.

Achmed łypnął na nią złośliwie.

– Ta umiejętność musiała być bardzo przydatna w twojej profesji. Ile razy sprzedałaś swoje dziewictwo? Czy za każdym razem dostawałaś lepszą cenę? – Zobaczywszy drgnienie ust dziewczyny, pożałował swoich słów. Nie spodobała mu się własna reakcja, więc nadał głosowi ton sarkazmu: – Och, bardzo przepraszam. Uraziłem cię?

– Nie – odparła Rapsodia krótko. – Nie jesteś w stanie powiedzieć nic, czego bym już wcześniej nie słyszała. Przyzwyczyłam się do mężczyzn, którzy robią z siebie osłów.

– Hej! – zawołał Grunthor z udawaną obrazą. – Uważaj, kochanie, bo od dawna nie zjadłem porządnego posiłku.

– Oto kolejny przykład – odparowała. – Mężczyźni mają przewagę w postaci siły fizycznej i wielu bez skrępułów ją wykorzystuje, gdy nie mogą wygrać dzięki rozumowi i dowcipowi. Kto waszym zdaniem wymyślił prostytutkę? Kobiety? Sądzicie, że sprawia nam przyjemność ciągle poniżanie się? Nasze usługi są bardzo poszukiwane, ale zapewniam was, że niewiele kobiet wykonuje je z własnej woli.

Poląła leczniczą miksturą własne skaleczenia i ukąszenia, a następnie podała buteleczkę Grunthorowi. Bolg pokręcił głową.

– Mężczyźni często zadają sobie wiele trudu i nie szczczędzą kosztów, żeby zaspokoić swoje pragnienia, a potem odwracają się do kobiet plecami albo je obrażają – ciągnęła. – Zachowują się tak, jakby uważali, że to one powinny się wstydzic. Tego właśnie nie mogę pojąć. Każdy potrafi zrozumieć, że głodny człowiek ucieka się do kradzieży, by nakarmić

rodzinę, kobieta zaś, zmuszona z tego samego powodu do nierządu, przestaje być człowiekiem. Mniejsza o mężczyznę, który korzysta z jej usług. On oczywiście nie zasługuje na potępienie. Wszyscy jesteście tyle samo wari. Postanowiłam żyć w celibacie.

– Słusznie – zaśmiał się Grunthor. – Trochę sprzedasz tu, trochę tam...

Pieśniarka wypowiedziała jedno słowo i komentarz giganta ucichł w pół zdania. Bolg poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wytrzeszczył oczy ze zdumienia i spojrzał bezradnie na przyjaciela.

Achmed chwycił dziewczynę za ramię.

– Co mu zrobiłaś? Jaki rzuciłaś czar? Zdejmij go natychmiast!

Rapsodia nawet nie mrugnęła okiem.

– Nie jest pod działaniem żadnego czaru. Może mówić, jeśli chce.

– Wątpię... O! Zdaje się, że już mnie słyszała. Wybacz, panienko. Nie chciałem być przykry.

– Nie musisz przeproszać. Jak wspomniałam, nie jesteście w stanie mnie obrazić. Wszystko już w życiu słyszałam.

– Nikt cię nie osądza – wtrącił Achmed. – Wyznajemy zasadę: żyj i pozwól żyć innym. Prawda, Grunthorze?

Bolg parsknął śmiechem.

– Tak. Żyj i pozwól żyć innym. Albo raczej: zabij i zjedz. Pamiętaj, że na tym polega mój zawód, panienko. Właściwie to tylko na zabijaniu, natomiast jedzenie to dodatkowa korzyść. I jeszcze zależy kogo.

Rapsodia nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

– Więc jak odebrałaś mu głos, jeśli nie czarami?

– Wymówiłam nazwę ciszy i nastąpiła cisza. Jak twój nadgarstek?

– Dobrze. Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Niechętnie przerywam tę wymianę uprzejmości, ale chyba powinniśmy ruszać, nie sądzicie?

– Masz rację – stwierdził Achmed i wstał. – Kończą się dyski. Jeśli robaki wrócą, będę musiał dobrze wykorzystać te, które mi zostały.

Rapsodia zadrżała na myśl o larwach. Schowała do worka kwiat oraz buteleczkę z ziołowym wyciągiem i podjęła mozolną wspinaczkę donikąd.

*Jesteś prochem, po którym stąpam,
Jesteś pianą na wodzie.
Nie posłuchasz moich rozkazów,
A przebiję cię ostrzem ze stali.*

*Gardzić sierżantem to zbrodnia,
Cokolwiek on sądzi o tobie.
Lepiej nie rozgłaszaj swojej opinii,
Bo skończysz w kotle z gulaszem.*

Rapsodia uśmiechnęła się, słysząc dudniący bas Grunthora. Olbrzym najwyraźniej tęsknił za wojskiem, którym kiedyś dowodził, choć nigdy nie opowiadał, kim byli jego żołnierze ani co się z nimi stało. Marszowe przyśpiewki umilały monotonną podróż, dawały wejrzenie w dawne życia Bolga, a nade wszystko pozwalały docenić, że jeszcze nie włączył jej do swojego menu.

Trafiwszy na kępę drobnych korzonków, skorzystała z okazji, żeby chwilę odetchnąć. Próbowała się rozgrzać, energicznie pocierając ramiona. Serce łomotało jej z radości, a ściskanie w żołądku przypominające o dotychczasowych rozczarowaniach nie odbierało nadziei, która powoli w niej rosła.

Wreszcie zbliżali się do wylotu szybu, ale na razie mieli nad sobą tylko czerń. Do miejsca, z którego spodziewała się ujrzeć niebo, było jeszcze bardzo daleko. Może na zewnątrz jest ciemno, pomyślała. Wiedziała jednak, że od chwili, gdy dostrzegli otwór, minęło więcej czasu niż jedna noc.

– Zaczekajcie tutaj – polecił Achmed, a sam ruszył dalej w górę. Korzeń robił się od tego miejsca coraz grubszy, a tunel tak się poszerzał, że nie widzieli jego ścian. Wkrótce Drak zniknął im z oczu.

Rapsodia spojrzała na Grunthora. W czasie długiej podróży polubiła olbrzyma, a jego towarzysza zaczęła darzyć mimowolną sympatią, choć mu jeszcze nie wybaczyła, że ją porwał, ani nie zrozumiała, dlaczego to zrobił. Teraz, gdy kres podróży wydawał się bliski, uświadomiła sobie, że groźny Firbolg jest bardziej człowiekiem niż wielu mężczyzn, których w życiu spotkała. Wcale nie był potworem ze strasznych opowieści zasłyszanych w dzieciństwie.

– Grunthorze?

Bursztynowe oczy spojrzały na nią uważnie.

– Tak, panienko?

– Na wypadek gdybym nie miała okazji ci podziękować, kiedy stąd wyjdziemy, już teraz ci powiem, że doceniam twoją dobroć i pomoc.

Grunthor zerknął w stronę, gdzie zniknął Achmed, i uśmiechnął się szeroko.

– Przy nim lepiej tego nie mów, księżniczko.

– I przepraszam, jeśli zraniłam twoje uczucia, kiedy na łąkach stwierdziłam, że Firbolgowie to potwory.

Uśmiech wielkoluda stał się jeszcze szerszy.

– Miłe słowa, panienko, ale nie martw się, mam bardzo grubą skórę. Nie obrażam się tak łatwo. Ty też nie jesteś zła jak na Liringlaskę. Ci są najgorsi w smaku ze wszystkich Lirinów.

Rapsodia się zaśmiała.

– A jakich jeszcze znasz?

– Oho, wielu. Spotykałem Lirinów, którzy żyją w miastach, w górach, nad morzem. Wszyscy wyglądają tak samo: mali, chudzi, kanciaci, o trójkątnych twarzach i wielkich oczach. Różnią się tylko odcieniem skóry. Ty nie jesteś pełnej krwi, prawda?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie. Można mnie uznać za lirińskiego kundla.

– I dobrze, mieszańce to podobno najlepsze psy, panienko. Nie wstydz się swojego pochodzenia. Dzięki niemu jesteś ładną osobką, nie taką kościstą jak inne Lirinki.

– Dziękuję. Ty zaś jesteś najmilszym Firbolgiem, jakiego znam, lecz jak wiesz, spotkałam w życiu tylko jednego.

– Dwóch.

Głos dobiegający z góry trocheja wystraszył.

– Nie znam innego oprócz Grunthora.

Uśmiech Achmeda bardziej przypominał szydarczy grymas.

– Niechętnie poprawiam wszystkowiedzącą, ale upieram się, że poznałaś dwóch Firbolgów.

Rapsodia zrobiła zdziwioną minę.

– Twierdzisz, że ty jesteś tym drugim?

– Może jednak nie zrobimy z niej przekąski, Grunthorze. Wykazuje przebliski inteligencji.

Dziewczyna kilka razy przeniosła wzrok z jednego towarzysza podróży na drugiego. Bardzo różnili się od siebie wyglądem. Grunthor był co najmniej o dłoń wyższy od przyjaciela, szeroki w barach i muskularny, a jego wielkie ręce kończyły się pazurami. Achmed natomiast był szczupły, żyłasty i miał ludzkie chude dłonie.

– Jesteś pełnej krwi Firbolgiem? – spytała wielkoluda.

– Nie.

Achmed prychnął.

– Myślałaś, że jesteś jedynym mieszkańcem na świecie?

Rapsodia oblała się rumieńcem, widocznym nawet w mroku.

– Oczywiście, że nie. Tylko sądziłam, że Grunthor to prawdziwy Firbolg.

– W połowie Bengard.

Pokiwała głową. Bengardowie byli mało znanym plemieniem żyjącym na dalekiej pustyni. Mówiono, że są monstrualnie wysocy i pokryci łuską jak węże. Znała trochę ich historię i parę pieśni.

– A ty?

Mężczyźni wymienili spojrzenia, po czym Achmed odparł:

– Jestem pół-Drakiem. Jak widzisz, wszyscy możemy się nazywać kundlami. Idziemy?

Rapsodia nigdy nie słyszała o rasie Draków, ale spędziła z tymi dwoma dość czasu, by wiedzieć, kiedy lepiej nie zadawać pytań.

– Oczywiście. Nie mam ochoty zostawać tutaj ani chwile dłużej, niż muszę.

Rozprostowała zdrętwiałe nogi, zarzuciła worek na plecy i ruszyła za dwoma Bolgami.

– Daj mi rękę, panienko, to cię podciągnę.

Z wdzięcznością chwyciła potężną łapę i zamknęła oczy, modląc się, żeby po ich otwarciu zobaczyć nocny firmament usiany migotliwymi gwiazdami. Lecz kiedy uchyliła powieki, zobaczyła w górze tylko ciemność i pustkę.

Przed sobą natomiast miała widok jedyny w swoim rodzaju. Grunt pod jej nogami był jasny jak korzeń, po którym do tej pory się wspinali, ale lekko świecił i pulsował. Korzeń palowy, tak ogromny w porównaniu z pniem Sagii, nagle wydał się bardzo mały przy bezkresnym trakcie, który się przed nimi ciągnął.

Grunthor zagwizdał. Jaśniejąca w mroku arteria była szersza od rzeki przecinającej Serendair na pół. Rozgałęziała się we wszystkich kierunkach, a każda odnoga dawała początek sieci mniejszych dróg.

Rapsodia z trudem ukryła rozczarowanie.

– O bogowie, co to jest?

– My wchodziliśmy małym odrostem, a to jest właściwy korzeń Wielkiego Drzewa, który prawdopodobnie łączy Sagię z Axis Mundi. Chyba nie sądziłaś, że dotarliśmy do celu? Dopiero zaczęliśmy podróż.

Dziewczyna przełknęła łzy.

– Nie dam rady iść dalej – wyszeptwała.

Achmed wziął ją za ramiona i potrząsnął lekko.

– Skup się! Nic nie słyszysz? Jak to możliwe, żeby Pieśniarka, Bajarka, a przede wszystkim Lirinka nie zachwycała się tą muzyką? Nawet ja ją odbieram, czuję na skórze. Posłuchaj.

Ponad biciem własnego serca Rapsodia usłyszała modulowane wibracje, szum, który wypełniał całą przestrzeń wokół nich. Mimo woli zamknęła oczy i zaczęła chłonać dźwięk. Był bogaty, niepodobny do żadnych innych, pełen mądrości i siły. Z niechęcią przyznała Achmedowi rację. Wyjątkowe, magiczne tony zmieniały się prawie niezauważalnie, bez pośpiechu i konieczności dostosowania się do obcego, narzuconego rytmu. Był to głos samej ziemi.

Rapsodia poddała się melodii, pozwoliła jej zmyć z siebie ból i złość, wyleczyć rany po bitwie. Dostroiła swoje muzyczne imię do śpiewu korzenia, tak jak kiedyś do pieśni Sagii. Poczula, że wypełnia ją jego moc. Chwilę później otworzyła oczy i zobaczyła, że Achmed i Grunthor wskazują różne ścieżki odchodzące od skrzyżowania i naradzają się cicho. Zupełnie jakby znaleźli się na rozstaju dróg i musieli którąś wybrać.

W końcu Achmed odwrócił się do niej i zapytał:

– Przewyciężyłaś słabość? Idziesz czy zostajesz tu na zawsze?

Posłała mu spojrzenie pełne nienawiści.

– Idę. I nie mów do mnie tym tonem. To nie był mój pomysł, żeby tu włączyć.

Nagle poczuła, że kleją się jej dłonie. W pierwszej chwili uznała za to oznakę zdenerwowania, ale kiedy chciała je wytrzeć, zauważyła, że mokre ma również całe ubranie i buty. W powietrzu unosiła się wilgoć.

– Dobrze, że przynajmniej nie musimy się więcej wspinać, złotko – powiedział Grunthor, mrugając do niej.

– Tędy – oznajmił Achmed, pokazując na jedno z odgałęzień po lewej stronie.

– Dlaczego?

– Bo tak – odparł krótko. – Ty możesz iść, gdzie chcesz.

Bolgowie ruszyli przed siebie szeroką, połyskującą drogą.

Rapsodia westchnęła, zarzuciła ekwipunek na plecy i powlokła się za nimi.

Gdy opadli z sił, rozbili obóz. Widzieli teraz sklepienie ogromnej jaskini. Korzeń biegł w tunelu prowadzącym w głąb ziemi.

– W tym miejscu zbiegają się liczne odnogi, dlatego jest dużo przestrzeni – zauważył Achmed. – Obawiam się jednak, że wkrótce trafimy w ciaśniejsze korytarze. Na pewno czeka nas sporo pełzania. W dodatku powietrze nie będzie najświeższe. Skoro Grunthor ma cię podszkolić we władaniu mieczem, zaczynajcie tutaj, póki jest się gdzie ruszyć. Oczywiście, jak już odpoczniecie.

– Myślisz, że to konieczne? – zapytała Rapsodia z niepokojem.

– Tamte robaki skądś przyszły – odparł Drak cierpko. – Wątpię, czy są tylko na głównym korzeniu. Podejrzewam, że jeszcze je zobaczymy. Decyzja należy do ciebie.

Rapsodia spojrzała na uśmiechniętego olbrzyma.

– Byłabym wdzięczna za naukę, ale nie mam broni.

– Mogę ci pożyczyć, kochanie. Dla mnie to po prostu duży nóż, ale tobie może służyć jako miecz.

Zdjął z pleców wielki sztylet i podał z głębokim ukłonem. Rapsodia niepewnie wzięła broń do ręki. Ostrze było dłuższe niż jej udo i bardzo ostre, wyglądało groźnie.

– Sama nie wiem – bąknęła.

– Posłuchaj, panienko, robaki prędzej czy później cię dopadną, jeśli nie będziesz się bronić. Stara Lucy ci w tym pomoże.

– Lucy?

– Tak nazwałem ten sztylet.

Rapsodia popatrzyła na długie ostrze.

– Cześć, Lucy. Zawsze nadajesz im imiona, Grunthorze?

– Oczywiście. To tradycja.

Pokiwała głową.

– Całkiem sensowna. Lepiej walczy ci się bronią, którą nazwałeś?

– Tak.

Oczy Pieśniarki zaiskrzyły się z podniecenia.

– Grunthorze, ty też w pewnym sensie jesteś Bajarzem!

Gigant uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Skoro tak twierdzisz. Mam coś zaśpiewać?

– Nie! – wykrzyknęli jednocześnie Rapsodia i Achmed.

– Zaczynajcie lekcję – dodał Drak. – Nie chcę długo zwlekać z wymarszem.

Grunthor jął macać po plecach, szukając dla siebie odpowiedniej broni. W końcu wy dobył z pochew dwa miecze. Pierwszy nosił nazwę Kosiarz, lecz po chwili namysłu Bolg zdecydował się na krótszego Rozjemcę o grubej, trójgraniastej klindze.

– Dlaczego Rozjemca? – Rapsodia zadrżała na wspomnienie nocy, kiedy zginęli ludzie Michaela.

– Chyba rzeczywiście coś jest w tym nadawaniu imion – stwierdził Bolg, zajmując pozycję. – Weźmy na przykład Rozjemcę. Odkąd tak go nazwałem, ludzie na jego widok od razu chcą się ze mną godzić. Oczywiście ci, którzy przeżywają.

– Ja też odczuwam taką ochotę.

– To zrozumiałe, panienko. Mam nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi, ostatecznie spaliśmy ze sobą i w ogóle...

Rapsodia uśmiechnęła się mimo woli.

– No dobrze, przyjacielu. Zaczynajmy.

W ogromnej pieczarze rozbrzmiewał szcęk stali. Firbolg wciąż powalał uczennicę na ziemię. Rapsodia powoli zaczynała mieć dość ciągłego wstawania, żeby za chwilę znowu leżeć. Najbardziej zapał odbierała jej świadomość, że gigant i tak ją oszczędza. Grunthor

demonstrował kolejne pchnięcia, ona starała się je naśladować, ale błyskawicznie traciła broń lub przegrywała w inny sposób. Gdy wreszcie postanowiła go przechytryć, jej próby spotkały się z aprobatą nauczyciela.

– Właśnie, księżniczko. Dobrze!

Sparował cios. Lucy zsunęła się po ostrzu Rozjemcy, a Grunthor błyskawicznie przybrał pozycję obronną.

– No, dalej, nie poddawaj się, skarbie. Wiem, że potrafisz. Strać mnie z tego cholernego korzenia. Zrób to.

Zadała jeszcze dwa ciosy, ale nic nie wskórała; wielkolud był dla niej za szybki. Cofnęła się o krok i zaczerpnęła powietrza.

– Atakuj! – ryknął Bolg. – I uważaj, bo obetnę ci śliczną główkę i nasadzę na halabardę!

Rapsodia osłupiała. Gigant wytrzeszczył oczy i spojrzał na nią zawstydzony.

– Przepraszam, panienko, czasami znowu staję się sierżantem.

Dziewczyna aż zgięła się w pół ze śmiechu. Kiedy się wyprostowała, nadal z trudem łapała oddech.

– Przepraszam, Grunthorze. Chyba nie jestem stworzona do walki na miecze.

– Możliwe, ale tak czy inaczej powinnaś trochę poćwiczyć – rozległ się za nią suchy głos.

– Musisz jedynie zmienić nastawienie.

– Doprawdy? – wysapała. – Na jakie, twoim zdaniem?

Achmed podszedł do niej.

– Po pierwsze, skup się na tym, jak trzymasz broń, i zmieniaj chwyt zależnie od sytuacji. Po drugie, i dużo ważniejsze: podnieś broń. Prędzej czy później zostaniesz ranna, więc równie dobrze możesz patrzeć, jak to się stanie. Poza tym za bardzo koncentrujesz się na unikaniu drobnego bólu zamiast ciosów, które zrobią większą krzywdę albo cię zabiją. Gdyby Grunthor się nie hamował, już po pierwszej wymianie leżałabyś martwa. Musisz przygotować się na drażnienia i wzbudzić w sobie zawziętość. Postanów twardo, że odplacisz przeciwnikowi. Nienawiść może uratować ci życie.

Rapsodia rzuciła miecz.

– Wolę zginąć, niż żyć w taki sposób.

– Przy takim nastawieniu nie będziesz musiała długo się męczyć.

– Nie chcę nienawidzić. Lubię Grunthora.

Olbrzym rozmasował sobie kark.

– Sympatia jest wzajemna, panienko, ale jeśli nie nauczysz się troszczyć o siebie, staniesz się pokarmem dla robaków.

Rapsodia po raz kolejny uświadomiła sobie z całą mocą, w jak dziwnej sytuacji się znajduje. Uwięziona pod ziemią, pęzała po gigantycznym korzeniu z dwoma przedstawicielami rasy potworów. Milszy towarzysz, który od czasu do czasu spoglądał na nią tęsknie, zapewne łykając ślinkę, próbował ją teraz nakłonić, żeby go zaatakowała, jeśli

sama chce przeżyć. Na pozór bardziej ludzki z dwóch mężczyzn nadal traktował ją z całkowitą obojętnością albo wręcz z lekceważeniem.

Podniosła Lucy.

– Dobrze, Grunthorze, jeszcze kilka prób, a potem kończymy.

Bolg uśmiechnął się szeroko.

– Otóż to, panienko. Zadaj wreszcie czysty, celny cios.

Gdy mistrz wreszcie stwierdził, że jest z niej zadowolony, Rapsodia osunęła się na ziemię, rozchełstana, posiniaczona i głodna. Przetrzęsła plecak, szukając woreczka, w którym trzymała resztki bochenka podarowanego jej przez Pilama. Znalazła i zaczęła śpiewnie powtarzać nazwę chleba oraz opisywać go najlepiej, jak potrafiła: jęczmienny, płaski, miękki.

Skończywszy pieśń, otworzyła worek i wyjęła z niego dużą kromkę bez śladu pleśni i wcale nie twardą jak kamień, Odłamała dla siebie spory kawałek, resztę dała towarzyszom.

– Co to było, panienko? Jakieś błogosławieństwo? – zapytał Grunthor.

Rapsodia uśmiechnęła się do Bolga.

– W pewnym sensie. Nazwałam go właściwym imieniem.

– I dzięki temu jest świeży?

– Taki jak w dniu, gdy został upieczony.

Achmed wyciągnął się na gładkiej powierzchni korzenia.

– Może powtórzysz sztuczkę, kiedy się obudzimy. Zawsze podobała mi się nazwa „grzanki z kiełbasą”.

Po raz pierwszy usłyszała żart z jego ust.

– Mogę przywrócić daną rzecz do pierwotnego stanu, ale nie potrafię zmienić jej natury – wyjaśniła. – Gdybym miała taką moc, ty byłbyś o wiele miłszy, a ja siedziałabym teraz w domu.

Pulsująca energia Axis Mundi sprawiała, że Rapsodię dręczyły coraz straszniejsze koszmary.

Tej nocy były szczególnie żywe. W najgorszym powracała wizja mężczyzny wijącego się z bólu. Rapsodia daremnie próbowała rozpędzić mgłę, która go otaczała. Chciała się obudzić, ale nie mogła. Jęknęła i zaczęła się miotać, aż spadła z szerokiej piersi Grunthora.

W drugim śnie ujrzała człowieka o twarzy pozbawionej rysów, miał tylko oczy z czerwoną obwódką. Tajemniczy osobnik szukał czegoś wokół siebie, macając rękami w ciemnościach. W jej umyśle uformowały się słowa. Nieświadomie wyszeptała je na głos.

– Łańcuch pękł.

Achmed usłyszał ją i siadł gwałtownie. Spojrzał na jęczącą Rapsodię. Wyglądało na to, że dziewczyna przegrywa walkę z męczącymi snami. Poklepał przyjaciela po ramieniu. Grunthor obudził się, od razu przytomny.

Człowiek ze snu patrzył prosto na nią. Oczy, jedyny rozpoznawalny rys w jego amorficznej twarzy, wpatrywały się w nią intensywnie, jakby próbowały zapamiętać każdy szczegół. Rapsodia wiedziała, że powinna odwrócić wzrok, ale trzymała ją jakaś magiczna siła. Nagle zobaczyła z przerażeniem, że oczy zaczynają się dzielić i mnożyć. Po chwili były ich dziesiątki, potem setki. Wszystkie przewiercały ją na wylot.

– Pan o Tysiącu Oczach – wyszeptwała.

Ślepią kolejno odłączały się od zamazanej twarzy, niezależne od siebie, ale identyczne. Podmuch zimnego wiatru chwycił je i poniósł w szeroki świat. Lecz one nadal wpijały się w nią, nie mrugając.

– Na powierzchni szaleje wojna – wymamrotała.

– O czym ona mówi? – zapytał cicho Grunthor.

Achmed gestem nakazał mu milczenie. Usłyszał, że dziewczyna wymawia słowo „F’dor”.

W jej śnie pojawiła się przystojna twarz oblana księżycowym blaskiem. Nieznajomy młodzieniec objął ją, musnął policzkiem jej policzek i szepnął do ucha:

– Nie mam lepszego подарunku, ale chcę, żebyś coś dzisiaj ode mnie dostała.

Potem łagodne dłonie wzmocniły uścisk, muskularne nogi rozsunęły jej uda, cichy oddech zmienił się w przyspieszone sapanie.

– Nie – jęknęła. – Przestań! To wszystko kłamstwo.

Zaśmiała się i boleśnie zacisnęła dłonie na jej ramionach.

– Nigdy, przenigdy nie skrzywdzę cię świadomie. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

– Przestań! – zaszlochała. – Chcę iść do domu.

– Do domu? Nie masz domu. Opuściłaś go, pamiętasz? Porzuciłaś dla mnie wszystko. Wszystko, co kochałaś. A ja nigdy ci nie powiedziałem, że cię kocham.

Rapsodia zaczęła ciężko dyszeć, dławiona się łzami. Coraz bardziej zaniepokojony Grunthor wyciągnął rękę, żeby ją obudzić, lecz Achmed go powstrzymał.

– Ona chyba jest jasnowidzem. Widzi przeszłość albo przyszłość. Jej informacje mogą okazać się ważne.

– Nie sądzisz, że ważniejsze jest uwolnienie biedactwa od koszmarów, panie?

Drak dostrzegł błysk gniewu w oczach towarzysza. Puścił jego rękę. Olbrzym delikatnie potrząsnął dziewczyną.

– Panienko!

Rapsodia drgnęła gwałtownie, odwinęła się i zderzyła Grunthora w oko. Był to piękny cios, bardzo celny, zadany z siłą godną mężczyzny dwa razy od niej większego. Bolg usiadł z hukiem.

Achmed parsknął śmiechem.

– Widzisz, co ci przyszło z troskliwości?

Dziewczyna natychmiast oprzytomniała i pochyliła się nad wielkoludem, który ostrożnie dotykał puchnącego oka.

– Grunthorze, przepraszam! O bogowie! Nie wiedziałam, że to ty.

Bolg wykrzywił usta w grymasie, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za uśmiech.

– W porządku, panienko. Masz niezły prawy prosty. Gdzie się go nauczyłaś?

Rapsodia wyjęła z plecaka bukłak z wodą.

– Od braci.

– Rozumiem. W takim razie, skoro cię przyjęliśmy do rodziny, może wyświadcysz mi łaskę, zaczniesz uważać mnie za brata i więcej nie poczęstujesz swoim pięknym prostym, co?

Przez twarz dziewczyny przemknął cień uśmiechu.

– A na kim go głównie ćwiczyłam, jak sądzisz?

– Hm.

Przyłożyła do jego oka mokrą szmatkę.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie, kochanie. Zabierz to. Nic mi nie jest. Chodź tutaj. Lepiej się jeszcze trochę prześpimy.

Skwapliwie go posłuchała.

Po przebudzeniu zebrali rzeczy i ruszyli dalej niekończącym się tunelem.

Tyle czasu pełzła przez wilgotne korytarze, od tak dawna była przemarznięta do kości, że zapomniała, jak to jest nie dygotać z zimna w wiecznie mokrym ubraniu. W powietrzu unosił się stęchły odór ziemi i gnijącej wody.

Czasami wydawało się jej, że inne życie nie istnieje, a wspomnienia z przeszłości są tylko snami. Jediną rzeczywistością była mozolna wędrówka wzdłuż Axis Mundi. Szli, wspinali się, czołgali od niepamiętnych czasów. Budzili się po niespokojnym śnie i znowu mieli przed oczami ten sam koszmar.

W przeciwieństwie do dwóch Bolgów, którzy nie bali się zamkniętych przestrzeni, Rapsodia dużą część energii poświęcała na walkę z paniką. Wciąż odpędzała od siebie myśli, jak głęboko pod ziemią się znajdują, jak niewiele mają powietrza.

Dobrze chociaż, że przeważnie mogli iść wyprostowani. Tylko gdzieniegdzie musieli się pochylać, co było niewiele lepsze od pełzania na brzuchu po piaszczystym lub kamienistym podłożu. Bolały ją wtedy wszystkie mięśnie, całe ciało, szczególnie plecy i kolana. Nawet sen nie dawał wytchnienia od tych mąk.

Nie rozumiała, jakim cudem Grunthor przeciska się przez wąskie szczeliny, w których ona ledwo się mieściła. Gdy Achmed wreszcie ogłaszał postój, zwykle po wyjściu ze szczególnie ciasnego i mokrego tunelu, z ulgą zasypiała, ale wkrótce budziły ją koszmary.

Nasilały się, w miarę jak brnęli coraz głębiej. Pewnego razu Drak zagroził, że zepchnie ją z korzenia. Kiedy było dość miejsca, spała na piersi Grunthora. Potężne ramiona dodawały jej otuchy, choć minęło trochę czasu, nim przywykła do widoku uśmiechniętej zielonkawej twarzy zaraz po obudzeniu.

Zmienił się sposób bycia Achmeda. Gdy dotarli do Axis Mundi, Drak stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie, mrukliwy, nieobecny duchem, jakby czegoś pilnie nasłuchiwał. Głos ściszał niemal do szeptu, ale im nie zabraniał mówić, w każdym razie nie częściej niż do tej pory. Widząc jego skupienie, Rapsodia starała się mu nie przeszkadzać, za to więcej rozmawiała z Grunthorem.

Jeśli warunki na to pozwalały, obaj uczyli ją w marszu języka Firbolgów, bardziej z uprzejmości niż z rzeczywistej potrzeby. Kiedy używali bolgańskiego, wydawało się, że coś przed nią ukrywają. W zamian ona, w rzadkich momentach, gdy było dość światła, uczyła Grunthora czytać. Lekcje nigdy nie trwały długo.

Kiedyś obudziła się i zobaczyła, że Achmed mamrocze coś do siebie blady i zlany potem, tak jak jej się nieraz przytrafiało. Od pewnego czasu tunel był wąski, a ostatnio pokonali bez wytchnienia kilka długich prostych odcinków i pieczar.

Grunthor, który parę godzin wcześniej usunął z drogi wielki kamień, spał jak zabity. Rapsodia uniosła głowę z jego piersi i przez chwilę obserwowała Achmeda. Następnie wstała powoli, ostrożnie przekroczyła wielkoluda i zbliżyła się do Draka, który oddychał płytko i pojękiwał przez sen. Powieki mu drgały. Musnęła dłonią spocone czoło i szepnęła:

– Achmedzie...

Drak dopiero po chwili otworzył oczy.

– Co?

Jego głos był jeszcze bardziej chropawy niż zwykle.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

Pogłaskała go po policzku jak dziecko.

– Zdaje się, że miałeś koszmary.

Łypnął na nią spode łba.

– Uważasz, że wyłącznie ty masz prawo do złych snów?

Rapsodia cofnęła się jak uderzona. Z oczu Achmeda, niczym dyski z cwellana, sypały się iskry.

– Oczywiście, że nie – wykrztusiła. – Przepraszam, ja tylko... mniejsza o to.

Wróciła do olbrzyma, który też już nie spał, i ułożyła się na muskularnej piersi. Początkowo zamierzała wypytać Achmeda o sen, ale zrezygnowała, spłoszona jego gwałtowną reakcją. Doszła do wniosku, że lepiej nie wiedzieć, co mogło go tak przerazić.

Tymczasem Grunthor zamknął oczy i odpędził wszelkie myśli. On już wiedział.

Drak najwyraźniej znalazł w końcu to, czego szukał. Akurat dotarli do rozległej jaskini, której ścian nie można było dojrzeć w mroku. Achmed najpierw zwolnił, a po chwili stanął.

– Zaczekajcie tutaj i postarajcie się być cicho. Jeśli nie wrócę do czasu, kiedy się obudzicie, idźcie dalej beze mnie.

Zniknął, nim Rapsodia zdążyła go o cokolwiek spytać. Obejrzała się na Grunthora i zadrżała. Tak ponurego wyrazu jeszcze nigdy nie widziała na jego twarzy.

– Co on wyprawia? – szepnęła.

Gigant wziął ją za rękę i bez słowa pociągnął na ziemię. Zaoferował własne ramię jako poduszkę i otulił ją obszernym płaszczem, bo w jaskini było wyjątkowo zimno. Westchnął głęboko, wpatrując się w ciemne sklepienie.

– Odpocznij, panienko.

Achmed po raz ostatni powiódł spojrzeniem po ogromnej pieczarze i ruszył w stronę korytarza, który nareszcie wypatrzył. W przeciwieństwie do innych tuneli ten – pusty, cichy i mroczny – nie był odgałęzieniem korzenia Wielkiego Drzewa.

Przez długi czas Drak podążał za cichym biciem serca. Po raz pierwszy usłyszał je, kiedy zeszli z głównego korzenia na Axis Mundi. Szmer narastał, czasami zagłuszając pieśń Wielkiego Drzewa. Był echem niskiego i odległego dudnienia, które dobiegało z głębi ziemi.

Od kiedy razem z Grunthorem ułożyli plan ucieczki, postanowił unikać tego miejsca za wszelką cenę. Stwór, który leżał zwinięty w trzewiach ziemi, zagrażał istnieniu wyspy. Ktoś zamierzał go obudzić. Między innymi dlatego opuścili Serendair, choć Achmed wiedział, że jeszcze coś straszniejszego czeka na swoją porę. Na własne oczy ujrzał to coś na pustyni za zniszczonym mostem lądowym.

Nadal nie mógł uwierzyć, że udało mu się odnaleźć puls. Swój dar odziedziczył jako pierwszy przedstawiciel starej rasy, urodzony na wyspie. Ta istota pochodziła sprzed Czasu. I nie był to człowiek. Normalnie nigdy by jej nie wyczuł, ale może zadziałał przypadkowy wybór imienia przez Rapsodię tamtego popołudnia na ulicach Easton.

Puls był ledwo wyczuwalny i powolny, lecz sądząc po ilości krwi płynącej w żyłach stworzenia, Achmed nie miał wątpliwości, że znalazł to, czego szukał.

Zatrzymał się. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, poczuł paraliżujący strach.

Nie bał się śmierci. Nigdy. Sam nią szafował jako mistrz w swoim fachu. Nie uważał, by życie należało szczególnie cenić i chronić. Dla niego były to nieustające wibracje świata, które bez przerwy go atakowały, drażniły, zakłócały funkcjonowanie jego organizmu. Musiał cierpliwie je znosić.

Czasami, gdy wyprawiał ofiary na tamten świat, dostrzegał na ich twarzach intrygujący wyraz niezwykłego spokoju. Niewątpliwie zniknięcie pewnych ludzi przynosiło ulgę również tym, którzy go wynajmowali.

Do jego dziedzictwa należały także umiar i rozważa. Nie siał bezmyślnie spustoszenia jak zaraza albo wojna. Zabójstwa, których dokonywał, często wydawały się sensowne i sprawiedliwe na tym świecie. Sam też nie bał się spotkać śmierci. Była jego dłużniczką.

Paraliżowało go natomiast wręcz niepojęte zagrożenie ze strony złowrogiej istoty. Wiedział, że ludzkość czeka całkowita zagłada. Gdy tylko wąż wydostanie się z mroźnych głębi, w których leży zahibernowany, pożre wszystko, co napotkana swojej drodze. Nikt i nic mu nie dorówna w zadawaniu śmierci. Będzie gorszy niż największy kataklizm.

On i Grunthor mieli zyskać na czasie, uciekając do innej części świata. Mogliby dokonać żywota we własnych łóżkach, zanim stwór by do nich dotarł. Taki mieli pierwotny plan.

Teraz wkroczył do nory bestii i starał się znaleźć antidotum na zabójczą truciznę, starszą od samej ziemi.

W pełni sobie uświadamiał ironię losu. Bezlitosny zabójca usiłuje ratować życie niewinnych, niczego nie spodziewających się milionów. Nawet gdyby chciał, już nie umiałby się wycofać, zrezygnować z walki.

Stał na skraju pieczary, wdychając zimne powietrze. Miał być przynętą, doprowadzić do uwolnienia niszczycielskiej mocy. Lecz z nienawiści do demona, który próbował nim rządzić, zdecydował wbrew rozsądkowi, że nie pozwoli wężowi się obudzić, zostawi go w uśpieniu.

Wiedział, że przemożna siła, która pcha go do działania, ma coś wspólnego z Rapsodią.

Bez niej nie mógł przeprowadzić swojego planu. Potrzebował Pieśniarki, ale najpierw musiał ją przekonać, że jest zdolna wykonać nadludzkie zadanie. Musiał natchnąć ją pewnością siebie, choć jemu samemu brakowało wiary. Zdawał sobie sprawę, że konsekwencje pomyłki będą straszliwe, ale gdyby nie podjął próby, skutki będą jeszcze gorsze.

Drzwi sypialni zaskrzypiały i pojawił się w nich płomyk świecy. Materac lekko się ugiął, kiedy ojciec siadł na brzegu łóżka.

– Dobrze się czujesz, dziecinko?

Rapsodia poruszyła się we śnie, odsuwając ucho od korzenia. Kiwnęła głową.

– Ciemno – szepnęła tak samo jak wtedy. – Boję się, tato.

Ojciec otulił ją kołdrą, wziął na ręce i zaniósł na dwór, pod rozgwieżdżone niebo.

– To samo robiłem z twoją mamą, kiedy tu pierwszy raz przyjechała.

– Mama bała się ciemności?

Szorstka broda na policzku, poczucie bezpieczeństwa w otaczających ją ciasno ramionach.

– Oczywiście, że nie. Jest Lirinką, dzieckiem nieba, a niebo przez większość czasu jest czarne. Bała się, gdy była z dala od niego, w zamkniętym pomieszczeniu.

We śnie Rapsodia wsunęła zziębnięte dłonie między kolana.

– To dlatego zrobiłeś okno w dachu?

– Tak. A teraz popatrz w niebo, dziecino. Widzisz gwiazdy?

– Tak, tato. Są piękne.

Jego uśmiech rozjaśnił mrok nocy.

– Mogłabyś je zobaczyć, gdyby nie było ciemno?

– Nie.

– Nie ujrzysz piękna, póki nie odważysz się spojrzeć w ciemność. Zapamiętaj to sobie.

Wiedziała, co ojciec ma na myśli.

– Tak jak wtedy, kiedy przywiozłeś tutaj mamę, a ludzie z wioski byli dla niej niemili?

Uśmiech zniknął, a wraz z nim światło.

– Tak.

– Dlaczego zostaliście, skoro gardzili mamą, kiedy się z nią ożeniłeś? Jak się stało, że wioska zaczęła szanować naszą rodzinę, tato?

W pamięci stanęła jej twarz ojca, zmarszczki wokół oczu, kiedy znowu się uśmiechnął.

– Musieliśmy spojrzeć w ciemność. I zrobiliśmy to razem. Powiem ci teraz coś, dziecino, co powinnaś zapamiętać, nawet jeśli zapomnisz inne moje słowa: kiedy znajdziesz w życiu coś, w co będziesz wierzyć ponad wszystko, wytrwaj przy tym, bo nigdy więcej nie wróci. A jeśli będziesz wierzyć z całą mocą, ludzie prędzej czy później spojrzą na to twoimi oczami. Bo kto wie lepiej, jak nie ty? Nie bój się trudnych wyborów, kochanie. Znajdź coś jednego, co się liczy, a wszystko inne samo się ułoży.

Łzy zrosiły jaśniejący korzeń Wielkiego Drzewa. Wzięła sobie radę ojca do serca. I zgodnie z nią postępując, straciła wszystko. Nawet jego.

– Rapsodio?

Wydawało się, że cichy głos rozbrzmiewa w jej głowie. Uchyliła powieki i zobaczyła nad sobą kaptur Achmeda oraz jego płonące oczy.

– Opowiem ci pewną historię, której koniec jeszcze nie został napisany. Chcesz posłuchać?

Przez chwilę myślała, że to dalszy ciąg snu, ale siadła powoli i chwyciła podaną dłoń. Uścisk był mocny, skórzane rękawice gdzieś zniknęły.

Achmed podniósł ją i zaprowadził w głąb korytarza, z dala od śpiącego giganta. Wyciągnął przed siebie dłoń, wskazując ciemność.

– Tam jest tunel niepodobny do tych, którymi do tej pory szliśmy. Po drodze mijaliśmy ich wiele, ale wątpię, czy je zauważyłaś. Nie wydrążyły ich korzenie Wielkiego Drzewa, były tutaj, nim wyrosło z zasadzonego żołędzia. W głębi tego korytarza bije serce. Wciąż pytałaś, skąd wiem, dokąd iść. Otóż odbieram całą skórą puls żywych istot. Wiem, że moje słowa wzbudziły w tobie lęk, bo choć wyrazu twarzy nie zmieniłaś, twoje serce przyspieszyło. Gdybyś się zgubiła, spadła albo została żywcem pogrzebana, odnalazłbym cię, bo znam jego ton.

Rapsodia przetarła oczy. Achmed nigdy do tej pory nie mówił tak dziwnie. Skupiła się na melodii jego głosu i wyczuła w nim troskę. I strach. Mocno potrząsnęła głową, żeby się rozbudzić. Chyba jeszcze była zaspana. Huczało jej w skroniach.

– Posłuchaj. Szedłem pewnym tropem. Najpierw za pulsem Wielkiego Drzewa, ale potem, od Axis Mundi, za biciem innego serca. Na końcu tego tunelu, głęboko w trzewiach ziemi, śpi potężna i straszna istota, której nie potrafię nazwać. Nawet sobie nie wyobrazasz, jaka jest groźna. Nie wolno dopuścić, żeby się obudziła. Nigdy. Rozumiesz? Kiedyś wspomniałaś, że umiesz przedłużać sen...

– Czasami.

– Więc tym razem musi ci się udać.

Achmed obrzucił ją badawczym wzrokiem. Nie był pewny, czy dotarło do niej, o co ją prosi.

Wierzył w nią, odkąd przez przypadek zmieniła mu imię, a później ukryła ich na łąkach przed Lirinami. Pieśniarce natomiast brakowało wiary w siebie. Domyślał się, co jest tego powodem. Na rok przed końcem studiów zniknął jej mentor i dalej musiała uczyć się sama.

Nagle krew zastygła mu w żyłach. Tsoltan napomknął kiedyś o Bajarzu, którego wziął w niewolę.

Może łączyło go z Rapsodią więcej, niż sądził? Tak jak zaplanował, prawie od początku jadła ciało Wielkiego Drzewa. Nie miał wątpliwości, że korzeń działał na nią w taki sam sposób jak na niego i na Grunthora. Zdawało się, że spędzili pod ziemią pół życia, a nie postarzeliby się ani o sekundę, przynajmniej tak wynikało z wibracji, które odbierał. Drzewo powiązane z Czasem chroniło przed jego niszczycielskim działaniem. Prawdę mówiąc, odnosił wrażenie, że są silniejsi, zdrowsi, a nawet młodszy niż przed wejściem do Sagii.

W Rapsodii nastąpiła jeszcze jedna zmiana. Wyczuwał w niej teraz wewnętrzną siłę. Nie wiadomo, czy był to rezultat spożywania Wielkiego Drzewa, ale dziewczyna stawiała się Bajarką o ogromnej mocy. Miał nadzieję, że poradzi sobie z zadaniem.

– Muszę wiedzieć, co to za istota – powiedziała cicho. – Mówisz zagadkami albo ukrywasz część prawdy, co jest formą kłamstwa. W prawdzie kryje się moc. Nie pomogę ci, jeśli będziesz trzymać mnie w niewiedzy.

Drak wciągnął powietrze do płuc i przez chwilę świdrował ją wzrokiem, jakby ważył jej duszę.

– Nazwałaś mnie Achmed Wąż, bo taki przydomek wydał ci się groźny, tak?

– Właśnie. I dlatego od tamtej pory czuję się zakłopotana.

– Nie powinnaś. Możliwe, że tylko dzięki tobie znalazłem ten tunel. Gdy byłem Bratem, wyczuwałem jedynie tętno ludzi. Nadane przez ciebie imię pomogło mi usłyszeć bicie serca śpiącego węża. Przed Czasem, gdy ziemia i morza dopiero się rodziły, przodkowi rasy smoków ukradziono jajo. Jeśli się stąd wydostaniemy, zdradzę ci jego imię, ale teraz nie byłoby to mądre.

Rapsodia ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Jajo ukryła w głębi ziemi rasa demonicznych istot, zrodzonych z żywiołu ognia. Należy do niej mój były pan.

– Ten, który dał ci klucz?

– Ciii... Tak. – Achmed jeszcze bardziej ściszył głos. – Smok-wąż, który wykluł się z jaja, żyje w mroźnych głębinach ziemi, a kiedy urośnie, zwojami otoczy jej serce. Jego cielsko stanowi dużą część masy naszego świata. Teraz śpi, lecz demon wkrótce go wezwie, a wtedy potwór wypełni na powierzchnię. Nie wiem, jakie dokładnie są jego rozmiary. Pień Sagii to zaledwie gałązka w porównaniu z głównym korzeniem, tak?

– Tak.

– A główny korzeń to cienka nić w porównaniu z Axis Mundi. Natomiast przy tej istocie Axis Mundi jest jak jeden z twoich włosów. Wąż może pochłonąć Ziemię. Teraz czeka na wezwanie, które wkrótce nadejdzie. Wiem to na pewno, bo właśnie ja miałem wprowadzić w życie plan uknuty przez demona.

– I dlatego uciekłeś?

– Między innymi.

Rapsodia spojrzała na Achmeda nowymi oczami. Domyślała się, że jej towarzysze podróży mają wiele na sumieniu. Po rzezi oddziału Michaela nie sposób było dojść do innego wniosku. Lecz mimo niezbyt chwalebnej przeszłości w obu wyczuwało się szlachetność.

U Grunthora dostrzegła ją od razu. Od samego początku stawał w jej obronie, pomagał we wspinaczce, odpędzał koszmary. W Achmedzie aż do tej pory nie potrafiła doszukać się dobra.

„...Nie ujrzysz piękna, póki nie odważysz się spojrzeć w ciemność. Zapamiętaj to sobie”.

– I zamiast obejść to miejsce, sprowadziłeś nas tu w nadziei, że pomożemy ci zażegnać niebezpieczeństwo.

– Tak, o ile to w ogóle możliwe. – Dziwne oczy zabłyśły w mroku. – W dodatku, jeśli nam się uda, zyskamy jedynie trochę czasu. Nigdy nie będziesz miała dość siły, żeby całkowicie zniszczyć węża. Ani ja, ani żaden człowiek.

Rapsodia pomasaowała bolące skronie.

– Umiem zaśpiewać pieśń snu, ale nie mam pojęcia, czy zadziała. Muszę podejść jak najbliżej potwora, by zyskać pewność, że mnie słyszy.

Spod kaptura dobiegło westchnienie.

– Tak podejrzewałem. Grunthor i ja braliśmy pod uwagę tę możliwość.

– On się sprzeciwił, dlatego odczekałeś, aż zaśnie, żeby ze mną porozmawiać.

– Sprawiasz wrażenie całkiem bystrej. Uważaj, bo przyjdzie mi zmienić opinię o tobie.

– Mam pewien pomysł, ale potrzebuję swojego worka – oznajmiła, skrywając uśmiech. – Ty łatwiej go dosięgniesz, nie budząc Grunthora.

Może mi powiesz, co zamierzasz, nim zrobisz coś głupiego?

Gdy Achmed wręczał jej plecak, przypomniała mu się rozmowa przy ognisku tuż po ucieczce z Easton: „Co potrafisz, Pieśniarko?”. „Kiedy mówię absolutną prawdę, udaje mi się zmienić rzeczywistość”.

Zmierzył ją wzrokiem. Dziewczyna właśnie rozwiązywała rzemyki brezentowego pokrowca, w którym trzymała harfę.

– Dzięki za zaufanie. – Wyjęła instrument i obejrzała go dokładnie. Wilgoć panująca pod ziemią ani trochę mu nie zaszkodziła, podobnie jak bochenkowi Pilama. – Twierdzisz, że wąż niebawem zostanie obudzony.

– Tak.

– A jeśli nie usłyszy wezwania? – Achmed nie odpowiadał, więc wyjaśniła: – Gdybyśmy je zagłuszyli, bestia po prostu dalej by spała, przynajmniej przez jakiś czas.

Na twarz Draka wypełził skąpy uśmiech.

– Jak zamierzasz tego dokonać?

– Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę, nim wejdziemy do tunelu.

Szli bardzo ostrożnie i bez pośpiechu, żeby zachować ciszę. Gdy dotarli do końca korzenia, zeszli z niego na bazaltową skałę, przez którą biegła Axis Mundi. Przed nimi, w mroku, otwierał się wielki tunel o ledwo widocznych ścianach stapiających się z czarnym kamieniem.

Z każdym krokiem Rapsodia czuła coraz dotkliwszy chłód. Gdy podeszli bliżej, wszystko stało się jasne. Z głębi korytarza wiał lodowaty wiatr. Od razu zdrętwiały jej uszy i palce, a mokre ubranie zaczęło przymarzać do skóry.

– O bogowie – szepnęła. – Dlaczego jest tak zimno?

Achmed obejrzał się spowolnionym ruchem.

– Wracając na powierzchnię po ukryciu jaja, demony zabrały ze sobą żywioł ognia, by wąż pozostawał w stanie hibernacji. Chciały, żeby urósł jak największy, zanim go uwolnią. Pewnie dlatego ciepło i światło przyciągają robaki.

Mówił tak, jakby zaciskał szczękające zęby.

– Dobrze się czujesz?

Drak uśmiechnął się zsiniałymi wargami.

– Nie wiem, czy sam nie zamarzam.

– Co masz na myśli?

Pochylił się ku niej, żeby usłyszała jego szept.

– Nazwałaś mnie Achmedem Wężem.

Z troską w oczach Rapsodia otarła szron z jego twarzy. Drak już prawie się nie poruszał.

– O bogowie! – wyszeptała.

Co ja narobiłam? Jeśli niechący obudzę gada, Achmed nie będzie mógł uciec. Zostanie jego pierwszą ofiarą. Nie, drugą.

– Chodź, odprowadzę cię do Grunthora – powiedziała, biorąc go za zlodowaciałą rękę. – Nie możesz tu zostać.

Achmed z ogromnym wysiłkiem potrząsnął głową i wbił w nią przeszywające spojrzenie.

– Bierz się do pracy. Ja zaczekam – wymamrotał z trudem, ale w jego głosie brzmiała stanowczość.

Dziewczyna zajrzała w lodowatą ciemność.

– Wyczuwasz bicie jego serca? – spytała.

Achmed zamrugnął dwa razy.

– Dobrze, ale musisz mi dawać znaki, czy on reaguje na to, co robię, czy się nie budzi. W każdej chwili będziemy mogli się wycofać. Najpierw jednak sprawdzę, w jakim kierunku biegnie tunel.

Odłożyła harfę i na palcach podeszła do wielkiego otworu. Zajrzała do środka, lecz nie zobaczyła boków ani sklepienia. Po omacku przesunęła dłonią po ścianie. Stwierdziła, że jest zimna i chropowata. Prawie nic nie widziała, ale oceniła, że podziemny korytarz opada i zakręca w oddali. Wróciła do Achmeda.

– Wąż jest chyba bardzo daleko – powiedziała cicho. – Nie widzę końca tunelu.

– Jego... ściana...

Rapsodia nachyliła się ku niemu.

– Co mówisz?

– ...to... łuska... skóry... węża.

Krew zastygła jej w żyłach. Achmed wspomniał, że cielsko bestii stanowi dużą część masy Ziemi, lecz nie przypuszczała, że ogromny tunel to niewielki odcinek jednego ze zwojów, a serce znajduje się dużo głębiej we wnętrzu planety. Jeśli gad się obudzi, żadne miejsce na świecie go nie pomieści. A ona go dotknęła!

Wzięła do ręki harfę, walcząc ze strachem. Oczyściła umysł i wsłuchała się w rozproszoną muzykę, która wypełniała gigantyczną pieczarę. Po chwili do jej uszu dotarł niski, spokojny ton z okresową zmianą o pół nuty w dół lub w górę. Świadectiono głębokiego snu.

Zaczęła cicho nucić najprostszą kołysankę w tej samej tonacji co otaczająca ją muzyka. Spojrzała na Achmeda, szukając potwierdzenia, że serce gada uderza szybciej, ale jego powieki nie drgnęły. Oczy, uwięzione w zamarającym ciele, wpatrywały się w nią intensywnie.

Ostrożnie dodała do swojej pieśni kolejny akord i zarejestrowała lekkie ocieplenie powietrza. Zerknęła pytająco na Achmeda. Drak mrugnął jeden raz. Nadal żadnej zmiany.

Przez głowę przemknęła jej pewna myśl. Czym prędzej ją odpędziła. Nie powinna się rozpraszać, zastanawiać nad doniosłością tego, co robi, i skutkami niepowodzenia. Strach mógł ją sparaliżować.

Wiedziała, że kiedy demon wezwie gada, użyje jego prawdziwego imienia, z którym związana jest określona muzyczna wibracja. Trzeba nieznacznie ją zmienić, dodać do niej fałszywe nuty.

Żeby muzyką sprawić ból, najlepiej podnieść lub obniżyć wysokość dźwięku o pół tonu, zamiast wprowadzać wyraźny dysonans. Tak mawiał jej mentor.

Jeśli skorzysta z rady, bestia może nie zauważy subtelnej różnicy, lecz nowa melodia zakłóci wezwanie.

Rapsodia oddychała miarowo, dostrajając rytmy własnego ciała do pieśni. Straciła poczucie czasu, tak samo jak na Szerokich Łąkach. Nie miała pojęcia, jak długo powtarza monotony refren, za każdym razem prawie niezauważalnie go zmieniając.

Raptem Achmed szerzej otworzył oczy i zamrugał szybko. Serce węża zaczęło żywiej pompować ocean gadziej krwi.

Pieśniarka grała jak w transie, co pół taktu podnosząc tonację.

Ściana tunelu zadrżała, kiedy wielka bestia przeciągnęła się we śnie. Powietrze lekko się ochłodziło. Drak zamknął oczy i westchnął. Marzył o tym, żeby niebezpieczne zadanie wreszcie dobiegło końca.

Wiele godzin później Rapsodia wstała z trudem i podeszła do wylotu tunelu, nie odkładając harfy.

– *Samoht* – powiedziała. Co znaczyło: Graj bez przerwy. Dźwięki kołysanki nie ucichły, nawet kiedy odjęła rękę od strun.

Instrument wygrywał w kółko tę samą melodię. Rapsodia położyła go ostrożnie na ziemi blisko wejścia i cofnęła się. *Samoht*.

Pospiesznie wróciła do Achmeda. Miał teraz zamknięte oczy. Walcząc ze zmęczeniem, stanęła na palcach i zaśpiewała mu do ucha:

– Achmedzie Wężu, jest ciepło. Chodź.

Zamrugał, ale się nie poruszył.

Resztkami sił powstrzymując się od płaczu, chwyciła go za ramiona i pociągnęła z całych sił.

– Chodź, proszę!

Nadał żadnej reakcji. Szarpnęła mocniej. Zamarznięty runął na ziemię.

Łzy same popłynęły jej po twarzy. Nie miała siły nawet myśleć. Grunthor. Musi iść po Grunthora.

Ruszyła przed siebie chwiejnym krokiem. W pewnym momencie potknęła się i upadła, ale była zbyt wyczerpana, żeby się podnieść. Przez dłuższą chwilę leżała bez ruchu, z uchem przyciśniętym do szumiącego korzenia Wielkiego Drzewa. Pieśń świętego dębu wypełniła jej umysł, niosąc ukojenie.

Wzięła głęboki oddech. Może dzięki muzyce Sagii odzyska siły, tak jak kiedyś. Zaczęła śpiewać swoje imię, nutę ela, próbując dostroić się do tonu Drzewa.

Po chwili poczuła przyływ energii. Dźwignęła się powoli. Grunthor na pewno jest gdzieś blisko. Musi go odnaleźć. Da sobie radę.

Skupiona na pieśni Sagii, powlokła się dalej krok za krokiem, ze zwieszoną głową, oddychając z wysiłkiem. Nagle zatrzymały ją silne ręce.

– Panienko! Dobrze się czujesz?

– Achmed... – wyszeptała, podnosząc wzrok na Bolga. – Pomóż mu...

Olbrzym bez słowa wziął ją na ręce i pobiegł w stronę tunelu.

Drak leżał nieruchomo w tym samym miejscu, w którym upadł. Zaniepokojona Rapsodia poklepała go po twarzy. Na widok znajomego ponurego spojrzenia ucieszyła się jak nigdy dotąd.

Tymczasem Firbolg pospiesznie zdjął płaszcz, owinał nim przyjaciela i dźwignął z ziemi. Popatrzył na nią badawczo.

– Dasz radę iść sama, panienko?

Skinęła głową, nie spuszczać wzroku z Achmeda. Kolory powoli wracały mu na twarz. Uśmiechnęła się, wzięła go za rękę i mocno pociągnęła. Nie była zaskoczona, gdy poczuła opór mięśni. Drak nachylił się lekko i szepnął jej do ucha:

– Patrz.

Odwróciła się i spojrzała w tunel. Z wolna wypełniały go promienie światła cienkie jak pajęczna nić. Po kolejnych powtórzeniach kołysanki wygrywanej przez harfę dołączały do nich następne. Razem tworzyły na ścianach kolisty wzór.

Po każdym refrenie promienie stawały się grubsze, dźwięki głośniejsze, tonacja wyższa niż na początku. Pieśń rozbrzmiewała wciąż od nowa, coraz liczniejsze jedwabiste nici drgały jak struny harfy, powtarzając melodię z kilkutaktowym opóźnieniem.

– Wkrótce powstanie kakofonia – stwierdziła Rapsodia.

Grunthor pokiwał głową. Już było słychać nieprzyjemne dla ucha tony, jakby duża orkiestra grała bez dyrygenta, każdy muzyk we własnym tempie.

– Lepiej się stąd wynośmy, panienko – powiedział Bolg.

Gdy tylko oddalili się od tunelu, Achmedowi błyskawicznie wróciły siły. Od razu uparł się, żeby iść na własnych nogach. Przez jakiś czas nasłuchiwał dudniącego pulsu. Z zadowoleniem stwierdził, że jest niezmienny.

Nic nie mówił o wężu. Rapsodia też o nim nie wspominała, ale miała nadzieję, że pewnego dnia będą mogli porozmawiać o tym, czego wspólnie dokonali. Postanowiła cierpliwie poczekać. Tymczasem wszyscy troje skupili się na szukaniu wyjścia z głębi ziemi.

Korzeń biegł na razie w miarę prosto, bez licznych zakrętów, ale często opadał lub wznosił się, zapewne podążając za źródłem wody. Ponadto było coraz więcej całkiem szerokich tuneli, w których mogli iść wyprostowani, zamiast pełzać.

Od czasu do czasu spotykali rozległe, wysokie jaskinie. Tutaj swobodniej się oddychało. Grunthor przypuszczał, że są to miejsca, gdzie kiedyś gromadziła się woda pobierana przez korzeń. Były niebezpieczne. W nich zwykle trafiały się groźne zapadliska, tam najchętniej atakowały robaki.

Nadchodzą.

Głos Achmeda wyrwał Rapsodię z niespokojnego snu. Od razu sięgnęła po Lucy. Tym razem obozowali w wielkiej pieczarze, gdzie mogli śmiało użyć broni.

Choć przywykła do ciągłych potyczek z robakami, zawsze chwycił ją strach, gdy słyszała ostrzeżenie przed atakiem. Na szczęście lata spędzone na ulicach miasta dały jej hart ducha, więc teraz odgarnęła włosy z czoła i spojrzała w ciemność nad sobą.

Czy to nigdy się nie skończy? – pomyślała na widok wijących się larw. Nauczyła się walczyć z nimi prawie po omacku, bo światło dodawało im animuszu. Poruszały się wtedy szybciej, atakowały zacieklej.

Zaczęły spadać z góry, najpierw pojedynczo, po chwili całymi rojami. W nikłym blasku porostów widać było kolejne fale wypełzające z odgałęzień korzenia Wielkiego Drzewa.

Wielkolud już stał z Kosiarzem w dłoni, Achmed dobył cienkiego srebrnego miecza, któremu nie nadał żadnego imienia. Niepisanym zwyczajem wszyscy troje stanęli plecami do siebie, tnąc na prawo i lewo. Tylko Drak dorównywał szybkością larwom, za to Grunthor i Rapsodia nauczyli się przewidywać ich ruchy. Uchylali się przed bolesnymi ukąszeniami, po czym zadawali błyskawiczne ciosy. Taktyka zwykle okazywała się skuteczna.

Pełzająca masa była coraz bliżej. Achmed przyjął na siebie pierwszy atak i osłaniał ich z góry, natomiast oni zajęli się systematyczną rzezią napływających robaków i likwidowaniem

niedobitków. Broń Draka świstała tuż nad nimi, chroniąc ich przed zębami ostrymi jak igielki i jadem, który powodował nieznośne pieczenie, a czasami nawet gorączkę.

W wirze walki Rapsodia nieraz dochodziła do wniosku, że sprawna obrona i milczące porozumienie świadczą o ich wzajemnym zaufaniu. Ona sama na początku miała nierówny wkład we wspólnie toczonych bitwach, ale z czasem stała się godną partnerką Bolgów.

Za każdym razem prawdziwym koszmarem był okropny trzask, gdy ostrza mieczy przecinały ciała robaków, i odrażający smród ich wydzielin, który zostawał na ubraniach jeszcze przez wiele dni. Wreszcie jeden albo drugi towarzysz dawał sygnał, że bitwa skończona. Tym razem zrobił to Grunthor. Rapsodia padła wyczerpana na ziemię, najpierw oczyściwszy ją z krwawych szczątków.

Teraz następował bardzo ważny etap przetrząsania ubrań, czy nie schowały się w nich najmniejsze larwy. Zwykle czekały, aż człowiek zaśnie, a wtedy jak kleszcze wgryzały się pod skórę i piły krew, zostawiając po sobie kłujący ból i dreszcze.

Rapsodia była wdzięczna Grunthorowi, że zdradził jej starą bolgańską sztuczkę: należało zostawić sobie przynajmniej jeden długi paznokieć, najlepiej u kciuka, żeby zabijać nim pasożyty. Dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego Bolgowie mają pazury. Dzięki nim mogli czyścić się z wszy.

– Myślałam, że rozszarpujecie nimi przeciwników.

– Do tego również nieźle się nadają, panienko – odparł wielkolud z uśmiechem.

Dziewczyna zerknęła na Achmeda. Drak patrzył w dal.

– Zauważyliście, że ostatnio jest ich coraz więcej?

– Tak.

– Może to z powodu ciepła.

– Jakiego ciepła?

Achmed spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie czujesz?

Rapsodia milczała przez chwilę. Rzeczywiście, powietrze wydawało się cieplejsze.

– Chyba tak – bąknęła niepewnie.

– Gdzieś blisko jest ogień – stwierdził Grunthor. W oczach dziewczyny pojawił się strach.

– Skąd miałby się tu wziąć? Jakaś kopalnia, a może wulkan?

– Może – powiedział Achmed niedbałym tonem. – Albo jesteście blisko środka ziemi. Według legendy płonie w nim ogień.

Z gardła Rapsodii wyrwał się zduszony jęk. Ona również знаła tę legendę. Serce w niej zamarło. Nie przebyli nawet połowy drogi. W dodatku, jeśli nie uda się im pokonać nowej przeszkody, znajdują się w pułapce. Z zamyślenia wyrwał ją głos Achmeda:

– Idziesz?

Wstała wolno i rozprostowała zdrętwiałe nogi. Dopiero teraz poczuła ból po ukąszeniach.

– Tak.

Wsunęła Lucy w futerał przewieszony przez plecy i ruszyła za towarzyszami.

Wkrótce ich obawy się potwierdziły. Płomieni jeszcze nie widzieli, ale czuli coraz większy żar, niczym z kuźni albo samego piekła. Włosy, do tej pory mokre i pozlepiane, teraz zrobiły się suche jak siano i skołtunione. Nareszcie wyschło również ubranie, z którego po długiej wędrówce zostały łachmany. Skóra pękała od gorąca, ale jednocześnie ciepło przynosiło ulgę obolałym stawom i kościom.

Ponadto zmieniała się pieśń ziemi. Do nielicznych przyjemnych chwil w całej mordędze należały te, kiedy Rapsodia mogła leżeć płasko na brzuchu i chłonąć głębokie, modulowane wibracje. Korzeń śpiewał, tętnił życiem, dzielił się mądrością wieków.

– Ciekawe, czy Sagia czuje się zdrowsza, gdy wytępiłiśmy robaki.

– A ty nie czułaś się lepiej? – zapytał Grunthor.

– Na pewno dzięki naszym staraniom jest tu dużo mniej szkodników – stwierdził Achmed, patrząc na bazaltowe ściany.

– Starania nie były wystarczające. Obaj nadal tu jesteście – powiedziała Rapsodia.

Drak się uśmiechnął. Chyba jeszcze nigdy nie widziała równie pogodnego wyrazu na jego twarzy. Podobnie jak Wielkiemu Drzewu, im też wyraźnie poprawiły się nastroje.

Ognia nadal nie było widać. Pod ziemią nie mogli odmierzać czasu, lecz na pewno minęło go sporo, bo Rapsodia nieźle mówiła po bolgańsku, a Grunthor nauczył się nie tylko pisać i czytać, ale również poznał nuty.

Ile to już dni minęło? Miesiące? Rok? – zastanawiała się dziewczyna któreś nocy. Od tak dawna czujemy ciepło, a jeszcze nie dotarliśmy do jego źródła. Zaczęła wątpić, czy w ogóle dożyją tej chwili.

Najpierw dostrzegli odległą poświatę. Ściany na końcu tunelu jarzyły się w mroku na czerwono. Robiło się coraz goręcej. Choć wokół nich nadal było dużo wody, niemal zapomnieli o pełzaniu w zimnie i wilgoci. Sama ziemia była sucha.

Ciepło ułatwiało podróż, ale stwarzało również zagrożenia. Od czasu do czasu ubrania raptem zaczynały się tlić, a metalowe części broni nagrzewały tak, że trudno było jej dotknąć. Poza tym mieli coraz większe kłopoty ze zdobywaniem wody nadającej się do picia.

Wreszcie Achmed się zatrzymał.

– Ogień – powiedział krótko, patrząc przed siebie. Grunthor zmrużył oczy i po chwili potrząsnął głową. Rapsodia wyteżyła wzrok, ale też nic nie dostrzegła.

Ruszyli dalej. Wkrótce zobaczyła w oddali migające płomienie. Korzeń trzeszczał pod ich stopami. Sklepienie znajdowało się na zawrotnej wysokości. Z każdym krokiem widać było coraz wyraźniej, że cały podziemny korytarz płonie.

Ogień buzujący we wnętrzu ziemi mienił się kolorami, intensywniejszymi niż na powierzchni. Niebieskie, purpurowe i białe płomienie skręcały się i tańczyły od jednej ściany tunelu do drugiej, wciskając się w każdą szczelinę, w każdy skrawek wolnego miejsca. Rapsodia była oczarowana. Jaskrawy blask aż kłuł w oczy. Zaciśnęła powieki.

– *Hrekin* – zaklął za nią Grunthor. – Jesteśmy w pułapce. Równie dobrze mogliśmy zostać w Easton.

Achmed nic nie powiedział.

Rapsodia nie zwracała uwagi na towarzyszy, tylko wsłuchiwała się w pieśń ognia. W przeciwieństwie do niskiego, powolnego tonu ziemi płomienie trzaskały, huczały, wyśpiewywały niezwykłą, subtelną melodię pełną życia.

Dźwięk budził wspomnienia tak słodkie, że niemal bolesne: wieczory przy kominku, gdy matka czesała jej włosy, przetańczone noce tuż po zbiorach, pierwszy pocałunek przy obozowym ognisku.

Blask oświetlał jej twarz i splątane włosy, aż wkrótce sama zaczęła jaśnieć. W syku płomieni było wołanie, zaproszenia do tańca. Nagle zapragnęła je przyjąć. Nieświadomie zrobiła krok do przodu.

Kościste ręce chwyciły ją za ramiona.

– Co ty wyprawiasz?! – rozległ się jednocześnie ryk Grunthora. Otworzyła oczy. Achmed nadal trzymał ją mocno. Uważnie przyjrzał się jej twarzy.

– Dokąd idziesz, Rapsodio?

– Przed siebie – odparła bez zastanowienia.

– Na drugą stronę – dodała zwyczajnym tonem.

Grunthor wybuchnął śmiechem.

– Jeśli zamierzasz popełnić samobójstwo, chętnie ci pomogę, ale w taki sposób, żeby jak najmniej uszkodzić mięso. Daj spokój, panienko. Oprzytomniej.

Rapsodia straciła cierpliwość.

– Posłuchajcie. Ja nie wracam. Nie dam rady. Wy też. Pamiętacie zapadliska? Tą samą drogą nigdy nie wydostaniemy się spod ziemi. Pozostaje nam jedynie iść naprzód.

– A jak chcesz to zrobić? – zapytał Achmed poważnym tonem.

Rapsodia wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że propozycja jest szalona.

– Pamiętasz, co mówiłam o mocy nazw?

– Z grubsza.

– Zastanawiałam się na tym i doszłam do wniosku, że jedyny sposób na przekroczenie ognia to otoczenie się pieśnią z naszych imion.

– Ty idziesz pierwsza, moja droga – oznajmił Grunthor.

– Oczywiście – zapewniła pospiesznie. – Wcale nie chcę, żeby było inaczej.

– Naprawdę bardzo ci zależy na wyjściu z tunelu – stwierdził Achmed z sarkazmem i jednocześnie sympatią w głosie.

– Masz lepszy pomysł?

Rozwiązała poszarpany worek i wyjęła z niego higen, instrument strunowy wielkości dłoni, przypominający harfę.

– Jeśli uda mi się przejść, wrócę po was. Jeśli nie wrócę, będziecie wiedzieli, że musicie znaleźć inną drogę.

Grunthor zerknął na szalejące przed nimi piekło i potrząsnął głową.

– Wiem o tym bez narażania twojego życia.

– Niech idzie – powiedział Achmed.

– Dziękuję. – Rapsodia uśmiechnęła się. – W razie czego, przynajmniej się mnie pozbędziecie.

Olbrzym był coraz bardziej zdenerwowany.

– Gdybym chciał się ciebie pozbyć, zrobiłbym to już dawno temu. Mógłbym skrócić ci kark jedną ręką.

Dziewczyna objęła drżącego wielkoluda.

– Kiedyś tak, ale od tamtego czasu trochę poćwiczyłam walkę na miecze. – Ucisnęła go mocniej, a Firbolg otoczył ją ramionami. – Do widzenia, Grunthorze. Nie martw się, wrócę.

Gigant odsunął się i spojrzął na nią z wymuszonym uśmiechem.

– Podobno zawsze mówisz prawdę.

Rapsodia pogłaskała go po policzku.

– Zawsze – odparła cicho.

Odwróciła się do drugiego towarzysza, który tak mocno dał się jej we znaki w czasie całej podróży.

– Do widzenia, Achmedzie.

– Pospiesz się – burknął Drak. – Nie będziemy na ciebie czekać w nieskończoność.

Dziewczyna się roześmiała.

– To dopiero zachęta.

Zarzuciła worek na plecy i ruszyła przed siebie. Bolgowie bez słowa patrzyli, jak drobna postać znika w ścianie żaru i oślepiającego blasku.

Rapsodia zamknęła oczy i przycisnęła harfę do piersi. Palce ją zapiekły, kiedy trąciła rozgrzane struny, próbując wybrać właściwą pieśń.

Każdy człowiek jest dostrojony do określonej nuty, mówił jej nauczyciel. Rapsodia była bardzo rozbawiona, kiedy odkryła swoją własną, szóstą i ostatnią w skali, ela. Urodziła się jako szóste i ostatnie dziecko w rodzinie. Nuta wyjątkowo do niej pasowała. Zaśpiewała ją teraz i poczuła znajomą wibrację. Z prawdziwym imieniem wyrażonym muzyką poszło łatwo, ale musiała jeszcze stworzyć kompozycję najlepiej oddającą jej naturę.

Nuta po nucie, takt po takcie, zaczęła układać pieśń, dołączając do niej swój głos. W końcu zebrała się na odwagę i zbliżyła do ognia.

Gdy dotarła do skraju ryczącego piekła, oczy zapiekły ją od żaru. Zamknęła je i szła dalej, śpiewając i modląc się o szybką śmierć w razie pomyłki. Nie chciała długo cierpieć.

Silny podmuch rozwiał jej włosy i oświetlił, tak że wyglądały jak płonąca pochodnia. Coraz większe trudności sprawiało oddychanie. Rapsodia uchyliła powieki i zobaczyła, że znajduje się między dwiema ścianami ognia.

Jego śpiew rozbrzmiewał teraz dużo głośniejszy. Lekko zmieniała tonację swojej melodii i zawtórowała płomieniom. Oczy natychmiast przestały ją piec. Ujrzała królestwo wspaniałych kolorów. Jaskrawe szafiry rozdzielone płonąca czerwienią i żółtymi jęzorami płąsały wokół niej i falowały jak łąkowe trawy na silnym wietrze. Przeppełnił ją spokój. Zrozumiała, że jest bezpieczna. Ogień nie zamierzał zrobić jej krzywdy.

Ból w stawach ustąpił bez śladu. Przemknęło jej nawet przez myśl, że umiera, strawiona przez płomienie. Po chwili poczuła, że nic jej nie grozi. Ogarnięta radością, zaśpiewała pełnym głosem wspólny hymn.

Na drodze, która przed nią się otworzyła, pojawiały się i znikwały plamy ciemności. Rapsodia szła dalej, choć wymagało to od niej ogromnego wysiłku woli. Jeśli ulegnie czarowi

tego miejsca, zostanie tu na zawsze. Przejmie pieśń ognia, a w końcu pozwoli mu się wchłonać.

Nagle zamiast rozkosznego ciepła jej twarz owiał zimny podmuch. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą mroczny tunel podobny do tego, którym szła niedawno. Mimo że za plecami miała żar, przebiegł ją dreszcz.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem przez ogień, śpiewając bez wytchnienia.

Po drugiej stronie Grunthor z niepokojem wpatrywał się w płomienie, mrużąc oczy. Wreszcie, po nieskończonej długim czasie, wyciągnął rękę i zawołał:

– Widzę ją, panie!

Achmed pokiwał głową. Już chwilę wcześniej dostrzegł wysoki cień, to ukazujący się, to znikający wśród pożogi.

Kobieta, która wyszła z ognia, przypominała Rapsodię, chociaż jej włosy miały teraz barwę niejasnego złota, lecz ciepłego miodu.

Skinęła ręką.

– Chodźcie! – zawołała, przekrzykując ryk płomieni. – Nie wiem, jak długo droga będzie otwarta.

Bolgowie pobiegli ku niej, osłaniając oczy przed żarem. Rapsodia za późno dała znak, żeby stanęli. Kaptur Achmeda zajął się płomieniem. Grunthor bez chwili namysłu pchnął przyjaciela na ziemię i stłumił ogień.

Rapsodia zaczęła śpiewać imię, które sama nadała Drakowi. Powtórzyła je wiele razy. Tymczasem olbrzym pomógł wstać oszołomionemu przyjacielowi i zbliżył się razem z nim do pierwszych płomieni. Dziewczyna zatrzymała ich gestem. Ujęła dłonie Achmeda. W miarę, jak słuchał pieśni imienia, coraz pewniej stał na nogach. Najwyraźniej muzyka wpływała na niego równie kojąco, jak wcześniej na nią.

Po chwili Rapsodia zaczęła grać tę samą melodię na harfie.

– Czujesz mrowienie na skórze?

– Nie.

Zwęglone strzępy kaptura pokruszyły się i spadły na ziemię, odsłaniając straszliwe oparzenie na czole i oczach. Achmed był ślepy. Na ten widok Rapsodię zakłuło serce.

– Opowiedz mi o sobie coś, co mogłabym włączyć do pieśni. Przywrócić ci dawne imię, Bracie?

Achmed gwałtownie potrząsnął głową. Przy tym ruchu krople potu skapnęły mu z czoła i natychmiast wyparowały. Na jego twarzy odbijał się migotliwy blask płomieni.

– Którym z kolei dzieckiem byłeś w rodzinie?

– Pierwszym – odparł z wielkim trudem.

Rapsodia dodała to słowo do określeń „Firbolg” i „Drak”. Po wyrazie jego twarzy poznała, że zabieg odniósł pewien skutek.

– Jeszcze coś, Achmedzie, cokolwiek. Jaki jest twój zawód?

Zadrżał, jakby w tym momencie dotarła do niego potworność świeżego kalectwa. Nachylił się ku niej.

– Zabójca – wyszeptał.

Oczywiście!

Achmed lekko uchylił poparzone powieki i skinął głową na znak, że pieśń działa. Rapsodii mignęło przed oczami wspomnienie Draka stojącego na wielkim skrzyżowaniu, na którym zbiegały się liczne odnogi korzenia. Wtedy bez najmniejszego wahania pokazał kierunek. Później też był całkowicie pewny swoich wyborów. Nigdy nie miał wątpliwości, czy idą właściwą drogą.

Za którymś razem Grunthor szepnął jej do ucha, że Achmed wyczuwa puls Ziemi i podąża za jej bijącym sercem, tak jak kiedyś tropił swoje ofiary.

– Nieomylny tropiciel – zaśpiewała. Jego ciało stało się przezroczyste i zaczęło, podobnie jak przed chwilą twarz, jaśnieć odbitym blaskiem wielkiego pożaru. Rapsodia wciągnęła go w płomienie i szybko ruszyła na drugą stronę, wkładając w śpiew wszystkie umiejętności Bajarki. Zostawiła Draka za ścianą ognia i wróciła po Grunthora.

Na widok dygoczącego giganta poczuła ściskanie w żołądku.

W nieruchomych bursztynowych oczach dostrzegła najczystsze przerażenie, które nieco zelżało, gdy ją zobaczył. Ale na szarzielonej twarzy nadal miał wypisaną troskę.

– Gdzie Achmed? Nic mu się nie stało?

– Chodź! – krzyknęła rozpaczliwie.

Grunthor podbiegł i chwycił ją za ramiona.

– Wszystko z nim w porządku?

– Nie bój się, damy radę...

Z gardła olbrzyma wyrwał się stłumiony pomruk. Szponiaste łapy ścisnęły ją niczym imadło.

– Gdzie on jest?!

Rapsodia uwolniła się z żelaznego uścisku.

– Po drugiej stronie. Ślepy, ale żywy.

Mięśnie potężnych szczęk rozluźniły się, na groźnym obliczu odmalowała się ulga. Dziewczyna drżącą ręką pogłaskała Bolga po policzku. Wiedziała, że Grunthor nie boi się o siebie.

– Jak brzmi twoje imię w języku Firbolgów?

Gigant wydał serię świstów i powarkiwań zakończonych gardłowym dźwiękiem. Rapsodia westchnęła przeciągle.

– Jeszcze raz – poleciała, walcząc z narastającym lękiem. Z zaciśniętymi powiekami wysłuchiwała uważnie dziwnych odgłosów i powtórzyła je kilkakrotnie, starając się dokładnie

naśladować wymowę Grunthora. Gdy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła, że otacza go świetlista aureola.

– Jesteś w połowie Bengardem?

Olbrzym skinął głową.

– Dziecię piasku i otwartych przestrzeni. Syn jaskiń i krainy ciemności – zaśpiewała. – Bengard, Firbolg. Sierżant major. Trener i obrońca. Mistrz Śmiercionośnej Broni. Najwyższy Autorytet, Którego Należy Słuchać Za Wszelką Cenę.

Grunthor uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie tak, panienko. Czuję mrowienie. Chodźmy wreszcie do niego, co?

Rapsodia odwzajemniła uśmiech.

– Jesteś wiernym przyjacielem, silnym i godnym zaufania jak sama ziemia. Weź mnie za rękę.

Przeprowadziła wielkiego Bolga przez płomienie, śpiewając jego imię i przydomki. Gdy znaleźli się po drugiej stronie, ukryła twarz na jego piersi, żeby nie wybuchnąć płaczem. W zimnej, nieprzyjemnej ciemności ogarnęło ją dojmujące poczucie straty.

Z oddali jeszcze docierał do nich słaby blask ognia, gdy w głębi mrocznego tunelu Rapsodia zaczęła zdejmować Achmedowi bandaż. Mimo protestów położyła mu na oczy okład z leczniczych ziół.

Drak leżał z głową na jej kolanach i niecierpliwił się, kiedy odwijala pasy nasączonego płótna.

– Mówiłem ci, że to niepotrzebne. Przecież widzę.

– Więc dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?

– Byłem nieprzytomny – odburknął.

Rapsodia zachichotała.

– O tak. Nawet sobie pomyślałam, że jesteś niezwykle potulny. – Usunęła drugą warstwę opatrunku. – Chodziło tylko o złagodzenie bólu...

– Nic mnie nie boli – przerwał jej gniewnym tonem.

– ...a kiedy dotrzemy w bezpieczne miejsce, trzeba będzie jeszcze raz... – Urwała raptownie i po chwili szepnęła osłupiała: – O bogowie!

Straszliwe oparzenie zniknęło bez śladu.

– Mówiłem ci, że wszystko się zagoiło – powiedział Drak, zrywając ostatnie bandaż.

Grunthor też wytrzeszczył oczy.

– Bardziej niż przypuszczasz, panie.

– Co ty gadasz?

Olbrzym zdjął z pleców berdysz, noszący nazwę Pozdrowienie.

– Pamiętasz ślad po walce na noże, którą stoczyliśmy w Kingston parę lat temu?

– Tak.

– Już go nie masz, panie. Sam zobacz.

Achmed wziął od niego broń i przejrzał się w lśniącej stali. Potem rozchylił koszulę i sprawdził brzuch.

– Blizny pozniwały.

– Moje też – stwierdził Grunthor i przeniósł wzrok na Rapsodię. Dziewczyna właśnie oglądała swój nadgarstek. Po chwili skinęła głową.

– Jak to możliwe? – zapytał Firbolg.

– Przypomnijcie sobie, co wam kiedyś powiedziałam.

Achmed wrócił pamięcią do pierwszej walki z robakami. Rapsodia wtedy po raz pierwszy zaśpiewała pieśń uzdrawiającą, lecząc mu skaleczenie na rękę.

Nic nie dorównuje mocą nazwie. W niej zawarta jest tożsamość, istota rzeczy, jej indywidualna historia. Dzięki niej dana rzecz może stać się na powrót taka, jaka była kiedyś, nawet jeśli bardzo się zmieniła...

– Twierdzisz, że zostaliśmy stworzeni na nowo?

Rapsodia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem na pewno, tylko przypuszczam. Kiedy za pierwszym razem przechodziłam przez ogień, czułam, że się palę. Może płomienie nas oczyściły i w ten sposób zyskaliśmy nowe ciała, bez dawnych skaz i uszkodzeń. Da się to inaczej wytłumaczyć?

Drak powoli przesunął dłońmi po szyi. Niewidzialny łańcuch, którym spętał go demon, pękł, kiedy Rapsodia nadała mu nowe imię w zaułkach Easton. Niegdyś złamane kości teraz wydawały się silne i zdrowe, lecz Achmed nie był pewny, czy nie odnosił takiego samego wrażenia, zanim przeszedł przez ogień.

– Nie wiem. A ty odzyskałaś dziewictwo?

Rapsodia podskoczyła jak użądlna. Zwykle ignorowała tego rodzaju docinki, ale niedawne przeżycia wyczerpały jej zasób tolerancji. Spiorunowała Achmeda wzrokiem. Tymczasem Grunthor przyjrzał się jej uważnie i aż rozdziawił usta ze zdumienia.

– Kochanie, odwróć się do mnie na chwilę.

– Zostaw mnie w spokoju – warknęła. – Nie jestem w nastroju do żartów.

– Proszę, panienko – nalegał olbrzym. – Chcę zobaczyć twoją twarz.

Rapsodia spełniła jego prośbę, ale nie podniosła wzroku.

– *Criton* – mruknął Grunthor.

Achmed zerknął na nią i również osłupiał.

Rapsodia wcześniej też mogła poszczycić się urodą, choć znać było po niej trudy długiej podróży. Natomiast ogień wypalił wszelkie niedoskonałości. Dwaj przyjaciele ledwo rozpoznawali kobietę, która przed nimi stała.

Długie jasne włosy lśniły niczym płynne złoto. Skóra nabrała wyglądu różanego płatk. Szmaragdowe oczy błyszczały jak klejnoty. Dawniej Pieśniarka była urodziwa, teraz zmieniła się w prawdziwą boginię, co dostrzegli nawet Firbolgowie.

– Czemu się tak gapicie? – zapytała z irytacją.

Olbrzym dopiero po dłuższej chwili odzyskał mowę.

– Na bogów, jesteś piękna, księżniczko!

Twarz Rapsodii złagodniała, a mężczyzna oblał war.

– Bardzo mi miło, Grunthorze. Przynajmniej tyle mogłam zrobić, żeby odwdzińczyć się wam za wszelką pomoc.

– Nie to miałem na myśli. Jesteś inna.

Rapsodia ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem.

– Jemu chodzi o to, że gdybyś wróciła do zawodu, mogłabyś zażądać, każdej ceny za samo patrzenie na ciebie – wtrącił Achmed.

Dziewczyna ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

– Wolalabym, żebyś przestał wciąż wspominać o mojej dawnej profesji. Ja ci nie wypominam grzechów przeszłości. I wierz mi, nikt nie zapłaci tylko za to, żeby móc popatrzeć.

Drak westchnął. Teraz wszyscy by zapłacili.

– Rapsodio, wyglądasz tak, że dech zapiera w piersiach.

Dziewczyna przyjrzała mu się w słabym blasku dalekiego ognia. Achmed zawsze pamiętał o tym, żeby chować twarz pod kapturem. Zdawał sobie sprawę, że jej widok może być trudny do zniesienia, wręcz odrażający. Patrząc teraz na jego nie zasłonięte oblicze, nie mogła zrozumieć, dlaczego je ukrywał. Nie było brzydkie, przynajmniej w jej ocenie. Prawdę mówiąc, było w nim dziwne piękno. Zamiast ohydy dostrzegła w jego twarzy niedokończone dzieło roztargnionego boga.

Wyobraziła sobie akt tworzenia: nasadzanie na ramiona głowy, pełnej zgrubień i nadmiaru gliny, nie wygładzonej, z małą fałdką w miejscu nosa, śladami ugniatania kciukiem tam, gdzie w przyszłości miały być oczy, i ledwo zaznaczonymi bezwargimi ustami, wykrzywionymi grymasem nie przypominającym uśmiechu. Do tego oczy nie od pary i sieć naczyń krwionośnych biegnących tuż pod skórą. Wszystko razem składało się na dzieło sztuki, niezbyt piękne w klasycznym sensie, ale fascynujące i jedyne w swoim rodzaju. Może też dostrzegła w niej niepowtarzalność.

– Wiesz, ty też jesteś niebrzydki – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Achmed zerknął na Grunthora. Obaj pokiwali głowami i odwrócili wzrok. Nie rozumiała i najwyraźniej nigdy nie zrozumie.

Radość po przejściu przez ogień szybko się ulotniła, kiedy znowu musieli iść mozolnie lub pełzać po korzeniu Wielkiego Drzewa, który ciągnął się jak sam Czas, w nieskończoność. Podróż była trochę mniej uciążliwa dzięki wiedzy, którą zdobyli w drodze do środka ziemi, ale nadal znajdowali się daleko od celu.

W pierwszej części wędrówki rozpacz granicząca z szaleństwem wynikała z oderwania się od dawnego życia. Teraz, choć nie widać było końca mordercy, choć czas włókł się niemiłosiernie, zaświtała im nadzieja, że kiedyś wreszcie dotrą do wyjścia z tunelu. Gdy ściana ognia zniknęła w oddali, a wraz z nią światło, znowu szli w ciemnościach, rozmawiając niekiedy, żeby nie popaść w obłąd.

Ubrania mieli w strzępach, skórzane części ekwipunku wytarte, buty już dawno się rozpadły. Grunthor poświęcił jedną połę swojego płaszcza, a Rapsodia zapasowe struny do harfy i wszyscy troje obwiązali tkaniną nogi, żeby chronić je przed ostrymi bazaltowymi skałami. Podeszwy zrobili z pasów skóry wyciętych ze starego obuwia. Mimo tych zabiegów stopy mieli pokaleczone i zakrwawione.

Rapsodia podjęła dziękczynne modły, choć nie odróżniała dnia od nocy i znajdowała się niezmiernie daleko od nocnego nieba, gwiazd i wschodów słońca.

Za świt uznała porę, kiedy wstawali po odpoczynku. Wtedy śpiewała aubadę, poranną pieśń miłości, jednocześnie ubierając się i rozczesując włosy. Kiedy zmęczeni rozbijali obóz, odprawiała wieczorne vespery. Czasami zasypiała w połowie modlitwy.

Grunthor i Achmed słuchali w milczeniu, póki nie skończyła. Potem często poświęcali jeszcze kilka chwil na smętną rozmowę i snucie planów, które na pewno by ją zdenerwowały, gdyby nie spała.

Dziwne, ale upływający czas nie zostawił na nich żadnych widocznych śladów. Ogień usunął blizny, a także parę zmarszczek i bruzd, których mężczyźni dorobili się, prowadząc niebezpieczne życie. Wszyscy troje wydawali się wręcz młodszy, niż kiedy wchodzili do Sagii całe wieki temu.

Rapsodia z każdym mijającym dniem jaśniała coraz mocniej. Otaczała ją dziwna aura, przyciągająca jak magnes, choć jej twarz zwykle skrywał mrok. Zresztą pokrywająca ich gruba warstwa brudu i tak nie pozwalała dostrzec, że odmłodnieli.

W końcu wszystko zaczęło wskazywać na to, że są blisko powierzchni ziemi. Korytarz biegł teraz w górę. Wspinali się i pełzli po korzeniu, podobnym do tego, którym kiedyś schodzili.

Znowu było bardzo mokro i ślisko. Wrócił chłód, przyprawiając Rapsodię o bóle stawów i kości. Często brnęli po pas w wodzie lub błocie. Parę razy omal nie utonęli w spadającej z wysoka kaskadzie.

Wreszcie dotarli do poziomego, bardziej suchego tunelu. Strop był tu wyżej, więc mogli się wyprostować. Zdawało im się, że idą przez wielką rozdziawioną paszczę, którą tworzyły groźne stalaktyty i stalagmity.

Ostrożnie wymijali skalne przeszkody. W jednej z jaskiń cienki, długi stalaktyt tkwił pod dziwnym kątem na granicy ściany i stropu. Achmed przeszedł wolno, żeby nie wprawić go w wibracje.

Kiedy do ostrego nawisu skalnego zbliżyła się Rapsodia, tunel nagle wypełniła poświata. Wędrowcy zmrużyli oczy, przyzwyczajone do mroku, a teraz oślepione nawet tak nikłym blaskiem. Grunthor, który znajdował się najbliżej światła, wymamrotał parę przekleństw w języku Firbolgów.

Rapsodia dotknęła dziwnego sopła, a w tym momencie jego czubek oderwał się i spadł. Ze skały buchnęło oślepiające światło i ogień. Wszyscy troje krzyknęli z bólu i zasłonili oczy.

– Co to jest? – warknął Achmed.

Dziewczyna zerknęła przez palce. Małe ogniki lizały stalaktyt. Jeszcze raz ostrożnie wyciągnęła rękę. Gdy zbliżyła palce, płomienie strzeliły jaśniej. Kiedy cofnęła dłoń, ogień przygasł, ale nadal tlił się we wnętrzu skały.

Z taką samą pewnością, z jaką przeszła przez ogniste jądro ziemi, Rapsodia zaczęła kruszyć krystaliczny naciek. Jego zewnętrzna część wkrótce spadła na dno tunelu i roztrzaskała się na drobne kawałki. Został sam rdzeń, po którym pełgały białoniebieskie płomyki. Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To miecz – powiedziała cicho.

Firbolgowie spojrzeli po sobie. Rzeczywiście, z omszałej ściany sterczała broń o kunsztownie rzeźbionym ostrzu, jaśniejąca eterycznym blaskiem.

– Potrafisz go wyciągnąć, panienko? – zapytał Grunthor.

– Sądzisz, że powinna? – wtrącił Achmed.

– Chyba nie dosięgnę – stwierdziła Pieśniarka.

Zacząła szukać jakiegoś występu w ścianie. Olbrzym zgiął kolano i poklepał się po udzie.

– Wskakuj – powiedział z szerokim uśmiechem.

Rapsodia oparła dłoń na potężnym ramieniu i wdrapała się na wygodną półkę. Chwyliła osobliwy stalaktyt u nasady i szarpnęła. Wyszedł bez najmniejszego oporu, zupełnie jakby wisiał na włosku. Rapsodia runęłaby na plecy, gdyby Grunthor jej nie przytrzymał.

Zeszła z jego kolana i przyjrzała się broni, trzymając za ostrze mimo płomieni, które po nim płąsały. Miecz wykuto z metalu przypominającego srebro, smukłą klingę zdobily misterne runy. Rękojeść zrobiono z tego samego srebrzystego stopu, a jelec i głowica wyglądały jak gwiazda. W uchwycie znajdowała się oprawa na klejnot. Teraz była pusta,

pogięta. Płonący miecz nie parzył Rapsodii, lecz kiedy Achmed zdjął rękawicę i spróbował go dotknąć, musiał szybko cofnąć dłoń.

– Myślę, że on ją lubi – powiedział Grunthor.

– Różne są gusta – mruknął Drak.

Dziewczyna się roześmiała, a twarz Achmeda wykrzywił grymas, który niemal przypominał uśmiech.

– Aż się chce odłupać parę innych szpikulców i zobaczyć, co jest w środku. Znalazłaś sobie niezłą broń, księżniczko. Mam nadzieję, że będziesz umiała się nią posługiwać dzięki naukom swojego mistrza.

– Poćwiczę, kiedy tunel zrobi się szerszy – przyrzekła Rapsodia, oddając Grunthorowi pożyczony miecz. – Dziękuję za Lucy.

– Coś mi się zdaje, że dochodzimy do końca korzenia – powiedział nagle Achmed. – Jak sądzisz, Grunthorze?

Olbrzym rozejrzał się.

– Jesteśmy blisko powierzchni. Kto wie, może zostało nam tylko parę mil i już niedługo wyjdziemy z tej cuchnącej dziury na świeże powietrze.

– To pocieszające – stwierdziła Rapsodia.

Nadal oglądała miecz. Przez głowę przemknęły jej niewyraźne strzępy wspomnień. Zamrugła szybko i obrazy zniknęły.

Achmed podniósł z ziemi kamienną osłonę, w której do niedawna tkwiła płonąca broń.

– Na razie posłuży za futerał, póki nie znajdziemy innego. Nie sądzę, żeby wystarczyła pochwa ze skóry albo czegoś w tym rodzaju.

Do środka wrzucił ułamany kawałek skały, zatykając dziurę na końcu, którą wcześniej zrobiła Rapsodia.

Gdy schowała miecz, korytarz znowu pogrążył się w ciemności.

– Chcecie, żebym go wyjęła?

– Nie, póki nie ma potrzeby – zdecydował Achmed. – Chodźmy. Muszę zobaczyć, dokąd biegnie tunel.

Rapsodia i Grunthor otrzepali się z pyłu i kiedy ich oczy przywykły do mroku, ruszyli za towarzyszem.

– Czuję, że jesteśmy blisko powierzchni.

Od dłuższego czasu pełzli coraz węższymi szczelinami w skale, aż w końcu dotarli do ziemnego tunelu, w którym z trudem się przeciskali. Grunthor kilka razy utknął i musieli go okopywać.

Serce Rapsodii drgnęło po słowach Achmeda. Od dawna walczyła z uczuciem duszenia się. Nie chciała wpaść w panikę.

Drak położył się na plecach i zdjął jedną rękawicę. Przesunął dłonią po otaczającej go skale.

– Wyciągnij miecz. Potrzebuję światła.

Dziewczyna spełniła prośbę. Ostrożnie podała Drakowi broń rękojeścią do przodu.

Achmed uniósł miecz nad głowę niczym płonąca pochodnię i zaczął posuwać się do przodu, odpychając piętami. Nagle zatrzymał się, przybliżył klingę do oczu i obejrzał ją uważnie w migotliwym blasku płomieni. To samo zrobił z rękojeścią.

– O bogowie! – szepnął.

– Co się stało? – zapytała z przestraszeniem Rapsodia.

Grunthor podczołgał się do niej i uniósł głowę, opierając się na łokciach.

– Clarion Gwiazda Dnia – powiedział Drak trochę głośniejszym głosem.

Olbrzym zagwizdał przeciągle.

– Co?! – Rapsodia czuła coraz większy niepokój.

– Jesteś pewny, panie?

– Całkowicie.

– O czym wy mówicie?! – krzyknęła dziewczyna. Przestraszył ją własny histeryczny głos.

Achmed rzucił miecz na ziemię i chwycił się za głowę, mamrocąc przekleństwa w języku Firbolgów. Grunthor westchnął i niezdarnie poklepał ją po nodze.

– To słynny miecz z wyspy, księżniczko – powiedział zrezygnowanym tonem.

– Z wyspy? Z Serendair? Jesteś pewny?

– Tak – odburknął Achmed. – Nie można się pomylić. Jest gwiazda i runy na rękojeści. To z całą pewnością Clarion, tylko nie wiem, dlaczego świeci.

– Więc to znaczy...

– Że wróciliśmy do miejsca, z którego wyruszyliśmy. Równie dobrze mogliśmy zostać.

Rapsodia nie rozumiała przygnębienia Bolgów. Ona najchętniej skakałaby z radości. Nie wiadomo jakim cudem, ale wrócili na Serendair. Widocznie skręcili w niewłaściwy tunel i dotarli do punktu wyjścia. Podniecenie wyparło z niej wściekłość, że tyle czasu niepotrzebnie się mordowała. Nareszcie była w domu.

– Musimy się stąd wydostać – rzuciła niecierpliwie. – Chodźmy.

Achmed westchnął.

– To koniec tunelu. Dalej się nie przeciśniemy.

Serce jej zamarło.

– Więc jak wyjdziemy?

– Klucz.

Z wolna narastał w niej paniczny strach.

– Nie mamy klucza, nie pamiętasz? Zniknął, kiedy drzwi Sagii zamknęły się za nami.

– Naprawdę jesteś łatwowierna – stwierdził Achmed i wyciągnął dłoń zza pleców.

Trzymał w niej czarny kościany klucz, już nie tak lśniący jak na początku.

Rapsodia zbladła.

– Ty draniu!

Grunthor przewidująco chwycił ją za ramiona. Choć się szarpała i młóciła rękami powietrze, nie udało się jej wyrwać z żelaznego uścisku.

– Ty draniu! Kłamliwy, podstępny sukinsynu!

– Niby prawda, ale nie ma potrzeby obrażać mojej matki.

Achmed obmacywał strop, nie zważając na silne fale wściekłości, które docierały do niego z tyłu. Nagle bezpośrednio nad sobą wyczuł pod palcami rozdarcie w materii świata, podłużny otwór.

Włożył klucz i... nic. Trafił na litą skałę. Spróbował jeszcze raz. W tunelu rozbrzmiał echem donośny brzęk. Zniechęcony Drak opadł na plecy i zaklął.

Rapsodia w jednej chwili ochłonęła z gniewu.

– Co się stało?

– Nie działa.

– Słucham?

– Klucz nie pasuje – wyjaśnił cicho Achmed. – Chyba nie tylko nas zmienił ogień.

Ponownie sięgnął ręką do sklepienia i w tym momencie nawiedziła go wizja. Pomknął w górę przez skały, przez warstwy ziemi, gliny, suchej trawy i śniegu, aż ujrzał światło słoneczne. Z bólu głośno wciągnął powietrze i zamknął oczy.

Zaniepokojona Rapsodia dotknęła jego ramienia.

– Dobrze się czujesz?

Odepchnął jej rękę.

– Zostaw mnie w spokoju. Wszystko jest w porządku z wyjątkiem tego, że wróciłem do punktu wyjścia i utknąłem w jednym miejscu, z którego możemy wydostać się na świat. Bogowie pewnie pękają teraz ze śmiechu.

– Jak daleko mamy do powierzchni, panie?

– Nie wiem. Kilkaset łokci.

Olbrzym wyciągnął się na dnie tunelu i z westchnieniem ulgi rozprostował zdrętwiałe kończyny.

– Tylko tyle? Odsuń się, panie, to zacznę kopać.

Rapsodia podkuliła nogi pod siebie i wykręciła głowę, żeby móc na niego spojrzeć.

– Nie słyszałeś, Grunthorze? Achmed powiedział o kilkuset łokciach.

– W takim razie bierzmy się do roboty. Masz inne zajęcie, księżniczko? Przesuń się.

Kiedy wyciągnął z za pasa niedużą łopatę, którą nazywał mało finezyjnie Kopaczką, zrobiła mu miejsce. Chwilę później Achmed poszedł za jej przykładem.

– Wiesz, co robisz, Grunthorze? – zapytała dziewczyna z niepokojem, kucając w płytkiej niszy.

– Nie.

Rapsodia zamrugła i spojrzała na Draka, który wzruszył ramionami.

– W porządku, coś zrobić trzeba – skwitowała.

Grunthor położył się, ujął oburącz łopatę, zamachnął się i z całej siły wbił ją w ścianę tunelu. Posypały się iskry, ale na kamieniu nie powstała nawet rysa. Bolg powtórzył cios i tym razem odłupał parę wiórów. Uderzył znowu. I jeszcze raz.

Miarowo, bez wytchnienia walił łopatą w skałę, aż żelazo zaczęło się wyginać. Mimo to nie ustawał w pracy. Rapsodia i Achmed zbierali odłamki i rzucali je za siebie, żeby nie blokować przejścia.

– Czy to nie doskonały sposób, żeby zwalić nam strop na głowy? – zapytała dziewczyna, kiedy Drak podał jej duży kawałek skały. Musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć łoskot.

– Jeśli chcesz, powiem mu, żeby zaczął przebijać się prosto w górę.

– Nie, dzięki – odparła pospiesznie.

W jego oczach dostrzegła tłumiony gniew. Nie była pewna, czy kpi, czy mówi poważnie. Ta druga możliwość była o wiele bardziej przerażająca.

W miarę, jak mijały godziny, Achmed i Rapsodia, którzy pełzli za wyrabującym im drogę Grunthorem, zrozumieli, że w żaden sposób nie dałoby się go teraz powstrzymać. Gigant nie zważał na ich błagania, żeby zwolnił i odpoczął. Było tak, jakby stanął do walki na śmierć i życie z samą ziemią i nie zamierzał się poddać, choćby miał paść trupem.

To ostatnie wydawało się mało prawdopodobne. Oboje doszli do wniosku, że Grunthor nie jest opętany, lecz z wolna poddaje się żywiołowi ziemi. Nieomylnie trafiał w drobne szczeliny i słabe punkty, odłupując wielkie kawały granitu. Dostrzegał każde pęknięcie, każdą skazę. Tunel wypełniały brzęk metalu i huk kruszonego kamienia.

Rapsodia obserwowała Bolga z uśmiechem podziwu. Grunthor, silny i godny zaufania jak sama ziemia. Tak go opisała w swojej pieśni. Teraz się przekonała, jak celne było to określenie.

Uświadomili sobie jeszcze jedną rzecz: albo im się uda, albo tutaj umrą. Drogę powrotną odcięły im zwały granitu odłupanego przez Grunthora.

Nie musieli dzielić się tą myślą na głos. Patrząc na rumowisko, Rapsodia podchwyciła wzrok Achmeda. Uśmiechnęli się do siebie jak żeglarze uczepieni masztu tonącego statku.

Olbrzym przerwał pracę tylko raz, wyłącznie po to, żeby zmienić pozycję, po czym zaczął rąbać skałę pod trochę innym kątem.

Wiedział dokładnie, w którym miejscu uderzyć. Zdawał się nie tylko dostrzegać najdrobniejsze rysy, ale potrafił prześledzić ich bieg w granitowej ścianie. Musiał teraz łupać gruz na mniejsze kawałki, bo towarzysze nie mieli siły przenosić kamieni wielkości młyńskich.

Coraz bardziej zapadał się w sobie. Stracił kontakt z rzeczywistością, zapomniał o całym świecie, pozbył się wspomnień, przestał myśleć o przyszłości. Został jedynie on i ziemia, a

potem już tylko ziemia. Wczuł się w żywioł, sam się stał gliną, skałą. I nagle skała się rozstąpiła.

Grunthor wyczołgał się na powietrze kompletnie oszołomiony. Chłodny wiatr dmuchnął mu prosto w oczy, krew nagle odpłynęła z galopującego serca. Olbrzym zatoczył się i runął na twarz. Ziemia, która przed chwilą tuliła go z czułością kochanki, teraz zdzieliła boleśnie w twarz.

Rapsodia wypełzła tuż za nim w ciemną noc. Natychmiast doskoczyła przerażona do Firbolga i chwyciła go za ramiona.

– Nic ci nie jest?

Wielkolud w otępieniu pokręcił głową. Była to prawda, ale niecała. Wyrwany z łona ziemi, z ciepła na lodowate zimno, przeżył wstrząs gwałtowniejszy niż przy narodzinach. Z trudem dźwignął się na kolana.

Rapsodia odetchnęła z ulgą. Gdy upewniła się, że Grunthor jest cały i zdrowy, potoczyła wzrokiem wokół siebie i osłupiała.

Wydawało się jej, że wstąpiła do rajów. Stała na leśnej polanie oblanej księżycowym blaskiem. Powietrze było mroźne i przejrzyste. Zaśmiała się i obejrzała na Achmeda, który właśnie wygramolił się z tunelu. Nagle wstrząsnął nią szloch. Upadła na ziemię i zaczęła tarzać się w śniegu, na przemian śmiejąc się i płacząc.

Drak pomógł Grunthorowi wstać. Kiedy zobaczył, że bursztynowe oczy powoli nabierają przytomniejszego wyrazu, ruszył na skraj polany.

Zakładniczka, którą zachował przy życiu tylko dlatego, że nie wiedział, czy nie będzie musiała przywrócić mu dawnego imienia, chichotała jak wariatka, mamrotała coś do siebie i grzebała rękami w śniegu.

Poczuł ściskanie w gardle. Jeśli wrócili na Serendair, to oznaczało, że utracił swój dar. Zamiast tak dobrze mu znanego bicia milionów serc wiatr nie przynosił żadnych odgłosów, oprócz coraz wolniejszego pulsu Grunthora i przyspieszonego Rapsodii. Zupełnie jakby na całym świecie tylko oni troje pozostali przy życiu.

Dziewczyna znowu wybuchnęła śmiechem przez łzy, zaczęła się krztusić. Śmiech odbił się echem od lasu. Achmed podszedł dużymi krokami do Pieśniarki, chwycił ją za ramię i szarpnięciem dźwignął z ziemi. Wyraz ekstazy na jej twarzy zastąpiło oszołomienie.

– Może byś wreszcie się uciszyła – warknął.

Rapsodia wyszarpnęła się i spiorunowała go wzrokiem.

– Ty się ucisz – rzuciła gniewnie.

Zadarła głowę i popatrzyła na sklepienie z gałęzi. Gdzieś tam przeświecały przez nie gwiazdy. Na ten widok od razu ochłonęła z gniewu i rozejrzała się za przerwą w koronach drzew, w której mogłaby wyraźnie zobaczyć niebo. Zrobiła krok, ale w tym momencie zatrzymała ją silna dłoń.

– Stój.

Odwróciła się wściekła.

– Nie dotykaj mnie.

– Nie odchodź, póki nie ułożymy jakiegoś planu. Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy.

Rapsodia uwolniła ramię, ale zrozumiała, że Drak ma rację.

– Nie odchodzę daleko. Muszę spojrzeć na gwiazdy. Nie próbuj mnie zatrzymać.

Achmed przyjrzał się jej twarzy. Pieśniarka wyglądała zupełnie inaczej niż wieki temu, kiedy dotarli do lirińskiego lasu. Oprócz fizycznej doskonałości, którą zyskała po przejściu przez ogień, miała w sobie teraz niespotykaną charyzmę i władczość. Zerknął na Grunthora, który właśnie wracał do dziury w ziemi.

– Dobrze, ale bądź ostrożna – rzucił i podbiegł do przyjaciela.

Rapsodia odczekała chwilę, a następnie oczyściła umysł z pajęczyn, które go oplótły podczas strasznej podróży po korzeniu Wielkiego Drzewa. Nad nią migotały gwiazdy niczym rozrzucone kawałki duszy nieba. W oczach wezbrały jej łzy, ale od razu zamarzyły w kącikach oczu.

Powoli, jak we śnie, Rapsodia dobyła starożytnego miecza, który znalazła we wnętrzu Ziemi. Płomienie lizały ostrze, ale lśniąca stal nie nagrzewała się ani nie przewodziła ciepła. Rękojeść też pozostawała chłodna. Dziewczyna uniosła broń, jakby jej rękami kierował tajemniczy głos.

Zamiast zblednąć na tle niebieskawych ogników, gwiazdy rozbłysły mocniej, lecz stało się tak zapewne z powodu niewylanych łez. Rapsodia otworzyła usta, ale nie zdołał zaśpiewać ani jednej nuty. Bólściskał ją za gardło. Spróbowała jeszcze raz zaintonować vesperę do wieczornej gwiazdy Seren, od której nazwę wzięła wyspa, miejsce jej narodzin.

Ku niebu popłynęły słodkie tony niesione przez wiatr, który przeganiał skłębione chmury.

Daleko na południu, w sercu innego lasu, inną kobietę obudziły wibracje, których nie słyszała od wielu, wielu lat. Miecz wrócił, pomyślała. Lecz wiatr niósł coś jeszcze. Tęsknotę. Miała niejasne wrażenie, że kiedyś też ją odczuwała. Smutek przemknął przez jej serce niczym chmura po tarczy księżycy i zniknął. Na starej lirińskiej twarzy zagościł ponury wyraz.

Grunthor zajrzał w głąb podziemnego korytarza. Powoli wracał do siebie, nadal łączyła go z żywiołem ziemi mocna więź.

Wszystkie mięśnie bolały go jak nigdy, ścięgna płonęły. Takiego zmęczenia nie czuł nawet wtedy, gdy razem z Achmedem uciekli z niewoli demona. Lecz wiedział, że czeka go jeszcze jedno zadanie, nim będzie mógł zasnąć.

Zamknął oczy i pochylił się nad czarnym otworem. Z czułością przesunął palcami po jego brzegach i tak jak wtedy, gdy kopał, wyczuł każdą skazę, rysę, pęknięcie. Zebrał resztki sił i uderzył w najsłabszy punkt. Wylot tunelu zapadł się w chmurze drobnego pyłu i kryształków śniegu. Gigant osunął się na kolana.

– Droga odcięta na zawsze – dobiegł zza niego ostry głos.

Grunthor uniósł głowę i z ogromnym wysiłkiem się uśmiechnął.

– Od początku wiedzieliśmy, że już nie wrócimy.

Achmed zaśmiał się ironicznie.

– Wrócimy? Nigdy nie opuściliśmy tego miejsca.

Grunthor położył głowę na śniegu i usłyszał kojący rytm własnego pulsu.

– Nie, panie – mruknął. – Nie stąd wyruszyliśmy. Jesteśmy teraz po drugiej stronie świata.

W tym momencie zmogło go wyczerpanie. Zapadł w ciężki sen, który przyniósł mu głębszą wiedzę o tej krainie, zrodzoną z więzi z ziemią.

Achmed nie musiał długo czekać na potwierdzenia słów giganta. Chwilę później usłyszał głuchy szloch dobiegający ze skraju polany. Rapsodia zobaczyła gwiazdy. I też zrozumiała.

Tuż przed świtem wiatr przybrał na sile i cisnął w twarz Rapsodii drobne płatki śniegu.

Dziewczyna obudziła się i usiadła gwałtownie. Stwierdziła, że to jednak nie był sen. Ochłodziło się przez noc, niebo było teraz czyste, gwiazdy przybladły, ale nadal migotały, jakby nie chciały gasnąć. Zbliżał się wschód słońca. Przez drzewa przeświecała różowawa poświata.

Rapsodia zobaczyła, że jest przykryta jednym z szorstkich koców, których używali na korzeniu Wielkiego Drzewa. Leżący obok niej Grunthor nadal spał jak zabity. Obozowali w gęstym jeżynowym zagajniku. Nad niedużym ogniskiem wisiał zając nabity na szpikulec.

Achmed siedział pod nagimi gałęziami forsycji i obserwował ją w milczeniu. Gdy na niego spojrzała, skinął głową. Uśmiechnęła się mimo woli, po czym obrzuciła badawczym wzrokiem chrapiącego olbrzyma. Wyglądało na to, że po swoim heroicznym wyczynie Grunthor ma się całkiem nieźle.

– Wszystko z nim w porządku – powiedział cicho Achmed.

– To dobrze – odparła Rapsodia i wstała z trudem. Mięśnie zeszywniały jej przez noc, była cała obolała i czuła się jak staruszka. – Przepraszam na chwilę.

Skierowała się na wschód i wkrótce odkryła miejsce, z którego mogła obserwować wstający świt.

Wyciągnęła miecz. Tak jak poprzednio zdziwił ją chłód rękojeści i ostrza, mimo pełzających po nim płomieni, które paliły się intensywniej niż obozowe ognisko. Blask jutrzeńki zabarwił je na różowo i fioletowo. Podziwiając piękną broń, czuła na twarzy bijące od niej ciepło.

Clarion Gwiazda Dnia. W tej dźwięcznej nazwie pobrzmiwało echo trąbki ogłaszającej świt. Rapsodia uniosła miecz nad głowę, zamknęła oczy i cicho zaintonowała poranną aubadę do słońca, którą lud jej matki żegnał gwiazdy i witał nowy dzień.

Pod powiekami miała obraz płonącego miecza, słyszała jego pieśń. Nagle stwierdziła zaskoczona, że tonacja się zmienia, dostraja do aubady. Poczowała przyływ niezwyklej mocy, ale wpadła w panikę i upuściła broń.

Otworzyła oczy i czym prędzej ją podniosła. Ogień nie zgasł w kontakcie ze śniegiem. Jarzył się nawet mocniej niż przed chwilą. Rapsodia zadrżała, pospiesznie schowała miecz i ruszyła w stronę obozu. Grunthor nadal spał.

Achmed nie spuszczał oczu z gibkiej postaci zwróconej ku wschodowi. Gdy nad horyzontem pojawiły się pierwsze promienie słońca, dodały blasku jej włosom.

Twarz, różową od porannej zorzy, okalało migotliwe złoto. Szmaragdowe oczy błyszczały jak klejnoty. Dziewczyna wysyłała wibracje, jakich nigdy wcześniej nie odbierała. Miały w sobie czystość ognia, przez który przeszła. Wchłonęła część żywiołu, związała go ze sobą pieśnią. Teraz w niej płonął, działał jak magnes, hipnotyzował. Wypalił wszelkie niedoskonałości ciała. Rapsodia była teraz piękna ponad ludzkie wyobrażenie. Achmed patrzył na nią zafascynowany, jak zawsze, gdy miał do czynienia z prawdziwą mocą.

Skończywszy poranne modły, Pieśniarka wróciła do obozu. Pochyliła się nad Grunthorem, dotknęła lekko jego ramienia i zaśpiewała gigantowi cicho do ucha:

*Obudź się, mały człowieczku,
Niech słońce wypełni twoje oczy,
Dzień zaprasza cię do zabawy.*

Na dźwięk sereńskiej dziecięcej piosenki Grunthor uśmiechnął się szeroko, ale nie otworzył oczu. Usiadł z jękiem, trąc powieki.

– Czuję jedzenie – stwierdził, otaczając ją ramieniem.

– Mam nadzieję, że mówisz o pieczonym zającu – odparła Rapsodia, zerkając ku ognisku.

– Oczywiście.

– Blisko ciebie niczego nie można być pewnym, a zwłaszcza w twoim uścisku. Jak się czujesz?

– Jak król świata, panienko. Tutaj o wiele mi lepiej niż w jego wnętrznościach. – Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – Księżniczko, zrobiłaś coś z włosami?

Rapsodia zaśmiała się.

– Tak. Wymazałam błotem i nie chesałam od wieków. Podobają ci się?

Żartobliwie kokieteryjnym gestem dotknęła splątanej masy złocistych pasm.

– Tak. Brud chyba im służy, panienko. Może inne kobiety powinny wypróbować twój sposób.

Rapsodia szturchnęła go łokciem i zrobiła krok w stronę tlącego się ogniska. W tym momencie buchnęło płomieniami, osmalając upieczone mięso.

– Chyba jest już gotowe, Achmedzie. Jeśli zaraz go nie zdejmujemy, spali się na węgiel. Hej, Grunthorze, mogę na chwilę pożyczyć Rozjemcę?

Bolg zdjął z pleców groźnie wyglądający miecz i podał dziewczynie. Rapsodia bez zastanowienia wsadziła ramię po łokieć w ogień, nadziała zająca na ostrze i spokojnie podała Drakowi.

Olbrzym zagwizdał.

– To było niezłe.

– Co?

– Jak twoja ręka? – zapytał Achmed.

Rapsodia zrobiła zdziwioną minę.

– Dobrze. A dlaczego pytasz?

– Sądząc po tym, co przed chwilą zrobiłaś, powinna być zwęglona.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ogień wcale nie jest taki gorący. Trzymałam w nim rękę tylko przez chwilę. Nie zamierzasz nas poczęstować? Grunthor jest głodny, a ja mam żywotny interes w tym, żeby zawsze był nakarmiony.

Achmed rozerwał zająca na pół. Jedną część dał Grunthorowi, drugą podzielił między siebie i Rapsodię.

Mężczyźni ze zdumieniem obserwowali, jak dziewczyna pochłania swoją porcję. Od początku wędrówki rzadko jadała mięso. Może po tym, jak przez długi czas żywili się korzeniem, nabrała apetytu na coś solidniejszego albo po prostu zapragnęła odmiany.

Gdy posiłek dobiegł końca, spakowali ekwipunek, a Drak zasypał ognisko śniegiem. Rapsodia wstała z ziemi i zarzuciła worek na plecy.

– Jaki jest plan?

Achmed uśmiechnął się domyślnie.

– Zdaje się, że już masz określony cel.

– Z pewnością nie chcę zostać tutaj. Najpierw znajdę jakąś osadę, a potem udam się do najbliższego miasta portowego.

– Więc wracasz?

– Oczywiście. Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle bym nie wyruszyła.

Zacisnęła szczęki, obaj mężczyźni spostrzegli, że drga jej mięsień na policzku. Wędrując korzeniem Wielkiego Drzewa, stracili poczucie czasu. Nie potrafili określić, ile trwała cała podróż. Wydawało się im, że całe stulecia, ale wiedzieli, że to niemożliwe, bo nie postarzeli się ani o jeden dzień.

Rapsodia miała świadomość, że tymczasem mogli umrzeć jej przyjaciele i członkowie rodziny, ale nie dopuszczała do siebie ponurych myśli, póki pełzli przez niekończący się tunel.

– W porządku. Uważam, że to uczciwe postawienie sprawy – stwierdził Achmed. – Grunthor i ja odprowadzimy cię do najbliższego dużego miasta. Wtedy zadecydujesz, czy chcesz naszej pomocy, żeby dostać się do portu. Przynajmniej tyle jesteśmy ci winni.

– Dziękuję. Przy was czuję się bezpieczniejsza.

– Ale podróżując z nami, musisz przestrzegać tych samych zasad co my. Zwykle jesteśmy bardzo ostrożni. Zacznijmy od języka. Używamy tylko bolgańskiego. Na Serendair mówią nim jedynie Bolgowie. Tobie idzie już całkiem nieźle.

– Dobrze – powiedziała Rapsodia w ich języku.

Grunthor się zaśmiał.

– Właśnie mu powiedziałaś, że wykonał dobrą robotę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Trzeba trochę czasu, żeby nauczyć się idiomów. Łatwiej przyswoić podstawowe zasady, bo są jak nuty.

– Skoro uzgodniliśmy tę kwestię, pomówmy o strategii. Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy. Raczej nie w pobliżu Bliźniaczego Drzewa. Pewnie oddaliliśmy się od korzenia, kiedy zaczęliśmy kopać. Właściwie dobrze się stało, bo wiemy, jak pilnie była strzeżona Sagia. Można założyć, że gdzieś tutaj mieszkają ludzie, a nie chcemy ich spotkać, przynajmniej na razie. Najpierw musimy rozeznaczyć się w sytuacji, zbadać okolice.

– Zgoda – powiedziała Rapsodia.

Grunthor skinął głową.

– Jeśli się na kogoś natkniemy, trzymajmy język za zębami. Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich. A, i jeszcze jedno. Rapsodio, proponuję, żebyś nie wyciągała miecza, chyba że w ostateczności. Kryje się w nim wielka moc. Nie mam pojęcia, skąd się wziął po drugiej stronie świata, wbity w podziemną skałę. Wątpię, czy to dobry znak.

– Dobrze. Możemy już iść? Im szybciej wyruszymy, tym prędzej dotrzemy do portu.

Dziewczyna aż podskakiwała z niecierpliwości. Firbolgowie wymienili spojrzenia. Jedyne, czego im nie brakowało, to czas. Ta świadomość przyprawiała o zawrót głowy.

Po godzinie marszu Rapsodia zaczęła drżeć. Opuszczali Easton w środku lata, teraz była zima. W dodatku z odzienia stosownego do tamtej pory roku zostały łachmany pełne dziur.

Miała nadzieję, że ruch ją rozgrzeje, ale ostry wiatr przejmował na wskroś i chłodził bardziej niż wilgoć tuneli. We wnętrzu ziemi przeważnie było ciepło i zacisznie. Tutaj, na powierzchni, mróz odbierał siły.

– Hej, panienko, zatrzymaj się na chwilę.

Grunthor rozwinął dwa wełniane koce, które oszczędzali przez całą drogę w korzeniu Wielkiego Drzewa. Sięgnął po Lucy i zręcznym ruchem wyciął pośrodku każdego z nich długi otwór. Jeden pled rzucił przyjacielowi. Drak nałożył go przez głowę jak tunikę. Drugi koc olbrzym podał Rapsodii. Parsknął śmiechem, kiedy się nim opatulila. Prowizoryczne okrycie było dla niej o wiele za duże.

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiała w tym walczyć – skomentował Achmed.

– Ja też. Zwłaszcza Clarionem. Pewnie zajęłabym się płomieniem.

– Ale teraz przynajmniej nie zmarzniesz – rzucił Grunthor, gdy podjęli marsz.

Miejscami śnieg był głęboki, lecz Achmed bezbłędnie omijał zasy, jakby w głowie miał dokładną mapę. Grunthor również doskonale orientował się w terenie. Wiedział, gdzie pod warstwą białego puchu kryją się pułapki: nie zamrożone strumienie, groźne kolce, spróchniałe pniaki. Od czasu do czasu wskazywał je przyjacielowi, który natychmiast zmieniał trasę. Jak na ludzi podróżujących przez nieznaną kraj, obaj zachowywali się z wielką pewnością siebie.

Niebo szybko pociemniało. Nawet jak na tę porę roku dzień wydawał się zbyt krótki. Co prawda Rapsodia słyszała, że w najbardziej na południe wysuniętych częściach Serendair zmierzcha się bardzo wcześnie, a świt wstaje późno. Dziadek opowiadał jej kiedyś, że na kilku małych wysepkach leżących daleko na morzu wiecznie panuje ciemność. Przyszło jej do głowy, że istotnie trafili do krainy, gdzie zimowe noce ciągną się bez końca, natomiast latem dni są bardzo długie.

W pewnym momencie Grunthor zaproponował, żeby skręcili na wschód. Po krótkim marszu dotarli do wąskiej drogi biegnącej z północy na południe. O jej wieku świadczyły wyniosłe dęby i jesiony, których konary łączyły się w górze, tworząc sklepienie jak w starej bazylice. Kamienisty trakt był dobrze utrzymany. Koła wozów zmieniły śnieg w brązową papkę. Wędrowcy przez dłuższą chwilę stali w milczeniu.

– Chyba nie jesteście sami – powiedział w końcu Achmed.

Gdy Rapsodia uświadomiła sobie, że szlak może prowadzić do miasta, poczuła radość. Trochę zmąciła ją następna myśl, że okolicę zamieszkują wrogie ludy, a do oceanu są jeszcze tysiące mil. Tak czy inaczej, był to pierwszy krok ku Serendair, ku domowi.

Po kilku godzinach Achmed nagle się zatrzymał.

– Co się stało? – spytała Rapsodia, ale została uciszona gestem dłoni.

Drak usłyszał jakiś słaby dźwięk. Chwilę później jego wzrok pomknął z niewiarygodną prędkością wzdłuż drogi, coraz bardziej przyspieszając. Drzewa zmieniły się w rozmazaną plamę. Pęd oszalał, szczególnie na zakrętach.

Achmed zawsze miał w sobie kompas, dzięki któremu bez trudu znajdował właściwy kierunek. Wykorzystywał go również we wnętrzu ziemi, ale do tej pory nie potrafił zrozumieć, dlaczego na drugim końcu korzenia znaleźli Clarion pochodzący z Serendair. W dodatku po przejściu przez ogień jego wrodzony dar nabrał mocy. Wiążące się z nim niezwykle doznania przyprawiły o zawrót głowy.

Grunthor w ostatniej chwili uchronił przyjaciela przed upadkiem, łapiąc go za ramię. Achmed pochylił się, opierając dłonie na kolanach.

– Drogą idzie stado zwierząt. Niedaleko znajduje się chata kryta strzechą. Za nią trakt się rozwidla, a dalej już nie sięgnąłem wzrokiem. Moja nowa umiejętność pewnie okaże się pożyteczna, ale najpierw muszę się do niej przyzwyczaić.

Gdy z oddali dobiegł ryk, trójka wędrowców rozejrzała się za jakimś schronieniem. Po chwili Grunthor wskazał palcem przed siebie i zaprowadził ich do głębokiego przydrożnego rowu, dodatkowo osłoniętego przez wysoki śnieżny wał.

Achmed zdjął z pleców cwellan i przygotował do strzału. Nie ruszając się z miejsca, znowu popędził traktem i zobaczył dziecko idące za stadem. Spróbował wyczuć bicie jego serca. Na próżno. Nic nie usłyszał. Tak jak się obawiał, stracił swój najważniejszy dar.

Ta myśl poraziła go niczym pocisk z własnej broni. Nadal odbierał zmiany rytmów świata, ale już nie tak wyraźnie jak kiedyś. Dawniej docierał do niego ogłuszający łomot milionów serc, a teraz jedynie cisza przerywana głośnym pulsem Grunthora i cichym, równomiernym tętnem Rapsodii. Za wolność zapłacił wysoką cenę. Już lepsza byłaby ślepotą lub inne kalectwo.

Zza zakrętu wyszły pierwsze zwierzęta: kudłate, o mocnej budowie i dużych wygiętych rogach. Ziemia aż dudniła pod kopytami. Bydło popędzał witką kilkunastoletni chłopiec w prostym ubraniu sereńskiego wieśniaka. Gwizdał melodię, której Rapsodia nie знаła. Przy jego nodze biegł biało-czarny pasterski pies, podobny do tych, które kiedyś miał jej ojciec.

Dziewczyna odwróciła się do Grunthora i wskazała ręką pastuszką, ale gigant potrząsnął głową. Wróciła spojrzeniem na drogę. Obserwowała stado i chłopca, póki nie zniknęli jej z oczu.

Wtedy zerknęła na Achmeda. Choć twarz miał ukrytą pod kapturem, dostrzegła na niej wyraz dziwnie przypominający rozpacz.

– O co chodzi?

Drak nic nie odpowiedział, ale Grunthor od razu domyślił się prawdy. Rozmawiali kiedyś o tym, jakie mogą być skutki opuszczenia wyspy.

Dar zabójcy był związany z wyspą, gdyż tam właśnie urodził się pierwszy przedstawiciel jego rasy. Dziecko Krwi, powiedział dracki mędrzec, Brat wszystkich ludzi, nie spokrewniony z nikim. Z wyrazu twarzy Achmeda Grunthor wyczytał, że stało się to, czego się obawiali: więź została zerwana. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Drak tylko skinął głową. Potem jeszcze raz sprawdził okolicę i wyszedł na trakt. Ruszyli w stronę gospodarstwa, które wcześniej ujrzał w swojej wizji.

Większy z dwóch budynków, przeznaczony dla bydła, niewiele się różnił od zadaszonej zagrody, natomiast prosta chata z małym ogrodem od strony lasu była dużo solidniej zbudowana, choć wyraźnie postarano się o oszczędność materiału.

Nad drzwiami mieszkańcy namalowali magiczny symbol w kształcie sześciokąta, który miał za zadanie odstraszać złe moce i chronić przed wszelkimi nieszczęściami. Identyczne Rapsodia widywała na Serendair. Od razu powiedziała o tym Bolgom.

Zaczęli z ukrycia obserwować farmę.

Gdy zjawił się chłopiec ze stadem, z domu wyszedł mężczyzna. Razem zagonili zwierzęta do obory, tocząc miłą pogawędkę. Potem wrócili do chaty.

– Rozpoznaliście język? – spytała Rapsodia, gdy za wieśniakami zamknęły się drzwi.

Grunthor wzruszył ramionami.

– Ja nie, choć parę słów brzmiało znajomo – odparł Achmed. – A ty?

– Też nie. Nie umiem tego wyjaśnić, ale tutejszy dialekt ma tę samą kadencję co mój język. Trochę inny jest rytm i wymowa.

Olbrzym zaśmiał się cicho.

– Może wszyscy ludzie mówią podobnie.

– Może. Co teraz zrobimy? Mamy zapukać i poprosić o nocleg?

Firbolgowie jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Nie sądzę, panienko.

Rapsodia zrobiła obrażoną minę.

– A niby dlaczego to taki głupi pomysł waszym zdaniem?

Achmed westchnął.

– Z naszego doświadczenia wynika, że Firbolgowie nie są mile witani, kiedy pukają do cudzych drzwi. Ty może zostałabyś przyjęta z otwartymi ramionami. Pewnie dostałabyś łóżko na noc, ale wątpię, czy byłoby puste, jeśli wiesz, o co mi chodzi. – Zaśmiał się, widząc minę Rapsodii. – Oczywiście, decyzja należy do ciebie. Jeśli bardzo pragniesz, spędzisz noc w cieple...

– Nie tak bardzo. Co proponujesz?

– Iść na północ – wtrącił Grunthor. – Tam jest dużo gospodarstw. Na południu droga dochodzi do wioski, niedużej, lecz ładnej. Trakt ciągnie się jeszcze dalej, ale jakąś milę w głąb lasu znajduje się mała przyjemna dolinka ze zwalonym drzewem. Moglibyśmy rozpaść ogień i urządzić sobie przytulne legowisko, którego nikt by nie wypatrzył.

Achmed i Rapsodia wpatrywali się w niego bez słowa. Potem spojrzeli na siebie i znowu na olbrzyma.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Drak.

– Nie mam pojęcia. Po prostu wiem. Przeczucie.

– Rozumiem. Zobaczmy, czy przeczucie cię nie myli.

Słowa Grunthora sprawdziły się co do joty, zupełnie jakby posługiwał się mapą albo był doświadczonym przewodnikiem. Znał teren tak dobrze, jakby podczas snu ziemia szeptała mu swoje sekrety do ucha. Podał im całą listę szczegółów.

Trafili do krainy wzgórz z wapienia i gliny, wypchniętych spod ziemi przez potężne ciśnienie. Jak wzrokiem sięgnąć, wszędzie lasy. Tutejsi ludzie nie karczowali drzew, uprawiali małe ogródki na własne potrzeby i wymieniali się między sobą produktami. Hodowali bydło i za nie nabywali potrzebne towary, co Grunthor wywnioskował z licznych śladów przegania zwierząt na targ. Na wschodzie leżało małe miasteczko nie otoczone fortyfikacjami. Poszczególne gospodarstwa również nie miały żadnych umocnień. I było jeszcze drzewo.

– Bliźniacze Drzewo? – zapytała Rapsodia z podnieceniem.

Firbolg wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Niedaleko stąd, na południu. Jest takie samo jak wielkie Lirińskie Drzewo, tylko że jego korzenie sięgają wszędzie. Zupełnie jakby cały las z nich wyrastał.

Rapsodia wyjęła płonący miecz i dotknęła nim mokrego drewna, które zebrała na ognisko.

– Moja matka to samo mówiła o Sagii. Nazywała je Drzewem o Głębokich Korzeniach. Nie wiedziałam, jak brzmi jego prawdziwa nazwa. Lirinowie wierzyli, że Sagia jest powiązana z każdą żywą istotą. Prawdopodobnie to samo dotyczy Bliźniaczego Drzewa.

– Nie wiem, ale to drzewo na pewno jest połączone z całym lasem. Stałem na ogromnej równinie i widziałem je na granicy mojego wzroku, ale nie potrafię dokładnie określić miejsca, rozumiecie?

– Niezupełnie – przyznała Rapsodia, rozpalając ogień. Płomienie buchnęły natychmiast, jakby gałęzie były wysuszone na pieprz.

– Ja rozumiem – powiedział Achmed. – Kiedy odbiera się wibracje świata, niektóre rzeczy są niczym latarnie morskie o wielkiej mocy.

Grunthor usiadł prosto z wyrazem zainteresowania na twarzy.

– Myślisz, że odbieram wibracje?

– Sądząc z twojego opisu, nie. Wygląda mi to raczej na więź z żywiołami, w twoim wypadku z ziemią. Wiesz wszystko, co ona wie.

– Tak, coś w tym rodzaju.

Achmed dorzucił do ognia garść suchych szyszek.

– Starożytni Serenowie, pierwsi mieszkańcy wyspy, byli związani z jednym z pięciu żywiołów: ziemią, wodą, ogniem, powietrzem lub eterem, z którego według nich są zbudowane gwiazdy.

– Wiedza tajemna, prastare moce, legendy – mruknęła Rapsodia w zamyśleniu.

Drak pokiwał głową.

– Może kiedy szliśmy korzeniem, wszystkich nas połączyła więź z którymś z żywiołów. To by wyjaśniało moją nową umiejętność. Na początku tylko znajdowałem właściwą drogę, z czasem zacząłem dostrzegać, co leży na jej końcu. Po wyjściu na powierzchnię zachowałem ten dar.

– Albo bliskość tak potężnych mocy po prostu wydobyla z ciebie wrodzoną zdolność – powiedziała Rapsodia. – Wasze umiejętności mają związek z ziemią, bo przecież z niej wywodzą się Firbolgowie, prawda?

– Tak.

– Ja natomiast z niczym nie byłam związana.

Achmed zaśmiał się i przysunął nogi do ognia.

– Sądzę, że na ciebie nasza podróż miała największy wpływ.

– Jak to?

– Już zapomniałeś o koszmarach? Dręczyły cię sny o przeszłości i przyszłości, tak?

– Niektóre owszem, ale to nic niezwykłego. Zawsze miałam takie sny.

Podciągnęła kolana pod brodę.

– Na korzeniu wydawały się żywsze niż na powierzchni, panienko – zauważył Grunthor.

– Może nasilenie koszmarów miało coś wspólnego z miejscem, w którym byliśmy uwięzieni, i z towarzystwem, bez obrazu.

– Twój dar albo jeśli chcesz, wiedza tajemna, to jasnowidztwo. Jeśli się nie mylę, parę razy zdarzyło ci się odebrać obrazu z przeszłości lub ujrzeć przyszłość?

– Tak, ale inni Bajarze też potrafią dostroić się do określonego tonu, który potęguje wibracje, przynajmniej od czasu do czasu. To nabyta umiejętność, a nie szczególny dar.

Achmed się uśmiechnął.

– Możliwe, ale to nie wyjaśnia sprawy ognia.

– Nie rozumiem.

– Nic nie zauważyłaś?

– Oczywiście, że zauważyłam – warknęła poirytowana. – Przecież to ja rozpałam ognisko.

Achmed wstał z ziemi i wyciągnął do niej rękę.

– Chodź.

Rapsodia niechętnie podała mu dłoń. Drak zaprowadził ją do dużego płaskiego kamienia, który wystawał ze śniegu kilka metrów od ich obozowiska.

– Zostaw tutaj miecz.

Dziewczyna wyjęła zza pasa Clarion i ostrożnie położyła go na kamieniu. Spojrzała na Achmeda, z trudem hamując irytację.

– Już. I co dalej?

– Spójrz na ognisko.

– Widzę.

Drewno paliło się dobrze, tylko od czasu do czasu któreś wilgotne polano pękało od żaru.

– A teraz idź wolno w jego stronę.

Niezadowolenie powoli ustępowało miejsca ciekawości. Rapsodia zrobiła parę kroków w stronę obozowiska. Ogień rozjarzył się mocniej, jakby ją pozdrawiał. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy. Płomienie skoczyły wyżej i zahuczały. Pieśniarka cofnęła się, płomienie przygasły.

– O bogowie! – szepnęła. – Jak to się dzieje?

– Za twoją sprawą, panienko – powiedział Grunthor.

Na te słowa serce zabiło jej mocniej. Ogień buchnął pod konary drzew, rozszerzył się poza wytyczony krąg. Chrust, który przed chwilą dołożyła, spalił się na popiół. Gigant parsknął śmiechem.

– Widzisz? Jeśli go nie powstrzymasz, spalisz nasze małe obozowisko albo i cały las.

Rapsodia spojrzała na Firbolga, potem na ogień.

– Uspokój się – rozkazała, lecz ognisko rozgorzało mocniej, reagując na jej zdenerwowanie.

Wzięła głęboki oddech i skupiła się jak zawsze, gdy miała coś zagrać. Płomienie natychmiast przygasły i już tylko trzaskały wesoło.

Zamknęła oczy i wprawiła się w pogodny nastrój. Gdy uchyliła powieki, zobaczyła, że małe płomyki ledwo migoczą. Przestała o nich myśleć i po chwili ujrzała przed sobą zwykle obozowe ognisko. Dorzuciła do niego świeżych gałązek. Popatrzyła na Achmeda.

– Myślisz, że to działanie miecza?

– Raczej miecz zapalił się dlatego, że go dotknęłaś.

– Płonął, zanim go dotknęłam. Omal nie oślepił Grunthora.

Firbolg poklepał ją po ramieniu.

– Bo wzywał ciebie, panienko. Rozpoznał w tobie swój żywioł.

Rapsodia zadrżała. W głębi serca czuła, że Bolgowie mają rację.

– I sądzicie, że Clarion przyczynił się do powstania mojej więzi z żywiołem ognia?

– Nie jestem pewny – odparł Achmed. – Niewiele wiem o tym mieczu. Nadal nie rozumiem, skąd się wziął po drugiej stronie świata. I nie mam pojęcia, dlaczego płonie. Według mnie powinien świecić blaskiem gwiazd. Wiadomo jedynie, że wszyscy zmieniliśmy się po przejściu przez ogniste jądro ziemi.

– Albo od żywienia się korzeniem – podsunęła Rapsodia. – Często się zastanawiałam, czy to dobry pomysł. Możliwe, że potężna Sagia uczyniła nas podatnymi na działanie żywiołów.

Ty zyskałeś dar odnajdywania drogi, kiedy szukałeś wyjścia na powierzchnię. Grunthor z kolei rzucił się do rozbijania skały, ja wzięłam do ręki płonący miecz.

– Nie – powiedział Achmed. – Ty zmieniłaś się od razu po przejściu przez ogień. Nawet fizycznie.

– On ma rację, panienko – wtrącił Grunthor. – Wyglądasz inaczej niż wtedy, gdy cię spotkaliśmy.

– Cóż, brak kąpieli i taplanie się w błocie nikomu z nas nie dodały urody. Nie chciałabym, żeby mnie teraz przedstawiono na dworze. Wy pewnie też nie.

– W tym rzecz, że wyglądasz pociągająco, bardziej niż kiedykolwiek – stwierdził Achmed ze zniecierpliwieniem. – Promieniejesz dziwnym blaskiem, który działa jak magnes. – Odwrócił się do przyjaciela. – Masz jeszcze lusterko sygnałowe?

Grunthor usiadł i zaczął grzebać w plecaku.

– Oczywiście, ale ono wcale nie służy do dawania znaków. Noszę je, żeby móc ułożyć sobie fryzurę.

Rapsodia się roześmiała.

– Sama zobacz – powiedział Achmed.

Dziewczyna ostrożnie wzięła od niego kawałek wypolerowanego metalu o tak ostrych brzegach, że śmiało nadawałby się na broń. W gasnącym świetle dnia zobaczyła w lustrzanej powierzchni umorusaną twarz, wargi spękane od zimnego wiatru, grudki ziemi we włosach, które, jak zwykle zimą, trochę pociemniały. Czym prędzej zwróciła lusterko.

– Bardzo zabawne.

– Mówię poważnie, Rapsodio. Spójrzj jeszcze raz.

Dziewczyna westchnęła głośno, ale posłuchała Draka. Tym razem zwróciła uwagę na zaczerwienione policzki. Resztę szczegółów trudno było dostrzec w wieczornej szarości. Wzruszyła ramionami i oddała lusterko Grunthorowi. Nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Już rozumiem. Nic dziwnego, że uważacie mnie za bardziej atrakcyjną. Wyglądam jak Firbolg.

Achmed i Grunthor spojrzeli po sobie i tylko pokiwali głowami. Rapsodia zdrapała paznokciem trochę błota z policzka.

– Jutro stopię śnieg i postaram się usunąć co najmniej dwie warstwy brudu.

– Lepiej się prześpij – rzucił Drak.

Gdy dziewczyna układała się do snu w prowizorycznym szałasie, po jego ustach przebiegł uśmiech. Wcześniej czy później Pieśniarka przyzna mu rację, był tego pewny. Tylko najpierw musi przekonać się na własne oczy, tak jak z ogniem.

Następnego ranka wszyscy troje, ukryci w gęstym zagajniku, obserwowali wieśniaków z najbliższej osady. Chyba zbliżała się odwilż, bo dzień jak na zimowy był bardzo ciepły.

Gospodarze wylegli przed domy. Gawędzili, wymieniali się workami zboża i warzywami. Tak jak w wioskach otaczających Easton pogoda bardziej sprzyjała ludzkim kontaktom niż sam handel.

Ku własnemu zaskoczeniu wędrowcy rozpoznali wiele pospolitych słów, takich jak „drzewo”, „zboże” i „małżeństwo”. Rapsodia szybko podchwyciła rytm miejscowego języka i słuchała go z coraz większym podnieceniem. W południe Achmed i Grunthor odciągnęli ją w gęstwinę i urządzili naradę.

– Jestem pewna, że to odmiana naszej mowy – oświadczyła. – Akcent i intonacja są dokładnie takie same, słowa podobne.

– Cóż, sereński to język handlowy i żeglarski, więc chyba nic dziwnego, że tutaj również nim mówią. A może ci chłopcy są potomkami osadników, którzy skolonizowali Serendair w Drugim Wieku.

Rapsodia skinęła głową.

– Tak czy inaczej, powinniśmy dziękować bogom, gdyż to oznacza, że mamy szansę wkrótce zrozumieć miejscowy dialekt.

Szansa trafiła się piątego dnia po wyjściu z korzenia Wielkiego Drzewa. Grunthor i Achmed jak zwykle wyruszyli na zwiad i po jedzenie, które często po prostu kradli, a tymczasem Rapsodia usadowiła się w kryjówce na skraju wioski. Tego ranka, oprócz rozmów o zbliżającym się targu, plotek i pogaduszek, usłyszała pieśń.

Oczywiście nie pierwszy raz. Chłopcy zazwyczaj umilali sobie śpiewem czas przy nużących pracach gospodarskich i zaganianiu bydła. Tego dnia w powietrzu rozbrzmiewał głos chłopca, który szedł do domu, ciągnąc za sobą po śniegu kijek. Była to prosta wiejska przyspiewka, ale Rapsodia od razu nadstawiła uszu, bo identyczną, o nasieniu wilczomleca, z którego wyrastają chmury, śpiewały dzieci na Serendair. Ona również.

Słuchała uważnie, czując ucisk w sercu. Rozpoznawała coraz więcej słów. Kryjąc się za drzewami, zaczęła śledzić chłopca, póki nie spotkał na drodze jakiejś kobiety. Wtedy zaczęła przysłuchiwać się ich rozmowie. Większość z niej rozumiała. Ręce aż jej zwilgotniały z podniecenia. W końcu nie wytrzymała i pobiegła do obozu, żeby o wszystkim opowiedzieć towarzyszom.

Następnego dnia Bolgowie udali się razem z nią na czaty, a ona poduczyła ich trochę miejscowego języka, tłumacząc rozmowy wieśniaków. W końcu Achmed skinął głową w kierunku obozu. Gdy wrócili do szałasów, spytał:

– Więc co zamierzasz, Rapsodio? Widzę, że coś knujesz.

– Sądzę, że nadeszła pora, by wywiedzieć się o drogę do miasta. Jeśli będziemy w nieskończoność ukrywać się w lesie, nie znajdziemy portu, a to oznacza, że nigdy nie wrócę do domu.

– Najmniejszy błąd może mieć dla nas dwóch poważne konsekwencje.

– Wiem. W takim razie pójdę sama. Będziecie czuwać nade mną z daleka.

– A jeśli coś ci się stanie? Jak cię wyratujemy? – W głosie olbrzyma brzmiał wyraźny niepokój.

– Nie będziecie mnie ratować. Prawda jest taka, że mamy różne cele. Wy zamierzacie tu zostać, ja chce wracać do domu i podejmę każde ryzyko, żeby dopiąć swego. Od was niczego nie oczekuję. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się i wtedy wam przekażę, czego się dowiedziałam. Jeśli wpadnę w tarapaty, zwijajcie obóz i wynoście się stąd czym prędzej. Od czasu do czasu wznieście za mnie toast.

– Nie pozwolę ci na takie ryzyko – mruknął Grunthor. – Potrafisz mówić tutejszym językiem?

– Jeszcze nie, ale jakoś sobie poradzę.

– Tylko niech ci się coś nie wymknie. Mów po bolgańsku – ostrzegł Achmed. – To nie oni mają się o nas czegoś dowiedzieć, lecz ty o nich.

– Racja. – Rapsodia uśmiechnęła się do zatroskanego Grunthora. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że zebranie potrzebnych informacji może trochę potrwać.

– Gdy uznamy, że jesteś bezpieczna, wypuścimy się na prawdziwy zwiad, dalej niż do tej pory – uprzedził Drak.

– Jak się potem znajdziemy?

– Ustalimy czas i miejsce. Jeśli się nie zjawisz, pójdziemy cię szukać.

– A gdzie się spotkamy? Tutaj?

– Nie. Nie chcę, żeby ktoś nas śledził i zorientował się, skąd wyszliśmy. Nieważne, czy korzeń jest zamknięty, czy nie.

Rapsodia wstała i podeszła do Grunthora. Usiadła mu na kolanie i otoczyła ramieniem masywny kark.

– Wybierzmy miejsce w pobliżu następnej wioski i umówmy się tam za kilka tygodni. Ale nie ruszajcie w drogę, póki nie dam znaku, że nic mi nie grozi. Wolalabym nie czekać daremnie na ratunek, podczas gdy wy będziecie dwadzieścia mil stąd.

Olbrzym westchnął ciężko.

– Dobrze. Jaki to będzie znak?

Rapsodia zagwizdała prosty motyw, wywołując uśmiech na twarzach Bolgów. Tę piosenkę nuciła zawsze, kiedy mogli iść w tunelu wyprostowani, co zdecydowanie poprawiało jej nastrój.

– Jeśli natomiast usłyszycie coś takiego... – tym razem w melodyjce słychać było nutę niepokoju – ...przyjdźcie mi na pomoc, oczywiście jeśli będziecie mogli.

– Jasne, panienko.

Długo w noc układali plany. Ranek zastał ich w drodze do następnej wioski. Bolgowie postanowili, że stamtąd rozpoczną rekonesans na szerszą skalę. Zrobili na drzewie wyraźne

nacięcie, którego nie można było przeoczyć. Potem ukryli się w miejscu, skąd mieli obserwować Rapsodię do czasu, gdy stwierdzą, że nic jej nie grozi. Wcześniej uzgodnili, że spotkają się za dwa miesiące, w czasie pełni księżyca.

– Zdajesz sobie sprawę, że to niebezpieczne przedsięwzięcie – powiedział Achmed, gdy się z nimi żegnała.

Rapsodia spojrzała na nich poważnym wzrokiem.

– Kiedyś więził mnie Michael, Zaraza Morowa. Przez całe dwa tygodnie byłam zdana na jego łaskę. Jakoś przeżyłam. Obecne zadanie to dla mnie drobiazg.

Bolgowie pokiwali głowami. Znali Michaela. Pieśniarka nie przesadzała ani trochę.

Odwilż trwała od tak dawna, że w powietrzu czuło się zapach wiosny. Pokrywa śnieżna nadal była głęboka, lecz wiatr cieplejszy, a wokół pni drzew odsłoniły się wąskie kręgi ziemi. Dzieci częściej wychodziły na dwór, mieszkańcy wioski leżących wzdłuż drogi brali się za naprawy domów i stodół, robili zapas drewna na opał przed powrotem ostrej zimy. Wypadki chłopów do lasu były sporym zagrożeniem dla ukrywających się wędrowców.

Stali w osłoniętej dolince, za gęstwiną krzewów, w lecie zapewne nieprzeniknioną. Grunthor wskazał grupkę dzieci, ale Rapsodia potrząsnęła głową; obawiała się, że ściągnie na nie karę. Wreszcie, koło południa, na trakcie zebrała się grupa wieśniaków. Wyraźnie czekali, spoglądając ku zachodowi.

Gdy słońce minęło zenit, zza zakrętu wyjechał na siwym koniu starszy człowiek, wysoki, mocno zbudowany, o dużym nosie i rudawej brodzie przetykanej nitkami siwizny. Kilku wieśniaków wybiegło mu na spotkanie.

Podróżny miał na sobie wełnianą szatę ufarbowaną na kolor ziemi, prawdopodobnie łupinami orzecha. W ręce trzymał drewniany kostur, a wszyscy ludzie pozdrawiali go z szacunkiem, chyląc głowy. Jego wizyta wywołała duże poruszenie. Najwyraźniej gospodarze dobrze go znali i darzyli sympatią. Starzec wolno zsiadł z konia.

Sądząc po błogosławieństwach, które rozdzielał, był duchownym. Prosty strój wskazywałyby na podrzędnego kleryka, ale okazywany mu respekt należał się raczej opatowi lub innemu kapłanowi wysokiej rangi. Oczy Rapsodii rozbliły się z podniecenia.

– Ten – szepnęła do Firbolgów.

– Nie – zaprotestował Achmed. – Poczekaj.

Dziewczyna wyteżyła słuch. Przybysz akurat gawędził z jednym z wieśniaków o spodziewanych opadach śniegu i zachowaniu leśnych zwierząt. Różne znaki wskazywały na to, że zima niebawem wróci, i to dużo surowsza niż do tej pory. Mężczyźni zamienili również kilka słów o chorej krowie i trudno gojącej się ranie syna gospodarza.

Na koniec wędrowny kapłan położył dłoń na głowie chłopca i życzył mu przychylności losu. Rapsodia otworzyła usta ze zdumienia. W przeciwieństwie do rozmowy prowadzonej w miejscowym dialekcie błogosławieństwo zostało udzielone po sereńsku, ale z dziwnym akcentem i z przerwami charakterystycznymi dla człowieka, który nie posługuje się ojczystym językiem.

– O bogowie! – szepnęła.

– Nie podoba mi się to wszystko – stwierdził Achmed. Chwycił ją za ramię i wciągnął głębiej w gęstwinę.

Rapsodia spojrzała na niego zdziwiona.

– Dlaczego? Z kim najłatwiej będzie się porozumieć, jak nie z nim? Mówi naszym językiem.

– Może, ale nie chcę, by nabrał podejrzeń. Używamy wyłącznie bolgańskiego, pamiętasz? On jest kapłanem. Nie ufam żadnemu kapłanowi.

– Może po prostu spotykałeś tylko służących złym bóstwom. Jedną z osób, które lubiłam najbardziej na świecie, był kapłan. W Easton też znałam kilku szlachetnych duchownych.

Achmed łypnął na nią z politowaniem.

– Po pierwsze, wszyscy kapłani mają jakiś cel, czasami własny, czasami narzucony przez bogów. Ja nie zamierzam wykonywać boskich planów. Po drugie, skąd wiesz, że ten człowiek nie służy złu?

Rapsodia wytrzeszczyła oczy.

– Tylko spójrz. On błogosławi dzieci.

Twarz Draka wykrzywił ironiczny uśmiech.

– Myślisz, że źli kapłani chodzą po kraju, rzucają klątwy, a bezdomne dzieci tłuką kijami? Robią to samo co dobrzy. Inna tylko jest cena i środek płatniczy.

– Uważam, że to najlepsza okazja, by dowiedzieć się o drogę do portu. Zaryzykuję.

Tym razem Grunthor wziął ją za ramię.

– Lepiej nie, księżniczko.

Rapsodia uśmiechnęła się do giganta.

– On mi wygląda na duchownego z powołania, Grunthorze. Co mówi ci o nim twój nowy dar?

Firbolg zacisnął powieki i przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, skupiony. W końcu z westchnieniem otworzył oczy.

– On też jest związany z ziemią. Kocha ją i dużo o niej wie. Masz rację, panienko, to dobry kapłan.

Rapsodia poklepała go po ręce i uwolniła się z uścisku.

– Muszę spróbować. W razie czego możecie przystąpić do działania. Nie zdradzę was.

Achmed głośno wypuścił powietrze z płuc.

– W porządku. Pora równie dobra jak inna. Bądź ostrożna.

Khaddyr przemawiał z największą cierpliwością, na jaką umiał się zdobyć, choć w jego oczach można było dostrzec ślad irytacji.

– No, Sverhalt, wiem, że biedna Fawn posuwa w latach, ale nadal spełnia obowiązki religijne wobec wspólnoty.

Wieśniak wbił wzrok w ziemię.

– Obowiązki tak, ojczy, ale już nie dostajemy takiej pomocy jak kiedyś. Potrzebujemy kogoś młodszego, kto lepiej da sobie radę ze zwierzętami, szczególnie zimą.

Khaddyr westchnął.

– Rozumiem cię, synu, ale czasy są trudne. Fawn nie jest taka krzepka jak dawniej, lecz nadal dokonuje stosownych obrzędów, prawda?

– Tak, ojcze.

– Wasza wioska leży blisko Wielkiego Drzewa. Na pewno wystarczy filidów, żeby was wsparli w razie potrzeby. Krąg ma teraz pełne ręce roboty i nie może przydzielić wam nowego kapłana. Llauron nadał Fawn dozgonny przywilej kierowania tutejszą parafią w zamian za lata wiernej służby. Chyba to rozumiesz?

Sverhalt westchnął.

– Tak, ojcze.

Khaddyr uśmiechnął się życzliwie.

– Wrócimy do tej sprawy na wiosnę. Mam paru akolitów, którzy przez całą zimę będą u mnie studiować medycynę. Następnie powinni iść do Gavina, żeby podszkolić się w leśnictwie, ale może uda mi się przysłać ich na kilka miesięcy, żeby pomogli wam przy siewach i narodzinach cieląt. Co wy na to?

Twarze otaczających go mężczyzn rozpromieniły się w jednej chwili.

– Świetnie, ojcze! Dziękujemy – powiedział uradowany Sverhalt. – Może zajdziesz do nas na kolację?

Radość zniknęła z jego twarzy, gdy podążył za wzrokiem kapłana, który poblady patrzył w stronę lasu.

Nikt nie zauważył, kiedy spomiędzy drzew wyszła kobieta. Pokryta warstwą zaschniętego błota, ubrana w brudne łachmany, była jednocześnie najpiękniejszą istotą, jaką Khaddyr w życiu widział. W pierwszej chwili wydawało mu się nawet, że to halucynacja.

Złote włosy, choć z przyklejonymi grudkami gliny, lśniły w szarym zimowym popołudniu. Smukła nieznajoma szła z gracją, która kontrastowała z jej zaniedbaniem. Oczy zielone jak leśna polana w środku lata iskrzyły się niczym gwiazdy.

Kiedy się uśmiechnęła, świat nagle pojaśniał, jakby chmury się rozstały. Ciepło jej spojrzenia docierało do najzimniejszych zakamarków serca. Khaddyr przeraził się, że krzyknie, tak bardzo jej zapragnął. Na wszelki wypadek zaczął cicho mamrotać modlitwę, żeby uwolnić się od czaru, który na niego rzuciła.

W miarę, jak się zbliżała, serce łomotało mu coraz mocniej. Musiał oprzeć się na kosturze, żeby nie upaść. Kobieta stanęła w pewnej odległości i uniosła ręce w geście pozdrowienia. Dopiero wtedy Khaddyr zauważył, że jest uzbrojona. U jej boku wisiał wąski, toporny futerał, który wyglądał jak zrobiony z kamienia. Mimo to nieznajoma nie sprawiała wrażenia groźnej, miecz służył jej raczej do ozdoby niż do walki.

Wieśniacy gapili się na nią z otwartymi ustami, a on sam dopiero po dłuższej chwili odzyskał mowę.

– Kim jesteś? – zapytał łamiącym się głosem. Odchrząknął zakłopotany i powtórzył: – Kim jesteś? Rozumiesz mnie? – Kobieta skinęła głową. – Ale nie mówisz?

Uśmiechnęła się niepewnie i wzruszyła ramionami.

Khaddyr poczuł, że zaparło mu dech w piersi. Do tej chwili ślub czystości, nie wymagany od innych filidów oprócz niego, wydawał mu się niewielką ofiarą wobec mianowania go następcą starego Llaurona. Raptem perspektywa, że pewnego dnia sam zostanie inwokkerem, przestała być dla niego nęcąca. Znowu musiał odchrząknąć.

– Jestem Khaddyr, filid i następcą Llaurona, przywódcy bractwa.

Kto to jest? – zastanawiał się. Boginka lasu? Driada? Hamadriada? Słyszał wiele różnych opowieści, ale do tej pory nie wierzył w leśne istoty.

Piękna nieznajoma złożyła mu grzeczny ukłon. Wiadomo przynajmniej, że potrafi okazać szacunek, pomyślał z aprobatą.

– Cóż, nie mam pojęcia, kim jesteś, więc lepiej zabiorę cię do Llaurona. Nie bój się, inwokker to dobry człowiek. Pojedziesz ze mną?

Dziwna kobieta znowu się uśmiechnęła i pokiwała głową. Khaddyr położył lekko drżącą dłoń na jej ramieniu. Pod podartym ubraniem jej skóra była rozkosznie ciepła. Szybko cofnął rękę. Odwrócił się ku zachodowi i ujrzał, że drogę do Wielkiego Drzewa tarasuje im tłum ludzi.

– Rozstąpcie się, powiadam! – zagrzmał.

Chłopi nawet nie drgnęli.

– Zejdźcie z drogi – powtórzył kapłan.

Kobieta spojrzała na niego, a potem na wieśniaków. Zrobiła krok w ich stronę. Natychmiast rozpierzchli się i stanęli w bezpiecznej odległości, nie spuszczając z niej wzroku. Khaddyr ujął nieznajomą pod ramię i poprowadził do siwego wierzchowca. Z łatwością uniósł ją z ziemi i wsadził na siodło. Sam usadowił się za nią i ruszył w chwili, kiedy ludzie odzyskali zdolność działania. Rozległy się okrzyki, parę osób pobiegło do stajni po konie.

Khaddyra ogarniał coraz większy niepokój. W każdej wiosce i osadzie karawana rozrastała się o kolejnych jeźdźców i pieszych. Wkrótce tłum wypełniał całą leśną drogę.

Gospodarze rzucali pracę i gapili się na dziwny pochód. Kto żyw przybiegał, żeby popatrzeć na tajemniczą piękną istotę, którą kapłan wiózł na siodle. Dziesiątki albo nawet setki mężczyzn, kobiet i dzieci tłoczyły się, żeby dotknąć brudnej nimfy o płonących zielonych oczach albo chociaż na nią zerknąć.

Khaddyr doskonale ich rozumiał. Nie dość, że od wyjazdu z Tref-Y-Gwartheg nie opuszczała go konsternacja, to jeszcze przez cały czas miał zawroty głowy.

Z początku przypisywał je niepewności, co powie Llauron, gdy dowie się o najeździe mieszkańców okolicznych wsi na święte ziemie wokół Wielkiego Drzewa. Gdy jednak mijały

godziny, a jego oszołomienie nie malało, uświadomił sobie, że wcale nie chodzi o lęk przed niezadowolaniem inwokera.

W głowie kręciło mu się od wdychania słodkiego zapachu obszarpanej istoty, której plecy od czasu do czasu muskały jego tors, budząc lubieżne myśli, u duchownego bardzo niestosowne. W pewnym momencie nimfa delikatnie zdjęła jego rękę ze swojej piersi, lecz nawet się nie odwróciła, żeby spiorunować go wzrokiem. Poczł ogromny wstyd. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jej dotyka.

W końcu udało mu się zgubić kilku najbardziej zdeterminowanych mężczyzn, którzy z uporem za nim podążali. Zjechał z głównej drogi na wąskie leśne szlaki, żeby ominąć wioski, w których ich przybycie wywoływało niezwykle poruszenie.

Po południu dotarli do wschodniej granicy wielkiego lasu, gdzie Gavin, należący do tego samego bractwa co Khaddyr, szkolił akolitów w leśnictwie. Po ukończeniu nauki młodzi adepci przez trzy lata służyli pielgrzymom jako przewodnicy, eskortowali wiernych do Wielkiego Drzewa na uroczystości religijne, a w ostatnich czasach coraz częściej bronili leśnych posterunków. W powietrzu wisiała wojna.

Khaddyr zatrzymał konia przy głównej chacie, zarezerwowanej dla Gavina i starszych kapłanów. Służba naturze nie wymagała od nich celibatu. Większość filidów, mężczyzn i kobiet, miała współmałżonków, choć akolici zwykle powstrzymywali się od zawierania małżeństw do czasu ukończenia nauki i służby w lesie. W rezultacie wielu z nich mieszkało w wioskach należących do kongregacji lub w osadach w pobliżu Wielkiego Drzewa. Tak jak należało się spodziewać, dom był pusty.

Czarująca pasażerka rozglądała się z wyraźnym zainteresowaniem. Khaddyr zsiadł z wierzchowca i nareszcie poczuł ulgę. Przez całą drogę nie mógł pozbyć się dziwnego napięcia. Wyciągnął ręce do boginki, ale ona potrzęsła głową i sama zeskoczyła na ziemię. Starannie ukrywając rozczarowanie, przywiązał konia do młodego drzewka i uprzejmym gestem wskazał chatę. Kobieta weszła do środka.

Na umeblowanie izby składały się dwa niskie drewniane łóżka z materacami wypchanymi pachnącym sianem, nakryte kocami z niefarbowanej wełny. Pośrodku stał duży drewniany stół. W domu nie było żadnych zapasów. Khaddyr doszedł do wniosku, że na kolację będą musieli zadowolić się tym, co znajdzie w piwniczce do przechowywania warzyw, albo jego skromnym obiadem, który w podnieceniu zapomniał zjeść. Odwrócił się do gościa.

– Idę poszukać czegoś do jedzenia – oznajmił, przesadnie wolno wymawiając słowa. – Zostaniesz tu chwilę sama?

Nimfa uśmiechnęła się i skinęła głową. Ku własnej konsternacji filid znowu poczuł, że krew zaczyna żywiej krążyć mu w żyłach. Chwycił za klamkę.

– To dobrze. Rozgość się. Zaraz wracam. Pokazał na jedno z łóżek i wyszedł pośpiesznie.

Kiedy wrócił obładowany zimowymi jabłkami i korzonkami, nieznajoma spała głęboko, a na jej twarzy malowała się błogość.

Rapsodia się obudziła, czując ciepło ognia, którzy trzaskał w małym kominku. Usiadła gwałtownie i zobaczyła, że gospodarz obserwuje ją z drugiej strony izby. Za oknem było już ciemno. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, odkąd po raz pierwszy od wieków wyciągnęła się na łóżku.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej niepewnie. Wyraźnie coś go dręczyło, ale starał się traktować ją uprzejmie. Odwzajemniła uśmiech. Pomyślała, że Achmed i Grunthor na pewno już ją dogonili i przyczaili się gdzieś w pobliżu. Wsunęła rękę pod koc i odetchnęła z ulgą. Miecz był tam, gdzie go ukryła.

– Jesteś głodna? – zapytał kapłan.

Wcześniej przygotował niewyszukany posiłek. Swoją porcję już dawno zjadł. Rapsodia skinęła głową i wstała z łóżka. Usiadła za stołem.

Skromna chata była porządniej zbudowana niż te, które widywała na wyspie. Miała kamienne ściany i dach kryty strzechą. Kiedy się do niej zbliżali, dostrzegła obok coś w rodzaju baraków – długich budynków o ścianach z plecionki obłożonej gliną, obwieszonych skórą i matami. Mimo swojej prostoty domy wyglądały zdumiewająco solidnie, świadczyły o pewnej wiedzy architektonicznej i inżynierskiej filidów, nieczęsto spotykanej w wiejskich społecznościach.

Kapłan obserwował ją przez cały czas, kiedy jadła, co wprawiało ją w zakłopotanie. Gdy skończyła, podziękowała na migi, wskazując miskę. Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Kim jesteś? – zapytał.

Rapsodia nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więc tylko wzruszyła ramionami. Zastanawiała się, jak mu wyjaśnić, że jest człowiekiem, bo może nigdy nie widział Lirina, ale przeszkodziły jej krzyki i nagłe zamieszanie na zewnątrz. Tłum dotarł za nimi aż tutaj.

Khaddyr zerwał się z krzesła i podbiegł do okna. Nawet w słabym blasku księżyca Rapsodia dostrzegła, że zbladł. Grupa zdeterminowanych wieśniaków zapewne rozrosła się w trakcie pościgu.

Ruszył do drzwi, obok których, na kołkach wbitych w ścianę, wisiały jasnoszare opończe noszone przez leśników. Zarzucił jedną na kobietę i stwierdził z ulgą, że sięga jej do łydek. Nasunął kaptur na brudne włosy.

– Chodź ze mną – powiedział nagłym tonem. – Dostaniemy się do Llaurona na skróty.

Wziął kostur i pelerynę. Otworzył tylne drzwi. Razem wyszli w ciemność i czmychnęli w bór jak lisy przez zbliżającymi się ogarami.

Podróż do siedziby Llaurona zajęła im trzy dni. Wsie rozrzucone wzdłuż głównej drogi w rzeczywistości leżały na otwartej przestrzeni w porównaniu z gęstwiną, przez którą teraz jechali.

Dziewicza puszcza składała się przede wszystkim z drzew iglastych, które odcinały światło dzienne i dodawały trochę barw do wszechobecnej bieli śniegu.

Posuwali się naprzód wolniej niż wtedy, gdy wędrowała z dwoma Bolgami. Khaddyr był dużo starszy i mniej sprawny niż Achmed czy Grunthor, więc musiał częściej odpoczywać, ale doskonale znał teren. Las zdawał się przyjmować go z otwartymi ramionami, ułatwiając podróż przez nieprzebyte podszycie.

Niejeden raz Rapsodia dostrzegła w oddali ciemny płaszcz albo olbrzymi cień. Wzdychała wtedy z ulgą. Achmed i Grunthor szli ich śladem i od czasu do czasu specjalnie się jej pokazywali. Wyglądało na to, że wieśniacy zostali gdzieś z tyłu, ale obecność Bolgów dodawała jej otuchy w mrocznym borze.

Każdego ranka czekała, aż Khaddyr zniknie w zagajniku, i znajdowała sobie miejsce na poranne modły. Mając w pamięci ostrzeżenie Achmeda, śpiewała bez słów, zachowując tylko linię melodyczną starej lirińskiej pieśni. Czasami po powrocie do obozowiska przyłapywała filida na tym, że obserwuje ją jak mityczne stworzenie.

Wiezorami kapłan rozniecał małe ognisko, od którego na wszelki wypadek trzymała się w bezpiecznej odległości. Zauważyła, że jej awersja do ognia budzi w Khaddyrze podejrzenia. Raptem przestał wypytywać ją, kim jest, i odzywał się tylko wtedy, gdy musiał.

Trzeciego dnia dotarli do dużej polany w głębi lasu. Wśród drzew stały liczne domki, niektóre z kamienia, inne z gliny, jeszcze inne ze znanej już Rapsodii plecionki. Minęli też kilka dużych drewnianych budynków z dachami krytymi strzechą. Z kominów snuł się dym. Nad drzwiami były namalowane sześciokątne symbole, podobne do tych, które widziała wcześniej, ale dużo bardziej skomplikowane i kolorowe. Większość domów pobielono wapnem albo wyłożono kamieniami dla ozdoby. Przy każdym znajdował się spory ogródek lub zagroda.

Krzążący się przy nich ludzie nie byli ubrani jak wieśniacy. Nosili wełniane szaty podobne do tych, które miał na sobie Khaddyr. Tkaniny zanurzono w wywarze z liści indygowca, nawłoci lub innych roślin, farbując je na niebiesko, żółto i zielono. Inne namoczono w wodzie z łupinami orzechów, żeby uzyskać odcienie ziemi: brązowe albo ciemnoszare. Kaptury świadczyły o wyższej pozycji właściciela w leśnej społeczności.

Oprócz kapłanów widziało się leśników i zwiadowców odzianych w skórzane zbroje i wyposażonych w łuki, włócznie, topory i inną broń. Często byli zmęczeni, wymizerowani, ranni. Patrząc na nich, Rapsodia zastanawiała się, kto mógł ich atakować w tej na pozór spokojnej krainie.

Żołądek ścisnął się jej ze strachu na myśl o wojnie, która z pewnością utrudniłaby jej dostanie się do miasta portowego i powrót do domu z wędrówki przez pół świata.

Późnym popołudniem usłyszała bogate i głębokie tony. Była to pieśń Bliźniaczego Drzewa. Najwyraźniej zbliżali się do celu podróży.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dotarli do rozległej leśnej polany. Wtedy właśnie zobaczyła pień bielszy od śniegu i potężne konary barwy kości słoniowej, rozpostarte na tle ciemniejącego nieba niczym ogromne palce.

Aż otworzyła usta z podziwu. Drzewo miało u podstawy co najmniej trzydzieści łokci średnicy, a pierwsze gałęzie znajdowały się na wysokości pięćdziesięciu łokci nad ziemią. Wyższe tworzyły ogromną kopułę, którą najchętniej zobaczyłaby latem, całą w liściach. W ostatnich promieniach zimowego słońca kora tak lśniła, że niemal bił od niej eteryczny blask.

Sto kroków od miejsca, gdzie wielkie korzenie wychodziły spod śniegu, posadzono krąg drzew, często zupełnie Rapsodii nieznanych. Dąb rozbrzmiewał pieśnią inną niż Sagia, ale o takiej samej głębi i prastarej mocy. W oczach dziewczyny zalśniły łzy.

Khaddyr przyglądał się jej badawczo. Po dłuższej chwili potrząsnął głową, jakby się ocknął.

– Czcisz Wielkie Drzewo? – zapytał.

Rapsodia skinęła głową, nie przenosząc na niego wzroku. Kapłan się uśmiechnął.

– W takim razie jesteś tu mile widziana. Llauron na pewno będzie chciał cię poznać. Chodź.

Poprowadził ją przez łąkę do zagajnika starych drzew, wysokich i rozłożystych, ale nie dorównujących Wielkiemu Białemu Dębowi. Wśród nich stał duży dom, oryginalnie zaprojektowany.

Liczne ściany były ustawione pod różnymi kątami względem siebie, niektóre części umieszczono na palach, większość okien wychodziła na Biały Dąb. Od zewnątrz wyłożono go misternie rzeźbionym drewnem, pośrodku znajdowała się wieża górująca nad leśnym sklepieniem.

Wysoki kamienny mur, wzdłuż którego ciągnęły się ogródki, prowadził do mniejszego skrzydła. Masywnych drewnianych drzwi strzegli żołnierze, wyekwipowani podobnie jak ci, których Rapsodia widziała wcześniej. Odwróciła się do Khaddyra i wskazała dom.

– To twierdza inwokera Llaurona – wyjaśnił kapłan z uśmiechem. – Niezbyt imponująca jak na człowieka o jego pozycji, ale jest mu tu całkiem wygodnie. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

Na jego znak strażnicy się rozstąpili.

Ze swojej kryjówki Bolgowie zobaczyli, że jakaś kobieta otwiera drzwi i po krótkiej rozmowie usuwa się na bok. Gdy Rapsodia i kapłan weszli do dziwnej, kanciastej budowli, Achmed zamknął oczy i oparł się o pień białej olchy. Bicie serca Pieśniarki cichło, w miarę jak oddalała się w głąb domu. Na skórze czuł tylko rytm Grunthora. Cisza aż dzwoniła w uszach. Oto prawdziwy spokój, pomyślał. Lecz wcale nie był pewny, czy sielska atmosfera mu odpowiada.

Nagle do jego świadomości dotarło nieznajome pulsowanie, potem jeszcze jedno. Z bardzo daleka wiatr niósł bicie innych serc – to łoskot, to lekkie trzepotanie. Może więc nie stracił do końca swojego daru. Sam jednak nie wiedział, czy uznać go za błogosławieństwo, czy przekleństwo. Otrząsnął się z zamyślenia i skupił na rytmie Rapsodii. Inne tętna umilkły.

Czekali bardzo długo. Chcieli się upewnić, że gospodarz osobliwego domu nie zrobi jej krzywdy. Odkąd się rozdzielili, Achmed wsłuchiwał się w puls dziewczyny. Zarówno czysty i silny, póki nie weszła z kapłanem do leśnej twierdzy, jak i przytłumiony, był dla niego równie czytelny.

Odbierał wyraźne zdenerwowanie, a po chwili niepokój bliski paniki, lecz doszedł do wniosku, że nie jest to reakcja na atak. W przeciwnym razie rzuciliby się jej na ratunek.

– Jak długo jeszcze chcesz tu zostać, panie?

– Ostatnią noc. Potem ruszamy.

Rapsodię musiały dręczyć koszmary. W pewnym momencie Achmed poczuł, że jej serce bije w rytm galopu. W czasie wędrówki korzeniem często nawiedzały ją złe sny, ale tym razem było dużo gorzej.

Kiedy wstał świt, dziewczyna wyszła z domu i udała się pod Wielkie Drzewo, żeby odprawić poranne modły. Łagodne wibracje pieściły skórę Draka. Pieśń była taka sama jak zawsze, lecz teraz brzmiała w niej melancholia, której nie słyszał od czasów podziemnej wędrówki. Niezgåębiony smutek.

Chwilę później rozległ się gwizd, umówiony sygnał, że wszystko jest w porządku i mogą już iść. Lekko drżący ton świadczył, że Pieśniarkę nadal coś dręczy, ale przynajmniej nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Achmed się uśmiechnął. Otworzył usta i wciągnął mroźne powietrze. Nie wyczuł wstrętnego odoru demona. Zawsze szukał go w pierwszej kolejności. Otaczająca ich cisza napelniała otuchą, że ucieczka się powiodła, że mogą zacząć wszystko od nowa, uwolnić się od dawnego życia i jego okropieństw. Nowe wyzwania bladły w obliczu tego, co zostawili za sobą.

Mróz szczypiący w niemal bosc stopy wyrwał go z zadumy.

– Lepiej poszukajmy jakichś ubrań i czegoś na ząb – powiedział do Grunthora. – Już mam dość korzenia. Potem zobaczymy, dokąd zaprowadzi nas wiatr. Może znajdziemy drogę do morza.

Przed zapadnięciem nocy Firbolgowie znaleźli wyjście z leśnej gęstwiny i ruszyli na zachód ku morzu. Achmed czuł sól w powietrzu, niczym łzy niesione z daleka przez wiatr.

W pobliżu małej osady znaleźli opuszczoną stodołę. Jej podłoga była zasłana słomą, zbitą i spleśniałą, nie ruszaną od lat. Na wszelki wypadek postanowili nie rozpalać ognia, więc zagrzebali się w niej, szukając ciepła. Nie znaleźli go wiele.

Grunthor zebrał wcześniej trochę gałęzi wiśni oraz pewnego gatunku czarnego drzewa i cały wieczór robił strzały. Achmed kilka razy przyłapał go na nuceniu melodii, którymi Rapsodia umilała sobie wędrówkę. Niestety jego przyjaciel potwornie fałszował.

Rankiem wybrali się do okolicznych gospodarstw. Wrócili z garścią jaj, warzywami i owocami, paroma końskimi derkami i ubraniami, które wyglądały na odpowiednie dla Achmeda. Zachowali daleko idącą ostrożność i ukradli tylko najniezbędniejsze rzeczy.

– Wyglądasz uroczo, panie – zażartował Grunthor, gdy się okazało, że przywłaszczona tunika jest w rzeczywistości suknią. Sam wyciął dziurę w jednej z derek i zrobił sobie poncho.
– Obawiam się jednak, że nie będziesz stanowił konkurencji dla naszej panienki.

Achmed oderwał dół sukni, przerabiając ją na długą koszulę.

– Wątpię, czy rezydentki Pałacu Rozkoszy panny Parri, wszystkie razem wzięte, mogłyby teraz równać się z nią urodą – powiedział, przymierzając nowy strój. – Ogień dokonał cudu. W pierwszej chwili obawiałem się nawet, że ten kapłan spróbuje ją wykorzystać, ale był zbyt onieśmielony.

– O tak, stara dobra Parri. Ciekawe, jak się miewają Brenda i Suzie. Nie myślałem o nich od lat.

Achmed zachichotał.

– Na pewno za tobą tęsknią. Nie sądzę, czy później trafił im się ktoś taki jak ty. – Rzucił gigantowi zimowe jabłko. – Chodźmy się rozejrzeć.

Prowizoryczne ubrania wraz ze strzępami starego odzienia dawały jaką taką ochronę przed mrozem. Ze skóry ukradzionych części uprzęży zrobili sobie buty, ale rezultat był mizerny. Śnieg nadal ziębił im stopy i szczypał w palce.

Kilka mil na zachód las się przerzedził, natomiast siedliska były coraz gęściej rozmieszczone, aż w końcu utworzyły wioskę. Bolgowie ukryli się w gęstych jeżynowych zaroślach i zaczęli obserwować wieśniaków.

Nie poznali miejscowego języka tak dobrze jak Rapsodia, ale od czasu do czasu rozumieli jakieś zdanie albo zwrot. Często powtarzało się słowo „Avonderre”, zwykle wraz z

określeniem kierunku. Achmed i Grunthor doszli do wniosku, że jest to nazwa sąsiedniej wsi, miasta, prowincji albo kraju leżącego na południowym zachodzie.

Kilka razy zmienili kryjówkę i wreszcie koło południa zebrali się, żeby ruszyć dalej, gdy nagle Achmed wyczuł odległą wibrację docierającą od strony leśnej drogi.

Ukryty wśród drzew o srebrnej korze, nie występujących na Serendair, zamknął oczy i skupił całą uwagę na bitym trakcie, poznaczonym koleinami i śladami kopyt, błotnistym od topniejącego śniegu. W jego głowie rozbrzmiał cichy głos Rapsodii.

...Nieomylny tropiciel...

Przełknął ślinę, chwycił się najbliższego pnia i wypuścił myśli na zwiad. Droga rozmazała się przed jego oczami, wzrok z oszałamiającą szybkością pomknął w dal.

Po chwili zobaczył kilkunastu zbrojnych jeźdźców odzianych w zielonkawo-czarne skóry. Galopowali w stronę wioski na dereszowatych leśnych koniach.

Achmed zwrócił uwagę na jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, na twarze mężczyzn: wydatte kości policzkowe, duże oczy, ostre podbródki, cera i włosy w barwach ziemi. To byli Lirinowie.

Po drugie, wszyscy trzymali w rękach pochodnie.

Wymamrotał pod nosem bolgańskie przekleństwo i odwrócił się do Grunthora.

– Nadjeżdżają lirińscy żołnierze. Niosą ogień.

Wielkolud osłupiał.

– Lirinowie? Jesteś pewny, panie?

Achmed skinął głową. Nie zdziwiła go reakcja przyjaciela. Lirinowie, a zwłaszcza Liringlasowie, mieli wrodzoną awersję do ognia. Z wyjątkiem Lirinpanów, którzy żyli w miastach, przedstawiciele tej rasy zamieszkiwali lasy i trawiaste równiny, dlatego największym zagrożeniem był dla nich pożar.

– Chodźmy – szepnął Drak.

Szybkim krokiem ruszyli na południowy zachód, chowając się za dużymi paprociami. Kiedy dotarli do gęsto rosnących drzew iglastych, Achmed wspiął się na wysoką sosnę i przycupnął wśród konarów jakieś dziesięć łokci nad ziemią. Grunthor znalazł sobie kryjówkę w podszyciu. Przyjaciel ledwo go wypatrzył z góry.

Wkrótce zza zakrętu wypadli jeźdźcy. Powietrze przeszyły krzyki, ludzie zaczęli w panice uciekać z drogi, ciągnąc za sobą dzieci. Rozpierzchli się jak stado spłoszonych ptaków.

Pierwsi żołnierze minęli wieśniaków, zostawiając ich towarzyszom uzbrojonym w maczugi, natomiast sami popędzili do najbliższych zabudowań i podłożyli pod nie ogień. Po chwili cała wioska stała w płomieniach.

Kilku chłopów próbowało walczyć bronią, ale nie mieli szans. Jeden z Lirinów celowo najechał koniem na wieśniaka. Impet sprawił, że idące z nim dziecko wpadło do przydrożnego rowu blisko kryjówki Bolgów.

Żołnierz zawrócił i ruszył prosto na leżącą bez ruchu dziewczynkę, lecz w tym momencie koło ucha świsnęła mu strzała i wbiła się w szyję. Jeździec runął na ziemię, wierzchowiec pognał dalej.

Grunthor ponownie naciągnął cięciwę. Twarz miał ponurą i zawziętą jak nigdy. Chwilę później kolejny najeźdźca spadł na płonący dach chaty, którą sam podpalił.

Nagle w powietrzu rozbrzmiał krzyk ptaka, a po nim rozkazy wypowiedziane spokojnym głosem. Napastnicy zaprzestali ataku i pospiesznie opuścili wioskę, trując zabitego kompana.

Nad osadą zapadła cisza. Potem, jakby coś pękło, rozległy się krzyki i jęki. Szlochająca kobieta podbiegła do dziecka, które wpadło do rowu. Chwyliła je w ramiona i krzyknęła z ulgi, kiedy mała otworzyła oczy. Matka była zbyt oszołomiona, żeby dostrzec wielkiego Firbolga, który stał zaledwie parę kroków od niej.

Gdy się oddaliła, Grunthor opuścił łuk i popatrzył na gęsty czarny dym, który napływał w ich stronę. Potrząsnął głową ze zdumieniem.

– Co to było, na bogów?

Achmed wzruszył ramionami.

– Wiem tyle co ty. Może historie o ludziach mieszkających po drugiej stronie świata, które opowiadano nam w dzieciństwie, są prawdziwe. Gdybyś mi dzisiaj rano powiedział, że będziemy świadkami, jak Lirinowie uzbrojeni w pochodnie napadają na spokojną wioskę położoną w lasach i zabijają niewinnych wieśniaków, uznałbym, że zwariowałeś.

Grunthor tylko pokiwał głową.

Ostrożnie wyszli z kryjówki i ruszyli na zachód, zostawiając za sobą pobojowisko, zawodzenia, wioskę zasnutą dymami.

Pod koniec ósmego dnia byli prawie pewni, że postradali rozum. Na ich oczach wciąż dochodziło do bezsensownych aktów przemocy.

Czasami uczestniczyli w nich Lirinowie, ale najczęściej to ludzie napadali na swoich współbraci. Firbolgowie zaczęli się nawet zastanawiać, czy w świadomości powszechnej nie przestali być potworami, czy ich miejsca nie zajęli ci, którzy ich do niedawna za takich uważali.

Równie niewytłumaczalne było to, co następowało po atakach. W pewnym miasteczku na granicy lasu i pól zaobserwowali ze zdziwieniem, że najeźdźcy wracają do koszar leżących jakieś pół mili dalej, tuż za zakrętem drogi. Kilku z tych żołnierzy wróciło niebawem na miejsce rzezi, żeby pomóc rannym.

– Co się tu dzieje? – powtarzał Grunthor z niedowierzaniem, obserwując dziwną scenę z kryjówki za spichlerzem. – To wszystko zupełnie nie ma sensu.

Achmed milczał. Potrafił zrozumieć wojnę, póki znał walczące strony i ich motywy. Tutaj nie wiedział, co myśleć.

Blżej morza śnieg całkiem stopniał, odsłaniając brązową trawę i nagie konary, a lodowaty wiatr okazywał mniej litości niż żołnierze napadający na wioski. Achmed i Grunthor trzymali się z dala od ludzkich skupisk, żeby móc bez strachu rozpać ognisko. Do domów i stodół zbliżali się tylko w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Znajdowali się w Avonderre. Z podsłuchanych rozmów wydedukowali, że jest to nazwa prowincji leżącej nad morzem. W powietrzu unosił się tak silny zapach soli, że nawet Grunthor go wyczuwał. Kierując się węchem, szli wytrwale w stronę oceanu, unikając kontaktu z mieszkańcami tych ziem.

Osady i miasteczka były coraz gęściej rozmieszczone i większe. W miejsce chat i zagród pojawiły się domy zbudowane z cegieł wypalanych w ogniu, o masywnych drewnianych drzwiach, kryte dachówkami z gliny albo uszczelnioną strzechą. Na horyzoncie rysowały się większe budowle portowego miasta.

Polne trakty przeszły w żwirowe drogi, a potem w ulice wyłożone kamieniem. Grunthor aż zagwizdał na ich widok. Brukowane jezdnie i chodniki widywał do tej pory tylko w najbogatszych dzielnicach dużych miast, i to wyłącznie przed budynkami publicznymi i świątyniami. Tutaj chyba wszystkie aleje i mniejsze uliczki rozległego miasta, co najmniej trzy razy większego od Easton, miały nawierzchnię z granitowej kostki.

Nabrzeże w Avonderre ciągnęło się z północy na południe, jak okiem sięgnąć. Na jego krańcach leżały wioski rybackie. Trochę bliżej znajdowały się doki z wypolerowanego kamienia i drewna; pachołki były zrobione z lśniącego metalu. Na samym środku, w wielkiej osłoniętej przystani, cumowało więcej statków, niż mogli zliczyć Bolgowie, którzy z bezpiecznej odległości przyglądali się ich rozładowywaniu. Jednocześnie kradli węgiel z zaplecza kuźni, najokazalszego budynku na peryferiach miasta.

– Tylko popatrz na to! – powiedział Grunthor, wskazując mrowie ludzi, wozów, koni, skrzyń i beczek.

Achmed klepnął go w ramie i pokazał w górę.

– Nie, spójrz tam.

Grunthor zadarł głowę. Słońce właśnie zachodziło, zabierając ze sobą ostatni skrawek czystego nieba i ustępując miejsca groźnym burzowym chmurom, napeczniałym od deszczu i przecinanym błyskawicami. Chwile później zerwał się wiatr.

– Psia jucha! Czym prędzej się stąd wynośmy.

Achmed już przeszedł przez niski murek i ruszył na północ.

– Na skraju miasta są jakieś urwiska. Tam się schowamy. Zanosi się na niezłą burzę.

Smagani przez wiatr, szli ku skałom, które wyrastały z piasku, groźne i niedostępne. Fale huczały i rozбивały się o brzeg, pryskając słońcą wodą. Niebo pociemniało aż po horyzont. W rzadkich przerwach między chmurami od czasu do czasu pojawiał się księżyc.

– Znajdziemy sobie jaskinię, panie?

Achmed wytyczył wzrok, ale niewiele zobaczył poza rozszalałym morzem i wysokim urwiskiem. Jego oczy Firbolga, przystosowane do ciemności panującej pod ziemią, na powierzchni spisywały się gorzej.

– Może w drugim końcu klifu.

Grunthor potrząsnął głową.

– Nie. Tam nic nie ma. Lita ściana przez wiele mil. Ale bliżej brzegu znajduje się jakieś duże schronienie.

– Czujesz to dzięki więzi z ziemią?

– Tak.

Zeszli na piasek i puścili się biegiem wzdłuż brzegu. Deszcz, który w tym momencie zaczął padać, kłuł ich w twarze niczym lodowe igielki. Plaża okrążyła urwisty cypel, za którym wcześniej wypatrzili z góry małą zatokę. Skały wznosiły się nad nimi niczym górskie szczyty. Przed sobą ujrzeli monumentalną budowlę otoczoną przez cztery mniejsze.

– To świątynia! – krzyknął Achmed. – Co za idiota wznosi świątynię na piasku?

Grunthor ledwo go usłyszał ponad hukiem wiatru.

– W dodatku tak blisko wody! Dziwne, co? Chcesz zajrzeć do środka?

Achmed się zawahał. Świątynie nie mogły się obejść bez kapłanów, a on ich nienawidził. Największa budowla była ciemna, lecz w czterech pozostałych paliły się światła; zapewne mieszkali tam klerycy. Istniało niewielkie ryzyko, że ktoś nakryje ich w samej bazylice.

– Dobrze – mruknął, zsuwając poszarpany kaptur niżej na twarz. – Ale lepiej, żeby kapłan, na którego się natknę, umiał pływać.

Zanim okrążyli północną ścianę urwiska, widzieli jedynie ogromną kamienną płaszczyznę wznoszącą się wysoko w niebo. Po drugiej stronie cypla mimo woli stanęli jak wryci, nie zważając na deszcz. Porywisty wiatr przeszywał ich na wylot. Deszczowe chmury na chwilę się rozstały, odsłaniając księżyc.

Świątynia wyrastała wprost z grzywaczy, a ustawiona pod dziwnym kątem iglica wskazywała w głąb lądu. Wielkie czarne i szare bloki, nieregularne lub starannie ociosane, spojone zaprawą murarską, połyskiwały w nikłym blasku księżyca, otaczając wysokie belki ze starego drewna. Starannie utrzymane chodniki z wypolerowanych płyt, osadzonych w piasku, prowadziły do frontowych drzwi.

Budowlę zaprojektowano w formie dziobu wraka, sterczącego z plaży pośród ostrych skał. Wrota z desek różnej długości, poszarpanych u góry, imitowały olbrzymią wyrwę w stępcie. Przekrzywiona iglica wyobrażała maszt. Statek odtworzono bardzo dokładnie, po

najdrobniejszy szczegół, tyle że w gigantycznej skali. Części takielunku z misternie obrobionego marmuru były kilka razy większe niż w rzeczywistości.

Dalej od brzegu znajdowała się druga część świątynnego kompleksu, która wraz z drewnianym pomostem znikła w czasie przyływu pod wodą; przywodziła na myśl ruinę. Gigantyczna kotwica wbita w piasek między dwoma budynkami służyła jako brama.

Choć zgodnie z architektonicznym zamysłem całość miała wyglądać jak okręt wyrzucony na brzeg, w oczy rzucała się solidność konstrukcji. Budowla stała pewnie pośród spienionych fal, opierając się atakom rozszalałego żywiołu. Grunthor zagwizdał przeciągle.

– I co o tym sądzisz, panie?

Achmed starał się ukryć swoją niechęć do wody. Kiedyś morze skutecznie tłumilo bicie serca jego ofiar sprzecznymi wibracjami. Tylko tam mogły się przed nim schować.

– Sam nie wiem. Może tutejsi wyznawcy to kupcy albo rybacy. Bardzo bogaci rybacy. Jeszcze nigdy nie widziałem równie intrygującej budowli, a wznoszenie jej z pewnością było wielkim przedsięwzięciem. Katastrofa musiała być tragiczna, skoro stała się inspiracją dla tak monumentalnego pomnika. Szkoda, że nie ma tu Rapsodii. Może umiałyby coś więcej powiedzieć.

– Tak. Przypuszczam, że jej rodzina to żeglarze albo robotnicy portowi z Easton. Pewnej nocy w czasie wędrówki korzeniem mamrotała coś o tym, że chce zobaczyć ocean.

Achmed potrząsnął głową.

– Wątpię, czy Rapsodia urodziła się w Easton. Sztuki przetrwania nauczyła się w jego tawernach i zaułkach, lecz nie jest dzieckiem ulicy. Podejrzewam, że dorastała w wiosce albo osadzie, zapewne biednej, ale nie żyjącej w nędzy. Nie wychowała się w rynsztokach.

Wiatr porwał z plaży piasek i cisnął im w oczy.

– Myślisz, że u niej wszystko w porządku?

– Tak. Chodźmy. Odpływ nie potrwa długo. Chcę zobaczyć dalsze budynki.

Odczekali tyle czasu, by się upewnić, że do świątyni już nie przyjdą wierni ani strażnicy. Ciemność i zbliżająca się burza odstraszyły wszystkich.

Wiatr się wzmógł, strugi deszczu przemoczyły Bolgów do suchej nitki. Mimo odpływu fale rozbijały się z wściekłością o brzeg. Całe niebo zasnuły czarne groźne chmury.

Achmed i Grunthor pobiegli ścieżką prowadzącą do wrót świątyni. Osłonięte pochodnie umieszczone wysoko przy wejściu już dawno zgasła wichura. Wielkolud złapał za mosiężne uchwyty i pociągnął. Lewe skrzydło otworzyło się bez oporu. Wpadli do środka i szybko zamknęli masywne drzwi.

Ociekając wodą, rozejrzeli się po ogromnej bazylice. W czarnym kamieniu osadzone były popękane belki o najróżniejszych wymiarach. Wnętrze przypominało szkielet gigantycznej bestii leżącej na plecach. Kręgosłup tworzył długą nawę, połamane żebra sterczały ku sklepieniu.

Okna osadzone wysoko na ścianach miały kształt bulajów. Mniej więcej na wysokości kolan Grunthora ciągnął się pojedynczy rząd przezroczystych szklanych bloków, bardzo grubych i ciężkich. Wpadała przez nie zielonkawa poświata. W dzień widok morskiej kipieli musiał być wspaniały, nocą, w czasie burzy, robił niesamowite wrażenie. Bolgowie na chwilę oniemieli.

W środku nie było żadnych ławek ani siedzisk, z wyjątkiem marmurowych kłoców ustawionych w dużym kręgu pośrodku świątyni. Choć posadzka i część ścian znajdowała się poniżej poziomu morza, w powietrzu nie czuło się wilgoci. Bolgowie zauważyli jednak, że kamienne płyty są szorstkie i lekko porowate, dzięki czemu łatwo się po nich szło, gdy były mokre.

Ruszyli nawą, rozglądając się na boki. Deski i belki, choć starannie zakonserwowane, wyglądały na mocno zużyte. Kiedyś zapewne tworzyły kadłuby statków. Różnice w kolorze i stanie drewna świadczyły o tym, że pozyskano je z różnych okrętów.

Pośrodku nawy w sklepieniu ział wylot długiego ciemnego szybu z wąskimi szczelinami na samym końcu, wysoko w górze. Wpadała przez nie do środka słona woda i wiatr. Jego wycie niesło się po całej świątyni.

– To musi być maszt – stwierdził Grunthor.

Achmed skinął głową.

Pod otworem, pośrodku kręgu kamiennych bloków, znajdowała się mała okrągła fontanna z niebiesko żyłkowanego marmuru. Otaczało ją kilka dużych basenów o coraz większej średnicy, wykonanych z tego samego kamienia. Strumień wody tryskał w górę lub cofał się w rytm przyboju. Od czasu do czasu podłogę zalewała piana.

W drugim końcu rozległej budowli znajdowały się drugie wrota, wykute z miedzi i pokryte napisami. Bolgowie obeszl fontannę i ruszyli w ich stronę. Odgłos ich kroków zagłuszały ryczące bałwany.

W świetle dwóch metalowych kinkietów ze szklanymi kloszami zobaczyli runy. Achmed nie umiał ich odczytać, ale rozpoznał kilka symboli podobnych do sereńskich liter.

Oba skrzydła drzwi zdobiły wypukłe reliefy. Przedstawiały miecze, z których jeden był zwrócony rękojeścią w dół, a drugi w górę. Na całej długości kling wryto wzory w kształcie fal oceanicznych. Lecz Draka bardziej zainteresował umieszczony w tle skrzydlaty lew. Już go kiedyś widział.

– To herb rodziny MacQuieth – powiedział bardziej do siebie niż do przyjaciela, choć Grunthor również słyszał o legendarnym wojowniku, szermierzu króla Serendair. – Skąd się wziął na drugim końcu świata?

Olbrzym potarł brodę.

– MacQuieth chyba nie pochodził z wyspy. Czy nie nazywano go Nagall, Obcy? Zdaje się, że jako młody człowiek przyplłynął z dalekich stron. Może właśnie stąd?

Achmed pokiwał głową, zły na siebie. Wściekłość morza zaćmiewała mu umysł.

– Może ten szczegół pozwoli nam się zorientować, gdzie jesteśmy. O ile pamiętam, MacQuieth przybył z Monodiere.

Chwyił gałkę u drzwi i pociągnął, ale skrzydło nawet nie drgnęło. Spróbował z drugim, również bez skutku.

– Pozwól – powiedział Grunthor, kłaniając się nisko. Splunął w dłonie i jednym szarpnięciem otworzył wrota. Cofnął się czym prędzej, gdy słona woda spryskała mu twarz.

Za drzwiami, których zewnętrzna powierzchnia była skorodowana od soli i pokryta zielononiebieskim nalotem, znajdował się szeroki kamienny stopień. Schodziło się z niego na długi pomost, już zalewany przez fale, pełen wodorostów i innych śmieci.

Bolgowie osłonili oczy rękami i wyszli na wichurę. Grunthor złapał Achmeda za ramię. Ruszyli chwiejnie po śliskich deskach, wspólnymi siłami opierając się nawalnicy. W pewnym momencie olbrzym schylił się po dużą muszlę o dziwnym kształcie, która utkwiała w szczelinie.

Gdy dotarli do mniejszej budowli, zobaczyli, że nie ma w niej drzwi, tylko łukowaty otwór i próg w formie pazura ogromnej zardzewiałej kotwicy. Wnętrze przybudówki, którą w czasie przyływu zatapiała morska woda, było wystawione na działanie sił natury.

Wbiegli do środka i osłupieli.

W przeciwieństwie do świątyni, którą jedynie stylizowano na okręt, przybudówka wyglądała na część rufy prawdziwego statku, wbitego w plażę dziobem do góry i przekrzywionego. Musiał być kiedyś duży, sądząc po wraku. Pokład zmiotły fale sztormowe, został sam kadłub, który teraz tworzył ściany budowli. Wykonano go z gatunku drewna nieznanego Bolgom.

Pośrodku stał częściowo zagrzebany w piasku kamienny stół, lity blok obsydianu, lśniący od wody, która obmywała go z każdym podmuchem wiatru. W blacie tkwiły dwie metalowe klamry o niewiadomym przeznaczeniu. Na nich, w przeciwieństwie do kotwicy, nie było śladu rdzy.

Napis wyryty na kamieniu zmyły fale oceanu. Teraz jego powierzchnia była gładka i tylko w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się litery, widniały jaśniejsze ślady.

Do stołu była przytwierdzona tabliczka z wypukłymi runami, podobnymi do tych, które widzieli na miedzianych drzwiach. Jej również nie zaszkodziła sól i wilgoć.

– Wygląda mi to na sereńskie pismo, ale nie jestem pewny – stwierdził Achmed. – Szkoda, że nie ma tu Rapsodii.

– Powtarzasz to już drugi raz – zauważył Grunthor, uśmiechając się szeroko. – Wszystko jej powiem.

– Nie uwierzy ci albo pomyśli, że chciałem skorzystać z okazji i utopić ją w morzu.

Achmed zdjął worek z ramion, wyjął z niego brezentowe zawiniątko. Rozpostarł materiał na tabliczce i potarł go kawałkiem ukradzionego węgla, odbijając napis.

– Widzisz? Wcale jej tu nie potrzebujemy. No, a teraz się wynośmy. Nadchodzi przypływ.

Grunthor skinął głową. Woda sięgała mu już po kostki.

Zarzucając worek na plecy, Achmed musnął dłonią stół i nagle znieruchomiał. Ukucnął, jeszcze raz przyjrzał się kamieniowi. Zwykły czarny obsydian, blok imponujących rozmiarów, ale poza tym niczym się nie wyróżniał. Lecz on pod palcami wyczuł wibracje, niby nieznane, a jednocześnie dziwnie znajome. Uniósł wzrok na przyjaciela.

– Nie wydaje ci się dziwny, kiedy go dotykasz?

Olbrzym położył rękę na kamieniu i po chwili potrząsnął głową.

– Nie. Chłodny jak marmur i wygładzony przez fale.

Achmed zabrał dłoń z blatu. Drgania ustały, a jego ogarnęła ulga i jednocześnie smutek. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad osobliwym zjawiskiem i własnymi odczuciami.

Znowu wyszli na huczący wiatr i ruszyli do świątyni, brnąc po kolana w wodzie. Gdy znaleźli się w środku, Grunthor zamknął za nimi miedziane drzwi. Westchnął i spojrzał na przyjaciela.

– I co o tym wszystkim myślisz?

Achmed potrząsnął głową.

– Sam nie wiem, ale może... – Urwał skonsternowany i wściekły na siebie.

Olbrzym parsknął śmiechem.

– Nie musisz kończyć, panie. Domyślam się, co chciałeś powiedzieć.

– Lepiej wracajmy – burknął Achmed. – Jesteśmy z nią umówieni, a z powodu tych dziwnych napaści podróż może nam zająć więcej czasu, niż zaplanowaliśmy.

Frontowe drzwi twierdzy inwokera od razu przypomniały Rapsodii dom. Stare i masywne, z wrytymi w drewnie napisami, kiedyś były ozdobione płaskorzeźbą smoka albo innej mitycznej bestii, ale z czasem pozłota złuszczyła się i wyblakła, tak że został tylko niewyraźny rysunek. Deszcze i wiatr jeszcze bardziej wygładziły ich powierzchnie. W prawym górnym rogu widniał niespotykany znak: koło utworzone ze spiralnych kręgów.

Khaddyr zabębnił w drzwi kosturem. Oczekał chwile i już miał zapukać ponownie, kiedy nagle się otworzyły.

W progu stała kobieta w średnim wieku, mieszanej krwi, ale raczej z leśnych Lirinów z wyspy. Skórę miała ciemną o żółtawym zabarwieniu, oczy piwne, włosy koloru kory kasztanowca, na skroniach przetykane siwizną. Ubrana była w tradycyjną szatę z niefarbowanej wełny.

Z szacunkiem ukłoniła się Khaddyrowi, po czym przeniosła wzrok na gościa i aż otworzyła usta ze zdumienia. Rapsodia poczerwieniała. Na pewno wyglądam strasznie, pomyślała ze ściśniętym gardłem.

Kapłan odchrząknął. Oczy pociemniały mu z irytacji.

– Dobry wieczór, Gwen. Jest jego wielebność?

Kobieta zarumieniła się ze wstydu.

– Wybacz, ojcze, i ty również, panienko. Nie wiem, co mnie naszło. Proszę, wchodźcie.

Odsunęła się na bok. Khaddyr wziął Rapsodię pod łokieć i wprowadził do środka. Ruszyli za Gwen przez korytarz o posadzce z różnobarwnego kamienia, wyłożony drewnem i udekorowany rzeźbami. Służąca zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami, tuż przy krętych schodach. Cicho zapukała, a następnie uchyliła drzwi i zawołała:

– Wasza wielebność!

– Tak? – odezwał się miękki baryton.

– Masz gości, panie.

Gwen powędrowała spojrzeniem ku Rapsodii.

– To ja, wasza wielebność – odezwał się Khaddyr i spiorunował kobietę wzrokiem. – Przestań się gapić. Zachowujesz się niegrzecznie.

Służąca pospiesznie odwróciła głowę. Chwilę później kapłan i Rapsodia znaleźli się w przytulnym gabinecie z dużym kominkiem zajmującym całą ścianę. Na powitanie dziewczyny płomienie skoczyły w górę i zaraz przygasły.

W izbie było wiele tajemniczych przedmiotów, map, zwojów. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się półki z książkami. Wokół niskiego, okrągłego stołu z kręgu pnia dużego drzewa,

trafionego przez piorun, stało kilka wygodnych krzeseł. Kredens i inne meble były ukryte w cieniu.

Drzwi zamknęły się cicho za nimi. Gospodarz, wysoki starzec odziany w prostą szarą szatę, miał pobrużdżoną dobrotliwą twarz, wokół oczu liczne zmarszczki, siwe włosy, gęste brwi i starannie przystrzyżone siwe wąsy. Mimo że był chudy, wyglądał na krzepkiego. Sądząc po ogorzalej cerze, dużo czasu spędzał na powietrzu.

– No, no, kogo my tu mamy? – zapytał cicho.

– Wasza wielbność, ta kobieta wyszła z lasu w Tref-Y-Gwartheg – odparł Khaddyr z szacunkiem. – Nie mówi naszym językiem, lecz trochę go rozumie. Śpiewa do słońca, ale bez słów. Ma niezmiernie głośny głos. Nie wiem, kim jest. Pomyślałem, że może cię zainteresuje. Przyszło mi do głowy, że może być driadą, sylfidą albo innym duchem natury czy boginką. Tylko ty potrafisz to stwierdzić.

Rapsodia spojrzała na Khaddyra. Jego ostatnia uwaga całkowicie ją zaskoczyła. Sądziła, że wieśniacy obstąpili ją, bo nigdy wcześniej nie widzieli Lirinki, ale przecież Gwen była Lirinką. Dlaczego kapłan uznał ją za ducha natury? Z powodu jej wyglądu? Powędrowała myślą do Achmeda i Grunthora, którzy niezręcznie próbowali jej wyjaśnić, w jaki sposób zmienił ją ogień. Najwyraźniej stała się dziwolągami.

Starzec uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję ci, Khaddyr. – Podszedł do dziewczyny i spojrzał jej w twarz. – Jak mam się do ciebie zwracać, moja droga?

– Rapsodia.

Następca aż podskoczył na dźwięk jej głosu.

– Nie wiedziałem, że umie mówić.

– Czasami wystarczy zadać pytanie, na które człowiek potrafi odpowiedzieć, prawda, Rapsodio?

Mówił łagodnym, serdecznym tonem. Dziewczyna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Tak.

– Skąd jesteś?

Ściągnęła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie chciała zdradzić za dużo ani kłamać, a w dodatku nie była pewna swojej umiejętności porozumiewania się w miejscowym dialekcie.

– Nie wiem, jak nazywacie tę krainę – powiedziała dyplomatycznie. – Z bardzo daleka.

– Wyobrażam sobie – odparł inwoker. – Mniejsza o to. Chcesz coś zjeść albo wziąć kąpiel?

Twą Rapsodii rozjaśniła się, a wraz z nią ogień. Płomienie aż zahuczały radośnie.

– Tak, marzę o kąpielu – przyznała, zapominając o ostrożności.

Llauron otworzył drzwi gabinetu.

– Gwen?

W progu stanęła pół-Lirinka.

– Słucham, wasza wielbność.

– To jest Rapsodia. Będzie naszym gościem, co najmniej na ten wieczór. Przygotuj jej, proszę, gorącą kąpiel z dużą ilością mydła i każ Verze zrobić kolację.

Kobieta skinęła głową i oddaliła się cichym krokiem.

– Może chcecie herbaty? – zapytał Llauron uprzejmie.

– Tak, dziękuję – powiedziała Rapsodia.

– Ja również, wasza wielbność.

Inwoker wskazał im krzesła, a sam wziął się za parzenie herbaty. Powiesił czajnik nad ogniem, z szafki umieszczonej pod oknem wyjął trzy filiżanki i postawił na stole. Kiedy woda się zagotowała, nalał do imbryka, do którego wcześniej wsypał herbaciane liście. Potem usiadł naprzeciwko Rapsodii.

– Mam nadzieję, że Khaddyr był dobrym gospodarzem, mimo że nie zaproponował ci kąpieli.

Młodszy kapłan zmartwiał.

– Przepraszam, panienko – bąknął z zakłopotaniem. – Bałem się naruszyć obyczaje twojego ludu.

Llauron zrobił rozbawioną minę.

– No, nie żartuj sobie. Na pewno spotkałeś dość Lirinów, by wiedzieć, że jednak się kąpią.

Nalał herbaty do filiżanek i podsunął gościom spodeczek z miodem.

– Lirinów? – powtórzył Khaddyr ze zdumieniem.

– Pół-Lirinów. Mam rację, moja droga? Jedno z twoich rodziców było Liringlasem?

Rapsodia skinęła głową.

– Matka. – Łyknęła herbaty, rozkoszując się jej ciepłem.

– Tak przypuszczałem.

W tym momencie rozległo się pukanie, a zaraz po nim skrzypnięcie drzwi.

– Kąpiel gotowa, wasza wielbność.

Llauron wstał.

– Podejrzewam, że w tej chwili pragniesz jej najbardziej na świecie, prawda, moja droga?

– Tak.

Słyszając głębokie westchnienie, inwoker zachichotał.

– Więc idź. Gwen, daj Rapsodii wszystko, co trzeba, i wypierz jej ubranie. A tymczasem na pewno znajdziesz dla niej coś odpowiedniego?

– Tak, wasza wielbność.

– Doskonale.

Rapsodia wyszła z pokoju. Gdy wspinała się po schodach za Gwen, słyszała, że kapłani kontynuują rozmowę.

– Driada? – W głosie Llaurona wyraźnie było słycać wesołość. – Doprawdy!

– Nigdy nie widziałem takiej Lirinki – tłumaczył się Khaddyr.

– Najwyraźniej. Przykro mi, ale już nie ma duchów natury. Ostatnie zginęły razem z wyspą wieki temu...

W tym momencie Gwen zamknęła drzwi łazienki.

Wielka porcelanowa wanna była napełniona gorącą wodą z ziołami. Koper i werbena, stwierdziła Rapsodia w myślach. Jednocześnie zauważyła, że Gwen ją obserwuje i wcale nie zamierza wyjść.

Skrepowana, zdjęła brudne ubrania, zostawiając tylko medalionik na szyi, i weszła do wanny. Kiedy zanurzyła się w pachnącej kąpiel, ogarnęła ją prawdziwa rozkosz. Tymczasem służąca zgarnęła z podłogi brudne łachmany i wyszła z łazienki.

Rapsodia zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Czowała, że spływa z niej błoto i po raz pierwszy od wieków skóra nareszcie może normalnie oddychać. Wraz z brudem opuściło ją napięcie i zmęczenie nagromadzone podczas długiej podróży. Wołała nie wyobrazać sobie, jak będzie wyglądać wanna po jej kąpiel. Woda przybrała odrażający szary kolor.

Właśnie wycierała się miękkim ręcznikiem, kiedy wróciła Gwen z białą wełnianą szatą, podobną do tych, które nosili filidzi ze środkowej polany. Po wyjściu służącej z przyjemnością włożyła czyste odzienie. Z wahaniem spojrzała na miecz. Przypasany wyglądałby śmiesznie, więc postanowiła trzymać go w ręce. I tak nie miała gdzie ukryć broni.

Odczekała dłuższą chwilę, ale Gwen nie wracała, więc otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Nie dostrzegła nikogo. Zeszła wolno po schodach, podziwiając wewnątrz starego domu, od lśniących balustrad po obrazy zawieszane na ścianach.

Drzwi gabinetu były otwarte. Ostrożnie zajrzała do środka.

– A, już jesteś – rozbrzmiał przytłumiony głos Llaurona. – Chodź, moja droga.

Weszła do pokoju i stwierdziła, że jest pusty. W ścianie z kominkiem znajdowały się drzwi, których wcześniej nie zauważyła. Ruszyła przez pomieszczenie. Ogień rozjarzył się na powitanie, gdy przechodziła obok.

Sąsiednia izba była podobna do gabinetu, tylko prawie cały środek zajmowało ozdobne biurko zasłane papierami i zwojami. Nieduży kominek znajdował się między dwoma oknami o błyszczących szybach, rzadkim luksusem zarówno w starym, jak i nowym świecie. Llauron wstał z krzesła i uśmiechnął się na jej widok.

– Lepiej się czujesz? – Gdy skinęła głową, dodał: – To dobrze. Rozpoznałaś zioła?

Wyczuła lawendę, koper, werbene i rozmaryn, lecz nie wiedziała, jak brzmią ich nazwy w tutejszym dialekcie, a nie chciała używać starego języka.

– Tak.

Inwoker się zaśmiał.

– Świetnie. Więc jesteś zielarką?

Rapsodia potrząsnęła głową.

– Nie. Po prostu co nieco wiem o roślinach.

– Gdybyś chciała nauczyć się więcej, dobrze trafiłaś. Nasza główna zielarką Lark jest Lirinką, ale nie z Liringlasów.

– Na pewno wiele bym skorzystała.

– Niewątpliwie. Zawsze każę wrzucać do kąpieli również sól kamienną, która łagodzi bóle mięśni.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Rzeczywiście czuję się o niebo lepiej.

Llauron wskazał jej wyściełane krzesło.

– Khaddyr przeprasza, ale jest potrzebny w hospicjum. Zapewne pragniesz zadać mi tysiące pytań, a ja też mam do ciebie parę. Usiądź przy ogniu i zjedz kolację.

Rapsodia starała się oddychać głęboko i spokojnie, żeby ogień nie zareagował na jej nerwowość. Nic z tego. Płomienie ożyły, kiedy usiadła na krześle. Starzec chyba niczego nie zauważył.

– Gdzie ja jestem? – zapytała ostrożnie, starając się trzymać dialektu.

Llauron uśmiechnął się.

– W twierdzy inwokera filidów, religijnego bractwa, które czci Jedyne Boga, Dawcę Życia, pana całej natury. Mój dom stoi pośrodku Kręgu, w którym nasza wspólnota mieszka, uczy się i pielęgnuje Wielkie Białe Drzewo. Zapewne widziałaś je po drodze, trudno go nie zauważyć. Święty las, w którym obecnie przebywasz, nazywa się Gwynwood.

Rapsodia odchyliła się na oparcie krzesła. Nigdy nie słyszała tej nazwy. Kapłan dostrzegł jej rozczarowanie.

– Potrafisz czytać mapy?

– Nawet nieźle. Zwłaszcza morskie.

– Doskonale. Podejdź tutaj.

Starzec wstał i zaprowadził ją do zawieszonych na stojaku kuli, na której były namalowane lądy znanego świata. Zakręcił nią i odnalazł północny kontynent z długim, nieregularnym zachodnim wybrzeżem.

– Tutaj jesteśmy – powiedział, wskazując wyspę niezbyt odległą od głównego lądu.

Dziewczyna zamrugnęła. Widywała ten ląd na mapach, ale sądziła, że jest niezamieszkaany.

Serendair leżała na południowej półkuli, po drugiej stronie świata. Choć Rapsodia już wcześniej rozważała taką możliwość, gardło jej się ścisnęło. Do domu miała dużo dalej, niż przypuszczała.

– Mogę popatrzeć na tę okrągłą mapę? – zapytała z wahaniem. Często brakowało jej słów.

– Oczywiście. To globus.

Zacząła wolno obracać kulę. Niektóre miejsca były jej dobrze znane, inne zupełnie obce. Z łomoczącym sercem przyjrzała się uważnie każdej części świata. Usilnie starała się nie okazywać emocji. Napisy były w języku podobnym do jej ojczystego, ale nie wszystkie litery rozpoznawała. Wreszcie po drugiej stronie oceanu trafiła na Serendair, tutaj ochrzczonej nazwą Zaginiona Wyspa.

Ręce jej zlodowaciały. Zaginiona Wyspa? Nie zdziwiło jej, że tutejsi kartografowie nie uwzględnili wielu cech charakterystycznych; sereńscy geografowie też nie wiedzieli, że ten daleki ląd, na którym teraz się znalazła, jest zamieszkanym. Ale dlaczego tak ją nazwali?

Szybko przebiegła wzrokiem po globusie. Zauważyła, że Serendair jest jedynym lądem pomalowanym na szary kolor. Obróciła kulę, ustawiając ją w pierwotnym położeniu.

Inwoker obserwował ją z zainteresowaniem.

– Pokażę ci parę rzeczy.

Podszedł do biurka i zaczął grzebać w stosie zwojów. Po chwili znalazł to, czego szukał. Rozwinął mapę.

– Drzewo rośnie tutaj, w środkowym masywie leśnym, w pobliżu południowo-wschodniej granicy puszczy. Gwynwood to państwo religijne i jako takie nie jest zjednoczone z Rolandią, naszym sąsiadem od południa i wschodu.

Rapsodia podążyła wzrokiem za jego palcem i zobaczyła, że nadmorska prowincja leżąca na południe od lasu nazywa się Avonderre, a wschodnia Navarne. Na zachodzie, po drugiej stronie dużego morza, dostrzegła ląd pomalowany na zielono, podobnie jak ziemie, które Llauron pokazał jej przed chwilą. Jego nazwa brzmiała Manosse.

– Avonderre i Navarne to części Rolandii?

– Tak, podobnie jak prowincje Canderre na północnym wschodzie, Yarim na wschodzie, Bethany na wschód od Navarne, gdzie znajduje się siedziba regenta, i Beth Corbair na wschód od Bethany.

Rapsodia z zaciekawieniem studiowała mapę. Avonderre, Navarne, Bethany, Canderre, Yarim i Beth Corbair były prowincjami Rolandii, ale nie jedynymi krainami o zielonej barwie. Spostrzegła jednak, że kolor ten zarezerwowano dla części świata, o której mówił Llauron. Nie wypatrzyła go nigdzie indziej na całym globie.

Z mapy wynikało, że Rolandia obejmuje część zachodniego wybrzeża oraz falujące wzgórza na południe od Gwynwood i ciągnie się na wschód ku bezkresnym równinom, płaskowyżowi Orlandan.

Daleko na wschodzie wyrastał łańcuch górski przecięty głęboką doliną. Góry nazywały się Manteidy. Ziemie leżące za nimi kiedyś nosiły nazwę Canrif, ale przekreślono ją starannie i na jej miejscu wpisano słowo „Firbolg”. Rapsodia przełknęła ślinę.

Wskazała krainę graniczącą z Bethany i Bethé Corbair. Znaczną część jej powierzchni zajmowało pasmo górskie, które wyglądało na fragment Manteidów i przechodziło na południu w rozległą, wysoko położoną pustynię.

– Ona również należy do Rolandii?

– Nie. Sorbold jest samodzielnym państwem.

– A ta?

Llauron się roześmiał.

– Na Boga, nie! To terytorium Firbolgów, kraj mroczny, niedostępny i zdradliwy.

Rapsodia pokiwała głową. Określenia wydały się jej bardzo trafne. Przesunęła palec trochę w lewo, do ostatniej zielonej, ale bezimiennej krainy.

– Dlaczego tu nie ma żadnej nazwy?

– To niezrzeszone państwa, dawne ziemie cymriańskie.

Mówił rzeczowym tonem, ale przy ostatnich słowach patrzył na nią uważnie. Twarz Rapsodii pozostała bez wyrazu.

– Ziemie cymriańskie? Te zielone?

– Tak. Rolandia, Sorbold, niezrzeszone państwa, Manosse na drugim kontynencie oraz Firbolg zostały niegdyś zasiedlone przez Cymrian.

– Kim byli Cymrianie?

Po twarzy Llaurona przemknęło zdziwienie.

– Nigdy o nich nie słyszałaś?

– Nie.

Dziewczynie zaczęły drżeć ręce. Starzec to zauważył i poklepał ją po ramieniu.

– Cymrianie to uciekinierzy, którzy opuścili wyspę Serendair tuż przed jej zagładą.

Słowa Llaurona: „opuścili wyspę Serendair tuż przed jej zagładą” dotarły do niej z opóźnieniem niczym muzyka płynąca z oddali. „Przed zagładą”.

Nagle ogarnął ją dziwny spokój. Była to fizyczna reakcja, która zwykle następowała po chwilach wielkiego zagrożenia. Rapsodia usiłowała panować nad mimiką, choć krew odpłynęła jej z twarzy, nogi się pod nią ugięły, serce podeszło do gardła.

Wzięła mapę i zaniósła ją do stołu. Usiadła, kładąc miecz na kolanach. Pozwoliła, żeby ogień przywrócił jej kolory na policzki.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Cymrianach, ale najpierw pragnę zadać pytanie. – Własny głos brzmiał sztucznie nawet w jej uszach. Wskazała krainę leżącą na południe od Gwynwood i jego południowego sąsiada Avonderre. Realmalir wyglądała na część tej samej ogromnej puszczy, ale była pomalowana na żółto. – Co to jest?

Przez twarz inwokera przemknął uśmiech.

– Tyrian, co w starocymriańskim oznacza „królestwo lirińskie”. Lirinowie zamieszkiwali je jeszcze przed przybyciem Cymrian.

– Tyrian nie należy do Rolandii?

– Nie. W epoce cymriańskiej Lirinowie byli sojusznikami Cymrian, lecz po wielkiej wojnie sytuacja się zmieniła.

– Po wielkiej wojnie?

Llauron wziął głęboki oddech.

– Widzę, że nie przesadziłaś, mówiąc, że pochodzisz z bardzo daleka. O co jeszcze chciałabyś zapytać?

Rapsodia pokazała na białe ziemie ciągnące się na północ i wschód od Rolandii i Gwynwood.

– To Hintervold. Terytorium, które nie wchodziło w skład dawnego królestwa cymriańskiego. Mam tu parę starych map.

Rapsodii robiło się słabo.

– Może kiedy indziej. Proszę mi teraz opowiedzieć o Cymrianach.

Llauron spojrział w ciemność z oknami.

– To długa historia. Bardzo dawno temu ostatni z sereńskich królów Gwylliam odkrył, że wyspa jest skazana na zagładę. Stare manuskrypty nie wyjaśniają, jak doszedł do takiego wniosku, ale skądinąd wiadomo, że królowie Serendair często mieli dar jasnowidzenia.

Rapsodia poczuła ucisk w skroniach. Nigdy nie słyszała o Gwylliamie.

– Już raz, przed wiekami, wyspa uległa poważnym zniszczeniom, kiedy do morza wpadła gwiazda – ciągnął inwoker. – Spowodowała wielki potop, który podzielił Serendair na dwie części i jedną z nich zatopił. Nietrudno było uwierzyć, że coś podobnego może wydarzyć się znowu.

Rapsodia starała się oddychać normalnie. Znała legendę o Śpiącym Dziecku. Słyszała ją od matki.

Jedna z siostrzanych gwiazd, Melita, spadła prosto do oceanu, ale nie zgasła. Od jej żaru wysepki na północ od Serendair, dawne, górskie szczyty, zmieniły się w tropikalny raj, lecz dzielące je morze stało się burzliwe i niebezpieczne dla żeglarzy.

Gwiazda spoczywająca na jego dnie została nazwana Śpiącym Dzieckiem. Lirinowie wierzyli, że pewnego dnia się obudzi i wróci na niebo, a jej miejsce w głębinach zajmie ich wyspa. Tymczasem bliźniacza gwiazda Oelendra wpadła w rozpacz, lecz nawet po śmierci siostry nie przestała świecić.

Rapsodia uważała obie historie za zwykłe mity.

Głos Llauriona docierał do niej jak przez mgłę.

– Gwylliam był z zamiłowania i wykształcenia architektem, inżynierem i kowalem. Nie pogodził się z wyrokiem na swoje królestwo, tylko postanowił znaleźć sposób, żeby ocalić jego kulturę. Ułożył wielki plan ewakuacji, ale niektórzy z poddanych, zwłaszcza starsze rasy, na przykład Liringlasowie, postanowili zostać mimo grożącej im i zagłady. Inni zdecydowali się popłynąć na sąsiednie lądy, które od wieków odwiedzali marynarze. Gwylliamowi nie zadowalało żadne z tych wyjść. Chciał znaleźć miejsce, gdzie wszystkie rasy mogłyby odbudować swoją cywilizację. Do tego zadania wyznaczył żeglarza z prastarego sereńskiego rodu, Merithyna Odkrywcę. Wysłał go samego na małym statku, żeby znalazł schronienie dla tych, którzy wybiorą ucieczkę. Przy okazji wyjaśnię ci różnicę między Serenami a starożytnymi Serenami. Każdy obywatel Serendair, niezależnie od pochodzenia, był Serenem, ale tutaj wszystkich zaczęto nazywać Cymrianami. Natomiast starożytni Serenowie, wysokie istoty o złotej skórze, żyli na wyspie, zanim skolonizowali ją ludzie. Ci pierwotni mieszkańcy wymarli na długo przed epoką, o której teraz mówię.

Rapsodia skinęła głową w odrętwieniu.

– Merithyn dotarł do tego lądu, który w owym czasie był niedostępnym królestwem smoczycy o imieniu Elynsynos. To za długa historia na dzisiejszy wieczór, ale jeśli u nas trochę zostaniesz, chętnie ci ją opowiem. W każdym razie Elynsynos polubiła Merithyna i przejęła się losem jego narodu. Zaprosiła Serenów na swoje terytorium, które obecnie na mapach pomalowane jest na zielono. Odkrywca wrócił ze szczęśliwą nowiną i wkrótce z wyspy wyruszyło w trzech falach osiemset siedemdziesiąt sześć statków. Niestety, do celu przypłynęło dużo mniej. Po uciążliwej podróży każda z flotylli wylądowała w innym miejscu. W końcu jednak spotkały się i połączyły, tworząc największy naród, jaki kiedykolwiek

zamieszkiwał te ziemie, i dając początek najbardziej oświeconej epoce w ich historii. Lecz ta cywilizacja przeminęła dawno temu.

Rapsodia z trudem panowała nad sobą.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nazywano ich Cymrianami. Czy nie powiedziałaś, panie, że przybyli z Serendair?

Gospodarz wstał z krzesła i podszedł do szafki, gdzie pod szkłem leżał kawałek skały. Rapsodia ruszyła za starcem.

– Potrafisz je odczytać, moja droga? – zapytał Llauron, wskazując runy wyryte na kamieniu.

Dziewczyna skinęła głową. To był język jej ojca, powszechnie używany w codziennym życiu, w handlu i żegludze, a przez inwokera nazywany starocymriańskim.

Cyme we inne frid, from the grip of deap to lif inne dis smylte land.

Z objęć śmierci przybывamy w pokoju do tej pięknej krainy.

Kapłan uśmiechnął się z aprobatą.

– Bardzo dobrze. Gwylliam kazał Merithynowi w taki właśnie sposób pozdrawiać wszystkich napotkanych mieszkańców nowych ziem. Przełożył powitanie na uniwersalny język, żeby zwiększyć szansę jego zrozumienia w świecie. Tak właśnie brzmiały pierwsze słowa Merithyna skierowane do Elynsonos. Za pozwoleniem smoczycy wyrył je później na jej kryjówce jako znak dla swoich ziomków. Kiedy zjawili się Serenowie i, jak wiesz, wysiedli na brzeg w różnych miejscach, zostawiali drogowskazy, żeby łatwiej się odnaleźć. Te historyczne ścieżki to obecnie Cymriańskie Szlaki. Tubylcy, na przykład Lirinowie z Wielkiego Lasu Tyriańskiego, widzieli napisy albo słyszeli to samo zdanie z ust przybyszów. Wkrótce nazwali ich Cymrianami, bo mniej więcej tak brzmiał w ich uszach początek pozdrowienia. Z czasem określenie to zaczęło oznaczać ludzi z Zaginionej Wyspy i ich potomków, bez względu na pochodzenie, bo na statkach znaleźli się przedstawiciele wszystkich ras i warstw społecznych.

– Rozumiem – powiedziała Rapsodia spokojnie, choć świat wokół niej wirował. – Jak dawno temu to było?

– Flotylla wyruszyła prawie czternaście wieków temu.

Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Co?!

Llauron się uśmiechnął.

– Tak, może trudno ci uwierzyć, ale czternaście wieków temu istniała tutaj cywilizacja, która wniosła największy wkład w naszą kulturę. Po niej zostały wspaniałe wynalazki. Tamci ludzie byli pod pewnymi względami bardziej zaawansowani w rozwoju niż my teraz. Wojna, która położyła kres epoce cymriańskiej, cofnęła nas o wiele wieków. Dobrze się czujesz, moja droga? Zbladłaś.

– Jestem... bardzo zmęczona – wyszeptała Rapsodia.

– Nic dziwnego. Ależ jestem bezmyślny! – Llauron szybkim krokiem podszedł do drzwi i zawołał: – Gwen! Czy pokój naszego gościa jest gotowy?

Chwilę później do gabinetu weszła służąca.

– Tak, wasza wielbność. Łóżko już pościelone.

– To dobrze. Może pójdziesz na górę, moja droga? Wyśpij się porządnie i nie wstawaj za wcześnie. Na pewno sen ci się przyda po długiej podróży.

Dziewczyna skinęła głową jak w transie.

– Dobranoc i dziękuję.

– Nie ma za co. Śpij dobrze. – W oczach starca błyszcząły wesołe ogniki.

Idąc po schodach za Gwen, Rapsodia mocno trzymała się poręczy.

Sypialnia znajdowała się na końcu długiego, krętego korytarza. Służąca nie tylko przygotowała pościel, ale włożyła pod koc parę nagrzaných kamieni.

Pokój był czysty i skromnie urządzone; znajdowało się w nim łóżko, szafa, krzesło, lustro, wieszak na ubrania i stojak na broń. Małe okno wychodziło na inną stronę domu niż gabinet, ale i tak panowała za nim ciemność. Na wełnianych kocach wyszyto symbole chroniące przed nocnymi koszmarami. Ciekawe, czy są skuteczne, pomyślała Rapsodia i z rezygnacją machnęła ręką. Trzeba by cudu, żeby wybawić ją od strasznych snów.

Gdy została sama, usiadła na łóżku. Czowała się odrętwiała. Nie mogła zebrać myśli. „Opuścili wyspę Serendair przed zagładą”.

Llauron powiedział, że Gwylliam przewidział zagładę, ale może to do niej nie doszło. Prorocy często miewają wizje, które się nie sprawdzają. Na przykład wróżbiarka z Targu Złodziei w Easton. Zaraz jednak wspomniała koszmara, które dręczyły ją w czasie wędrówki korzeniem: gwiazda wpadająca do morza, ściany wody pochłaniające ląd. Zrozumiała, że kataklizm musiał wydarzyć się naprawdę. Serendair zginęła.

Nawet jeśli jej najbliżsi przeżyli katastrofę, a później podróż morską, mogła ich nigdy nie zobaczyć. Serce jej się ścisnęło z żalu na myśl o rodzicach i braciach. Ojciec na pewno nie żył od wieków, od ponad tysiąca lat, jeśli wierzyć Llauronowi. Matka była Lirinką, a niektórzy przedstawiciele jej rasy dożywali pięciuset lat, lecz minęło prawie trzy razy tyle czasu. Ona również odeszła. I bracia także.

Owładnięta rozpaczą, wpełzła do łóżka i zwinęła się w kłębek. Zaczęła wspominać swoje dawne życie. Przeklinała Achmeda, że przez niego straciła wszystko, co dla niej drogie, ale w rzeczywistości mogła obwiniać tylko siebie.

Jako młoda dziewczyna, uparta i bezmyślna, uciekła z domu. Za tę głupotę już zapłaciła wysoką cenę, lecz najgorsza była świadomość, że sprawiła ból rodzinie. Jakże musieli cierpieć, nie wiedząc, co się z nią stało. Nieznośne wyrzuty sumienia łagodziła jedynie wiara, że kiedyś do nich wróci. Teraz rozwiały się resztki nadziei.

Przed oczami stanęły jej roześmiane twarze braci. Niemal czuła silne objęcia ojca, łagodny dotyk matczynej dłoni. Straciła wszystko. Nigdy więcej ich nie zobaczy, do snu już nigdy nie ukołysze jej śpiew matki. Nigdy nie będzie naprawdę bezpieczna.

W końcu, wyczerpana i nieszczęśliwa, zapadła w niespokojny sen.

Obrazy były jeszcze bardziej przerażające niż zwykle: ogromna fala wdzierała się w głąb wyspy i zmiatała wszystko po drodze, wysocy złotoskórzy ludzie ginęli, składani w ofierze wybuchającej gwiazdy, Sagia zanurzała się powoli w morzu, z Lirinami w ramionach.

W ostatnim śnie Rapsodia stała w wiosce trawionej przez ogień. Żołnierze biegali od chaty do chaty, zabijali każdego, kto nawinął im się pod rękę. W oddali, na horyzoncie, dostrzegła czerwone oczy o szyderyczym spojrzeniu. Potem zakrwawiony wojownik ruszył biegiem w jej stronę, ale w ostatniej chwili uniosła ją w powietrze łapa wielkiego miedzianego smoka.

Obudziła się z lękiem. Chciała przytulić się do Grunthora, ; który zawsze w takich momentach potrafił dodać jej otuchy, lecz nie zobaczyła uśmiechniętej zielonej twarzy. Kiedy spała, w pokoju się wyziębiło, ale ją rozgrzewał ogień udręki i bólu.

Za oknem szarzało. Świat wyglądał jakoś inaczej, choć przecież zmiany dokonały się przed wiekami. Podczas gdy pełzała we wnętrzu ziemi, na powierzchni nastąpiła nowa era. Ona jednak nie odczuła upływu czasu. W lustrze widziała twarz wcale nie starszą od tej, na którą patrzyła przed wyruszeniem w podróż.

Podeszła do okna i wyjrzała na blednące niebo. Zbliżał się świt, pora modłów. Z niecierpliwością czekała, aż zacznie, śpiewać poranną pieśń. Może wspomnienie matki stojącej razem z nią pod innym niebem, na drugim końcu świata, przyniesie pociechę. Przerzała ją świadomość, że nie ma z kim podzielić się wiedzą o zagładzie wyspy. Nawet gdyby znalazła Bolgów i przekazała im straszną, wieść, żaden nie przejąłby się tak jak ona. Achmed wręcz by się ucieszył, a tego by nie zniosła. Zaścieliła łóżko i sięgnęła po płaszcz z kapturem, który dał jej Khaddy.

Zeszła cicho po schodach, żeby nie obudzić domowników. Otworzyła ciężkie drzwi i skinęła głową strażnikom. Nie odezwali się słowem, więc ruszyła przez ośnieżony ogród w stronę Wielkiego Drzewa.

Kiedy dotarła do skraju polany, świtało. Idąc między wyniosłymi klonami i wiązami tworzącymi ochronny krąg, po raz pierwszy wyraźnie zobaczyła Wielki Biały Dąb o korze lśniącej od porannej mgły. W blasku wstającego słońca jego melodia rozbrzmiała głośniejsz, jakby on również witał świt.

Rapsodia zamknęła oczy, chłonąc głębokie tony. Wobec tej niezwyklej potęgi raptem poczuła się mała i nieważna.

Muzyka Wielkiego Białego Drzewa była bardzo podobna do pieśni Sagii, która zawsze silnie przemawiała do jej duszy. Teraz pomoże jej przeboleć stratę, choć serce pewnie nigdy nie znajdzie ukojenia.

Cicho odśpiewała aubadę, a na koniec zagwizdała umówiony sygnał, że nic jej nie grozi. Wyszedłszy z kręgu drzew-strażników, pospieszyła do domu.

Tym razem wybrała ścieżkę między wielkim ostrokrzewem a smukłym drzewem o srebrzystym pniu, które znała ze starego kraju. Wkrótce jej oczom ukazała się inna część twierdzy Llaurona i duży sad.

Z oddali dobiegły ją głosy filidów witających dzień, ale nikogo nie zobaczyła, więc obeszła dom. Od miejsca, w którym stała, aż do lasu odległego o jakąś milę ciągnęły się ogrody. Pośrodku lśnił staw, wokół którego urządzono rabaty kwiatowe. Pod rozłożystymi drzewami, które w lecie dawały cień, stały marmurowe ławki. Grządki były teraz przysypane śniegiem.

Pod młodym wysokim jesionem znajdował się osłonięty ogródek. Llauron klęczał na ziemi i okopywał rośliny, śpiewając aksamitnym barytonem, od którego dziewczynę ciarki przeszły po plecach. Nie piękno głosu przyprawiło ją o dreszcze, ale wibracje.

Inwoker korzystał z muzycznej wiedzy Pieśniarzy, choć drobne fałsze i niewłaściwe frazowanie wskazywały, że nie jest jednym z nich. Melodia była prosta, lecz język nieznan. Rapsodia już chciała zaproponować kilka zmian, dzięki którym rozgrzewająca pieśń skuteczniej pomogłaby ziołom przetrwać zimowe chłody, ale nagle w pamięci zadźwięczały jej słowa ostrzeżenia wypowiedziane przez Achmeda: „Jeśli się na kogoś natkniemy, trzymajmy język za zębami. Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich”.

Kiedy podeszła bliżej, starzec umilkł i odwrócił się do niej. Pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dzień dobry, moja droga. Mam nadzieję, że dobrze spałaś?

Zadrżała w duchu na wspomnienie nocnych koszmarów.

– Dziękuję za ładny pokój.

– Drobiazg. Chyba u nas trochę zostaniesz?

Gdy zaczął podnosić się z klęczek, Rapsodia powstrzymała go i usiadła na ławce pod drzewem. Aż się wzdrygnęła, dotknąwszy zimnego kamienia.

– Co to była za pieśń?

– Ach, ta. Pieśń uzdrawiająca, część tajemnej wiedzy przekazanej nam przez filidów z Serendair. Śpiewam ją, żeby moje lecznicze zioła przetrwały w zdrowiu najgorszą pogodę. Delikatniejsze roślinki oczywiście trzymam pod szkłem, ale dla wszystkich nie starczyło miejsca. Poza tym Mahb też lubi muzykę. – Poklepał pień jesionu.

– Mahb?

Po sereńsku to słowo oznaczało „syn”.

– Tak. Strzeże ogrodu, odpędza niedobrych ludzi, zwierzęta albo złe duchy, które mogłyby wyrządzić mu krzywdę. Prawda, staruszkę? – Llauron nachylił się ku niej. – W zaufaniu powiem ci, że on chyba nie lubi Khaddyra. – W oczach błyszczały mu wesołe iskierki. – Może namówię cię, żebyś dołączyła swój śliczny głos do mojego? Twój śpiew przyniesie ziołom prawdziwy pożytek.

Rapsodia spojrzała na niego zaskoczona.

– Słucham?

– No, moja droga, nie bądź taka skromna. Wiem, że jesteś bardzo dobrą Pieśniarką. Albo nawet Bajarką, co?

Dziewczyna zadrżała.

– Kiedy mówisz, dzień od razu robi się pogodniejszy – ciągnął Llauron. – Twój głos jest naprawdę piękny, moja droga. Wyobrażam sobie, jak brzmi, gdy śpiewasz. Mam nadzieję, że nie skążesz mnie na domyśle. No, dalej, zaszczyc moje roślinki pieśnią.

Rapsodia nie wiedziała, co robić. Llauron ją przejrzał. Zaprzeczanie byłoby kłamstwem, odmowa niegrzecznością. Westchnęła cicho.

– Skoro tego pragniesz, wielebny – powiedziała w końcu. – Ale nie znam twojej pieśni. Może zaczniesz, a ja się dołączę.

– Dobrze.

Starzec zaczął śpiewać i wrócił do pracy. Po kilku taktach Pieśniarka podjęła melodię i od razu poprawiła kilka błędów. Inwoker i natychmiast uwzględnił zmiany i po chwili ich duet brzmiał poprawnie. Gdy Rapsodia spojrzała na ogródek, odniosła wrażenie, że rośliny wyglądają zdrowiej.

Llauron z aprobatą pokiwał głową.

– Wspaniale! Miałem rację, moja droga? Jesteś Bajarką?

Pobiegła wzrokiem w dal, żeby uniknąć jego przenikliwego wzroku. Wiedziała, że musi zachować ostrożność.

– Istotnie, panie.

– Tak myślałem. Dziękuję. Ogród powinien wytrzymać do odwilży. Chodźmy do domu. Jesteś przemarznięta, a ja już i tak skończyłem.

Wstał żwawo jak młodzieniaszek, wziął ją pod łokieć i poprowadził do bocznego wejścia.

Kuchnia z wielkim kominkiem i ceglanyimi piecami była tak duża, że z powodzeniem wystarczyłaby dla całej wspólnoty. Nad ogniem wisiał parujący kociołek. Llauron ogrzał sobie ręce nad parą, po czym zdjął go z miedzianego haka, trzymając ucha przez grubą ścierkę.

– Przyszło mi do głowy, że możesz mieć ochotę na herbatę – powiedział, napełniając przygotowany wcześniej porcelanowy imbryk. – Nadal odczuwasz zmęczenie po podróży?

– Trochę.

Inwoker się uśmiechnął.

– W takim razie dolejemy do herbaty coś, co doda ci sił. Próbowalaś już kiedyś nalewki z ilany?

Rapsodia potrząsnęła głową.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

Starzec podszedł do dużego kredensu i wyjął z niego kilkanaście jutowych woreczków.

– Nie jestem zaskoczony. To miejscowe zioło. A z wiosennego szafranu?

Nagle przyszło jej do głowy, że Llauron próbuje wybadać, z jakich stron pochodzi, sprawdzając jej znajomość ziół.

– Na pewno wszystkie świetnie działają.

– W takim razie domieszkujemy trochę suszonych kwiatów pomarańczy, słodkiej paproci i liści truskawki.

– Liście truskawki zimną?

– Owszem. Rosną w szklanym ogrodzie. Chcesz go zobaczyć?

– Tak... Mmm, pachnie cudownie.

Wzięła kubek, który postawił przed nią Llauron, i ruszyła za nim.

Trzy ściany pomieszczenia przylegającego do kuchni były ze szkła, pośrodku znajdowało się dziwne palenisko z rozżarzonymi do czerwoności kamieniami, nad którymi wisiały dwa miedziane parujące kotły.

Między nimi stał duży żeliwny piec napełniony granitowym kruszywem, również bardzo mocno rozgrzanym. Z metalowego stożka podczepionego do sufitu powoli ściekała na kamienie woda i z sykiem zamieniała się w parę. W rezultacie pokój był gęsty od ciepłej wilgoci, która doskonale służyła roślinom.

Rapsodia spojrzała na maszynę, która rozpraszała w powietrzu kropelki wody.

– Zmyślne urządzenie.

– Podoba ci się, co? Sprytne. Szkoda, że nie mogę sobie przypisać zasługi. Wymyślił je ojciec specjalnie dla mojej matki. Uwielbiała orchidee i inne ciepłolubne kwiaty.

– Macie tutaj ciekawe rośliny.

– Jak już wcześniej wspomniałem, jesteś tu mile widziana. Mogłabyś zdobyć trochę wiedzy filidów. Wiele aspektów kultu natury na pewno by ci się spodobało. Ja też wziąłbym u ciebie parę lekcji. Byłaby to miła przerwa w pracy.

– Nie chcę odrywać waszej wielbności od obowiązków.

– Bzdury, moja droga – rzekł inwoker z uśmiechem. – Warto być przywódcą społeczności choćby dlatego, że można zrobić przerwę w pracy, kiedy się chce. I mów mi Llauron, bo inaczej czuję się stary. Więc jak? Zostaniesz? A może ktoś na ciebie czeka?

Rapsodia spojrzała w wesołe niebieskie oczy, które przyglądały się jej uważnie. Zaniepokoiła się, że jeszcze chwila, a kapłan przejrzy ją na wylot. Nawet nauczyciele z akademii muzycznej nie potrafiliby odgadnąć po głosie, że ktoś jest Bajazetem. Poczuli się

jeszcze bardziej bezbronna niż rano pod Wielkim Drzewem. Zaraz jednak skarciła się w myślach za niewdzięczność. Nie powinna odrzucać okazji, żeby nauczyć się czegoś więcej.

– Nie. Nigdzie nie muszę iść, przynajmniej na razie.

Szybko zjedli śniadanie, które zostawiła dla nich Vera, i wyszli z domu. Ruszyli przez ogrody i rozległe pole za twierdzą ku stajni.

Wcześniej zjawiała się Gwen z nową parą skórzanych wysokich butów i miękkimi wełnianymi spodniami dla Rapsodii. Były trochę na nią za duże, ale ciepłe i suche.

Mimo swojej pozycji przywódcy społeczności inwoker miał do pomocy tylko dwie osoby, nie licząc strażników. Pomniejsi notable na Serendair zatrudniali dużo liczniejszą służbę. Llauron sam o siebie dbał, rzecz wyjątkowa u głowy bractwa religijnego i dobrze o nim świadcząca.

W stajni było czystiej niż w wielu domach. Kamienne posadzki posypano słomą i wyłożono starymi chodnikami. Nic dziwnego, zwierzęta inwokera należały do najwspanialszych, jakie Rapsodia widziała w życiu, zarówno smukłe i umięśnione rumaki bojowe, jak i wierzchowce czy konie pociągowe. Kiedy szła wzdłuż boksów i cmokała, naśladując ojca, tak samo reagowały na cichy dźwięk.

– Który ci się podoba, moja droga? – spytał Llauron z uśmiechem zachęty.

– Wszystkie.

– Tak, ale możesz dosiąść tylko jednego. Jeśli chcesz poznać Lark, musimy kawałek podjechać. Ogród ziołowy znajduje się po drugiej stronie leśnej polany, kilka mil stąd. A co powiesz na tego gniadosza? Jest łagodny.

Gdy skinęła głową, dał znak stajennemu.

– Osiodłaj go, proszę, Norma, i Elizeusza również. Zaraz wyjeżdżamy.

Wziął Rapsodię pod łokieć i wyprowadził ją na przenikliwy wiatr. Gdy czekali na konie, Llauron naciągnął jej na głowę kaptur płaszcza, jakby była dzieckiem.

– Okryj się, bardzo dziś zimno.

Sam też opatulił się szczelniej. Po chwili ze stajni wyszedł Norma, prowadząc gniadosza i deresza o lśniącej, starannie zaplecionej grzywie.

– O, jest mój mały. Dzień dobry, Elizeuszu. – Koń parsknął w odpowiedzi, buchając parą z nozdrzy. – No, ruszajmy.

Wsiedli na wierzchowce i ruszyli przez pola ku lasowi.

– Tutaj uprawiamy zioła – powiedział Llaurion, kiedy dotarli do rozległej łąki pośród lasu. – Jako kapłani natury stosujemy je do różnych celów, nie tylko leczniczych. Na przykład dodajemy do potraw. Nienawidzę mdłego jedzenia.

Rapsodia zachichotała. Przejazdźka sprawiała jej przyjemność.

Jechali stępa po dobrze utrzymanych leśnych ścieżkach, widocznych nawet pod śniegiem. Drogę pokonali szybko. Starzec doskonale znał teren.

Zatrzymał się na skraju polany, przed dużym ceglany domem krytym strzechą. Zsiadł z konia i wyciągnął rękę do Rapsodii, lecz ona potrząsnęła głową i zeskoczyła na ziemię bez jego pomocy.

– Tutaj mieszka Lark, zielarka odpowiedzialna za utrzymanie ogrodów i zapasu ziół – wyjaśnił Llauron.

Zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili z drugiej strony poletka otoczonego płotem dobiegł głos:

– Wasza wielbność! Tutaj jesteśmy.

Rapsodia odwróciła głowę. Zobaczyła wysoką kobietę w grubych spodniach i koszuli podobnej do tuniki. Inwoker uniósł rękę w geście powitania.

– To Ilyana. Odpowiada za siewy i szkolenie akolitów w sztuce uprawy ziemi. Pójdziemy?

– Oczywiście.

Ruszyli ostrożnie między uszpionymi rabatami do brukowanej ścieżki, przysypanej śniegiem. Gdy zbliżyli się do ogrodzonego terenu, na ich spotkanie wyszły dwie kobiety.

Towarzyszka Ilyany, w średnim wieku, smukła, o długich ciemnych warkoczach przewiązanych chustką i twarzy noszącej ślady długiego przebywania na powietrzu, była Lirinką.

W przeciwieństwie do matki Rapsodii, Pieśniarki z Liringlasów, ludu o Inianych albo srebrnych włosach i różowej karnacji, Lark pochodziła z zamieszkujących kiedyś bór Sagii Lirindarków, którzy mieli taką samą szczupłą budowę i ostre rysy jak wszyscy przedstawiciele lirińskiej rasy, ale ciemne włosy, ciemną skórę i czarne albo brązowe oczy, lepiej przystosowane do rozproszonego leśnego światła.

Podobnie jak na widok Gwen Rapsodia poczuła ściskanie w gardle. Nie została sama z całej rasy. Poprzedniego wieczoru Llauron wspomniał o Lirinach żyjących w krainie, którą Cymrianie nazwali Realmalir, obecnie znanej jako Tyrian.

Inwoker położył dłoń na ramieniu kobiety.

– Lark, to jest Rapsodia. Przebywa u mnie w gościnie i jest po trosze zielarką.

Dziewczyna poczerwieniała na te słowa.

– Och, nie. Znam parę roślin, to wszystko.

Kobieta skinęła głową. Twarz miała bez wyrazu.

– Chciałbym, żeby Rapsodia popracowała z wami, zwłaszcza z tobą, Lark – dodał Llauron. – Interesuje się ogrodnictwem, więc ja też udzielę jej paru lekcji.

– Jest akolitką? – zapytała Lark obojętnym tonem.

– Nie, tylko gościem. Wierzę, że potraktujecie ją z należyтым szacunkiem. Proszę, znajdź dla niej ubranie robocze, a ty nie bój się ubrudzić rąk, moja droga.

– Widziałeś, panie, w jakim stanie wczoraj się zjawiłam.

Starzec się roześmiał.

– Punkt dla ciebie. Cóż, skoro wszystko jasne, oddaję cię w dobre ręce, Rapsodio. Wróć o zachodzie słońca.

– Nie zostanie u nas? – spytała zielarka.

– Nie. Już mówiłem, że jest moim gościem. – Głos Llaurona był łagodny, ale w oczach pojawił się groźny błysk. – Chyba wiesz, że nie marnowałbym twojego czasu na kogoś, kto nigdy nie mógłby stać się orędownikiem naszej sprawy, matko.

Lark z kamienną miną kiwnęła głową.

– Sprawy? – powtórzyła Rapsodia z lekkim niepokojem.

Filidzi wymienili spojrzenia, po czym inwoker uśmiechnął się łagodnie.

– Chodzi o ochronę puszczy i całej ziemi, troskę o Wielkie Białe Drzewo. Chyba się nie pomyliłem w ocenie, moja droga? Szanujesz naturę, prawda?

– Oczywiście.

– Byłem tego pewien. Do widzenia, matko. Do widzenia, Ilyano. Baw się dobrze, moja droga.

Wrócił pod dom, wsiadł na konia i odjechał, machając im na pożegnanie. Trzy kobiety patrzyły za nim, póki nie zniknął w lesie. Ilyana otoczyła Rapsodię ramieniem.

– Przyjechałaś wczoraj?

– Tak.

Zielarki spojrzały na siebie.

– Więc z twojego powodu całe to zamieszanie – stwierdziła Ilyana.

Lark ruszyła w stronę ogrodzonego pola.

– Zamieszanie? – zdziwiła się Rapsodia.

Nagle przeszedł ją dreszcz.

– Tak, pod świętym lasem zjawiły się dziesiątki wieśniaków ze wschodu. Llauron musiał wyjść do nich w środku nocy. Odesłał wszystkich do domów. Nie miałam pojęcia, co o tym sądzić. Podobno domagali się oddania osoby, którą rzekomo im zabrano.

Lodowate pazury ścisnęły serce Rapsodii. Dlaczego wieśniacy ją ścigali? Nie zdążyła nic zrobić ani nawet odezwać się słowem, bo Khaddy od razu ją stamtąd zabrał. Na pewno nie winili jej za żadną zbrodnię.

Raptem przypomniała sobie swój opłakany wygląd. Może uznali ją za złego ducha, odpowiedzialnego za czyjąś śmierć, chorobę albo inne nieszczęście. Mocniej otuliła się płaszczem.

Ilyana dostrzegła, że dziewczyna się niepokoi, i przyciągnęła ją do siebie.

– Nie martw się, kochanie. Już sobie poszli. I nie wrócą. Llauron postanowił cię chronić, więc bądź spokojna o swoje bezpieczeństwo. Chodź, pomożesz nam grabić kompost.

Przez ponad tydzień codziennie przychodziła do Lark na naukę. Zielarka rzadko się odzywała, chyba że rozmawiały o roślinach. Minęło trochę czasu, nim Rapsodia się zorientowała, że Lirinka jest nieśmiała. Pokazując jej zioła albo omawiając sposoby ich pielęgnacji, wyraźnie się ożywiła. Była kopalnią wiedzy w swojej dziedzinie. Rapsodia robiła notatki na pergaminie, który dostarczyła jej Ilyana.

Kiedy słońce stało wysoko na niebie albo kiedy pogoda nie dopisywała, spędzały czas w domku Lark. Suszyły zioła, robiły mieszanki lecznicze albo pachnące woreczki. W domku rozniósł się niebiański zapach i Rapsodia nie miała nic przeciwko długim godzinom nużącej pracy. Cieszyła się, że pogłębia wiedzę. Choć Lark nie rozumiała języka, od czasu do czasu śpiewała jej lirińskie pieśni, które znała od matki.

Po dziesięciu dniach Ilyana zabrała ją na długą przejażdżkę po rozległych polach, na których nawet zimą pracowali filidzi, przygotowując je do wiosennych siewów. Wierni, którym służyli kapłani kultu natury, byli w większości rolnikami. Gdy Rapsodia usłyszała, że wspólnota obejmuje pół miliona ludzi w zachodniej części kontynentu, zakręciło się jej w głowie.

Bardzo interesujące okazały się rytuały siewów i zbiorów, błogosławienie ziemi uprawnej i owoców pracy rolników. Ceremonie odprawiano w języku, którym mówiła jako dziecko. Filidzi nazywali go starocymriańskim, co budziło w niej gorzki smutek. Achmed, Grunthor i ona byli starożytnymi Cymrianami?

Od razu nasunęła się jej kolejna ponura myśl. Nie starożytnymi Cymrianami, lecz ich przodkami, zważywszy na to, jak dawno temu skończyła się epoka cymriańska. Wyglądało na to, że czas zapomniał o nich trojgu. Czy jeszcze kiedyś się o nich upomni?

Pod koniec miesiąca przekazano ją Khaddyrowi. Kapłan był mistrzem sztuki uzdrawiania, co podkreślał na każdym kroku. Choć sprawiał wrażenie trochę pompatycznego, Rapsodia stwierdziła, że jest dobrym nauczycielem i potrafi dzielić się wiedzą.

Po dwóch tygodniach leczenia pacjentów w podlegających mu hospicjach przeszła do brata Aldo, również uzdrowiciela, ale zwierząt. Lubiła się od niego uczyć. Był łagodny i mówił w taki sposób, że uspokajał nawet dzikie stworzenia.

Na koniec posłano ją do Gavina, mrukliwego przełożonego leśników i zwiadowców, których widziała w drodze do Wielkiego Białego Dębu. Czasami służyli jako przewodnicy wiernych po Cymriańskich Szlakach, upamiętniających wędrówkę pierwszej i trzeciej flotylli. Teraz niewielu ludzi interesowało się historycznymi traktami. Przybywali raczej oddać cześć Wielkiemu Drzewu.

Rapsodia zauważyła jednak, że większość zwiadowców i leśników nie eskortuje pielgrzymów, lecz przemierza święty las i od czasu do czasu stacza bitwy. Oni właśnie byli najliczniejszymi pacjentami w hospicjach. Przychodzili wynędzniali, obdarci, ranni. Khaddyr i akolici przyjmowali ich bez zdziwienia i troskliwie leczyli.

Późnymi popołudniami wracała do domu inwokera. Llauron kończył wtedy wypełnianie swoich obowiązków przywódcy bractwa.

Każda wioska miała przydzielonego filida, który dbał o plony i zwierzęta, pomagał zachować równowagę między naturą a uprawą ziemi. Do zadań inwokera należało nie tylko zapewnianie przewodników do miejsc kultu, lecz także utrzymanie schronisk na trasie. Starzec lubił swoją pracę, ale kiedyś wyznał, że bardzo tęskni za czasami młodości, kiedy pływał po burzliwych morzach i wędrował po borach całego świata, wolny od obowiązków administracyjnych.

Wspominał tamte dni, zabierając dziewczynę na długie przechadzki, w czasie których robił jej wykłady o równowadze w przyrodzie. Znał w swojej puszczy każde zwierzę, każdą roślinę i drzewo. Z radością dzielił się z nią wiedzą.

Rapsodia odnosiła wrażenie, że słucha pieśni, kiedy tak spacerowała z inwokерem, zafascynowana jego opowieściami o drzewach: silnych i świętych dębach, o uduchowionych jesionach, których gałęzie służą za różdżki albo do odprawiania magicznych rytuałów. Mówił, że wierzby są zaborcze, klony mają skłonności przywódcze, a drzewa iglaste lubią przygody. Opowiadał o pełnej życia jemiole i ostrokrzewie, o paproci, miecie i wielu innych leśnych roślinach. Czasami śpiewał jej piosenki żeglarskie.

Maszerował z wigorem, młodzieńczym krokiem. Rapsodia знаła ludzi mających połowę jego lat, którzy chodzili dużo wolniej. Nosił białą laskę zwieńczoną złotym liściem dębu, ale używał jej raczej do wyznaczania tempa niż podpierania się.

Wyjaśnił, że zrobiono ją z gałęzi Wielkiego Białego Drzewa, która przed wiekami spadła podczas burzy. Jej pierwszym właścicielem był Ulbren Młodszy, przywódca filidów, który przywiózł z Serendair kult natury, pielęgnowany teraz przez bractwo. Laskę uznano później za symbol władzy inwoкерów, lecz Llauron traktował ją jak zwykły kij, pokazywał nim ptaki i uderzał w pnie starych drzew, żeby sprawdzić, czy są zdrowe.

Cowieczorne spacerу kończyły się pod Wielkim Drzewem w porze, kiedy Rapsodia musiała odśpiewać vespery. Doszła do wniosku, że Llauron już przed jej przybyciem znał liriński zwyczaj witania wschodów i zachodów słońca, nie próbowała więc ukrywać się przed nim mimo ostrzeżeń Achmeda. Podczas gdy odprawiała modły, inwoкер stał pod Wielkim Białym Dębem i uśmiechał się do siebie, ale nigdy nie dzielił się z nią myślami, które mu wtedy przychodziły do głowy.

Kolację jedli razem i często rozmawiali do późna w nocy o lesie i różnych stworzeniach, o epoce cymriańskiej i jej wspaniałościach, o Radzie Cymriańskiej, dorocznym spotkaniu wszystkich ocalałych z zagłady Serendair, zwanym Wielkim Zgromadzeniem. Celem rady było utrzymanie kontaktów między rasami, które uciekły z wyspy, i zachowanie pokoju. O szczytnym celu zapomniano na polach bitew wojny cymriańskiej.

Llauron uważał, że podzielone obecnie kraje, które niegdyś tworzyły imperium cymriańskie: Sorbold, Rolandia i ziemie Firbolgów, unikną następnej wojny tylko wtedy, gdy się połączą w jedno państwo.

– A co z Lirinami? – zapytała Rapsodia, odstawiając kubek herbaty ze słodkiej paproci.

– Lirinowie byli tutaj pierwsi i sprzeciwili się wcieleniu do królestwa cymriańskiego. Zostali jednak sojusznikami i przyjaciółmi pierwszego pokolenia uciekinierów. Szkoda, że w końcu dali się wciągnąć w wojnę, która zniszczyła znaczną część Tyrianu i na domiar złego podzieliła ich społeczność. Wielka szkoda.

Rapsodia pokiwała głową.

– Wkrótce muszę ruszać w drogę – stwierdziła po chwili milczenia, patrząc w ogień.

Inwoker natychmiast skierował na nią wzrok, ale nie dostrzegła gniewnego błysku, który czasami pojawiał się w jego oczach.

– Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale przyznam, że się go obawiałem, moja droga. Pokochaliśmy cię wszyscy, Gwen, Vera i ja. Jestem pewien, że twoi nauczyciele też będą zasmuceni.

– Mnie także żal wyjeżdżać. – Mówiła szczerze. – Wiele się od was nauczyłam. – Raptem przysła jej do głowy pewna myśl. – Mogę o coś spytać?

– Oczywiście.

– Wasza religia nie wymaga od kapłanów celibatu, prawda?

– Nie. Ten nienaturalny stan zostawiamy patriarsze Sepulvarty i jego benisonom, czyli odpowiednikom naszych najwyższych kapłanów. Jeśli pełnią określoną funkcję, mają tytuł Błogosławiącego, na przykład Błogosławiący Avonderre.

– Ciekawe zatem, dlaczego nikt z kapłanów Gwynwood nie założył rodziny.

Llauron odchylił się na oparcie krzesła i złączył palce obu dłoni.

– Istotnie – powiedział w zadumie. – Ilyana miała męża, ale zginął dziesięć lat temu w potyczce granicznej. Lark nigdy nie wyszła za mąż, ale, jak wiesz, jest nieśmiała, podobnie jak brat Aldo. On woli towarzystwo zwierząt niż kobiet, choć mógłbym mu przedstawić parę niezłych bestyjek.

Rapsodia się zaśmiała.

– Gavin nigdy nie zagrzewa miejsca dostatecznie długo, żeby się ożenić. Wciąż w drodze. A Khaddyr, cóż, jako mój następcą nie może się ożenić ani mieć dzieci. Filidzi zarzucili dawne barbarzyńskie sposoby wyboru sukcesora, które wymagały walki na śmierć i życie.

– A tak, Khaddyr wspomniał, że już od dawna nie przestrzega się starych rytuałów.

– Tak. Obecnie wspólnota sama wybiera następcę, zwykle kogoś krzepkiego, dzielnego i sporo młodszego od przywódcy. – Nachylił się ku niej. – Szczerze mówiąc, uważam, że jestem ciałem dużo młodszy od Khaddyra. Biedak. Wątpię, czy mnie przeżyje.

Rapsodia parsknęła śmiechem, ale jednocześnie poczuła się trochę winna.

– Chyba tak.

– Gdy zbierze się Krąg, możliwe, że starsi odbiorą mu tytuł i uczynią Gavina moim następcą. On ma większe szansę, że pożyje dłużej niż ja, a poza tym jest bardzo mądry. Nie, Khaddyr nie jest zły. To jeden z najlepszych ludzi, jakich znam, i wyjątkowy uzdrowiciel.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Następcą zobowiązuje się dochować celibatu, bo chodzi o uniknięcie kłopotów związanych z sukcesją – ciągnął inwoker. – Gdyby miał dzieci, bardzo by to skomplikowało sprawy, utrudniło wyznaczenie z kolei jego następcy. Fatalny system. Pozwala inwokerowi się ożenić, ale zwykle kiedy człowiek obejmuje urząd, jest już takim starym próchnem jak ja, bo musiał czekać, aż umrze poprzednik. Głupie, prawda?

Rapsodię z wolna ogarniało zmęczenie.

– Chyba tak. Wybacz, Llauronie, ale chciałabym udać się na spoczynek.

Starzec wstał z krzesła i odprowadził ją do drzwi gabinetu.

– Tak, moja droga, wyśpij się. Czeka cię pracowity dzień. – Dotknął jej ramienia. – I możesz zaprosić swoich dwóch towarzyszy, żeby złożyli nam wizytę. Chętnie ich poznam.

Dziewczyna zadrżała. Nigdy nawet słowem nie wspomniała o Firbolgach. Spojrzała w niebieskie oczy staruszka i dostrzegła w nich wesołe ogniki.

– Słucham?

– Daj spokój, Rapsodio. To moje terytorium. Myślisz, że nie wiem, kiedy kręcą się po nim obcy? Z początku sądziłem, że szykują najazd Firbolgów, ale uznałem, że to mało prawdopodobne. Ich ziemie leżą daleko stąd, a zwykli podróżni wcześniej czy później wpadliby w ręce moich zwiadowców. Ponieważ ci dwaj obserwują to miejsce, doszedłem do wniosku, że czekają na ciebie. Chętnie posłuchałbym opowieści, jak znalazłaś się w ich towarzystwie, ale może wpiery namówisz ich do złożenia wizyty?

– Nie... nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – wykrztusiła. – Oni są... mało towarzyscy.

Llauron pokiwał głową.

– Wcale im się nie dziwię. Firbolgów często traktuje się nie jak ludzi. A co powiesz na kompromis? Spytaj ich, czy zechcą się ze mną spotkać, co? Pójdę do ich obozu, sam. To byłoby dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Nie znam osobiście żadnego przedstawiciela ich rasy.

Pokój zawirował Rapsodii przed oczami.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Zapytam ich.

Na twarz starca wypłynął szeroki uśmiech.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać spotkania. Dobranoc, moja droga.

– Dobranoc.

Ruszyła po schodach całkiem oszołomiona. W sypialni zrzuciła z siebie ubranie i wsunęła się pod koce, myśląc gorączkowo, jak ma rozmawiać z Achmedem, zważywszy na jego niechęć do obcych i kapłanów. Wszystkie argumenty, które przychodziły jej do głowy, były niewłaściwe, więc zamknęła oczy i odpędziła od siebie niespokojne myśli. Tej nocy miała

inne niż zwykle koszmary – nie o zagładzie wyspy. Przyśniła się jej reakcja przyjaciół na wiadomość, że ich sekrety wyszły na jaw.

Blask pełni księżycy zabarwiał na srebrno topniejący śnieg. Zimowy wiatr na wskroś przewiewał Rapsodię jadącą na gniadoszu ciemną leśną drogą.

Gdy dotarła do miejsca, gdzie jakiś czas temu rozstała się z Firbolgami, przywiązała konia do nagiej sykomorzy i zawiesiła mu na szyi torbę z obrokiem. Potem ruszyła przez błoto w stronę polany, na której się umówili.

Nie bała się, że zabłądzi. Po pierwsze, przeszła kurs nauk u Gavina. Leśnik kilka razy oprowadzał ją po tym terenie i zawsze bez trudu odnajdywała znak na korze zrobiony przez Draka. Po drugie, już czekały na nią dwie ciemne postacie, w tym jedna ogromna.

Dopóki nie zobaczyła Firbolgów na leśnej polanie, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo odczuwała ich brak. Najbardziej zdziwiło ją, że stęskniła się nie tylko za Grunthorem, ale również za Achmedem. Podczas wędrówki korzeniem nienawidziła go, obwiniła o wszelkie nieszczęścia. Teraz, gdy ujrzała jego cień pod sklepieniem z gałęzi, uświadomiła sobie, że jest jej bardzo drogi. Może chodziło o upływ czasu i przyzwyczajenie. Albo po prostu Drak był jedną z dwóch osób na całym świecie, które znała z poprzedniego życia.

Rzuciła się w ramiona Grunthora, nie zważając na straszliwy odór, pamiątkę jeszcze z podziemnej wędrówki. W przeciwieństwie do niej Firbolgowie nie znaleźli w ciągu ostatnich dwóch miesięcy okazji, żeby się umyć. Cud, że przez tyle czasu nikt nie wykrył ich obecności. Ona wyczuliła ich z daleka.

– Martwiłem się, księżniczko. Jesteś balsamem dla moich oczu – powiedział olbrzym z lekkim drzeniem w głosie.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. – Uściskała go mocno.

Kiedy postawił ją na ziemi, odwróciła się do Achmeda i wyciągnęła rękę. Dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu. Drak bez słowa odwzajemnił uścisk, ale szybko się odsunął i ruszył w stronę gęstego zagajnika.

Wszyscy troje usiedli na zwałonym pniu, blisko siebie.

– Dobrze cię traktowali? Nikt nie próbował zrobić ci krzywdy? – zapytał Achmed.

– Nie. A wy odkryliście coś ciekawego?

– To i owo. Najważniejsze dla ciebie, że zapuściliśmy się do prowincji Avonderre leżącej na południe stąd i znaleźliśmy główny szlak handlowy, który prowadzi do portu. Stamtąd będziesz mogła spokojnie wyruszyć do domu.

Rapsodii nagle zaschło w ustach, a do oczu napłynęły łzy. Starła się je ukryć, bo Drak kiedyś zabronił jej płakać.

– Już nie – powiedziała łamiącym się głosem.

W oczach Achmeda odmalowało się zdumienie.

– Dlaczego?

– Bo nasz dom nie istnieje od tysiąca czterystu lat.

Gdy wreszcie odzyskała panowanie nad sobą, Firbolgowie zaczęli ją wypytywać, czego się dowiedziała w czasie pobytu u Llaurona, zwłaszcza na temat Serendair.

Rapsodia powtórzyła im wszystko, co usłyszała od inwokera. Opowiedziała, czasami po kilka razy, historie o ostatnim z sereńskich królów Gwylliamie i jego przepowiedni, o przybyciu niedobitków z wyspy do nowej ziemi, o epoce cymriańskiej i założonym przed wiekami królestwie, o jego zniszczeniu podczas wielkiej wojny.

Achmed zadawał wiele pytań, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Czy wyspa rzeczywiście uległa zagładzie? Ile czasu upłynęło od chwili, gdy weszli do korzenia Wielkiego Drzewa? Kiedy wyruszyły statki z uciekinierami? W końcu Rapsodia poczuła się zmęczona.

– Uznałam, że lepiej nie wypytywać za dużo – oświadczyła z lekkim rozdrażnieniem. – Co miałam powiedzieć? Że nigdy nie słyszałam o Gwylliamie? Pewnie nastał po księciu Trimanie, który sprawował władzę, kiedy mieszkałam na Serendair...

Achmed uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

– Przyznaje ci rację. Po prostu byłem ciekawy, jak się wszystko potoczyło po naszej ucieczce, czy doszło do tego, czego się obawiałem.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy Trinian w ogóle założył na głowę koronę i czy Gwylliam pochodził z jego rodu, czy on albo któryś z jego poprzedników odebrał tron prawowitemu sukcesorowi.

– Całkiem prawdopodobne.

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknęła.

Grunthor szybko zamknął jej usta dłonią, przy okazji zakrywając prawie całą twarz.

– Nie rozumiecie? – Rapsodia ściszyła głos, ale nadal brzmiał w nim gniew. – Takie drobiazgi nie mają najmniejszego znaczenia. Wszyscy, których kochaliśmy, nie żyją od ponad tysiąca lat. Myślicie, że mnie obchodzi, z jakiego rodu pochodził ostatni król? Czy wasi prześladowcy żyli rok, dziesięć lat czy sto? Cieszcie się, że wrogowie już wam nie zagrażają, ale nie oczekujcie, że będę z wami świętować.

Achmed i Grunthor wymienili spojrzenia.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, panienko – powiedział w końcu wielkolud.

– Oczywiście, że nie. Nie słyszeliście, co mówiłam? Minęło czternaście wieków.

– Nigdy nic nie wiadomo, Rapsodio – stwierdził Achmed cierpkim tonem. – Dla niektórych demonów czas nie jest żadnym ograniczeniem ani przeszkodą.

– Możesz sam zapytać Llaurona. Chce się z wami zobaczyć.

– Co?!

Rapsodia aż się skuliła pod lodowatym wzrokiem Draka.

– Wie, że tu jesteście. Powiedział mi to wczoraj wieczorem. Nie wydałam was, przysięgam. On jest przywódcą filidów, którzy znają las jak własną kieszeń, a to są jego ziemie. Oświadczył, że chciałby was poznać. Jeśli odrzucicie zaproszenie, sam przyjdzie do waszego obozowiska.

Grunthor wytrzeszczył oczy, Achmed ukrył twarz w dłoniach.

– O bogowie! Cóż, tego należało się spodziewać. Bardzo dziwne miejsce. Widzieliśmy rzeczy, które zupełnie nie miały sensu.

– Jak to?

– W czasie naszej podróży wciąż dochodziło do dziwnych napaści na wioski całkowicie bezbronne i nieprzygotowane. Z początku myśleliśmy, że kraj Lirinów leżący na południu i ta prowincja są w stanie wojny, ale nic więcej na to nie wskazywało. Było tylko łupienie i zabijanie, rzeź bez powodów. Za każdym razem napastnicy przybywają z innych stron i chodzi im tylko o niszczenie i sianie grozy. Kiedyś stopy cennych rzeczy zagrabionych podczas ataku zrzucano na głównym placu i spalono. Kiedy indziej znowu śledziliśmy pewien oddział. Najeźdźcy wrócili do koszar pod miasteczkiem, które zaatakowali. Pomyśleliśmy o zdradzie, ale kilka dni później napadła na nie inna grupa i wtedy ci sami gwardziści bronili miasteczka z narażeniem życia. W tym kraju dzieje się coś niedobrego. Zwykle po takich incydentach otwarty konflikt jest nieunikniony, zwłaszcza kiedy wchodzi w grę rasowa nienawiść. Lirinowie i centralne księstwa Rolandii prędzej czy później uwikłają się w zażartą wojnę. To tylko kwestia czasu.

Rapsodia westchnęła.

– Cudownie. Myślicie, że jest za późno, żeby wrócić i zamieszkać pod ziemią przy korzeniu?

Grunthor zachichotał.

– Przykro mi, panienko, ale gospoda zamknięta.

– Może kapłan udzieli nam odpowiedzi na parę pytań – mruknął Achmed i skrzywił się. – Nienawidzę kleru, ale chyba zatkam nos i porozmawiam z twoim filidem.

Rapsodia się zaśmiała.

– Bez obrazy, drogi bracie, ale nie sądzę, żebyś tylko ty musiał zatykać nos.

Choć Grunthor zachowywał stosowną odległość, Rapsodia czuła, że gniadosz jest niespokojny. Przez jego boki przebiegało nerwowe drżenie. Poklepała zwierzę po szyi.

– Przyjadę rano, gdy tylko przekażę Llauronowi wiadomość, że wracam do was, i zaczekam na niego w obozie.

Mocniej chwyciła wodze.

– Jeszcze chwila – powiedział Achmed i sięgnął do kieszeni płaszcza. – Potrafisz to przeczytać?

Wzięła od niego kawałek brezentu i podsunęła do oczu, próbując coś dojrzeć w świetle księżycy. Rozbłysnął mały ognik. Drak zapalił hubkę.

Rapsodia zmarszczyła czoło.

– Co to takiego?

– Odcisk tabliczki ze świątyni-statku, o której ci opowiadaliśmy.

– Hmm... Nie rozumiem. Część się zamazała, zdaje się, że brakuje istotnych fragmentów. Mowa tu o jakiejś Kirsdirke albo Kirsdarke poświęconej morzu, o ręce Jedynego Boga, chyba Stwórcy, Ojca, sama nie wiem, i o kamiennym ołtarzu w świątyni Jedynego Boga.

– Tabliczka znajdowała się na bloku obsydianu.

– Może to był ten kamienny ołtarz. Dalej mamy wzmiankę o Serendair i znowu o Kirsdarke spłodzonej przez... chyba Monodiere'a.

– MacQuieth? MacQuieth Monodiere?

– Możliwe. Nie potrafię odczytać. Co to za jeden? Bohater z Serendair?

– Tak. W pierwszej chwili przyszło nam nawet do głowy, że trafiliśmy do Monodiere, ale chyba znajdujemy się dużo dalej od Serendair.

– Masz rację. Monodiere leżało na kontynencie i wyspa z nim handlowała. Było dobrze znane kartografom, natomiast tych stron nie przedstawiono szczegółowo na mapach, bo uważano je za niezamieszkane, kiedy...

Głos się jej załamał.

– Przez te dwa miesiące, gdy nie miałaś z kim podzielić się ciężarem, świadomość, że zawędrowaliśmy tak daleko w czasie i przestrzeni, musiała być dla ciebie trudna do zniesienia – stwierdził Achmed niezwykle łagodnym tonem. – Teraz będzie łatwiej.

Rapsodia spróbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– Może tobie. Do zobaczenia.

Cmoknęła na konia i odjechała w ciemność.

Dwie noce później Llauron przybył na leśną polanę. Bolgowie rozpalili duże ognisko i ustawili wokół niego pniaki do siedzenia, bo zapowiadała się trudna rozmowa. Achmed jak zwykle nasunął kaptur nisko na twarz, widać było tylko jego oczy. Grunthor natomiast postawił na wygodę i zdjął szpiczasty hełm. Doszedł do wniosku, że niezależnie od stroju i tak będzie zwracał na siebie uwagę.

Inwoker miał na sobie prostą szarą szatę przewiazaną w pasie zwykłym konopnym sznurkiem. Zsiadł z wierzchowca i z pokorą czekał na zaproszenie. Dopiero wtedy usiadł przy ogniu, otworzył worek i zaczął z niego wyjmować owoce, chleb, ser i dużą butelkę nalewki, gawędząc swobodnym tonem. Rozlał alkohol do srebrnych pucharków i podał je gospodarzom.

– Cieszę się, że was w końcu poznałem. Każdy przyjaciel tej uroczej damy jest mile widziany w naszych lasach. Może gdy już się trochę poznamy, wyświadczyście mi łaskę i

przyjmiecie moje zaproszenie. Dom jest skromny, ale łóżka wygodne, a jedzenie zdrowe. Zadbamy również o nowe odzienie dla was.

Pod niebo buchnął snop iskier, lecz zaraz porwał je wiatr.

– Zobaczmy – powiedział Achmed dyplomatycznie.

– Może coś nam opowiesz, Llauronie, na przykład historię tej krainy – odezwała się Rapsodia. – Mówiłam Achmedowi i Grunthorowi, jakim wspaniałym jesteś gawędziarzem.

Płomienie ogniska tańczyły na dobrotliwej twarzy starca.

– Oczywiście, z przyjemnością.

Inwoker oparł łokcie na kolanach i opuszkami palców dotknął ust. Jego oczy błyszczały w ciemności.

– Dawno temu, tak dawno, że nawet Ten, Który Liczy, nie pamięta kiedy, w czasach dzieciństwa ziemi, pod Wielkim Białym Drzewem, jeszcze wtedy młodym drzewkiem, mieszkała stara smoczyca. Jej królestwo ciągnęło się od północnej granicy królestwa Lirinów po południowy skraj Hintervoldu. Żyła samotnie, bo była bardzo nieufna wobec obcych, zwłaszcza ludzi. Ponieważ miała ogromną władzę i nikt nie śmiał wejść na jej terytorium, to miejsce stanowiło dla wszystkich wielką tajemnicę. Lirinom ufała, choć ich rasa nie mogła równać się wiekiem z jej własną. Lecz tak jak ona stanowili jedność ze swoją ziemią i żyli w pokoju z sąsiadami. Pewnego dnia Elynsynos, bo tak brzmiało imię smoczycy, spojrzała na morze i zobaczyła światło, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. W wodzie płonął ogień zamknięty w małej kryształowej kuli, sygnał dla marynarzy, latarnia w mroku. Połączenie dwóch przeciwstawnych żywiołów zafascynowało Elynsynos. Uznała to za znak, że w powietrzu wisi zmiana. Niedługo potem do brzegów jej królestwa dobił pewien żeglarz. Wysoki mężczyzna o złotej skórze pochodził z rasy starożytnych Serenów, rdzennych mieszkańców wyspy Serendair leżącej po drugiej stronie świata. Smoczyca wpadła w jeszcze większe podniecenie, kiedy odkryła, że przybysz jest z Pierworodnych, jednej z pięciu ras stworzonych niemal wraz ze światem. Smoki również należały do tej piątki.

– A pozostałe? – zapytał Grunthor.

– Ich ojcami było pięć żywiołów: ziemia, wiatr, woda, eter i ogień. Najstarsi Serenowie zrodzili się z eteru, z którego zbudowane są gwiazdy. Dzieci wody nazywały się Mythlin, od wiatru wywodzili się Kithowie. Smoki to potomstwo ziemi. Ostatniej rasie, F'dorom, dał początek najniesforniejszy z żywiołów, ogień. Ale to inna historia, lepiej opowiadać ją w świetle dnia.

Żeglarz miał na imię Merithyn. Był odkrywcą w służbie Gwyllliama. Ostatni z sereńskich władców wysłał go w podróż, nakazując znaleźć miejsce, w którym mógłby się osiedlić jego lud. Król wiedział, że rodzinna wyspa ulegnie zagładzie. Chciał uratować poddanych i kulturę Serendair, choć podejrzewam, że mogło mu również chodzić o zachowanie władzy.

Merithyn dotarł do ziem smoczycy, ale w przeciwieństwie do innych śmiazków udało mu się wejść w ich głąb. Może dlatego że jako przedstawiciel Pierworodnych, starszych nawet od

rasy smoków, był silniej związany z żywiołami niż Elynsynos. Albo, co bardziej prawdopodobne, sama władczyni pozwoliła mu do siebie dotrzeć. Zafascynowana obcym, przybrała ludzką postać – kobiety z jego rasy. Postarała się być piękna. Widać dobrze wybrała, bo ujrawszy ją, Merithyn od razu się zakochał. Elynsynos również straciła dla niego głowę. Kiedy dowiedziała się o celu jego misji, uznała, że proponując jego ziomkom schronienie w swoim królestwie, zatrzyma go przy sobie na zawsze. Uradowany żeglarz wrócił na Serendair, żeby przekazać władcy zaproszenie. Obiecał Elynsynos, że niebawem wróci, i na dowód tego zostawił jej latarnię z płynnego ognia i wody, w której blasku wypatrzyła go na morzu. Latarnię nazywano świecą Crynelli od imienia sereńskiej królowej, która zrobiła taką lampę dla swojego kochanka żeglarza.

Gwylliam ucieszył się z dobrej wieści. W czasie nieobecności Merythina rozpoczął przygotowania do ewakuacji. Gotowych już było około tysiąca statków. Król czekał tylko na sygnał od wysłannika, żeby odpowiednio dobrać skład poszczególnych flotyll i w ten sposób zwiększyć szansę ocalenia. Dowiedziawszy się, że nowe ziemie są bezludne, uznał, że obecność armii w pierwszej fali nie jest konieczna. Zamiast żołnierzy wysłał ludzi, którzy mieli zbudować nowy świat: inżynierów, architektów, uzdrowicieli, rolników, murarzy, cieślów, nauczycieli i filidów. Reprezentowane były wszystkie rasy, ale połowę pierwszej floty stanowili Lirinowie, jako że na drugim kontynencie mieszkali ich pobratymcy. Do ochrony uciekinierom przydzielił lirińską wojowniczkę i parę osób z jej świty. Oelendra była Iliachenva'ar...

– Kim? – przerwała mu Rapsodia.

– Iliachenva'ar, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „władająca świetlistym mieczem”. Chodzi o broń zwaną Clarion Gwiazda Dnia, ognisty miecz, poświęcony żywiołowi ognia i eterowi, czyli „seren” w języku Lirinów.

Achmed tylko pokiwał głową.

– Tak więc z Merithynem jako przewodnikiem i Oelendrą jako obrończynią – podjął opowieść Llauron – pierwsza flotylla była dobrze przygotowana do niebezpiecznej morskiej podróży i osiedlenia się w krainie smoka. Druga flota, o podobnym składzie, ale większej sile militarnej, wyruszyła kilka tygodni po pierwszej. Trzecia czekała jeszcze dłużej. Płynęła z nią armia i sam Gwylliam, który został do ostatniej chwili, żeby zachęcić do wyjazdu jak najwięcej poddanych. W końcu wsiadł na pokład statku i patrzył, jak rodzinna wyspa znika za horyzontem.

Podróż była bardzo ciężka. W połowie drogi zerwał się niespotykany sztorm. Legendy mówią, że wywołał go najgroźniejszy z demonów, żeby zniszczyć sereńskie flotylle. – Z twarzy Llaurona zniknął wyraz natchnienia, a w oczach pojawił się złośliwy błysk. – Oczywiście, kiedy lepiej poznacie Cymrian, przekonacie się, że mieli o sobie wygórowane mniemanie. Uważali, że natura uwzięła się akurat na nich, choćby ucierpieli również inni niewinni ludzie.

Wracajmy jednak do naszej opowieści. Otóż statek Merithyna zatonął. Podobno wielki żeglarz zginął, oddając życie demonowi, który wywołał burzę, i w ten sposób ratując pierwszą flotę. Lecz jest o wiele bardziej prawdopodobne, że był jedynie przypadkową ofiarą huraganu, gdyż jego statek przełamał się na pół i poszedł na dno razem ze wszystkimi pasażerami. Taki sam los spotkał kilka innych okrętów.

Gdy zabrakło Merithyna, rolę przewodnika wzięła na siebie Oelendra, choć sama jeszcze nie widziała nowych ziem. Płonący gwiazdny miecz służył jako latarnia w czasie szalejącej burzy. W końcu pierwszej flocie cudem udało się dotrzeć do brzegów Avonderre, i to blisko miejsca, gdzie po raz pierwszy odkrywca zarzucił kotwicę. Kiedy po pewnym czasie uciekinierzy doszli do wniosku, że przybyły już wszystkie statki, Oelendra poprowadziła ich do krainy smoczyca. Zaraz jednak pojawiły się dwie przeciwności.

Rapsodia nie słyszała wcześniej tej historii.

– Jakie? – zapytała z ledwo hamowaną ciekawością.

– Elynsynos oczywiście bardzo się zdenerwowała, że Merithyn nie wrócił. Przecież tylko dla niego otworzyła bramy królestwa przed obcymi. W dodatku nie wiedziała, co się z nim stało. Poczuli się zdradzeni. Rozczarowanie byłoby zbyt łagodnym określeniem. Smoczyca wpadła w prawdziwy szal, opuściła prastary bór otaczający Wielkie Drzewo, udała się na północ i schroniła w jaskini na pustkowiu, gdzie na skale Merithyn wyrył przesłanie Gwyllliama: „Z objęć śmierci przybywamy w pokoju do tej pięknej krainy”. Uciekinierzy zawsze wypowiadali to zdanie, spotykając mieszkańców tych stron.

Tragedią i ironią losu jest to, że gdyby Merithyn nie kochał Elynsynos, ona dowiedziałaby się, co go spotkało. Dał jej przecież świecę Cryneli, przedmiot niby zwyczajny, ale potężny, łączący w sobie dwa przeciwstawne żywioły: wodę i ogień. Gdyby miał latarnię przy sobie, kiedy statek szedł na dno, Elynsynos zobaczyłaby światło i może zdołałaby go uratować. Ale on podarował jej świecę Cryneli na znak oddania. Tak to niestety bywa z dobrymi intencjami. Teraz magiczny przedmiot służy starcowi jako kółko do kluczy.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą kryształową kulę wielkości orzecha. Palące się w środku małe światełko oświetliło twarz inwokera, przyćmiewając blask ogniska.

Rapsodia mimo woli otworzyła usta w nabożnym podziwie.

– To świeca Cryneli?

Llauron zachichotał.

– Podobno. A może bardzo dobra kopia. Nie można do końca ufać handlarzom antyków.

– Kupiłeś ją? Cenną starożytność?

– Tak. Zapłaciłem niezłą sumkę.

– Wspomniałeś, panie, o dwóch kłopotach – odezwał się Achmed.

Z pomarszczonej twarzy starca zniknął uśmiech.

– Odjeżdżając, Merithyn nie wiedział, że Elynsynos nosi w sobie dziecko.

– Dziecko? Smoczyca była ciężarna?

Inwoker roześmiał się, widząc minę Rapsodii.

– Zabawne, co?

– Nie dla mnie. Ja uważam, że to smutne. Na pewno czuła się samotna, przerażona i zdradzona, a w dodatku uwięziona w nie swojej postaci.

Gdy dziewczyna umilkła, ognisko wyraźnie przygasło.

– I dlatego prawdopodobnie zrobiła to, co zrobiła – powiedział Llauron.

– Czyli co? – ponaglił go Achmed, zniecierpliwiony gawędziarskimi sztuczkami.

– Kiedy zobaczyła, że Merithyna nie ma w pierwszej fali uciekinierów, porzuciła dzieci pod Wielkim Drzewem i odeszła.

– Dzieci? – powtórzył Grunthor.

Na dźwięk jego głosu Rapsodia drgnęła. Bolg milczał przez cały wieczór.

– Tak. Elynsynos miała trzy córki, czego należało się spodziewać, jako że smoki składają kilka jaj w odstępie pewnego czasu. Powiada się również, że są bardzo odporne, więc mimo braku karmiącej matki maleństwa szybko urosły. W każdym razie kiedy Cymrianie dotarli do Wielkiego Drzewa, spotkali trzy kobiety. Wysokie, o złotej skórze i bardzo podobne do ojca, miały również cechy matki. Ponieważ z wyglądu przypominały starożytnych Serenów, uciekinierzy z pierwszej floty od razu wyczuli w nich swoją krew. Po dwóch najstarszych rasach na świecie odziedziczyły niezwykle moce. Łączyła je więc nie tylko z żywiołami, ale również z czasem, jako że ich ojciec wielokrotnie przekraczał południk zerowy. Posiadały dar jasnowidzenia. Niestety, z jego powodu wszystkie były szalone, choć w różnym stopniu.

Najmłodsza, Manwyn, która widziała przyszłość, zachowywała się najdziwniej z sióstr. Często miewała wizje, mamrotała coś do siebie jak obłąkana. Nie brano poważnie jej słów, bo trudno odróżnić prawdziwe prorocтва od bredzenia wariatki, więc jej niezwykły dar właściwie się marnował.

Średnia Rhonwyn, o dobrym sercu, wydawała się całkiem zdrowa na umyśle, ale tylko w krótkich momentach, zanim terażniejszość, którą znała najlepiej, stawała się przeszłością. Wtedy nie pamiętała nawet własnych myśli.

Z nich trzech tylko najstarsza mogła powitać przybyszów zza morza. Sekrety przeszłości były mniej ulotne i niebezpieczne niż wizje przyszłości nawiedzające Manwyn oraz bardziej spójne i sensowne niż wiedzaśredniej siostry. W rezultacie Anwyn wiedziała, kim są Cymrianie i po co przybyli do krainy jej matki.

Pierwsi uciekinierzy uznali ją za żywą wież między starym a nowym światem, uczynili swoją władczynią i osiedlili się na jej terytorium, w zgodzie z zachodnimi sąsiadami i lirińskim Realmalirem.

Tymczasem druga flota w porę spostrzegła, że nadciąga sztorm, ale i tak zatono kilka statków. Kiedy burza ucichła, okazało się, że żeglarze zoczyli z kursu i jest za późno na jego skorygowanie, zwłaszcza że już przekroczyli zerowy południk. Niedługo potem ujrzeni ląd. Zamiast szukać rajy Merithyna, dowódca MacQuieth postanowił przybić do brzegu. Trafili do niezamieszkałej krainy Manosse. Oni i ich potomkowie mieszkają tam do dzisiaj.

Rapsodia i Bolgowie spojrzeli po sobie. Niemal wszyscy na Serendair słyszeli o legendarnym wojowniku.

– MacQuieth to Kirsdarkenvar, „władający Kirsdarkiem”, słynnym wodnym mieczem. Uważano go również za pana tego żywiołu i mówiono, że dlatego bezpiecznie przepłynął się przez morze. I oczywiście był bohaterem, który zabił Tsoltana, przywódcę wrogich sił w czasie wielkiej wojny. On...

– Llauronie, zaczekaj chwilę – przerwała mu Rapsodia. Nie zauważyła, że twarz Achmeda wykrzywia gniewny grymas. – Wytłumacz, proszę, dlaczego powiedziałaś, że w Manosse do dzisiaj mieszkają „oni i ich potomkowie”? Nie rozumiem. Przecież od tamtego czasu minęło czternaście wieków. Pierwsze pokolenie Cymrian już dawno nie żyje.

Inwoker się zaśmiał.

– Dobrze, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Pierwsza generacja wyruszyła z Serendair, jednego z pięciu miejsc, w których zaczął się Czas. Minęła zerowy południk i dotarła do drugiego ze wspomnianych miejsc. W rezultacie czas stracił nad nimi władzę. Nie zestarzeliby się jak inni śmiertelnicy, lecz pozostali w wieku, w którym przekroczyli południk. Wyjątkiem były dzieci. Dorastały powoli, aż osiągnęły dojrzałość i na tym etapie się zatrzymały.

– Jesteś jednym z nich? – zapytał Achmed wprost.

Llauron wybuchnął śmiechem.

– Na Boga, nie, choć czasami marzę o długowieczności. Pewnie uważasz, że bardzo dobrze się trzymam, młody człowieku. Jeśli okażecie jeszcze trochę cierpliwości, dokończę opowieść o drugiej flocie. Kilka statków popłynęło dalej na wschód, bo starożytnym Serenom i przedstawicielom innych pierwotnych ras nie spodobało się miejsce, które wybrał MacQuieth. Znaleźli sobie małą bezludną wysepkę między dwoma kontynentami, pobłogosławioną łagodnym klimatem, umiarkowanymi wiatrami i ciepłym prądem morskim. Był to prawdziwy raj. Postanowili założyć tam kolonię. Ich kraina to Gaematria, na ogół zwana Wyspą Morskich Magów.

Została nam jeszcze trzecia flota, która do ostatka czekała na wszystkich, którzy chcieli się uratować. Płynąc pod wiatr, statki dotarły na południe od miejsca, gdzie wylądował Merythin z pierwszą flotyllą, do wybrzeża obecnie należącego do niezrzeszonych państw i Sorboldu.

W przeciwieństwie do naszego dziewiczego boru, przez tysiąclecia strzeżonego przez smoka, ziemie, do których przybiła trzecia flota, okazały się bardzo niegościnnie. Większą część powierzchni Sorboldu zajmują góry albo jałowe stopy. W dodatku tamtejszym mieszkańcom niezbyt przypadła do gustu obecność intruzów. Nieraz starali się zepchnąć ich z powrotem do morza. Cymrianie więc nie mieli łatwego życia.

Na szczęście był z nimi Gwylliam, człowiek praktyczny, urodzony przywódca, architekt z zamiłowania i zdolny inżynier. Dzięki jego pomysłowym wynalazkom i talentom wojskowym Cymrianie skutecznie bronili się przed nieprzyjaciółmi, którzy mieli nad nimi przewagę liczebną.

Bardzo mądra okazała się jego decyzja przydzielenia armii trzeciej floty, która opuściła Serendair jako ostatnia. Po pierwsze, smoczyca potraktowała uciekinierów nie jako najeźdźców, ale jako zaproszonych gości. Po drugie, król zapewnił wyspie jak najdłuższą ochronę, a po trzecie, zostawił sobie całe wojsko do walki na najtrudniejszym z trzech cymriańskich frontów. Jego obowiązkiem było zadbać o bezpieczeństwo flot i wywiązał się z niego najlepiej, jak mógł. Gdyby demon wyruszył za nimi, i tak w żaden sposób nie zdołałby go powstrzymać.

Achmed wyprostował się gwałtownie.

– A wyruszył?

Llauron odwrócił wzrok. Gdy po chwili spojrzał na Draka, twarz miał poważną.

– Możliwe. Istnieje pewne proroctwo.

– Proroctwo?

Starzec uśmiechnął się do zasępionej Rapsodii.

– W epoce cymriańskiej był okres, przed wielką wojną, kiedy Manwyn sypała przepowiedniami, zwykle na zebraniach Rady Cymriańskiej. Jedno z nich spisano po drugiej dyskusji. Oczywiście nie wiem, na ile ta historia jest prawdziwa, ale nauczyłem się jej na pamięć dawno temu. Chcecie posłuchać?

– Tak – powiedziała Rapsodia, nagle zdjęta dreszczem.

– Cóż, obawiam się, że za bardzo wybiegłem naprzód. Pozwólcie, że na moment cofnę się w przeszłość. Trzecia flota wywalczyła sobie w końcu drogę przez wrogie terytorium, czasami nawet dokonując podbojów, aż dotarła do gór na północnym krańcu sorboldzkiej pustyni. Rozległe i niedostępne pasmo odcinało leżące za nim obszary od reszty znanego świata. Od gór z kolei dzielił je głęboki kanion, ale za nim ciągnęły się równiny bogate w dobre gleby i skarby ziemi. Kraina była bezludna.

Z wielu powodów, które wymieniłem, Gwylliam postanowił, że tam osiedli się trzecia flota. Nazwał swoje nowe królestwo Canrif, od cymriańskiego słowa oznaczającego „wiek”, bo zapowiedział, że w ciągu stu lat powstanie w tamtych stronach największa cywilizacja, jaką kiedykolwiek widział świat. I tak się stało, choć zdania mogą być różne.

Flota składała się z przedstawicieli wielu ras, o wielu potrzebach, a Gwylliam zadbał o wszystkich. Mieszkańcy wnętrza ziemi, Nainowie i Gwaddowie, urządzili sobie domy w niekończących się górskich tunelach. Ludzie osiedlili się na Przeklętym Wrzosowisku i dalej, w Ukrytym Królestwie, gdzie znaleźli pola i łąki. Lirinowie założyli wioski w ciemnym borze. Ponadto król zbudował wspaniałe miasto w samych górach, skonstruował wielkie maszyny, które napełniały podziemne jaskinie świeżym powietrzem, a zimą ciepłem. Powstały też gigantyczne kuźnie, w których stale płonął ogień. Wykuwano w nich stal do budowy imperium i wyrobu broni.

– Jak się nazywają te góry? – zapytał Achmed.

– Leżą na wschód od prowincji Bethe Corbair, za wschodnią granicą Rolandii. Od południa graniczą z łańcuchem sorboldzkim. Cymrianie nazwali je Manteidami, a Firbolgowie, którzy teraz w nich mieszkają – Zębami.

– Zębami? – powtórzyła Rapsodia.

– Tak. Jeśli je kiedyś zobaczycie, zrozumiecie dlaczego. Dawna chluba Canrifu należy teraz do Firbolgów. To mroczna i niedostępna kraina.

– Mam nadzieję – mruknął Grunthor, zachowując kamienną twarz.

Llauron uśmiechnął się i pociągnął łyk ze srebrnego pucharka.

– Pewnego dnia, pięćdziesiąt lat po wylądowaniu, pierwsza i trzecia flota się spotkały. Zapanowała niezmierna radość, ale jednocześnie wynikło duże zamieszanie. Dawni poddani Gwylliamu, którzy wyruszyli w pierwszej fali, oraz ich potomkowie przysięgli lojalność nowej władczyni, Anwyn. Ponieważ druga flota osiedliła się daleko w Manosse i nie było od niej żadnych wieści, powstał dylemat, co robić dalej. Cymrianie chcieli znowu być jednym ludem, żeby zachować dawną kulturę, a także zdobyć władzę nad całością nowych terytoriów. Gwylliam i Anwyn mieli pod swoim panowaniem całą Rolandię i Sorbold oraz Canrif. Lirinowie trzymali się osobno, ale pozostawali sojusznikami Anwyn.

Na szczęście znaleziono pokojowe rozwiązanie. Wszyscy Cymrianie spotkali się na wielkiej radzie, pierwszym z tego rodzaju zgromadzeń, i wybrali Anwyn i Gwylliamu na władców zjednoczonego królestwa. Z myślą o założeniu dynastii ta dwójka postanowiła sformalizować unię i zawarła małżeństwo.

– Kochali się? – spytała Rapsodia.

Inwoker spojrzał na nią dziwnie. Wiatr rozwiewał jego siwe włosy.

– Pisma o tym nie wspominają. Ale wspólnie zapoczątkowali epokę cymriańską, najwspanialszy okres w dziejach tych ziem. Rządzili w pokoju i dobrobycie przez ponad trzysta lat.

– A co z proroctwem? – zainteresował się Achmed.

– Ach, tak. Oelendra, o której wam wspominałem, miała skłonność do lekkich urojeń. Nie spodziewała się, że na jej barkach spocznie przywództwo nad pierwszą flotą, ale musiała je przyjąć, kiedy zginął Merithyn. Była przekonana, że na statku Gwylliamu przybyło do

nowego świata wielkie zło. Na radzie, gdy władcy ogłosili swoje zaręczyny, spytała Manwyn, czy jej podejrzenia są słuszne. Odpowiedź wyroczni brzmiała:

*Nieproszony wyruszył z ostatnimi, przybył z pierwszymi,
Szukając nowego gospodarza w nowym miejscu.
Zdobyl moc, będąc pierwszym,
Stracił ją, będąc ostatnim.
Niczego nieświadomi gospodarze żywią gościa,
A on, cały w uśmiechach,
Sekretnie zatruwa strawę,
Zazdrośnie strzegąc swojej władzy.
Gospodarz nigdy nie spłodzi dzieci,
Ale nieproszony gość będzie próbował się rozmnożyć.*

Zapadła cisza. Cała czwórka przez długą chwilę zastanawiała się nad niejasnym proroctwem. Pierwszy odezwał się Grunthor:

– Nie mam pojęcia, co to znaczy, święty człowieku. Podsuniesz nam jakiś trop?

Llauron uśmiechnął się.

– Ja też nie mam pojęcia, przyjacielu. Jak już mówiłem, Manwyn była szalona i często mamrotała bez ładu i składu. Wtedy nikt nie zwracał na proroctwo uwagi, ale patrząc wstecz, można jej słowa uznać za przepowiednię, że z wyspy przybędzie prastare zło: „przybył z pierwszymi”. Z początku demon był słaby, ale rósł w siłę, aż przejął władzę na tą krainą.

Dłonie Rapsodii nagle zrobiły się zimne.

– I rzeczywiście tak się stało?

Twarz starca posmutniała.

– Trudno powiedzieć, moja droga. W końcu to Gwylliam i Anwyn położyli kres epoce cymriańskiej, sprowadzając śmierć i zniszczenie na swój własny lud.

– W jaki sposób? – zapytał Achmed.

– Nie wiem, czy już przed wydarzeniem, od którego wszystko się zaczęło, były między nimi nieporozumienia. Przypuszczam, że tak, bo podobne rzeczy nie dzieją się nagle i bez powodu. Mówiąc wprost, Gwylliam zbił żonę. Historia nie odnotowała, dlaczego to zrobił, ale jego czyn pociągnął za sobą fatalne skutki.

Anwyn wróciła wściekła na zachód i wezwała dawnych poddanych z pierwszej floty, żeby bronili jej honoru. Doszło do nieodwracalnego rozłamu w narodzie, jako że pierwsze pokolenie Cymrian i ich potomkowie uważali się za jeden lud, lojalny wobec króla i królowej.

Lecz Anwyn wywodziła się z rasy smoków i mogła ją ułagodzić tylko śmierć męża. Kiedy jej armia zaatakowała jego twierdze, z kolei Gwylliam zaślepiła nienawiść. Postanowił zniszczyć żonę i jej sojuszników. Nie da się opisać siedmiuset lat rozlewu krwi,

który wkrótce nastąpił. Wam nie starczyłoby czasu, a mnie odwagi. Wystarczy powiedzieć, że choć narodziny i rozkwit epoki cymriańskiej były wspaniałe, koniec okazał się tragiczny.

Zwycięstwa błyskotliwego, ale okrutnego Anborna, generała Gwyllliama, nad pierwszą flotą, a potem nad Lirinami, których władczyni zdołała przeciągnąć na swoją stronę, uczyniły jego imię najbardziej nienawidzonym słowem w ich języku. Natomiast armia Anwyn siała spustoszenie wśród trzeciej floty, aż w końcu nie wiadomo było, kto wygrywa, a kto ponosi klęskę. W rezultacie nikt nie okrył się chwałą i dlatego potomkowie Cymrian, którzy obecnie żyją w podzielonych królestwach, wolą nie ujawniać swojego rodowodu.

– Więc powiadasz, panie, że określenie „Cymrianin” jest tutaj obelgą? – wtrącił Achmed.

Rapsodia dźgnęła go łokciem w żebra, lecz Llauron tylko się uśmiechnął.

– Dla wielu ludzi tak. Czas jednak zaciera pamięć i są tacy, którzy pamiętają tylko o dawnej potędze Cymrian, a nie o nieszczęściach, jakie sprowadzili na ten kraj. Wręcz się ich czci, ale głównie dlatego, że większością prowincji Rolandii, Manosse i Wyspą Morskich Magów rządzą ich potomkowie.

– To kto w końcu zwyciężył? – zapytał Grunthor.

– Ani jedna strona, ani druga. Anwyn zabiła męża, a przynajmniej tak twierdziła. Nikt króla już nie zobaczył, więc jej uwierzono. Dziwne, bo Gwylliam był właściwie nieśmiertelny, odporny na wszelkie urazy, w przeciwieństwie do swoich poddanych, którzy nie starzeli się ani nie chorowali, ale mogli się wykrwawić jak każdy człowiek. Może stało się tak dlatego, że został na wyspie, żeby doglądać ewakuacji, ostatni ją opuścił, ostatni przekroczył zerowy południk i dlatego w nowym świecie nie czyhały na niego żadne niebezpieczeństwa.

W każdym razie triumfująca Anwyn zjawiła się na radzie, ogłosiła zwycięstwo oraz przejście władzy nad Cymrianami i ich ziemiami. Ku jej konsternacji zgromadzenie wypędziło ją z królestwa. Choć wygrała siedemsetletnią wojnę i zamordowała nienawidzonego męża, w końcu straciła wszystko. Smutne, co?

– Tak – powiedziała Rapsodia. – Gdzie jest teraz Anwyn?

Llauron dopił nalewkę i wrzucił puchar do worka.

– Pisma mówią, że wycofała się do górskiej kryjówki pośród Białych Szczytów Hintervoldu, daleko od swojego dawnego terytorium. Od czasu do czasu jakiś nieszczęśnik wyrusza do niej, żeby zdobyć wiedzę o przeszłości. Ostatecznie Anwyn jest przede wszystkim jasnowidzem. Nie wiadomo jednak, czy którykolwiek ją odnalazł.

– Więc co się dzieje teraz? – spytał Achmed.

– Cóż, Cymrianie nigdy nie podźwignęli się z upadku, choć od wojny minęło prawie czterysta lat. Nie odbudowali dawnej potęgi, lecz zasymilowali się ze słabszymi sąsiadami. Naprawdę wielka szkoda. Dzięki więzi z żywiołami i czasem dokonali ogromnego skoku cywilizacyjnego. Bez nich silne królestwo się podzieliło i dręczone niepokojami cofnęło do

czasów sprzed wspaniałego rozkwitu nauki, sztuki, handlu, architektury i medycyny. W rezultacie my jesteście dość prymitywnym ludem.

Nawet w religii nastąpił rozłam. Kiedyś mieliśmy jedną wiarę, teraz na terenach zasiedlonych przez pierwszą flotę panuje filidzki kult natury. Większość mieszkańców Rolandii to wyznawcy Jedyne Boga, czasami zwanego Stwórcą. Głową tego Kościoła jest patriarcha. Jego bazylika znajduje się w świętym mieście Sepulvarta, które leży na południu, w pobliżu granicy z Sorboldem.

Też szkoda, bo przecież wszyscy czcimy jednego Boga. Szkoda, że nawet w kwestii wierzeń jesteście podzieleni. Wojna wisi w powietrzu. Na pozór jest spokojnie, ale kilka ostatnich dziesięcioleci to ciągle potyczki graniczne, niewytłumaczone napaści na wioski i miasteczka, powodujące straszliwe zniszczenia. Napięcia rasowe rosną i nikt nie ma pojęcia, dlaczego dochodzi do aktów terroru. Nie wiedzą nawet ci, którzy ich dokonują. To przerażające.

– Co mogłoby zasypać przepaść między wami, zapobiec wojnie? – zapytała Rapsodia.

Llauron westchnął.

– Nie wiem, czy cokolwiek da się tu zrobić, moja droga. Tuż przed tym, jak Anwyn wykluczono z rady, jej siostra Manwyn próbowała interweniować, twierdząc, że istnieje nadzieja na zjednoczenie i pokój. Nikt jej nie uwierzył. Wszyscy uznali, że Manwyn stara się ratować siostrę przed utratą władzy.

– Jak brzmiało proroctwo? – spytał Achmed.

Llauron zamknął oczy.

Zjawi się Troje, odejdą wcześnie, przybędą późno:

Dziecko Krwi, Dziecko Ziemi, Dziecko Nieba.

Każdy człowiek, zrodzony z krwi,

Chodzi po ziemi i z niej żyje,

Sięga nieba i znajduje pod nim schronienie,

Dopiero umarły staje się częścią gwiazd.

Krew daje początek życia, ziemia – strawę,

Niebo daje marzenia w życiu i wieczność po śmierci.

Tym będzie dla siebie Troje, jedno dla drugiego.

Rada nie zrozumiała przepowiedni, podobnie jak wy. Było jasne, że trzej wybawiciele to Anwyn i jej siostry. Dlatego podejrzewano, że wyroczni chodzi o to, żeby uchronić królową Cymrian przed wygnaniem. Anborn, generał Gwyllliama, zapytał Manwyn w bardzo niegrzeczny sposób, co znaczą jej słowa. W odpowiedzi usłyszał bełkot:

Gdy rozpoczyna się życie, Krew się łączy, lecz jednocześnie zostaje przelana.

Zbyt łatwo dzieli, by można zasypać przepaść.

Ziemia należy do wszystkich, ale jest dzielona z pokolenia na pokolenie.

Tylko Niebo jest niepodzielne; dzięki niemu znowu zapanuje pokój i jedność.

Jeśli chcesz przywrócić ład, generale, pilnuj Nieba, żeby nie spadło.

– Anborn wpadł w szal i ryknął, że brednie powinna zachować dla siebie. Manwyn opuściła radę, ale na odchodnym wygłosiła jeszcze jedno proroctwo: „Generale, wpierr musisz uleczyć siebie. Pośmierci Gwyllliama ty jesteś królem żołnierzy, ale póki nie znajdziesz najbardziej bezbronnego ze swoich ziomków i nie otoczysz go opieką, nie będziesz godny wybaczenia. Odkupisz winy albo bez rozgrzeszenia umrzesz”.

– I tak się stało?

– Nie mam pojęcia. To była sprawa między nim a Stwórcą. Cóż, panowie, jeśli nigdzie się nie wybieracie, jesteście mile widziani w moim domu. Mogę wam zaproponować łóżka, kąpiel i nowe ubrania.

Grunthor i Rapsodia spojrzeli na Achmeda, który po chwili skinął głową. Olbrzym uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To bardzo miłe z twojej strony, święty człowieku.

Rapsodia poklepała wielkoluda po ramieniu, kiedy we trójkę ruszyli za starcem.

– Grunthorze, do inwokerów, patriarchów, beninsonów i innych kapłanów wyższej rangi należy się zwracać „wasza wielebność”, a nie „święty człowieku”.

Bolg chwycił ją za rękę.

– Lepiej przyspiesz kroku, bo się zgubisz.

Firbolgowie czuli się nieswojo w twierdzy Llaurona. Nie chcieli, by zobaczył ich któryś z wiernych, stale kręcących się w pobliżu Wielkiego Drzewa.

Służące przeraziły się na ich widok, zwłaszcza Gwen, która otrzymała niewdzięczne zadanie uszycia im nowych ubrań. Po pierwszej przymiarce Grunthora Rapsodia miała okazję sprawdzić nowo nabyte umiejętności medyczne, bo gospodyni dostała palpacji.

Zaopatrzeni w prowiant i ciepłe odzienie goście zaczęli szykować się do drogi. Llauron wyglądał na niepokieszonego.

– Dokąd teraz pójdziesz, moja droga? – spytał ze smutkiem.

– Na wschód – odparła Rapsodia.

Wolała nie mówić, że Achmed i Grunthor zamierzają odnaleźć królestwo Firbolgów. Ten pomysł wcale się jej nie podobał.

Co noc do późna we troje omawiali dalsze plany, lecz Achmed nie chciał wyjaśniać swoich decyzji, mówiąc, że porozmawiają o nich, kiedy opuszczą ziemie inwokera.

Po kilku gorących dyskusjach uzgodnili, że będą się trzymać razem, póki lepiej nie poznają kraju. Dopiero wtedy postanowią, gdzie zamieszka Rapsodia. Dziewczyna tyle czasu łudziła się nadzieją powrotu na wyspę, że jeszcze nie pogodziła się z myślą o zostaniu na zawsze w nowym świecie.

Llauron zerknął przez ramię na Firbolgów.

– Na wschód. Hm... W takim razie dam ci list polecający do mojego drogiego przyjaciela, lorda Stephena Navarne. Jest regentem graniczącej z nami prowincji od wschodu i diukiem. Miły człowiek. Myślę, że go polubisz. I wiem, że ty jemu przypadniesz do gustu.

W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Rapsodii nie spodobał się podtekst zawarty w słowach inwokera, ale powstrzymała się od uwag.

– Wszyscy troje – dodał pospiesznie starzec, jakby czytał jej w myślach.

– Diuk? Chcesz, żebym... żebyśmy wpadli w odwiedziny do diuka?

– Tak. A o co chodzi?

Na policzki Rapsodii wypełził rumieniec.

– Ależ Llauronie, dlaczego regent miałby wpuścić za próg kogoś takiego jak ja? Nie pochodzę z królewskiego rodu. – Miała nadzieję, że Llauron nie domyślił się jej dawnej profesji.

Inwoker uśmiechnął się po ojcowsku.

– Stephen nie obchodzi rodowody. Jest miły, pasjonuje się historią. Jeśli interesują cię cymriańskie dzieje, powinnaś go poznać. W jego twierdzy mieści się muzeum. Wiem, że z radością by ci je pokazał. Wątpię, czy często spotyka się z takimi prośbami.

– Naprawdę? – zapytała z roztargnieniem. Obserwowała towarzyszy. Achmed robił dyski do cwellana.

Grunthor dostał od Gavina nową broń, między innymi długi zakrzywiony miecz, który nazwał Kozikiem. Gdy dołączył świeże nabytki do zestawu śmiercionośnych narzędzi, który nosił na plecach, przypominał gigantycznego jeża o groźnych kolcach. Po chwili przeniosła wzrok z powrotem na inwokera.

– Jak to daleko?

– Trzy do czterech dni marszu. – Wziął ją za ramiona. – Mam nadzieję, że podobało ci się u mnie. Ja bardzo polubiłem twoje towarzystwo.

– Było cudownie – powiedziała szczerze, naciągając na głowę kaptur nowego płaszcza. – Dużo się nauczyłam. Czy mogę jakoś odwdziżyć ci się za dobroć?

– Właściwie tak – przyznał Llauron, poważniejąc. – Przekaż lordowi Stephenowi mój list. Proszę w nim, żeby pokazał ci pewien manuskrypt. Jako Bajarka na pewno łatwo uczysz się obcych języków. Nie powinnaś mieć trudności z odczytaniem starożytnego sereńskiego. Chciałbym, żebyś go przyswoiła, bo wtedy moglibyśmy się w nim porozumiewać. Dowiedziałaś się wielu rzeczy o Cymrianach i o rosnących niepokojach, które grożą nowym podziałem tej ziemi. Donosiłaś mi, co dzieje się w kraju.

Rapsodia spojrzała na niego zaskoczona. Inwokerowi służyło tysiące zwiadowców i leśników. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jaką wartość mogłyby dla niego mieć jej raporty.

– Chętnie ci pomogę, Llauronie, ale...

– Doskonale. I pamiętaj, Rapsodio, choć pochodzisz z ludu, możesz być użyteczna w królewskiej sprawie.

– Chodzi o ochronę natury i Wielkiego Białego Drzewa?

– Tak, i o kwestie polityczne.

– Nie rozumiem.

W oczach starca pojawiło się zniecierpliwienie, ale głos pozostał łagodny.

– Zjednoczenie Cymrian. Sądziłem, że to jasne. Moim zdaniem nic nie uratuje nas przed ostateczną zagładą, jeśli Rolandia, Sorbold i może nawet królestwo Bolgów nie połączą się pod nowym władcą albo władczynią z cymriańskiego rodu. Najwyższa pora, zważywszy na te wszystkie niewytłumaczalne akty przemocy. Jesteś wieśniaczką – proszę, nie obrażaj się, większość moich wiernych to wieśniacy – ale masz ładną twarz i dar przekonywania. Mogłabyś bardzo mi pomóc.

Rapsodia osłupiała.

– Ja? Przecież nie znam tu nikogo. Kto mnie wysłucha? Nawet nie wiedziałam o istnieniu Cymrian, póki nie spotkałam ciebie, Llauronie.

Inwoker ujął jej dłoń.

– Każdy, kto na ciebie spojrzy, będzie wręcz spijał słowa z twoich ust, moja droga. A teraz powiedz, czy zrobisz to, o co cię proszę. Chcesz, żeby na tych ziemiach zapanował pokój, prawda?

– Tak.

Nagle zaczęła drżeć.

– I żeby skończyła się przemoc, zabijanie i okaleczanie niewinnych kobiet i dzieci?

– Oczywiście. Ja tylko...

– Jesteśmy gotowi, panienko! – zawołał Grunthor.

Achmed zarzucił worek na plecy i skinął głową. Rapsodia spojrzała na Llaurona.

– Kogo widzisz jako króla?

– Nikogo. Decyzja będzie należała do rady. Pamiętasz, co ci mówiłem o cymriańskich poglądach i zwyczajach? Władców obiera się ze względu na umiejętność rządzenia i choć zwykle wiąże się ona ze szlachectwem, nie jest przypisana do jednego rodu, tak jak u innych nacji. Nie zapominaj o negatywnym nastawieniu wielu ludzi do Cymrian i bądź dyskretna. Osoby o cymriańskim pochodzeniu rzadko się do niego przyznają, ale tylko ktoś taki jest w stanie zjednoczyć podzielone narody, skoro zabrakło Anwyn i Gwyllliama. Informuj mnie o swoich poczynaniach.

– Nie jestem pewna, co właściwie mam robić.

– Ruszamy! – ponaglił ją Achmed.

Llauron uśmiechnął się szeroko.

– Nienaganne maniery, co? Chodź, muszę się z nimi pożegnać. Zaraz przyniosę ci list. Powodzenia, moja droga.

Las na wschód od twierdzy inwokera był rzadszy i młodszy od pierwotnej puszczy otaczającej Wielkie Białe Drzewo. Przez jakiś czas szli po własnych śladach. Niedaleko wioski Tref-Y-Gwartheg skręcili na północ, żeby uniknąć kontaktu z mieszkańcami.

Od Gavina Rapsodia dowiedziała się, że Gwynwood jest rozległy jak pół jej ojczystej wyspy, a lirińskie lasy są od niego jeszcze trzy razy większe.

Odnalezienie leśnego traktu prowadzącego do prowincji Navarne zajęło im prawie dwa dni.

Wkrótce prastary bór ustąpił miejsca polom uprawnym i wioskom zbudowanym z oszczędnością materiałów charakterystyczną dla filidzkich osad. Navarne okazało się regionem dość gęsto zaludnionym, droga była mocno uczęszczana. Gdy las się przerzedził i nie mogli w porę uskakiwać w zarośla, postanowili korzystać ze szlaku tylko w ostateczności, a iść głównie zagajnikami.

Po kilku milach wędrówki przez terytorium Navarne trafili na grupę wiejskich dzieci, które biegały po lesie. W zimowym słońcu bawiły się w grę podobną do berka. Wozy

zaprzężone w woły od czasu do czasu opryskiwały je breją, co wywoływało tylko salwy wesołego śmiechu.

Firbolgowie cofnęli się w krzaki, Rapsodia zrobiła jeszcze kilka kroków. Widok radości z powodu tak zwyczajnego wydarzenia jak odwilż wzbudził w niej jednocześnie ból i ciepłe uczucia, przywołał wspomnienia. Kiedy dzieci zaczęły obrzucać się błotem, raptem zapragnęła podbiec i przyłączyć się do nich. Smutek, który od tak dawna w sobie dusiła, ulotnił się w jednej chwili, porwany przez ciepły wiatr.

Nagle usłyszała stukot kopyt, tłumiony przez rozmokłą ziemię. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła galopującego leśnym duktem czarnego ogiera.

Malcy w pierwszej chwili go nie dostrzegli, pochłonięci zabawą. Z gardeł dwóch kobiet jadących na wozie z sianem wyrwał się okrzyk przerażenia. Woźnica zaczął rozpaczliwie machać do dzieci, które stanęły jak wryte pośrodku gościńca. Jeździec nie zwalniał.

Nim Grunthor zdążył ją powstrzymać, Rapsodia wyskoczyła z kryjówki, rozgoniła dzieci i ustawiła się na drodze pędzącego rumaka. Słyszając łoskot kopyt i rzenie, odruchowo zasłoniła głowę.

Nieznajomy w ostatniej chwili wstrzymał wierzchowca, mamrocąc brzydkie przekleństwa. Spojrzał na nią z góry lazurowymi źrenicami, w których płonął gniew.

– Do diabła, kobieto! – ryknął. – Stratowałbym cię, gdybym się nie bał, że okulawię konia.

Rapsodia wyprostowała się powoli i zmierzyła go wzrokiem. Z jej oczu sypały się iskry, nadając im intensywnie zieloną barwę wiosennej trawy. Na wykrzywionym obliczu mężczyzny odmalowało się zaskoczenie gwałtowną reakcją dziewczyny. W tym samym momencie z jej ust popłynęły kwieciste wiązanki znane z dawnych lat spędzonych na ulicy.

Nieznajomy w pierwszej chwili osłupiał, a potem uśmiechnął się lekko. Zdjął hełm i uważnie przyjrzał się drobnej postaci, która zagradzała mu drogę.

Jego rysy wydały się Rapsodii dziwnie znajome, choć na pewno nigdy tego człowieka nie widziała. Muskularnego ciała nie powstydziliby się młodzieniec, lecz włosy i broda, czarne jak smoła, były przetykane siwizną, a twarz zdradzała wiek średni. Jeździec miał na sobie kolczugę z czarnych kółek i stalowe naramienniki, z których spływała ciężka czarna opończa.

– No, no, taki język u damy – odezwał się z sarkazmem. – Jestem przerażony, pani.

– Raczej przerażający – odpaliła Rapsodia, prostując ramiona. – I najwyraźniej również ślepy. Nie widziałeś, panie, że na drodze są dzieci?

– Widziałem.

Żołnierz odchylił się do tyłu na siodle i uśmiechnął szerzej. Odnosiło się wrażenie, że taki wyraz nieczęsto gości na surowym obliczu.

Gniew Rapsodii przerodził się we wściekłość.

– I pewnie nie przyszło ci do głowy, panie, żeby zwolnić albo spróbować je wyminąć?

– Istotnie. Z mojego doświadczenia wynika, że zwykle uciekają przed pędzącym koniem. Tego rodzaju wiedzę dobrze jest wcześniej sobie przyswoić.

– A jeśli im jej nie wpojono?! – krzyknęła Rapsodia. – Gdybyś je stratował, panie?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Drobnie przeszkody zwykle nie są groźne dla mojego wierzchowca. Powinnaś wziąć sobie tę uwagę do serca. Sama nie jesteś zbyt duża.

Garść rzadkiego błota trafiła go w twarz i spłynęła na pierś.

– Zejdź, to przekonasz się, że pozory mylą! – rzuciła Rapsodia, sięgając po miecz.

– Jeśli coś z niego zostanie, księżniczko, będziemy mieli kolację – rozległ się grzmiący głos.

Jeździec odwrócił się i zobaczył wychodzącego z zarośli gigantycznego Firbolga. Konie pociągowe zarżały w panice, jedna z kobiet wrzasnęła. Woźnica strzelił z bata, wóz szarpnął i potoczył się błotnistym szlakiem. Dzieci już dawno się rozpiechły.

Żołnierz odchylił głowę i ryknął śmiechem.

– Patrzcie no! Piękna i bestia towarzyszami podróży. Ciekawostka. Może przynajmniej pokażesz twarz, pani, skoro ja odsłoniłem przyłbicę. Chyba że się boisz.

Wytał maż z czoła i policzków.

Dziewczyna gwałtownym ruchem odrzuciła kaptur. Żołnierz ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– Wiem, kim jesteś. Rapsodia, prawda?

– Skąd wiesz, panie? – wykrztusiła.

– Studiowałaś u Gavina i wieść o tobie się rozeszła. Muszę przyznać, że leśnicy dokładnie cię opisali.

Płonący w niej jeszcze przed chwilą gniew raptem zgasł. Poczowała zimne dreszcze.

– Jak to?

Mężczyzna włożył hełm.

– Może istnieje tylko jeden taki wybryk natury. Zejdź mi z drogi, jeśli nie chcesz zobaczyć z bliska nowych podków mojego rumaka.

– Doprawdy? A kim ty jesteś? Nie znam twojego imienia.

Jeździec chwycił wodze.

– Istotnie.

Cmoknął na konia i odjechał galopem. Rapsodia zdążyła uskoczyć mu z drogi, ale została opryskana błotem.

– Zabawne przedstawienie, panienko – burknął Grunthor z irytacją. – Ruszajmy wreszcie.

Dziewczyna z grubsza oczyściła płaszcz i skinęła głową. Kiedy zeszła z traktu w przydrożne krzaki, usłyszała cichy głos:

– Panienko?

Wstrzymała oddech i zerknęła za siebie. Ujrzała małego chłopca, może siedmioletniego, przycupniętego w chaszczach porastających skraj drogi. Nachyliła się nad nim z troską.

– Nie jesteś ranny?

– Nic mi nie jest, panienko.

Pomogła mu wstać.

– Jak masz na imię?

Chłopiec spojrzał na Grunthora i uśmiechnął się.

– Robin.

Gigant odwzajemnił uśmiech. Rapsodia poczuła ściskanie w gardle. Takie imię nosił jeden z jej braci.

– I wiem, jak się nazywa tamten rycerz.

– Naprawdę? Jak?

Malec przybrał ważną minę.

– Anborn, panienko.

Strażnik pełniący wartę u bram Haguefort, twierdzy lorda Stephena Navarne, wezwał szambelana. Gerald Owen służył u diuka od ponad dwudziestu lat i widział przez ten czas niejedno, ale nawet on w pierwszej chwili osłupiał.

Dwoje z trojga podróżnych, drobna kobieta o zachwycających zielonych oczach i żyłasty mężczyzna wyższy od niej o głowę, miało na sobie płaszcze z kapturami. Owen poczuł lekkie rozczarowanie, bo chętnie zobaczyłby nieznajomą w całej okazałości, ale jednocześnie doszedł do wniosku, że jej towarzysza lepiej nie oglądać bez okrycia.

Obok nich stało ogromne monstrum. Na widok jego wystających kłów szambelanowi mocniej zabiło serce.

– Cóż, chyba wszystko jest w porządku – wykrztusił, po raz piąty przeczytawszy list od inwokera Llaurona. – Wejdźcie, proszę.

Otworzył bramę i skinął głową strażnikom, którzy opuścili posterunki i ruszyli do twierdzy na końcu dziwnego orszaku.

Zamek był piękny, o klasycznych liniach, z różowo-brązowego kamienia. Po murach piął się bluszcz, teraz bezlistny i szary. Latem z pewnością tworzył gruby zielony gobelin. Wokół dziedzińca ciągnęły się ogrody, w których lśniły kałuże z topniejącego śniegu.

Kiedy dotarli do dużych wrót z rzeźbionego ciemnego mahoni, Gerald Owen odwrócił się do gości.

– Zaczekacie tu łaskawie, a ja powiadomię lorda Stephena o waszym przybyciu.

Uklonił się i wszedł do środka.

Korzystając z okazji, Rapsodia rozejrzała się z ciekawością. Twierdza Stephena Navarne stała na szczycie łagodnego wzniesienia, z trzech stron otoczona falującymi wzgórzami, z czwartej lasem. Po drodze Grunthor rzucił uwagę na temat licznych ukrytych fortyfikacji. Według niego mimo spokojnej, harmonijnej architektury zamek był dobrze przygotowany do obrony. Rapsodia zauważyła, że przemyślnie umocnienia zrobiły wrażenie na jej przyjaciółach.

Szambelan zostawił drzwi lekko uchylone, żeby nie zamykać ich gościom przed nosem. Gdy Achmed oparł się o nie niedbale, otworzyły się szerzej. W holu pełnym ech rozbrzmiał głęboki tenor.

– I jest w towarzystwie giganta. Jakiego?

Do ich uszu dobiegła niepewna odpowiedź Geralda Owena:

– Chyba Firbolga, milordzie.

– Wspaniale! Podejrzewam, że na spotkaniu u regenta w przyszłym miesiącu będę jedynym człowiekiem, który jadł obiad z Firbolgiem. Wprowadź ich, z całym szacunkiem należnym gościom.

Na moment zapadła cisza.

– Tak, milordzie.

– Odsuń się, Owen. Sam ich przywitam.

Rozległy się szybkie kroki i chwilę później ciężkie drzwi otworzyły się szeroko. Stał w nich uśmiechnięty mężczyzna mniej więcej wzrostu Achmeda, młody i pełen energii, z pierwszymi nitkami siwizny w jasnych włosach. Podobnie jak u Anborna, drobne zmarszczki stanowiły kontrast z młodzieńczą sylwetką.

Rapsodia przyszło do głowy, że to cecha charakterystyczna wyglądu Cymrian, świadectwo długowieczności, którą zawdzięczali podróży przez czas. Diuk mógł być jednym z nich.

Uklonił się dwornie.

– Witajcie! Jestem Stephen Navarne. Wchodźcie, proszę.

Dał znak szambelanowi. Gerald Owen, nadal lekko oszołomiony, zamrugał i pospiesznie otworzył drugie skrzydło mahoniowych drzwi.

Rapsodia i Grunthor złożyli gospodarzowi uprzejme ukłony, Achmed nieznacznie skinął głową.

– Dziękuję, milordzie – powiedziała dziewczyna. – Mam nadzieję, że nie zjawiliśmy się nie w porę.

– Oczywiście, że nie – zapewnił diuk i uśmiechnął się, mrużąc oczy niebieskie jak górskie chabry. – I proszę, mówcie mi Stephen. Cieszę się z waszych odwiedzin. Muszę podziękować Llauronowi. Czy podróż była spokojna?

Trójka przyjaciół spojrzała po sobie.

– Na ogół – odparł Achmed, uprzedzając Rapsodię.

Lord Stephen zerknął na niego, zaskoczony chropawym głosem, po czym skinął na gości, żeby poszli za nim.

– Jesteście głodni? Wkrótce będzie obiad, ale tymczasem moglibyśmy coś wam podać.

– Nie, dziękujemy – powiedziała Rapsodia za wszystkich.

Do posiłku nakryto w okazałej jadalni ze stołem tak długim, że zmieściłby się przy nim legion gości. Zajmujące południową ścianę wielkie oszklone okno wychodziło na dziedziniec i księżące ziemie. Naprzeciwko znajdował się ogromny kominek. Grunthor rzucił uwagę, że można by na nim upiec wołu, co wzbudziło wesołość pana domu.

– Świetny pomysł! Wypróbujemy go na urodziny Melly, które zbiegają się z pierwszym dniem wiosny, więc zwyczajowo przygotowujemy wielką ucztę.

– Kto to jest Melly?

Diuk wskazał skinieniem głowy wiszący nad kominkiem duży olejny portret w ozdobnej złotej ramie. Przedstawiał smukłą, ciemnowłosą kobietę o nieśmiałym uśmiechu. U jej boku stał mniej więcej siedmioletni chłopiec z wesołymi niebieskozielonymi oczami i mahoniowymi włosami. Siedząca na jej kolanach malutka dziewczynka miała jasne loki i czarne oczka.

– Melly, właściwie Melisande, moja córka. Tutaj, jako niemowlę, z moją żoną Lydią i naszym synem Gwydionem.

– Możemy później poznać twoją rodzinę? – zapytała Rapsodia.

– Dzieci będą zachwycone spotkaniem z wami.

– A żona?

– Jestem wdowcem.

Uśmiech zniknął z twarzy Rapsodii.

– Przykro mi to słyszeć – mruknął Grunthor i ze współczuciem poklepał lorda Stephena po plecach. Nieco zbyt mocno.

– Dziękuję. Minęły już cztery lata. Gwydion chyba pogodził się ze śmiercią matki, a Melisande oczywiście jej nie pamięta. – W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali weszli kucharze. – Siadajcie, proszę, do stołu.

Na stół wjechały jeszcze cztery dodatkowe tace z pieczonym dzikim ptactwem, zanim Grunthor wreszcie się nasycił. Porcelanowe półmiski ze słodkimi bulwami i duszonymi ziemniakami były wymieniane jeszcze dwa albo trzy razy. Rapsodia tylko czerwieniła ze wstydu.

Gospodarz nie zważał na jej zakłopotanie, tylko wołał o dokładki, najwyraźniej zadowolony, że gigantowi odpowiada jego kuchnia. W końcu, po wchłonięciu takiej ilości jedzenia, która wystarczyłaby dla całej armii diuka, Grunthor oznajmił, że ma dość, i wytarł usta serwetką z cienkiego płótna.

– Pycha, ale nie zjem już ani kęsa.

Achmed twierdząco pokiwał głową, a Rapsodia zasłoniła twarz rękami.

– Cieszę się, że wam smakowało – powiedział Stephen, wstając od stołu. – Zapraszam teraz do mojego gabinetu. Poczęstuję was canderiańską nalewką. Llauron napisał, że interesuje was muzeum. Trzeba do niego przejść kawałek drogi, więc przyda się coś na wzmocnienie i rozgrzewkę, prawda?

– Jak najbardziej – odparł Achmed.

Rapsodia spojrzała na niego zaskoczona. Drak rzadko odzywał się przy nowo poznanych ludziach. Jak na niego, wypowiedź była niemal jowialna. Najwyraźniej lord Stephen przypadł mu do gustu jak jeszcze nikt do tej pory.

Ona miała podobne odczucia. Diuka cechowała niespotykana otwartość. We wszystkim, co robił i mówił, wyczuwało się pasję i ciekawość świata.

Lord Stephen podał jej ramię i wskazał drogę Firbolgom.

– Tędy, proszę.

Ruszył ku drzwiom znajdującym się w ścianie kominkowej. Skórzane podeszwy jego butów stuknęły głośno o wypolerowaną marmurową posadzkę.

– Llauron pisze, że wiecie o napaściach – zagał Stephen, wręczając Achmedowi szklaneczkę nalewki.

Drak stał przy dużym oknie wychodzącym na wschód i patrzył na łagodne wzgórza Navarne. Po dziedzińcu goniło się ze śmiechem dwoje dzieci. Na ich widok twarz diuka rozjaśnił uśmiech.

– Gwydion i Melisande – powiedział, odwracając się do Rapsodii.

– Napomknął to i owo – odparł Achmed niedbałym tonem i skinieniem głowy wskazał potężny kamienny mur, jeszcze nieukończony, który ciągnął się na północ niemal po horyzont. – Dlatego wznosicie wały obronne?

Grunthor siedział rozparty na skórzanej sofie, z nogami opartymi na stoliku. Gospodarz podał mu szklaneczkę ciemno-bursztynowego płynu i wrócił do dwójki gości wyglądających przez okno.

– Tak. Navarne to przede wszystkim małe wioski i osady składające się z dwóch lub trzech gospodarstw, a z mojego zamku do stolicy jest kilka dni jazdy. Gdy najbliższy posterunek znajduje się w odległości dwóch dni drogi, wieś zostanie całkiem zniszczona i nikt nie dowie się o tym przez wiele tygodni. Z początku próbowałem gęściej rozmieszczać oddziały, ale nic to nie dało. Postanowiłem więc otoczyć murem jak największy obszar. Zaprosiłem wieśniaków, żeby przenieśli się w obręb nowej fortecy, i część tak zrobiła. Inni woleli ryzykować, zostając na swojej ziemi. Uszanowałem ich wolę. Teren wewnątrz wałów z czasem się zaludni, co niewątpliwie zakłóci mi spokój, ale to niewielka cena za bezpieczeństwo moich poddanych. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy te środki ostrożności cokolwiek pomogą, ale póki oddycham, muszę spróbować każdego rozwiązania.

– To cecha dobrego przywódcy – stwierdziła Rapsodia, obserwując murarzy.

Na podstawie ich wzrostu oceniła, że kamienna ściana ma ponad dziesięć łokci wysokości. Wrogowie, których chciał powstrzymać lord Stephen, musieli być naprawdę groźni.

Twarc księcia spoważniała po raz pierwszy, odkąd go poznali.

– Mam też osobisty powód, żeby podejmować tego rodzaju działania. Ofiarami jednego z najazdów były moja żona i jej siostra.

Wyjrzał na podwórzec, z którego po nadejściu odwilży całkiem zniknął śnieg. Wesołe śmiechy dzieci nagle zabrzmiały jak dysonans.

Choć lord Stephen mówił bez bólu, jedynie ze smutkiem, serce Rapsodii ścisnęła żal.

– Szczerze współczuję – powiedziała.

Diuk pociągnął duży łyk ze szklaneczki.

– To było cztery lata temu. Melisande dopiero zaczęła chodzić. Lydia wybrała się do Navarne, żeby kupić jej buty. Moja żona i szwagierka bardzo lubiły wyprawy do miasta. Mogły się wtedy do woli nagadać, złożyć parę wizyt. Córka z nimi nie pojechała, bo, szczęście w nieszczęściu, złapała przeziębienie. W drodze powrotnej zostały napadnięte przez oddział lirińskich żołnierzy. Oszczędzę ci szczegółów, powiem jedynie, że kiedy ją znalazłem, ścisnęła w rękach buciki. Nie nadawały się do użytku; plamy krwi nie zeszły.

Rapsodii łyki napłynęły do oczu, natomiast Achmed i Grunthor tylko uprzejmie pokiwali głowami. Z pewnością nie była to najstraszniejsza historia, z jaką się w życiu zetknęli.

– Najdziwniejsze, że żołnierze schwytani na gorącym uczynku wypierali się udziału w masakrze, choć nie istniały najmniejsze wątpliwości co do ich winy. Nawet idąc na śmierć, każdy z nich przysięgał, że nic nie wie o napaści. Lirinowie są naszymi sąsiadami i znam ich dobrze. Zawsze uważałem ich za szlachetną rasę. Uchylenie się od odpowiedzialności za własne czyny jest zupełnie do nich niepodobne. Patrząc na egzekucję, prawie wyzbyłem się nienawiści. Wszyscy sprawiali wrażenie kompletnie oszołomionych. Bardzo dziwne.

Bolgowie wymienili spojrzenia.

– Rzeczywiście. Czy tylko Lirinowie atakują wasze wioski i miasta? – zapytał Achmed.

– Nie, i to również jest osobliwe w tych napaściach. Biorą w nich udział także obywatele Rolandii. Prawdę mówiąc, na podobnych okrucieństwach, do których dochodziło w innych prowincjach i w Tyrianie, przyłapywano nawet żołnierzy z Navarne. Przysięgam na życie syna i córki, że nie wysyłałem tam żadnych oddziałów. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Najgorsze, że nowym celem ataków są teraz dzieci.

Otworzył okno i zawołał:

– Gwydion, Melisande, chodźcie na górę!

Brat i siostra przerwali zabawę i z rezygnacją ruszyli przez dziedziniec. Stephen zaczął, aż dotrą do drzwi, w których już stał szambelan. Potem odwrócił się do gości.

– Przepraszam, ale ostatnio zniknęło prawie dwadzieścioro dzieci z naszej prowincji. Niektóre wykradziono spod ich własnych domów. Ciało innych nie znaleziono w miejscach potyczek, więc tylko się domyślamy, że zostały porwane, być może na sprzedaż. Odzyskano tylko jedno, kiedy ojciec i wuj pojechali za napastnikami, pochodzącymi zresztą z Navarne. I tym razem złoczyńcy przysięgali, że nie mają pojęcia, skąd wzięły się przy nich dzieci, choć trzymali je pod strażą. Zupełnie jakby cały kraj nagle stracił pamięć.

Lord Stephen wychylił nalewkę i odstawił szklaneczkę na biurko, a następnie pociągnął za sznurek dzwonka. Chwilę później w progu stanęła służąca.

– Tak, milordzie?

– Rosello, wykąp dzieci, daj im czyste ubrania i przyprowadź do gości.

Kobieta skinęła głową i wyszła, rzucając kosę spojrzenie na potwora, który opierał nogi o stół jej pana.

Godzinę później drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wpadły dzieci. Rzuciły się do ojca. Stephen przykląkł i otworzył ramiona. Uściskał córkę i syna tak mocno, że zaczęli chichotać.

W pewnym momencie dziewczynka zauważyła Rapsodię. Przestała się śmiać.

– Tatusiu, kto to jest?

Lord Stephen przestał baraszkować z chłopcem.

– Zachowujesz się niegrzecznie – upomniał córkę dokładnie takim samym tonem, jakiego używał ojciec Rapsodii. – To nasi goście. Zaprosiłem was tutaj, żebyście ich poznali. Ta pani ma na imię Rapsodia. Zdaje się, że masz jej coś do powiedzenia.

Dziewczynka nadal patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, podobnie jak brat. Na twarzy diuka odmalowało się ojcowskie niezadowolenie. – No. Melly?

– Jesteś piękna – powiedziała dziewczynka z zachwytem.

Stephen poczerwieniał z zakłopotania.

– Oczywiście masz rację, ale nie o to mi chodziło.

– Lecz w zupełności wystarczy – odezwała się Rapsodia wesoło. Bolgowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Szybko jednak uświadomili sobie, że ich nadzieja jest złudna.

Bajarka z uśmiechem podeszła do dzieci.

– Miło was poznać, Melisande i Gwydionie. Mogę wam przedstawić moich dwóch przyjaciół, Achmeda i Grunthora?

Dziewczynka nie odrywała oczu od jej twarzy, natomiast Gwydion przeniósł wzrok na Firbolgów i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Cześć – powiedział, wyciągając rękę do Grunthora.

Wielkolud uściśnął dłoń chłopca, starając się nie zadrapać go pazurami. Gwydion ruszył następnie w stronę okna i uklonił się lekko Achmedowi.

– Będiesz moją nową mamą? – zapytała Melisande.

Tym razem na twarzy Rapsodii odmalował się taki sam wyraz zakłopotania jak na obliczu lorda Stephena. Grunthor zaśmiał się głośno.

– Mój staruszek zawsze mawiał, że dzieci to jedyne, co nie pozwala człowiekowi żyć wiecznie, bo z ich powodu umiera się ze wstydu co najmniej raz dziennie.

– Gdyby rzeczywiście tak było, odwiedzalibyście mnie teraz na cmentarzu – odparł diuk ze śmiechem. – Przepraszam za córkę, pani.

– Niepotrzebnie – odparła Pieśniarka i ukucnęła przed dziewczynką. – Jesteś śliczna. Ile masz lat, Melisande?

– Pięć. Chciałabyś mieć córeczkę?

Lord Stephen już otwierał usta, lecz Rapsodia powstrzymała go gestem i ujęła drobne rączki Melly. W czarnych oczach dostrzegła samotność, od której ścisnęło się jej serce. Wiedziała doskonale, co czuje dziecko pozbawione matki.

– Tak, ale tylko taką wyjątkową jak ty.

– Nie lubisz chłopców? – zapytał Gwydion od okna.

Achmed uśmiechnął się mimo woli.

– Gdyby ktoś mnie potrzebował, idę do wielkiej sali – oznajmił diuk. – Zamierzam skoczyć z balkonu.

Rapsodia przeniosła wzrok na książęcego syna.

– Owszem, bardzo lubię chłopców – zapewniła z powagą i dodała: – Gdyby wasz tata się zgodził, mogłabym was oboje adoptować.

Stephen chciał coś powiedzieć, lecz uprzedziła go, zwracając się do Melisande.

– Ale chyba nie byłby to dobry pomysł, bo sporo podróżuję i nigdy nie przebywam długo w jednym miejscu. Mogę natomiast zostać waszą honorową babcią.

– Babcią? – powtórzył Gwydion z powątpiewaniem. – Nie jesteś aż taka stara.

Rapsodia uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Owszem. Widzicie, jestem pół-Lirinką, więc starzeję się inaczej niż zwykli ludzie. Wierzcie mi, że nadaję się na babcię.

– Co by to dla nas oznaczało? – spytał Gwydion, pocierając brodę kciukiem i palcem wskazującym, dokładnie w taki sposób jak ojciec, kiedy się nad czymś zastanawiał.

Rapsodia wyprostowała się i prowadząc Melisande za rączkę, podeszła do biurka. Usiadła, wzięła małą na kolana. Skinęła na Gwydiona. Chłopiec podszedł i ujął jej wyciągniętą dłoń.

– Po pierwsze i najważniejsze, będziecie dla mnie wyjątkowi i najdrożsi na świecie. Po drugie, codziennie rano o wschodzie słońca i wieczorem, kiedy pojawiają się gwiazdy, pomyślę o was, odmawiając modlitwy. Śpiewam je niebu, więc może kiedyś mnie usłyszycie. Kto wie? Gdy poczujecie się samotni, przypomnijcie sobie, że ktoś o was myśli z miłością. Może zrobi się wam lżej na sercu.

– Będziesz nas kochać? – spytała Melly ze łzami w oczach.

Rapsodia z trudem się opanowała.

– Tak. Już kocham.

– Naprawdę? – zapytał jej brat z niedowierzaniem.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Nigdy bym was nie okłamała, zwłaszcza w takiej sprawie.

Zerknęła na Stephena i dostrzegła podziw w jego oczach. Ogarnął ją strach, że za wiele sobie pozwala.

– Postaram się was odwiedzać. Będę przysłać prezenty i listy, ale najważniejsze będzie tutaj. – Pokazała na swoje serce. – Co wy na to? Chcecie zostać moimi pierwszymi wnukami?

– Tak! – zawołał Gwydion.

Melisande tylko kiwnęła głową, zbyt przejęta, żeby mówić. Rapsodia podniosła wzrok na diuka i zrobiło się jej nieswojo. Zbyt śmiało sobie poczyniała jak na osobę, o jej statusie, nadużyła gościnności, wykazała się brakiem dobrego wychowania.

– To znaczy, jeśli wasz tata się zgodzi.

– Oczywiście – rzucił lord Stephen pospiesznie, uprzedzając błagania dzieci. – Dziękuję. No, a teraz pora do łóżek.

W tym momencie pożałował, że Rapsodia nie rozważyła pierwszej prośby Melisande. Odwrócił się do Achmeda.

– Zajrzemy do muzeum?

Mały budynek z takiego samego różowo-brązowego kamienia jak zamek stał na uboczu, ciemny, zamknięty na głucho. Przy drzwiach nie płonęły pochodnie.

Kiedy szli w jego stronę, zaczął sypać śnieg. Ponieważ nadciągnął zmierzch, Rapsodia przystanęła na chwilę, żeby odśpiewać wieczorne vespery. W rezultacie wszyscy w twierdzy przerwali swoje zajęcia. Melisande i Gwydion, którzy obserwowali ją z balkonu, wzniesli okrzyki, kiedy skończyła. Rapsodia wybuchnęła śmiechem, ale się zarumieniła.

– Idźcie do łóżek! – krzyknął groźnie lord Stephen. Podał Rapsodii ramię. W drugiej ręce trzymał pochodnię. Przy drzwiach wyjął z kieszeni płaszcz ogromny mosiężny klucz ozdobiony ślimacznicą. Przekręcił go w zamku z wyraźnym trudem; muzeum chyba nie było często odwiedzane. Grunthor pomógł mu otworzyć skrzypiące wrota.

W blasku pochodni kamienna budowla, pełna eksponatów i posągów, których nikt nie oglądał, bardziej przypominała mauzoleum. Lord Stephen szedł przez niewielkie pomieszczenie i długim knotem na mosiężnym uchwycie zapalał kinkiety z giętego szkła. Gdy skończył, we wnętrzu na tyle pojaśniało, że można by nawet czytać.

– Imponujące. Te świeczniki dają sporo światła – zauważyła Rapsodia.

– Wynalazek przywódcy Cymrian, lorda Gwyllliama ap Rendlara ap Evandera tuatha Gwyllliama, czasami zwanego Gwyllliamem Wizjonerem. Miał wiele talentów, był wynalazcą i inżynierem, miał świetne pomysły. Kinkiety są zrobione ze szkła, które najpierw rozgrzano, a następnie wygięto na metalowym walcu, tak że światło odbija się od lśniącej powierzchni i jest przez nią wzmacniane.

– Słyszałam o lordzie Gwylliamie.

Tymczasem Achmed i Grunthor oglądali malowidła i rzeźby. W pewnym momencie olbrzym zatrzymał się przed wąskimi schodami i spojrzął w górę, jakby oceniał, czy się zmieści, po czym ruszył dalej.

– Czy to jego pełne imię? – zapytała Rapsodia.

– Tak – odparł Stephen z zapalem. – Kiedy pierwsza i trzecia flota spotkały się po pięćdziesięciu latach i postanowiły, że wraz z drugą stworzą jedno państwo, pojawił się kłopot z nazwiskami. Cymrianie nie wiedzieli, czy brać je od floty, z którą tu przybyli, od rodu czy rasy, zwłaszcza że każda rasa miała w tej kwestii własne zwyczaje. Wymyślili więc prosty system, który mogli przyjąć wszyscy. Po imieniu następowały imiona dwóch przodków tej samej płci, a dalej imię przedstawiciela pierwszej generacji, od którego się wywodził. Ojcem lorda Gwyllliama był król Rendlar, jego dziadkiem król Evander, a on sam należał do pierwszego pokolenia.

– Rozumiem.

Nagle przejął ją zimny dreszcz. Lord Stephen przy okazji odpowiedział na część pytania, które kiedyś zadał Achmed. Ile czasu upłynęło między ich wędrówką korzeniem Wielkiego Drzewa a przybyciem flot do nowej ziemi? Choć diuk nie wymienił żadnych dat, było oczywiste, że między Trinianem, który szykował się do koronacji, kiedy opuszczali Serendair, a Gwylliamem panowało co najmniej kilku królów.

Zerknęła na Achmeda. Drak pilnie studiował gruby wolumin z projektami architektonicznymi sporządzonymi przez Gwylliam, ale wiedziała, że uważnie słucha ich rozmowy.

– A tak przy okazji, to kopia – wyjaśnił gospodarz. – Oryginały zbutwiały i rozpadły się dawno temu. Kolejne pokolenia miały swoich historyków, których zadaniem było, między innymi, kopiowanie najważniejszych dzieł, żeby je zachować dla potomności. Obawiam się, że w tym procesie pominięto wiele cennych szczegółów.

– Ile pokoleń przeminęło od czasu lądowania? – zapytał Achmed z obojętną miną, nie odrywając wzroku od planu systemu wentylacyjnego.

Lord Stephen stał przed regałem z równo ustawionymi manuskryptami.

– Pięćdziesiąt trzy. – Zdjął z półki księgę oprawioną w skórę i zdmuchnął z niej kurz. – To jest podręcznik starosereńskiego wraz ze słownikiem, o który prosił Llauron. – Wręczył tom Rapsodii. – Obawiam się jednak, że nie jest kompletny. Niewiele wiadomo o tym języku.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Kim są ci brzydcy ludzie? – zapytał Grunthor, wskazując małe posążki.

Diuk zaśmiał się, podchodząc do Bolga.

– To Manteidy, prorokinie: Manwyn, Rhonwyn i Anwyn, którą tutaj widać także razem z mężem Gwylliamem. Dziwna mieszanka ras. Ich ojcem był starożytny Seren, wysoki, szczupły, o złotej skórze, natomiast matką – miedziana smoczyca. Powinniście zobaczyć obrazy. Na nich są jeszcze paskudniejsze. Manwyn ma płomiennie-rude włosy, a oczy jak lustra.

– Ma? – powtórzyła Rapsodia. – To ona jeszcze żyje?

– Tak. Jest wieszczką w mieście Yarim. Tam stoi jej świątynia, chyba że już się zawaliła.

– Ile masz lat, panie? – zapytał Grunthor wprost. – Należysz do pierwszej generacji?

Stephen wybuchnął śmiechem.

– Nie. Skończyłem pięćdziesiąt sześć lat, czyli, jak sędzę, przeżyłem jedną trzecią życia. Jestem niemowlęciem w porównaniu z przedstawicielami pierwszego pokolenia. – Raptem spoważniał. – Chętnie odpowiem na wasze pytania, ale musicie wiedzieć, że inni Cymrianie i ich potomkowie są bardzo skryci. Wielu wstydzi się swojego pochodzenia, choć taki sam rodowód mają wszyscy książęta Rolandii i większość benisonów. Dziwne, poplątane losy.

– Co jest na górze? – zainteresował się Achmed.

Stephen natychmiast się ożywił. Niemal podbiegł do schodów.

– Chodźcie, pokażę wam.

W pomieszczeniu na górze stał duży posąg miedzianego smoka ozdobiony klejnotami i złoceniami, teraz zmatowiałymi. Gotowa do skoku bestia wyglądała jak żywa, miała ostre pazury i kły, stalowe mięśnie, dzikość w oczach.

– Oto jej wysokość smoczyca Elynsynos, która rządziła tymi ziemiami, nim przybyli Cymrianie – wyjaśnił Stephen. – Podobno była bardzo groźna. Od początku czasu skutecznie broniła swojej krainy przed ludźmi, póki nie zjawił się Merithyn Odkrywca.

Zaprowadził gości pod przeciwległą ścianę, na której wisiały obrazy. Na jednym z nich, pod portretem surowego mężczyzny w mitrze i z amuletem na szyi, widniał sam lord Stephen, tylko trochę młodszy.

Wszyscy przedstawieni na obrazach mieli podobne nakrycia głowy i szaty jak człowiek o zaciętej twarzy.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Rapsodia.

– Ten na końcu to patriarcha, teraz dużo starszy, a pozostałych pięciu to służący mu benisonowie. W dolnym rzędzie widzimy diuków rządzących ziemiami, na których benisonowie mają swoje diecezje. Z wyjątkiem tego. – Pokazał na nieco starszego od siebie mężczyznę o takich samych niebieskich oczach i kasztanowych włosach. – Tristan Steward, lord regent Rolandii i jednocześnie księżę Bethany, największej prowincji. Choć każda kraina teoretycznie jest samodzielna, lord regent dowodzi armią i ustanawia prawa, których reszta musi przestrzegać. Zwykle nie ma z tym kłopotów; w większości jesteśmy spokrewnieni. Tristan to mój kuzyn.

Rapsodia pokiwała głową.

– Dlaczego portrety diuków są umieszczone pod podobiznami duchownych?

Stephen się uśmiechnął.

– Trafne spostrzeżenie. Cóż, to po prostu wyraz tradycyjnego konfliktu między Kościołem a państwem. Biedny obywatel musi wybierać, czy będzie lojalny wobec Stwórcy, czy wobec suwerena. Oczywiście, tylko cymriańskie rody królewskie mają czelność uważać, że ten wybór powinien istnieć.

Rapsodia skwitowała komentarz śmiechem. Oczy lorda Stephena iskrzyły się wesołością.

– W moim wypadku sytuacja przedstawia się trochę inaczej, gdyż benison Navarne jest równocześnie Błogosławiącym Avonderre, diecezji najpotężniejszej nie tylko w Rolandii, ale chyba na całym kontynencie. Jego jedynym rywalem jest Błogosławiący Sorboldu, zarazem głowa całego Kościoła, a nie tylko dwóch małych prowincji. Nienawidzą się szczerze. Tylko Stwórca wie, co się stanie, kiedy obecny patriarcha umrze. W każdym razie Navarne, Błogosławiący Avonderre, nie wtrąca się zbyt w tutejszą politykę, z czego bardzo się cieszę. Ma swoje własne cele... Tam pod szkłem umieszczone są ryciny bazylik, najlepszych zachowanych arcydzieł cymriańskiej architektury. Wprawdzie górskie miasto Canrif było

dużo bardziej imponujące, ale zostało zniszczone przez Bolgów, którzy opanowali ziemie Gwyllliama. Bez obrazu, Grunthorze.

– Nie wziąłem sobie tego do serca – rzucił olbrzym z roztargnieniem, zajęty oglądaniem rzeźby smoka.

Rapsodia doszła do wniosku, że lord Stephen najwyraźniej nie domyśla się, z jakiej rasy pochodzi Achmed. Nic dziwnego. Ona też z początku nie zdawała sobie sprawy, że jej drugi towarzysz podróży jest Firbolgiem. Ruszyła za gospodarzem.

– Oto dobry przykład połączenia cymriańskiego geniuszu, kultury, wierzeń religijnych i filozofii. Starożytni Cymrianie wierzyli, że pięć świętych żywiołów jest źródłem wszelkiej mocy we wszechświecie, dlatego wzniesione przez nich bazyliki są w pewnym sensie hołdem dla każdego z nich.

Rapsodia z zainteresowaniem przyjrzała się grawiurom. Wszystkie wykonał ten sam artysta, przedstawiając najdrobniejsze detale architektoniczne, czasami nawet pojedyncze kamienie, z których zbudowano świątynie.

Najbardziej oryginalna okazała się bazylika w Avonderre, w kształcie dziobu wielkiego statku wbitego w plażę u stóp skalnego urwiska. Na drugiej rycinie można było zobaczyć część kompleksu widoczną tylko przy odpływie. Z pewnością o tej właśnie budowli opowiadali jej Bolgowie.

Lord Stephen uśmiechnął się, zadowolony z wrażenia, jakie wywarła na gościu jego kolekcja.

– To nadmorski kościół Jedyne Boga, Pana Morza, w starożytnym języku Abbat Mythlinis.

Rapsodia odwzajemniła uśmiech. „Abbat Mythlinis” znaczyło „ojciec zrodzonych z oceanu”, prastarej rasy, znanej w starym świecie pod nazwą Mythlin. Zerknęła na Achmeda i Grunthora, ale na szczęście nie dostrzegła na ich twarzach śladu rozbawienia; obaj spokojnie oglądali eksponaty.

– Cymrianie zbudowali bazylikę z drewna wielkich statków, na których opuścili wyspę przed jej zatonięciem, a fale oceanu wciąż na nowo ją uświęcają – wyjaśnił Stephen. – Uciekinierzy potrzebowali w nowym świecie sanktuarium, do którego nie miałyby dostępu złe moce. Dlatego pierwszymi trwałymi budowlami, jakie wzniesli po wylądowaniu, były wieże obronne, a zaraz po nich kościoły. Pierwsza flota właśnie w Avonderre przybiła do brzegu, więc otaczamy tamto miejsce czcią.

Rapsodia pokiwała głową i przeniosła wzrok na portrety pięciu benisonów. Zielononiebieską szatę Błogosławiącego Avonderre ozdobił talizman w kształcie kropli wody. Patriarcha w złotym stroju miał na piersi srebrną gwiazdę. Benison, którego bazylikę poświęcono ogniewi, nosił ubiór w kolorze płomieni i taką samą mitrę, a na łańcuszku złote słońce, w środku którego znajdowała się spirala z czerwonych kamieni szlachetnych. Na szyi

jego sąsiada odzianego w barwy ziemi wisiał mały globus, podobny do tego, który widziała u Llaurona. Dwaj ostatni dostojnicy, ubrani na biało, nie mieli żadnych amuletów.

– A ta świątynia? – zapytała, patrząc na okrągłą budowlę z marmuru, składającą się z umieszczonych na kilku poziomach kręgów z siedzeniami dla wiernych. Dziedziniec ozdobiono wielkimi mozaikami ułożonymi w kształt płomieni, co z góry wyglądało jak słońce w całej glorii.

– To jest kościół Jedyne Boga, Ognia Wszechświata, po starocymriańsku Vrackny.

Rapsodia zbladła. W rzeczywistości Vrackna było imieniem złego boga ognia z czasów politeizmu. Lord Stephen najwyraźniej o tym nie wiedział.

– W sanktuarium pali się wieczny płomień, zasilany ogniem wydobywającym się z wnętrza ziemi. Dzięki niemu miejsce zawsze pozostaje święte.

– Czy to bazylika patriarchy?

– Nie, Bethany jest stolicą polityczną Rolandii, natomiast religijną – Sepulvarta, suwerenne miasto-państwo. Właśnie tam znajduje się Cytadela Gwiazdy. Modli się w niej tylko patriarcha, choć wierni przychodzą na msze.

– Nie rozumiem, na czym polega różnica.

– W naszej religii tylko patriarcha modli się bezpośrednio do Boga.

– Dlaczego?

– Tylko on jest godzien komunikować się ze Stwórcą.

Rapsodia ściągnęła brwi, ale powstrzymała się od uwag.

– Do kogo modli się reszta?

– Do patriarchy. My dokonujemy stosownych obrzędów i przekazujemy nasze prośby szeregowym kapłanom, czyli wyświęconym. Ci z kolei zanoszą je patriarsze, a on Najwyższemu. W ten sposób modlitwa ma większą moc, bo stoją za nią dusze wszystkich wiernych.

– Rozumiem. – To, co usłyszała, było tak dalekie od jej wiary, że porzuciła temat i przyjrzała się następnej rycinie. – Bardzo interesująca.

Stephen się rozpromienił.

– To Cytadela Gwiazdy, o której przed chwilą wspomniałem, kościół Jedyne Boga, Światła Wszechświata, czyli Lianta'ara.

Już lepiej, pomyślała Rapsodia. „Lianta'ar” oznaczało w staro-cymriańskim „przynoszący światło”.

– Stoi wysoko na wzgórzu w świętym mieście-państwie Sepulvarcie. Jej rotunda to największa znana budowla tego rodzaju. Jako siedziba patriarchy jest w środku imponująco urządzona. Lecz bardziej mi się podoba ta część Sepulvarty.

Wskazał ogromny minaret, który pośrodku miasta wystrzelał pod niebo.

– To Iglica, prawdziwy architektoniczny cud. W tym momencie jestem nieskromny, bo jej budowniczym był mój pradziadek.

Rapsodia zrobiła minę wyrażającą podziw.

– Sięga na wysokość pięciuset łokci. Wińczy ją błyszcząca gwiazda, symbol patriarchy, widoczny z odległości wielu mil. Podobno Iglica służy patriarsze do porozumiewania się z Bogiem. Światło gwiazd uświęca ją każdej nocy.

– A w noc, kiedy niebo jest zasnute chmurami? – zapytał Achmed z drugiego końca pokoju.

– To, że nie można zobaczyć gwiazd, nie oznacza, że ich nie ma – odparł Stephen. – Iglicę oświetla część prawdziwej gwiazdy, żywioł zwany eterem.

– Fascynujące – stwierdziła Rapsodia. – A pozostałe świątynie?

– Bazylika w Bethe Corbair, poświęcona wiatrowi, jest kościołem Jedynego Boga, Ducha Powietrza albo inaczej Ryles Cedeliana.

„Oddech życia”, przetłumaczyła w myślach i zerknęła na towarzysza. Drak przyglądał się umieszczonej pod szkłem desce, którą morze wyrzuciło na brzeg.

– Wyróżnia ją dzwonnica, w której wisi osiemset siedemdziesiąt sześć dzwonów, po jednym na każdy ze statków, które opuściły Serendair z uciekinierami na pokładzie – ciągnął Stephen. – Budowla stoi na wzniesieniu w centrum miasta. Zachodnie wiatry przelatujące na wylot przez pustą wieżę wprawiają dzwony w ruch. Ich muzyka jest wyjątkowa, uświęca teren, na którym postawiono bazylikę. Koniecznie musisz jej kiedyś posłuchać, Rapsodio.

– Na pewno złoży wizytę w tym mieście – przyrzekła dziewczyna z uśmiechem. – Który benison jest Błogosławiącym Bethe Corbair?

– Lanacan Orlando. Ten drugi to Colin Abernathy, którego diecezja znajduje się w jednym z niezrzeszonych państw leżących na południu. Podobnie jak Sorbold nie wchodzi ono w skład Rolandii i dlatego nie ma swojej bazyliki.

– A ta ostatnia?

– To kościół Jedynego Boga, Króla Ziemi, inaczej Terreanfora.

Rapsodia pokiwała głową. Było to jedyne dokładne tłumaczenie, jakie dzisiaj usłyszała.

– Wyciosano go w stoku Nocnej Góry. Nigdy nie dociera do niego światło, nawet w środku dnia. Góra otoczona jest czią, bo Sorbold to jałowa, pustynna kraina, spalona przez słońce. Choć w tamtejszej religii zachowały się ślady dawnych pogańskich wierzeń, mieszkańcy wielbią Jedynego Boga. Według nich ziemia, po której stąpamy, żyje od czasu stworzenia świata, a Nocna Góra jest jednym z Żywych Kamieni. Obrót naszej planety uświęca teren wokół bazyliki. Byłem tam kiedyś i uważam, że Sorboldczycy mają rację. To miejsce magiczne.

– Dziękuję za wspaniały wykład – powiedziała Rapsodia. – Muszę odwiedzić każdą ze świątyń.

– Co to jest? – zapytał Grunthor.

W rogu pomieszczenia, w niewielkiej niszy, przed którą umieszczono rząd świec wotywnych, stał stół nakryty misternie haftowanym obrusem, jakie widuje się na ołtarzach.

Leżał na nim złoty sygnet, wyszczerbiony sztylet i rozerwana bransoletka z plecionych rzemyków. Całość wyglądała raczej jak ołtarzyk niż muzealny eksponat.

Do ściany była przybita mosiężna tabliczka z wrytym kunsztownym wzorem i napisami. Rapsodia nachyliła się, żeby je odczytać, ale warstwa patyny okazała się zbyt gruba. Sięgnęła więc do plecaka i wyjęła z niego chustkę oraz małą buteleczkę.

– Wyciąg z oczaru i lipy. Mogę spróbować?

Lord Stephen kiwnął głową, ale wyraźnie spochmurniał.

Gdy odkorkowała flakonik, w powietrzu rozszedł się ostry zapach. Wylała trochę płynu na szmatkę i zaczęła czyścić tabliczkę. Po chwili ukazały się pierwsze słowa.

Gwydion z Manosse.

Spojrzała pytająco na diuka. Jego twarz przypominała teraz maskę.

– To wszystko, co zostało po moim najlepszym przyjacielu, nieżyjącym od dwudziestu lat.

– Bardzo mi przykro. Stał się kolejną ofiarą tych dziwnych napaści?

Stephen delikatnie wytarł kurz z drogich pamiątek.

– Pierwszą z nich.

Odłożył sygnet i nóż na stolik.

– Nie żyje od dwudziestu lat? – odezwał się Achmed. – Od tak dawna powtarzają się ataki?

– Oczywiście wiadomo, że bandyci mordowali niewinnych podróżnych, napadali na wioski i łupili je na długo przed tym, nim zaczęto spisywać historię. Nie sądzę jednak, żeby byle zbójce pokonali mojego przyjaciela. Gwydion był bardzo silny, szybki i dobrze uzbrojony. Jego zabójca musiał być dziki i potężny ponad wszelkie wyobrażenie.

– Może to jakieś zwierzę? – spytał Grunthor.

Stephen wzruszył ramionami i westchnął.

– Nie wiem. Możliwe, sądząc po ranach. To ja go znalazłem. Od razu wiedziałem, że umiera. Miał rozdartą klatkę piersiową, widziałem pulsujące serce. Krew wsiąkała w ziemię. Bałem się go ruszyć, żeby nie wypadły wnętrzności. Obandażowałem Gwydiona, przykryłem płaszczem i popędziłem po jego ojca. Ten natychmiast wysłał mnie konno po wielkiego filidzkiego uzdrowiciela Khaddyra, a sam ruszył po syna. Zanim wróciłem z kapłanem, Gwydion nie żył od dwóch dni. Umarł wkrótce po tym, jak go zostawiłem. Dobrze przynajmniej, że zdążyłem się z nim pożegnać, kiedy opuszczał ten świat. Jeśli chodzi o Lydię, los nie był taki łaskawy. – Odwrócił wzrok i zacisnął szczęki. – Przepraszam. Chyba powinienem już się z tym uporać.

Rapsodia pogłaskała go po ramieniu współczującym gestem.

– Nie ma określonego czasu na żałobę, milordzie. Gojenie ran trwa tyle, ile musi. Nie można przyspieszyć tego procesu.

Lord Stephen nakrył ręką jej dłoń i znowu westchnął.

– Tak. Myślę, że śmierć Gwydiona w pewnym sensie ułatwiła mi pogodzenie się z odejściem Lydii. Przyjaźniliśmy się od dzieciństwa. Poznaliśmy się w Manosse, skąd pochodziła jego matka. W końcu obaj przyjechaliśmy tutaj; on, żeby zamieszkać z ojcem, a ja żeby przejąć książęce obowiązki po śmierci mojego. Byliśmy sobie bliżsi niż bracia. Mój syn jest jego imiennikiem. Śmierć Gwydiona stanowiła ostrzeżenie przed tym, co nadchodziło, ale i tak nie zdołaliśmy zapobiec niebezpieczeństwu.

– Wspomniałeś, panie, że ostatnio najeźdźcy porywają dzieci – zauważył Achmed.

– Tak, przynajmniej w Navarne i w kraju Lirinów. Moi zwiadowcy donoszą, że napaści mają miejsce stąd po Bolglandię na wschodzie, Sorbold i niezrzeszone państwa na południu oraz Hintervold na północy. Trudno powiedzieć, czy wszędzie dzieje się to samo. Cóż, skoro już wszystko obejrzelście, chyba wrócimy do zamku.

Mężczyźni zajęli się gaszeniem świec, a Rapsodia ostrożnie wzięła do ręki sygnet, obróciła go w palcach i przyłożyła do policzka.

Dotyk chłodnego metalu wydał się jej dziwnie kojący. Spojrzała na herb przedstawiający smoka owiniętego wokół drzewa. Ten symbol widziała w muzeum co krok.

Wspomnienia to pierwsze źródło wiedzy...

Aż zamrugała zdziwiona. Dziwna myśl. Przecież nigdy wcześniej tu nie była, nie widziała pierścienia, nie słyszała o Gwydionie z Manosse. Może po prostu wzruszyła ją pamięć Stephena o przyjacielu.

Zacząła cicho nucić melodię, która czasami pomagała jej ujrzeć właściciela danego przedmiotu. W jej umyśle pojawił się na chwilę zamazany obraz mężczyzny wijącego się z bólu. Tę samą wizję miała w czasie wędrówki wzdłuż Axis Mundi. Upuściła sygnet.

Mężczyźni już wychodzili, ale Grunthor przystanął na szczycie schodów i obejrzał się na nią.

– Idziesz, księżniczko?

Rapsodia skinęła głową i ruszyła do wyjścia. Mijając rzeźbę smoka, spojrzała w jego oczy, błyszczące groźnie w nikłym blasku pochodni. Zerknęła przez ramię na ołtarz pograżony teraz w ciemności.

– Szkoda, że mnie przy tobie nie było – szepnęła.

Światła na wieży gasły jedno po drugim. Lśniący różowy kamień zmatowiał w mroku, zrobił się brązowy. Dziedziniec był cichy, spowity mgłą.

Achmed wyglądał przez okno, póki lampiarze nie skończyli pracy. Potem ruszył do drzwi i nasłuchiwał przez chwilę, po czym uchylił je cicho. Stwierdziwszy, że korytarz jest pusty, zadowolony cofnął się do pokoju. Nalał sobie najlepszego trunku lorda Stephena i usiadł na krześle obok łóżka Grunthora.

– Było mi dużo łatwiej, kiedy znałem miliony rytmów serc – powiedział z kwaśną miną.
– Teraz nigdy nie wiem, kto się skrada.

Olbrzym przestał rozsznurowywać buty i popatrzył na niego bystrym wzrokiem.

– Jest tutaj, prawda?

Achmed nachylił się, ściskając szklanekę w dłoniach.

– Nie wiem – odparł cicho. – Podejrzewam, że tak, ale nie jestem pewny, czy to ta sama istota.

Wielki but spadł z hukiem na podłogę.

– Widziałeś amulet?

Drak pokiwał głową.

– Bardzo podobny. Ale przecież Llauron mówił, że MacQuieth zabił Tsoltana. Ktoś inny mógłby pokpić sprawę i wypuścić demona, żeby poszukał sobie innego gospodarza, lecz nie on. Taką mam nadzieję.

– Co robimy?

Achmed przysunął się tak blisko, że nawet ktoś stojący w odległości paru kroków nie usłyszałby jego słów.

– Nic się nie zmieniło. Idziemy na wschód. Moc jest tam, gdzie kiedyś byli Cymrianie, a teraz są Bolgowie. Jeśli istnieją odpowiedzi, założę się, że znajdziemy je w Canrif. Ale musimy zahaczyć o Bethany i bazylikę poświęconą ognioowi. Może w niej się czegoś dowiemy.

Grunthor pokiwał głową.

– A księżniczka? – Dostrzegłszy wahanie przyjaciela, siadł prosto i chwycił go za ramię.
– Nie ma potrzeby ciągnąć jej ze sobą.

– Z nami jest bezpieczna. Uwierz mi.

– Dlaczego tak sądzisz? Przyszło ci do głowy, że może byłoby jej dobrze z kimś takim jak lord Steve? Chyba się w niej zadurzył. Dbałby o nią. Ona lubi jego dzieci. Uważam, że trzeba ją tu zostawić.

Z oczu Achmeda posypały się iskry niczym dyski z cwellana.

– A jeśli to on? Jak myślisz, co z nią zrobi, jak tylko wyruszymy? Chcesz, żeby zapragnęła dostać się z powrotem w ręce Michaela Zarazy Morowej? Już lepiej zjedz ją na śniadanie. Żywcem. Mniej by cierpiała.

Wielkolud odsunął się urażony. Drak westchnął.

– Z całą pewnością wiem jedynie tyle, że to nie ty i nie ja, Grunthorze – ciągnął łagodniejszym tonem. – Rapsodia też nie, ale w jej wypadku już nasuwają się wątpliwości. Czekala na nas w zaułkach Easton. Mogła być przynętą, nie uważasz?

– To wariactwo.

– Niewykluczone, ale zważ, że ona może o niczym nie wiedzieć. Przez długi czas była sama u Llaurona. Tak czy inaczej, niczego nie wiemy na pewno, prawda?

Przyjaciel patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym niechętnie pokiwał głową.

Achmed odstawił pustą szklaneczkę.

– Posłuchaj, zabierzemy ją ze sobą do Bethany. Gdy zobaczą bazylikę, zorientuję się, czy cholerna wyrocznia miała rację, czy nie. Potem wszystko opowiemy Rapsodii. Jeśli zechce wrócić do Stephen, postaramy się, żeby bezpiecznie dotarła na miejsce. Zgoda?

Grunthor położył się i naciągnął na siebie koce.

– Jednej rzeczy nauczyłem się przy tobie, panie. Nic nie jest jasne i proste.

Następnego ranka Rapsodia zjadła śniadanie ze swoimi nowymi wnukami, a następnie wybrała się z nimi i ich ojcem na długi spacer po lesie, podczas gdy Firbolgowie szykowali zapasy na podróż.

W trakcie przechadzki śpiewała pieśni o borach, niektóre po lirińsku, niektóre w miejscowym orlandańskim dialekcie, którego nauczyła się u Llaurona. Ułożyła również piosenkę o dzieciach i potem z rozbawieniem obserwowała, jak oboje się w niej rozpoznają. Melisande ani na chwilę nie puszczała jej ręki, Gwydion wybiegał naprzód, popisując się znajomością lasu i celnością strzałów z łuku. Lord Stephen niewiele się odzywał, raczej słuchał.

Spędzili ze sobą niewiele czasu, ale Rapsodia zdążyła nieźle poznać charaktery dzieci. Z oczu Melisande zniknął smutek, zastąpiła go wesołość i radość życia. Dziewczynka śpiewała razem z nią i tańczyła, skakała przez kałuże, z piskiem rozpryskując wodę i błoto. Zupełnie jakby do tej pory tylko czekała na pozwolenie, żeby znowu być szczęśliwa.

Gwydion natomiast, choć pewny siebie i zrównoważony, zamyślał się od czasu do czasu, gdy nie wiedział, że Rapsodia go obserwuje. Robił się melancholijny, oczy mu pochmurniały, odzwierciedlając posępne myśli. Pod pozorami beztroski dostrzegła w nim głębię i skłonność do refleksji.

Kiedy wrócili na dziedziniec, ukłękła i przygarnęła do siebie Melisande. Tuliła ją przez dłuższą chwilę, a potem odsunęła się i spojrzała dziewczynce w twarz.

– Będę codziennie o tobie myśleć – obiecała, przeczesując palcami jej złote loki. – Nie zapomnisz mnie, prawda?

– Oczywiście, że nie – odparła Melly z oburzeniem, ale jej twarzyczka w kształcie serca zaraz się rozpogodziła. – Wrócisz kiedyś?

– Tak. – Rapsodia cmoknęła ją w policzek. – Jeśli będę mogła. – Nie chciała małej okłamywać. Z każdym dniem coraz bardziej uświadamiała sobie własną kruchość. Zdawała sobie sprawę, że może spotkać ją podobny los jak matkę dziewczynki. – Ale na pewno napiszę do ciebie, gdy tylko będę miała okazję.

– Nadal zamierzacie iść na wschód? – zapytał lord Stephen, patrząc w ziemię.

Rapsodia osłoniła oczy przed blaskiem zimowego słońca.

– Tak.

– Kilka dni drogi stąd na południowy wschód znajduje się Dom Pamięci, stara forteca i wieża obserwacyjna z czasów pierwszej floty, najstarsza zachowana cymriańska budowla. Kiedyś mieściła się w niej imponująca biblioteka. Jako Lirinkę pewnie zainteresuje cię tamtejsze drzewo. Otóż Serenowie przywieźli ze sobą odrost Sagii i zasadzili ją na dziedzińcu Domu Pamięci, żeby połączyć święte drzewa z obu stron świata. To naprawdę fascynujące miejsce. Wstyd powiedzieć, ale nie zrobiłem wiele, żeby o nie zadbać. Przez ostatni rok budowa muru nie pozwala mi się stąd ruszyć. Niestety, terażniejszość bywa ważniejsza od przeszłości.

– Istotnie. – Rapsodia ucałowała Melisande i odwróciła się do chłopca. – Do widzenia, Gwydionie. Będę myśleć o tobie i tęsknić. Jeśli znajdę jakieś ciekawe strzały albo sprzęt łowiecki, przyślę ci je.

– Dziękuję. Może, kiedy nas odwiedzisz następnym razem, przekażesz mi trochę swojej wiedzy o ziołach i korzeniach. Będę wtedy wyższy od ciebie.

– Już prawie jesteś – odparła ze śmiechem.

– Przyjedź na moje trzynaste urodziny, w przyszłym roku.

Rapsodia otworzyła ramiona. Chłopiec przytulił się do niej, po czym szybko się odsunął i wziął siostrę za rękę.

– Chodź, Melly.

Dziewczynka pomachała jej na pożegnanie ostatni raz i weszła z bratem do zamku.

Stephen odprowadził dzieci wzrokiem. Kiedy upewnił się, że są bezpieczne pod opieką Roselli, spojrzął na Rapsodię. Na widok jej uśmiechu ugięły się po nim kolana.

– Wiesz, że możesz zostać. Dzieci bardzo by chciały, żeby twoja wizyta była dłuższa.

– Dziękuję. Szczerze mówiąc, podróż w nieznane wcale mnie nie cieszy. Też wolałabym zostać.

– Więc nie idź – powiedział diuk pod wpływem impulsu i zakłopotany spuścił oczy. – Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

Rapsodia położyła dłoń na jego ramieniu. Stephenowi mocniej zabiło serce, a rumieńce na twarzy pociemniały.

– Czy propozycja gościny może być niegrzeczna? – Westchnęła głęboko. – Prawda jest taka, że dokądkolwiek pójdę, i tak będę się czuła zagubiona. Może przy odrobinie szczęścia kiedyś się odnajdę.

– Pamiętaj, że tutaj zawsze masz dom. Przecież należysz teraz do rodziny, babciu.

Oboje się roześmiali. Diuk ucałował delikatnie jej dłoń.

– Zresztą musisz wrócić, choćby tylko po to, żeby opowiedzieć, jak się skończyła twoja przygoda z Firbolgami – szepnął.

Z rozmów ze Stephenem Navarne wywnioskowali, że opuścili korzeń Wielkiego Drzewa na początku zimy.

W Rolandii śnieg zaczynał padać wcześniej, czemu towarzyszył nagły spadek temperatury. Przez pierwsze dwa miesiące na przemian występowały burze śnieżne i odwilże, po czym zima wracała z jeszcze większą gwałtownością. Według ich obliczeń zbliżał się koniec ocieplenia. Pewne znaki wskazywały na to, że wkrótce znowu przyjdą mrozy.

Jednak gdy wyruszyli z Haguefort i zgodnie ze wskazówkami Stephena dotarli do rozstajów dróg, pogoda jeszcze się nie zmieniła. Dzień był chłodny, lecz słońce aż kłuło w oczy, a z nagich gałęzi od czasu do czasu spadał na nich topniejący śnieg.

Z początku Firbolgowie nie przejawili zainteresowania wizytą w Domu Pamięci, ale zmienili zdanie, kiedy się dowiedzieli, że to najstarsza wojskowa placówka przybyszy z pierwszej fali. Achmed doszedł do wniosku, że na podstawie konstrukcji fortu i umocnień potrafi określić, jak w tej okolicy przedstawiała się sytuacja tuż po lądowaniu Serenów.

– A komu to potrzebne? – zapytała Rapsodia burkliwym tonem. Jeszcze czuła na szyi uściski dzieci.

– Może się domyślimy, co im zagrażało, jakie złe moce za nimi podążały – wyjaśnił Achmed.

Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku i chwyciła go za łokieć.

– Uważasz, że rzeczywiście tak było?

Drak spojrzał na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

– Niewykluczone, sądząc po opowieści Stephena o zabitym przyjacielu.

Rapsodia rozejrzała się płochliwie. Cichy las, jeszcze przed chwilą tak spokojny i przyjazny, raptem wydał się groźny, zupełnie jakby coś czaiło się w gęstwinie.

– Księżniczko... – W obserwujących ją uważnie oczach malowała się troska. – Co się stało?

Wzięła głęboki oddech.

– Czy to możliwe, że przyjaciel lorda Stephena wcale nie jest martwy?

Firbolgowie osłupieli.

– Wszystko jest możliwe, ale akurat to wydaje się bardzo mało prawdopodobne – odparł Achmed. – Dlaczego pytasz? Czyżbym coś przegapił?

– Nie. To tylko niejasne przeczucie, że Gwydion nie całkiem umarł. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Cóż, nie zamierzam lekceważyć twoich przeczuć, bo zdarzały ci się chwile jasnowidzenia, ale myślę, że Stephen i Khaddyr mają wystarczające doświadczenie, by poznać, że ktoś nie żyje.

– Chyba tak.

Rapsodia ruszyła przed siebie leśnym szlakiem. Czasami odnosiła wrażenie, że podróżuje przez całe życie i dociera do celu tylko po to, by się dowiedzieć, że musi iść dalej. Właściwie głuchy, ciemny bór niewiele się różnił od podziemnych tuneli.

Gwiazdy wydawały się takie bliskie, że Rapsodia miała ochotę sięgnąć do nich rękami. Najjaśniejsza migotała, zupełnie jakby drżała na zimnym wietrze. Nagle wszystkie zaczęły spadać, jedna po drugiej. Nie przesywały nieba, lecz spływały łagodnie na ziemię jak płatki śniegu.

– Łap! Trzymaj mocno.

Gdy drobne iskielki musnęły wnętrze dłoni, przesyłał ją dreszcz. Zaciśnięła garści.

– Mam je. Mam!

Między palcami przeświecało pulsujące światło. Skóra wyglądała jak przezroczysta. Ekstaza, raptem pieczenie i pustka w rękach.

Nie. O bogowie, nie! Proszę.

Blask pod powierzchnią rozfalowanej wody, migotanie gwiazd skupionych wokół długiej ciemnej szczeliny, syk żaru dogasającego w głębokim strumieniu. Potem znowu ciemność.

Rapsodia obudziła się w środku nocy. To był stary sen, z dawnych smutnych czasów. Prawie o nim zapomniała. Dlaczego nawiedził ją teraz? Tłumiła szloch, żeby nie obudzić towarzyszy. Nakryła twarz kocem.

Chwilę później poczuła, że duża ręka zaskakująco delikatnie głaszcze ją po włosach.

– Księżniczko, nie śpisz?

Pokręciła głową, w nadziei że Grunthor zostawi ją w spokoju i zaśnie.

– Mam coś dla ciebie.

Westchnęła ze znużeniem i zerknęła na rozradowaną twarz Bolga. Mimo woli odwzajemniła straszny, ale zaraźliwy uśmiech.

– Przepraszam, Grunthorze.

Olbrzym prychnął.

– Niepotrzebnie, panienko. Myślałem, że już to wiesz. Usiądź.

Posłuchała go niechętnie. Wolałaby próbować zasnąć. Odgarnęła włosy z twarzy, a tymczasem Bolg położył jej na kolanach coś o nieregularnym kształcie, twarde, ale jednocześnie gładkie jak jedwab. Muszla.

– Podobno takie śpiewają, ale ja nic nie słyszę. Wydaje mi się, że w środku jest głucho. Przyłóż ją do ucha.

– Skąd to masz? – spytała Rapsodia, oglądając muszlę ze wszystkich stron.

– Znalazłem nad morzem, w piasku między wrakami statków, o których ci opowiadałem. Pomyślałem, że ci się spodoba i będzie odpędzać koszmary.

W oczach dziewczyny załśniły łzy.

– Jesteś najwspanialszym Bolgiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, wiesz?

– Święta prawda – powiedział Grunthor z zadowoleniem. – A teraz kładź się i nakryj nią ucho. Może cię ukołysze.

Rapsodia otarła łzy.

– Dziękuję. Dobranoc.

– Dobranoc, panienko. Życzyłbym ci miłych snów, ale...

Dziewczyna zaśmiała się i ułożyła wygodnie, słuchając szumu muszli. Wkrótce usnęła wśród huku fal rozbijających się o brzeg i krzyków mew. Śledziła węzową żrenicę pojedynczego oka wyglądającą z długiej czarnej szczeliny.

Po trzech dniach pojawiło się więcej znaków orientacyjnych, o których mówił Stephen, co upewniło ich, że idą w dobrym kierunku. Las wyglądał trochę inaczej. Wzdłuż starych traktów, po których od dawna nikt nie podróżował, drzewa były wykarczowane. Młode topole i sosny strzelały wysoko w niebo, głusząc prastare klony, dęby i jesiony. Białe zasy zlewające się z białymi pniami brzoź potęgowały wrażenie niesamowitości i złowrogiej ciszy.

Nadtopiony śnieg zamarzał w nocy, tworząc szklistą lodową pokrywę. Przy każdym kroku Rapsodia i Grunthor kruszyli ją z chrzęstem. Achmed poruszał się jak duch. Robiło się coraz zimniej. Wokół ich ust tworzyły się obłoczki pary. Wyglądało na to, że odwilż jeszcze nie dotarła do gęstego boru otaczającego Dom Pamięci.

Rapsodia gwizdała cicho w rytm marszu, żeby dodać sobie otuchy. Kontrast między białym śniegiem a ciemnymi drzewami nadawał okolicy surowy i groźny wygląd. Las był piękny, ale jednocześnie skrywał w sobie jakąś tajemnicę.

Teraz żałowała, że podzieliła się z przyjaciółmi wątpliwościami co do śmierci Gwydiona z Manosse. Ich obsesyjna czujność psuła skądinąd całkiem przyjemną wędrówkę.

Grunthor od czasu do czasu zwalniał, rozglądał się i nasłuchiwał. Po chwili wruszał ramionami i skinieniem głowy dawał znak Achmedowi, który również próbował wylapać dalekie odgłosy. Za każdym razem, kiedy się zatrzymywali, Rapsodia przestawała gwizdać. Później podejmowała melodię, która jednak stawała się coraz wolniejsza i bardziej posępna.

W pewnym momencie Grunthor potoczył wzrokiem po lesie.

– Coś mi się tu nie podoba – stwierdził.

– Co? – zaniepokoiła się Rapsodia.

Achmed już trzymał cwellan w rękach. Gigant zerknął na słońce.

– Nie wiem, panienko, ale wyczuwam coś niedobrego. To skażone miejsce, a tam jest jeszcze gorzej. – Wskazał przed siebie.

– Ludzie? Zwierzęta? – spytał Drak.

– Nie wiem. Zupełnie jakby ziemia była chora.

– Nachyl się – poleciała Rapsodia i przesunęła dłonią po czole olbrzyma. Było gorące i wilgotne. – To nie ziemia jest chora, Grunthorze, tylko ty.

– Może jedno i drugie – skwitował Achmed i znowu zaczął nasłuchiwać. – Grunthor jest związany z ziemią. Jeśli coś ją tutaj zatruwa, nie dziwne, że wpływa również na niego. Przygotuj broń.

Rapsodia kiwnęła głową i położyła dłoń na rękojeści miecza. Wielkolud sięgnął po berdysz.

Achmed zamknął oczy i skupił się tak jak w dawnych czasach, gdy tropił swoje ofiary. Zobaczył ich troje, jakby patrzył z góry, i świat przekrzywiony pod dziwnym kątem.

Ścieżkę zasłaniały obwisłe gałęzie i rozłożyste krzaki jeżyn. Pomknął wzdłuż niej z szybkością dysku wypuszczonego z cwellana. Drzewa utworzyły zamazaną plamę.

Pędził zygzakiem, pokonując kolejne zakręty, przemykał raz pod zwalonymi pniami, raz nad nimi. Nagle ujrzał polanę, a na niej dużą budowlę z wieżą. Przy drzwiach stali uzbrojeni po zęby strażnicy w zbrojach. Wzrok zatrzymał się w miejscu, ale obraz nie zniknął. Zalało go natomiast czerwone światło, strażnicy zmienili się w cienie.

Wtem usłyszał obcy puls i jego własne serce przyspieszyło, dostosowując się do innego rytmu. Ciśnienie w uszach wzrosło.

Dobrze znał te odczucia. Raptem odzyskał dar, który utracił, przechodząc przez ogień we wnętrzu ziemi. Wież z krwią nie była tak silna jak kiedyś, ale powoli się odradzała. Nagle rozboląła go głowa, poczuł strach.

Grunthor miał rację. W tym domu czaiło się potworne zło. Z trudem odpędził od siebie ponurą wizję i wrócił do swojego ciała. Zachwiał się oszołomiony, padł na kolana i zwymiotował.

Rapsodia przyskoczyła do niego i gwałtownie wciągnęła powietrze na widok krwi, która splamiła czysty śnieg. Drak zakaszłał, powoli dochodząc do siebie. W końcu uniósł głowę i spojrział na zatroskaną twarz dziewczyny.

– Dobrze się czujesz?

– Chyba będę żył – wykrztusił.

– Co się stało? Co zobaczyłeś?

– Dom rzeczywiście tam stoi i mieszka w nim coś z gruntu złego. Grunthor ma rację.

Olbrzym podał mu rękę, pomógł wstać. Achmed, zgięty wpół, wziął kilka głębokich oddechów i po chwili się wyprostował.

– Droga była zwyczajna, ale kiedy ujrzałem Dom Pamięci, obraz spłynął krwią i poczułem obcy puls, niemal tak wyraźnie jak kiedyś.

– Podobno straciłeś więź z krwią – zauważyła Rapsodia.

– To prawda, ale chyba ją odzyskałem, choć nie taka samą.

– Może w nowym świecie właśnie w ten sposób będziesz wyczuwał obce istoty? – podsunął Grunthor.

– Powinienem raz na zawsze utracić swój dar. Pamiętasz, żebym kiedykolwiek przedtem wymiotował?

Wielkolud potrząsnął głową.

Zimny wiatr cisnął Rapsodii w oczy lodowe kryształki. Widok dwóch niepokonanych Bolgów, którzy teraz drżeli ze strachu i niemocy, budził w niej przerażenie. Zaczęła oddychać równomiernie, żeby uspokoić łomoczące serce. Wiedziała, że muszą iść dalej i sprawdzić, co kryje się w starym domu.

– Może kiedy podejmiemy bliżej, zorientujemy się w sytuacji – powiedziała.

Grunthor otarł pot z czoła.

– Wybacz, księżniczko, ale nie widzę powodu, żeby dobrowolnie szukać kłopotów.

– Ona ma rację – odezwał się Achmed, przeczesując palcami zmierzwione włosy.

– Nie spodziewałam się, że coś takiego od ciebie usłyszę – stwierdziła Rapsodia.

– Tylko nie wyobrażaj sobie za wiele. Po prostu musimy się dowiedzieć, dlaczego nagle odzyskałem swój dar i dlaczego tobie zrobiło się słabo, Grunthorze. Jedyny sposób, by się upewnić, że nie wróciła przeszłość, to pójść na zwiad.

Tymczasem dziewczyna zaczęła grzebać w plecaku.

– Mam pewne zioła, które pomogą wam na żołądek.

Nabrała trochę śniegu na dwie lniane szmatki i skupiła się na ogniu, który w niej płonął. Chwilę później śnieg stopniał, mocząc płótno. Rapsodia podała wilgotne chusteczki Bolgom.

Mimo nudności Achmed zdobył się na uśmiech.

– Widzę, że doskonalisz nową umiejętność. Wierzyłem w ciebie.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i podała mu aromatyczny liść.

– Possij go, ale uważaj, żeby nie zakręciło ci się w głowie.

– No dobrze, ruszajmy – powiedział Grunthor, wycierając mokrą szmatką czoło i policzki.

– Przy bramie stoją dwaj strażnicy – uprzedził Achmed. – Trzeba ich unieszkodliwić.

– Chwileczkę. Co to ma znaczyć? – zaniepokoiła się Rapsodia. – A jeśli nie zrobili nic złego? Nie możemy zabijać niewinnych ludzi tylko dlatego, że stoją nam na drodze.

Bolgowie gapili się na nią z osłupieniem.

– Cóż, panienko, nigdy... – Grunthor urwał, widząc spojrzenie przyjaciela.

– Zdaje się, że Stephen nie wspominał o żadnych strażnikach, prawda? – zauważył Achmed.

– Nie. – Dłoń spoczywająca na rękojeści miecza zaczęła drżeć.

– I co ty na to?

– Nic. Może postanowili zajrzeć do Domu Pamięci, tak jak my? A jeśli służą komuś ważnemu? Naprawdę chcecie skończyć jako poszukiwani bandyci? Po tym wszystkim, co przeszliśmy?

Achmed westchnął z irytacją.

– Co w takim razie proponujesz, panno mądralo?

– Spróbujmy z nimi porozmawiać.

Grunthor otworzył usta, ale Drak znowu go powstrzymał. Przyjrzał się Pieśniarce. Zielone oczy błyszczały jak lodowe kryształki na igłach sosen. Różane usta były odęte, ale zmarszczone czoło zdradzało niepokój. Wyraz gniewu dodawał czarującej twarzy wręcz hipnotycznej mocy.

– Chcesz z nimi porozmawiać? Grunthor i ja zwykle nie jesteśmy najlepiej przyjmowani, kiedy pukamy do drzwi.

– Tak.

Achmed spojrzał na towarzysza. Olbrzym nie odezwał się słowem, ale jego mina wyrażała dezaprobatę.

– Dobrze, niech będzie po twojemu – zdecydował Drak. – My schowamy się w krzakach i zachowamy czujność.

Rapsodia uśmiechnęła się bez przekonania.

– Zgoda.

Szary dzień niepostrzeżenie przeszedł w zmierzch. W lesie zapadła grobowa cisza na długo przed tym, jak z nieba zniknęły resztki światła. Umilkł nawet wiatr. Słysząc było tylko skrzypienie gałęzi pod ciężarem śniegu i od czasu do czasu trzask konara łamiącego się pod lodowym brzemieniem.

Wreszcie dotarli do polany. Jej skraj porastały gęste krzaki jeżyn. Rapsodia zauważyła, że wyglądają bardzo marnie, jakby już nigdy nie miały wydać owoców. Przez splątane kolczaste gałązki majaczył zarys domu.

Skradając się brzegiem drogi, ujrzeli po chwili duży budynek kryty dachówką, ze starą kamienną wieżą w rogu. Otaczał go pobielony mur obrośnięty mchem. Na kwadratowym dziedzińcu rosło bezlistne drzewo, które nawet z tej odległości wydawało się raczej martwe niż uśpione. Najwyraźniej zniszczyła je jakaś choroba. Frontowe drzwi były lekko uchylone, jakby spodziewano się gości.

Bolgowie rozdzielili się i ruszyli na zwiad, kryjąc się w poszyciu. Rapsodii nigdy nie przestało zdumiewać, jak cicho umieją się poruszać i jak trudno ich wypatrzeć, nawet Grunthor mimo jego postury.

Przyjrzała się domowi. Strzegli go wartownicy z długimi włóczniami, odziani w kolczugi. Choć zapadł już zmierzch, w środku nie paliły się żadne światła. Jedyne dźwięki wydawały białe gałęzie brzoź, delikatnie pukając do okien, ocierając się o ściany i dach. W pewnym momencie Rapsodia usłyszała stłumiony płacz, ale doszła do wniosku, że to jęk wiatru.

– Jesteś gotowa? Postaraj się stanąć tak, żebyśmy cię widzieli – szepnął Achmed.

Już wrócił ze zwiadu i stał teraz dwa kroki za nią. Gdy skinęła głową, cofnął się w mrok. Grunthor przygotował topór. Rapsodia wzięła głęboki oddech i wyszła z zarośli.

Strażnicy od razu wycelowali w nią włócznie. Uśmiechnęła się do nich i szła dalej spokojnym krokiem, choć serce waliło jej mocno. Poczła odór gnijącego mięsa.

– Dzień dobry – powiedziała przyjaźnie. Efekt był natychmiastowy. Wojownicy wyraźnie się odprężyli, jeden aż zadrzał z wrażenia. – Czy to jest Dom Pamięci?

Młodszy bezmyślnie skinął głową, ale drugi pozostał czujny. Wyczuła w nim silną, niemal dziką żądzę, która przyprawiła ją o niepokój.

– Więc dobrze trafiłam – rzuciła z promiennym uśmiechem.

Teraz już obaj strażnicy drżeli. Dziwne, bo przecież nie wystraszyli się tak kruchej osóbkki. Po przejściu przez ogień tak się zmieniłam, że pewnie trudno na mnie patrzeć, pomyślała.

– Mam się tu spotkać ze znajomymi. Widzieliście ich może?

Starannie dobierała słowa, żeby się zorientować, czy zauważyli Firbolgów.

– Wyjdiesz za mnie? – wymamrotał pierwszy wartownik.

Rapsodia zamrugała szybko, a potem się roześmiała. Ciekawe, jak zareagowałby Grunthor na nieoczekiwane oświadczenia.

– Nie sędzę, żeby mojemu przyjacielowi spodobały się takie żarty – powiedziała. – Bywa gwałtowny, kiedy dochodzi do wniosku, że mnie obrażono.

Biedakowi zrzęła mina.

– Nie, panienko, ja tylko...

– A przy okazji, może go spotkaliście? Na pewno byście go zapamiętali, bo jest dość... przerażający.

Wartownicy spojrzeli po sobie. Rapsodia dostrzegła w ich oczach strach. Jej słowa najwyraźniej odniosły niezamierzony skutek. W końcu jeden zdobył się na odwagę.

– Jesteś z nim umówiona, tak? Jeszcze go nie ma, panienko, ale powinien dzisiaj się zjawić. Wejź, proszę, i zaczekaj w ciepłe. Mój kolega nie chciał cię obrazić.

Rzucił się do drzwi, otworzył je szerzej i przytrzymał. Drugi wsadził głowę do środka i krzyknął coś, zapewne powiadamiając towarzyszy o przybyciu gościa. Rapsodia niemal usłyszała przekleństwa, które pod jej adresem bez wątpienia mamrotał teraz Drak. Obejrzała się przez ramię, ale nigdzie nie dostrzegła Achmeda ani Grunthora.

Niedbałym gestem położyła dłoń na rękojeści miecza i przekroczyła próg, idąc za wartownikiem. Gdy weszli do ciemnego holu z ciężkimi drzwiami po obu stronach i znajdującym się na wprost wyjściem do ogrodu, stanęła jak rażona piorunem.

W nozdrza uderzył ją słodkawy odór zepsutego mięsa. Zbladła i wstrzymała oddech, walcząc z mdłościami. Lecz smród okazał się niczym w porównaniu z tym, co zobaczyła.

Śnieg wokół uschłego drzewa był zabarwiony na czerwono, tak że wyglądał niczym ogromny dywan. Pośrodku dziedzińca stały dwie duże ramy jak do szlachtowania świń. Między nimi wznosił się kamienny ołtarz. Wyciosany u jego podstawy rowek prowadził do misternie rzeźbionego koryta, które łączyło się z dwoma innymi, a te z kolei z beczkami umieszczonymi pod każdą z drewnianych konstrukcji.

Trzy kanaliki przeplatały się i na koniec zbiegały u wlotu do żeliwnego pieca, osmalonego od ognia. Na ich ściankach i dnie widniały ciemne plamy, a w zbiornikach połyskiwały lepkie czarne kałuże.

Nad kadziami wisiały rozciągnięte na ramach, głowami do dołu, ciała dzieci z poderżniętymi gardłami i otwartymi żyłami na nadgarstkach.

Rapsodii świat nagle zawirował przed oczami. Ogarnęły ją mdłości.

Najwyraźniej nie takiej reakcji spodziewali się po niej strażnicy. Jeden błyskawicznie przybrał pozycję jak do ataku. W tym momencie rozległ się cichy świst i wartownik z łoskotem runął na posadzkę.

Rapsodia dobyła Clariona. Temu ruchowi towarzyszył dźwięk, jakby ktoś zadał w róg. Ostrze zapłonęło oslepiająco.

Drugi wartownik podjął rozpaczliwą próbę ataku. Z klingi buchnęły płomienie.

– Rzuć broń! – krzyknęła dziewczyna głosem ochrypłym ze strachu i gniewu.

Strażnik pchnął włócznią, ale Rapsodia uskoczyła przed źle wymierzonym ciosem i zrobiła wypad, tak jak ją uczył Grunthor. Miecz wszedł gładko w pierś przeciwnika, omijając żebra. Cuchnące powietrze wypełnił smród zwęglonego ciała.

Ranny wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Otworzył usta jak do krzyku, ale wydostało się z nich tylko przeciągłe sieknięcie.

Rapsodia podtrzymała go, łagodząc upadek. Twarz rannego wykrzywiła się w agonii. W gasnących oczach malowało się nieme pytanie: Co się dzieje?

Ta sama myśl kołatała się jej po głowie. Zanim konający dotknął podłogi, jego ciało zrobiło się bezwładne. Rapsodia nagle zwróciła uwagę na dziwne skwierczenie i z przerażeniem wyrwała miecz z dymiącej rany. Upuściła go na ziemię, choć rękojeść była chłodna. Popatrzyła na martwego wartownika i w głowie się jej zakręciło.

– Co się stało? – zapytał szeptem Achmed.

Nie słyszała, jak nadchodzi. Odwróciła się gwałtownie. Obok niego stał Grunthor.

– Nie żyje – powiedziała drżącym głosem.

– Owszem. Twoje umiejętności szermiercze wyraźnie się poprawiły.

– Nigdy przedtem nie zabiłam człowieka.

– Zrobiłaś to teraz – odparł krótko Drak. – Bierzmy się do roboty.

Rapsodia bez słowa pokiwała głową. Achmed nakazał jej gestem, żeby podniosła miecz.

– Ktoś tu jeszcze jest?

– Co najmniej jeden, a inni podobno mają się zjawić wkrótce.

Dotknęła chłodnej stali, na której nie było śladu krwi, i z drzeniem schowała broń do futerału.

– Nie możemy im dać się zaskoczyć – stwierdził Grunthor. Zamknął frontowe drzwi i zablokował je potężną belką, która stała oparta o futrynę.

– Rozejrzyjmy się – powiedział Achmed.

Skinął na nich i ruszył do bocznych drzwi. Rapsodia stanęła po jednej ich stronie, Grunthor po drugiej. Na znak towarzysza olbrzym uderzył w nie ramieniem. Rozległ się trzask drewna i huk wyrywanych zawiasów.

Zobaczyli długi pokój z lśniącymi meblami i dużym dywanem pośrodku. Jego róg i podłogę obok szpeciła ciemna plama. Za oknami widać było ogród i stopniały, zabarwiony na różowo śnieg.

Achmed schylił się, by dotknąć ciemnej plamy na dywanie. Od razu się zorientował, że to dawno zaschnięta krew.

Grunthor stał w progu, ściskając Kozika. Żałował, że w pomieszczeniach jest za mało miejsca, by mógł użyć topora. Gdy spojrzął na kamienny ołtarz, zrobiło mu się mdło, choć przywykł do potwornych widoków.

Rapsodia zbliżyła się do następnych drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Po chwili potrząsnęła głową.

– Nic. Co teraz?

– Chodźcie – powiedział Achmed.

Zajęli takie same pozycje jak wcześniej i powtórzyli manewr z wyważaniem drzwi. Ujrzeni ogromny salon, który częściowo mieścił się w wieży. Jedną ścianę zajmowały duże okna wychodzące na dziedziniec, drugą pokrywały gobeliny o wyblakłych wzorach, umazane ekskrementami.

W przeciwległym końcu pomieszczenia znajdowały się szerokie schody prowadzące w górę i przeszklone drzwi do ogrodu.

Pod ścianą z gobelinami stał tron z kości, zwieńczony siedmioma czaszkami. Na siedzisku makabrycznego mebla leżała miękka poduszka z czerwonego aksamitu.

Na środku pokoju siedziały, kucąły lub leżały dzieci w różnym wieku i różnych ras. Odziane w strzępy ubrań, na nogach miały ciężkie żelazne kajdany. Twarze i ciała pokrywały im skaleczenia i siniaki. Oczy dzieci błyszczały jak u zagłodzonych wilków, a jednocześnie gościł w nich tępy wyraz jak u osób, które widziały zbyt wiele okropieństw. Żadne nie odezwało się ani nie krzyknęło. Trzęsły się w zimnych podmuchach, które wpadały przez otwarte drzwi ogrodowe, i tylko biegały spojrzeniami od pięknej pani do dwóch Bolgów, którzy stali po jej bokach. To były dzieci porwane z Navarne.

Na widok małych twarzątek zmartwiałych z przerażenia i jednocześnie pełnych nadziei Rapsodii ścisnęło się serce. Mali jeńcy drżeli jak liście osiki na wietrze. Była wśród nich starsza dziewczyna, może szesnastoletnia, która miała związane także ręce.

– Nie bójcie się, jesteśmy tu, żeby wam pomóc. – Rapsodia uśmiechnęła się łagodnie. – Wydostaniemy was stąd i zabierzemy do domu.

Dzieci patrzyły na nią pustym wzrokiem.

– Czy któryś ze strażników miał przy sobie klucze? – spytała Achmeda.

– Najpierw znajdziemy tego, kto prowadzi ten dom rozrywki.

– Jest ich co najmniej dziewięciu – odezwała się najstarsza dziewczyna.

– Wiesz, gdzie są teraz?

– Nie, ale wchodzi przez tamte drzwi.

Wskazała głową drugi koniec pokoju. Bolgowie natychmiast ruszyli w tamtą stronę.

– Dziękuję. I nie bójcie się – powtórzyła Rapsodia. – Uwolnimy was, gdy tylko wrócimy.

– Tylko mnie nie wydajcie, jeśli zostaniecie złapani – rzuciła dziewczyna.

Rapsodia spojrzała znacząco na Bolgów.

– Chyba nie musisz się o to martwić. Jak masz na imię, kochanie?

– Jesteśmy gotowi! – zawołał Achmed.

– Na pewno nie „kochanie” – odburknęła dziewczyna.

– Nazywa się Jo! – krzyknęła ładna sześciolatka. – Tak im powiedziała, kiedy zaczęli wykręcać jej palce. Ja jestem Lizette. – Nie zwróciła uwagi na groźną minę Jo. Z zachwytem patrzyła na wybawicielkę.

– Już skończyłaś? – ponaglił Drak.

– Wrócimy – obiecała Rapsodia głosem Bajarki.

Zobaczyła, że w dzieci wstępuje wiara, posłała im całusa i dołączyła do przyjaciół. Nie usłyszała, co Jo mruknęła pod nosem, bo z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły pokrzykiwania i dudniące kroki. Drzwi stanęły otworem, do salonu wbiegli dwaj uzbrojeni mężczyźni.

W tym momencie rozległ się znajomy świst. Powietrze przecięły srebrne dyski, ale minęły napastników. Achmed strzelał do ich kompanów znajdujących się w drugim pokoju. Błyskawicznie przeładował broń.

Rapsodia ledwo widziała jego ruchy. Gdy jeden ze strażników rzucił się na Draka, zrobiła wypad i cięła go przez plecy płonącym mieczem. Żołnierz upadł, wijąc się i jednocześnie

uwalniając od ostrza. W tym samym czasie Grunthor zamachnął się i potężnym ciosem ściął drugiego.

Starła się zachować jasność umysłu, bo uciekając przed koszmarną rzeczywistością, nagle poczuła się jak obserwator, który z boku śledzi walkę.

– Ruszajcie – polecił krótko Achmed.

Omam nie zderzyła się w drzwiach z Grunthorem. Cudem uniknęła stratowania, w porę uskakując mu z drogi.

Pośrodku sąsiedniego pokoju stała odziana na biało kobieta. Wykrzykiwała rozkazy garstce mężczyzn, którzy zbiegali po kamiennych schodach. Oprócz kilku biurek i foteli w pomieszczeniu znajdowały się jedynie półki z książkami i zwojami.

Grunthor przemierzył je kilkoma susami, rycząc jak lew. Na widok szarżującego giganta żołnierze zamarli z przerażenia.

Rapsodia zaatakowała przywódczynię. Kobieta sięgnęła po jedyną broń, jaką przy sobie miała – długi sztylet z obsydianu, narzędzie używane do odprawiania diabelskich rytuałów i składania ofiar. Gdy Pieśniarka uświadomiła sobie, że ta kobieta zabiła dzieci, w jej oczach zabłysła dzika nienawiść.

Dzięki furii, która dodała jej siłę, wymierzyła potężny cios, z którego Grunthor byłby dumny. Przeciwniczka zrobiła unik i odpowiedziała atakiem.

Rapsodia, która nie zdążyła odzyskać równowagi po mocnym zamachu, poczuła ostry ból w lewym ramieniu. Skrzywiła się i gwałtownie wciągnęła powietrze, lecz nie straciła głowy i natychmiast wykonała pchnięcie ognistym mieczem. Kobieta nie zdążyła nawet krzyknąć, kiedy ostrze przebiło jej serce. Powietrze wypełnił ostry zapach spalenizny, na posadzkę nie spadła ani jedna kropla krwi.

Rapsodia nawet nie spojrzała na zabitą, tylko obejrzała się na towarzyszy. Radzili sobie doskonale. Żaden z napastników nie zdołał uciec. Pochyliła się odruchowo, gdy tuż koło ucha śmignęły jej dyski.

U stóp schodów leżały dwa trupy. Na innych ciałach widniały czyste rany po pociskach z cwellana. Gdy naliczyła piętnastu martwych żołnierzy, zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze jacyś zostali przyżyciu.

Grunthor stał na najniższym stopniu, patrzył w górę i spokojnie czekał na następnych wrogów. W ręku dzierżył siekiere, która z powodzeniem mogłaby służyć innym za topór bojowy. Pod ziemią zabijał nią robaki.

– Chyba już jej nie przesłuchamy – stwierdził Achmed, patrząc na martwą kobietę.

Rapsodia zaczerwieniła się ze wstydu.

– Przepraszam.

– Niepotrzebnie. Kto wie, co to za jedna. Należało ją zabić. Wprawdzie dobrze byłoby wydusić z niej odpowiedzi na parę pytań, ale czasami trzeba reagować tak, jak tego wymaga sytuacja. Boli cię?

- Co? – zdziwiła się Rapsodia.
- Zostałaś ranna.
- A, to. Tylko draśnięcie. Może poczekać.
- Trucizna? – Achmed nachylił się i obwąchał jej ramię.
- Nie sądzę.
- Dobrze, sprawdźmy, co z resztą towarzystwa, – Zaryglował drzwi i ruszył do schodów.
- Nieoczekiwani goście będą musieli zapukać.

Bezszelestnie weszli na piętro i przeszukali resztę wieży, ale na nikogo więcej się nie natknęli. W pokojach kwatrowali zabici przez nich żołnierze, a sam szczyt zajmowała duża komnata, prawdopodobnie należąca do kobiety w bieli, choć pewne ślady wskazywały, że mieszkał w niej również mężczyzna.

Ich ciekawość wzbudziła mała skrzynka zamknięta na kłódkę. Znieśli ją na dół, żeby przejrzeć zawartość. Najpierw jednak postanowili się upewnić, że Dom Pamięci rzeczywiście jest pusty. Szybko przeszukali resztę budynku i stwierdzili, że pokoje podobne do klasztornych cel oraz kuchnia są od dawna nieużywane.

Rapsodia przez cały czas rozglądała się za kluczem do kajdan, aż wreszcie znalazła go na łańcuszku wiszącym na szyi kobiety. Czym prędzej pobiegła do sali, w której więziono dzieci, i zaczęła je uwalniać.

Pod nieobecność Bolgów szybko nabrały do niej zaufania, z wyjątkiem Jo, która nadal mierzyła ją podejrzliwym wzrokiem. Rapsodia pocieszała małych jeńców, nucila im cicho, przemawiała kojącym tonem, aż w końcu nawet szesnastolatka trochę się odprężyła.

Tymczasem Achmed wprawnie otworzył tajemniczy kuferek. W środku znajdowało się kilka ozdóbek, mały notes, zapieczętowany zwój i duży mosiężny klucz z dziwnym ząbkowaniem. Świecidełka dał Grunthorowi, który przechowywał ich skarby, a sam ostrożnie rozwinął dokument. Nie potrafił odczytać starego pisma, więc zawołał Rapsodię.

Do biblioteki weszła za nią gromadka dzieci. Było ich piętnaścioro. Najmłodszy chłopiec tulił się do niej, a na widok dwóch potworów schował się za jej plecami.

– Wszystko w porządku, Feldin – uspokoiła go Jo. – Są brzydki jak noc, ale nas uwolnili. Nie mogą zrobić nam nic gorszego od tego, co tamci planowali.

Grunthor prychnął oburzony.

– Po prostu zaprowadzimy was do domów – obiecała Rapsodia z uśmiechem.

Malcy od razu jej uwierzyli.

– Spójrz na to – powiedział Achmed, podchodząc do Pieśniarki.

Dzieci rozpierchły się przed nim.

Rapsodia przez chwilę studiowała ze skupioną miną zwój.

– Dziwne. Llauron chciał, żebym nauczyła się właśnie starożytnego sereńskiego. Nie przyznałam się, że już trochę go znam. To martwy język. Był martwy już wtedy, gdy

opuszczaliśmy wyspę. Posługiwali się nim Pierworodni, czyli starożytni Serenowie, pierwsi mieszkańcy Serendair. Ale spójrz na welin. Nie wygląda na stary.

– Potrafisz przeczytać tekst? – zapytał Achmed.

– Chyba tak. Mentor nauczył mnie podstaw... Zaczekaj. Pomyliłam się. Pismo jest starożytne, ale tekst napisano w tutejszym języku. Daj mi trochę czasu.

Usiadła przy jednym z biurk, dwiema książkami przycisnęła zwój do blatu. Wyjęła z plecaka kawałek słabo wygarbowanej skóry i zaczęła robić na niej notatki.

Dzieci natychmiast ją obstąpiły, tylko Jo podeszła do stosu ciał, które Grunthor zaciągnął w kąt. Rapsodia pomyślała nawet, żeby wyprowadzić malców do innego pokoju, ale szybko sobie uświadomiła, że z biblioteki przynajmniej nie widać ich zamordowanych kolegów. Gdy już opuszczą to straszne miejsce, spróbuje im pomóc zapomnieć o przeżytej grozie.

Achmed tymczasem kartkował notes, usiłując odszyfrować zapiski prowadzone w miejscowym języku. Udało mu się przeczytać parę słów, między innymi wzmiankę o zaginionym mieście, ale nie był pewny, czy dobrze zrozumiał. Najbardziej zainteresowała go mapka i uwaga o mosiężnym kluczu.

Gdy zobaczył imię Gwylliana i obwiedzone kółkiem miejsce na „ziemiach Firbolgów”, na jego twarz wypełził uśmiech. Canrif. Nareszcie mieli wskazówkę.

– Achmedzie, Grunthorze, mam! – zawołała Rapsodia. – To umowa. Spisano ją w pierwszej godzinie zrównania dnia z nocą w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym szóstym roku po przybyciu floty. Nie jestem pewna której, chyba pierwszej. Stronami są Cifiona – jak się domyślam, kobieta z wielkim sztyletem – i niejaki Rakshas oraz jego pan nie wymieniony z imienia. Za swoje usługi kobieta ma otrzymać „wieczne życie”. Ciekawe, czy to rzeczywiście oznacza nieśmiertelność. – Spojrzała na przyjaciół i w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. – Cifiona zgadza się ponadto na więź z panem. Może to coś w rodzaju kontraktu małżeńskiego.

– Wątpię – mruknął Achmed.

Sam został kiedyś zmuszony do podpisania bardzo podobnej umowy.

Na twarzy Rapsodii odmalowało się przerażenie.

– No, panienko? Co dalej? – zniecierpliwiał się Grunthor.

– „Do wspomnianych usług będzie się zaliczać złożenie krwawej ofiary z trzydziestu trzech ludzkich istot o niewinnych sercach i nieskalanym ciele oraz podobnej liczby Lirinów albo pół-Lirinów”. – Podniosła wzrok na Achmeda. – Na dziedzińcu widzieliśmy troje. Myślisz, że jest ich więcej?

– Nie sądzę. Ilość zaschniętej krwi wskazuje na to, że sprzęt jest wykorzystywany od niedawna. Przypuszczam, że to pierwsze ofiary.

Rapsodia odetchnęła z ulgą i wróciła do czytania, ignorując pełne powątpiewania spojrzenie Grunthora.

– Dalej jest mowa o jakimś przedsięwzięciu, do którego ma być użyta krew. Datę wykonania usługi ustalono na przyszły rok, w czasie obchodów Święta Patriarchy, a na miejsce spotkania wyznaczono Dom Pamięci, którego gospodarzem jest obecnie Rakshas. Ciekawe, co by o tym pomyśleli Cymrianie z pierwszej fali uchodźców.

– Jeśli chodzi o mnie, niezbyt mi się to wszystko podoba – oświadczył Grunthor.

– Na dole są podpisy: Cifiona Jakaśtam, nie potrafię odczytać, i Rakshas, a obok jego imienia widnieją dziwne symbole.

Pierwszy wyglądał na literę nieznanego języka.

– Ten już chyba widziałam – stwierdziła, wskazując drugi znak: koło utworzone ze spiralnie zwiniętej linii.

– Gdzie? – zapytał Achmed takim tonem, że Rapsodia aż podskoczyła.

– Identyczny znajduje się na drzwiach domu Llaurona.

Wyraźnie zdenerwowany Drak wziął od niej dokument i schował do kuferka. Rapsodia wrzuciła do środka również swoje tłumaczenie.

– Wynośmy się stąd – powiedział.

– Zaczekaj, muszę jeszcze coś zrobić.

Wyjęła z plecaka harfę i mały woreczek, który dał jej inwoker.

– Cóż to, zamierzasz skomponować pieśń o naszych dzisiejszych wspaniałych przeżyciach?

– Nie. Spróbuję wyleczyć drzewo.

– Po co? – W głosie Achmeda brzmiała irytacja.

– Bo to dziecko Sagii, nie zauważyłeś? Dla mnie ten dąb jest święty. Lord Stephen powiedział, że wyhodowano go z sadzonki przywiezionej z Serendair przez Cymrian. Żałuję, że opuściliśmy wyspę, ale jestem wdzięczna Wielkiemu Drzewu, że pomogło nam ująć śmierci. Mam teraz szansę uzdrowić w podzięce jego potomka.

– Nie chcę okazać lekceważenia, panienko, ale to nie dziecko, tylko drzewo.

– Idź – rzucił Drak, patrząc na ogród.

– Dziękuję – bąknęła zaskoczona. – Zajmijcie się przez chwilę dziećmi. Niedługo wracam.

– Co takiego?

– Nie mogę ich przecież zabrać na dziedziniec, prawda?

– Racja, panienko. Bądź spokojna.

Achmed spiorunował go wzrokiem, ale nie zaprotestował. Gdy Rapsodia opuściła pokój, usiadł na krawędzi biurka i wrócił do czytania dziennika. Grunthor zaczął przetrząsać ubrania strażników i odkładać cenne rzeczy na bok. Wszystkie dzieci, z wyjątkiem najstarszej dziewczyny, trzymały się razem, z niepokojem patrząc na drzwi, przez które wyszła Pieśniarka.

Rapsodia walczyła z mdłościami, idąc szybko przez ogród do chorego drzewa. Na widok srebrno-białej kory do oczu napłynęły jej łzy wzruszenia. Gdy obejrzała ją z bliska, stwierdziła, że dąb jeszcze nie jest martwy. Zaczęła nucić niemelodyjną pieśń bez słów, dopasowując ją do szeptów, które nadal wydobywały się z chorego drzewa. Były to te same tony, jakie słyszała w czasie wędrówki po korzeniu. Otworzyła woreczek, który dostała w Gwynwood, i wyjęła z niego małą tubkę.

Macając ziemię wokół pnia, znalazła trzy boczne korzenie, a dalej kilka mniejszych odrośli. Zaczęła przesuwać po nich dłońmi, żeby odszukać końce. Przeszła niemal cały ogród, starając się nie patrzeć na ołtarz. Wreszcie dotarła do korzonków cienkich jak włosy. Posmarowała je maścią.

Już po namaszczeniu pierwszego, jej pieśń zyskała rytm i melodię. Gdy skończyła kurować trzeci, śpiewała pełnym głosem, mieszając starocymriański swojego ojca z językiem ludzi, z którymi niedawno walczyła.

Devli protar hin elenin. Nadzieja to bezpieczna kotwica,
Długa była podróż przez morze.
Visduol hin yl gomit marbeth. Czas jest najlepszym lekarzem,
Wkrótce znowu będziesz zdrowy.

Calenda o skidoaun, Calenda o verdig. Rok śniegu, rok obfitości,
Cierpiełeś zimno i mrok.
Ovidae tullhin kaf san; ni wyn bael fearbon. Czasami nie ma lata,
Lecz zawsze jest wiosna,
I wiosną zakwitniesz.

A fynno daelik, gernal federant. Niech się raduje ten, kto zdrowy,
Zapamiętaj tę pieśń.
Yl airen er iachad daelikint. Pieśń radosnego uzdrawiania.
Śpiewaj, aż wydobrzejesz.

Nigdy wcześniej sama nie układała pieśni uzdrawiającej. Skrzywiła się niezadowolona z dzieła. Skorzystała z gotowych mądrości, stanowiących część folkloru przywiezionego przez uciekinierów ze starego świata, i jakimś cudem muzyka przemówiła do drzewa, pomknęła korzeniami do głównego pnia i dalej do konarów, aż dotarła do bezlistnych gałęzek.

Nie przerywając nucenia, Rapsodia wzięła do ręki higen. Musnęła dłonią wygiętą ramę; zrobiono ją z drewna pochodzącego z wyspy, tak samo jak chory dąb. Miniaturowa harfa była jej największym skarbem, pierwszym instrumentem, na którym nauczyła się grać. Dzięki niemu zdobyła umiejętności pieśniarskie.

Zaczęła sobie akompaniować. Spod jej palców spłynęła prosta, czysta melodia i wkrótce drzewo zaczęło reagować. Niemal czuła, jak znowu płyną przez nie soki, przywracając życie tam, gdzie już czaiła się śmierć. Na najmniejszych gałązkach pojawiły się maleńkie zielone pączki, które miały rozwinąć się wiosną.

Położyła harfę na najwyższym rozwidleniu, dokąd dosięgła. Instrument grał dalej, do wtóru pieśni, którą podjął zdrowiejący dąb. Rapsodia uśmiechnęła się radośnie i ruszyła z powrotem do domu.

Idąc przez ogród, minęła długi stół pokryty warstwą śniegu.

Wcześniej wzięła go za ławkę, ale teraz zatrzymała się i przyjrzała uważniej.

Zadrżała gwałtownie, gdy nagle zobaczyła całkiem inny obraz. Czarny kamienny blat lśnił w upiornym blasku księżyca. Leżał na nim mężczyzna, który wyglądał jak uformowany z lodu. Nie mogła dostrzec rysów jego twarzy.

Nad nieruchomą postacią dostrzegła same ręce, które gestykulowały w powietrzu, odprawiając jakiś religijny ceremoniał. Ich właściciel krył się w mroku. W pewnym momencie złączył je jak do modlitwy, a następnie rozłożył w geście błogosławieństwa. Spomiędzy nich połała się krew na martwe ciało, zabarwiając je na czerwono.

W jej głowie rozbrzmiały słowa: Dziecko z mojej krwi.

Patrzyła jak zahipnotyzowana. W dłoniach pojawił się mały przedmiot, pulsujący tak intensywnym światłem, że zaboląły ją oczy. Tajemniczy kapłan położył go ostrożnie na zakrwawionej postaci. Nikła poświata, która otoczyła ciało, po chwili zmieniła się, w jasny blask, pochłaniając uniesione ręce.

Zabrzmiały słowa: Oto prorocstwo. Z tego dziecka narodzą się moje dzieci.

Światło zaczęło blednąć, a jednocześnie postać nabierała coraz wyraźniej szych kształtów.

Łoskot końskich kopyt przerwał trans. Rapsodia osunęła się na kolana, drżąc jak liść. Serce waliło jej jak młotem. Gdy doszła do siebie, zerwała się z ziemi i podbiegła do muru otaczającego dziedziniec.

Z ogrodu dobiegła muzyka. Achmed podniósł wzrok znad notesu, ale szybko wrócił do czytania. Zapiski okazały się bardzo użyteczne.

Wynikało z nich, że po śmierci Gwyllliama mieszkańcy porzucili Canrif z powodu coraz częstszych ataków Firbolgów oraz chaosu, który zapanował w wyniku wojny. Gdy ataki barbarzyńców się nasiliły, Cymrianie nie potrafili utrzymać miasta, więc opuścili je z wielkim żalem oraz nadzieją, że kiedyś wrócą. Tak się nie stało i teraz stolica trzeciej floty wraz ze wszystkimi skarbami znajdowała się w rękach Bolgów.

Generał Anborn, który przeprowadził ewakuację, ukrył klucz do krypty Gwyllliama w Domu Pamięci. Z notatek wynikało, że regentami Rolandii i przodkami lorda Stephena oraz

innych książąt byli cymriańscy generałowie z pierwszej i trzeciej floty, lecz Achmed miał wątpliwości, czy właściwie odczytał te fragmenty. Doszedł do wniosku, że będzie musiał pokazać je Rapsodii.

Znowu oderwał się od lektury, kiedy dostrzegł, że najstarsza dziewczynka próbuje ukryć nóż znaleziony przy jednym z zabitych strażników. Była tak zręczna, że Grunthor, który pilnował dzieci, niczego nie zauważył. Achmed cmoknął na niego cicho i lekkim skinieniem głowy pokazał na winowajczynię. Olbrzym podszedł do niej spokojnym krokiem.

– Hej, co tam masz, mała panienko? – zapytał.

– Nic – burknęła, uciekając wzrokiem i szurając nogą. Achmed uśmiechnął się. Zachowanie, które miało wyrażać przestach albo wstyd, w rzeczywistości służyło ukryciu broni w fałdach ubrania. Drak nawet zastanawiał się przez moment, czy małej spryciarze nie udało się oszukać Grunthora.

– Więc co to jest?

W potężnym łapsku błysnął niewielki sztylet. Dziewczynę tak zaskoczyła szybkość wielkoluda, że na jej twarzy odmalował się strach. Została przyłapana nie tylko na kradzieży, ale również na kłamstwie. Pomknęła wzrokiem ku drzwiom. Zapewne szukała pomocy u Rapsodii.

– Wygląda mi to na nóż – odparła buńczucznie.

– A po co ci taki kozik? – zapytał Grunthor z pogardą. Sięgnął po dużo groźniej wyglądającą broń z kolekcji, którą nosił na plecach, i uśmiechnął się. – Jak już używać noża, to porządneho. Masz, ten sztylecik warto przy sobie nosić. Widzisz żłobkowanie na czubku? Świetnie się nadaje do parowania ciosów. Potem możesz ciachnąć przeciwnikowi nadgarstek tą zakrzywioną częścią. Widzisz?

– Tak. – Na twarzy Jo pojawił się ostrożny uśmiech.

– Wypróbuj go. Najpierw blok, a potem skręt ręki i ciecie, rozumiesz?

Zademonstrował manewr nożem, który przed chwilą jej odebrał, i cofnął się o dwa kroki. Dziewczyna dokładnie powtórzyła jego ruchy. Bolg z aprobatą pokiwał głową, po czym wrócił do plądrowania trupów.

– Co? – rzucił, dostrzegłszy wyraz niedowierzania na twarzy przyjaciela.

Drak spojrzał znacząco na Jo. Gigant wzruszył ramionami.

– A co w tym złego?

Achmed tylko potrząsnął głową i wrócił do notatnika. Przeczytał zaledwie dwa zdania, gdy do pokoju wpadła zasapana Rapsodia.

– Zbliża się oddział jeźdźców – oznajmiła z niepokojem w głosie.

– Zaraz tu będą.

Achmed w paru krokach dopadł okien łącznika i zobaczył, że dziesięciu ludzi idzie ostrożnie przez śnieg splamiony krwią. Prowadził ich mężczyzna w ciężkiej szarej opończy z kapturem. Towarzyszyły mu dwa białe wilki. Przy drzewie zatrzymał się i spojrzał w górę, a następnie obszedł je zaciekawiony.

Achmed wskoczył z powrotem do biblioteki i zręcznym ruchem zdjął cwellan z pleców. Nawet w wieży, za solidnymi murami, odbierał wibracje emanujące od mężczyzny w szarej opończy. Dudnienie krwi stawało się coraz głośniejsze. Szybko zamknął drzwi.

– Widzieli cię? – spytał.

– Nie. Jak tylko ich ujrzałam, zaraz przybiegłam, żeby was ostrzec. Jak sądzisz, czego chcą? Przyszli po dzieci?

– Jeśli szukają dzieci, to nie po to, żeby im pomóc. Na widok dowódcy ogarnęły mnie mdłości, takie same jak wtedy na drodze, gdy zobaczyłem ten Dom Pamięci.

– Cudownie – mruknął Grunthor i raptem na jego twarzy pojawiła się konsternacja. – A niech to! Zostawiłem berdysz na podwórku.

– I tak za mało tu miejsca, żebyś mógł go użyć – zauważyła Rapsodia.

– Nie w tym rzecz, panienko. Kiedy dranie go zobaczą, od razu się domyśla, że ktoś obcy jest w domu.

– Wspaniale – westchnął Achmed. – Rapsodio, zabierz dzieciaki na górę. Grunthorze, jak wyjdę, zabarykaduj drzwi.

– Chyba nie pójdziesz sam? – Otoczyła ramieniem małego chłopca, który zaczął szlochać ze strachu.

– Najlepiej sobie radzę, kiedy jestem sam. Zaprowadź je na górę.

Uchylił drzwi. Sprawdziwszy, że droga wolna, wymknął się do holu. Grunthor pospiesznie założył sztabę i zaczął wznosić barykadę z biurek.

Rapsodia ruszyła z dziećmi po schodach. Przemawiała do nich łagodnie, ale nie potrafiła ukryć niepokoju w głosie.

Achmed przeciął długi salon, stąpając cicho jak kot, lecz nie zdążył dotrzeć do wyjścia, bo do pokoju weszło kilku zbirów. Poruszali się jak świetnie wyszkoleni żołnierze i byli dobrze uzbrojeni. Wszyscy mieli na sobie kolczugi, paru niosło kusze.

Przycupnął w kącie, prawie niewidoczny, zamknął oczy i wytężył słuch. Piętnastu ludzi, nie licząc dziesięciu, którzy zostali na dziedzińcu, oraz dowódcy. Zaklął w duchu, że

Rapsodia utknęła z dziećmi w wieży jak w pułapce, ale nie było lepszego rozwiązania. Razem z Grunthorem mogła długo odpierać ataki, póki on kolejno nie zlikwiduje wszystkich przeciwników.

Wymknął się chyłkiem przez drzwi, które olbrzym wyrwał z zawiasów, i długim korytarzem splamionym krwią podbiegł do rzędu okien. Dziewięciu mężczyzn czekających przed Domem Pamięci zginęło gwałtowną śmiercią, zanim ich dowódca wyszedł z ogrodu.

Grunthor czekał cierpliwie za fortecą z biurka. W długim łuku tkwiła strzała, miecz czekał wbity w deski podłogi. Po chwili rozległo się lekkie grzechotanie, potem łomot, jakby ktoś próbował ramieniem wyważyć masywne drzwi.

Bolg uśmiechnął się lekko. Nawet on miałby kłopot z ich sforsowaniem bez użycia tarana. Raptem usłyszał ciche pukanie.

– Halo? Jest tam kto? – przemówił ciepły męski głos z wyraźną nutą serdeczności i humoru. – To niezbyt miłe z waszej strony, że nie pozwalacie mi wejść do własnego domu. Bądźcie rozsądni, wpuście mnie. Wiem, że tam jesteście.

– Odchrząń się! – ryknął Grunthor.

W tym momencie nastąpiła eksplozja i drzwi stanęły otworem. Buchnęły czarne płomienie, na wszystkie strony pofrunęły osmalone drzazgi, w powietrze uniósł się dym.

Do pokoju wpadło kilku żołnierzy. Grunthor usłyszał huk bełtów wbijających się w grube dębowe deski. Chwycił łuk. Jeden kusznik padł na podłogę. Kolejne strzały nie trafiły w cel. Dwaj napastnicy zdążyli się schować.

Lecz najgroźniejsi byli w tym momencie trzej szermierze, którzy pędzili ku prowizorycznej barykadzie. Jednego położył, raniąc w udo, pozostali dwaj przeskoczyli przez biurka. Od drzwi nadbiegali kolejni. Pierwszemu strzelił prosto w pierś, drugiemu pięścią rozbił czaszkę.

Gdy czterej przeciwnicy zaczęli okrążyć go z dwóch stron, sięgnął po miecz. Musiał klęknąć, bo nad głową śmigły mu bełty z kusz. Szybkim pchnięciem rozprawił się z kolejnym wrogiem, lecz wiedział, że za chwilę zostanie otoczony.

Odparował cios innego szermierza i odwrócił się do trzeciego, ale w tej samej chwili żołnierz padł na ziemię z dymiącą dziurą w czole.

Kątem oka Grunthor dostrzegł smukłą postać. Rapsodia przekroczyła ciało swojej ofiary i zwarła się w pojedynku z napastnikiem, który właśnie pokonał barykadę. Wielkolud uśmiechnął się i skupił uwagę na następnym atakującym. Zdziwił się, bo żołnierz się obronił, nie wypuszczając miecza z ręki. Zamachnął się i zrobił wypad, ale sam otrzymał cięcie w przedramię, nim wreszcie udało mu się pokonać dobrze wyszkolonego szermierza.

– Nieźle – powiedział do trupa.

Zobaczył, że Rapsodii podcięto kolana, i skoczył jej na pomoc. Rozplątał napastnika na pół. Dziewczyna błyskawicznie zerwała się z podłogi.

– Cieszę się, że cię widzę, panienko.

– Ja również.

Odwrócili się ku nowym przeciwnikom, ale w tym momencie kolejny wybuch zwałił ich z nóg. Półki z książkami zajęły się ogniem.

Kiedy Achmed wśliznął się za ołtarz w ogrodzie, z ręki człowieka w szarej opończy strzelił strumień czarnego ognia i roztrzaskał na kawałki ciężkie dębowe drzwi. Jego ludzie natychmiast wskoczyli do wieży.

Drak uniósł cwellan do oka i wymierzył starannie. Pierwsi padli dwaj strażnicy, którzy stali przy wyjściu do ogrodu. Następną serią była przeznaczona dla dowódcy.

Człowiek w szarej opończy odwrócił się w chwili, gdy srebrne dyski pomknęły ku niemu ze świstem. Nagle rozbłysły i spłonęły. Dowódca uśmiechnął się i znowu podniósł dłoń. Kula hebanowego ognia przecięła powietrze i eksplodowała u stóp ołtarza. Ziemia lekko zadrżała, kamień popękał, drewniane ramy, na których były rozpięte ciała dzieci, runęły, lecz Achmedowi nic się nie stało.

Kiedy usłyszał tupot nóg, zasypał zbirów gradem pocisków. Niestety dowódca znajdował się poza linią ognia. Drak popędził w stronę domu, ale drogę raptem zagrodziła mu ściana ciemnych płomieni. Zaklął i skoczył do głównego wejścia. Najwidoczniej znajomość czarnej magii nie zginęła wraz z wyspą, przemknęło mu przez myśl.

Kiedy ogień się rozprzestrzenił, a pomieszczenie wypełnił duszący dym, Grunthor i Rapsodia dźwignęli się z podłogi. W drzwiach zobaczyli niewyraźną sylwetkę. Bolg wyjął zza pasa siekiere i cisnął w nieznajomą. Wirujący topór nie dotarł do celu; zniknął w krótkim błysku.

– Jesteście w pułapce. Rzućcie broń, to ugaszę płomienie. Inaczej was spalę. – Głos był aksamitny i słodki jak miód.

Rapsodia przypomniała sobie chwilę tuż po wyjściu spod ziemi, kiedy Achmed udowodnił, że w jej bliskości ogień roznieca się silnym płomieniem.

Zamknęła oczy i oczyściła duszę.

– Uspokój się – powiedziała.

Ogień trawiący książki i zwoje od razu przygasł. Po chwili już ledwo się tlił.

Od strony drzwi dobiegły przekleństwa. Rapsodii podskoczyło serce i ogień od razu ożył. Ogarnął ją strach, w odpowiedzi płomienie wystrzeliły jeszcze wyżej. Szybko naprawiła swój błąd, ale kosztowało ją to dużo wysiłku, jakby inna wola zmagąła się z jej wolą. Mocno ścisnęła rękojeść miecza, skupiła na nim myśli i uczucia. Skutek był natychmiastowy. Ogień zgasł, w pokoju rozbrzmiało wycie bólu i zawodu.

Rapsodia wyszła zza barykady, żeby stawić czoło wrogowi. Przez kłęby dymu dojrzała jakiegoś człowieka. Stał bez ruchu, nagle zniknął. Wątpiła, czy zobaczył ją wyraźniej niż ona

jego, choć kaptur zsunął się jej z głowy, a blask pełgających płomieni oświetlił twarz i włosy. Domyśliła się, że z jego pospiesznym odejściem miał coś wspólnego widok Clariona. Podbiegła razem z Grunthorem do drzwi, ale tajemniczy osobnik rozpląnął się jak cień. Z góry niósł się płacz dzieci.

Gdy Achmed wpadł do holu, ujrzał, że prosto na niego pędzi człowiek w szarej opończy. Od czarnego długiego miecza, który trzymał w lewej ręce, biła wielka moc. Wzdłuż klingi biegł wyraźny biały pas.

Człowiek w opończy zwolnił i obrzucił go szybkim spojrzeniem. Pod hełmem i kapturem Drak dostrzegł jedynie intensywnie niebieskie oczy i bezczelny uśmiech. Jednym ruchem schował cwellan i dobył miecza. Rzadko używał broni siecznej, ale wiedział, że szkoda czasu na strzelanie dyskami. Dowódca wybitego do nogi oddziału uśmiechnął się szerzej, skinął głową i wyskoczył przez okno.

Achmed wzruszył ramionami, z powrotem zdjął cwellan z pleców i podbiegł do roztrzaskanej szyby. Przeciwnik właśnie podrywał się z ziemi. Drak wycelował w niego broń, gdy w holu nagle pojawiły się dwa białe wilki. Bestie sadyły prosto na niego, ale nie zdążyły go dopaść, bo powalił je dyskami.

Kiedy znowu wyjrzał na dziedziniec, po tamtym człowieku nie było nawet śladu.

Siedzieli we trójkę wokół ogniska, czekając, aż dzieci zasną. Postanowili zanoć w lesie z obawy, że człowiek w szarej opończy wróci z posiłkami. Rapsodia otuliła malców kocami, które Grunthor przezornie zabrał z Domu Pamięci.

Dziwna gromadka natychmiast wyruszyła do Haguefort, twierdzy Stephena Navarne. Maszerowali jeszcze długo po zmierzchu, aż w końcu zauważyli, że najmłodszy piechurzy całkiem opadli z sił. Dopiero wtedy rozbili obóz i skupili się wokół dwóch niewielkich ognisk, które roznieciła Rapsodia. Wkrótce dzieci, zmęczone i oszołomione, zasnęły. Pięcioro przytuliło się do Pieśniarki.

Gdy się upewniła, że wszystkie śpią, powiedziała do Achmeda:

– Nie damy rady. Zimą, w lasach, z maluchami. To tylko kwestia czasu, kiedy nas dopadną.

– Wiem.

– Musimy znaleźć kryjówkę, a wtedy jedno z nas pójdzie po pomoc.

– Jakies półtorej mili stąd na północny wschód znajduje się opuszczona gawra niedźwiedzia – oznajmił Grunthor. – Duża i sucha.

Na twarzy Rapsodii pojawiło się najpierw zdziwienie, a po chwili radość.

– Właśnie czegoś takiego potrzebujemy! Zapomniałam o twojej więzi z ziemią, Grunthorze. Przepraszam. – Wróciła myślami do zniszczeń, które spowodował w Domu Pamięci człowiek w kapturze. – Ten bydlak jest związany z ogniem i posiadał tajemną wiedzę.

– Zauważyłem – mruknął Achmed.

– Jego oddział też był nieźle wyszkolony – dodał Grunthor. – To nie banda pospolitych zbirów, tylko zawodowcy.

– To również zauważyłem.

– Myślę, że o nim właśnie jest mowa w kontrakcie. To Rakshas – stwierdziła Rapsodia.

Płomienie przygasły, dostosowując się do jej nastroju.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Po pierwsze, skarżył się, że nie chcemy go wpuścić do jego własnego domu. Z umowy wynikało, że teraz Rakshas jest gospodarzem Domu Pamięci. Już czytając ją, odniosłam wrażenie, że zarówno on, jak i jego pan są demonami. Zresztą posługiwał się czarną magią.

– Ja też wyczułem bijące od niego zło – powiedział Achmed. – Czy kiedyś widziałeś czarny ogień, Grunthorze?

Olbrzym wolno potrząsnął głową.

– O co chodzi? – zapytała z niepokojem Rapsodia.

– O to, że masz racje – odparł Drak. – Panami czarnego ognia są mieszkańcy Podziemia. Widok istoty, którą nazywamy Rakshasem, dziwnie na mnie zadziałał. Myślę, że gdyby to był demon, dużo wcześniej wyczułbym jego obecność, lecz tak czy inaczej ma on jakiś związek z diabelskimi mocami. Nie jestem tylko pewny jaki. Musiałbym go znowu zobaczyć.

– Może lepiej nie? – wtrącił Grunthor.

Achmed pokiwał głową.

– Co go powstrzyma przed kolejnymi morderstwami? – spytała Rapsodia, głaszcząc po główce dziecko, które zaczęło jęczeć przez sen.

– Nie my. Niech się nim zajmie armia lorda Stephena. Przynajmniej będziemy mogli mu powiedzieć, kogo czy też czego mają szukać.

Szmaragdowe oczy popatrzyły na niego ze zdumieniem. W blasku ogniska iskrzyły się jak drogocenne klejnoty.

– Nawet nie spróbujesz go wytropić?

– Próbowałem. Bez rezultatu. Zresztą już dawno zniknął. Poza tym mamy tu piętnaścioro podopiecznych. Chciałabyś zabrać ich w pościg?

Wszyscy troje przez dłuższą chwilę patrzyli w płomienie. Rapsodia myślała o dzieciach i o wszystkim, co przeszły. Doszła do wniosku, że jej towarzysz ma rację. Najważniejszym zadaniem było odstawienie dzieci do Navarne, pod opiekę lorda Stephena.

Drak podał jej notatnik. Czytając, głaskała po włosach malca, który spał z głową opartą o jej ramię. Wreszcie podniosła wzrok.

– To raport poewakuacyjny sprzed czterystu lat, kiedy pod koniec wojny cymriańskiej Firbolgowie najechali Canrif.

– Zgadza się.

Drak zaczął grzebać w żarze.

– No więc? – ponagliła go, ściągając brwi. – Achmedzie? – Gdy nadal się nie odzywał, zrozumiała. – Och, tylko mi nie mów, że chcesz tam iść.

Jego oczy przeszły ją na wskroś.

– Sądziłem, że to oczywiste.

– Tak – przyznała niechętnie. – Ale teraz wiemy, że ci ludzie mają tę samą mapę i taki sam cel, więc już nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Już? Nigdy nie uważałaś go za dobry. Zastanówmy się. Tych bydlaków nie ma w Canrif...

– Skąd wiadomo, że już tam nie dotarli? – przerwała mu.

– ...i w przeciwieństwie do nas nie są Bolgami.

– Mów za siebie.

– Ty prawie wszędzie zostałabyś przyjęta z otwartymi ramionami. My będziemy mile widziani tylko w Canrif. Grunthor i ja mamy dość skradania się przez ziemie ludzi. Bolgowie lepiej nas potraktują.

– Oczywiście. Jako kolację.

– Proponowałem, że zaprowadzę cię do Tyrianu, kraju Lirinów, ale ty postanowiłaś iść z nami. Teraz zmieniłaś zdanie? Jeśli tak, pokażę ci drogę i możesz ruszać z dziećmi choćby zaraz. Przynieś ją tu, Grunthor.

Rapsodia wytrzeszczyła oczy, zaskoczona dziwnym poleceniem. Gigant zerwał się z ziemi i skoczył w ciemność. Wrócił po chwili z wierzgającym tobołkiem pod pachą.

Przylapana na próbie ucieczki Jo klęła, aż uszy puchły. Posługiwała się językiem z ryszotków, który Rapsodia dobrze знаła z własnej przeszłości. Najwyraźniej dziewczyna wychowała się na ulicy.

Grunthor rzucił ją w dużą zaspę i uśmiechnął się szeroko.

– Dokąd się wybierałaś, mała panienko? Na królewski bal?

Jo próbowała wstać, ale na jej głowie spoczęło ciężkie łapsko. Uderzyła je ze złością i zmierzyła olbrzymia wzrokiem.

– Nie wrócę tam – warknęła.

– Gdzie? – spytała Rapsodia.

– Do Navarne. Słyszałam, jak o tym rozmawiacie. Nie idę z wami. Puść mnie.

Rapsodia delikatnie uwolniła się od śpiących malców i sprawdziła, czy są dobrze przykryci. Następnie wstała i podeszła do Grunthora, który nadal trzymał rękę na jasnych włosach rozsierzonej dziewczyny.

Przyjrzała się jej uważnie. Dziewczyna miała pełne piersi, pospolitą, wychudzoną twarz i ostry podbródek, ale w jej wodnisto-niebieskich oczach kryła się głębia. Rapsodia odniosła wrażenie, że patrzy na samą siebie sprzed lat, kiedy na ulicy walczyła o przetrwanie. Ogarnęła ją czułość.

– Nie masz rodziców?

– Nie – odburknęła Jo. – Zabierz wreszcie łapę, ty paskudny wieprzu.

Grunthor chwycił się za pierś i wybuchnął śmiechem.

– Zadałaś mi cios prosto w serce.

– Nie zabawiaj się jej kosztem – powiedziała Rapsodia.

Dziewczyna rzuciła jej wściekłe spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

– Dlaczego nie chcesz wracać do Navarne? – spytała Pieśniarka.

– Bo jestem poszukiwana za kradzież i nie chcę stracić ręki.

– Co ty mówisz! Widziałaś, żeby ktoś w Navarne stracił rękę za kradzież?

– Nie, ale wszyscy wiedzą, że taka jest kara – odparła Jo wojowniczym tonem.

– O tak, wszyscy. Nie wierzę, żeby lord Stephen godził się na takie prawo w swoim księstwie.

– A właśnie, że tak robi. To gnida.

Tym razem wszyscy troje się roześmiali.

– Twoja ocena z pewnością jest bardzo wnikliwa, zważywszy na to, jakimi dobrymi jesteście przyjaciółmi – powiedziała Rapsodia.

Widząc strach w oczach Jo, spoważniała. Mimo wyzywającej postawy dziewczyna była przerażona.

– Słuchaj, może powiem lordowi Stephenowi, że jesteś moją siostrą? Jego dzieci i ja bardzo się lubimy, więc myślę, że moje słowa wystarczą, by uratować ci rękę.

Jo wytrzeszczyła oczy.

– Zrobiłabyś to?

– Pod warunkiem że nie będę musiała kłamać. Po pierwsze, nie umiem, a po drugie, w moim zawodzie trzeba mówić wyłącznie prawdę.

Dziewczyna spochmurniała.

– Więc nic z tego?

– Jeśli cię uznam za siostrę, nie minę się z prawdą i lord Stephen przymknie oczy na twoje przestępstwo.

– O bogowie! – mruknął Achmed.

– Czy to zwyczaj, o którym zapomniałaś nas poinformować? – spytał Grunthor.

– Najwyraźniej – odparła Rapsodia z uśmiechem. – Dobrze, że was obu przyjąłem do rodziny. Jedynymi ludźmi na świecie, którzy równie bezkarnie mogli źle mnie traktować, byli moi bracia.

– Od dawna uważam, że jest między nami fizyczne podobieństwo, księżniczko.

– Co ty na to, Jo? Będiesz moją siostrą? Zawsze chciałam mieć choć jedną. Nawet jesteśmy podobne.

Dziewczyna prychnęła.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie – zaprotestowała urażona Rapsodia. – Obie mamy blond włosy i jasne oczy.

– Tak, mogłybyście być bliźniaczkami – stwierdził Grunthor.

– Zamknij się – warknęła Jo.

Bolg parsknął śmiechem.

– Właściwie, mała panienko, bardzo przypominasz mi księżniczkę. Też masz niewyparzony język. Radzę przyjąć jej propozycję. Jeśli nie, zostawisz rękę w Navarne.

– Hej, siostro! – rzuciła Jo pośpiesznie.

Pieśniarka klasnęła w dłonie.

– Cudownie. Na imię mi Rapsodia. A tobie?

Dziewczyna popatrzyła na nią ze zdziwieniem i wzruszyła ramionami.

– Jo.

– A dalej? Masz jakieś nazwisko?

– Odchrzań się.

– Jo Odchrzań Się. Dziwne nazwisko.

– Pasuje do ciebie – stwierdził Achmed.

Wyzywające spojrzenie zastąpił niechętny uśmiech.

– Ta mała ma poczucie humoru – powiedział Grunthor. – Dogadamy się na pewno, kochanie.

Rano znaleźli niedźwiedzią gawrę zasłoniętą gęstymi krzakami jeżyn. Achmed wszedł pierwszy, by się upewnić, że jest pusta. Chwilę później Rapsodia i Jo wprowadziły dzieci do dużej jaskini i zaczęły czynić przygotowania do dłuższego pobytu. Drak zwlekał z odejściem, póki się nie upewnił, że gromadka jest bezpieczna.

– Nie oszczędzajcie zapasów. Wracając z ludźmi Stephena, przywieziemy jedzenie – powiedział.

Rapsodia rozejrzała się z niepokojem po cichym lesie. W nocy temperatura spadła i śnieg utworzył chrzęszczącą skorupę. Wszyscy troje oddali rękawice najmłodszym, ale reszta nadal marzła.

– Pospiesz się, proszę – wyrwało się jej, choć wiedziała, że ponaglanie nie jest konieczne.

– Może się okazać, że uratowaliśmy je tylko po to, by pomarły od odmrożeń.

– Akurat tego się nie obawiam – stwierdził Achmed z lekkim uśmiechem. – Na pewno znajdziesz sposób, żeby je ogrzać. Macie dobre schronienie. Bardziej martwię się drapieżnikami, zwłaszcza jednym. Lepiej siedźcie w ukryciu. Zostawię trochę mylnych tropów, żeby go od was odciągnąć. Grunthor będzie czuwał.

– Wiem. Bądź ostrożny.

Objęła Draka i uściskała go krótko, po czym ruszyła do jaskini.

– Rapsodio?

– Słucham.

– Jak wrócę, porozmawiamy o dziewczynie.

– Zróbmy to teraz.

Achmed potrząsnął głową.

– Teraz szkoda czasu. Muszę jak najszybciej dotrzeć do Stephena.

– I tak wiem, co zamierzałeś powiedzieć. Według ciebie nie powinnam traktować Jo jak siostry, bo jej nie ufasz.

– Mniej więcej.

– Cóż, ja już dokonałam wyboru. Jeśli chcesz, pójdziemy swoją drogą.

Achmed wziął głęboki oddech, próbując zapanować nad wściekłością.

– Byłoby miło, gdybyś naradziła się z nami, zanim powzięłaś decyzję.

– Masz rację. Przepraszam. Wydawało mi się, że czynię słusznie.

– Zależy, co uważasz za słuszne. Zdajesz sobie sprawę z tego, że zmniejszyłaś nasze szanse na przeżycie?

– Jak możesz tak mówić! Zwłaszcza po okropieństwach, jakie tylko co widzieliśmy! – wybuchnęła Rapsodia. – Ty, który w ciągu jednego uderzenia serca potrafisz wybić cały oddział żołnierzy! To jeszcze dziecko, Achmedzie. I w przeciwieństwie do pozostałych nie ma rodziny. Nikt nie będzie świętował jej ocalenia. Równie dobrze można było ją tam zostawić, bo bez nas i tak zginie.

– A od kiedy jesteś za nią odpowiedzialna?

Rapsodia ściszyła głos prawie do szeptu.

– Sama wzięłam na siebie ten obowiązek. Wierz mi lub nie, ale dokonałam w życiu paru wyborów, chociaż ty bardzo chętnie decydujesz za mnie. To właśnie jeden z nich. Jo zostaje albo obie odchodzimy. Nie opuszczę jej.

– Lubię tę małą, jeśli moje zdanie cokolwiek znaczy – odezwał się Grunthor z poważną miną.

Drak przez długą chwilę spoglądał na przyjaciela. Wyraz jego twarzy powoli się zmienił.

– Naprawdę chcesz brać ją sobie na głowę?

– Jasne, czemu nie? Z księżniczką się udało.

– Tym razem sytuacja jest inna.

– Dlaczego? – zapytała Rapsodia. – Nie widzę różnicy. Pomogliście mi, a teraz ja chcę pomóc jej.

Achmed stłumił śmiech.

– Myślisz, że paliliśmy się do pomocy?

– Tak. Przynajmniej w chwili, kiedy się spotkaliśmy. I uratowaliście mi życie, siłą zabierając z wyspy, choć wtedy nie mogłam tego docenić.

Twarz Draka wykrzywił grymas rozbawienia.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, że ciągnęliśmy cię ze sobą jako ubezpieczenie...

– Albo pożywienie? – dodał Grunthor.

– Oczywiście, że przyszło, ale czas dowiódł czegoś innego, przestańcie wreszcie. Jo nas potrzebuje. Nie będzie z nią kłopotów, w każdym razie nie więcej niż kiedyś ze mną.

– Skoro tak stawiasz sprawę...

– To wybrakowany towar – rzucił Achmed zniecierpliwionym tonem.

Rapsodia zerknęła w popłochu ku jaskini. Oczy jej ściemniały.

– Może nie zauważyłeś, ale wszyscy jesteśmy w pewnym sensie wybrakowani – powiedziała oschle.

– Hej, mów za siebie – wtrącił Grunthor.

– Właśnie to robię. Ta dziewczyna mnie potrzebuje, a ja jej. Będę za nią odpowiedzialna. Na pewno jej nie zostawię. Jeśli nas nie chcecie, w porządku.

Achmed sapnął ze złością.

– Dobrze, niech z nami idzie. Ale wytłumacz jej, że stanowimy drużynę i musimy ufać sobie nawzajem. Ma słuchać nie tylko ciebie, ale również nas. Możesz jej powiedzieć, dokąd się wybieramy, lecz ani słowa o naszej przeszłości. Zgoda?

Omal nie stracił równowagi, kiedy Rapsodia zarzuciła mu ręce na szyję.

– Dziękuję. – Poprawiła mu przekrzywiony kaptur. – Spiesz się, ale bądź ostrożny i powiedz lordowi Stephenowi, żeby przysłał również leki.

Siedzieli w niedźwiedzim leżu ponad tydzień, czekając na Achmeda. Zgodnie z jego radą Rapsodia wykorzystała swój dar i ogrzewała skały, tak że w jaskini zrobiło się przytulnie jak w domu z buzującym kominkiem.

Jedzenia mieli pod dostatkiem. Grunthor zaopatrzył się na kilka tygodni podróży i teraz jego całodzienna racja z powodzeniem starczała na wykarmienie całej gromadki. Unikali rozpalania ogniska, żeby dym ich nie zdradził, i dzięki temu oddychali czystym powietrzem.

Brak światła przerażał dzieci, więc Rapsodia wetknęła Clariona w miękką ziemię w kącie jaskini. Jego płomienie spokojnie pełgały po ostrzu, wypełniając wnętrze łagodnym blaskiem, a nastrój stawał się jeszcze przyjemniejszy, kiedy Pieśniarka śpiewała wesołe piosenki. Ziołami leczyła rany, uspokajała malców i zabawiała, żeby hałasy nie ściągnęły uwagi na ich kryjówkę.

Cicho odprawiała poranne i wieczorne modły. Za każdym razem stawały jej przed oczami uśmiechnięte przybrane wnuki, Gwydion i Melisande. Ciepłe wspomnienie kontrastowało z widokiem smutnych i niespokojnych twarzączek, z których nawet we śnie nie znikał wyraz strachu.

Wróciła pamięcią do Analise, nazwanej przez Michaela Petunią. Dzień po jego wyjeździe z miasta zabrała małą pod opieką strażników Nany na Szerokie Łąki, otaczające Easton z trzech stron. Razem odnaleźli Liringlasów zamieszkujących wielką równinę. Lirinowie ciepło przyjęli gościa i Rapsodia jeszcze długo pocieszała się obrazem uśmiechniętej i szczęśliwej Analise, siedzącej na koniu przed ich przywódcą. Opuszczała ich spokojna, że mała zostaje pod troskliwą opieką.

Dopiero później przyszedł ból i poczucie straty, którego nie łagodziła świadomość, że zrobiła najlepszą rzecz dla osieroconej dziewczynki. Tęskniła za nią bardzo. Często się zastanawiała, czy Analise kiedyś znajdzie szczęście i zapomni o strasznych przeżyciach. Przysięgła sobie, że już nigdy nie pozwoli zrobić krzywdy żadnemu dziecku, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić.

Pogładziła małe główki, odpędzając wspomnienia.

Przez kilka dni szalała burza, wiatr skowyczał jak ranny wilk tuż u wejścia do jaskini. Rapsodia pocieszała się, że zamieć na pewno zasypie ich ślady, ale nie potrafiła opanować niepokoju.

Kiedy zwałiło się pierwsze drzewo, dzieci zaczęły krzyczeć ze strachu i szukały u niej ratunku. Niektóre były tak przerażone, że przypadły do Bolga. Wielkolud okazał się świetnym opiekunem. Rozśmieszał je wesołymi żartami, kiedy wokół biły pioruny, wstrząsając ziemią i skałami. W końcu burza ustała, ale dzieci zostały w pobliżu olbrzymiego przyjaciela.

Grunthor codziennie trzymał wartę aż do kolacji, spał do północy, po czym znowu stawał na posterunku. Rapsodia i Jo czuwały w czasie jego snu, ale nikt nie zakłócał im spokoju, nawet leśne zwierzęta. Zło czające się w lesie już dawno je wypłoszyło.

W tym czasie przybrane siostry poznały się lepiej i polubiły, choć Jo nadal nie chciała nic o sobie opowiedzieć. Miały podobne poczucie humoru i często musiały powstrzymywać się od głośnego śmiechu po własnych uwagach, zwłaszcza na temat Grunthora.

Gdy Rapsodia patrzyła na nastolatkę, opadały ją wspomnienia, nieodmiennie wprawiając w posępny nastrój. Jo znalazła się na ulicy, bo nie miała rodziny. Ona porzuciła najbliższych, którzy ją kochali, chronili i hołubili. Zginęli, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Sny, które następowały po takich rozmyślaniach, były dla niej karą za nierozważne czyny.

W końcu zaczęła żałować, że ciągnie dziewczynę do krainy Bolgów, zamiast odprowadzić ją do Navarne. Gdy podzieliła się wątpliwościami z Jo, ta bez słowa wskazała głową na śpiące dzieci. Dawała jej w ten sposób do zrozumienia, że w dzisiejszych czasach zagrożenie czai się wszędzie i lepiej się nie łudzić, że gdziekolwiek jest bezpiecznie.

Wreszcie po tygodniu zjawił się Achmed z posiłkami. Karawanę słychać było z daleka, a Grunthor wyczuł ją wcześniej dzięki więzi z ziemią.

Rapsodia wyszła z jaskini i osłoniła oczy przed jasnym światłem dnia. Z drogi dobiegał turkot kół, parskanie koni i tętent kopyt.

Jakiś czas później pojawił się duży oddział żołnierzy, prowadził Achmed i lord Stephen. Rapsodia pomachała im radośnie. Diuk zsiadł z wierzchowca, pobiegł z uśmiechem i chwycił ją w objęcia.

– Dobry Stwórco, jesteś cała? Zamartwiałem się o ciebie.

Rapsodia poklepała go po ramieniu.

– Dziękuję, wszyscy czujemy się dobrze. Dzieci są w kryjówce z Grunthorem.

– Zobaczmy, kogo tam mamy – powiedział diuk, zaglądając do jaskini.

Na jego widok olbrzym zawołał:

– Stanąc w szeregu, urwisy!

Dzieci wypełniły rozkaz, po czym zaczęły paplać jedno przez drugie, radosne po raz pierwszy od długiego czasu. Bolg kolejno brał je na ręce, przekazywał Rapsodii, a ona lordowi Stephenowi. Diuk zamieniał z każdym parę miłych słów, niektóre poznawał, inne wypytywał o rodziców. Wkrótce cała czternastka znalazła się pod opieką żołnierzy czekających przy wozie. Na końcu wyszła z jaskini Jo, czy też raczej została wypchnięta przez Grunthora. Pieśniarka ujęła jej chudą, drżącą dłoń.

– Milordzie, chciałabym przedstawić swoją siostrę.

Stephen przez chwilę patrzył bez słowa na dziewczynę, a następnie uśmiechnął się do Rapsodii.

– To dla mnie zaszczyt poznać członka twojej rodziny. Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej.

– Ja nie żałuję – mruknęła Jo pod nosem.

– Czy to wszystkie dzieci? – zapytał diuk. Uśmiech zniknął z twarzy Rapsodii.

– Niestety tak. Przeszukaliśmy starannie cały Dom Pamięci, ale nie znaleźliśmy nikogo więcej.

Żywego, dodała w myślach. Lord Stephen wziął ją za ramiona.

– Jestem wam wdzięczny za te, które uratowaliście. Wielu pogrążonych w żałobie rodziców już wkrótce będzie świętować ich powrót.

– Do Domu Pamięci lepiej wysłać żołnierzy bezdzietnych i o mocnych nerwach – powiedziała ze smutkiem. Obejrzała się na Grunthora, który wsadzał dzieci na wóz, i wróciła spojrzeniem do diuka. – Proszę, jedź z nimi do domu. Już dość wycierpiał.

– Dobrze, posłucham twojej rady.

– Jesteśmy gotowi, panie! – zawołał dowódca oddziału.

Diuk niechętnie puścił jej ramiona. Rapsodia podbiegła do wozu i zaczęła żegnać się z dziećmi. Niektóre odpowiadały jej uśmiechem, inne patrzyły tępo; urazy miały się jeszcze długo goić. Powożący cmoknął na konie i pojazd ruszył wolno leśną drogą, eskortowany przez jeźdźców.

Lord Stephen przekroczył zwałone pnie i podszedł do Bolgów.

– Dziękuję. Zasłużyliście na dozągoną wdzięczność Navarne i mojego rodu. Przekazuję wam cztery konie, zapasy żywności oraz list z pieczęcią władcy. Możecie go wykorzystać według uznania. I pamiętajcie, że zawsze będziecie mile widziani w moim domu.

– Dzięki, stary – powiedział Grunthor, ściskając podaną dłoń.

Stephen przeniósł wzrok na Achmeda.

– Dokąd się wybieracie?

Drak zmierzył go wzrokiem.

– Do Canrif, ale wołałabym, żeby na razie nikt więcej o tym nie wiedział.

– Dobrze. Proponuję, żebyście skierowali się na północ do płaskowyżu Orlandan i dalej pojechali główną drogą przez Bethany do Bethe Corbair, ostatniej prowincji przed krainą Bolgów.

Achmed pokiwał głową. Właśnie taka trasa była naszkicowana w notatniku.

– Gdy dotrzecie do miejsca, gdzie łagodne wzgórza przechodzą w równinę Krevensfield – ciągnął Stephen – skręćcie na południowy wschód i wjedźcie do miasta od południa. Tak będzie bezpieczniej. Gdybyście w Bethe Corbair wpadli w tarapaty, poproście o widzenie z księciem Quentinem Baldasarre, a jeśli wam się nie uda do niego dostać, wystąpcie o azyl

religijny do benisona Lanacana Orlando. To bardzo dobry człowiek. Kiedy zobaczy list, na pewno wam pomoże.

W tym momencie podeszła do nich Rapsodia razem z Jo.

– Sprawca porwań i zbrodni uważa Dom Pamięci za swoją siedzibę i może do niego wrócić – powiedziała. – Niech twoi żołnierze zabiorą stamtąd wszystkie zwoje i rzeczy warte uratowania.

Lord Stephen pokiwał głową.

– Wszystko już księciu wyjaśniłem – odezwał się Achmed. – Lepiej ruszajmy, bo zmrok nas tu zastanie.

– Do widzenia, milordzie. Przekaż Gwydionowi i Melisande moje uściski.

Diuk ucałował jej dłoń, a następnie próbował w ten sam sposób pożegnać Jo, ale dziewczyna szarpnięciem zabrała rękę i rzuciła mu groźne spojrzenie. Grunthor i Achmed odprowadzili go do wierzchowca. Galopując leśnym duktem, Stephen oglądał się kilka razy.

– Niezłe bestie – stwierdził Grunthor, zwracając się do Rapsodii, która nadal patrzyła na drogę, choć jeździec już dawno zniknął za zakrętem. – Kto bierze największego?

Wszystkie konie budziły podziw, ale ostatni, o połowę od nich większy, był prawdziwym rumakiem bojowym.

– Chyba powinieneś wybrać klacz – odparła, wskazując najdelikatniejsze zwierzę z całej czwórki.

Grunthor już szykował się do riposty, kiedy za nim odezwał się zduszony głos.

– Nie umiem jeździć konno.

Rapsodia wzięła Jo za rękę.

– To wcale nie jest trudne. Możesz jechać ze mną.

Achmed pokiwał głową.

– Czwartego objuczymy zapasami. Dzięki temu będziemy podróżować szybciej.

Bolgowie zajęli się troczeniem bagaży, a Rapsodia dodawaniem odwagi przybranej siostrze. W końcu wszyscy czworo dosiedli wierzchowców i ruszyli na północny wschód, przez prowincje Navarne i Bethany, a dalej przez równinę Krevensfield ku Bethe Corbair, bramie do mrocznego królestwa Firbolgów.

– Co to znaczy, że nie mogę wjechać do miasta? Trzęsłam się na tej cholernej szkapie przez tydzień, a teraz mi mówisz, że nie mogę wjechać do miasta? Jesteś wredną świnia, Achmed! Mam nadzieję, że dostaniesz ospy. Zresztą dzioby już bardziej nie zaszkodzą twojej paskudnej gębie.

Rapsodia pospiesznie odwróciła głowę, gdy Drak rzucił na nią znaczące spojrzenie, po czym zsiadł z konia z westchnieniem irytacji.

– Przypomnij mi, dlaczego pozwoliłem ci dzielić się z nią naszym jedzeniem – powiedział, zarzucając wodze na koński grzbiet.

– Bo ją lubisz – odparła. W jej zielonych oczach błyszczała wesołość.

– Cóż, w takim razie jeszcze raz omów z nią nasz plan. Wyjaśnij, że nie możemy jej pozwolić chodzić po ulicach Bethany, bo jeszcze ktoś porwie ją do miejscowej szkoły wdzięku jako nauczycielkę etykiety.

Rapsodia zdjęła juki i ruszyła w stronę zagajnika, w którym Grunthor rozbił obóz. Jo wlokła się za nią, narzekając przez całą drogę. Wreszcie Pieśniarka się zniecierpliwiła.

– Posłuchaj. Achmed i ja zrobimy szybki wypad do Bethany. To stolica Rolandii i jest w niej trzy razy więcej żołnierzy i gwardzistów niż w Navarne. – Zaśmiała się cicho na widok poblądłej twarzy dziewczyny. – Nasza wizyta musi być jak najkrótsza, ale następnym przystankiem będzie stolica prowincji Bethe Corbair. Tam uzupełnimy zapasy i trochę się rozejrzemy. Wtedy pójdziesz z nami do miasta, oczywiście pod warunkiem, że będziesz się dobrze zachowywać.

– W porządku – zgodziła się Jo niechętnie.

– Przykro mi, że to nie pasjonujące życie na ulicy, ale z pewnością bezpieczniejsze, wierz mi – powiedziała Rapsodia, rozplątując kołtun w jej włosach.

– Niekoniecznie – odezwał się Grunthor, który leżał pod bezlistnym drzewem z rękami pod głową. – Jeśli po powrocie chcesz jeszcze zobaczyć małą panienkę, zostaw mi dużo jedzenia.

– Zawsze tak mówisz, ale kiedy ostatnio rzeczywiście kogoś zjadłeś? – spytała Jo.

– Żywego czy martwego?

Rapsodia zadrzała.

– No dobrze, idziemy. Do widzenia, Jo.

Wyciągnęła ramiona, lecz dziewczyna tylko skinęła głową. Natomiast Firbolg zerwał się z koca i chwycił ją w objęcia.

– Bądź ostrożna – ostrzegł, stawiając ją powrotem na ziemi.

– Wrócimy rano – powiedział Achmed cicho. Między nimi zawisł obłoczek pary, jakby jego słowa zamarzyły w mroźnym powietrzu. – Na wszelki wypadek daj nam jeszcze dzień lub dwa. Potem ruszajcie sami.

Zarzucił worek na plecy i skinął na Rapsodię. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Za tę ostatnią możliwość z góry bardzo przepraszam.

Stolicę Rolandii leżącą mniej więcej pośrodku prowincji, dwa albo trzy razy większą od Easton, zbudowano na planie koła. Otaczał ją szeroki pierścień osad i wiosek. Z daleka wyglądała jak gigantyczna kopuła. Najwyższe budowle znajdowały się w centrum, najniższe przy murach obronnych, których blanki wychodziły na wszystkie strony świata.

Podczas wstępnego rekonesansu, jeszcze zanim rozdzielili się z Grunthorem i Jo, obeszl je wkoło, trzymając się w bezpiecznej odległości. Achmed od razu postanowił, że ze względu na liczbę żołnierzy i strażników wejdą do niego na piechotę, w przebraniu skromnych wieśniaków.

Tak więc teraz, odziani w płaszcze z kapturami, które dał im Llauron, stali u południowo-wschodniej bramy, jednej z ośmiu naliczonych podczas zwiadu.

Navarne składało się głównie z rozrzuconych gospodarstw i wiosek, nielicznych dużych posiadłości szlachty oraz małej siedziby księcia, a Bethany od początku zaplanowano jako stolicę kulturalną państwa, symbol epoki, która dawno przeminęła. Nawet na przedmieściach ulice z małymi sklepikami, gospodami i tawernami były brukowane. W domach tworzących zwarte szeregi mieszkało po kilka rodzin. Tylu latarni, szklanych kloszy na lśniących mosiężnych słupach, Rapsodia nie widziała przez całe życie. Co kilkadziesiąt kroków spotykało się poidła dla koni i paliki do przywiązywania wierzchowców.

Zgodnie z prawem bydło i inne zwierzęta można było wprowadzać tylko przez niektóre bramy, co z góry przesądziło o charakterze poszczególnych dzielnic. Targowiska i sklepy znajdowały się w części zachodniej i wschodniej, a muzea i ogrody skupiły się na południu i północy. Dwie najwyższe budowle, świątynia ognia i zamek Tristana Stewarda, lorda regenta i księcia Bethany, stały obok siebie w sercu miasta. Natomiast żołnierze stacjonowali wszędzie.

Bazylikę poświęconą żywiołowi ognia wzniesiono w centralnym punkcie stolicy. Rapsodia już z daleka czuła pulsujący żar. Choć nie mógł się równać temu, przez który przeszli we wnętrzu ziemi, była w nim autentyczność świadcząca o tym samym pochodzeniu.

– Naciągnij kaptur i trzymaj głowę opuszczoną – poradził Achmed, gdy minął ich kolejny oddział, bezceremonialnie roztrącający przechodniów. – Idź w stronę ognia. Będę tuż za tobą. Nie musisz się oglądać.

Rapsodia kiwnęła głową i skupiła się na pieśni płomieni, by zapomnieć o niepokoju. Mimo swojego piękna Bethany wyglądało na sztuczny twór. Starannie utrzymane ogrody były zbyt doskonałe, budynki zbyt eleganckie, wyzywające. Na ulicach wyraźnie brakowało

ludzi biednych i żebraków, natomiast żołnierzy widziało się na każdym kroku. Cóż, przecież to stolica, pomyślała Rapsodia. Nic dziwnego, że dba się o bezpieczeństwo obywateli.

Po prawie dwóch godzinach wreszcie dotarli do bazyliki. Jeszcze zanim ujrzeli ją w całej okazałości, natykali się na ślady jej bliskości. W jednym miejscu kocie łby pozłożono w kształt płomieni buchających na wschód. Im bliżej świątyni, tym więcej ognistych wzorów pojawiało się na ulicach. W pewnym momencie Rapsodia i przystanęła i zaczęła, aż Achmed się z nią zrówna.

– Pamiętasz ryciny w muzeum lorda Stephena? – zapytała szeptem.

Drak pchnął ją delikatnie do przodu, bo zauważył, że strażnik miejski patrzy w ich stronę.

– Tak.

– Teren wokół bazyliki był wyłożony mozaikami w formie płomieni. Te tutaj wyglądają podobnie. Chyba jesteśmy u celu.

Chwilę później okazało się, że ma rację. Gdy wyszli zza rogu, ich oczom ukazała się górująca nad otoczeniem monumentalna okrągła budowla z białego marmuru o złotym żyłkowaniu. Wewnętrzny dziedziniec stanowił jedną wielką mozaikę, której granice wytyczały żywopłoty przyszczyżone w kształt języków ognia. Kostki o jaskrawych barwach ułożono we wzory przypominające promienie słońca, ozdobiono lazurytem i innymi kamieniami półszlachetnymi. Aż do pałacu stojącego na wzniesieniu w północnej części miasta ciągnęły się ogrody, teraz uśpione, zszarzałe.

Sama bazylika składała się z kilku ogromnych amfiteatralnych kręgów, z wykutymi w marmurze siedzeniami. Tu i ówdzie, na różnych poziomach, modliła się lub medytowała garstka wiernych. Dwaj duchowni porządkowali teren.

Na środku placu stał duży złoty piec, z którego buchał płomień o intensywnym karmazynowym i pomarańczowym kolorze, przetykany wstęgami błękitu. Jego czyste światło, ciepło i moc przywiodły na pamięć ognistą ścianę, przez którą przeszli dawno temu, po drugiej stronie Czasu. Rapsodia z trudem powstrzymała łzy na wspomnienie doznanego wtedy poczucia bezpieczeństwa i całkowitej akceptacji.

Mogłaby tak stać w nieskończoność i z zachwytem wpatrywać się w ogień, lecz Achmed wyrwał ją z zamyślenia.

– Chodźmy – szepnął. – Widzę odpowiedniego kandydata. Skinieniem głowy wskazał stojącego w pobliżu kapłana w średnim wieku, o lśniącej łysinie. Duchowny miał na brązowej szacie wyhaftowane stylizowane słońce z czerwoną spiralą pośrodku. Identyczny symbol był wyryty na amulecie benisona Bethany, Błogosławiącego Canderre-Yarim, którego portret widzieli w muzeum cymriańskim.

Wcześniej ustalili, że Rapsodia postara się dowiedzieć jak najwięcej o tutejszej wierze i obrządkach, natomiast Achmed zwróci uwagę na inne rzeczy.

Podeszła do duchownego i zatrzymała się w stosownej odległości. Polerował mosiężną balustradę, która oddzielała dwa rzędy siedzeń. Nie podnosząc wzroku, niedbale machnął ręką.

– Chłopstwo tylko w ostatnim kręgu – powiedział lekko zasapanym głosem i wrócił do pracy.

Rapsodia obejrzała się na Achmeda, który dał jej znak, żeby odrzuciła kaptur kryjący twarz. Tak też zrobiła, po czym zagadnęła duchownego:

– Wielebny?

Łysy kapłan odwrócił się i spojrzał na nią groźnie. Sekundę później rozdziawił usta, a w okrągłych oczach pojawiło się przerażenie.

– Słodki Stwórco! Już? – wyszeptał, upuszczając szmatkę.

Simon przez cały ranek sprzątał bazylikę, przygotowując ją na mszę odprawianą przez benisona w najważniejszy dzień tygodnia. Praca była wyczerpująca, więc spociał się mimo zimowego chłodu.

Pokora, przypominał sobie co chwila, jedna z siedmiu cnót wyświeconych. Po raz czwarty tego ranka zaczął odmawiać modlitwę, lecz recytacja słów o uległości i wyrzeczeniu się buntu nic nie pomagała. Przepęniała go taka zazdrość granicząca z gniewem, że aż robiło mu się słabo. Prawdę mówiąc, od rana czuł się chory.

Kiedy przywieziono rannych żołnierzy, opat znowu wyznaczył Dartralea do pracy w hospicjum. On zaś mimo wieku, starszeństwa i wprawy w uzdrawianiu został przydzielony do sprząwania. Tymczasem ten niezdarzy rzeźnik Dartralen z dumą opatrywał weteranów.

Simon o tym właśnie myślał, gdy podeszła do niego chłopka. Wskazał jej właściwe miejsce, zewnętrzny krąg, ale najwyraźniej nie dosłyszała.

– Wielebny? – Głos był cichy i ciepły, niczym tchnienie samego ognia.

Uniósł wzrok i serce podeszło mu do gardła.

Przed nim, odziana w brązowy workowaty płaszcz, stała piękność o oczach zielonych i głębokich jak morze, lśniących włosach koloru słońca. Bił od niej żar. Dostatecznie długo przebywał w pobliżu Świętego Pieca, żeby rozpoznać jego źródło. Przybył po niego Duch Ognia, zwiastun śmierci. Widać bardziej sforsował się przy porządkowaniu świątyni, niż sądził.

I akurat kiedy zjawił się anielski przewodnik, on snuł zgryźliwe rozmyślenia. Serce w nim zamarło. Był zgubiony.

– Słodki Stwórco! Już? – wyszeptał.

Urocza zjawka zamrugwała.

– Źle się czujesz, wielebny?

– Ach, wybacz mi – Simon próbował wstać. – Wziąłem cię za kogoś innego. – Zamknął oczy, modląc się, żeby w drugim życiu nie spotkała go za tę pomyłkę jeszcze dotkliwsza kara.

Anioł uklonił się z szacunkiem.

– Czy mogłabym poprosić cię, panie, żebyś mi udzielił lekcji na temat tutejszej religii? Jestem z daleka.

Simon zaczął drżeć jeszcze gwałtowniej. Sprawdza mnie, pomyślał i rozejrzał się gorączkowo, czy ktoś będzie świadkiem jego rychłej śmierci. Na kręgach znajdowało się zaledwie kilku wiernych pogrążonych w modlitwie. Po dziedzińcu błąkał się wieśniak w chałacie z kapturem, oglądając freski i mozaiki.

Cóż, moje życie w lepszym świecie zależy od tej chwili. Zostanę osądzony według kapłańskiej postawy oraz znajomości nakazów wiary i rytuałów. Muszę się zdobyć na ostatni wysiłek.

– Z przyjemnością – powiedział, siląc się na dobrotliwy uśmiech, choć serce chciało wyrwać mu się z piersi. – Tędy, proszę.

– Dziękuję – oparła Rapsodia i schowała dłonie w rękawy płaszcza, naśladowując swojego przewodnika.

Poszło jej łatwiej, niż się spodziewała, zwłaszcza po pierwszej reakcji kapłana. Gdy na nią spojrział, na jego twarzy odmalował się wyraz przerażenia. Podobny widziała u uczniów Llaurona, a później u sług lorda Stephena i strażników w Domu Pamięci. Najzwięźlej wyraził swoje odczucia wielki cymriański generał Anborn. „Wiem, kim jesteś. Rapsodia, prawda? Może istnieje tylko jeden taki wybryk natury”.

Nie była pewna, czy chodzi o jej wygląd, czy o zmianę, która w niej nastąpiła po przejściu przez ogień. Tak czy inaczej robiła na ludziach silne wrażenie. Czasami dostrzegała w ich wzroku lek zmieszany z podziwem, który w nieco innej formie widywała w burdelu Nany. Doszła do wniosku, że musi radzić sobie z powszechnym zainteresowaniem tak jak Achmed: ukrywając się. Naciągnęła kaptur na głowę i ruszyła za kapłanem w stronę złotego pieca.

– To jest święta studnia Vrackny, Jedyne Boga, Ognia Wszechświata – wyjaśnił.

Rapsodia zbladła i nerwowo przełknęła ślinę, co wprawiło duchownego w jeszcze większą konsternację. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że Cymrianie zrobili niewłaściwy użytek ze starożytnego imienia złego boga ognia.

– Bazylika Stwórcy jest wyjątkowa dlatego, że została poświęcona jednemu z pięciorga jego dzieci, żywiołowi ognia. Płomień buchający z pieca pochodzi bezpośrednio z serca ziemi.

Rapsodia uśmiechnęła się, ale nie spojrzała w ogień z obawy, że zacznie płakać albo wpadnie w trans. Wskazała Achmeda, który kręcił się w pobliżu.

– To mój towarzysz, panie. Jego też zainteresuje twój wykład.

Wyświecony odwrócił się z miłym wyrazem twarzy. W tym momencie Drak zsunął kaptur i uśmiechnął się szeroko. Kapłan zachwiał się i niechybnie runąłby na ziemię, gdyby Rapsodia nie chwyciła go za ramię.

Anioł śmierci nie przybył sam.

Simon przygotował się na widok kolejnego niezwykłego gościa, być może pomniejszego ducha ognia. Zamiast niego zobaczył twarz jak z nocnych koszmarów, oświetloną skaczącymi płomieniami. Oczy obezlitosnym spojrzeniu Złodzieja Dusz przewiercały na wylot. Usta, cienka krzywa kreska na obliczu poznaczonym dziobami, wykrzywiły się w szyderczym pozdrowieniu.

Świat wokół pociemniał. Simon zrozumiał, że jeśli zawiedzie, czeka go marny los. Zamiast przejść do drugiego świata w objęciach Ducha Ognia, umrze zmiażdżony przez żelazne ramiona mieszkańca Podziemia, który teraz się z niego naigrawa. Dobro i zło toczyły walkę o jego duszę.

W ostatniej świadomej myśli pożałował, że nie poświęcał należytej uwagi starożytnej wiedzy. Krew odpłynęła mu z głowy, zadrzał gwałtownie i runął do przodu.

Silna, ciepła dłoń chwyciła go za ramię. Kiedy oprzytomniał stanął prosto, poczuł cudowny zapach włosów Ducha Ognia. Spojrzał w hipnotyzujące zielone oczy.

– Wielebny?

Uśmiech, którym go obdarzyła zjawa, był miły. Simon nabrał otuchy, że może nie jest aż tak niezadowolona z jego odpowiedzi, Nachyliła się ku niemu. Od słodkiej woni ponownie zakręciło mu się w głowie.

– Nie bój się – szepnęła.

Co za szczęście, pomyślał kapłan z ulgą. Moja wiara i wysłanniczka Jedyne Boga będą mnie bronić.

– Już dobrze. Przepraszam. Na czym to ja skończyłem? A tak, oczywiście. Wierni z diecezji Bethany przychodzą tutaj na msze i oczyszczają myśli, żeby ich modlitwy stały się godne zanieśienia do patriarchy.

Duch Ognia uniósł ramię i wskazał północną ścianę wewnętrznego kręgu, na której widniał fresk przedstawiający młodego mężczyznę w czerwonej szacie i mitrze.

– Kto to jest?

Kapłan zebrał wszystkie siły i wyjaśnił:

– Jego Świątobliwość Ian Steward, Błogosławiący Canderre-Yarim, benison, któremu podlega ta bazylika.

– Brat Tristana? – spytał demon zgrzytliwym głosem, w którym brzmiały gniewne tony.

Simon zadrzał. Nie chciał w żaden sposób przyczynić się do potępienia swojego zwierzchnika. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Brentela, razem z nim wyznaczonego do

robienia porządków, ale szelma gdzieś zniknął, pewnie w zakrystii. Wrócił spojrzeniem do Ducha Ognia, który, sądząc po wyrazie twarzy, również z góry znał odpowiedź.

– T-tak – wyjąkał.

Anioł skinął głową. Jego reakcja dodała Simonowi odwagi.

– To artystyczne wizje narodzin Ognia – wyjaśnił kapłan, ocierając pot z łysiny.

Rapsodia spojrzała na mozaiki zdobiące trzy pozostałe mury bazyliki. Na wschodniej ścianie widniała spadająca gwiazda i słońce. Tło stanowiły czarne płytki przedstawiające pustkę wszechświata. Na powierzchni jasnej kuli tańczyły płomienie.

– Ziemia powstała wtedy, gdy kawałek gwiazdy, która jest naszym słońcem, odłamał się i pomknął przez otchłań, aż zatrzymał się na orbicie i krąży teraz wokół swojej matki – wyrecytował duchowny.

Zerknął na nią niespokojnie. Rapsodia uśmiechnęła się i skinęła głową, choć nie miała pojęcia, dlaczego wyświecony szuka u niej potwierdzenia. Biedak odprężył się wyraźnie i wskazał na południe.

– Z braku eteru ogień szalejący na powierzchni spadł w głąb ziemi i utworzył rdzeń, gdzie do dzisiaj płonie w najczystszej formie.

Mozaika wykonana z dziesiątków tysięcy maleńkich płytek przedstawiała ciemną planetę i jaskrawoczerwoną spiralę prowadzącą do jej wnętrza.

Achmed i Rapsodia ruszyli za kapłanem do ostatniego malowidła: stylizowanego słońca z czerwonym środkiem, takiego samego jak na amulecie benisona i na szacie wyświęconego.

– To symbol F’dorów, pierwotnej rasy, która istniała jeszcze przed narodzinami ludzkości. Pochodzili od ognia i do pewnego stopnia go ujarzmili, dali ludziom do ogrzewania domów w zimie i wykuwania broni. F’dorowie już dawno wymarli, ale im zawdzięczamy możliwość korzystania ze świętego i potężnego żywiołu, jednego z pierwszych darów Jedyne Boga.

Słowa uwięzły mu w krtani, kiedy zobaczył wyraz twarzy demona. Czym prędzej przeniósł wzrok na anioła. Piękna zjawa uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Simon ujął ją z drżeniem.

– Dziękuję. Chyba już powinniśmy iść.

Rapsodia w ostatniej chwili uratowała wyświeconego przed uderzeniem głową w kamienną posadzkę.

– Co się dzieje z tym człowiekiem? – zapytała, kiedy oparli go o mur bazyliki pod symbolem F’dorów.

– Nic – powiedział Drak, zerkając na mozaikę. To coś w ziemi, pomyślał.

Rapsodia odkorkowała manierkę, przystawiła ją nieprzytomnemu do ust i wlała mu odrobinę nalewki do gardła. Kapłan zakrztusił się i wypluł część trunku, ale nie odzyskał przytomności. Pieśniarka wlała w niego jeszcze trochę piekącego płynu.

– Mam nadzieję, że to pomoże.

– Do czasu – powiedział Achmed ze złośliwym uśmiechem, – Wyświęceni, którzy doglądają świątyń, z oczywistych powodów nie mogą pić alkoholu. Kiedy ten nieszczęśnik się ocknie, będzie miał kłopoty z wyjaśnieniem, dlaczego jego szata cuchnie wódką.

W oczach Rapsodii pojawiła się troska.

– Chodźmy – ponaglił ją Drak, uprzedzając próbę ocucenia kapłana. – Nie martw się o niego. Coś wymyśli. Ci ludzie są prawie tak dobrzy w oszukiwaniu siebie samych jak ty.

Wziął ją za łokieć i dźwignął z klęczek.

– Co to miało znaczyć? – spytała.

– Odpowiem ci, kiedy znajdziemy się za murami miasta.

Pociągnął ją za rękę. Opuścili bazylikę i wmieszali się w tłum przechodniów.

Simon bezskutecznie starał się obudzić. W przebłyskach świadomości wracało do niego wspomnienie słodkiego zapachu i ciepła rąk pięknej zjawy, kiedy podtrzymywała jego głowę.

Widział moment własnej śmierci. Duch Ognia wziął go za rękę i powiedział: „Dziękuję. Chyba już powinniśmy iść”. Dobrze przynajmniej, że to ona go wybrała, a nie demon o upiornej twarzy. Świat odpłynął.

Potem znowu poczuł pod głową dłonie anioła i płynny ogień w gardle. Zakrztusił się, próbował wypluć palącą ciecz, ale nagle ogarnął go błogostan, miłe ciepło ukołysało do snu. Zapomniał o strachu i słabości.

Póki nie znalazł go opat.

– Prędeż – mruknął pod nosem Drak.

Stał przed warsztatem harfiarza na skraju miasta i czekał na Rapsodię.

Okrzyk zachwytu, który z siebie wydała na widok pracowni, był pełen dziecięcej radości. Rozbrzmiewała w nim muzyka i prośba, której Achmed nie zdołał się oprzeć. Doszedł do wniosku, że od tej pory musi być czujniejszy i bardziej zdecydowany.

Chcę wysłać prezenty wnukom i sama też potrzebuję nowej harfy, oświadczyła. Wciąż gdzieś zostawiam swoje instrumenty.

Wybranie kolejnego zabrało jej bardzo dużo czasu. Od ulicznego hałasu, od wibracji powodowanych przez wozy i ludzi rozboleła go głowa. Już szykował się, żeby wyciągnąć ją z warsztatu siłą, kiedy stanęła w drzwiach potargana, z płonąca twarzą i gniewem w oczach.

– Drań! – warknęła, podając Achmedowi pakunek.

– Słucham?

– Nie ty. On – powiedziała, wskazując za siebie.

– Co się stało?

Schowwała włosy pod kaptur.

– Ten zbereźnik lubi dotykać nie tylko strun harfy – odparła ze złością.

Achmed zaśmiał się cicho i oddał jej instrument.

– Jak zareagowałaś?

– Wyobraziłam sobie, jak zachowałby się Grunthor, i zrobiłam to samo, tylko że użyłam tępego końca sztyletu. Łajdak zaśpiewał sopranem, ale nic cennego nie stracił.

– Pewnie jest potomkiem Cymrian – rzucił Drak.

Nastrój Rapsodii trochę się poprawił.

– W starym kraju znałam wielu podobnych. Swoją drogą, nadal nie mogę uwierzyć, że ośmieliłeś się na taki żart przy Llauronie.

– Co kupiłaś?

– Lirę uzdrowicieli. Pomaga w leczeniu. Khaddyr ma identyczną, ale nie potrafi na niej grać. Są tylko trzy struny, więc trochę potrwa, zanim nabiorę wprawy. Tutejsze instrumenty różnią się od sereńskich.

Achmed wziął ją pod ramię. Obszedł łukiem żołnierzy, którzy stali na rogu ulicy niedaleko południowo-wschodniej bramy i śmiali się głośno.

– Niechętnie ci to uświadomiam, ale tu jest teraz nasz dom, Rapsodio.

Pieśniarka opuściła głowę i pogrzyżyła się w myślach. Spojrzała na niego dopiero za murami.

– Twój może tak.

Ruszyła przed siebie ze wzrokiem wlepionym w ziemię.

W pierwszej wiosce za miastem odwróciła się nagle i złapała Achmeda za ramię.

– Jesteśmy śledzeni?

Drak skinął głową, omijając grupę rozbrykanych dzieci i przydomową wędzarnię, z której snuł się ostry dym. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć gwar. Tych ludzi nigdy by nie wpuszczono na czyste ulice Bethany.

– Grunthor idzie za nami od jakiegoś czasu.

– Po co? I gdzie jest Jo? – Rapsodia obejrzała się, ale wielki cień zniknął.

– Bo go o to prosiłem. Jo pewnie mu towarzyszy. Już mamy niedaleko do obozu.

Nagle ponad ogólną wrzawę wzniósł się przesywający krzyk bólu. Na ziemi leżał zwinięty w kłębek mały chłopiec i rękami osłaniał głowę przed kopniakami, które wymierzał mężczyzna ze szpakowatą brodą.

Rapsodia rzuciła się w tamtą stronę, ale zatrzymało ją silne szarpnięcie.

– Nie wtrącaj się – ostrzegł ją Achmed. – Tak żyją ci ludzie. Rozejrzyj się.

Rzeczywiście, przechodnie nie zwracali najmniejszej uwagi na dziecko i dręczyciela. Rapsodia próbowała wyrwać się Drakowi.

– Pomyśl, co czeka później tego malca, jeśli się wieszasz. Nie możesz zaadoptować wszystkich dzieci na świecie. Uważaj, bo zostawię ciebie i Jo w Bethany.

Chłopiec znowu krzyknął.

– Puść mnie!

Achmed spiorunował ją wzrokiem i niechętnie cofnął dłoń. Pieśniarka ruszyła przed siebie z opuszczoną głową. Sytuacja wymknęła się Drakowi spod kontroli. Mógł tylko obserwować.

Rapsodia niczym taran uderzyła wieśniaka w pierś, kiedy szykował się do następnego kopniaka. Zaskoczony atakiem, zatoczył się do tyłu. Oboje runęli na rząd beczek i drewna na opał. Gdy już leżał na ziemi, ciosem pięści złamała mu nos. Krew trysnęła na drogę.

Wieśniak otrząsnął się z pierwszego szoku i chwycił napastniczkę za gardło.

– Dziwka – wysapał. – Co...

Achmed westchnął, gdy zobaczył, że Rapsodia siada okrakiem na swojej ofercie i bierze zamach do prawego prostego, o którym tak pochlebnie wyrażał się Grunthor. Po imponującym ciosie w rozkrwawiony nos nieszczęśnik zrezygnował z dalszej walki.

Ludzie, którzy wcześniej nie dostrzegali bitego dziecka, teraz gapili się na ciekawe widowisko. Rapsodia wstała, otarła czoło z krwi wieśniaka.

– Dlaczego kopalesz chłopca? – zapytała, dysząc ciężko.

Chłop skrzywił się, mrużąc oczy przed słońcem.

– To... mój syn – wymamrotał.

– Naprawdę? I dlatego go katowałeś? Dobrze wiedzieć.

Z rozmachem wymierzyła mu kopniaka w jądra. Wieśniak zwinął się w kłębek, tak jak przed chwilą malec. Mężczyźni obserwujący tę scenę cofnęli się z przerażeniem.

– Masz! Może już nie spłodzisz więcej dzieci. Najwyraźniej nie nadajesz się do ich wychowywania.

Ukucnęła przy chłopcu, który nadal leżał na ziemi.

Tymczasem uwagę Achmeda przyciągnęło zamieszanie na drodze. Od strony miasta zbliżał się oddział konnych żołnierzy. Dowódca zadał pytanie jednemu z gapiów, a ten mu odpowiedział, żywo gestykulując. Drak wrócił spojrzeniem do Rapsodii.

Pieśniarka pocieszała malca, głaszcząc go po twarzy. Chłopiec patrzył na nią z rozdziawionymi ustami.

– Jak się nazywasz? – zapytała jego ojca.

Mężczyzna oparł się na łokciu i próbował zatamować krwawienie z nosa.

– Styles Nielsen – wyszeptał.

Rapsodia nachyliła się ku niemu.

– Posłuchaj, Stylesie Nielsen – powiedziała cichym, melodyjnym głosem. Mimo odległości Achmed rozpoznał bajarski ton. – Od tej chwili masz chronić swoje dziecko, otaczać je miłością. Postępując w ten sposób, będziesz czuł się dobrze. Jeśli skrzywdzisz syna, jego ból wróci do ciebie dziesięciokrotnie silniejszy. Jeśli znieważysz go słowami, twoja skóra stanie w ogniu. Rozumiesz?

Wieśniak pokiwał głową, gapiąc się na nią tak, jak wcześniej chłopiec.

Achmed, który jednocześnie obserwował żołnierzy, o sekundę za późno zauważył strażników. Pierwszy chwycił Rapsodię za ramię, drugi zerwał jej kaptur. Drak skoczył w ich stronę.

Rozpętało się piekło. Jeźdźcy przyspieszyli, rozpędzając pieszych. Tłum ruszył na Rapsodię. Wszyscy próbowali jej chociaż dotknąć. Achmed przepchnął się przez ciżbę.

Lśniące włosy, przewiązane czarną wstążką, rozwiał zimowy wiatr. Tłum westchnął głośno i zaczął napierać jeszcze mocniej, żeby dostać się bliżej tajemniczej istoty. Rapsodia zniknęła przykryta ludzką falą. Drak wbił się w ciżbę.

Konny oddział był już przed największym kłębowskiem. Jeden z żołnierzy odepchnął jakąś kobietę i zeskoczył z siodła, ściskając pałkę w dłoni.

Achmed starał utrzymać się na nogach. Kierując się dobrze mu znanym biciem serca, sięgnął w kłębiący się tłum i chwycił drobny nadgarstek w chwili, gdy przed Rapsodią stanął żołnierz.

W tym samym momencie powietrze rozdarł bojowy okrzyk. Przetoczył się nad ulicą, budząc powszechną panikę. Konie stanęły dęba.

Drak błyskawicznie wyciągnął dziewczynę z rozfalowanego tłumu i zaczął z nią uciekać, odpychając wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. W bezpiecznej odległości od

zbiegowiska zatrzymał się na chwilę, naciągnął Rapsodii kaptur na głowę i rzucił spojrzenie za siebie.

Zgiełk przycichł. Zdezorientowani wieśniacy rozglądali się za kobietą o lśniących włosach. Żołnierze uspokajali konie, żeby nikogo nie stratowały.

– Chodźmy – powiedział Achmed, ciągnąc Pieśniarkę rękę. Zeszli z głównego traktu i chyłkiem ruszyli do obozowiska.

Gdy nad płaskowyżem Orlandan zapadł zmierzch, zrobili postój, żeby Rapsodia mogła odśpiewać wieczorne modlitwy. W jej głosie brzmiał taki sam melancholijny ton, jak wtedy gdy zostawili ją u Llaurona. Wątpliwości Achmeda się rozwiały, kiedy Pieśniarka wyszeptała imiona dzieci Stephen.

Wkrótce dotarli do dolinki porośniętej drzewami i krzakami, dobrze osłoniętej od wiatru. Drak obejrzał ją dokładnie, zbadał wibracje powietrza i stwierdził, że Grunthor wybrał dobre miejsce.

Zaprowadził Rapsodię do zwałonego pnia i zgarnął z niego topniejący śnieg.

– Usiądź. Musimy porozmawiać.

Pieśniarka westchnęła. W oczach miała wielki smutek.

– Proszę, nie krzycz na mnie, Achmedzie. Wiem, że głupio postąpiłam, ale po prostu nie mogłam stać z założonymi rękami i patrzeć...

– Nie o tym chcę pomówić. Otrzymałaś dzisiaj porcję fałszywej wiedzy. Muszę przekazać ci prawdziwą historię świata.

– Co?! – Rapsodia wytrzeszczyła oczy.

Drak usiadł naprzeciwko niej i oparł łokcie na kolanach.

– Poczekajmy, aż zapadnie noc. Wtedy będzie nam łatwiej – powiedział, spoglądając na horyzont, za którym znikwały resztki dziennego światła.

Gerald Owen wpadł do biblioteki Haguefort.

– Milordzie...

– Widzę ich, Owen.

Stephen Navarne stał przy wschodnim oknie i z zastygłą twarzą patrzył na swoje ziemie. Nowo wzniesione mury obronne roły się od ludzi toczących zacięty bój. Nad nimi unosiły się kłęby czarnego dymu. Na jeszcze nie ukończonych wieżach strażniczych wisiały ciała, kręcąc się na wietrze.

– Co się dzieje, w imię Stwórcy?

Owen, czerwony po biegu, zgiął się wpół i oparł dłonie na kolanach.

– Zaatakowali nas... przed świtem – wysapał. – Spalili... trzy najbliższe wioski i wschodni posterunek. Zajęli stajnie.

– A żołnierze? Co z koszarami?

Szambelan zbladł.

– W płomieniach, milordzie. Chyba nikt nie uszedł z życiem.

– Dobry Boże!

Diuk przeszedł do jadalni, ku oknu wychodzącemu na południe. Rozgrywały się tam podobne sceny, ale mur był w lepszym stanie. Stephen zwrócił się do Geralda.

– Posłuchaj uważnie, Owen. Weź Melisande i Gwydiona oraz całą moją osobistą świtę, a także Rosellę. Idźcie tunelami do piwnicy z winami i dalej do zachodnich stajni. Postaraj się nie wywołać niepotrzebnej paniki. Jedź do Llaurona. Po drodze prześlij wieść Anbornowi.

Szambelan skinął głową i ruszył do drzwi.

– Owen!

– Tak, milordzie?

– Jeszcze jedno. Wezwij kwatermistrza i każ mu przygotować mojego wałacha. Skoro zabrakło żołnierzy ze wschodnich koszar, zapędź wieśniaków do obrony naszej ziemi.

– Milordzie, atakujący to wieśniacy.

– No, wreszcie uznałeś za stosowne przyjść i złożyć mi raport?

Gittleson poprawił się na krześle, szykując na ciekawą rozmowę, choć z drugiej strony bał się ściągnąć na siebie uwagę. Jedyne świadek nigdy nie mógł się czuć całkiem bezpiecznie.

Człowiek w szarej opończy uklonił się sztywno i zsunął kaptur z głowy. Przystojną twarz wykrzywił zawadiacki uśmiech, niebieskie oczy iskrzyły się wesołością.

– Straciliśmy Dom Pamięci – oznajmił lekkim tonem.

W pokoju raptem zrobiło się ciepłej. Gittleson zaczął oddychać płytko, żeby nie było go słychać.

Jego pan utkwił otoczone czerwonymi obwódkami oczy w rozradowanym Rakshasie. Chwilę później powiedział z groźbą w głosie:

– Mimo swej wrodzonej głupoty zapewne się domyślasz, że to bardzo zła wiadomość.

Przybysz skinął głową. Jego złote loki zalśniły w blasku kominka.

– W takim razie, dlaczego się cieszysz?

Rakshas opadł na fotel i przerzucił nogi przez poręcz.

– Z powodu naszych przeciwników.

– Lepiej nie przeciągaj struny. Kto to był?

– Nie mam pojęcia. – Gość nagle usiadł prosto, a w jego oczach pojawił się dziki błysk. –

Było ich troje.

Gittleson skulił się, gdy jego pan wstał z krzesła i wysyczał przez zęby:

– Co ty bredzisz?

Głos Rakshasa pozostał ciepły i słodki jak miód.

– Może nie jestem myślicielem, ale potrafię liczyć. Było ich troje, kobieta i dwóch mężczyzn, chociaż z bliska widziałem tylko jednego z nich. Brzydkiego jak grzech. Wypędzili nas z Domu Pamięci, wybili mi cały oddział. Przynajmniej jedno z nich ma taką samą władzę nad ogniem jak ja.

– Niemożliwe.

Rakshas wzruszył ramionami.

– Skoro tak twierdzisz.

– Gdzie są teraz?

– Nie wiem. – Wyciągnął nogi przed siebie, ręce założył za głowę. – Kiedy ich ostatnio widziałem, kierowali się wschód, w stronę równiny Krevensfield.

– Canrif. – Słowo zabrzmiało jak syk. – Idą do Canrif.

– Może.

Sługa zadrżał w swoim kącie. Gdy spoczęło na nim spojrzenie czerwonych oczu, krew odpłynęła mu z twarzy.

– Gittleson, wkrótce mogę potrzebować twoich usług.

Przez długi czas siedzieli w milczeniu, patrzyli na ciemniejące niebo i słuchali wiatru. W końcu Achmed spojrział na Rapsodię. Jej twarz była spokojna, ale w oczach malowała się troska.

– Potrafisz grać na nowym instrumencie w taki sposób, żeby zagłuszyć wibracje naszych głosów?

Pieśniarka skinęła głową. Wyjęła spod płaszcza lirę uzdrowicieli, odwinęła ją z miękkiego płótna i przebiegła palcami po strunach.

– Chodzi ci o określoną pieśń?

Achmed potrząsnął głową.

– Nie, zależy mi tylko na tym, żeby wiatr nie porwał moich słów.

Po chwili namysłu Rapsodia zagrała pierwsze tony, nie powiązane ze sobą, nieharmonijne. Po kilku taktach położyła lirę na pniu obok siebie.

– *Samoth* – powiedziała.

Drak uśmiechnął się, kiedy instrument zaczął sam powtarzać fałszywą melodię. Spojrział Pieśniarce w oczy. Dostrzegł w nich tylko oczekiwanie i ufność, natomiast ani śladu odrazy, którą tak często widywał.

– Powiedz mi, co wiesz o najdawniejszych czasach.

Rapsodia zamrugła.

– Co masz na myśli?

– Słyszeliśmy dzisiaj opowieść o powstaniu świata.

– Tak.

– Zapomnij, co mówił tamten wyświecony głupek, i wróć myślami do nauk twojego mentora, który bez wątpienia był pewniejszym źródłem wiedzy. – W oczach Rapsodii dostrzegł cień zmieszania. – Opowiedz mi swoją wersję. Wykorzystaj cały kunszt Bajarki. Wierz mi, że jeszcze nigdy nie dostałaś równie ważnego zadania.

– Chcesz usłyszeć o narodzinach żywiołów?

– Tak. – Achmed oparł się o pień drzewa.

– Musiałam przetłumaczyć tę historię ze zwoju, a ponieważ nie znam dobrze starożytnego sereńskiego, nie powtórzę jej słowo w słowo, lecz treść przekażę dokładnie.

– Postaraj się.

Pieśniarka wzięła głęboki oddech, oczyściła umysł i przywołała wspomnienia lekcji z mentorem.

– Bardzo dawno temu, nim zaistniał Czas, narodziło się pięć żywiołów. Były tworzywem, z którego powstał wszechświat. Czasami nazywa się je Dziećmi Jedynego Boga albo Pięcioma Darami, bo zostały stworzone jako pierwsze.

Zerknęła na Achmeda. Drak nie otworzył oczu, tylko skinął głową, żeby mówiła dalej.

– Pierwszy pojawił się eter, materia, z której zbudowane są gwiazdy. W nim zawiera się istota Czasu, życia, mocy, magii. Istniał jeszcze przed narodzinami świata i dlatego kryje w sobie sekrety poprzedzające ziemską wiedzę.

Drugim żywiołem był ogień. Ze względu na jego pochodzenie nasz świat stał się odrębny od reszty kosmosu. Mity głoszą, że nasz świat to kawałek gwiazdy, który odłamał się i pomknął przez czarną pustkę, aż zatrzymał się na orbicie wokół słońca, swojej matki. Na powierzchni planety płonął ogień, ale z braku paliwa, czyli eteru, przygasł i wniknął do jądra. Lecz zamknięcie w ciemnościach wcale mu się nie podobało, dlatego wciąż próbował uciec poprzez wulkaniczne erupcje.

Achmed uśmiechnął się lekko.

– Zwróć uwagę, że nasz przyjaciel kapłan pominął tę część mitu.

– Mam mówić dalej? – spytała Rapsodia z rozdrażnieniem.

– Tak.

– W takim razie milcz. I tak trudno mi się skupić na tłumaczeniu ze starożytnego języka. Kiedy ogień trafił do wnętrza ziemi, na świecie pojawiła się woda, żywioł o dwojakiej naturze: niszczycielskiej lub uzdrawiającej. Jednocześnie nastąpiło ochłodzenie, a wraz z nim powstały silne wiatry, dlatego powietrze jest uważane za następny w kolejności żywioł. Omiatając glob, wichry spychały wodę, aż ukazała się ziemia. Temu ostatniemu, najmłodszemu żywiołowi brakowało szybkości i nieuchwytności poprzedników, ale jego moc tkwiła w stałości i sile. Podobnie jak gwiazdy są strażnikami mądrości sprzed narodzin świata, tak nasz świat jest skarbnicą wiedzy o swojej historii oraz teraźniejszości.

Zaczerpnęła oddechu.

– No, teraz już wiesz tyle co ja.

Achmed się roześmiał.

– Prawdę mówiąc, wiem dużo więcej niż ty, ale o tym za chwilę. – Otworzył oczy. – Dużo słyszałaś o Pierworodnych?

Rapsodia się zawahała. Drak poznał tajemnice zarezerwowane dla największych Bajarzy.

– Co nieco – odparła niechętnie. – Historii świata Bajarze uczą się na końcu. Ja dopiero zaczęłam ją studiować, gdy Heiles zniknął.

Achmed wyprostował się tak gwałtownie, że przestraszona omal nie spadła z pnia.

– Myśl. Musisz dokładnie sobie przypomnieć tamte chwile. Czego dowiedziałaś się o Pierworodnych, zanim straciłaś mentora?

– Powiem ci wszystko, co pamiętam. Na długo przed tym, jak ludzie, Lirinowie, Nainowie i im podobni przybyli na Serendair, świat zamieszkiwały starsze istoty, które

wywodziły się od samych żywiołów. To właśnie są Pierworodni. Rasa zrodzona z eteru to starożytni Serenowie, wysocy, smukli, o złotej skórze i jasnych oczach. Byli wyjątkowo długowieczni i odznaczyli się bezmierną cierpliwością. Dzięki więzi z materią gwiazd żyli zgodnie z rytmem natury. Od nich wzięła nazwę jasna gwiazda widoczna przez cały rok nad wyspą, a sama Serendair to jedno z pięciu miejsc, gdzie narodził się Czas.

Achmed pokiwał głową.

– Co się z nimi stało?

– Wymarli albo przenieśli się pod ziemię w czasie wojen rasowych szalejących w drugim wieku.

– A co z rasami pochodzącymi od innych żywiołów?

– Mythlinowie żyli w morzach zajmujących dużą część globu, prawie niewidzialni dla ludzi. Tak jak starożytni Serenowie, cieszyli się długowiecznością, ale na ogół nie byli zainteresowani wydarzeniami dziejącymi się poza ich dominium. Podobno to od nich, zbudowanych ze słonej wody i przezroczystych błon, wywodzą się ludzie. Może dlatego lubią morze, a ich łzy i krew są słone.

– Stephen sądził, że Abbat Mythlinis oznacza Boga, Króla Morza czy jakoś tak.

Rapsodia zaśmiała się razem z nim.

– Zastanawiałam się wtedy, czy słuchasz jego wykładu. Powiedział „Pan Morza”.

Z twarzy Draka zniknął uśmiech.

– Rozumiesz więc, jak niebezpieczna może być urywkowa wiedza. Interpretując starożytne historie, Cymrianie przekręcili je albo dodali swoje wierzenia.

– Wszyscy tak robią, Achmedzie. Legendy, podania i mity przekazywane z pokolenia na pokolenie zmieniają się z czasem i ewoluują. Dlatego potrzebni są Pieśniarze i Bajarze. Nasza nauka, czy też raczej sztuka, rozwinęła się po to, żeby historia przetrwała w czystej postaci, by zapobiec jej wypaczaniu, oddzielić wiedzę od folkloru.

– I popatrz, co z tego wyszło. Mów dalej.

Rapsodia zdjęła wstążkę i przeczesła palcami lśniące włosy.

– Kithowie zrodzili się z wiatru, stąd ich znajomość prądów powietrza i wibracji świata. Patrzyli w niebo i stamtąd czerpali wiedzę. Byli ojcami astronomii i meteorologii, twórcami muzyki i przodkami Lirinów. Nazwa „Lirin” pochodzi ze starożytnego sereńskiego, w którym to słowo oznaczało pieśniarza.

Oczy Achmeda na chwilę spochmurniały.

– Drakowie również od nich pochodzą. To po nich odziedziczyliśmy wrażliwość na wibracje.

– Naprawdę? Nie wiedziałam.

– Skąd miałabyś wiedzieć? Czy kiedykolwiek słyszałaś o Drakach, zanim się spotkaliśmy?

– Nie.

Szczelniej otulił się płaszczem, jakby nagle zmarł.

– Jeszcze o wielu sprawach nie słyszałaś, Rapsodio. Zresztą nie tylko ty – powiedział cicho. – Co nie oznacza, że one nie istnieją. Mów dalej.

– Czwartą rasą Pierworodnych są smoki zrodzone z ziemi. Opowieści o nich pochodzą głównie z pierwszego i drugiego wieku, natomiast brak wiadomości – z dawniejszych czasów.

Achmed pokiwał głową.

– A co z ogniem?

– Wiem tylko to, co usłyszałam dzisiaj w Bethany. Pytałeś o Heilesa. Właśnie miałam uczyć się o ogniu, kiedy przepadł bez wieści. Zostawił wszystkie materiały potrzebne do wykładu. Wiem to na pewno, bo dzień wcześniej, tuż przed pójściem do domu, pomagałam mu je zebrać.

Drak przeszył ją wzrokiem.

– Co to były za materiały? Pamiętasz?

Rapsodia potrząsnęła głową.

– Piecyk, zioła i korzenie, parę eliksirów. Wszystko by mi wyjaśnił, ale lekcja się nie odbyła. Aha, był jeszcze jakiś zwój. Heiles często z niego korzystał.

– Więc przygotowaliście się do zajęć, a następnego dnia on zniknął bez śladu.

– Tak. Wysłał mnie po parę rzadkich manuskryptów i nut. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Temat niedokończonej lekcji przypomniał mi się dopiero dzisiaj, kiedy wyświecony opowiedział nam o F'dorach.

Achmed sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął kawałek złożonego białego płótna i rzucił Rapsodii na kolana. Dziewczyna rozwinęła je ostrożnie i zagwizdała przeciągle. Była to szmatka do wycierania świętych pucharów i innych przedmiotów kultu religijnego, ozdobiona haftem w postaci stylizowanego słońca.

– Jesteś naprawdę zuchwałą, skoro kradniesz w bazylice w biały dzień.

– Co to za symbol? – zapytał Drak.

Rapsodia odrzuciła mu ściereczkę.

– Już mam dość – oświadczyła z irytacją. – Nie jestem głucha. Słyszałam, co mówił wyświecony. To symbol F'dorów.

Achmed przysunął twarz do jej twarzy.

– Źle się wyraziłem. Co on dosłownie przedstawia? – W jego głosie brzmiało wielkie napięcie.

Po plecach Rapsodii nagle przebiegł zimny dreszcz.

– Słońce?

Drak pokręcił głową.

– Tak sądzisz, bo wszyscy tak uważają. Zapewniam cię, że to nieprawda, przynajmniej w starym świecie.

Dziewczyna drżała coraz mocniej, jak liść na srogim wietrze.

– Więc co to jest?

Achmed rozpostarł materiał. Delikatnie, niemal z czułością, obwiodł długim, kościstym palcem złote koło.

– Widząc znajomy symbol, Cymrianie pewnie uznali, że to słońce. Wyglądał podobnie jak ten, ale był mniej dopracowany. – Pokazał na środkowy krąg. – Ziemia i płomień. Nie z dawnych czasów, kiedy narodził się ogień. To ostateczny cel tej rasy: Ziemia w płomieniach. Rozumiesz mnie, Rapsodio?

Skinęła głową. Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– A oto środek, dzięki któremu zostanie osiągnięty. – Palec sunął wzdłuż spirali do zewnętrznego kręgu. – Chyba domyślasz się, co to jest, skoro na własne oczy widziałas jego niewielką część.

– Wąż. – Szept z trudem przebił się przez dźwięki liry.

– Tak. Wydaje się, że twoja kołysanka zadziałała. Serendair została zniszczona przez ogień wulkaniczny, wybuch Śpiącego Dziecka, a nie przez węża, jak było planowane. Ale zwróć uwagę, że impet spadającej gwiazdy uwolnił F'dorów z wnętrza ziemi, więc któryś mógł przeżyć kataklizm. A jeśli choć jeden przedstawiciel tej rasy żyje, zrobi wszystko, żeby osiągnąć cel. I znajdzie na to sposób.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Achmed oparł się o pień, złożył dłonie i przysunął je do ust.

– Zacznijmy od początku. Nim zaistniał Czas, F'dorowie zrodzili się z ognia jako demoniczne duchy, złe, mroczne istoty o zachłannej naturze, marzące o strawieniu całego świata, podobnie jak macierzystyżywiół. Miejscem ich narodzin była Płomienna Obręcz, pierścień składający się z pięciu aktywnych wulkanów zatopionych przez morze. Podobnie jak ogień, który pożera i niszczy paliwo, F'dorowie nie mają cielesnej postaci i dlatego muszą szukać sobie gospodarzy. Tak jak on, są drudzy pod względem starszeństwa. Choć mniej potężni niż starożytni Serenowie, przewyższali siłą rasy, które pojawiły się po nich. Też schowali się w mroku i wyłaniali z niego od czasu od czasu, a wtedy byli równie niszczycielscy jak ich nieożywiony odpowiednik. Ogień zstąpił w końcu do wnętrza ziemi i, jak sama widziałas, pali się spokojnie w jej jądrze. Wybucho tylko czasami. Natomiast F'dorowie nigdy nie przeszli oczyszczającej transformacji. Stali się jeszcze bardziej źli i podstępni. Znajdowali sobie człowieka, Lirina lub Naina, kierowali nim, wykorzystywali, zmuszali do wypełniania swojej woli. Wykrycie ich było prawie niemożliwe. Często nawet sam gospodarz nie zdawał sobie sprawy, że jest niewolnikiem. Czy już rozumiesz, dlaczego nie podoba mi się, że przyjmujesz do rodziny każdego, kogo spotkasz? Możesz znajdować się teraz pod ich władzą i nie mieć o tym pojęcia.

– Skąd to wszystko wiesz? – wybuchnęła Rapsodia. – Gdzie zdobyłeś starożytną wiedzę, którą posiadli tylko najwięksi Bajarze?

Achmed spojrział w ciemność. Między chmurami wiszącymi nisko nad ziemią migotały gwiazdy. Przy samym gruncie powoli tworzyła się mgła, jakby zamierzała wyjść im na spotkanie.

– Poznałem niektóre sekrety F'dorów, gdy pracowałem dla jednego z nich.

– Demon był twoim panem? F'dor?

– Tak. Zdobył moje imię i dlatego mógł mnie nagiąć do swojej woli. To Tsoltan. Chyba już o nim słyszałaś. – Zerknął na lirę, nadal wygrywającą fałszywą melodię.

Rapsodia szukała w pamięci.

– Llauron wspomniał o jakimś Tsoltanie, największym wrogu naszego króla podczas wielkiej wojny, która rozszalała się po tym, jak opuściliśmy Serendair. Czy to ten sam?

Drak skinął głową.

– A ty przerwałaś inwokerowi, wyskakując z jakimś głupstwem.

– Trzeba mi było powiedzieć o nim wcześniej.

– Kiedy? Chciałaś, żebym wymówił jego imię we wnętrzu ziemi? Jako Bajarka powinnaś wiedzieć, co by się wtedy stało.

Gniew w jej oczach przygaś jak żar w ognisku.

– Z jeszcze jednego względu tyle wiem o F'dorach – dodał Achmed ściszone głosem. – Drakowie nienawidzą ich z całej duszy. Po części dlatego że nie potrafimy ich wykryć. To dla nas wręcz ujmą na honorze. Nasza przeszłość to ciągłe konflikty międzyrasowe, wielkie krucjaty przeciwko demonom. Nie starczyłoby nocy na całą historię, ale opowiem chociaż epizod.

W zaraniu dziejów, w epoce określanej czasem jako Dzień Bogów, trzy pierwotne rasy, też wrogie F'dorom, zawiązały sojusz. Smoki trzymały się z boku, ale starożytni Serenowie, Mythlinowie i Kithowie wspólnymi siłami zapędzili demony do wnętrza ziemi. Z tego więzienia F'dorowie wydostali się przypadkiem, gdy wiele tysięcy lat później, w połowie drugiego wieku spadająca gwiazda, Śpiące Dziecko, uderzyła w ziemię, robiąc dziurę w materii świata.

Wśród uciekinierów znalazł się duch, który później opanował Tsoltana. Ten kapłan Pożeraczki, Bogini Pustki, zły z natury, był idealnym gospodarzem dla F'dora.

– Zaczynam się gubić.

– Przepraszam. W bitwach toczonych w pierwszym wieku Kithowie, nasi przodkowie, znajdowali F'dorów dzięki wibracjom i brali ich do niewoli. Z czasem nauczyli się zabijać zarówno gospodarzy, jak i demony. Tę umiejętność przekazali swoim potomkom. Drakowie są starą rasą, choć nie należą do Pierworodnych. Pojawili się na świecie przed ludźmi. Z powodów zbyt skomplikowanych, żeby je teraz wyjaśniać, swoją ambicją życiową uczynili całkowite zniszczenie F'dorów. Dlatego znalazłem się w niewoli Tsoltana i, cóż za ironia losu, zostałem jego osobistym zabójcą.

Rzecz w tym, Rapsodio, że naszego świata już nie ma. Muszę się dowiedzieć, czy wraz z nim zginął Tsoltan, z ręki MacQuietha lub w kataklizmie. To pierwsze jest bardziej prawdopodobne. Słynny wojownik był jedynym nie-Drakiem, który umiał zabijać demony.

Waż nie został wypuszczony na wolność, bo inaczej by nas tu nie było i nie marzlibyśmy na kość w zimową noc pół świata od Serendair. Istnieje jednak możliwość, że demon przeżył. Wystarczy przypomnieć sobie te dziwne napaści. Chaos i destrukcja często bywają dziełem F'dorów. Oczywiście nie tylko oni są sprawcami rzezi i rozlewu krwi. Ludzie od wieków aktywnie w nich uczestniczą.

Najbardziej się boję, że demon uniknął śmierci i przybył do nowego świata. Niekoniecznie ten, którego znałem. Każdy wiedział o istnieniu węża śpiącego w trzewiach ziemi i każdy starałby się go obudzić i uwolnić. Muszę wiedzieć, czy mój dawny pan przeżył. Czy wśród nas jest jakikolwiek F'dor.

– To chyba łatwe – powiedziała Rapsodia, rozcierając ramiona. – Ich świątynia jest tutaj, w Bethany. Wyznawcy otwarcie czczą ogień.

Achmed się roześmiał.

– Niekoniecznie. Nie zapominaj, że F'dorowie przegrali wielką wojnę na Serendair, a pokonanych raczej się nie wysławia, nie opowiada o nich wszem wobec, żeby kiedyś przeszli do legendy. Ci biedni głupcy, potomkowie zwycięzców, po prostu chcieli oddać cześć żywiolom, pięciorgu dzieciom Stwórcy, a nie znali całej historii, tylko jej okruchy; kolejny przykład cymriańskich złudzeń.

– A jeśli są zwyczajnie źli i szczerze wielbią demony? – podsunęła Rapsodia.

– Wszystko jest możliwe. Załóżmy na chwile, że ci dumie z bazyliki są niewinnymi marionetkami. Wydają się za głupi, żeby mogli być naprawdę źli. Poza tym F'dorowie niechętnie się ujawniają. Ich siła leży w tym, że pozostają w ukryciu. W takim razie skąd, się wzięła zafałszowana wersja historii? Cymrianie natrafili gdzieś na ten symbol? Tsoltan nosił amulet z planetą w płomieniach, ale w jego środku znajdowało się oko. Może zanim zbudowali katedry, żeby upamiętnić swoją przeszłość, zapomnieli o pochodzeniu ognistego symbolu, a może w ogóle go nie znali. Między innymi dlatego cię pytałem, ile czasu upłynęło między naszą ucieczką a exodusem Cymrian.

Zresztą to nie ma znaczenia. Świadomie czy nie, znaczna część mieszkańców tych ziem znalazła się pod wpływem demonów, i Tworząc kult, budując świątynię w pobliżu ognistej studni, która sięga wnętrza ziemi, i mówiąc o F'dorach jak o dobroczynnej sile oddali im kontynent we władanie.

Mróz przeszedł Rapsodii po kościach, nie tylko od lodowatego wiatru.

– I co teraz zrobimy? Jak znajdziemy istoty, których nie można wykryć, na nieznanym terytorium, tysiąc lat po naszych czasach?

– Zaczniemy od Canrif. F’dor z pewnością podążył za Cymrianami. Jeśli nawet okaże się, że wcale nie przybył z nimi do nowego świata, warto odbyć podróż, żeby zobaczyć miasto Gwyllliama i odszukać Firbolgów.

– Ułożyłeś ten plan, kiedy wysłuchałeś opowieści Llaurona?

– Tak. A utwierdziłem się w tym zamiarze po spotkaniu Rakshasa i twojej wizji przy ołtarzu w Domu Pamięci. Tamte okropieństwa nie wyglądają mi na dzieło F’dorów. Prawdę mówiąc, jeśli tutejsza religia zмага się z własnymi demonami, rozprawę z nimi lepiej zostawmy wyznawcom. Podejrzewam, że krew dzieci utrzymuje Rakshasa przy życiu. Stephen planuje zastawić na niego pułapkę. Jeśli armia diuka i wojska jego kuzynów nie zdołają go zniszczyć, tym bardziej my nie damy mu rady. Zresztą musimy zająć się własnymi sprawami. A najważniejszym do tego miejscem jest Canrif.

Rapsodia westchnęła.

– Dobrze. Chyba rzeczywiście jedyne wyjście to zbadać, czy wraz z flotami przybyło zło, które teraz odpowiada za wszystkie straszne rzeczy, które się tu dzieją. Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

Achmed wstał i przeciągnął się.

– Oczywiście.

– Co zrobisz, jeśli się okaże, że masz rację?

Drak spojrzał na nagie białe gałęzie połyskujące nad nim w ciemności i przez chwilę stał pogrążony w myślach.

– Nie wiem – rzekł w końcu. – Odkąd przeszliśmy przez ogień, dużo się zmieniło. Zyskałem nowe umiejętności, a utraciłem inne, na których do tej pory mogłem polegać. Nie jestem pewny, jaka broń mi została przeciwko demonowi.

– Nie o taką odpowiedź mi chodziło. Może powinnam spytać, co chcesz zrobić? Jak bardzo ci zależy na tej ziemi i jej mieszkańcach. W przeszłości chyba nie czułeś do nich zbyt wiele.

Achmed przez chwilę patrzył na nią bez zmrużenia oka, a potem się uśmiechnął.

– Tego też nie wiem. Lepiej wracajmy. Grunthor pewnie musiał związać Jo, żeby nie podsłuchiwała.

Pomógł jej wstać ze zwalonego pnia.

– Cała ta rozmowa o starożytnych rasach nasunęła mi pewną myśl – powiedziała Rapsodia, naciągając kaptur na głowę. – Pamiętasz prorocтво o Dziecku Krwi, Dziecku Ziemi i Dziecku Nieba?

– Tak.

– Sądzisz, że mogło się odnosić do Pierworodnych, do sojuszu Kithów, Mythlinów i starożytnych Serenów, a nie do Anwyn i jej sióstr, jak twierdził Llauron?

Drak spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Naprawdę tak przypuszczasz?

– Nie mam pojęcia, czego dotyczy to proroctwo. Po prostu snuję domysły.

Achmed uśmiechnął się i wskazał lirę.

– Zrób coś, żeby przestała grać. Od tej muzyki miesza ci się w głowie. Zdecydowanie jesteś Cymrianką, Rapsodio. Wręcz ich przewyższasz w uleganiu złudzeniom, a to wielkie osiągnięcie.

– Co masz na myśli?

W oczach Draka zabłyśły wesołe iskierki.

– Nic. Powiem ci jedno: każda przepowiednia staje się jasna dopiero po fakcie. Nie pozwolę, żeby jakaś mnie omamiła. Zbytnią pewność siebie, przekonanie, że właściwie odczytało się znaki, już niejednego zgubiła. Co ci dała zdolność jasnowidzenia? Miałaś sny o śmierci wyspy. Udało ci się jej zapobiec?

Rozgarnął gałęzie i tuszył w stronę obozu. Rapsodia po chwili poszła jego śladem.

Kiedy wstał rano, wszyscy czworo w ponurych nastrojach dosiedli koni i skierowali się ku Bethé Corbair, ostatniego ludzkiego bastionu przed krainą Bolgów.

Gdy dotarli do skraju równiny Krevensfield, Rapsodia jeszcze raz spróbowała wybać, o czym myśli Achmed, ale bezskutecznie. Drak udaremniał wszelkie jej zabiegi i milczał z uporem. Zachowywał się z dawną rezerwą, zupełnie jakby nie przeprowadzili ze sobą żadnej rozmowy.

Ashe dotarł akurat na szczyt jednego z długich wzniesień na równinie Krevensfield, gdy na granicy zasięgu zmysłów wyczuł coś obcego. Przystanął w pół kroku, niewidoczny w szarości poranka.

Moc, szepnął w nim smok. Niezwykła moc. Chcę jej dotknąć.

Smocza część jego natury była dla Ashego źródłem ciągłych zmagania ze sobą. Miała własną świadomość i choć przez cały czas musiał trzymać ją na wodzy, z czasem do niej przywykł.

Nauczył się doceniać wyjątkowe zdolności postrzegawcze. Dzięki nim wychwytywał najdrobniejsze szczegóły otaczającego go świata, niedostępne dla zwykłych ludzi. Gdyby chciał, wyczułby każde źdźbło trawy rosnące na łące, na której teraz stał. Wolał jednak nie dopuszczać do głosu smoka, ponieważ był nieprzewidywalny i domagał się za dużo wolności.

Jednak zmysły nigdy Ashego nie zawodziły. Teraz odbierały nieznaną, prastarą moc, przewrotną i jednocześnie fascynującą. Coś więcej niż jej źródło, ale nie potrafił określić co. Minęła chwila, zanim się zorientował, z której strony nachodzi, a wtedy sapnął z irytacją.

Bethe Corbair. Zbliżało się z tamtej strony. Ashe nienawidził miast. Unikał ich, bo prowadził życie w cieniu i samotności. Nie należy kręcić się wśród ludzi, gdy jest się prześladowanym.

Na szczęście potrafił zniknąć w tłumie. Byłby z tego znany, gdyby ktokolwiek wiedział o jego istnieniu. Choć miał cielesną postać, zwykle go nie zauważano. Chodził w mglistym płaszczu, uszytym wprawdzie z wełny, ale w tajemniczy sposób zasilanym żywiołem wody.

Dzięki temu strojowi bicie jego serca, oddech, fizyczna postać i dusza były niedostrzegalne nie tylko dla ludzkich zmysłów, lecz również dla urządzeń, które potrafiły rejestrować wibracje powietrza. I dobrze, gdyż dręczący go bez chwili przerwy ból czyniłby go łatwym celem ataków. A tak nikt go nie widział, natomiast on mógł obserwować wszystkich.

Chce tego dotknąć, nalegał smok.

Zamiast jak zwykle go uciszyć, Ashe tym razem się zgodził. Sam chciał zobaczyć te nową moc. Ruszył bezszelestnie przez równinę za smugą porannego słońca. Dotarłszy do bram Bethe Corbair, wszedł niepostrzeżenie do miasta i wmieszał w tłum.

– Żadnych kradzieży!

– Dacie mi spokój! – Jo przewróciła oczami.

Rapsodia zerknęła na Achmeda. Drak mimo woli uśmiechnął się pod kapturem. W tym momencie wszyscy troje musieli uskoczyć przed ogromnym wozem wyładowanym kosztami. Drogą prowadzącą do bram Bethe Corbair przetaczały się tłumy. Czyniony przez ludzką ciżbę zgiełk roznosił się na wiele mil. W powietrzu czuło się podniecenie i napięcie.

– Jesteśmy w drodze od wielu tygodni. Po co w ogóle wchodzić do miasta, skoro nie wolno nawet sięgnąć do paru kieszeni? – zapytała dziewczyna.

Rapsodia potrząsnęła sakiewką.

– A co sądzisz o zapłaceniu za to, czego potrzebujesz?

Odpowiedziało jej posępne spojrzenie.

– To twoje pieniądze.

– Nasze – sprostowała Rapsodia, rozwiązując rzemyk. – Jesteśmy siostrami, pamiętasz?

Ujęła dłoń Jo i wysypała na nią połowę zawartości mieszka.

– Masz na drobne wydatki, ale bądź ostrożna. Może minąć trochę czasu, nim znowu zdobędziemy jakąś gotówkę.

– Przecież możesz zarobić na najbliższym rogu – wtrącił Achmed. – Masz talent, którego reszta z nas nie posiada.

Rapsodia spiorunowała go wzrokiem.

– Słucham?

– Jesteś muzykiem – wyjaśnił z lekką irytacją. – A co sobie pomyślałaś?

– Ty natomiast masz niewątpliwy talent do obrażania ludzi – odparowała. – Chodź, Jo. Achmedzie, spotkamy się w południe przy bazylice. W centrum na pewno znajdzie się gospoda, w której będzie można zjeść obiad.

Wzięła przybraną siostrę za rękę i razem z tłumem podróżnych przekroczyła bramę Bethe Corbair.

Grunthor i Achmed odczekali, aż kobiety znikną im z oczu, po czym wyruszyli na rekonesans, trzymając się w takiej odległości od muru obronnego, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Obszedłszy miasto, przystanęli niedaleko północnej bramy, by się naradzić.

Bethe Corbair otaczał pierścień osad, od niewielkich, składających się z paru ruder, po spore wioski. Na wschodzie majaczyły groźne Zęby, ale nigdzie nie widać było świeżych śladów po najazdach Bolgów. W przeszłości jednak często musiało dochodzić do rzezi, skoro tutejsi mieszkańcy woleli żyć blisko miejskich murów.

– Trzeba dokładniej zbadać okolicę – powiedział Achmed. – Spotkamy się o zmierzchu po wschodniej stronie.

Przez chwilę patrzył za oddalającym się Grunthorem, po czym wszedł do miasta.

Bethe Corbair było starsze od stolicy Navarne, choć oba terytoria skolonizowano mniej więcej w tym samym czasie. Rapsodia cofnęła się pamięcią do lekcji historii, których udzielili jej Llauron i lord Stephen.

Navarne i Bethany zasiedlili planiści, architekci i budowniczowie, których Gwylliam wysłał w pierwszej fali, żeby przygotowali nowe ziemie na przyjęcie uciekinierów z Serendair. Najpierw wzniesli wieże strażniczei domy dla siebie, a potem w spokoju zajęli się budynkami publicznymi i mieszkalnymi, co wyjaśniało urodę miast. Racjonalność zabudowy w połączeniu z artyzmem czyniła z nich cuda architektury warte oglądania.

Bethe Corbair natomiast założyła trzecia flota, składająca się z żołnierzy, chłopów, kupców i zwykłych robotników. W rezultacie wyglądało jak twierdza. Mury były grube i wysokie, budowle zaprojektowane tak, żeby wytrzymały każdy atak. Czas nieco złagodził jego militarny charakter, lecz nadal panowała tu atmosfera zagrożenia i czujności, charakterystyczna dla pogranicza.

Nie dostrzegało się jej jednak w postawie mieszkańców, takich samych jak wszędzie. Spotykało się tu ludzi uprzejmych i grubiańskich, chłopów i arystokratów, wykształconych i niepiśmiennych. Było to miasto zwyczajne, bez wojennych blizn, o gwarnych ulicach, pełnych kupców, pieszych, wozów i zwierząt.

Wyróżniała je tylko muzyka. Rapsodia szła jak zaczarowana, słuchając wesołych tonów wygrywanych przez dzwony na wieży bazyliki. Melodie zależały jedynie od wiatru, niosły ze sobą poczucie całkowitej wolności. Z zachwyty aż ścisnęło ją w gardle.

Mieszkańcy na ogół krzatali się wokół swoich spraw, nie zwracając uwagi na znajome dźwięki, ale kiedy silniejszy podmuch wprawiał dzwony w ruch, zachowanie ludzi wyraźnie się zmieniało. Uliczni kramarze przestawali się targować, handlarki ryb jazgotały trochę ciszej, bawiące się dzieci łatwiej dochodziły do porozumienia. Rapsodia z uśmiechem obserwowała przejawy kojącego oddziaływania muzyki.

Jo wręcz tańczyła z niecierpliwością.

– Ale nudno – jęknęła przy kolejnym straganie z materiałami. – Głowa mi pęknie od tego oglądania. Idę się powłóczyć.

– Dobrze – zgodziła się Rapsodia z niechęcią. – Spotkamy się w południe pod bazyliką. Jeśli mnie nie zauważysz, wypatruj Achmeda. I unikaj kłopotów. Pamiętaj, żadnych kradzieży. Nie chciałabym, żebyś straciła rękę.

Jo skinęła głową i zniknęła w tłumie.

Ashe rozglądał się po targowisku zajmującym sam środek miasta. Wszedł do Bethe Corbair przez południową bramę, choć moc, którą wyczuł już na równinie Krevensfield, znajdowała się gdzieś na wschodzie. A raczej jej część, bo jeden składnik oddzielił się i teraz okrążał miasto, niemal poza zasięgiem jego smoczyczych zmysłów. Miał inne cechy niż ten

pierwszy i tak płynne ruchy, że Ashe nie umiał stwierdzić, czy obiekt porusza się pieszo, czy jedzie na wozie.

Ta niepewność wywoływała w nim rozdrażnienie. Zwykle potrafił dokładnie określić charakter wszystkiego, co budziło jego zainteresowanie. Teraz nie wiedział nawet, jakie jest źródło nieznannej mocy. Smok coraz bardziej się niecierpliwił. Tylko dzięki temu, że mnóstwo ciekawych rzeczy absorbowało w tej chwili jego uwagę, Ashe mógł nad nim zapanować.

Przezornie ominął zataczającego się pijaka, który go prostu nie zauważył. Ashe był dostatecznie zwinny, żeby unikać zderzeń, ale takie incydenty go rozpraszały.

Jeszcze raz skupił uwagę na tajemniczej mocy i stwierdził, że znowu się rozdzieliła. Jeden z dwóch elementów znajdował się całkiem blisko niego i promieniował niezwykłym ciepłem.

Ashe natychmiast stał się czujny. Polowali na niego głównie słudzy ognia. Żył tylko dzięki temu, że w porę wykrywał pułapki. Źródło wcześniej czy później musiało dotrzeć na plac targowy. Postanowił zaczekać.

Tymczasem walczył ze smokiem. Miast, zwłaszcza leżących na szlakach handlowych, unikał między innymi z powodu jego nienasyconej ciekawości. Ten składnik jego natury doszedł do głosu, kiedy mijali stół z klejnotami ułożonymi pod szkłem.

Śliczne. Chcę ich dotknąć.

Nie.

Chcę ich dotknąć.

Nie!

Kramarka chyba wyczuła jego obecność, bo podniosła wzrok. Nikogo nie zauważyła. Ashe czym prędzej oddalił się od straganu.

Następny stolik z rzadkimi przyprawami też przyciągnął uwagę smoka.

Ziarnka pieprzu. Chcę je policzyć, szepnął natarczywie.

Ashe znowu kazał mu zamilknąć i rozejrzał się za źródłem mocy.

Perfumy i ambra. Wydzielina kaszalota, który zjadł siedemnaście makreli, sto siedemdziesiąt...

Przestań!

Spójrz na te materiały. Dzisiaj nie ma jedwabiu, tylko len, kremowy aksamit, wełna w szesnastu gatunkach i różnych odcieniach niebieskiego, lazurowego, fioletowego, indygo...

Nie! Ashe powiódł wzrokiem po placu. Już blisko. Z ogromnym trudem uciszył natrętny głos i spróbował oczyścić umysł.

Raptem po drugiej stronie ulicy wybuchło zamieszanie. Jego powodem była drobna kobieta w szarej pelerynie z kapturem. Pospieszył w tamtą stronę, czując silny zew.

Rapsodia walczyła z własnym smokiem. Miała wielką ochotę dotknąć wszystkich materiałów rozłożonych na stoliku. Szczególnie podobał się jej kremowy aksamit, ale był za drogi. Z westchnieniem ruszyła dalej.

Już z daleka jej uwagę zwrócił stolik ustawiony na końcu ulicy. Wyłożony na nim towar lśnił jak tafla wody w jaskrawym blasku słońca.

Zatrzymała się przed kramem. Migotliwe sadzawki okazały się biżuterią, w większości tandetnymi kolczykami, ale dostrzegła wśród nich parę naprawdę ładnych drobiazgów o sporej wartości. Miała słabość do pięknych strojów i ozdób, lecz wolałaby umrzeć, niż przyznać się do tego Bolgom, więc korzystając z ich nieobecności, zaczęła podziwiać świecidełka. Jej oczy błyszczały równie mocno jak one.

Kupiec właśnie skończył załatwiać innego klienta, zerknął na nią, po czym szybko przebiegł wzrokiem po stoliku. Od razu pomyślała, że mężczyzna odruchowo sprawdza, czy nic nie zniknęło.

Z takimi samymi reakcjami spotykała się w Easton. Zawsze ją dziwiły. Lirinów niewiele obchodziły dobra materialne, zwłaszcza tak bezużyteczne jak kolczyki czy bransoletki, więc nie mogła pojąć, dlaczego każdy handlarz z góry podejrzewa ich o kradzież. Przypisała postawę uprzedzeniom rasowym i starała się nie obrażać, ale za każdym razem krew w niej wrzała. Teraz też przelknęła ślinę i odeszła od stolika. Nagle straciła zainteresowanie biżuterią.

– Panienko!

Rapsodia nie odwróciła się, tylko lekko uniosła rękę, żeby były wyraźnie widoczne.

– Tak?

– Nie odchodź jeszcze, proszę. Może coś ci się spodobało?

Obejrzała się. Na twarzy kramarza malował się wyraz zupełnie inny niż przed chwilą, kiedy próbował wcisnąć klientowi broszkę pasującą do kupionego wcześniej pierścionka. Patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami i ścisnął brzeg stolika tak mocno, że zbieleły mu palce.

– Źle się czujesz, panie? – spytała Rapsodia z niepokojem. Kramarz potrząsnął głową, lecz nie puścił stolika. – Rzeczywiście masz ładny towar, ale ja tylko oglądałam.

Zrobiła dwa kroki.

– Panienko! – Ton był niemal natarczywy.

Rapsodia westchnęła z lekką irytacją i zawróciła. Kupiec poczerwieniał, ręce mu drżały.

– Jesteś chory, panie?

Sięgnęła po bukłak, ale karczmarz potrząsnął głową, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło.

– Dziękuję, panienko, nie trzeba. Zaczekaj chwilę, proszę. Chciałabym któryś z tych drobiazgów?

– Już mówiłam, że ja tylko...

Wziął ze stolika parę złotych kolczyków i podsunął jej pod oczy.

– Doskonale pasują do twojego wisiora, panienko. Może przymierzysz?

Rapsodia już wcześniej zwróciła na nie uwagę. Były proste, lecz eleganckie i faktycznie pasowały do złotego medalionika, który zawsze nosiła na szyi. Oczywiście nie mogła sobie pozwolić na taki wydatek, ale doszła do wniosku, że nic się nie stanie, jak je z bliska obejrzy.

Kolczyki zaiskrzyły w słońcu, budząc w niej zachwyt. Jednocześnie głos rozsądku przypomniał, że kramarze potrafią sprzedać słoń w wodę rozbitkowi. Nigdy nie umiała się targować, więc unikała Złodziejskiego Placu – tak nazywano bazar w Easton.

– Jak zrobione specjalnie dla ciebie, panienko. Przymierz je, proszę. Chcę tylko zobaczyć, czy ładnie na tobie wyglądają. – W głosie jubilera nie było słyhać zwykłej natarczywości ulicznych sprzedawców.

Rapsodia nie miała siły dłużej się opierać.

– Dobrze, ale i tak ich nie kupię.

Na chwilę ogarnął ją smutek. Biorąc do ręki piękne ozdóbki, przypomniała sobie, z jaką dumą matka otwierała szkatułkę z medalionem. Ten drobiazg przedstawiał dla niej ogromną wartość. Choć przy kolczykach wydawał się skromny, dorównywał im artystycznym wykonaniem. Odrzuciła kaptur.

W tym momencie usłyszała tuż za sobą przeraźliwy zgrzyt, a po nim ogłuszający huk i trzask pękającego drewna. Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła dwa szczipione ze sobą wozy. Jeden przechylił się groźnie i wyglądało na to, że zaraz runie na stragan z biżuterią.

Woły zaczęły ryczeć wniebogłosy, powożący zeskoczyli z kozłów. Rapsodia zanurkowała pod stolik i przeniosła go kawałek dalej, w bezpieczne miejsce. Jubiler wpadł w panikę i niechybnie porzuciłby swój towar, gdyby nie zatarasowana droga.

Po chwili sytuacja została opanowana. Woźnice rozłączyli pojazdy wśród przekleństw i wyzwisk, a Rapsodia z powrotem ustawiła kram. Przy okazji mogła brać kosztowności w ręce, cieszyć się nimi. Jubiler siedział na chodniku i nie odrywał od niej wzroku. Sprawiał wrażenie całkiem oszołomionego, więc podała mu wodę.

Po kilku minutach wszystko leżało na swoim miejscu. Rapsodia pomogła jubilerowi wstać, otrzepała go z kurzu i delikatnie odebrała bukłak z wodą.

Biedak, pomyślała ze współczuciem. Ale jest przerażony.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała.

Jedyną odpowiedzią było kiwniecie głową i szkliste spojrzenie. Zdziwiło ją, że uliczny sprzedawca tak długo nie może dojść do siebie. Znani jej kramarze z Easton nie pozwoliliby, żeby drobny wypadek spowodował zastój w handlu i naraził ich na straty. Zaraz jednak pomyślała, że jubiler jest już starszym człowiekiem, a Bethe Corbair to nie Easton. Ruszyła dalej.

– Panienko!

Obejrzała się z westchnieniem. Mimo wysiłków Nany nigdy nie przyswoiła sobie sztuki uprzejmego odprawiania natrętów.

– Słucham?

Jubiler w wyciągniętej ręce trzymał kolczyki.

– Proszę. Z wyrazami wdzięczności.

– Nie mogę ich przyjąć.

– Musisz – powiedział kupiec chyba głośniej, niż zamierzał. – Proszę – dodał ciszej, z błaganiem w oczach.

– Cóż, w takim razie dziękuję – poddała się wreszcie Rapsodia, nie chcąc zranić jego uczuć. Wzięła kolczyki z drżącej dłoni, od razu je założyła i lekko potrząsnęła głową. – Jak wyglądają?

– Pięknie – wymamrotał jubiler.

Sięgnęła do plecaka po sakiewkę, ale ją powstrzymał.

– To prezent. Przyjmij go, proszę.

– No dobrze, dziękuję – powiedziała z uśmiechem. – Mam nadzieję, że już się lepiej czujesz, panie.

Nasunęła kaptur na głowę i odeszła. Jubiler, woźnice i świadkowie wypadku gapili się za nią w milczeniu.

Ashe obserwował to wszystko z drugiej strony ulicy, najpierw ze zdumieniem, a potem z rozbawieniem. Twarz ukryta pod kapturem szarego płaszcza najwyraźniej wywarła piorunujące wrażenie na kramarzu, ale drobna osóbką niczego nie zauważyła.

Kupiec stał z rozdziawionymi ustami i wpatrywał się w nią od pierwszej chwili, a tymczasem nieznamiona spokojnie oglądała błyskotki. Smokowi przemknęła nawet myśl, że kobieta jest straszidłem, lecz z tej odległości nie dostrzegł żadnej deformacji ani kalectwa. Postanowił sam się przekonać, o co to całe zamieszanie.

Zwłaszcza że wkrótce zapanował wokół niej prawdziwy chaos. Ashe nie dawał się łatwo przestraszyć, ale drgnął gwałtownie, kiedy dwa wozy zderzyły się z impetem. Chwilę przed wypadkiem kobieta zsunęła kaptur z głowy.

Niewątpliwie była zwinna. Błyskawicznie odsunęła stół, ratując towar przed stratowaniem, a właściciela przed upadkiem. Później doprowadziła wszystko do porządku i poszła dalej.

Szła przed siebie, zupełnie nieświadoma, że budzi powszechne zainteresowanie. Handlarze, rolnicy, żołnierze, kobiety i mężczyźni porzucali zajęcia, zatrzymywali się i patrzyli za nią. Niektórzy upuszczali sprawunki. Ashe też ją obserwował, trzymając dłoń na rękojeści miecza, lecz widział tylko blask włosów koloru słońca i...

Nagle przeszył go potworny ból. W szoku, który poprzedzał zbliżającą się falę cierpienia, błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni płaszcza, chwycił kruchy nadgarstek i ścisnął z taką siłą, że kości aż chrupnęły. Chwilę potem zrobiło mu się słabo. Gwałtownie wciągnął powietrze.

Ręka należała do młodej złodziejki, która przez pomyłkę wzięła jego jądra za sakiewkę.

Normalnie, dzięki smoczym zmysłom, refleksowi i niewidoczności, którą zawdzięczał mglistemu płaszczowi, nie dopuszczał do siebie nikogo na odległość ramienia. Teraz był tak zaabsorbowany tajemniczą kobietą w szarym płaszczu, że po raz pierwszy w życiu nie zauważył grożącego mu niebezpieczeństwa.

Dziewczyna krzyknęła z bólu i próbowała rzucić się do ucieczki, lecz Ashe przytrzymał ją mocniej.

Była wysoka i chuda, o długich rozczochranych włosach koloru słomy. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów; tak od dawna oglądał każdą blondynkę. Po raz kolejny stwierdził, że patrzące na niego ze strachem wodnisto-niebieskie oczy to nie te, które miał nadzieję zobaczyć.

Z gardła wyrwał mu się zduszony pomruk. Na więcej nie potrafił się zdobyć po tym, co przed chwilą przeżył. Na twarzy złodziejki odmalowało się przerażenie. Ashe zacisnął szczęki, próbując zapanować nad wściekłością. Mógł zabić tę dziewczynę. Nagle ktoś chwycił go za nadgarstek.

– Puść łaskawie moją siostrę, bo utnę ci rękę.

Po raz drugi tego ranka Ashe dał się zaskoczyć. Zdumiało go to i rozwścieczyło. Nawet nie spostrzegł, kiedy do skóry przytknięto mu ostry sztylet, głównie z powodu pulsującego bólu, od którego robiło mu się niedobrze.

Odwrócił się z furią i... rozdziawił usta jak przechodnie, których niedawno obserwował.

Zobaczył przed sobą bezspornie najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział. Wyróżniały się w niej szmaragdowe oczy, którym gniew nadawał barwę wiosennej trawy. Okalające ją włosy lśniły jak roztopione złoto. Gdyby nie kaptur, pewnie przyćmiłyby blaskiem zimowe słońce.

Smocza krew zawrzała w nim z podniecenia.

Chcę jej dotknąć. Proszę, pozwól mi!

Ashe zwalczył pokusę, dziękując jednocześnie w duchu za strój, który był zarówno przekleństwem, jak i wybawieniem, zwłaszcza w sytuacjach takich jak ta.

Świadomość, że kobieta nie widzi jego twarzy, pomogła mu się opanować. Wziął głęboki oddech. W tym momencie poczuł jej zapach i zakręciło mu się w głowie.

– Nie wiem, dlaczego pani na mnie warczy – odezwał się z udawanym spokojem. – To nie ja pogwałciłem prawo.

– Sprawiasz ból mojej siostrze, panie. Odwzajemnię się, jeśli natychmiast nie przestaniesz.

Wzmocniła nacisk ostrza, ale nie przecięła mu skóry.

Nieźle wycucie, pomyślał z mimowolnym podziwem. Puścił złodziejkę i cofnął się o krok. Piękna nieznajoma zabrała sztylet, lecz nadal spoglądała groźnie.

– Brawo – powiedziała sarkastycznie. – Nie masz nic innego do roboty, panie, tylko napastować dziewczęta na ulicy?

Ashe osłupiał.

– Słucham?

Zignorowała go i odwróciła się do młodszej siostry.

– Nic ci się nie stało, Jo? Co za szczęście!

Złodziejka skinęła głową, nie odrywając od niego oczu. Ashe nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Nigdy w życiu nie zdarzyło się, żeby nie panował nad sytuacją. Prawdę mówiąc, teraz miał nawet trudności z formułowaniem zdań.

– Pani towarzyszka... siostra próbowała mnie okraść.

Piękność spiorunowała dziewczynę wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

– Niestety pomyliła się. Wsadziła mi rękę do kieszeni, chwyciła za coś, co uznała za sakiewkę, i pociągnęła z całej siły.

Nie poznawał samego siebie. Rozmawiał na środku ulicy z kimś zupełnie obcym. Urzeczony plótl, co mu ślina na język przyniosła. Poczł, że płoną mu uszy.

Nieznajoma zasłoniła usta dłonią i lekko zakaszła.

– Niech zgadnę. To nie była sakiewka.

– Nie.

Zerknęła groźnie na zmartwiałą dziewczynę i wróciła do niego spojrzeniem. Westchnęła melodyjnie. Ashego przeszedł dreszcz.

– Bardzo przepraszam – rzekła, usiłując zachować powagę, ale zielone oczy iskrzyły się podejrzenie. – Mam nadzieję, że nie stała się panu krzywda.

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić. – Ból i mdłości zaczęły ustępować.

– Bzdura – powiedziała i raptem wsunęła mu rękę do kieszeni.

Ashe wytrzeszczył oczy. Normalnie zareagowałby już w tej samej chwili, w której komuś przyszłoby do głowy zrobić coś podobnego. W ciągu stu pięćdziesięciu czterech lat życia jeszcze nie spotkał człowieka szybszego od siebie. Teraz nawet nie zdążył wziąć oddechu.

Zachwycająca istota uśmiechała się, trzymając w dłoni jego jądra. Poklepała je lekko, a następnie podrzuciła ostrożnie, ze skupieniem na twarzy, jakby badała ich elastyczność. Przynajmniej taką nadzieję żywił Ashe. Silne, ale przyjemne fale rozeszły się po całym jego ciele, krew skupiła się w jednym miejscu, o czym kobieta za chwilę miała sama się przekonać.

Wiedział, że powinien powstrzymać ją natychmiast. Gdyby na jej miejscu był ktokolwiek inny, Ashe nie musiałby się nawet odzywać, bo martwi nie słyszą. Lecz teraz też nic nie powiedział, bo jeszcze nie doszedł do siebie, a w dodatku wcale nie chciał, żeby przestała.

W chwili gdy zaczęła się reakcja na jej dotyk, bogini zabrała rękę.

– Chyba wszystko jest w porządku – stwierdziła z ironicznym uśmiechem. – Czucie już wraca?

– Nigdy go nie straciłem – odparł, próbując dostosować się do jej żartobliwego tonu. – Nie na tym polegał kłopot. Wprost przeciwnie.

Wstydział się za siebie. Podniecony jak uczeń stał na ulicy i mamrotał głupstwa. W dodatku nagle z jego ust wypłynęły słowa, które musiał mu podsunąć jakiś zły duch:

– Sądzę, że przydałoby się dokładniejsze badanie.

Nieznajoma roześmiała się perliście, jakby wiatr poruszył dzwoneczkami. Smok znowu się ożywił.

Pozwól mi dotknąć. Chcę jej dotknąć!

Ashe z trudem go uciszył, choć po raz pierwszy od wejścia do miasta pragnął tego samego co smok.

Oblał się zimnym potem, gdy uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, wiedział, że jeśli nie zdoła zapanować nad nieprzewidywalnym i zachłannym smokiem, weźmie tę kobietę tutaj, w miejscu publicznym, i sprowadzi śmierć na nich oboje.

Po drugie, i dużo groźniejsze, wcale się tym nie przejął. Pragnął jej. Jeszcze walczył, ale coraz słabiej.

Chcę jej dotknąć! Chcę tego. Ty też.

Cudowna istota posłała mu olśniewający uśmiech.

– Cieszę się, że przynajmniej odzyskałeś poczucie humoru, panie. Z resztą też wszystko będzie dobrze. Przepraszam w imieniu mojej siostry i proszę o wybaczenie. Już schodzimy panu z drogi.

Otoczyła dziewczynę ramieniem i ruszyła przed siebie.

– Zaczekaj, pani! – wyrwało się Ashemu.

Odwróciła się i spojrzała na niego spod drugich czarnych rzęs. Gdy promień słońca padł na jej złociste włosy, smok nie wytrzymał.

Chcę ich dotknąć.

Ona może być służką demona, pomyślał Ashe, ale jego opór słabł z każdą chwilą.

Chcę jej dotknąć!

Dobrze.

Zaczęło się od wrzenia w żołądku. Po chwili wzrosła temperatura ciała i szybkość oddechu. Następnie, jakby najdelikatniejsza kryształowa waza z hukiem roztrzaskała się na jezdni w drobny mak, wyostrzył się wzrok, słuch i umysł. Źrenice się rozszerzyły, skóra zaczęła sprawniej przewodzić impulsy. Krew popłynęła żywiej, mięśnie napięły się, żeby wytrzymać napór dominującej części natury.

Smok ryknął, pożarł go od wewnątrz, przejął nad nim kontrolę. Dzięki zmysłom zrodzonym z żywiołów, z których składał się wszechświat, dostrzegł najmniejszy drobiazg w promieniu pięciu mil. W jednej chwili policzył wszystkie soczewki w oczach mrówek i pęknięcia w miejskich chodnikach. Potem całkowicie skupił się na kobiecie.

Najpierw spróbował odnaleźć i określić źródło tajemniczej magii, wyjątkowej, innej niż u pozostałych dwóch obiektów, również jedynych w swoim rodzaju.

Rozbrzmiewająca w niej melodia dotarła do wszystkich smoczycich nerwów. Kobieta musiała być Pieśniarką o wielkiej sile oddziaływania lub wręcz Bajarką. Choć sam nie znał się na muzyce, zdawał sobie sprawę z potęgi, jaka się w niej kryje. Zapragnął lepiej poznać jej sztukę, może nawet go przejąć.

Odkrył coś jeszcze: wyjątkowe połączenie żywiołów. Zrozumiał, że kobieta żyje nie tylko w realnym świecie, ale również poza czasem i przestrzenią, choć nie miał pewności, co to oznacza. Może była jasnowidzem albo po prostu Cymrianką. Pamiętał jednak, że wrażenia często mylą. Wyczuwał jeszcze inne rzeczy, najprawdopodobniej więź z ogniem, jedynym żywiołem, o którym niewiele wiedział.

Jej fizyczna postać dała mu jeszcze większą możliwość poczynienia ciekawych spostrzeżeń. Przesunął po niej zmysłami, bezwstydnie chłonąc każdy szczegół. Ciężki płaszcz osłaniał ją przed wzrokiem ludzi, ale dla niego nie stanowił żadnej przeszkody, podobnie jak ubranie.

Była zdrowa, pełna energii, zadziwiająco silna. Niska nawet jak na Lirinę, ale smukła, zgrabna, o idealnych proporcjach – wąskie ramiona, długie ręce i jeszcze dłuższe nogi, których niewiarygodnej urody nie mogły zamaskować nawet spodnie ze zgrzebnej wełny.

Ashe przyłapał się na tym, że wlepia wzrok w zagłębienie u nasady smukłej szyi, wyobrażając sobie, że pięści je leniwymi pocałunkami i ciepłym oddechem.

Drobne, ale śliczne piersi... Dobrze, że ich nie widział w całej okazałości. Na pewno straciłby rozum.

W talii bez trudu objąłby ją rękami. Brzuch był płaski, biodra wąskie, typowe dla Lirinów.

Kiedy poczuł, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą, uczynił ogromny wysiłek i przerwał podziwianie cudownych kształtów. Poza tym wiedział, że czeka go życie pełne udręki, jeśli nie będzie mógł zaspokoić żądz. Już teraz usta go paliły na myśl, że całuje jej szyję, ręce drżały, gdy w marzeniach dotykał aksamitnej skóry. Wolał nie ryzykować większych cierpień niż te, które już były jego udziałem. Gdy doszedł do lśniących włosów, które wymykały się spod kaptura, zmusił się do zaprzestania obserwacji. I tak już za dużo zobaczył.

Na wszelki wypadek, żeby nie dopuścić do jeszcze większego zauroczenia, rozejrzał się za wadami, które by świadczyły, że kobieta jest prawdziwa. Po chwili znalazł: opuszki palców stwardniałe po latach grania na instrumentach strunowych. Była to jedyna niedoskonałość, jakiej się w niej doszukał.

Niestety smok jeszcze się nie nasycił.

Twarz kobiety wyglądała jak wyrzeźbiona przez genialnego artystę, który w natchnieniu pracował przez całe życie nad jednym arcydziełem, żeby je pewnego dnia przekazać ludzkości. Rysy cechowała idealna harmonia, którą zakłócały wielkie oczy. Ocienione czarnymi rzęsami, intensywnie zielone, lśniły własnym blaskiem i hipnotyzowały, tak że nawet smok miał trudności z oderwaniem od nich wzroku.

Jest doskonała, powiedział grzmącym głosem, słyszalnym tylko dla Ashego. Chcę ją mieć.

Na mężczyźnie zrobiły wrażenie inne rzeczy. Zauważył, że kobieta dobrze się czuje we własnej skórze i jest pewna siebie, lecz nawet jeśli zdawała sobie sprawę ze swojej oszałamiającej urody, nic w jej zachowaniu na to nie wskazywało.

Dostrzegł w niej łagodność, ale również niezgłębiony ból. Żałował, że nie wie, co ją dręczy, chętnie jednak poszedłby nie proszony na kraniec świata, żeby znaleźć lek. Kiedy się

śmiała, najpierw śmiały się jej oczy; gdy była zagniewana, w nich również odbijał się gniew. Była jego przeciwieństwem. Jako człowiek skryty i samotny zazdrościł jej otwartości.

Jest nietknięta. To dziewczica, szepnął smok z podnieceniem. Doskonała.

Lecz Ashe wyczuł w niej zmysłowość, biegłość w sztuce sprawiania rozkoszy. Oszołomiony potrząsnął głową. Dziewica o doświadczeniu kurtyzany. Prawdziwa zagadka. Fascynujące. Zaprażył dowiedzieć się więcej. Sięgnął umysłem w przyszłość.

Zamiast w stroju podróżnym i szarym płaszczu z kapturem ujrzał ją w sukni ślubnej, z kwiatami we włosach. Uśmiechała się do niego. Popuścił wodze fantazji i po chwili stała przed nim w koszuli nocnej; oblał go war. Kolejny obraz ukazywał kobietę kołyszącą ich dziecko, a później wnuka. Wyobraził ją sobie przygarbioną wiekiem, ale nieposkromioną i nadal piękną. Ścisnęło go w gardle, kiedy zobaczył ją w całunie, z oczami zamkniętymi na wieki.

– Tak, słucham? – odezwała się, zatrzymana jego wołaniem. Smok się wycofał. Badanie trwało mgnienie oka.

– Może pójdziemy razem na obiad? – zaproponował Ashe lekkim tonem. – Chciałbym pokazać, że nie żywię urazy.

W oczach kobiety pojawił się figlarny błysk.

– Widzę, że dobrze się spisałam.

Ashe się roześmiał.

– Mimo że nie zapłaciłem z góry.

Piękne oczy zogniały i zaraz zmrużyły się gniewnie.

– Nie rozumiem. Co miałaś na myśli, panie?

Natychmiast się zorientował, że popełnił wielki błąd.

– Nic, nic, przepraszam, tylko żartowałem. Po prostu jesteś, pani, tak piękna, że mogłabyś zbić majątek jako kurtyzana.

Skrzywił się. Teraz popełnił prawdziwy nietakt.

– Sądzisz, panie, że jestem kurtyzaną?

– Nie, ależ skąd, ja...

– Jak pan śmie! Chodźmy, Jo.

– Jeszcze chwila! Bardzo przepraszam, proszę nie odchodzić.

– Niech się pan odsunie.

– Proszę posłuchać, ja naprawdę nie chciałem...

– Z drogi!

Sporunowała go wzrokiem i ruszyła w stronę miejskiego placu, ciągnąc dziewczynę. Ashego zalała fala rozpacz. Obawa, że ma do czynienia z faworytą demona, pierzchła w jednej chwili. Na szczęście przypomniał sobie o jej poczuciu humoru i uczynił ostatni rozpaczliwy wysiłek.

– Czy to znaczy, że nie zjemy obiadu?

Odwróciła się.

– Sądząc po wielkości sakiewki, nie przypuszczam, żeby starczyło ci pieniędzy na nas obie, panie. Bardzo wątpię, czy dałbyś radę zapłacić choćby za siebie.

Gdy Ashe wybuchnął śmiechem, kilku przechodniów spojrzało na niego ze zdziwieniem. Wcześniej żaden go nie dostrzegł.

– Nic nie mów. Wiem. Przepraszam.

– Oszalałaś? Zdaje się, że utrata ręki nie byłaby najgorszym losem. Mogłaś zostać zabita.

– Wiem. – Jo westchnęła.

Rapsodia zatrzymała się raptownie.

– Dlaczego chciałaś to zrobić? Przecież dałam ci pieniądze. Potrzebowałaś więcej?

– Nie. – Dziewczyna wygrzebała z kieszeni garść monet i wyciągnęła rękę, jakby chciała je zwrócić, ale Pieśniarka tylko na nie popatrzyła.

– Powiedz mi dlaczego, Jo – przemówiła łagodnie.

– Nie wiem. – Dziewczyna umknęła wzrokiem. Na jej twarzy malował się bunt, ale w oczach czaił się głęboki strach. Rapsodia dobrze знаła to spojrzenie. Dziecko ulicy bało się, że straci jedyną osobę, której na nim zależało. Delikatnie pogłaskała blady policzek.

– Dobrze, że nic ci się nie stało. Chodźmy do Achmeda.

Jo osłupiała.

– Nie będziesz na mnie wrzeszczeć?

– A chcesz? – Rapsodia się uśmiechnęła. – Nie jestem twoją matką, tylko siostrą i sama zrobiłam w życiu dużo głupstw.

– Tak? Jakich?

– Achmed ci nie opowiadał, co wydarzyło się w Bethany? Chodźmy.

Wzięła dziewczynę za rękę i ruszyła ku głównemu placowi.

Achmed czekał niecierpliwie przed bazylika. Słońce już minęło zenit, a po jego towarzyszach nie było nawet śladu. W starym świecie odszukałby ich puls, by się upewnić, że są bezpieczni, ale tutaj nie potrafił ich wysledzić.

Czy rzeczywiście? Nie umiałby znaleźć Jo, lecz serce Rapsodii nadal słyszał. Potrzebne mu tylko spokojne miejsce, gdzie mógłby się skupić.

Wypatrzył małą tawernę z kilkoma sosnowymi stołami na zewnątrz, tuż przy ulicy. Wytarł z ławki kałuże wody ze stopniałego śniegu i usiadł.

Zamknął oczy. Próbował odciąć się od hałasów, zwłaszcza od łoskotu dzwonów bazyliki. Ich dźwięk był nieprzewidywalny, zależał od kaprysów wiatru i tylko zaśmiecał wibracyjny krajobraz.

Achmed rozchylił usta, ręce położył przed sobą na blacie i lekko uniósł jeden palec. Była to zmieniona stosownie do okoliczności wersja jego rytuału łowieckiego, dzięki któremu skutecznie uprawiał w starym kraju fach zabójcy.

Jako Drak miał skomplikowany układ zatok i wydadne gruczoły szyjne, które drgały w rytm określonego pulsu. Bicie serca Rapsodii znał jak swoje własne. Maszerował, odpoczywał, walczył i spał przy nim chyba przez wieki. Teraz wyczuł go natychmiast.

Była gdzieś niedaleko. Zbliżała się. Raptem jego usta wypełnił paskudny smak, bardziej gorzki od żółci, obrzydliwszy niż wymiociny, połączony z odorem grobu. Smak zła. Wstrętny zapach F'dora.

Szybko otworzył oczy. Rapsodia i Jo nadchodziły z lewej strony, od południowego zachodu. Odrażająca woń demona napływała z północy.

Zerknął przez ramię. Słońce akurat przesunęło się za iglicą świątyni. W chwilowym mroku ujrzał cień przed bazyliką, lecz nie odebrał żadnego pulsu. Niewyraźna postać zlewała się ze ścianą budowli. Ze świstem wciągnął powietrze przez nos i usta, oczyszczając zmysły z odoru zła.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedziała Rapsodia, siadając naprzeciwko niego. – Już coś zamówiłeś?

Spojrzał na nią, tłumiąc irytację. Jej włosy załśniły w promieniach słońca, które właśnie wyszło zza iglicy. Obejrzał się, szukając wzrokiem cienia, ale nie dostrzegł go w poprzednim miejscu. Zobaczył natomiast człowieka, który stał na ulicy przed bazyliką i patrzył w ich stronę.

Włoski zjeżyły mu się na rękach. Nie potrafił stwierdzić z całą pewnością, czy to jego cień widział przed chwilą. Mężczyzna miał na sobie płaszcz z kapturem, który całkowicie osłaniał mu twarz. Wyglądał niczym spowity cienkim welonem z mgły; zupełnie jakby parował. Ku zaskoczeniu Achmeda ruszył w ich kierunku.

Szynkarz akurat przyniósł tace z jedzeniem klientom przy sąsiednim stole. Drak skrzywił się, poczuwszy zniechęconą baraninę. Z twarzy Rapsodii od razu zniknął uśmiech.

– O co chodzi?

Jo nachyliła się do niej i szepnęła:

– To on. Idzie tutaj.

– Kto?

Wyciągnęła szyję i spojrzała ponad ramieniem Achmeda.

– Tamten człowiek z targowiska. – Oblała się rumieńcem, nie wiadomo, czy ze wstydu czy, z podniecenia.

Rapsodia wstała z ławy, wyraźnie rozdrażniona. Kątem oka dostrzegła, że Achmed odwraca się plecami do nieznanego i sięga po sztylet. Zrobił to w taki sposób, by wiedziała, że jest uzbrojony i czujny. Ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Coraz lepiej przyswajała sobie niemy język swoich towarzyszy.

– Czego chcesz, panie? – zapytała.

– Przepraszam za grubiańską uwagę. – Baryton dobiegający spod kaptura był trochę szorstki, ale miły.

– Już pan przeprosił.

– Miałem nadzieję, że przyjmie pani zaproszenie na obiad. Zapraszam też oczywiście pani przyjaciół.

Achmed milczał i obserwował Rapsodie, czekając na znak. Pieśniarka zerknęła na Jo, która ledwo ukrywała podniecenie. Zmarszczyła czoło i przeniosła wzrok z powrotem na mężczyznę. Na koniec spojrzała na Draka.

– Co o tym sądzisz?

– Skoro był dla ciebie niegrzeczny, odpraw go – powiedział spokojnym tonem. – Jeśli znowu cię obrazi, będę musiał go zabić. Wolałbym nie robić tego przed obiadem. Jeszcze dostałbym niestrawności.

Nieznajomy wybuchnął śmiechem. Achmed nawet nie drgnął, co kosztowało go dużo wysiłku.

– Chyba możemy zaryzykować – stwierdziła Rapsodia z uśmiechem i zwróciła się do przybranej siostry: – Jak uważasz?

– Tak, oczywiście – odparła Jo pośpiesznie.

Pieśniarka wskazała miejsce obok Draka.

– Proszę siadać.

– Jak się nazywasz, panie? – zapytała dziewczyna.

– Ashe. A ty?

– Jo. A to jest Rapsodia i... aj!

– Miło cię poznać, Jo. – Mężczyzna przeniósł wzrok na drugą kobietę. – Rapsodia. Piękne imię. Jesteś muzykiem, pani?

– Tak, ona... aj! Przestań! – syknęła Jo i odsunęła się od starszej siostry.

Ashe zakaszła, zasłaniając usta dłonią.

– Czy Jo to skrót od Joanny? Joalii?

Dziewczyna zaczerwieniła się po nasadę jasnych włosów.

– Josephine – wykrztusiła.

Rapsodia popatrzyła na nią zaskoczona. Nie zdołała wydobyć z Jo tego sekretu, a oto dziewczyna z własnej woli zdradziła go teraz obcemu człowiekowi.

– Też ładne imię. A pan? Jak mam się do pana zwracać?

Drak po raz pierwszy spojrział na intruza, ale dostrzegł tylko koniec zmierzwionej brody.

– Chyba „pan” wystarczy.

– Nie bądź nieuprzejmy, Achmedzie – wtrąciła Jo z irytacją.

Spiorunował ją wzrokiem. Dziewczyna dobrze wiedziała, że lepiej trzymać język za zębami, ale z jakiegoś powodu raptem zapomniała o tej regule. Na szczęście w tym momencie do ich stolika podszedł karczmarz.

Jo poprosiła o baraninę, Rapsodia o chleb i ser. Mężczyźni jednocześnie zamówili gulasz, po czym zerknęli na siebie, jakby od razu pożałowali wyboru. Karczmarz aż podskoczył ze zdziwienia. W ogóle nie zauważyłby czwartego gościa, gdyby Ashe się nie odezwał.

Groźne spojrzenie Achmeda chyba odniosło skutek, bo przez prawie cały posiłek Jo siedziała w posępnym milczeniu. Rapsodia próbowała ratować sytuację, miło gawędząc z nowym znajomym. Drak, który słuchał uważnie, doszedł do wniosku, że wprawdzie jego swobodne zachowanie i żarty są irytujące, ale nie ma w nich złośliwości ani wścibstwa. Nie mógł się doczekać końca obiadu. Zapach baraniny psuł mu apetyt, paplanina o odwilży, dzwonach bazyliki i wrażeniach z targu irytowała. Wstał od stołu. Zauważył błyskawiczną reakcję sąsiada, który też się podniósł.

– Dokąd się pan teraz wybiera? – spytała Jo.

Ashe wyjął spod płaszcza pękatą sakiewkę i przez chwilę trzymał ją w górze. Dziewczyna poczerwieniała, a Rapsodia parsknęła śmiechem. Mężczyzna rzucił na stół dwie srebrne monety.

– Na południe. A wy?

Pieśniarka nie zdążyła uszczypnąć młodszej siostry.

– Idziemy do Canrif. Będziemy tam mieszkać.

Ashe drgnął.

– Tak?

– Jeszcze nie wiadomo, czy w nim osiadziemy – sprostowała Rapsodia. – Na razie chcemy się rozejrzeć. Podobno to ciekawa kraina.

– Można i tak ją określić – powiedział mężczyzna sucho. – Długo zabawicie w Canrif?

– Przecież powiedziała, że nie wiemy – warknął Achmed.

– Dlaczego pan pyta? – wtrąciła pospiesznie Rapsodia.

– Jeśli więcej niż kilka miesięcy, może wpadnę zobaczyć, co u was słychać. Akurat będę w tamtych okolicach.

– Tak! Niech nas pan odwiedzi – wyrwała się Jo i szybko umilkła pod groźnymi spojrzeniami towarzyszy.

Pieśniarka wstała z ławy.

– Trudno powiedzieć, czy nas jeszcze zastaniesz, ale możesz spróbować, panie.

– Świetnie. W takim razie powodzenia. Życzę przyjemnej podróży.

Uklonił się kobietom, skinął głową Achmedowi i ruszył w stronę miejskiego placu. Po kilku krokach się zatrzymał.

– Mam nadzieję, że choć trochę wynagrodziłem niegrzeczność. Jeszcze raz przepraszam.

– Niech pan już o tym nie myśli – odparła Rapsodia z uśmiechem.

Ponownie złożył ukłon i wmieszał się w tłum.

– Widzisz, jak to w życiu bywa. Jo. Dobrze, że nie ukradłaś mu sakiewki. W przeciwnym razie sami musielibyśmy zapłacić za obiad.

Achmed usiadł z powrotem.

– Więc wystarczy pieniędzy na mocną nić, odpowiednią do zaszywania ust.

Dziewczyna oblała się rumieńcem.

– Przestań – syknęła Rapsodia. – Nie mów tak do niej.

– Dobrze. W takim razie tobie zadam pytanie. Kto to był i dlaczego za wami szedł?

Pieśniarka ściągnęła brwi w zamyśleniu.

– Wiem tyle co ty. Wpadliśmy na niego na ulicy i zaprosił nas na obiad.

– Wspomniał o jakiejś niegrzecznej uwadze.

Jo była bliska płaczu. Rapsodia ścisnęła jej dłoń pod stołem, jednocześnie zastanawiając się nad odpowiedzią. Wróciła pamięcią do spotkania z nieznanym.

– Chyba wszystko jest w porządku. Czucie już wraca? – zapytała wówczas.

– Nigdy go nie straciłem. Nie na tym polegał kłopot. Wprost przeciwnie.

Roześmiała się wtedy i odeszła razem z Jo.

– Zaczekaj, pani! – zawołał za nimi.

Poczuła mrowienie na skórze. Kiedy tak się czuła w dzieciństwie, ojciec mówił, że gęś przeszła po jej grobie. Tajemniczy mężczyzna zaprosił ją na obiad, a potem obraził, biorąc za kurtyzanę. Urażona, oddaliła się dumnym krokiem.

– Drobiazg – odpowiedziała teraz Drakowi. – To zwykły uwodziciel, Achmedzie, w dodatku kiepski. Nie sądzę, żeby chodziło mu o coś więcej. Miło spędziłam czas w jego towarzystwie, ale ty chyba nie.

– Od niego te kolczyki?

Rapsodia poczerwieniała jak podłotek. Całkiem o nich zapomniała.

– Nie, to prezent od kupca, któremu pomogłam ratować towar kiedy przy jego straganie zderzyły się dwa wozy.

– Hm... Cóż, nie wałkujmy już tej sprawy. Mamy kilka godzin do spotkania z Grunthorem. Zwiedzmy miasto. W ten sposób dowiemy się sporo o Canrif, bo Bethe Corbair zbudowano ze strachu przed Firbolgami.

– Myślałam, że założyli je Cymrianie. Lord Stephen mówił, że to oni postawili bazylikę.

– Tak, ale jeśli rozejrzysz się uważnie, zobaczysz, że w przeciwieństwie do stolic innych prowincji Bethe Corbair składa się z dwóch odrębnych części, centrum z piękną architekturą stworzoną przez prawdziwych artystów oraz otaczającego go pierścienia kamiennych, warownych budowli, pomyślanych przez żołnierzy jako barykada nadająca się do zamieszkania. Za murami leży zaledwie kilka osad. W tej warownej części miasta powinniśmy znaleźć odpowiedzi na parę pytań.

– Brzmi nieźle – powiedziała Rapsodia, wstając z ławy. – Zaraz wracam. Chcę jeszcze rzucić okiem na dzwonnice. – Poklepała Jo po ramieniu i ruszyła w stronę bazyliki.

Dziewczyna odprowadziła ją wzrokiem, a następnie spojrzała na Achmeda.

– To ona spowodowała tamten wypadek.

– O czym ty mówisz? – zapytał Drak ostrym tonem.

– Stałam po drugiej stronie ulicy i wszystko widziałam. Ludzie gapili się na nią przez cały czas, nawet kiedy miała kaptur na głowie. Zdjęła go tylko na chwilę, żeby przymierzyć kolczyki. Woźnice, którzy ją akurat mijali, zapatrzyli się i ich pojazdy wpadły na siebie. Później mężczyźni rzucali jej kwiaty pod nogi. Ona podnosiła bukiety i oddawała im, myśląc, że ci głupcy przypadkiem je upuścili. To było naprawdę dziwne.

Achmed pokiwał głową. Od wyjścia z korzenia Wielkiego Drzewa widywał podobne rzeczy.

– Ona nie ma pojęcia, jakie robi wrażenie – stwierdziła Jo.

– Rzeczywiście. I wątpię, czy kiedykolwiek to zauważy.

Kiedy słońce gaśło nad polami otaczającymi Bethe Corbair, spotkali się z Grunthorem. Wymienili się informacjami, a następnie przejrzeni zapasy, które uzupełnili w mieście.

– Teraz jestem przekonany, że warto odwiedzić Canrif – stwierdził Achmed przy wieczornym posiłku. – Sądzę, że mają tam wszystko oprócz dobrej organizacji. Potrzebują przywódcy. Są jak dojrzały owoc, tylko zerwać.

– Co to znaczy? – spytała Rapsodia.

Drak spojrział w niebo. Zapadała noc, pełna obietnic i nadziei.

– Bolgowie potrzebują króla. Wiem, kto chętnie wzięby tę posadę.

– Ty?!

Popatrzył na nią z udawaną urazą.

– A co jest ze mną nie w porządku?

– Nie wiedziałam, że pochodzisz z królewskiego rodu.

Obaj Firbolgowie ryknęli śmiechem..

– Tylko ludzie przywiązują znaczenie do tych bzdur z dynastiami i dziedziczeniem tronu – powiedział Achmed. – U Bolgów rządzi ten, kto się do tego nadaje ze względu na siłę albo mądrość. Wydaje mi się, że mam jedno i drugie.

Rapsodia przez długą chwilę wpatrywała się w ognisko, zastanawiając nad słowami Draka. Nie wiedziała, co myśleć o jego planach.

– Sądzę, że łatwo się tam urządzimy, nawet wy dwie, choć nie pochodzicie z naszej rasy – dodał.

– Ja też tak uważam – mruknął Grunthor z pełnymi ustami. – Założycie wysuniętą placówkę. Pomożemy wam znaleźć odpowiednie miejsce.

– Wśród Firbolgów? – przeraziła się Jo. Jej zachowanie już wróciło do normy. – Nie chcę! To potwory.

– Zobaczmy, jak tam jest – powiedziała Rapsodia. – Opowieści o Bolgach są mocno przesadzone. Założę się, że wcale nie są potworami. Może nawet ich polubimy.

Jej towarzysze ze starego świata tylko się uśmiechnęli.

Tej nocy obozowali na północnym krańcu Krevensfield, ogromnej równiny, która ciągnęła się między Bethe Corbair a Zębami, górami oddzielającymi Rolandię od krainy Bolgów.

Po opuszczeniu miasta skierowali się na wschód i szli, aż mury obronne i wąski pas siedlisk zniknęły im z oczu. Gdy zapadła ciemność, odnieśli wrażenie, że są jedynymi żywymi istotami na świecie. W rezultacie siedzieli do późna i rozmawiali, żeby odpędzić od siebie poczucie osamotnienia.

Rapsodia wróciła pamięcią do niekończącej się podróży korzeniem Wielkiego Drzewa, ale stwierdziła, że wtedy było inaczej, bo przede wszystkim musiała walczyć ze strachem. Teraz natomiast czuła się opuszczona, bezbronna, zagubiona.

Szczelniej otuliła się płaszczem i pomyślała o Gwydionie i Melisande. Czy są bezpieczni w fortecy z różowo-brązowego kamienia, bronionej przez armię ojca? Bogactwo i przywileje nie uchroniły ich przed największą stratą. Delikatnie odgarnęła jasny lok z czoła Jo.

Migotliwy blask dogasającego ogniska oświetlał twarze śpiących, jedynych przyjaciół, jakich miała na świecie. Westchnęła ciężko i nadal wpatrywała się w płomyki, unikając spoglądania w czarną pustkę.

Szary brzask zastał ją w tej samej pozycji. Towarzysze powoli się budzili. Rapsodia wyciągnęła rękę w stronę ledwo tłącego się żaru.

– *Slypka* – powiedziała.

Ogień zgasł, ostatnia cienka smużka dymu rozwiała się bez śladu. Polecenie, którego nauczyła się na pierwszych lekcjach u Heileasa, oznaczało mniej więcej „zniknij”. Często żałowała, że nie można go zastosować do złych snów albo dręczących wspomnień.

O poranku ruszyli w drogę. Zaczął sypać śnieg. W czasie ich podróży wróciła zima, utrudniając marsz i psując humory. Zawodzący wiatr był jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem – prowokował do sprzeczek, ale porywał gniewne słowa, ratując przyjaźń.

Minęły cztery dni i płaskowyż Orlandan przeszedł w falujący step, a następnie w pogórze.

Po tygodniu pojawiły się same Zęby o poszarpanych konturach, rysujących się na tle nieba. Gwylliam ochrzcił je Manteidami, czyli Prorokiniami, na cześć swojej żony i jej sióstr, ale z czasem tę nazwę zastąpiła inna, bardziej odpowiadająca ich wyglądowi.

Następne trzy dni zabrało im dotarcie do podnóża gór. Kiedy Rapsodia zobaczyła je po raz pierwszy, były brązowe. W miarę, jak się zbliżali, dostrzegła inne kolory i odcienie, mieszaninę czerni i purpury, zieleni i błękitu. Niebosiężne szczyty, jednocześnie piękne i groźne, wyglądały jak wartownicy broniący dostępu do ukrytego królestwa Firbolgów.

Wreszcie, po kolejnych dwóch dniach podróży przez pagórkowatą wyżynę pociętą głębokimi dolinami, dotarli do Zębów. Zatrzymali się na stromym wzniesieniu i spojrzeli w dół. Pod nimi leżał amfiteatr wyrzeźbiony przez czas i naturę. Skalne półki opadały stopniami do rozległego płaskiego dna pokrytego rumowiskiem i warstwą śniegu. Rapsodia od razu poznała to miejsce z opisu w notatniku.

– To Wielkie Zgromadzenie! – zawołała podniecona. Jej głos odbił się echem od zboczy.
– Cymrianie spotykali się tutaj na ważnych naradach lub na uroczystościach. Gwylliam i Anwyn odprawiali sądy w obecności wszystkich poddanych.

– *Cwm* – powiedział Grunthor.

W starym języku słowo to oznaczało krater utworzony przez lodowiec albo wulkan. Olbrzym zamknął oczy i wciągnął w płuca mroźne powietrze. Pod stopami czuł ziemię, jeszcze wyraźniej niż po wyjściu z korzenia. W tym historycznym miejscu szeptała mu swoje sekrety.

Mówiła o odległej przeszłości, gdy niecka dopiero powstawała. Wielkie Zgromadzenie było niegdyś jeziorem zasilanym przez topniejący lodowiec. Stanowiło czarę dla jego łez. Kiedy klimat się ocieplił, część wody wsiąkła w ziemię, część wyparowała w słońcu, pozostawiając po sobie amfiteatr w zboczu góry.

Później ludzie wygładzili dzieło natury i stworzyli dla siebie miejsce zebrań. Siły przyrody i mieszkańcy tej krainy zapoczątkowali epokę, jakiej świat nie widział ani już nigdy nie zobaczy.

Teraz nastał czas spoczynku. Niecka leżała zapomniana i opuszczona pod śniegowym całunem, ale mimo uspienia wyczuwało się w niej moc. Grunthor otworzył oczy, budząc się ze snu na jawie.

Tymczasem Achmed szukał najłatwiejszej trasy do celu podróży. Korzystając z nowego daru, dostrzegł ciąg mostów i dróg węższych od normalnych szlaków, ale dostępnych nie tylko dla kozic. Prowadziły od szczytu do szczytu, przez wrzosowisko na dachu świata i dalej do Ukrytego Królestwa, do którego sama natura broniła wstępu. Niektóre uczęszczane, inne zapomniane, stanowiły cud inżynierii. Wyglądały na dzieło Nainów z Serendair, górników o niezrównanym kunszcie.

Dokładniej badając teren swoim drugim wzrokiem, wypatrzył małe figurki poruszające się górkami ścieżkami. Nie znał ich jeszcze, ale pewnego dnia zamierzał nimi rządzić.

– To jest Canrif – powiedział. – Koczownicze grupy Firbolgów są rozrzucone po całych Zębach i zupełnie dezorganizowane.

– Na to właśnie liczyłeś, prawda? – spytała Rapsodia. – Dojrzały owoc, tylko zerwać, czy nie tak powiedziałeś?

Achmed się uśmiechnął.

– Tak.

Jak na rasę zamieszkującą jaskinie Firbolgowie dziwnie niechętnie podróżowali nocą. Za dnia wielu śmiałków wypuszczało się poza Zęby w poszukiwaniu jedzenia lub zdobyczy, po zmierzchu już tylko nieliczni, a godzinę później żaden.

– Kurza ślepota – stwierdził Achmed.

Grunthor pokiwał głową.

– Dziwne – mruknęła Rapsodia, wyężając wzrok. – Można by sądzić, że powinni szczególnie dobrze widzieć w ciemności.

– Widzą, ale pod ziemią, gdzie w ogóle nie ma światła, nawet takiego nikłego, jakie mieliśmy na korzeniu Wielkiego Drzewa. Natomiast pod gołym niebem jest trochę inaczej.

Rapsodia zadrżała na wspomnienie Axis Mundi, a Achmed obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Jo go nie słyszała.

– Żółte korzenie i warzywa o zielonych liściach.

– Hę? – Grunthor spojrzał na nią zdziwiony.

– Dwa lekarstwa na kurzą ślepotę. Jedna ze znanych legend, których się uczą Pieśniarze, mówi o wielkiej lirińskiej armii, która stała się niezwyciężona dzięki zmianie diety. Jedząc określone rzeczy, żołnierze zaczęli doskonale widzieć w ciemności. Przeciwnicy cierpieli na kurzą ślepotę, więc Lirinowie atakowali tylko w nocy.

Achmed pokiwał głową.

– Istnieją inne leki oprócz warzyw?

– Wątroba.

Jo wydała zduszony jęk.

– W takim razie nic nie rozumiem, skoro Bolgowie przyswajają potrzebne składniki, jedząc wrogów – wtrącił Grunthor.

– Jakich? – zapytała Rapsodia. – Ich najbliższym sąsiadem jest Bethe Corbair, a nie wygląda na to, żeby za życia obecnych mieszkańców dochodziło do jakichkolwiek napaści.

– Istotnie – przyznał Achmed. – A od Sorboldu skutecznie oddzielają ich Zęby. Nie wydaje się więc, żeby robili dużo wypadów poza swoje terytorium. Sądzę, że polują na siebie nawzajem.

Rapsodia zadrżała.

– Cudownie. Jesteś pewny, że to jest miejsce, w którym chcesz mieszkać?

Drak się uśmiechnął.

– Kiedyś będzie.

Śnieg w skalnych szczelinach zamarzył i utworzył lodowe stopnie, na których trudno było utrzymać równowagę. Jo tak się raz pośliznęła, że omal nie spadła na dno wąwozu.

– Daleko jeszcze?! – zawołała Rapsodia, przekrzykując świst wiatru.

Spojrzała w dół. Pod sobą ujrziała kilkaset łokci niemal pionowej ściany.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – odkrzyknął Achmed.

Wdrapał się na skalny występ, a następnie położył się na brzuchu i podał Pieśniarce rękę. Bez trudu wciągnął ją na półkę. Potem dźwignął do góry Jo, która drżała z wyczerpania i zimna. Rapsodia zarzuciła na dziewczynę swój płaszcz i ogrzewała ciepłem ognia, który w niej płonął.

Chwilę później dołączył do nich Grunthor.

– Niezła zabawa – stwierdził. – Dobrze się czujesz, księżniczko? A mała panienka?

– Musimy znaleźć dla niej schronienie przed wichrem – odparła Rapsodia, szczękając zębami. Nie czuła palców ani czubka nosa.

Achmed skinął głową.

– Jeszcze chwilę. Najpierw zobacz, co zbudowali, a potem zniszczyli twoi Serenowie.

Przed nimi wznosiła się ogromna forteca wykuta w zboczach gór. Gładko ociosane ściany stapiały się z czarnymi skałami, wieże i blanki rysujące się na tle nieba do złudzenia przypominały turnie. W porównaniu z tą budowlą monumentalne bazyliki, które widzieli po drodze, wydały się lilipucie.

Nic dziwnego, że ludność uważała Gwylliamia za boga, pomyślała Rapsodia. Z urwiska nie mogła objąć wzrokiem całej twierdzy. Zupełnie jakby ręka samego Stwórcy wyrzeźbiła w paśmie górskim mury, mosty, fortyfikacje, drogi i tunele. Miasto gigantów, ukryte wśród niedostępnych szczytów. Canrif.

– Jo zamarza! – krzyknęła.

– Możesz iść?

– Tak.

– Dobrze, niech Grunthor poniesie Jo, a ty pójdziesz ze mną. Niedaleko stąd jest jaskinia zatarasowana głazem. Bolgowie tam nie wchodzi. Trzymaj się mojego płaszcza, żebyś się nie zgubiła.

Rapsodia skinęła głową i ruszyła za Drakiem.

Gdy znaleźli się w jaskini, wycie wiatru trochę przycichło, ale w głowach nadal im huczało. Grunthor zasunął kamień z powrotem, żeby Bolgowie nie odkryli ich schronienia. Zostawił tylko wąską szczelinę. Wszyscy byli pokryci kurzem i skalnymi drobinami, mieli je nawet w uszach i oczach.

Rapsodia otrzepała się z pyłu, a następnie pomogła rozcierać dłonie i stopy Jo, która powoli dochodziła do siebie po trudach wspinaczki.

– To nie jest zwykła jaskinia. Ale co? Jak sądzicie? – spytała.

Achmed popatrzył w głąb ogromnego korytarza, którego ściany i sufit były wyłożone gładkimi kamiennymi płytkami o idealnie prostokątnym kształcie. Po obu stronach biegły rowy, prawdopodobnie rynsztoki, a w sklepieniu znajdowały się otwory, teraz zapchane gruzem.

– Domyślam się, że tunel odwadniający. W samym Canrif były ich dziesiątki. Odprowadzały deszczówkę i nadmiar wody z górskich strumieni do kanionu, chroniąc miasto przed powodzią. Jednocześnie dostarczały wodę do picia i innych celów, bo w górach nie wywiercisz studni. W muzeum cymriańskim widziałem bardzo dokładne szkice całego systemu wodociągowego.

Rapsodia sięgnęła do plecaka i wyjęła z niego dziennik, który znaleźli w Domu Pamięci.

– Niewiele nam pomoże – stwierdziła po chwili. – Szkoda, że nie uważałam bardziej, kiedy zwiedzaliśmy muzeum.

Achmed się zaśmiał.

– Nie zdajesz sobie sprawy z wielkości Canrif. To nie jest zwykła góraska forteca ani nawet warowny gród, lecz całe państwo. Za kanionem i Przeklętym Wrzosowiskiem zaczyna się jego główna część: lasy, winnice, kopalnie, wioski, miasta, świątynie i uniwersytety. Przynajmniej tak było w czasach cymriańskich. Zdążyłem przestudiować tylko nieduży fragment planów. Wiem, że jest tu system wodociągowy i wentylacyjny oraz ogromne kuźnie. Wytwarzane w nich ciepło służyło do ogrzewania. Gwylliam był wizjonerem, zaprojektował i zbudował we wnętrzu góry dobrze funkcjonujący i samowystarczalny świat. Nie poznamy całości, nawet gdybyśmy zwiedzali go przez miesiąc.

Rapsodia ukucnęła przy stosie gruzu i położyła na nim rękę. Po chwili kamienie rozjarzyły się na czerwono. Achmed wyjmował z plecaka prowiant.

– Zjemy coś najpierw, a potem wybiorę się na zwiad. Grunthorze, ty zostaniesz z kobietami, a jeśli nie wrócę za kilka dni, odprowadzisz je do Bethe Corbair.

– Nie uważasz, że mamy prawo same zdecydować o swoim losie? – rzuciła gniewnie Rapsodia.

Achmed zamrugął.

– W porządku. Dokąd chcecie pójść, jeśli nie wrócę?

Rapsodia i Jo spojrzały na siebie.

– Chyba do Bethe Corbair.

Drak się roześmiał.

– I powiadają, że Bolgowie są kłótlivi. Nie martwcie się, wrócę. Po prostu chcę złożyć wizytę moim przyszłym poddanym.

Wbrew cymriańskim legendom Bolgowie osiedlili się w górach na długo przed końcem wojny. Gwylliam był zbyt zajęty, by przejmować się tym, że mieszkańcy jaskiń znaleźli drogę do starszych części jego rozległego labiryntu. Oni natomiast nie zlekceważyli władcy Cymrian i po cichu utworzyli front w jego królestwie. W krwawym bilansie wojny z Anwyn trafiały się drobne wzmianki o zaginionych patrolach i niewyjaśnionych brakach w magazynach.

Bolgowie nie byli bohaterami ani żołnierzami. Uważali, że wszystko, co złapią, warte jest zjedzenia. Ukradli ogień i potrafili mieszkać w każdych warunkach i klimacie, choć kiepscy byli z nich budowniczcy.

Przed wiekami pewien wojownik wziął do niewoli kilka plemion i stwierdził, że są posłuszne, gdy się je dobrze karmi. Po jego śmierci Bolgowie pozostali jeszcze przez jakiś czas w jego posiadłości, a następnie ją zniszczyli i powędrowali gdzieś indziej. Spadkobiercy wojownika stworzyli teorię, że niewolnicy słuchali go tak jak wilki przewodnika stada, bo uznali za swojego. Zwykle traktowali ludzi jako zdobycz, a nie partnerów.

Grupy zamieszkujące góry Gwylliamia składały się z nie spokrewnionych ze sobą dzikich osobników, którzy uciekli przed złą pogodą albo brakiem zwierzyny. Niektórzy zostali wypędzeni z domów przez silniejszych pobratymców. Ci przynieśli ze sobą broń i niechęć do świata. Spotkania z nimi źle się kończyły.

Kiedy Gwylliam odkrył ich obecność, podjął niezdecydowaną próbę eksterminacji. Zastawił pułapki, wysłał oddziały do ich kryjówek, ale w ten sposób wyplenił tylko głupich i słabych. Grunthor doszedł do wniosku, że władca Cymrian wręcz udoskonalił rasę, zahartował w swoich kuźniach, stworzył broń, której jednak nie miał okazji użyć przeciwko Anwyn.

Dzień po tym, jak czwórka przybyszów rozgościła się w nieczynnym tunelu odprowadzającym, grupa myśliwych zapędziła wilka do Sali Zabijania. Ten stary korytarz Firbolgowie znaleźli po ucieczce Cymrian. Był długi i krety, a na końcu miał ciężkie kamienne drzwi, których nie udało się im otworzyć. Do tej części podziemia tradycyjnie zaganiali ofiary – większe zwierzęta albo człekokształtnych intruzów, choć nie zawsze wychodziło im to na dobre.

Tym razem popełnili, zdaje się, wielki błąd. Prehistoryczne ssaki wielkości dużego niedźwiedzia, podziemna odmiana wilków, były dzikimi, groźnymi samotnikami o potężnej budowie, stalowych mięśniach i doskonałym wzroku. Ten zabił jednego z prześladowców i

właśnie pożerał drugiego, gdy zjawił się tajemniczy człowiek. Przybył niezauważony w chwili, kiedy łowcy uznali swoją przegraną i zbierali się do ucieczki.

Nie od razu go zobaczyli; powiewające czarne szaty zlewały się z atramentową ciemnością. Usłyszeli natomiast głos, zgrzytliwy i warczący. Język rozpoznali jako starszą wersję swojego własnego.

– Na ziemię!

Słowa odbiły się od ścian korytarza jak prymitywne strzały myśliwych od kamienia.

Bolgowie odwrócili się wolno ku głosowi i zamarli. Dlatego nie mogli wypełnić polecenia.

Przybysz zdjął z pleców długi, prosty miecz. Przy tym ruchu kaptur zsunął mu się z głowy. Twarz była przerażająca, ale jednocześnie miała w sobie coś znajomego. Łowcy stwierdzili z zaskoczeniem, że intruz należy do ich rasy.

Wykonał błyskawiczny ruch. Ciemność przeszył krótki błysk i smukłe ostrze wbiło się w gardło potwora, który stał nad ciałem jednej z ofiar. Zwierzę wydało stłumiony ryk i padło.

Mężczyzna przyskoczył do niego z taką samą szybkością, z jaką zadał cios. Myśliwi byli uzbrojeni, ale żaden nie zrobił najmniejszego ruchu. Nieznajomy sięgnął po miecz sterczący z szyi wilka.

W tym momencie jedyny łowca, który wcześniej wykonał jego rozkaz, próbował ciąć go w nogi zakrzywionym nożem. Przybysz w czarnej szacie złamał mu nadgarstek, stawiając na nim stopę, a następnie przetrzącił kark mocnym kopniakiem. Powiódł wzrokiem po myśliwych i znowu schylił się po miecz. Ostrze z cichym świstem wysunęło się ze splątanego futra.

– Dobre polowanie.

Mężczyzna odwrócił się i rozpląnął w ciemności.

Jasne oczy Frinta lśniły w blasku niewielkiego ogniska. Myśliwy ledwo tknął mięso z brzucha i goleni wilka, które mu się należały za przyniesienie klanowi zdobyczy.

– Ten człowiek był jak noc – szepnął.

Dzieci zerkające zza pleców matek nadstawiły uszu w oczekiwaniu na opowieść wielkiego łowcy.

– Nie widzieliśmy, jak nadchodzi.

– Czego chciał? – zapytał Nug-Claw, naczelnik klanu.

– Niczego. Zabił wilka i Ranika. Ranik go zaatakował, a Nocny Człowiek rozdeptał go jak mrówkę.

Dzieci trochę się cofnęły.

– Nie wziął mięsa?

Frint potrząsnął głową.

– Nic nie powiedział?

Myśliwy zastanawiał się przez chwilę.

– Pochwalił łowy.

Oczy Nuga się rozszerzyły.

– I...?

– Po wyjściu z Sali Zabijania znaleźliśmy dwa kozły i szczura. Wzięliśmy je.

Rozległ się szmer podniecenia i strachu.

– Może Nocny Człowiek jest bogiem? – powiedziała kobieta Nuga Naczelnik wziął zamach ręką, ale w porę się uchyliła.

– Żadnym bogiem. Nug jest bogiem klanu. Ale uważajmy na Nocnego Człowieka. Musimy ostrzec wszystkich Ylorców.

Frint zamrugał szybko.

– Może Nocny Człowiek jest bogiem wszystkich Bolgów?

Achmed stojący w najgłębszym cieniu uśmiechnął się i oddalił w ciemność.

Gruz z kruszących się ze starości ścian labiryntu tworzył garby na dnie tuneli. Mimo tych przeszkód Drak szedł lekkim i cichym krokiem. Widok ruiny, w którą zamieniła się niegdyś majestatyczna forteca, napełniał go smutkiem.

W czasach świetności Canrif tunele, wytyczone z matematyczną precyzją i starannie wyciosane z bazaltu, były szersze niż ulice w mieście, gładkie i równe. Cytadela, z zewnątrz groźna, niedostępna i odstrasżająca wrogów, w środku miała prosty i czytelny układ korytarzy. Kiedyś oświetlały je kinkiety, z których teraz zostały połamane oprawy albo dziury w ścianach.

Przyspieszone bicie serca uświadomiło Achmedowi, że misja sprawia mu tajoną radość. Cofnął się pamięcią do dawnych czasów, kiedy rasa F'dorów prowadziła kampanie eksterminacyjną przeciwko Drakom.

Lubił tamten okres terminowania, zanim wynalazł cwellan, zanim stał się najlepszym zabójcą na świecie, kiedy dopiero czekało go zdobycie reputacji, a jego imienia jeszcze nie niósł przed nim wiatr.

Dotarł do pomieszczenia przepastnego jak jaskinia. Po stojakach na broń i dawno przegniłych pryczach poznał, że kiedyś mieściły się tu koszary gwardii. Nawet kwatery dla żołnierzy starannie zaprojektowano. Na kopulastych sklepieniach widać było ślady fresków ze scenami historycznych bitew.

W zamyśleniu spojrzął na postacie walczących. W czasie szkolenia nauczono ich, żeby dążyli do zwarcia z jednym przeciwnikiem, atakowali go z uporem, bez wychnienia, aż ten w końcu się podda.

Według tej zasady postępowali F'dorowie. Znajdowali sobie gospodarzy i trzymali się ich kurczowo, bo od tego zależało, czy przetrwają. Nic dziwnego, że nienawidzili Draków.

W przeciwieństwie do wojowników z innych ras Drakowie zachowywali dystans, wyszukiwali słabe punkty wroga, czekali na odpowiedni moment do ataku. Taktyka ta

stanowiła przekleństwo F'dorów, którzy z natury dążyli do zwarcia, żeby połączyć się z gospodarzem.

Kiedy razem z Grunthorem po raz pierwszy zetknęli się z dziwnymi napaściami, przyszło mu do głowy, że chodzi o samą przemoc. Podczas gdy Tsoltan był strategiem, ci, którzy teraz prowokowali ludzi do zabijania w bezmyślnym szale, nie potrzebowali żadnego planu ani celu. Może właśnie gwałt, brutalność i walka dawały im siłę i życie.

Nagle w jego rozmyślania wdarły się odgłosy potyczki dobiegające z tunelu po drugiej stronie koszar. Przebiegł przez wielką salę, trzymając się cienia. Stał u wylotu korytarza, wziął kilka głębokich oddechów i pomknął wewnętrznym wzrokiem w stronę źródła hałasu.

Nie musiał daleko szukać. Obdarci Bolgowie bili się ze sobą ułamanymi włóczniami i wyszczerbionymi mieczami. Na twarzach lub ramionach mieli znaki różnych klanów. Dwaj mężczyźni przygważdżali do ziemi wrzeszczącą kobietę, zapewne nagrodę dla naczelnika. Achmed zdjął z pleców cwellan.

Nocni Rozbójnicy byli bliscy zwycięstwa, kiedy tunel przecięła błyskawica i powaliła obu przywódców. Bolgowie znieruchomieli, patrząc w osłupieniu na dwa ciała z takimi samymi ranami na szyjach, z przodu i z tyłu, gdzie weszły i wyszły lśniące ostrza. Przy obu prawie odciętych głowach szybko powiększały się kałuże krwi.

Z ciemności wyszedł niczym duch mężczyzna w czarnej szacie z kapturem, spod którego błyskały oczy o przeszywającym spojrzeniu.

Jeden z rozbójników słyszał wcześniej opowieść o wydarzeniach w Sali Zabijania.

– Nocny Człowiek! – W jego tonie wyczuwało się nabożny lęk.

Przybysz zrobił krok do przodu. Członkowie obu klanów czmychnęli pod ściany. Obcy schylił się, podniósł ułamany miecz i rzucił go kobiecie, a następnie odwrócił się do Bolgów.

– Zmykajcie – powiedział.

W bezbarwnym głosie wszyscy rozpoznali szept śmierci.

Uciekli w panice, rozpychając się i potykając. Tylko kobieta zawahała się na chwilę i tylko ona dostrzegła cień uśmiechu pod kapturem. Dopiero wtedy się odwróciła i pobięła za współplemieńcami. Nocnego Człowieka pochłonęła ciemność.

Tej samej nocy czwórka towarzyszy udała się do Sali Zabijania. Achmed poprowadził ich najłatwiejszą trasą przez Zęby, trochę dłuższą, ale omijającą wewnętrzne tunele. Jo nie widziała dobrze w ciemności, a Rapsodia, choć przeżyła niekończącą się podróż korzeniem Wielkiego Drzewa i przywykła do braku światła, czuła się nieswojo pod powierzchnią ziemi. Po drodze zaatakowano ich dwa razy.

– O dwa za dużo – stwierdziła Rapsodia, kiedy znowu weszli do jaskiń.

– I tak mało – odparł Grunthor, wycierając Kozik. – Żałosne. Trzeba będzie dużo pracy, żeby coś zrobić z tych chłopaków.

– Na pewno nie tych – powiedziała Jo, patrząc na ciała zabitych.

Olbrzym zaśmiał się cicho.

W tym momencie Achmed uniósł rękę. Wszyscy umilkli i ruszyli za nim krętymi przejściami. Ślady dewastacji rzucały się w oczy, co rusz natykali się na stosy pokruszonego kamienia.

Kiedy mijali duży otwór w tunelu, Rapsodia zatrzymała się na chwilę i zajrzała do środka. Dostrzegła półkę wystającą nad ogromną pieczarę. Spojrzała pytająco na Achmeda. Drak skinął głową.

Pieśniarka zrobiła kilka kroków i stanęła na krawędzi występu. W twarz uderzył ją silny prąd powietrza, gęstego od kurzu i pozbawionego świeżości wiatru wiejącego na otwartych przestrzeniach. Osłoniła oczy i spojrzała w ciemność pod sobą.

W dole leżało wielkie zrujnowane miasto, ciemne i ciche. Jak okiem sięgnąć ulice, walące się domy, wyschnięte fontanny i martwe ogrody. Mimo zniszczenia można było w tym mieście dostrzec zamysłarchitektoniczny i piękno, w swoim czasie przewyższające urodą Bethany czy Navarne. Teraz pozostało po nim tylko smutne wspomnienie.

Arcydzieło Gwyllliama, pomyślała Rapsodia z żalem. Canrif, czyli wiek. Samo wyciosanie sklepienia przepastnej jaskini, sięgającego wierzchołków gór, z pewnością wymagało pracy tysięcy ludzi. Z dumnego świadectwa geniuszu została jedynie pusta skorupa, dająca schronienie koczowniczym bandom półludzi, którzy przemykali się niszczącymi tunelami, nieświadomi dawnej chwały podziemnego miasta.

Achmed dotknął jej ramienia.

– Już niedaleko do Sali Zabijania.

Kiedy dotarli do ostatniego zakrętu, na jego znak Grunthor i Jo zajęli pozycje po obu stronach korytarza. Achmed i Rapsodia ruszyli w stronę ciężkich kamiennych drzwi.

– To chyba biblioteka Gwyllliama – powiedział Achmed cicho.

Rapsodia pokiwała głową. W książce, którą zabrali z Domu Pamięci, nie było żadnej mapy wnętrza Canrif, ale trafili na dokładny opis drzwi. W kamieniu wyryto słynne cymriańskie powitanie:

Cyme we inne frid, fram the grip of deap to lif inne dis smylte land.

Z objęć śmierci przybывamy w pokoju do tej pięknej krainy.

Niżej znajdowała się zardzewiała metalowa tabliczka i masywna klamka, a pod nią seria identycznych dziurek o średnicy drzewca strzały, wywierconych w równych rzędach.

– To rodzaj zamka – stwierdził Drak, przesuwając kościstym palcem po otworach. Na ziemię posypał się kurz i drobinki skały. – Kluczem może być głupie motto Gwyllliama. Ten człowiek był jednostrunową harfą.

– Był inżynierem i matematykiem, więc pewnie ułożył jakiś szyfr – powiedziała Rapsodia. – Nie widzę jednak żadnego związku między dziurkami a literami starocymriańskiego alfabetu.

– A może wybrał inny język? Nainów? Lirinów?

Pieśniarka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Byłoby to nieroztropne posuniecie, zwłaszcza jeśli z biblioteki korzystały inne rasy. Nie sądzę, żeby Gwylliam odważył się faworyzować jakichś poddanych.

Jeszcze raz policzyła otwory: po sześć w pięciu rzędach. Zamyśliła się głęboko, a po chwili jej twarz rozjaśnił uśmiech. Achmed odniósł takie wrażenie, jakby w tunelu nagle zaświeciło słońce.

– Oczywiście! To klucz muzyczny. W dawnych czasach istniało tylko sześć nut zamiast ośmiu, które znali lirińscy Pieśniarze. Kiedy byłam u Llaurona, przekonałam się, że reszta świata też używa obecnie ośmiotonowej skali. A poziome rzędy to pięciolinia.

– Nie wiedziałem, że Gwylliam był muzykiem.

– Muzyka ma wiele wspólnego z matematyką, więc nie jestem zaskoczona.

Wyjęła strzałę z kołczanu i ułamała końcówkę. Ostrożnie włożyła drzewce do dziurki odpowiadającej literze C z pierwszego słowa pozdrowienia.

Rozległo się ledwo słyszalne szcęknięcie. Rapsodia aż dostała wypieków na twarzy.

– Spokojnie, bez pośpiechu – upomniał ją Achmed, choć sam też był podniecony. – Jeśli popełnisz błąd, możesz zepsuć cały mechanizm i nigdy nie otworzymy drzwi.

– Ciii...

Oczy jej błyszczały. Ściągnęła brwi i w skupieniu zaczęła liczyć litery. Była przy przedostatnim słowie napisu, kiedy zza rogu wyjrzała Jo.

– Ktoś nadchodzi. Jakaś większa grupa.

– Nie przerywaj – powiedział Achmed do Rapsodu. – Idę pomóc Grunthorowi. Ty się nie śpiesz.

Kiwnęła głową i włożyła ułamaną strzałę do następnego otworu.

Odetchnęła z ulgą, słysząc znajomy dźwięk. Tymczasem Drak zamienił się miejscami z Jo. Dziewczyna przybiegła do Rapsodii.

– Co robisz? – zapytała.

– Cicho. Powiem ci za chwilę.

W tym momencie odgłosy walki poniosły się echem po tunelu. Ku przerażeniu Rapsodii Jo zrobiła ruch, jakby chciała popędzić do towarzyszy.

– Stój! Zostań tutaj.

Chwyliła ją za ramię, ale dziewczyna się wyrwała.

– Zwariowałaś? Atakuje ich co najmniej dziesięciu Bolgów!

– Tylko dziesięciu? Zanim tam dobiegniesz, Achmed i Grunthor zdążą ograbić trupy i zaciągnąć je w ciemny kąt. Czekaj tutaj i pilnuj moich pleców. Ja sama się nie obronię, jednocześnie próbując otworzyć zamek.

Jo westchnęła ciężko.

– Nigdy nie pozwalasz mi się zabawić.

Rapsodia ukryła uśmiech i wróciła do pracy.

– Pozwoliłam ci walczyć, kiedy szliśmy przez Zęby, prawda?

– Też mi wyzwanie – prychnęła dziewczyna. – Garstka mieszaińców cierpiących na kurzą ślepotę i uzbrojonych w zastrzone kamienie. Źałosne, jak powiedziałby Grunthor.

– Dostaniesz swoją szansę. Jeszcze będziesz miała dość wojowania. Zaraz sama się na ciebie rzucę, jeśli piśniesz choć słowo.

Wyczyściła palcem ostatnią dziurkę, ocierając sobie skórę do krwi. Wsunęła drzewce w otwór. Rozległ się cichy trzask, a tuż po nim donośny dźwięk jak po uderzeniu w cymbały.

– Idź po Achmeda, ale jeśli walka nadal trwa, ukryj się – powiedziała do Jo, która niecierpliwie przebierała nogami.

Dziewczyna skinęła głową i popędziła tunelem. Chwilę później wróciła z dwoma Firbolgami.

– Otworzyłaś? – zapytał Drak, wycierając miecz o połę płaszcza i chowając go do pochwy.

– Chyba tak. Coś przeskoczyło w zamku, ale nic nie ruszałam, póki się nie zjawicie.

– Bierz się do roboty, wielkoludzie – powiedziała Jo do Grunthora.

Bolg uśmiechnął się do niej, a Achmed skinął głową. Rapsodia zdjęła łuk z pleców i nałożyła strzałę na cięciwę. Nie była pewna, czy chce zobaczyć, co jest za masywnymi drzwiami.

Jej obawy wkrótce okazały się uzasadnione. Kiedy Grunthor pchnął ciężką kamienną płytę, buchnęło na nich stęchłe powietrze, niosąc ze sobą odór śmierci. Jo zebrało się na wymioty. Rapsodia podtrzymała jej głowę, a tymczasem Achmed zajrzał do mrocznego pomieszczenia. Grunthor stanął na czatach przy zakręcie tunelu. Dziewczyna szybko doszła do siebie i oświadczyła, że już może wejść do środka.

Biblioteka Gwyllliama przetrwała wieki w nietkniętym stanie. Na wysokich półkach stały oprawione manuskrypty, piętrzyły się zwoje pergaminu, dokumenty, mapy, wykresy i plany, nad którymi musiała przez stulecia pracować cała armia skrybów i uczonych. Ogromna pieczara stanowiła skarbnicę wiedzy o czasach świetności cywilizacji cymriańskiej.

Rapsodia rozglądała się oszołomiona. Wielkie kopulaste sklepienie stanowiło dokładną mapę nieba widzianego w tej części świata; na kobaltowym tle srebrzyły się gwiazdy ułożone w konstelacje. Na ścianach z wielką dokładnością narysowano lądy i oznaczono je ówczesnymi nazwami.

Obecną Rolandię i Sorbold przedstawiono wspólnie jako ziemie cymriańskie, Tyrian jako Realmalir, królestwo Lirinów. Serendair, ukazana z pietyzmem w najdrobniejszych szczegółach, była tutaj Zagubioną Wyspą.

Na kopule między gwiazdami widniał olbrzymi smok o pozłacanych łuskach. Groźne pazury, pokryte warstwą srebra, rozcapierzał nad zachodnimi ziemiami. W miejscu oczu miał przezroczyste kamienie szlachetne, oszlifowane w taki sposób, że odbijały światło jak pryzmaty. Z otwartej paszczy buchały żółte i pomarańczowe płomienie.

Środek pomieszczenia zajmował okrągły stół z czarnego marmuru, częściowo nakryty przezroczystym kloszem. Obok niego stało kilka aparatów różnego typu, z sufitu zwisało dziwne urządzenie. Na metalu, z którego je zrobiono, nie było śladu rdzy ani śniedzi. Rapsodia chętnie obejrzałaby je dokładniej, ale powstrzymał ją makabryczny widok.

O blat opierało się zмумifikowane ciało z rozplataną piersią. Obok głowy leżała prosta złota korona. Kiedy Achmed jej dotknął, zaczęła turlać się po stole w tę i z powrotem, błyszcząc w ciemności.

Pod stołem ujrzeli szkielet obciążony pergaminową skórą, odziany w kolczugę, która nie uchroniła właściciela przed tragicznym losem. Temu człowiekowi przetrącono kark.

Grunthor przymknął drzwi, ale zablokował je kilkoma kamieniami, żeby pozostały lekko uchylone, i sprawdził, czy klamka działa. Achmed patrzył na ciała z półuśmiechem na zwykle poważnej twarzy.

– Oto wielki i potężny Gwylliam.

Rapsodia i Jo podeszły do niego wolno.

– Kim jest ten drugi? – zapytała Pieśniarka.

– Pewnie gwardzista. Dziwne. Zgodnie z tradycją w straży przybocznej sereńskich królów zawsze było ich dwóch.

– Skąd wiesz?

Achmed pominął jej pytanie milczeniem.

– Jestem gotów się założyć, że tego Gwylliam sam zabił.

Grunthor pokiwał głową. Ocenivszy kąt, pod jakim padło ciało, doszedł do takiego samego wniosku.

Rapsodia zrobiła zdziwioną minę.

– Llauron mówił, że to Anwyn zabiła Gwylliam.

– Rzeczywiście. Może wie mniej, niż daje do zrozumienia. Nie byłbym zaskoczony. Nie ufam mu.

– Nikomu nie ufasz – stwierdziła Jo. – Mogę wziąć koronę?

– Zaczekaj, młoda panienko – powiedział Grunthor łagodnie. – Daj się najpierw rozejrzeć, co?

Rapsodia obeszła stół, z daleka omijając ciała, i przyjrzała się kopule, która zakrywała środek stołu. Nie mogła jej dosięgnąć, ale mimo warstwy kurzu widać było, że klosz jest

cudem techniki. Zrobiony z jednego kawałka mocno wypolerowanego materiału, miał średnicę większą niż jej wzrost. Osłaniał schemat labiryntu, misternie wryty na marmurowym blacie.

– Co o tym sądzisz, Achmedzie?

Drak podszedł do stołu i dotknął kopuły. Lekko zajaśniała. Mapa również zaczęła się świecić. Na twarz Draka wypłynął uśmiech.

– Nic. To ona coś o mnie sądzi.

– Co?

– Bierze mnie za króla.

– Wszystko, czego potrzebujemy, żeby podbić Bolgów, znajduje się tutaj. Dosłownie wszystko. Za kilka tygodni zjednoczą się w jeden naród, chyba po raz pierwszy w swojej historii, a z czasem staną się najpotężniejszą siłą na tych ziemiach, odkąd przed czternastoma wiekami najechali je Cymrianie.

Rapsodia zerknęła z ukosa na przyjaciela. Jeszcze nigdy nie widziała go równie ożywionego i nie chciała psuć mu nastroju, ale to, co mówił, nie miało sensu.

– Może nam zdradzisz, jak zamierzasz tego dokonać?

Achmed pokazał na stół.

– Już kiedyś w starym świecie widziałem podobną aparaturę. Należała do sereńskiego króla. Dzięki niej śledził ruchy wojsk i migracje ludności. Nie dziwię się, że Gwylliam przywiózł ją ze sobą albo na miejscu skonstruował nową. Dla władcy to bardzo użyteczne narzędzie. Co tak na mnie patrzysz?

– Codziennie dowiaduję się o tobie czegoś nowego, Achmedzie – stwierdziła Rapsodia. – Spędziliśmy razem czternaście wieków, a nie miałam pojęcia, że obracałeś się w dworskich kręgach. Skąd znałeś ludzi o błękitnej krwi?

– Przecież był zabójcą – wtrącił Grunthor. – Jak myślisz, kto najczęściej go wynajmował?

Jo wytrzeszczyła oczy.

– Byłeś zabójcą?

Drak zignorował dziewczynę i spiorunował wzrokiem Rapsodię.

– Dzięki temu urzędzeniu dowiemy się, gdzie są największe skupiska Bolgów i jak często grupy się przemieszczają. Zaczniemy od rekrutacji małego, ruchliwego plemienia, z którego będzie można zrobić doborową gwardię. Po kilku zwycięstwach rozniesie się wieść, że kto przybędzie do nas pierwszy, ten przejdzie lepsze szkolenie i otrzyma później wyższą rangę.

– Zwycięstwach? Mówisz, jakby to było całkiem proste. Masz na myśli bitwy?

Achmed prychnął.

– Raczej potyczki. Rasie, która po czterech wiekach nadal żyje w rozproszeniu, brakuje siły i umiejętności, żeby stoczyć prawdziwą walkę. Kiedy chodziłem po Bethe Corbair, usłyszałem, jak miejscy strażnicy rozmawiają o dorocznym rytuale Wiosennego Czyszczenia. Rolandzcy żołnierze co rok najeżdżają pograniczne wioski Firbolgów i zabijają wszystkich mieszkańców, którzy wpadną im w ręce, łącznie z dziećmi i kobietami. Na koniec palą chaty.

– Nie zwrócił uwagi na przerażenie w oczach Rapsodii. – Ataki powtarzają się co rok. O czym to świadczy?

– O głupocie Bolgów?

– Wręcz przeciwnie. Są bardzo sprytni. Uznali, że jeśli poświęcą kilku słabych i chorych, powstrzymają orlandańską armię przed zapuszczeniem się w głąb ich terytorium, które nazywają Ylorc. Tak więc za każdym razem odbudowują zniszczone wioski i zostawiają w nich garstkę nieszczęśników. Żołdacy podpalają domy, mordują paru bezbronnych, po czym wracają do Rolandii, zadowoleni ze swojej odwagi i męskości.

– Myślę, że natychmiast położysz kres tym praktykom – powiedziała wstrząśnięta Rapsodia.

– Oczywiście.

– Bydlaki! – mruknęła Jo. – Możesz na mnie liczyć. Z rozkoszą pomogę obedrzeć ze skóry paru orlandańskich żołnierzy.

Na twarz Pieśniarki wróciło zdziwienie.

– Achmedzie, mówisz tak, jakbyśmy we czwórkę mieli podporządkować sobie sto tysięcy Bolgów.

– Zgadza się.

– Cóż, moim zdaniem sto tysięcy wobec czterech osób to spora przewaga: A raczej wobec trzech, bo Jo będzie się trzymać z daleka. Nie po to brałam ją ze sobą, żeby teraz narażać na pewną śmierć.

– A kto cię prosił! – wybuchnęła Jo. Jej oczy płonęły gniewem. – Przestań zachowywać się jak kwoka, Rapsodio. Jestem dużą dziewczynką, a w dodatku całe życie spędziłam na ulicy. Potrafię zadbać o siebie. Nie musisz mnie niańczyć.

– Daj spokój, księżniczko – odezwał się Grunthor rozbawionym tonem. – Ona mówi tak samo jak inna mała dziewczynka, którą znam.

Mrugnął bursztynowym okiem i Rapsodia roześmiała się mimo woli.

– No dobrze. – Uściskała dziewczynę. – Chyba nie uda mi się wiecznie cię chronić. Od czego zaczynamy?

– Jo zacznie od oddania korony i innych cennych rzeczy, które zwędziła Gwylliamowi, kiedy nie patrzyliśmy.

– Co?!

Rapsodia odsunęła się i spojrzała na siostrę. Na jej twarzy zobaczyła wstyd i jednocześnie bunt. Zerknęła na stół. Korona rzeczywiście zniknęła, a trup króla został ograbiony ze wszystkich kosztowności: pierścienia, broszy, guzików...

Grunthor wyciągnął dłoń i z naganą popatrzył na Jo, ale w jego oczach błyszczały wesołe ogniki. Dziewczyna powoli oddała koronę i spuściła wzrok.

– A teraz reszta, panienko – powiedział gigant.

Gdy stwierdziła, że pobłażliwy uśmiech zniknął z surowego teraz oblicza wielkoluda, niechętnie sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej garść kosztownych drobiazgów.

– To już wszystko?

Skinęła głową.

– Zła odpowiedź – odezwał się za nią chropawy głos.

Achmed błyskawicznym ruchem oderwał kieszeń od kamizelki, którą Rapsodia kupiła jej w Bethe Corbair. Krzyk protestu uwiązał dziewczynie w gardle, gdy po kamiennej podłodze potoczył się złoty pierścień. Drak go podniósł.

– Nie umiesz ocenić wartości pewnych rzeczy, Josephine – stwierdził, celowo używając znienawidzonego przez nią imienia. – Mogłabyś kupić za niego porządnego konia albo kawał ziemi w Bethe Corbair, ale kosztował cię dużo więcej, niż jest wart: moje zaufanie. Nikt nie przeczy, że masz swój udział w skarbie, lecz musisz zrozumieć, że wszystkie przedmioty w tym pomieszczeniu są kluczem do zagadki, od której rozwiązania zależy nasz los. Podziwiam twoją samodzielność, ale właśnie z jej powodu stajesz się niebezpieczna dla drużyny. Nie mogę ryzykować. Stawka jest za duża, żeby brać sobie na głowę nieposłusznego dzieciaka, który nie rozumie podstawowych zasad. Jutro wsadzimy cię na konia i wyprawimy do Bethe Corbair.

– Jadę z nią – oświadczyła Rapsodia, z trudem panując nad sobą. Gdy zobaczyła, że mimo dzielnej miny siostra walczy z łzami, ogarnął ją jeszcze większy gniew. – Do jutra rana rozmawiaj tylko, ze mną, jeśli chcesz. Do niej nie mów więcej ani słowa.

Drak zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Zostawisz nas dla niej?

– Skoro to konieczne.

– Dlaczego?

Rapsodia przeniosła spojrzenie z drżącej dziewczyny na Achmeda.

– Daj spokój, panie, może jakoś dojdziemy do porozumienia – przemówił Grunthor łagodnym tonem. – Musi upłynąć trochę czasu, zanim mała panienka przyzwyczai się, że już nie mieszka na ulicy. Ja za nią ręczę. Więcej tego nie robi. Prawda, skarbie?

– Będziemy jej pilnować – podsunęła Rapsodia. – Zabronimy wstępu do biblioteki.

– Przepraszam – wyszeptła Jo.

Wszyscy troje byli zaskoczeni. Tego słowa jeszcze nigdy nie słyszeli z jej ust.

– Więc jak, Achmedzie? Jeszcze jedna szansa?

– Widzę, że zostałem przegłosowany. Dobrze. Ulegam po raz ostatni, ale uważam, że popełniamy błąd. Jesteś nierozważna, Jo, i uparta. To chyba rodzinne cechy. – Zerknął na Rapsodię. – Przypominam, że to twoja ostatnia szansa, Josephine. Nie potrzeba nam w drużynie osoby niegodnej zaufania. Nie będę narażał życia Grunthora, Rapsodii i swojego przez twoją niedojrzałość. Nie jesteś tego warta.

– Wystarczy – powiedziała Pieśniarka. – Ona już zrozumiała.

Achmed popatrzył na nią i dodał po bolgańsku:

– Zapamiętaj moje słowa: jeszcze tego pożałujemy.

– Dziwne, że tak mówi ktoś, kto chce nas wysłać na pewną śmierć w walce z tysiącami bestii – odparowała Rapsodia. Otoczyła ramieniem Jo i zaprowadziła ją do krzesła. – Dobrze się czujesz?

Dziewczyna skinęła głową. Szczęki miała zaciśnięte tak mocno, że drgał jej mięsień na policzku.

– Posiedź tu trochę i trzymaj się z dala od kłopotów.

Achmed może się wydawać surowy, ale chodzi mu o nasze przetrwanie.

– Wiem, że on ma rację – mruknęła Jo. – W tej chwili ciebie nie mogę znieść. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Urażona Rapsodia podeszła do Firbolgów, którzy naradzali się przy stole.

– Krypty są pod spodem – stwierdził Grunthor, pokazując na środek blatu.

– Jak go ruszymy?

– Na razie zajmijmy się czym innym. Spójrzcie.

Achmed położył dłoń na kryształowym kloszu. Tak jak wcześniej, półkula zajaśniała, a na mapie zaczęły pojawiać się błyski. To znikwały, to przygasały, żeby po chwili zapalić się w innym miejscu.

Migające światelka nic nie mówiły Rapsodii, lecz Bolgowie najwyraźniej je rozumieli. Naradzali się półgłosem.

Zerknęła na Jo, która siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i z uporem wbijała wzrok w podłogę. Rapsodia wróciła spojrzeniem do towarzyszy, którzy tymczasem uzgodnili dalsze działania.

– Musimy się rozejrzeć – oznajmił Achmed, wkładając rękawice. – Proponuję, żebyście z Jo czekały w bibliotece i przejrzały manuskrypty. Może któreś okażą się użyteczne. Bolgom nigdy nie udało się otworzyć tych drzwi, więc jeśli zostawimy je lekko uchylone, nawet tego nie zauważą.

– A jeśli zauważą? I znajdziemy się w potrzasku?

– Cóż, ty masz niezły miecz, a dziewczyna aż się rwie do walki. Będziecie musiały jakoś sobie poradzić.

– Twoja troska jest wzruszająca – rzuciła Rapsodia sarkastycznym tonem, oglądając się przez ramię na Jo.

– To nie potrwa długo. Grunthor sprawdził, że drzwi otwierają się od środka, więc jeśli nie wrócimy za dzień lub...

– Cały dzień? Lub nawet dłużej?!

– ...upewnijcie się, że droga wolna, i ruszajcie do Bethe Corbair. Jest tam wielkie targowisko, więc powinniście być szczęśliwe.

– Podły! – warknęła Rapsodia i kątem oka dostrzegła, że Grunthor się uśmiecha.

Olbrzym podszedł do krzesła, na którym siedziała naburmuszona Jo.

– Wytrzymaj nos, panienko, i rozejrzyj się. Może znajdziesz coś, co nam się przyda, he?

– Dobrze – burknęła dziewczyna.

Bolg pogłaskał ją po głowie. Potem uściskał Rapsodię.

– Zobaczymy się wkrótce, księżniczko – powiedział i ruszył za towarzyszem, który bezszelestnie zniknął za drzwiami.

Po starożytnych tunelach niosły się szepty:

– Nocny Człowiek. Zabił Braxa-Oko i Graka-Pazura ogniem z nieba.

– Dał kobiecie Graka miecz. Teraz ona nosi jego dziecko.

Bolgowie rozejrzeli się strachliwie, przeszukując wzrokiem mroczne korytarze.

– Może jest gdzieś blisko. Krew Nocnego Człowieka to ciemność.

– Nocny Człowiek jest Bolgiem. Może bogiem Bolgów.

– Nocny Człowiek przychodzi, żeby rzucić wyzwanie Ognistemu Oku. I Duchowi.

Zapadła cisza. Zbici w ciasną gromadkę mieszkańcy podziemi zaczęli kiwać głowami.

– Poleje się dużo krwi.

Po wyjściu mężczyzn Rapsodia wzięła się za przeszukiwanie biblioteki. Po chwili dołączyła do niej Jo. Zaczęły od map i ksiąg pokładowych trzeciej floty. Pieśniarka czytała je na głos, tłumacząc ze starocymriańskiego.

Potem znalazły drugie drzwi, nie zaryglowane, i po długim namyśle postanowiły je otworzyć, nie czekając na powrót towarzyszy.

Z dużym wysiłkiem pchnęły kamienną płytę i odkryły za nią tunel, który zaprowadził je do jaskiń pełnych zardzewiałej maszynarii, wielkich kół, przekładni i biegnących pionowo rur. Całość z trudem zmieściłaby się na głównym placu Bethe Corbair.

– Jak myślisz, co to jest? – szepnęła Jo.

– Nie jestem pewna, ale chyba część systemu wentylacyjnego – odparła Rapsodia, kartkując rękopis, który znalazła w bibliotece.

Dziewczyna zeszła po kilku kamiennych stopniach i przyjrzała się ogromnym kołom zębatym. Każdy z niezliczonych zębów był dwa razy taki jak jej dłoń.

– Czego?

– O ile się nie mylę, to urządzenie pompowało powietrze do wnętrza góry. Teraz jest nieczynne, co mogłaś stwierdzić po wilgoci panującej w tunelach.

Jo przesunęła wzrok na gigantyczne rury.

– Jak działało?

– Nie wiem. Osiągnięciem, którym Gwylliam najbardziej przechwala się w swoich dziennikach, jest doprowadzenie świeżego powietrza i ciepła do fortecy. Tu była jego główna siedziba, niedostępna dla wrogów, tu miał swoje komnaty, salę tronową, księgozbiór. I część poddanych, bo dzięki wentylacji wewnątrz gór nadawało się do zamieszkania.

– Już się pogubiłam. Sądziłam, że mieszkali tu wszyscy Cymrianie.

– Większość osiedliła się za Przeklętym Wrzosowiskiem, jak nazwał je Gwylliam. To rozległe terytorium, a w dodatku zasłaniają je Zęby. Jak wrócimy, pokażę ci ten manuskrypt.

– Nie ma po co, nie umiem czytać – oznajmiła Jo, przyglądając się groźnej maszynie.

Rapsodia pokiwała głową.

– Tak myślałam. Chętnie cię nauczę. Grunthora też nauczyłam.

– Naprawdę?

Dziewczyna weszła na stopnie wyciosane wzdłuż ścian jaskini.

– Wracajmy – rzuciła pośpiesznie Rapsodia. – Z dalszym zwiedzaniem powinniśmy zaczekać na Achmeda i Grunthora.

Jo westchnęła ciężko, ale posłusznie ruszyła za siostrą do biblioteki.

Minął prawie cały dzień, nim Bolgowie wrócili z rekonesansu. Wyglądali na zadowolonych, choć obaj byli trochę zmęczeni, a Grunthor miał drobną ranę na przedramieniu. Mimo że protestował, Rapsodia przemyła ją i obandażowała.

– Trafiliśmy na paru tubylców w zrujnowanym mieście. A przy okazji, oni mówią na Cymrian „Willum” – relacjonował Achmed przy kolacji.

– Interesujące – stwierdziła Rapsodia. – Przynajmniej ktoś dobrze wspomina starego Gwyllliama.

– Wiedziałem, że ci się to spodoba. Plemiona są rozproszone po całych Zębach i w głębi starego królestwa Cymrian. Natknęliśmy się tylko na kilka z nich.

– Tak, widzieliśmy dużo Oczu i Pazurów, ale żadnych Brzuchów – dodał Grunthor, żując mięso.

– Pazurów i oczu? Brzuchów? O czym ty mówisz?

– Tak nazywają siebie Bolgowie. Pazury to żołnierze, łowcy i maruderzy. To właśnie tych ostatnich każdej wiosny zabijają Rolandczycy. – Oczy to rzecz jasna szpiedzy. Mieszkają na szczytach, skąd mają widok z jednej strony na stopy, z drugiej na wrzosowisko. Są chudzi, słabiej umięśnieni i raczej nie polują, tylko żywią się resztkami.

Brzuchy żyją we wnętrzu góry i w innych ukrytych przed światem częściach królestwa. Niewiele się o nich dowiedziałem z wyjątkiem tego, że budzą w pobratymcach największy strach. Na ogół, trzymają się swojego terenu, ale kiedy wyruszają gdzieś dalej, sieją spustoszenie. Naczelnicy dołączają do imienia nazwę klanu. A przy okazji, mamy własnych Pazurów, niewielkie plemię Nocnych Rozbójników.

– Słucham?

Grunthor uśmiechnął się drapieźnie.

– Tak, ten oto Wielki Wojownik może się poszczycić własną strażą przyboczną.

– Wielki Wojownik?

– To i tak lepiej niż „Nocny Człowiek”, jak nazywali mnie na początku – stwierdził Achmed.

– Nie będę cię tytułować żadnym Wielkim Wojownikiem – burknęła Jo. – Prędzej Wielkim Wieprzem.

Rapsodia ukryła uśmiech.

– Gdzie są teraz ci Nocni Rozbójnicy?

– Związani w jednym z dolnych korytarzy.

Pieśniarka upuściła kromkę chleba.

– Związani? I tak ich zostawiliście? A jak ich napadną inni Bolgowie?

– Możliwe, ale Nocni Rozbójnicy są uważani za najgroźniejszy klan w promieniu dnia marszu. Wątpię, czy jacyś śmiałkowie odważyliby się ryzykować gniew tego, który skrepował ich jak indyki i zostawił w tunelu.

Achmed miał rację. Inne plemiona natykały się na pojmanyh Rozbójników, ale nie próbowały ich atakować ani uwolnić. We czwórkę mogli obserwować rozwój sytuacji na wielkim marmurowym stole nakrytym kopułą. Drak pokazał im, które światelka oznaczają jeńców, a które przemieszczające się klany.

Jo dokonała ważnego odkrycia, co pomogło jej częściowo zrehabilitować się w oczach Achmeda. To ona domyśliła się przeznaczenia aparatury rozmieszczonej wokół stołu i nad nim.

Tuba wisząca z sufitu była częścią systemu akustycznego, za pośrednictwem którego głos mówiącego roznosił się po całej górze albo docierał do określonych miejsc wybranych na mapie. Urządzenie wystające z podłogi służyło z kolei do odbierania dźwięków.

Oba aparaty były połączone ze skomplikowanym układem przewodów i otworów wentylacyjnych, które rozprowadzały świeże powietrze po całej fortecy. W zimie ogrzewano je, przepuszczając przez wielkie kuźnie. Kuźnie teraz stały nieczynne w trzewiach góry. Kiedyś wytapiano w nich ogromne kadzie żelaza, stali i brązu oraz cennych metali, a z nich wykuwano najlepszą na świecie broń i zbroje, a także robiono piękne ozdoby.

Achmed powyjmował z szaf całą kolekcję mieczów i rozłożył je w gabinecie na jednym z długich stołów. Rapsodia zauważyła, że Grunthor wodzi dłońmi po klingach z wyrazem smutku na twarzy. Podeszła do giganta i objęła go ramieniem.

– O czym myślisz? – zapytała.

Grunthor spojrział na nią i uśmiechnął się lekko.

– O niczym, kochanie.

– Tęsknisz za swoim wojskiem?

– Nie. Wkrótce będę miał nowe. Tylko sobie myślałem, że szkoda.

Rapsodia westchnęła. Jej też ścisnęło się serce, gdy widziała, jacy kiedyś byli Cymrianie, ich ziomkowie z Serendair, może nawet potomkowie ich najbliższych. Dzieła rzemieślników, inżynierów, architektów, kreślarzy, budowniczych dróg i skomplikowanych maszyn przeżyły

ich cywilizację. Ludzie mający wspaniałe wizje i zdolność ich urzeczywistnienia odeszli, pokonani przez nienasyconą żądzę władzy.

– Głowa do góry, Grunthorze – powiedziała, siląc się na uśmiech. – Pomyśl o tym, że Gwylliam przewraca się w grobie, bo jego wymyślne urządzenia i broń wkrótce znajdą się w rękach Bolgów, którzy dzięki nim stworzą własną cywilizację.

Olbrzym się zaśmiał.

– Nie sędzę, żeby staruszek przewracał się w grobie, przecież jego ciało tu leży. Ale może gdybyśmy zrzucili je na podłogę, maszyna zaczęłaby działać.

Następnym plemieniem wybranym przez Achmeda byli należący do klanu Oczu Mroczni Krwiopijcy, którzy pod osłoną ciemności zastawiali pułapki na samotnych podróżnych lub najsłabszych Bolgów.

Tym razem cała czwórka zaczęła się w korytarzach i godzinę później Krwiopijcy, w walce zwykle polegający na zaskoczeniu, ponieśli druzgoczącą klęskę. Achmed zyskał lojalnych szpiegów, którzy przy okazji mieli działać jako jego rzecznicy.

– Idźcie tunelami i nieście ostrzeżenie – rozkazał ocalałym Wielki Wojownik. – Przybył nowy król Ylorc. Niech za dziesięć dni, gdy księżyc będzie w pełni, zbiorą się w kanionie. Za trzy dni owieje was mój oddech, chłodny jak zimowy wiatr. Uznajcie to za wezwanie. Następnego dnia mój oddech będzie ciepły. Kto zlekceważy oba wezwania, jedenastego dnia zginie w ogniu buchającym z mojego brzucha.

Bolgowie struchleli.

W głębi Ukrytego Królestwa szaman obudził się w mroku swojej jaskini. Oczy go zapiekły i nawet trochę zaczęły krwawić, kiedy je przetarł. Powoli wracała mu świadomość.

Zdażył usiąść i chwycić się za głowę, zanim nawiedziła go wizja.

W górach pojawił się intruz. Klanowi zwiadowcy szeptali o człowieku, który zlewał się z ciemnością. Lecz do krainy leżącej daleko za Zębami docierały na razie tylko strzępy dziwnych opowieści.

Saltar, nazywany przez Bolgów Ognistym Okiem, położył dłoń na piersi i skupił się mocno, lecz obrazy nadal były niewyraźne. Wydawały się znajome, ale ich nie rozumiał. Postanowił zaczekać, aż staną się bardziej uchwytnie.

– Trzeba było najpierw sprawdzić, czy uda się uruchomić wentylatory, a dopiero potem grozić oddechami – mruknęła Rapsodia.

Siedziała na ramionach Grunthora i usiłowała poruszyć jedną z dźwigni.

Znajdowali się we wnętrzościach systemu wentylacyjnego Gwylliana. Wcześniej przestudowali plany i notatki dające pojęcie o jego działaniu.

Odszukanie poszczególnych fragmentów instalacji na podstawie rysunków okazało się niełatwym zadaniem, które później stało się w dodatku niebezpieczne. Niejeden raz Bolgowie musieli wychodzić na zewnątrz i czyścić wyloty zapchane przez skalny gruz. Wiatr ich smagał, targał ubrania, próbował strącić w przepaść.

Rury wykonano z tego samego osobliwego metalu, który Achmed i Grunthor widzieli w katedrze w Avonderre. Mimo wieków zaniedbania nie dostrzegli na nich śladu rdzy, ale niektóre dźwignie i urządzenia były mocno zniszczone przez czas.

– Nawet jeśli otworzymy ten przewód, całość wcale nie musi działać – ostrzegła Rapsodia. – Maszyna składa się z mnóstwa części, z których wiele się zapiekło lub prawie rozpadło po tylu stuleciach.

Kilka razy musieli ponownie udrażniać przewody.

– To już ostatni – stwierdził Achmed, który razem z Jo oliwił olbrzymią przekładnię. – Jeśli go otworzysz, powietrze dotrze do wszystkich tuneli w Zębach. Nieźle jak na dwa dni pracy.

– Próbujemy – powiedziała Pieśniarka do Grunthora. Olbrzym zdjął ją z ramion, a następnie mocno pociągnął dźwignię. Krata zaczęła się przesuwac z lekkim oporem.

– Świetnie, ale teraz szybko ją zamknij – polecił Achmed. – Jeszcze trochę wstrzymajmy „oddech”.

Rapsodia zacisnęła powieki. Ona już wstrzymywała swój.

Gdy następnego ranka słońce wstało nad szczytami spowitymi gęstą mgłą, we wnętrzu gór rozległ się potworny zgrzyt, jakby ktoś przystawił miecz do szlifierki. Chwilę później przez tunele Canrif pomknął z wyciem lodowaty podmuch i uderzył w Bolgów z siłą wichury.

Rurami poniosły się okrzyki przerażenia. Rapsodia spojrzała na towarzyszy z niepokojem na twarzy.

– Wystarczy, Achmedzie. Dzieci i chorzy zamrzną.

Na znak Draka Grunthor i Jo pchnęli dźwignie, zamykając otwory wentylacyjne. Tymczasem Achmed i Rapsodia popędzili po schodach do tuby głosowej.

– Nie zawsze będzie tak silnie wiać, prawda? – zapytała Pieśniarka, gdy dotarli do biblioteki. – Nie dałoby się mieszkać w Canrif.

– Nie, kiedy system zacznie normalnie działać. Sądzę, że najpierw musi się wyrównać ciśnienie wewnątrz i na zewnątrz góry. A przy okazji, teraz ta kraina nazywa się Ylorc. Na wypadek gdybyś nie zauważyła, epoka Gwylliana skończyła się jakieś tysiąc lat temu.

Gdy stanęli przy marmurowym stole, Rapsodia wzięła do ręki flet. Poprzedniego wieczoru doszli do wniosku, że głos Achmeda, choć niepokojący z powodu zgrzytliwości, nie wyrze dostatecznego wrażenia na słuchaczach. Postanowili zatem wzmocnić efekt.

Pieśniarka zaczęła grać fałszywą melodię, żeby dodać do przemowy Draka wysokie tony, zawrozenie wiatru, krzyki i jęki. Achmed nachylił się do tuby.

– Jutro zrobię wydech. Poczujecie jego ciepło, ale nie spłoniecie. Ci, którzy przyjdą do kanionu, gdy księżyc będzie w pełni, zostaną obywatelami nowego królestwa Ylorc. Wszyscy inni zginą rozdeptani moją stopą.

Jego głos rozszedł się po korytarzach, wypełnił je grzmiącym echem.

– To było przerażające – stwierdziła Rapsodia. – Myślisz, żeśmy ich przekonali?

– Na pewno wielu. Inni przekonają się jutro. Ale niektórzy będą woleli wystąpić przeciwko nowemu władcy niż zadowolić się drugorzędną pozycją.

– Co z nimi zrobisz?

– Powiedzmy, że nie zdążą pożałować swojego sceptycyzmu.

Tchnął na nas, mówili szpiedzy Ognistych Pięści. Lodowatym huczącym wichrem.

Saltar potarł oczy, lecz nie zobaczył wyraźniej. Nie miał daru jasnowidzenia, tylko zdolność dostrzegania rzeczy odległych, ale nieuniknionych.

Huczący wichur. Te słowa wciąż rozbrzmiewały w jego głowie.

Duch zawsze nasłuchiwał wiatru. Może właśnie zbliżało się to, czego przez cały czas oczekiwał.

– Nigdy się nie uda.

– Nie poddawaj się, księżniczko. Spróbuj jeszcze raz. Rapsodia odwróciła się do uśmiechniętego olbrzyma.

– Nie rozumiesz. Te kuźnie są gigantyczne. Nawet przez tydzień nie zgromadzilibyśmy dość paliwa, żeby zaczęły topić lód, nie mówiąc o stali.

– Nie muszą niczego topić – tłumaczył cierpliwie Achmed. – Wystarczy, że ogrzeją powietrze. Widzę, że czar ciepła zaczyna działać. Poza tym, jeśli wrócisz pamięcią do swojego ognistego chrztu i skupisz się należycie, wytworzysz żar, który Bolgowie wezmą za mój oddech.

– Gdyby poczuli twój prawdziwy oddech, poddaliby się w mgnieniu oka – wtrąciła Jo, próbując rozpalić miechami niewielkie ognisko, przygotowane wcześniej przez towarzyszy. – Powinniśmy tu dorzucić trochę cuchnącego drzewa.

Grunthor w zamyśleniu potarł brodę.

– Może to niezły pomysł, panie.

– Nie tym razem, ale dziękuję za propozycję, Jo – powiedział Achmed i rzucił do Pieśniarki: – No dalej, już prawie ranek.

Rapsodia popatrzyła w górę na olbrzymie miechy, zapadłe i pełne dziur. Kuźnie znajdowały się głęboko w trzewiach góry. Prowadziły do nich ciemne, niebezpieczne korytarze. Gdy szli tamtędy, osypywał się na nich gruz. Widok podziemnych warsztatów zapierał dech w piersiach. Do ich obsługi i konserwacji trzeba było tysiąca ludzi pracujących dzień i noc.

Przy hałdzie węgla, wokół której leżały rozrzucone łopaty, kilofy i wiadra do transportowania opału, zobaczyli szkielety robotników schwytych w pułapkę, kiedy górę Gwyllliama zdobyli Firbolgowie. Achmed stwierdził, a Grunthor potwierdził, że zabitymi są rośli mężczyźni o szerokich barach i potężnych klatkach piersiowych – Nainowie. Ich kości użyto jako pierwszego paliwa, a Rapsodia zaśpiewała pieśń żalobną o czterysta lat za późno.

Teraz wzięła głęboki oddech i skupiła się, oczyszczając umysł z wątpliwości, które ją dręczyły, odkąd zaczęli podbój Canrif.

Wezwała ogień płonący w jej duszy i dostroiła się do jego tonacji. Nuciała z otwartymi ustami, aż muzyka wypełniła olbrzymią pieczarę. Płomienie z rykiem obudziły się do życia, oświetliły jej twarz. Rozgrzany materiał koszuliomal się zapalił.

Jak przez mgłę usłyszała pokrzykiwania Grunthora i Jo, którzy zaczęli dać w dziurawe miechy. Ich skrzyknięcie dołączyło do kakofonii dźwięków wypełniających wnętrze góry.

Rapsodia odcięła się od zewnętrznych hałasów i skoncentrowała na palenisku. Huk ognia wkrótce zagłuszył wszelkie odgłosy.

Rozproszył ją zgrzyt krat. Zachwiała się, ale podtrzymały ją silne ręce, chroniąc przed wpadnięciem do piekielnej otchłani. Znowu rozległy się okrzyki towarzyszy, lecz tym razem brzmiało w nich podniecenie.

– Wystarczy. Zamknij przewody – polecił Achmed Grunthorowi. – Nie chcemy, żeby przyzwyczaili się do ciepła. Nie teraz. Jeszcze przez kilka tygodni będzie zima. – Poklepał Rapsodię po ramieniu. – Udało ci się.

Pieśniarka skinęła głową, łapiąc oddech.

– Tak. Może kiedyś mi wybaczą. Nie jestem pewna, czy sama sobie wybaczę.

Gurn bał się Nocnego Człowieka bardziej niż Hraggle'a, choć ten stał przed nim. Naczelnik klanu Krwawych Kłów rządził twardą ręką. Przeżył najazdy żołnierzy z Rolandii i miał nawet złamany miecz jako trofeum. Był najpotężniejszym Bolgiem na zachodniej turni, zwanej Griwen. Nie przestraszył się Nocnego Człowieka, nawet kiedy z wnętrza ziemi dotarł jego głos i oddech.

Gurn gotował się teraz z bezsilnej wściekłości, bo Hraggle rabował zapasy, które miały wystarczyć dla całego rodu na zimowe miesiące, kiedy trudno coś upolować.

Pozostali członkowie klanu Krwawych Kłów też łypali spode łba na Hraggle'a, który najpierw groził kobiecie Gurna, a teraz trzymał pod pachą ich wrzeszczącego syna. Gurn odciągnął przerażoną matkę. Wiedział, że naczelnik zadowoli się żywnością i zostawi dzieciaka, chyba że będzie chciał okazać wyjątkowe okrucieństwo.

Nagle Hraggle puścił chłopca, chwycił się za gardło i znieruchomiał. Wąska czerwona kreska przecinająca jego szyję błyskawicznie się powiększała. Po chwili padł bez życia na ziemię.

Za trupem Gurn dostrzegł błyszczące oczy i niewyraźną sylwetkę zlewającą się z ciemnością.

– Jutro. – Suchy głos zabrzmiał jak głos samej śmierci.

Postać rozplynęła się w mroku. Członkowie klanu jeszcze długo wpatrywali się w głąb tunelu.

Dziesiątego dnia o świcie Firbolgowie zaczęli się gromadzić na skalnych występach. Achmed nie określił dokładnie czasu spotkania, więc schodzili się przez cały dzień: Oczy, Pazury i Brzuchy, plemiona z gór, które stanowiły barierę broniącą dostępu do krainy Bolgów.

Zza kanionu, który oddzielał ich ziemie od Canrif, zgromadzenie obserwowały plemiona i klany zamieszkujące Wrzosowisko i Ukryte Królestwo. Ich ciekawość była uzasadniona.

Firbolgowie wiedzieli, że to kwestia czasu, kiedy nowy władca również do nich skieruje wezwanie.

Gdy zachodzące słońce dotknęło najwyższych turni, w tłumie zapadła cisza. Przez cały dzień panowała wrzawa, dochodziło do kłótni o najlepsze miejsca. Niepewność, kiedy zjawi się król, jeszcze potęgowała napięcie.

Cisza była wymuszona; Rapsodia stanęła u wylotu tunelu prowadzącego na półkę, z której Achmed zamierzał przemówić, i zaczęła szeptać jej nazwę. Słowo poszybowało ku wierzchołkom, odbiło się echem od skalnych ścian, uciszyło harmider panujący w dole. Achmed uśmiechnął się zadowolony. Wyglądało na to, że przybyli prawie wszyscy Bolgowie.

W oczu rzuciła się nieobecność Górskich Oczu, najbardziej krwiożerczych mieszkańców gór. Grunthor przewidywał, że wycofają się w głąb Ukrytego Królestwa, poczekają, aż zapanuje pokój, i dopiero wtedy zaatakują. Jego domysł okazał się słuszny. Nie pojawił się żaden członek klanu.

Achmed powiódł wzrokiem po tłumach. Z urwisk, półek i skał spoglądało na niego trzydzieści tysięcy ludzi. Część zebrała się u podnóża góry, na dnie rozpadliny, której ściany sięgały na wysokość tysiąca łokci.

Na ten widok ogarnął go niepokój, jak przed wejściem do gniazda skorpionów. Zewsząd patrzyli na niego przedstawiciele bardzo starej rasy prawie ludzi z domieszką krwi wszelkich ludów, z którymi kiedykolwiek mieli styczność.

Było w nich osobliwe piękno, a deformacje, budzące w innych grozę, służyły przetrwaniu. W całym świecie nie widział populacji równie łatwo przystosowującej się do otoczenia. Adaptowali się do każdych warunków, mogli żyć wszędzie.

Poczuł się jak w stadzie wilków. Był jednym z nich. Naczelnicy plemion siedzieli na najwyższych wzniesieniach, żeby lepiej widzieć, jak tracą władzę.

Wszyscy obecni nosili na twarzach lub rękach znaki klanowe. Krwawe Pazury, Kły, Niewidzialni Łowcy i inni mieli wypalone na skórze swoje pochodzenie. Za ubrania i jednocześnie broje służyły im pozszywane skóry. Nawet młodzi większą wagę przykładali do bezpieczeństwa niż wyglądu czy komfortu, choć było ono raczej iluzoryczne. Prymitywne stroje nie chroniły nawet przed wiatrem.

W pewnym momencie usłyszał, że stojąca za nim Pieśniarka gwałtownie wciąga powietrze, i od razu zrozumiał dlaczego. Dzieci ustawiono z przodu, na krawędziach występów, jakby przygotowano je na ofiary. Rapsodia przygryzła wargę, ale po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Achmed poszedł za jej wzrokiem, ciekawy, co spowodowało nagłą zmianę. Nie był zaskoczony, kiedy stwierdził, że Pieśniarka; uśmiecha się do malców, szczerzących się do niej paskudnie. Mimo wszystko lubił w niej tę słabość do dzieci, choć czasami mogła sprowadzić na nich kłopoty.

Zobaczył, że Grunthor jest już na miejscu.

Wziął głęboki oddech. Od momentu wezwania przez sześć dni ćwiczył z Rapsodią przemowę do nowych poddanych. Skomponowana jak symfonia, z uwerturą i poszczególnymi częściami, prawie od początku narastała ku grzmiącemu finałowi. Połączywszy jego wycucie rytmów języka bolgańskiego z jej talentami muzycznymi, stworzyli apel, który miał zapobiec krwawemu powstaniu. Spojrzał na czekających Firbolgów.

– Jestem waszym nowym królem. Mieszkacie we wnętrzu góry, a teraz ja nią rządę, wkrótce zaś podporządkuję sobie Wrzosowisko, kanion i Ukryte Królestwo. Ylorc stanie się potężne jak nigdy przedtem. Nie będziemy dłużej żyć pod butem Rolandii.

Ryk, który wyrwał się z niezliczonych gardeł, rozbrzmiał w kanionie, odbił się echem od zboczy, przetoczył nad Wrzosowiskiem, dotarł do najdalszych zakątków gór. Tu i ówdzie z urwisk posypały się kamienie, wzbił się kurz.

Achmed uśmiechnął się do siebie. Uwerturę wykonał dobrze. Teraz przyszała pora na pierwszą część, która miała wzmocnić echa niosące się po wąwozie.

– Jesteście tylko odpryskami złamanej kości, która sprawia wam ból, kiedy idziecie. Przyłączcie się do mnie, a razem utworzymy kroczącą górę. Nie będę takim władcą jak mój poprzednik ani jednym z dawnych wielkich wojowników. Obudzimy Ylorc do życia, a wrogowie przyjdą tu na naszych warunkach. Czy ktoś odmawia mi korony?

Wiedział, w którą stronę patrzeć. Przez całe popołudnie podsłuchiwali, o czym rozmawiają Bolgowie. Niejaki Janthir Łamacz Kości, naczelnik Pazurów, który twierdził, że pochodzi z rodu Gwyllliama, uważał się za imperatora Zębów. Wiele klanów znało dobrze jego imię, słyszało o jego okrucieństwie i żądzy władzy. Należało oczekiwać, że kwestią honoru będzie dla niego przeciwstawienie się samozwańcowi.

Janthir wybrał sobie dobrze osłonięte miejsce między dwoma potężnymi głazami, żeby w razie czego uskoczyć przed gradem strzał. Słyszając wyzwanie, dobył ciężkiego antycznego miecza i z dzikim wrzaskiem wyskoczył zza skał. Uniósł broń nad głowę. Klinga zaślniła w blasku ognisk rozpalonych w kanionie.

– Ja jestem królem Zębów! I wyduszę z ciebie ognisty albo lodowaty oddech, uzurpatorze! Jeszcze tej nocy połknę twoje oczy!

Uwaga zebranych przeniosła się na pretendenta o dużo mniej imponującej posturze. Zgodnie ze zwyczajem teraz była jego kolej na chełpliwe pogroźki.

Achmed uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Masz silne barki. Jeśli okażesz się coś wart, może wezmę cię na naczelnika. Twoje terytorium już zająłem. Przysięgnij mi lojalność, a pozwolę ci odwołać groźbę.

Odpowiedział mu ryk wściekłości. Stek obelg wzbił się ku turniom i nocnemu niebu. Drak wyczuł, że stojąca za nim w cieniu Rapsodia drży.

– Jak chcesz – powiedział cierpliwie, ze spokojem. – Dałem ci szansę, ale nawet ja nie potrafię uchronić głupca przed samym sobą. Powiedziałem ci, że ja rządę tą górą, a ona mnie słucha. Przekonaj się, że mówię prawdę.

Bolgowie zamarli, kiedy jeden z dwóch potężnych głazów wstał, wyrwał ciężki miecz z ręki oniemiałego Janthira i zadał straszliwy cios. Nim zbiorowe westchnienie przeszło w zduszony okrzyk, głowa Łamacza Kości potoczyła się ze skalnego występu w przepaść. Olbrzym, który go zabił, cisnął broń do kanionu i wrócił na swoje miejsce. Całe wydarzenie trwało ledwie chwilę.

Achmed odczekał stosowny moment i ponownie zwrócił się do zgromadzonych.

– Kto jeszcze chce rzucić mi wyzwanie?

Ciszę przerywało jedynie zawodzenie wiatru i trzask płomieni licznych ognisk.

– Dobrze. W takim razie słuchajcie uważnie. Oto co zrobicie. Każdy klan przyśle mi pięciu najlepszych wojowników i po jednym dziecku razem z matką. Wybrańcy zostaną naczelnikami i członkami doborowej gwardii, otrzymają moje błogosławieństwo i wyszkolenie lepsze niż żołnierze Rolandii. Dzieci, które pomyślnie przejdą sprawdzian, dostaną prezent. Zastanówcie się dobrze, ale nie zwlekajcie. Macie trzy dni. Kto mnie nie posłucha, niech się strzeże. Zostanie odcięty jak chora kończyzna, a jego plemię wypalone niczym kikut... ogniem.

Achmed przez długą chwilę z lekkim uśmiechem patrzył na zmartwiałych Bolgów, po czym odwrócił się i zniknął w tunelu. Po drodze wziął za ramię roztrzęsioną Rapsodię i poprowadził ją w głąb Canrif.

– Może nie była to najpotworniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam, ale na pewno niewiele jej brakuje do tego miana.

Grunthor zrobił urażoną minę.

– O czym ty mówisz? Wszystko poszło świetnie. Nie polała się krew, a Bolgowie właśnie wybierają dowódców. Rano możemy zacząć szkolenie. Co znaczy określenie „najpotworniejsza”?

– Janthir chyba nie zgodziłby się z twoim stwierdzeniem, że nie polała się krew – powiedziała Rapsodia, która razem z Jo zwijała bandaże i szykowała zestawy pierwszej pomocy.

– Możliwe, ale nie sądzę, by dobrze go było słyszeć z dna kanionu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie pozwoliliście mi pójść ze sobą – poskarżyła się Jo. – Zdaje się, że była niezła zabawa.

Rapsodia już miała jej odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Achmed i Grunthor cieszyli się ze zwycięstwa. Nie chciała psuć im nastroju.

– Kiedy zajmiemy Wrzosowisko?

Drak podniósł wzrok znad mapy.

– Za dwa tygodnie będziemy gotowi do przejścia Wrzosowiska i graniczącej z nim części Ukrytego Królestwa. W samą porę, żeby stworzyć jednolity front przed Wiosennym Czystzeniem. Doświadczenie, jakiego przy okazji nabierze armia, ułatwi nam przyłączenie ostatnich terytoriów.

Rapsodia tylko pokiwała głową.

Saltar zamknął piekące oczy, kiedy poczuł na twarzy i ramionach chłodną mgłę. Odkąd usłyszał o nowym królu i zgromadzeniu w kanionie pod Wrzosowiskiem, wiedział, że Duch wreszcie się zjawi.

Co widzisz?

Głos jak zawsze wdarł się do jego umysłu niczym intruz.

– Jeszcze nic. Obraz nadal jest zamazany.

Skup się. Poszukaj na wietrze tego, który chodzi między prądami powietrza.

Saltar zacisnął powieki i położył dłoń na piersi, ale obraz nie stał się wyraźniejszy.

– Nic. Ale on przyjdzie.

– Nie otwieraj oczu. Jesteśmy prawie na miejscu.

Podniecenie w głosie Draka, tak do niego niepodobne, sprawiło, że rzuciła wszystkie zajęcia i poszła zobaczyć jego najnowsze odkrycie. Nie mogła jednak odpędzić dręczącej myśli, że rano zjawią się rekruci, a oni jeszcze nie są gotowi na ich przyjęcie.

– Robię to po raz ostatni, Achmedzie – uprzedziła, ostrożnie stąpając po nierównej posadzce. W głowie jej wirowało. Wnętrze fortecy Gwyllliama przywoływało za dużo wspomnień z korzenia Wielkiego Drzewa. – Muszę przygotować kwatery.

Drak się zaśmiał.

– Dobrze, jeśli nie chcesz zobaczyć wielkiej sali, możemy wra...

– Znalazłeś wielką salę?! – wykrzyknęła, otwierając oczy.

– I może coś jeszcze, ale skoro musisz...

Złapała go za rękę.

– Pokaż mi ją. Reszta może zaczekać.

– Tak przypuszczałem. Chodźmy.

Rapsodia niemal zaczęła biec. Coraz wyższy i szerszy tunel doprowadził ich do dużego przedpokoju, na którego marmurowych ścianach zachowały się fragmenty złocien.

Achmed zatrzymał się przed wielkimi podwójnymi drzwiami z kutego złota, a raczej przed tym, co z nich zostało. Połowa, która nadal tkwiła we framudze, była prawie wbita w ścianę, niczym przez silny podmuch wichru. Drugiej części brakowało.

– Wielka sala – oznajmił Drak, wykonując ręką obszerny gest.

Rapsodia przekroczyła zwał pokruszonego bazaltu i ujrzała okrągłą komnatę o rozmiarach proporcjonalnych do reszty Canrif. Wzdłuż białych kamiennych ścian stały kolumny z czarnego marmuru o niebieskawym odcieniu. Kopulaste sklepienie, popękane i łuszczące się z farby, miało kolor nieba. Osadzono w nim tafle przezroczystego szkła, przez które wpadało do wnętrza dzienne światło. Rapsodia dostrzegła w górze skrawek prawdziwego nieba i zarys gór. Domyśliła się, że pomieszczenie wykuto w skale, blisko wierzchołka jednej z turni.

Podłogę, teraz zasłaną gruzem, wyłożono płytami kolorowego marmuru, tworząc obrazy planety, słońca, księżycy i dużej gwiazdy. Rapsodię przebiegł dreszcz. To była Seren.

– Aria – wyszeptała.

„Jeśli potrafisz odszukać na niebie swoją gwiazdę, nigdy się nie zgubisz, nigdy” – przypomniała sobie słowa matki. Przelknęła łzy. Ktoś silną dłonią chwycił ją za ramię.

– Co się stało?

Potrząsnęła głową i zrobiła krok w głąb sali. W jej drugim końcu, na podwyższeniu, stały dwa trony z takiego samego gładkiego marmuru jak kolumny. Poręcze i oparcia były złocone, na siedziskach leżały stare poduszki pokryte warstwą kurzu, gruzu i farby sypiącej się z sufitu.

Pośrodku symbolu Seren, w miejscu gdzie kiedyś znajdowały się małe drzwiczki, ziała dziura. Rapsodia schyliła się i zajrzała w otwór. Zobaczyła długi, głęboki walec z kratą na dnie. Sądząc po wyglądzie, niegdyś często płonął w nim ogień. Na kracie leżały odłamki szkła; reszta dawno się stopiła. Po umieszczonych nad nią lustrach zostało kilka okrągłych metalowych ram.

– Widziałam rysunki w bibliotece. To urządzenie wynalazł Gwylliam, żeby ogrzać podłogę wielkiej sali. Jednocześnie blask ognia odbijał się od sufitu, co dawało złudzenie wschodów słońca, zmieniających się w ciągu dnia kolorów nieba i zachodów, kiedy płomienie gasły z nadejściem nocy. Sklepienie kazał wyłożyć kryształami, żeby przypominały gwiazdy. Podobno migotały, kiedy padały na nie ostatnie promienie światła. Efekty zależały od obrotu Ziemi. Chciałabym to zobaczyć.

– Zobaczysz – powiedział Achmed. – Muszę zajrzeć do tego rękopisu, kiedy wrócimy. Była w nim jakaś wzmianka o kolumnach? Jest ich po jednej na każdą godzinę dnia.

Rapsodia pokiwała głową i otrzepała kurz z rąk.

– Bezpośrednio nad tą częścią Canrif powinno się znajdować obserwatorium astronomiczne. W wierzchołku którejś z najwyższych turni urządzono pokój z niedużym teleskopem. Wchodziło się do niego z jakiegoś pomieszczenia na tyłach wielkiej sali. – Wskazała drzwi za dwiema kolumnami.

– Jeśli kiedyś była tam klatka schodowa, teraz zostało z niej rumowisko – stwierdził Achmed. – Musimy umieścić ją na naszej liście rzeczy do odbudowania.

Podszedł do tronów, omijając największe sterty gruzu. Rapsodia ruszyła w jego ślady. Gdy nastąpiła na marmurowe słońce, w sali nagle zrobiło się ciepło. Poczowała lekki zawrót głowy.

– Achmedzie! – zawołała, ale z jej gardła wydobył się słaby szept.

Drak nie usłyszał. Stał odwrócony do niej plecami.

Pokój się zakołysał, a po skórze przeszło jej mrowienie. Fizyczne doznanie całkowicie ją zaskoczyło, zupełnie nie miało sensu. To była żądza.

Czyjeś dłonie objęły ją w talii, po czym wolno zaczęły sunąć w górę ku piersiom.

– Achmedzie! Pomocy!

Słyszała własny głos, jakby dobiegał z daleka.

Świat pociemniał, zrobiło się jeszcze cieplej. Nagle stwierdziła, że osuwa się na podłogę, podtrzymywana przez niewidzialne ręce. Powietrze zamknęło się wokół niej, natarczywie pieszcząc ciało. Czuła, że coś zadziera jej koszulę. Usiłowała walczyć, wrócić do terażniejszości, ale była to przegrana bitwa.

Choć umysł protestował przeciwko łamaniu woli, zwyciężyła potężniejsza siła, związana z wiedzą o Czasie. Oszołomiona Rapsodia uległa emocjom osoby, której historię przeżywała na nowo. Ogarnęła ją namiętność, silne pożądanie, a chwilę później gniew, wręcz dzika furia. Wizja zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Pieśniarka oprzytomniała. Nad nią stał Achmed.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, wyciągając rękę.

Pomógł jej wstać.

– Mam tego dość – stwierdziła, otrzepując się z kurzu i poprawiając włosy. Koszula była wetknięta w spodnie. – Wolę nie poznawać przeszłości aż tak dokładnie, dziękuję.

– Co widziałaś?

Rumieniec na twarzy Rapsodii przybrał ciemniejszą barwę.

– Nic. Raczej czułam.

– Co? To może być ważne. – Drak powoli tracił cierpliwość.

– Prawdopodobnie właśnie tutaj Gwylliam i Anwyn... hm, konsumowali swój związek.

Achmed się zaśmiał.

– Szczęściara.

– Słucham?! – Zakłopotanie przerodziło się we wściekłość.

– Ciesz się, że nie ma tu Grunthora. Jeszcze długo musiałybyś wysłuchiwać komentarzy, choć za każdym razem innych.

– Pewnie tak. Czy to znaczy, że nie wspomnisz ani słowem o mojej przygodzie?

– Może. Pójdziemy teraz do sypialni?

Rapsodia w pierwszym odruchu zacisnęła pięści, ale szybko się zreflektowała.

– Czyżbyś znalazł królewskie komnaty?

– Tak.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Dobrze, lepiej stąd chodźmy. Anwyn i Gwylliam strasznie długo byli małżeństwem. Wolałabym nie przebywać w miejscu, gdzie spotykali się po odprawieniu wszystkich dworzan.

– Zdaje się, że sypialnia Gwylliana i Anwyn jest miejscem, gdzie nie grożą ci przeżycia takie jak w wielkiej sali.

Rapsodia musiała przyznać rację Achmedowi. Komnata, odpowiadająca proporcjami reszcie Canrif, została podzielona na dwa pokoje, oba wystawnie urządzone, ale nieprzytulne.

W jednej części wyciosano w skale ozdobny kominek z półką. Świetliki i znajdujące się nad nimi łukowate okno, z takimi samymi grubymi szybami jak otwory w suficie wielkiej sali, wychodziły na stopy ciągnące się aż do równiny Krevensfield.

Kamienny relief nad kominkiem przedstawiał herb rodowy. Na pierwszym planie lew i gryf stały naprzeciwko siebie na tylnych łapach, a nad ich głowami świeciła gwiazda. W tle

widniała Ziemia, którą na wylot przewiercały korzenie dębu. Rapsodia od razu go poznała. Identyeczny znak był wybity na wszystkich sereńskich monetach.

– Nic dziwnego, że nie mogli ze sobą wytrzymać – stwierdziła.

– Tak? Dlaczego?

Wskazała płaskorzeźbę.

– Umieszczenie symbolu dawnej władzy na wprost małżeńskiego łoża świadczy, że Gwylliam nie darzył zbyt szacunkiem dziedzictwa Anwyn. I niezbyt mu zależało na jej dobrym samopoczuciu.

– Nad kominkiem w sąsiednim pokoju jest jej herb, smok na krawędzi świata.

– Tak czy inaczej, gdyby dzielili łożo, któreś z nich musiałoby patrzeć na dowód przewagi współmałżonka. Prawdopodobnie więc nie sypiali ze sobą. Gdybym była zazdrosną półsmoczyką i nie czuła się zbyt dobrze w ludzkiej postaci, nie chciałabym co noc leżeć pod spoconym Gwylliamem i jednocześnie podziwiać jego herbu, zwłaszcza gdybym miała świadomość, że nie należę do tego rodu.

Achmed uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Dobrze, że doświadczenia z przeszłości nie wpłynęły na twoją postawę wobec uciech cielesnych, Rapsodio – rzucił sarkastycznie.

– Sądzisz, że łóżko rozpadło się ze starości? – zapytała, ignorując jego uwagę.

Patrzyła na kupkę zbutwiałych tkanin, które dawno temu chyba były pościelą, oraz na leżącą obok niej płytę, identyczną jak wezgłowie, z takiego samego czarnego marmuru o niebieskawym odcieniu i srebrnym żyłkowaniu jak kolumny w wielkiej sali.

Drak się zaśmiał.

– Pewnie tak, skoro uważasz, że jest mało prawdopodobne, by stanęło w ogniu podczas miłosnych zmagania. Dlaczego pytasz?

Pieśniarka nie odpowiedziała, tylko zaczęła nucić jak zawsze, kiedy usiłowała się skupić. Po chwili spojrziała na towarzysza.

– Czujesz coś dziwnego?

Po chwili koncentracji Drak potrząsnął głową.

– Nie. A co ty odbierasz?

Rapsodia opuściła wzrok.

– Myślę, że to krew.

Po twarzy Achmeda przemknął ponury wyraz, ale głos się nie zmienił.

– Nic nie czuję.

– Chcesz, żebym spróbowała? W takim razie ustalmy, że jeśli zaczniesz dziać się coś niedobrego i nie będę mogła wyjść z transu, przystąpisz do działania.

– Mogę cię stąd wynieść, ale nie jestem pewny, czy to pomoże.

– Lepiej mnie wywlecz. Wiesz, jak nienawidzę być noszona.

– Dobrze.

Rapsodia zamknęła oczy i zaintonowała tę samą melodię, którą nuciła w muzeum cymriańskim, kiedy chciała się czegoś dowiedzieć o właścicielu pierścienia. Po chwili w jej umyśle uformował się obraz: na łożu leżał mężczyzna z wykręconą szyją, obok niego siedział z twarzą ukrytą w dłoniach siwobrody człowiek w złotej szacie.

Wtedy zaczęła odbierać silne emocje: ból, gniew, poczucie winy, osamotnienia i zdrady. Oblał ją zimny pot. Serce dudniło głucho w klatce piersiowej, ledwo mogła oddychać z żalu. Czym prędzej otworzyła oczy.

– Musimy stąd wyjść. Nie wiem, co tu się wydarzyło, ale nic dziwnego, że wszędzie panuje atmosfera rozkładu. Gwałtowny, namiętny seks na podłodze wielkiej sali, śmierć w królewskim łożu, trup króla w bibliotece... Ci ludzie byli potworami. To nie Firbolgowie doprowadzili Canrif do upadku, lecz Cymrianie.

Achmed się roześmiał.

– Tyle mogłem ci od razu powiedzieć. Ale chce, żebyś zobaczyła jeszcze coś, zanim sobie pójdziemy.

W komnacie Anwyn, równie ogromnej i pustej jak sypialnia Gwyllliama, wezgielnie było wykute ze złota i przytwierdzone do ściany. Drugiej płyty brakowało. Pewnie zrabowali ją najeźdźcy po ucieczce Cymrian. Z półki nad kominkiem zeszło prawie całe złocenie.

Rapsodia popatrzyła na kamienny relief z siedzącym na krawędzi świata smokiem o przerażających oczach i nagle poczuła ogromną tęsknotę za domem, rodziną i dawnym życiem. Co ja tutaj robię? – myślała z rozpaczą. Gdybym wiedziała, że trafię do tego miejsca nawiedzanego przez koszmary, wolałabym oddać się Michaelowi, zamiast opuszczać Serendair.

– Przestań się nad sobą uzalać – powiedział Achmed.

Dłoń trzymał na klamce następnych drzwi.

– Co? Skąd wiedziałeś, o czym myślę?

– Za każdym razem masz tę samą nieszczęśliwą minę. Odkąd przeszłaś przez ogień, można cię przejrzeć na wylot. Choć prawdę mówiąc, zawsze tak było. Spójrz na to.

Gdy podeszła do drzwi, jej oczom ukazał się pokój, jakiego jeszcze nigdy nie widziała.

Podłoga była wyłożona małymi płytkami niebieskiego marmuru. Na wprost wejścia znajdowało się ogromne sześciokątne naczynie, podobne do basenu fontanny, do którego biegły po ścianie skorodowane rury zakończone rynienką.

Obok stał osobliwy marmurowy tron, również połączony z rurami. Wysokie proste oparcie było zrobione z tego samego lśniącego metalu co system wentylacyjny. Z góry zwisał łańcuch. Po siedzisku została jedynie dziura, a u podstawy krzesła otwierał się wąski tunel, nie większy od lisiej nory, i kawałek dalej zniknął w ścianie.

– Dziwne – mruknęła Rapsodia. – Do czego, u licha, potrzebowali takich urządzeń?

– Jak sądzisz, co to za pomieszczenie? – zapytał Achmed, skrywając uśmiech.

– Nie wiem. Widzę tu jakąś fontannę i tron, chyba niezbyt wygodny.

Drak wybuchnął śmiechem.

– Skorzystaj ze swoich umiejętności. Może odkryjesz, do czego to służyło.

– Dobrze.

Rapsodia zamknęła oczy i odnalazła właściwą tonację. Chwilę później zrobiła się czerwona jak piwonia.

– O bogowie! Ależ jestem głupia! Nie wiedziałam, że takie rzeczy buduje się w domach.

– Nie wstydź się. Sądząc po tym, czego do tej pory dowiedzieliśmy się o tych ludziach, taki tron byłby dla nich najwłaściwszy. Zapewne już się domyśliłaś, że ten zbiornik to wanna.

Rapsodia wzruszyła ramionami.

– Zawsze kąpałam się w metalowej balii przy kominku, w strumieniu albo w publicznych łaźniach. Nigdy nie widziałam tak dużej wanny, w dodatku sześciokątnej.

– Cóż, Gwylliam miał skłonność do przesady. Gdy coś mu się podobało, na przykład głupie powitanie czy forma sześciokąta, wykorzystywał je wszędzie, gdzie się dało. Im więcej dowiaduję się o Cymrianach, tym mniej mi imponują.

Rapsodia pociągnęła za łańcuch. Do sedesu wpadły suche płatki rdzy.

– Kiedyś leciała tu woda?

– Tak, i znowu będzie, gdy tylko rozpracuję system kanalizacyjny. Na razie ta sprawa nie jest najważniejsza. Zbiorniki są pełne, więc mamy co pić. Reszta musi poczekać, aż opanujemy wszystkie terytoria i wiosną rozprawimy się z Rolandią.

Oczy mu błyszczały jak zawsze, kiedy mówił o planach na przyszłość. Czuło się, że Achmed ma dalekosiężne cele i wielkie ambicje. Wyglądało na to, że już znalazł sobie miejsce w życiu, drugi dom.

Jakże mu zazdrościła.

Następnego dnia stawili się Bolgowie z Zębów, członkowie prawie siedmiuset klanów, ponad cztery tysiące łowców i dzieci. Jedne drżały ze strachu, inne z podniecenia. Wraz z nimi przybyło wielu ochotników, ciekawych nowego pana.

Achmed wskazał tłum, który wypełnił ogromny dziedziniec twierdzy.

– Popatrz na nich. Oto mężczyźni i kobiety, z pomocą których odbudujemy Ylorc. W pewnym sensie ich osiągnięcie będzie jeszcze bardziej wiekopomne niż dzieło Cymrian.

Rapsodia spojrzała na morze rozgorączkowanych twarzy.

– Ostrożnie, Achmedzie, zaczynasz mówić jak Gwylliam.

Drak zmierzył ją wzrokiem.

– Mylisz się. Wprawdzie obaj wzięliśmy na siebie rolę rzemieślnika, lecz różnica polega na tym, że on widział cel w oszlifowaniu kamienia, a ja chce użyć kamienia, żeby zaostrzyć narzędzie.

– Przykro mi, ale nie rozumiem twojej przenośni.

Oczy Achmeda rozbłysły.

– Dla Gwylliamia celem samym w sobie było zbudowanie Canrif, ujarzmienie wrogiej góry dla własnego kaprysu. Robotnicy mieli jedynie pracować, żeby urzeczywistnić jego wizję. Służyli jako narzędzia wygładzające skałę. Moim celem jest nie tyle odbudowanie miasta, ile stworzenie narodu. Bolgowie są stępioną klingą, którą trzeba naostrzyć. Kamieniem szlifierskim będzie ta górską forteca. Dzięki niej nauczą się wspólnie działać, walczyć i budować. Zjednoczą się i dokonają postępu. Zależy mi na ostrzejszej broni, a nie gładszym kamieniu.

Z oczu Rapsodia zniknął sceptycyzm, a pojawił się szczery podziw.

– Ciekawy wywód. Tym bardziej że niezależnie od intencji kamień zyskuje kształt, a jednocześnie broń staje się ostrzejsza.

– Tak.

Rapsodia przeniosła wzrok na stłoczonych w dole Bolgów. Teraz wydali się jej większymi szczęściarzami niż przed chwilą.

– Chyba w porę się zjawiłeś. Może historia nadała tytuł Wizjonera niewłaściwemu człowiekowi.

Achmed się zaśmiał.

– To się okaże. Chodźmy. Trzeba brać się do pracy.

Dzieci i matki od razu przekazano pod opiekę Rapsodii. Wojowników zaprowadzono do starych koszar gwardii. Po kilku miesiącach szkolenia mieli stać się waleczną armią pod dowództwem Grunthora.

Olbrzym najwyraźniej tęsknił za swoim dawnym zajęciem, bo z radością przyjął na siebie nowe obowiązki. Rapsodię nieraz budził tupot maszerujących oddziałów i wyśpiewywane na całe gardło sprośne piosenki żołnierskie. Grzmiący bas Grunthora, któremu odpowiadał ochryply rechot nowego wojska Firbolgów, przydawał surrealizmu koszmarnej egzystencji w Ylorc.

Na prośbę Pieśniarki Achmed zamknął korytarze wokół wielkiej sali oraz pokojów, które Gwylliam przeznaczył dla swojego dworu. Rapsodia i Jo dostały sypialnie naprzeciwko siebie, niedaleko komnat nowego króla, dzień i noc strzeżonych przez najbardziej rozgarniętych i godnych zaufania rekrutów Grunthora. On sam również miał tam swoją kwaterę, ale postanowił zamieszkać w koszarach. Drak wydawał się zadowolony z tempa i rezultatów szkolenia.

Fortecy nadał nową nazwę Kocioł, głównie ze względu na znowu działające kuźnie. Do podtrzymywania ognia w ogromnym piecu wyznaczył tysiąc Bolgów, ponieważ za bardzo ważne zadanie uznał wyrób mieczy. Broń nie tylko miała służyć żołnierzom do ćwiczeń, ale w przyszłości stać się źródłem dochodów nowego państwa. Sam miał duży talent konstruktorski. Już wcześniej wynalazł cwellan i tak przerobił arsenał swój i Grunthora, że razem stanowili zespół nie do pokonania.

W pokoju narad ustawił cztery duże tablice z rozpiętego na ramach brezentu i napisał na nich: „Broń”, „Klany (nie zjednoczone)”, „Infrastruktura”, „Inne sprawy”.

– Niektóre klany z Wrzosowiska i z obrzeży Ukrytego Królestwa już się do nas zgłosiły z własnej woli – oznajmił, skreślając z listy ich nazwy.

– Nie spodziewam się żadnych kłopotów ze zwerbowaniem pozostałych, gdy tylko moje wojsko będzie miało okazję z nimi porozmawiać – dodał Grunthor.

Rapsodia zadrżała. Entuzjazm oraz liczebność armii rosły z każdym dniem.

Achmed pokiwał głową.

– Razem to będzie jakieś siedemdziesiąt procent ludności. Po Wiosennym Czyszczeniu zajmujemy się resztą Ukrytego Królestwa i Górskimi Oczami.

– Kiedy będę mogła obejrzeć winnice? – zapytała Rapsodia, przeglądając notatki. – Im prędzej, tym lepiej.

– Grunthor powinien oczyścić ten region... to znaczy przyłączyć, zanim wyruszysz z misją dyplomatyczną do Bethany.

Olbrzym spochmurniał.

– Nadal nie podoba mi się pomysł, żebyś tam jechała, księżniczko, zwłaszcza sama.

Rapsodia uśmiechnęła się do wielkoluda.

– Wiem, Grunthorze, i doceniam twoją troskę, ale musimy najpierw na drodze pokojowej spróbować położyć kres corocznym masakrom.

– Dlaczego?

– Bo tak postępują ludzie. Chcemy, żeby Firbolgów uważano za ludzi czy za potwory?

– Prawdę mówiąc, za jedno i za drugie – wtrącił król.

Z drugiej strony sali dobiegło głębokie westchnienie, a po nim głuchy dźwięk.

Jo już na samym początku odmówiła udziału w rozmowach o strukturze przyszłego królestwa, oświadczając, że temat jest nudny i ona woli poćwiczyć rzucanie sztyletami. Grunthor ustawił pod ścianą tarczę ze słomy. Zażarte dyskusje często przerywał huk noży trafiających w cel. Zwłaszcza uwagi Achmeda zbiegały się w czasie z tym charakterystycznym odgłosem.

Teraz Drak uśmiechnął się lekko i podjął wywód.

– Bolgów trzeba wyposażyć w kusze i miecze, których wykuwania właśnie się uczą. Na handel będziemy produkować zakrzywione szable i to.

Wziął ze stołu jedną z wielu płacht pergaminu, które go zaścielały, i uniósł tak, żeby pozostali mogli zobaczyć. Był na niej narysowany nóż o zgiętym jak ramię w łokciu trójgraniastym ostrzu ze stali i rękojeści owiniętej skórą.

– Są przydatne zarówno na otwartej przestrzeni, jak i w tunelach. Ostre i dlatego bardzo skuteczne w bezpośrednich starciach – wyjaśnił. – W czasie lotu obracają się wokół osi ciężkości i wbijają w cel lub tną niemal w każdej pozycji.

– I będą robione metodą, którą mi rano pokazywałeś? – zapytała Rapsodia.

Podczas wizyty w kuźni Achmed tłumaczył jej cierpliwie zasadę działania potężnych pras, które Gwylliam dopiero zaczął budować, kiedy zdobyto Canrif. Wtedy jednak była zbyt oszołomiona, żeby słuchać jego wykładu.

– Dopiero na trzecim etapie. Po zjednoczeniu kraju od Zębów po zewnętrzną granicę Ukrytego Królestwa. Musisz wiedzieć, że minie wiele pokoleń, zanim Firbolgowie osiągną poziom cymriańskich mistrzów, którzy dorównywali kunsztem wielkim lutnikom z twoich opowieści. Każda sztuka broni była tak starannie i pięknie zrobiona, że można ją uważać za dzieło sztuki. Nam pomogą maszyny Gwylliamy.

– Zdaje się, że planujesz długo żyć – stwierdziła Rapsodia, uśmiechając się lekko.

Achmed nie odwzajemnił uśmiechu.

– Wiecznie. Jak idzie szkolenie medyczne?

– Lepiej by szło, gdybym miała odpowiednie zaplecze. Przewidziałeś coś takiego?

Drak wygrzebał ze stosu kolejny zwój i położył przed Rapsodią. Na rysunku, który sam wykonał i objaśnił starannym drobnym pismem, widniały najważniejsze systemy góry, kuźnie, nowe miasto, które miało powstać w miejscu Canrif. Jeden z małych kwadracików był oznaczony jako magazyn leków.

Rapsodia uważnie obejrzała schemat, ściągając brwi. W końcu podniosła wzrok na Achmeda.

– Gdzie jest szpital? Gdzie hospicjum? Już o tym rozmawialiśmy. Powinieneś przewidzieć je w planach.

– Zrobiłem to. – Achmed sięgnął po pergamin złożony na czworo. Okazało się, że jest to mapa sztabowa. – Twoi podopieczni zajmą się udzielaniem natychmiastowej pomocy medycznej już na polu bitwy. Tylne straż będzie ich osłaniać, póki nie zostaną opatrzone najcięższe rany, a potem ruszy dalej.

– A co z rannymi?

– Zabierzemy ich w drodze powrotnej.

– Nie bądź śmieszny – zdenerwowała się Rapsodia. – Nie można zostawić rannych bez opieki. Umrą.

– Chyba muszę ci przypomnieć, że to Firbolgowie. Nie są przyzwyczajeni do cackania się z nimi, jak Lirinowie i ludzie, i wcale tego nie oczekują.

– Nie mówię o niańczeniu. Rannych trzeba przetransportować do miejsca, gdzie mogą otrzymać pomoc.

– Próbuję ci wyjaśnić, że raczej umrą na polu, niż się na to zgodzą.

Rapsodia starała się zachować spokój.

– To twoi przyszli poddani. Wciąż powtarzasz, że nie są potworami, tylko ludźmi i są w stanie przywrócić Canrif dawną świetność. Nie możesz mieć jednego i drugiego, Achmedzie. Jeśli Bolgowie są potworami, rzeczywiście powinieneś rządzić nimi po swojemu, ale ja ci w tym nie pomogę. Już się przekonałam, że nie rozumiem ich mentalności. Jeśli natomiast są ludźmi, prymitywnymi oczywiście i brutalnymi, ale dziećmi Jednego Boga, Dawcy Życia, mają takie same prawa jak oni, między innymi do leczenia w chorobie i godnego umierania. Potrzebne jest więc odpowiednie zaplecze, nie tylko na okres wojny. W czasie pokoju ludzie też chorują i odnoszą rany, a starzy i chorzy potrzebują kogoś, kto się o nich zatroszczy. Więc jak? Ludzie czy potwory?

Achmed się roześmiał. Zabawny i jednocześnie wznuszający był widok Rapsodii stojącej w obronie Firbolgów.

– A ile dokładnie przestrzeni będą mnie kosztowali „ludzie”?

– Dużo. Potrzebuję dwóch sal na szpital i jedną na hospicjum, póki Wrzosowisko i Ukryte Królestwo nie zostaną podbite. – Wskazała duże pomieszczenia w koszarach. Drak się skrzywił. – Pociesz się, że po zjednoczeniu królestwa będziesz mógł zabrać jedną ze szpitalnych sal na kwatery dla żołnierzy, a hospicjum może dzielić miejsce z sierocińcem.

– Chyba źle oceniasz liczbę sierot.

– Przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie. Jeśli osobiście pobłogosławisz sieroty, uznasz je w ten sposób za wyjątkowe. Klany zaczną się o nie bić, zwłaszcza gdy z adopcją

będzie się wiązać jakaś trwała korzyść. – Achmed skinął głową, a Rapsodia się uśmiechnęła.

– Widzisz? Staram się być rozsądna i praktyczna.

– Bez wątpienia. A teraz mam do ciebie jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Czy w czekających nas bitwach mogę liczyć na twój miecz i muzyczny talent, jeśli zgodzę się na kosztowne pomysły z opieką medyczną?

Rapsodia westchnęła. Odkąd zaczęli planowanie, w tej kwestii nie mogli się porozumieć. Nie chciała mieć nic wspólnego z wojną. Była gotowa walczyć przeciwko tyranii lub złu albo w obronie słabych, lecz opór w niej budziła perspektywa rozlewu krwi, nawet Firbolgów, żeby tylko przejąć nad nimi władze. Uznała jednak, że cele Achmeda są szlachetne, nawet jeśli nie podobają się jej środki do ich osiągnięcia.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie. – No to jak będzie? Ludzie czy potwory?

Cień uśmiechu przemknął po twarzy Wielkiego Wojownika Firbolgów.

– Ludzie. Ale budzący grozę.

– Musze z tobą natychmiast porozmawiać.

Znad dużego okrągłego stołu zajmującego środek pokoju za wielką salą uniosło się kilkanaście zaskoczonych twarzy. Wszystkie kobiety, oprócz jednej, były ciemne i kudłate. Jasnowłosa wstała z krzesła.

– Wybaczcie – powiedziała i ruszyła do drzwi.

Achmed pohamował śmiech. Rapsodii od czasu do czasu zdarzały się zabawne językowe pomyłki. Właśnie poprosiła kobiety, żeby darowały jej życie.

– O co chodzi? – zapytała z niepokojem.

– Potrzebuje mosiężnego klucza, który znaleźliśmy w Domu Pamięci. Ty chyba miałas go ostatnia.

– A skąd ten pośpiech?

– Właśnie znaleźliśmy skarbiec w bibliotece. – Oczy Draka błyszcząły z podniecenia. – Sądzę, że nasz klucz go otworzy.

Rapsodia się rozgniewała.

– I tylko po to wpadasz z rykiem na moje zebranie akuszerok?!

Achmed podążył wzrokiem ku grupce kobiet. Prawie wszystkie były chude i żyłaste, o szerokich, męskich ramionach. Patrzyły na niego spokojnie, bez śladu pokory, z jaką Bolgowie odnosili się do nowego króla.

Rapsodia była zaskoczona i uradowana, kiedy dowiedziała się o istnieniu położnych. O wojowników, nawet najcenniejszych, nie troszczono się przesadnie, lecz noworodki i ich matki otrzymywały najlepszą w tychskromnych warunkach opiekę. Akuszerki były szanowane nawet przez przywódców plemion i cieszyły się dużymi wpływami. Może mimo wszystko użyła właściwego idiomu.

– Potrzebuję tego klucza – powtórzył niecierpliwie.

Rapsodia chwyciła go za kołnierz i przyciągnęła do siebie.

– Nie mów do mnie więcej w taki sposób – syknęła groźnie. – Zwłaszcza w obecności akuszerok. Nic nie stracisz, okazując mi respekt. I tak jesteś na szczycie. Twoje zachowanie stawia mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Ciebie również, bo nawet jeśli nie stracę w oczach tych kobiet, mogę narazić na szwank twój wizerunek. Spróbuj jeszcze raz albo idź precz!

Odsunęła się i spiorunowała go wzrokiem.

Achmed uśmiechnął się szeroko. Rapsodia szybko się uczyła. W ciągu zaledwie paru tygodni doskonale poznała zwyczaje i mentalność Firbolgów. Ukłonił się w pas.

– Czy mogłabyś wyświadczyć mi łaskę, jeśli to nie będzie dla ciebie zbyt duży kłopot? – spytał głośno.

Twarz Pieśniarki trochę złagodniała.

– Jest w moim pokoju.

– Nie ma.

Rapsodia zamrugła.

– Skąd wiesz?

– Bo już tam sprawdzałem.

Z zielonych oczu posypały się skry.

– Słucham?! Grzebałeś w moich rzeczach?

– Nie chciałem ci przerywać spotkania z akuszerkami.

– A nie przyszło ci do głowy, żeby poczekać? Skarbiec Gwyllliama jest zamknięty na głucho od czterech wieków. Nie mogłeś się wstrzymać jeszcze pół godziny? – Westchnęła z irytacją. – Pod łóżkiem stoi nocnik.

Twarz Achmeda wykrzywił niesmak, nadając jej komiczny i zarazem straszny wygląd.

– Zdecydowanie za długo tu przebywasz. Taka odzywka pasuje raczej do Grunthora albo do mnie.

– Nie używam go, głupku. W pokoju przylegającym do mojego jest toaleta. Następnym razem spytaj, nim zaczniesz myszkować w mojej szufladzie z bielizną.

– I pozbawić Grunthora jednej z niewielu drobnych przyjemności w życiu? Cóż za samolubna postawa! – Achmed odniósł się do kobiet. – Przepraszam, że zakłóciłem naradę, ale sprawa była pilna. Dziękuję, że pozwoliły mi panie skonsultować się z moją mądrą doradczynią.

Zamykając za sobą drzwi, przewrócił oczami.

– Jakież wieści od Grunthora? – zapytała Rapsodia podczas kolacji.

Siedzieli przy tym samym stole, przy którym wcześniej rozmawiała z akuszerkami.

Achmed potrząsnął głową, przełamując twardy rogalik.

– Wyruszył na manewry poza Wrzosowisko. Przypuszczamy, że znajduje się tam opuszczona winnica. Nie spodziewam się od niego wieści przez co najmniej cztery dni.

– A kim są tym razem szczęśliwi podopieczni?

– Rozpruwacze z plemienia Pazurów, którzy twierdzą, że Gwylliam nie umarł i mieszka wśród nich.

– Możliwe, a do biblioteki wpadł na chwilę, żeby oddać książkę – wypaliła Jo, dłubiąc sztyletem w zębach. – Tylko obsługa jest trochę za wolna. Grunthor powiedział, że następnym razem mogę z nim pójść, oczywiście jeśli się zgodzisz, Rapsodio. Mogę, prawda?

– Prawda – odparła Pieśniarka ze śmiechem. – Grunthor jest wobec ciebie jeszcze bardziej opiekuńczy niż ja, o ile to możliwe. Skoro uważa, że nic ci nie grozi, nie będę się sprzeciwiać.

– I co ustaliliście na zebraniu? – zapytał Achmed, napełniając pucharki.

– Dużo spraw. – Rapsodia wstała od stołu. Na jej twarzy malowało się podniecenie. – Przyniosę notatki.

Podeszła do kredensu i zaczęła grzebać w stosie papierów. W pewnym momencie skrzywiła nos.

– Achmedzie, to wstyd i hańba. Te gobeliny i zasłony cuchną. Jesteś teraz królem gór, nie możesz się ich pozbyć? Urządź pokój na nowo.

– Dawni mieszkańcy załatwiali się za nimi – powiedział Drak i roześmiał się na widok obrzydzenia na twarzy Pieśniarki. – Nie tylko Bolgowie, ale również Cymrianie. Sądzę, że minęło trochę czasu, nim zbudowano toalety. Llauron uważa ich za rasę półbogów, ale byłabyś zaskoczona, czego się o nich dowiedzieliśmy.

– Proszę, oszczędź mi szczegółów, jeśli ich znajomość nie jest konieczna do naszego przetrwania – jęknęła Rapsodia. Rozłożyła pergamin na stole. – Akuszerki zgodziły się przekazać zdobytą u mnie wiedzę najbardziej obiecującym kandydatom z różnych klanów, głównie kobietom, i jednocześnie szkolić swoje następczynie. Potem tu wrócą, żeby pracować w szpitalu i w hospicjum, póki kraj nie zostanie zjednoczony.

Achmed pokiwał głową.

– Dobrze.

– Ponadto zajęliśmy się kwestią dzieci. Chciałabym, żebyś ustanowił prawo, że dręczenie ich i molestowanie jest przestępstwem. Bolgowie mają właściwy stosunek do najmłodszych, więc łatwiej będzie wyjaśnić im sens tego przepisu niż „ludziom” z Rolandii, którzy uważają, że dzieci można wykorzystywać jako podnóżki albo słupki do wiązania koni.

Achmed uśmiechnął się na wspomnienie zamieszania, jakie wywołała w Bethany, broniąc chłopca przed brutalnością ojca. Kiedy zaatakowała na ulicy tego człowieka, gapie, którzy zaraz się zebrali, nie próbowali jej powstrzymać, tylko chcieli dotknąć pięknej istoty, tak jak wcześniej wieśniacy z Gwynwood. Rapsodia do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jaki wpływ wywiera na ludzi.

Martwiła go jednak pewna rzecz. Nie był pewny, czy udałoby mu się wtedy wybawić ją z opresji, gdyby nie szarża Grunthora, która skutecznie odwróciła od nich uwagę tłumu. A wkrótce miał ją samą wysłać do Bethany. Potrząsnął głową, by odpędzić obawy.

– A co z produkcją? – zapytał.

– Chwileczkę. Zaraz do tego dojdę. Oprócz prawa o ochronie dzieci żądam dekretu o dobrym traktowaniu jeńców, leczeniu rannych, uśmierzaniu bólu albo zapewnieniu godnej śmierci.

Nowy król Firbolgów przewrócił oczami.

– Uchwalanie praw i przepisów zacznie się po tym, jak wieść o nowym porządku dotrze do Rolandii i Sorboldu. Najpierw chcę konferować z emisariuszami, ale byłbym zaskoczony, gdyby jakikolwiek się zjawił przed twoją wizytą w Rolandii w sprawie Wiosennego Czyszczenia. Czy możemy wtedy się zająć twoimi propozycjami?

– Tak, ale mówię ci o tym już teraz. Planujemy również założenie szkoły dla dzieci, które tu zaprosiłeś. Przy okazji... jesteś winien rodzicom dzieci zbroje, broń i jedzenie obiecane w prezencie. To wszystko. Aha, mam dwanaścioro nowych wnucząt.

– O rany! – mruknęła Jo, która ogryzała wielką giez z apetytem godnym Grunthora.

– To reakcja na wnuki czy mięso? – rzuciła przybrana siostra wesołym tonem.

Dziewczyna przełknęła ogromny kęs.

– Mięso jest dobre. Po prostu nie przepadam za dziećmi. Jak pamiętasz, byłam przez dłuższy czas zamknięta z całą ich gromadą.

– Każdy by zwariował – przyznała Rapsodia.

– To Firbolgowie? – zapytał Achmed.

Pieśniarka skinęła głową.

– Sieroty. Naprawdę je lubię. Są trochę niesforne, ale ja też taka byłam w dzieciństwie.

– Wątpię, czy bawiłaś się w łapanie szczurów i jedzenie ich żywcem.

– Nie. – Rapsodia aż się wzdrygnęła. – Ale i tak je kocham.

– Jeśli już skończyłaś roztkliwiać się nad bachorami, może porozmawiamy o tym, co będziemy wytwarzać oprócz broni?

– Oczywiście. – Rapsodia rozłożyła drugą płachtę papieru. – Przed końcem okresu wegetacyjnego powinniśmy zająć się winnicami. Produkcja wina nie będzie duża, ale dzięki naukom Ilyany powinnam uzyskać przyzwoite zbiory. Kiedy ziemie za Wrzosowiskiem staną się bezpieczne, pojedę tam, wypowiem filidzkie błogosławieństwo i zaśpiewam roślinom. To powinno pomóc. Winogrona będą miały wysoką zawartość cukru i dobry smak. Może wiosną spróbujemy wytłoczyć z nich sok.

Achmed kiwnął głową, nie przerywając pisania.

– Co jeszcze?

Rapsodia i Jo wymieniły spojrzenia.

– Odkryłyśmy ciekawą rzecz w związku z drewnem, które przywiozłeś mi z czarnego lasu za Wrzosowiskiem.

– Jaką?

Na znak siostry Jo wyszła z pokoju. Chwilę później wróciła z wrzecionem i podała je Achmedowi. Drewno miało głęboki czarny kolor z wyraźnym niebieskawym połyskiem, który dodawał mu szlachetności, podobnie jak stołom w wielkiej sali i innym meblom w komnatach Gwyllliama i Anwyn.

– Nabiera takiej barwy w czasie konserwowania – wyjaśniła Rapsodia i dodała z dumą: – Jo dokonała tego odkrycia.

– Dobra robota, Jo – pochwalił ją Achmed, obracając wrzeciono w dłoni.

Dziewczyna poczerwieniała po nasadę jasnych włosów i wróciła do jedzenia.

– Na koniec mój skromny wkład. Pamiętasz tamte wstrętne pająki, które oploty pajęczynami sześć sal?

– Jak mógłbym zapomnieć? Do tej pory mam w uszach twoje wrzaski.

Rapsodia uderzyła go serwetką.

– Kłamca. Wcale nie krzyczałam. Tak czy inaczej, pajęczyny zmieszane z bawełną albo wełną dają rozciągliwe, mocne nici, z których można upleść różne rzeczy, na przykład liny, niezwykle lekkie i jednocześnie wytrzymałe.

Wyjęła z kieszeni niewielki kłębek i rzuciła go Achmedowi.

– Doskonale – stwierdził po chwili Drak.

– Bardzo się cieszę. Poza tym nic ma piękny połysk. To już koniec mojego raportu. Otworzyłeś kryptę?

Achmed opróżnił pucharek.

– Nie – odparł krótko.

Rapsodia się uśmiechnęła.

– Szkoda, ale przynajmniej była z tego jedna korzyść. Grunthor bezkarnie przeszukał szufladę z moją bielizną.

– Właśnie. Robi się późno – zauważył Achmed, zerkając z ukosa na Jo.

– Rozumiem aluzję – powiedziała dziewczyna. – Dobranoc, Rapsodio.

Wstała od stołu i wyszła. Pieśniarka odprowadziła ją wzrokiem.

– O co chodzi? – zapytała.

– Pewnie jest zmęczona – rzucił Achmed niedbałym tonem.

Podszedł do ściany, sięgnął za cuchnącą kotarę i wyjął z za niej małą ozdobną szkatułkę oraz ciężki manuskrypt owinięty w aksamit. Rapsodia wytrzeszczyła oczy.

– Jak możesz chować tam coś, czego zamierzasz jeszcze kiedyś dotknąć!

Drak wrócił do stołu.

– I słyszę to od osoby, która w nocniku trzymała klucz do skarbcza Gwyllliama! Zapożyczyłem pomysł od ciebie.

Rapsodia natychmiast zrezygnowała z ciętej odpowiedzi.

– Klucz do skarbcza? Podobno nie pasował.

– Nie chciałem rozmawiać przy Jo.

– Ona się tego domyśliła. Nie wiem, dlaczego jej nie lubisz.

– Lubię, ale po prostu jej nie ufam. To nic osobistego. Na świecie są tylko dwie osoby, którym wierzę.

– Czy dla ciebie lubienie i zaufanie nie idą w parze?

– Nie. – Achmed zaczął odwijać książkę. – Możemy o tym podyskutować za chwilę. Uznałem, że to cię zainteresuje.

Otworzył stary rękopis i ostrożnie przesunął po stole w jej stronę.

– Co to jest? – zapytała Rapsodia, patrząc na suche, popękane stronicie pokryte drobnym pismem.

– Jeden z najcenniejszych manuskryptów Gwylliam, dla niego prawie świętość – odparł Achmed z uśmiechem. – Powinnaś zobaczyć jego drugą bibliotekę w tajnym skarbcu. Są tam plany następnych części Canrif i tych, które już zbudował, ale my jeszcze nie widzieliśmy. A także przywiezione z Serendair księgi zawierające historię całej rasy, rodzinne archiwum, królewskie annały z datami narodzin i śmierci oraz drzewami genealogicznymi. Wszystko napisane w tym samym języku co kontrakt.

– Rzeczywiście to starożytny sereński.

– Potrafisz coś odczytać?

Rapsodia ostrożnie przewróciła parę kartek, czując, że papier kruszy się jej pod palcami. W jednym miejscu natrafiła na znajome imię. Trinian, następca tronu w czasie, kiedy opuszczali Serendair, żył cztery pokolenia przed Gwylliamem. Przebiegła wzrokiem stronicę i nagle zbladła. Ogień w kominku zmienił barwę i skoczył w górę.

– Spójrz tutaj – powiedziała, wskazując ostatnie zdanie. – Gwylliam i Anwyn mieli dwóch synów. Starszy, chyba ich dziedzic, otrzymał imiona Edwyn Griffyth.

– A młodszy?

Podniosła na niego wzrok. W szmaragdowych oczach odbił się blask płomieni.

– Llauron.

– To jeszcze nic nie znaczy – stwierdził Achmed. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że jeden z królewskich synów przeżył wojnę, w której zginął Gwylliam, podobno nieśmiertelny?

– Kto wie? – powiedziała Rapsodia, patrząc w ogień. – Podejrzewam jednak, że chodzi o naszego Llaurona.

– Z czego tak wnioskujesz?

– Z drobiazgów. W swoim szklanym ogrodzie miał ciekawe urządzenie, które w środku zimy zapewniało roślinom letni deszcz. Podobno zbudował je dla żony jego ojciec.

– Co podważa twoją teorię. Gwylliam nienawidził Anwyn.

Rapsodia otworzyła księgę.

– Nie zawsze. I przestań się wreszcie droczyć. Wiesz, że mam rację.

– Tak. Gwylliam był wizjonerem i genialnym wynalazcą. Świadczy o tym całe Ylorc.

– A Llauron marzy o zjednoczeniu Cymrian. Powiedział wprawdzie, że zależy mu przede wszystkim na pokoju, ale teraz się zastanawiam, czy nie kieruje nim żądza władzy.

Wielki Wojownik przysiadł na brzegu stołu.

– Jest religijnym przywódcą ponad pół miliona wiernych, a żyje jak dobrze opłacany ogrodnik. Po co mu królewska pompa, skoro teraz też mógłby otoczyć się przepychem i nie brać sobie na głowę dodatkowych kłopotów?

– Nie wiem. – Rapsodia przekartkowała manuskrypt, ale nie znalazła więcej nic ciekawego. – Trudno sobie wyobrazić, że ten uroczy człowiek ma jakiegokolwiek nikczemne myśli. Kiedy mnie do niego przyprowadzono, byłam całkowicie zdana na jego łaskę, a okazał mi jedynie dobroć. Przypominał mojego dziadka. Nagle się okazuje, że jest synem największego bydlaka na świecie i w dodatku w jego żyłach płynie smocza krew. Teraz rozumiem, skąd tyle o mnie wiedział, nie zadając pytań. Legendy mówią, że smoki wyczuwają różne rzeczy.

Achmed westchnął i zamknął rękopis.

– No właśnie. Może wrócimy do naszej rozmowy o Jo. Jak już ci wspomniałem, w starym świecie Grunthor i ja stykaliśmy się z demonami.

Rapsodia przewróciła oczami.

– Tak.

– Nie bądź niegrzeczna dla suwerena; nie jestem sarkastyczny. Niektóre demony, nie tylko najstarsze, o których rozmawialiśmy, potrafią zniewalać ludzi, a ich ofiary nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Możliwe, że któraś z osób z naszego otoczenia pracuje dla swojego pana, z własnej woli lub nieświadomie. Uwierz mi. Wiem, o czym mówię.

Wpił w nią tak przeszywające spojrzenie, że musiała odwrócić wzrok.

– Podejrzewasz Jo?

Achmed westchnął.

– Nie, ale nie mam całkowitej pewności. Uważam, że jesteś zbyt ufna, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Przyjmiesz do rodziny pół świata, próbując odzyskać, co straciłaś.

Rapsodii lekko zadrżał podbródek.

– Może to i prawda, lecz uznanie pewnego obcego człowieka za brata uratowało mi życie. Teraz z kolei Achmed odwrócił oczy, żeby nie dostrzegła w nich uśmiechu.

– Wiem, ale jaka jest szansa, że z takiego postępowania znowu wyniknie coś dobrego? Posłuchaj, nie mam nic przeciwko Jo, a Grunthor bardzo ją lubi. Myślę jednak, że lepiej nie ufać nikomu spoza naszej trójki.

– Lepiej czy bezpieczniej?

– To jedno i to samo.

– Nie dla mnie – wybuchnęła Rapsodia. – Nie chcę tak żyć.

Drak wzruszył ramionami.

– Jak uważasz. Rób jak do tej pory, a może w ogóle nie będziesz żyć. Pamiętaj jednak, są gorsze rzeczy niż śmierć. Jeśli demon, zwłaszcza z tych najstarszych, zostanie twoim panem, tygodnie, które spędziłaś z Michaeliem Wiatrem Śmierci, wydadzą ci się rajem.

Rapsodia odsunęła książkę i wstała od stołu.

– Mam dość. Idę muzyką ukołysać moich pacjentów do snu.

Achmed z trudem opanował rozdrażnienie. Doglądanie wcale nie śmiertelnie rannych Firbolgów, uśmierzanie im bólu ziołami i śpiewem uważał za całkowitą stratę czasu.

– Widzę, że zamierzasz pożytecznie spędzić wieczór. Twoi pacjenci z pewnością się odwzajemnią, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Rapsodia zmarszczyła czoło.

– Nie rozumiem.

Jej włosy i oczy załśniły w migotliwym blasku ognia.

– Próbuję ci uświadomić, że nigdy nie doczekasz się wdzięczności za swoje wysiłki. Kto ci zaśpiewa, kiedy będziesz ranna albo chora?

– Ty, Achmedzie – odrzekła Pieśniarka z uśmiechem.

Drak prychnął.

– Nie chcesz zobaczyć, co jest w szkatułce?

Rapsodia zatrzymała się w drzwiach.

– Raczej nie. I zdecydowanie nie, jeśli miałabym się dowiedzieć, że lord Stephen jest odpowiedzialny za zatopienie Serendair. Jeszcze kilka podobnych dni, a tak jak ty nabawię się manii prześladowczej.

Achmed bez słowa otworzył pudełko i wyjął z niego lśniący instrument. Pieśniarka mimo woli puściła klamkę.

– Czy to róg, który wzywał Cymrian na radę?

– Ten sam.

Rapsodia przez chwilę przyglądała mu się oszołomiona. Mimo wieków nie używania róg błyszczał jak lustro, tchnął nadzieją i radością, które przed chwilą na dobre, zdawało się, zniknęły z tego pokoju.

– Co z nim zrobimy? – zapytała.

Drak wzruszył ramionami.

– Na razie nic. Może w przyszłym tygodniu napełnimy go winem i wypijemy za pomyślność twojej podróży do Rolandii. Albo udekorujemy nim twój urodzinowy tort. Nie wykluczam również, że Grunthor i ja spoimy się do nieprzytomności, wezwiemy żyjących członków rady do Wielkiego Zgromadzenia, a potem ich obsikamy. Kto wie? Pomyślałem sobie tylko, że chciałabyś go zobaczyć.

Rapsodia wybuchnęła śmiechem.

– Dziękuję. Może nauczysz się na nim grać i będziesz mi akompaniował przy kołysankach.

Achmed odłożył róg do szkatułki.

– Zapewniam cię, że prędeż zrobię wszystko, co przed chwilą wymieniłem. I jeszcze więcej.

Tristan Steward, lord regent Rolandii i księżę Bethany, stał w oknie swojej biblioteki i zastanawiał się, czy doradcy i regenci prowincji, którzy przybyli do jego twierdzy na doroczną naradę, potracili rozum.

Tuż po śniadaniu zaczęli zjawiać się jeden po drugim i przerywać mu prace natarczywymi, choć uprzejmymi sugestiami, żeby przyjął nieproszonego gościa, który czekał cierpliwie w holu. Odmawiał za każdym razem, tłumacząc się pilnymi zajęciami oraz protokołem. Gdy mu powiedziano, że emisariusz przybył z krainy Bolgów, tylko umocnił się w postanowieniu.

Teraz znowu rozległo się nieśmiałe pukanie i chwilę później do pokoju, ostrożnie jak pokojówka, zajrzał Ivenstrand, diuk Avonderre, ustępujący pozycją i zaletami osobistymi jedynie Stephenowi Navarne.

Lord Rolandii westchnął.

– O bogowie, tylko nie ty, Martinie. Najpierw szambelan, potem doradcy i inni diukowie, a teraz ty? Co macie do mnie tak pilnego, żeby wciąż odrywać mnie od pracy?

Ivenstrand odchrząknął.

– Wasza wysokość, sądzę, że tego gościa zechcesz poznać. Pozwoliłem sobie zaprowadzić ją do twojego gabinetu na wypadek, gdybyś jednak się zdecydował.

Zerknął niespokojnie na lorda regenta. Tristan zatrzasnął atlas, który od rana daremnie usiłował przestudiować.

– Dobrze. I tak widzę, że nie dacie mi spokoju. – Z marsową miną pomaszerował do drzwi. Minąwszy Ivenstranda, odwrócił się nagle. – Powiedziałaś „ją”?

– Tak, milordzie.

Regent zacisnął zęby. Źle, że Bolgowie przysłali do niego emisariusza; trzeba będzie później przewietrzyć zamek. W dodatku wybrali kobietę. Zdumiony i nie na żarty rozeźlony ruszył korytarzem.

Przed gabinetem stał szambelan. Dostrzegłszy wyraz twarzy księcia, usunął się pod samą ścianę, schodząc mu z drogi. Otworzył podwójne drzwi i zaanonsował gościa:

– Milordzie, lady Rapsodia z krainy Ylorc.

– Co ty pleciesz? Nigdy nie słyszałem o takim kraju. Odsuń się.

Wmaszerował do biblioteki, gotując się z gniewu. Nowy pan Firbolgów był tchórzem albo geniuszem; pewnie liczył na to, że kobieta nie zostanie natychmiast wyzwana na miecze.

Emisariuszka stała plecami do drzwi i podziwiała płaskorzeźby na łukowatym sklepieniu. Bardzo drobna jak na przedstawicielkę rasy potworów, miała na sobie skromną zimową

opónczę z kapturem, a pod nią chyba spodnie. Tristana nie zdziwił brak dworskiego stroju. Usłyszawszy jego kroki, wysłanniczka odwróciła się i ukloniła z wdziękiem. Książę osłupiał; oczekiwał raczej splunięcia na podłogę.

Gdy się wyprostowała, regent oniemiał z wrażenia.

– Przybywam z posłaniem od jego królewskiej mości króla Achmeda z Ylorc. – Rapsodia uśmiechnęła się lekko na myśl o pominiętych przydomkach: Świdrujące Oko, Bezlitosny, Pan Podziemi. – Występuję w jego imieniu, jako że Rolandia na razie nie przysłała swoich ambasadorów.

Tristan zamknął usta. Nie był pewny, jak długo trzymał je rozdziawione.

– Nie jesteś Firbolgiem, pani.

– Nie. A powinnam?

Steward bezmyślnie potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie. To znaczy nie. Nie, nie musi pani. – Aż doznał wstydu, słysząc własny bełkot.

– Dziękuję.

Rapsodia uśmiechnęła się uprzejmie, ale regent dostrzegł iskierki rozbawienia w zachwycających zielonych oczach. Wziął głęboki oddech, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

– Proszę usiąść. Szambelanie, weź płaszcz od pani. Miałaby pani ochotę na jakiś pokrzepiający napój?

– Nie, dziękuję.

Gospodarz pomógł jej zdjąć opónczę i wskazał krzesło. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Wreszcie szambelan się ocknął, wziął płaszcz od regenta, złożył głęboki ukłon i wyszedł z gabinetu.

Lord Rolandii usiadł za biurkiem.

– Zanim przekaże mi pani treść posłania, proszę zaspokoić moją ciekawość: co to jest Ylorc, gdzie leży i dlaczego pani występuje w imieniu przywódcy Firbolgów?

Rapsodia splótła ręce.

– Ylorc to bolgańska nazwa dawnych cymriańskich ziem, znanych niegdyś jako Canrif. Jestem wysłanniczką mojego suwerena.

Z trudem pohamowała śmiech, widząc minę regenta. Nowina, że lady Rapsodia jest poddaną władcy Firbolgów, wzbudziła w nim wyraźny niesmak. Jego twarz z wolna przybrała karmazynową barwę. Dopiero po dłuższej chwili odzyskał głos.

– Jaka to wiadomość? – zapytał surowym tonem.

– Chodzi o doroczny rolandzki zwyczaj Wiosennego Czyszczenia. Wasi żołnierze napadają na pograniczne wioski i obozowiska Firbolgów.

– Znam tę praktykę, ale nadal nie rozumiem, z czym pani przybywa.

– Trzeba położyć jej kres, raz na zawsze, poczynając od tego roku.

Tristan Steward po raz kolejny osłupiał.

– Doprawdy? To interesujące. A za kogo się uważa pani suweren, że wysuwa takie bezczelne żądania?

– Wiedziałby pan, milordzie, gdyby pan słuchał – odparła Rapsodia spokojnie. – Jako król i jedyny władca kraju Firbolgów sprzeciwia się bezprawnej i haniebnej rzezi jego niewinnych obywateli.

Regent popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Obywateli? Oszalała pani? Firbolgowie to potwory, w dodatku agresywne. Wiosenne Czyszczenie to manewr obronny, praktykowany od wieków, odkąd czarci pomiot zajął stare ziemie Cymrian. Dzięki niemu zapobiegamy naruszeniom granic i brutalnym najzdom, z których Firbolgowie są dobrze znani.

Oczy Rapsodii zapłonęły jeszcze silniejszym blaskiem.

– Czyżby? Kiedy ostatnio doszło do tych brutalnych napaści?

Książę przez chwilę mierzył ją groźnym spojrzeniem. Gdy wytrzymała je bez mrugnięcia, w końcu odwrócił wzrok.

– Trudno mi wymienić konkretne ataki. W każdym razie zwyczaj Wiosennego Czyszczenia bardzo skutecznie likwiduje przemoc.

Z twarzy Rapsodii zniknął ostatni cień uśmiechu.

– Ach tak, teraz rozumiem. Przemoc dotyka tylko obywateli Rolandii. Rzeź ludu Ylorc nie ma najmniejszego znaczenia.

Regent wytrzeszczył oczy.

– Ludu? Jakiego ludu? Firbolgowie to potwory.

– Już to słyszałam. Agresywne potwory, prawda? Rolandzka armia, której pan jest dowódcą, co rok niszczy wioski i osady, zabija dzieci i pozbawia je domów. Z drugiej strony nie potrafi pan podać ani jednego przykładu napaści dokonanej przez Firbolgów, choćby w odwecie. Nasuwa się pytanie, kogo tu zaliczyć do agresywnych potworów?

Lord Rolandii zerwał się z krzesła.

– Jak pani śmie? Za kogo się pani uważa, młoda damo, żeby zwracać się do mnie w tak zuchwały sposób?

Kobieta westchnęła.

– Mam na imię Rapsodia. Jestem emisariuszką dworu Ylorc. Do tej pory udzielałam spójnych odpowiedzi, z czego wnioskuję, że wiem, kim jestem. Wątpię jednak, milordzie, czy pan może powiedzieć to samo o sobie.

W oczach regenta zatlił się gniew.

– Co znaczą te słowa?

– Uważa się pan za władcę cywilizowanego i szlachetnego ludu, i zapewne słusznie. Ale gdy ktoś odmawia człowieczeństwa rasom, które też budują domy, wytwarzają narzędzia i

zakładają rodziny, wystawia sobie jak najgorsze świadectwo. Staje się większym potworem niż ci, których tak nazywa.

Lord Rolandii uderzył ręką w biurko.

– Dość tego! Proszę wyjść! Nie mogę uwierzyć, że traciłem czas tylko po to, by wysłuchiwać obraźliwych uwag. Może wyglądasz, pani, jak poprzedni gospodarze cymriańskich ziem, ale masz maniery obecnych mieszkańców.

Rapsodia wstała.

– Dziękuję. O ile znam historię Cymrian, właśnie powiedział mi pan wielki komplement, choć nie zamierzenie. Z ulgą wyjdę, ale najpierw do końca przekażę wiadomość.

– Proszę się pospieszyć, zanim wezwę szambelana.

– To nie będzie konieczne. Po pierwsze, król Achmed gwarantuje, że nie będzie żadnych najazdów, jeśli spełni pan jego żądanie i jeszcze w tym roku zaprzestanie mordowania niewinnych.

– Bolgowie to luźna zbieranina bezmyślnych bestii o wyłącznie zwierzęcych instynktach. Nie umieją zorganizować prawdziwego ataku, tak jak nie potrafią fruwać. Poza tym wątpię, czy ten cały władca jest w stanie do czegokolwiek zmusić swoich poddanych.

– Cóż, z pewnością ma pan prawo do własnej opinii, milordzie, nawet jeśli wynika ona z niewiedzy. Pozwolę więc sobie przekazać panu tę oto nowinę: Bolgowie są teraz zjednoczeni, po raz pierwszy w swojej historii, pod władzą jednego króla. Szkolimy ich, uczymy, między innymi wytwarzania towarów na sprzedaż. Liczymy na to, że Rolandia zostanie naszym partnerem handlowym.

– Jest pani chora.

– Jesienią będą gotowe pierwsze wina z naszych winnic oraz doskonała broń, jakiej tu nigdy nie widziano. Jeśli postąpi pan nierozsądnie, odrzucając propozycję króla Ylorc, tegoroczne Wiosenne Czyszczenie okaże się bardzo kosztowne dla pana i pańskich żołnierzy. Proszę zapamiętać moje słowa.

– Precz!

Rapsodia ruszyła do drzwi. W progu wzięła płaszcz od szambelana i odwróciła się do regenta.

– Dziękuję, że mnie pan przyjął, wasza wysokość. Przykro mi, że to, co powiedziałam, nie zostało lepiej odebrane. Pomimo tej rozmowy chętnie znowu się z panem spotkam, jeśli raczy mnie pan zaprosić.

– Nie sędzę – odparł lord Roland z gniewem. – Jesteś, pani, bardzo piękną kobietą, ale nie masz nawet tyle rozumu, ile Stwórca dał pasikonikowi. Proszę więcej mnie nie niepokoić. Przykażę moim doradcom, żeby z miejsca panią odesłali, jeśli jeszcze kiedyś zjawi się pani w Rolandii.

Rapsodia uśmiechnęła się, wkładając płaszcz.

– Pańska wola, milordzie. Uprzedzam jednak, że jeśli zechce pan się ze mną spotkać, będzie pan musiał przyjechać do Ylorc. Szczęśliwego Nowego Roku.

Ukloniła się krótko i wyszła z gabinetu. Regent odprowadził ją wzrokiem, a następnie zwrócił się do szambelana:

– Natychmiast wezwij tu moich doradców.

– Tak, milordzie.

Lord Stephen Navarne słuchał cierpliwie, jak lord regent beszta diuków. Rano czekał na powrót rolandzkich żołnierzy, którzy pomogli stłumić ostatnie powstanie w Navarne, więc nie słyszał o ambasadorze, z powodu którego tak się pieklił jego kuzyn. Mimo wszystko zareagował na naglące wezwanie księcia i teraz był zadowolony, że jednak się zjawił.

Gdy regent skończył tyradę i odprawił diuków, Stephen został, żeby zamienić z nim słowo.

– Jest coś, o czym chyba nie wiesz, Tristanie – powiedział miłym tonem, starając się ukryć niepokój, od którego ścisnęło go w żołądku. – Kobieta, która tak cię zdenerwowała, i jej towarzysze Bolgowie jakiś czas temu uratowali Dom Pamięci.

Lord Rolandii spojrzał na niego pustym wzrokiem.

– Naprawdę?

– Tak. W Navarne uważani są za wielkich bohaterów, ponieważ przy okazji odnaleźli zaginione dzieci, o których ci wspominałem podczas ostatniej narady. Podobno musieli walczyć z siłami demona.

Tristan Steward milczał przez dłuższą chwilę, po czym nalał sobie szklaneczkę porto i podszedł do okna.

– Interesujące – mruknął pod nosem.

Kiedy Rapsodia wróciła do Kotła, Grunthor porwał ją w objęcia.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział.

– Nic mi się nie stało – odparła ze śmiechem, klepiąc go po potężnym ramieniu.

Wiedziała, że olbrzym mówi szczerze. Podbiegła Jo i zarzuciła jej ręce na szyję.

– Jak ci poszło? – zapytał Achmed.

Rapsodia posłała mu porozumiewawczy uśmiech. Otoczyła ramieniem przybraną siostrę i ruszyła za Bolgami do ponurej sali, gdzie podano skromne śniadanie.

– Poczyliłam dwie obserwacje.

– Tak?

Drak skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę, a Grunthor podsunął jej krzesło.

– Jesteś pewien, że to nie ty masz dar jasnowidzenia, Achmedzie? Rozmowa potoczyła się niemal dokładnie tak, jak przypuszczałeś, słowo w słowo.

Król Firbolgów uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To nie jasnowidztwo, tylko umiejętność przewidywania.

– Biorąc pod uwagę ich reakcję na moją osobę, równie dobrze mogłeś pojechać tam sam.

Nie przyjęliby cię gorzej niż mnie. Teraz rozumiem, dlaczego przez cały czas jesteś taki zgryźliwy i niezdolny.

W głębi cymriańskich ziem, za rozległym wrzosowiskiem leżało Kraldurge, Królestwo Duchów otoczone pierścieniem wysokich formacji skalnych. Było to jedyne miejsce, do którego Bolgowie nigdy się nie zapuszczali, odludne i nieprzyjazne.

Legends nie mówiły, jaka tragedia tam się rozegrała, ale musiała być potworna, skoro zostawiła trwały ślad w pamięci mieszkańców gór. Firbolgowie szeptali o polach zasłanych kośćmi i demonach pożerających każdego napotkanego nieszczęśnika, o krwi sączącej się z ziemi i o wiatrach, od których człowiek zaskoczony na otwartej przestrzeni stawał w płomieniach.

Rapsodia trafiła przypadkiem w te okolice, kiedy szukała sierot wojennych. Teraz próbowała razem z Achmedem odszukać nawiedzoną kotlinę, idąc mozolnie skrajem wewnętrznych Zębów.

W końcu cierpliwość towarzysza się wyczerpała. Drak zamknął oczy i dopuścił do głosu swój dar. Pomknął wzrokiem ścieżką biegnącą między stromymi zboczami, wąską i zarośniętą, najwyraźniej nie uczęszczaną od wieków.

Na końcu ścieżki otwierała się rozległa łąka porośnięta gęstymi, wybujałymi chwastami. Pośrodku niej wyrastał kopiec podobny do wzgórza.

– Nie chcę cię rozczarować, ale nie widzę ani jednego demona. Nie ma też gejzerów krwi. Rapsodia westchnęła.

– To dobrze. Miałam dość tego rodzaju atrakcji w Domu Pamięci. Ale mimo wszystko chciałabym obejrzeć to miejsce. Nie sądzę, żeby bez powodu budziło do dzisiaj taki strach. Zresztą szkoda byłoby nieść nasiona z powrotem do Kotła.

– W porządku.

Achmed zdjął z pleców cwellan i wszedł między skalne ściany. Rapsodii nie przestawało zdumiewać, jak zręcznie i szybko Drak obchodzi się z ciężką bronią. Ruszyła za nim, z łukiem gotowym do strzału.

Ich kroki rozbrzmiewały w głębokim wąwozie, odbijając się wzmocnionym echem od zboczy. Mimo hałasu, jaki po drodze robili, na śródgórskiej łące nic na nich nie czyhało.

Otoczały ją tak wysokie stoki, że wiatr, który zawodził jak potępieniec przy samych wierzchołkach turni, rzadko do niej docierał. Achmed i Rapsodia uśmiechnęli się do siebie. Nawet najdzielniejsi Bolgowie mogli wziąć jego skowyt za głosy demonów. Jednak w powietrzu wyczuwało się nastroj smutku, przemożnego żalu i gniewu.

Rapsodia pochyliła się i dotknęła ziemi, ale nie odkryła niczego niezwykłego. Może znajdował się tu zapomniany cmentarz z czasów cymriańskiej wojny? Nie znaleźli o nim wzmianki w manuskryptach Gwyllliama, ale to niczego nie przesądzało.

Kotlina była na tyle mała, że z pagórka dałoby się objąć ją wzrokiem. Wyglądało na to, że jest zamknięta ze wszystkich stron, a jedyna droga do niej prowadzi przez wąwóz, którym przyszli.

Drak skinął jej głową, że może zająć się swoimi sprawami, a on tymczasem obejdzie teren. Rapsodia ruszyła przez łąkę. Gdy dotarła do kopca, wyjęła z plecaka brezentowy worek pełen nasion i narzędzi ogrodniczych oraz flet. Harfa bardziej nadawałaby się do jej celów, ale zostawiła ją w Domu Pamięci, na dębie, który leczyła pieśnią uzdrawiającą.

Obejrzała się przez ramie i upewniła, że Achmed kreci się w pobliżu, po czym przystąpiła do kopania. Oczekiwała, że gleba będzie jałowa, a zaskoczona stwierdziła, że gleba pod cienką warstwą kamieni jest miękka, nagrzana przez słońce, ilasta, żyzna i bogata w składniki odżywcze.

Dotknęła kępki górskiej trawy i wezwała ogień, który płonął jej w duszy. Suche brązowe źdźbła natychmiast zajęły się płomieniem.

Wyrwała spaloną wiązkę z korzeniami i zaczęła kopać głębiej, żeby zapewnić roślinkom lepsze warunki. Postanowiła posiać bratki, swoje ulubione kwiaty. W starym kraju wręczano je przy składaniu kondolencji, sadzono na grobach lub polach bitew dla upamiętnienia ofiar. Wiedziała, że w połowie lata pokryją wzgórek, a za rok lub dwa zakwitną w całej kotlinie i wąwozie.

Wiatr zawył żałobnie przy szczytach, kiedy nabrała z woreczka garść ziarenek. Siejąc je, zaśpiewała pieśń odkupienia i pociechy, żeby ukoić zranioną ziemię. Na koniec przysypała nasiona warstwą gleby, która miała chłonać wodę z deszczów i chronić młode kielki przed zimnem. Te same czynności powtórzyła w wielu miejscach na stokach kopca.

Już kończyła pracę, gdy rydel nagle wypadł jej z ręki i zniknął bez śladu. Osłupiała. Z pewnością nie wykopała dziury na tyle głębokiej. Może trafiła na jamę albo rozpadlinę.

Krzyknęła na Achmeda i zaczęła rozgrzebywać ziemię rękami. Nim Drak wspiał się na pagórek, dostrzegła wąski szyb ze sporym otworem pośrodku.

– Spójrz na to. Pożarło mi rydel.

Drak odłożył broń.

– Po tylu wiekach mogło zgłodnieć.

Rapsodia zajrzała do dziury.

– Zdaje się, że dalej jest coś w rodzaju szybu, ale nie widzę dna.

– Daj mi zerknąć.

Pochylił się nad szczeliną, ale zobaczył jedynie czarną pustkę. Zamknął oczy i wezwał na pomoc swój dar. Pomknął wzrokiem w głąb ziemi. Tunel okazał się wyjątkowo regularny i gładki jak rura.

Po mniej więcej czterdziestu łokciach rozszerzał się i kończył ogromną pieczarą, której sklepieniem był grzbiet kopca. Jej dno znajdowało się na głębokości około pięciuset łokci. Grotę wypełniała woda.

– To jakieś podziemne jezioro – stwierdził Achmed. – Zbadamy je?

– Oczywiście – zgodziła się skwapliwie. – Tylko pozwól mi najpierw dokończyć pracę. Już niewiele mi zostało. Może w tym czasie przygotujesz posiłek?

Achmed skinął głową i otworzył plecak. Po chwili zauważył, że do pieśni pocieszenia wkradły się weselsze tony.

Opróżniwszy cały woreczek nasion, Rapsodia usiadła na pagórku w blasku słońca i zaczęła grać melodię, którą wcześniej śpiewała. Dźwięki fletu nieco złagodziły jęk wiatru dobiegający od szczytów. W muzyce pobrzmiewała radość majowego świątecznego wieczoru. Pieśniarka z trudem hamowała podniecenie na myśl o bliskiej przygodzie. Achmed potrząsnął głową i uśmiechnął się do siebie.

Zjedli obiad i po krótkich poszukiwaniach znaleźli wejście do szybu. Było sprytnie ukryte w części wąwozu, gdzie zawsze zalegał cień. Achmed nie dostrzegł go wcześniej, kiedy buszował po okolicy.

Rapsodia szła za nim, uważając, żeby się nie pośliznąć na stromej błotnistej ścieżce. Za zakrętem tunelu otoczył ich mrok.

– Jak tu głęboko?

– Trzysta, czterysta łokci, na samym środku więcej. Jakiś tysiąc w najniższym punkcie.

Po długim marszu dotarli wreszcie do przepastnej groty, której ściany ginęły w ciemności. Rozjaśniał ją nikły blask wpadający przez małe otwory w sklepieniu; jeden z nich pochłoniął rydel. Światła najwyraźniej wystarczało roślinom, bo porastały brzegi ogromnego stawu. W powietrzu unosił się zgniły odór bagna, choć w jeziorze był prąd.

Na skraju wody stała prostokątna miedziana konstrukcja o spojeniach uszczelnionych woskiem i bokach ozdobionych przeplatającymi się wzorami. Przed nią wystawały z piasku metalowe rolki, niegdyś osadzone w żelaznej prowadnicy. Teraz została z niej kupka rdzy.

Przednia ściana budowli miała na dole zawiasy. Po dokładnym zbadaniu Achmed i Rapsodia doszli do wniosku, że to hangar na jakiś pojazd wodny. Zardzewiałe urządzenie do cumowania nadal tkwiło w piasku, kruche i porośnięte glonami.

Gdy Drak otworzył miedzianą klapę, okazało się, że w środku rzeczywiście jest łódź. Metalowe wiosło leżało obok na warstwie ryżu. Rapsodia w pierwszej chwili pomyślała, że białe ziarenka to larwy, i odskoczyła, kiedy wysypały się jej na nogi. Achmed śmiał się z niej długo. Wyciągnął łódź z suchego doku i obejrzał dokładnie.

Zrobiono ją z drewna i obito cienką warstwą miedzi. Metal zaśniedział, ale dzięki niemu w nadpróchniałym kadłubie nie było żadnych dziur. Achmed zepchnął łódź na wodę.

– Umiesz pływać?

– Tak. – Rapsodia spojrzała na jezioro. Na drugim brzegu dostrzegła jakiś budynek. – A ty?

– Trochę. Wystarczająco. Nie wygląda na głębokie.

Zrobiła powątpiewającą minę. Oceniała, że na środku może być około pięćdziesięciu łokci.

– Tchórzysz?

– Oczywiście, że nie – oburzyła się. – To ja tutaj umiem pływać. Chodźmy.

Drak znalazł drugie wiosło z nieznanego im metalu, zadziwiająco lekkiego, bez śladu rdzy czy śniedzi.

Ruszyli przez jezioro, wiosłując na zmianę. Gdy przychodziła kolej Achmeda, Rapsodia rozglądała się z ciekawością. Sklepienie jaskini znajdowało się tak wysoko, że nie mogła go dojrzeć w świetle wpadającym przez otwory. Odnosiła wrażenie, jakby patrzyła na zachmurzone niebo. Jezioro było czyste, tak że nawet na środku widzieli dno. Tu i ówdzie śmigały ryby, wiatr, choć nie tak silny jak na górze, marszczył powierzchnię wody.

Wokół brzegu wyrastały z ziemi stalagmity, z sufitu zwisały stalaktyty, lśnią jak kryształy. Gdy od czasu do czasu odbijał się od nich promień słońca, na ścianach groty zapalały się refleksy.

Mniej więcej w połowie drogi ujrzeli wodospad. Zasilana deszczami woda spadała z hukiem ze skalnej półki znajdującej się tuż pod kopułą pieczary. Pieśniarkę zauroczyła jego muzyka wzmocniona przez liczne echa.

– Pięknie tu – powiedziała.

Achmed uniósł brew, ale nie odezwał się słowem.

Gdy wreszcie dotarli do brzegu, ich oczom ukazała się budowla, którą dostrzegli wcześniej z przystani. Okazało się, że mały kilkusetletni dom stoi na wyspie leżącej dokładnie pośrodku jeziora.

Rapsodia wierciła się niecierpliwie, kiedy jej towarzysz przybijał do bardzo starego pomostu. Najchętniej wyskoczyłaby już teraz i dobrnęła przez wodę do suchego lądu. Stwierdziła z rozbawieniem, że Drak nie ma dużego doświadczenia w manewrowaniu łodzią. Po raz pierwszy przekonała się na własne oczy, że nie jest mistrzem w jakiejś dziedzinie. Ucieszyła ją ta obserwacja. Jego najwyraźniej nie.

– Rusz się i przycumuj łódź – wycodził przez zęby. Rapsodia spełniła polecenie, ukrywając uśmiech.

Z miejsca, gdzie plaża przechodziła w ubitą ziemię porośniętą suchą trawą, widzieli całą wyspę. Obok domku ujrzeli zapuszczony ogródek z rabatami kwiatowymi i marmurową altanką o ścianach osmalonych jak po pożarze.

Od chwili, gdy stanęli na brzegu, czuli w powietrzu głuchy gniew, zapiekły żal i bezmierny smutek. Rapsodia zadrżała i przysunęła się bliżej do Achmeda. Drak nie wyglądał na poruszonego. Nieraz już widywał miejsca, gdzie rodzi się nienawiść.

Zrobili szybki rekonesans po wyspie, choć nieobecność żywych istot rzucała się w oczy. Później Achmed spojrzał na komin, zbadał cegły, które nadal spajała stara krusząca się zaprawa, i wskazał głową drzwi. Weszli do środka.

Uderzył ich odór starości, pleśni, zatęchłego powietrza i rozkładu. Drak zostawił drzwi otwarte, żeby przewietrzyć dom. Rapsodia dobyła miecza i wyciągnęła go przed siebie jak pochodnię. Oczy błyszczały jej z podniecenia.

Po prawej stronie zobaczyli salonik, po lewej wąskie schody prowadzące na piętro. Achmed puścił ją przed sobą, żeby oświetlała drogę płonąca klingą. Dom, podobnie jak meble, miał wiele cech charakterystycznych dla architektury Zagubionej Wyspy. Było oczywiste, że pochodzi z epoki cymriańskiej. Bolgowie z pewnością nigdy nie postawili tu stopy.

W saloniku, niegdyś zapewne przytulnym, znajdował się kominek, a nad nim pięknie rzeźbiona półka pokryta grubą warstwą kurzu. Z pokoju wchodziło się do kuchni, która zajmowała cały tył budynku.

Achmed z ciekawością zajrzał do spiżarni oraz wielkiego pieca z licznymi poziomami na różne rodzaje potraw. Doprowadzono wodę z jeziora, by chłodziła cegły. Miedziane rury biegły również do zlewu i do pomieszczeń na górze. Całość wyposażenia świadczyła o technice wyższej niż stosowana w tych stronach, nawet w Canrif.

Rapsodia obeszła klatkę schodową i trafiła do jadalni, w której stał doskonale zachowany dębowy stół i cztery krzesła. Środkowe szybki panoramicznego okna były przezroczyste, pozostałe – oszlifowane jak pryzmaty.

Ta strona domu wychodziła na wodospad, dlatego tafla szkła zajmowała prawie całą ścianę. Poza tym blask zachodzącego słońca przefiltrowany przez szczelinę między urwiskiem a kopułą oraz tęcze, które powstawały dzięki pryzmatom, z pewnością stwarzały nastrojową atmosferę przy kolacji. Rapsodia chemie zobaczyłaby jadalnię w pełnej krasie.

Gdy wróciła do głównego holu, Achmed właśnie wchodził po schodach. Ruszyła za nim, odgarniając pajęczyny, które zwisały z sufitu.

Na górze Drak skręcił w lewo. Stała za nim w progu i zajrzała do środka. Niewielki pusty pokój mieścił się w wieży, której z zewnątrz nie zauważyli. W wykuszu pod rzędem okien stała kanapka o całkiem zbutwiałym obiciu. Choć poza tym nie było tu żadnych mebli, Rapsodia doszła do wniosku, że pomieszczenie służyło kiedyś za gabinet.

Po drugiej stronie schodów znajdował się większy pokój, sypialnia, bo na wprost wejścia stało duże łóżko. Wezgielnie wyrzeźbiono z ciemnego drewna i nawet gruba warstwa kurzu nie mogła przesłonić jego piękna.

Przeciwnie ścianę zajmował kominek o przewodzie kominowym wspólnym z piecem kuchennym, a półka nad nim była mniejszą wersją tej z salonu. Niemiłosiernie brudne okno wychodziło na jezioro. Deski podłogowe przegniły. Rapsodia stąpała po nich ostrożnie z obawy, że spadnie na parter.

Sypialnia miała dwie pary drzwi. Jedne z nich, obok łoża, prowadziły do pomieszczenia nad schodami, które okazało się garderobą. W niedużej mahoniowej szafie Rapsodia znalazła mały dziecięcy szlafroczek z białej koronki ozdobiony kolorowym haftem. Odwiesiła go starannie.

Achmed tymczasem otworzył drugie drzwi i stał teraz oparty o framugę. Rapsodia podeszła i zajrzała mu przez ramię.

Zobaczyła łazienkę, podobną jak w Canrif, z dużą i piękną, choć zaśnieżoną wanną, wyposażoną w ręczną pompę. Posadzka była wyłożona marmurowymi płytkami, do sedesu i umywalki biegły miedziane rury. Dno muszli i wanny odbarwiło się od kapiącej wody.

– Już się napatrzyłeś? – Głos Achmeda przerwał ciszę, której od setek lat nic nie zmąciło. Rapsodia aż podskoczyła.

– Chyba tak – powiedziała niechętnie. Dom ją fascynował. Ruszyła schodami w dół. Wychodząc, rzuciła za siebie ostatnie tęskne spojrzenie.

Ogrody zaniedbywano na długo przed tym, jak pozwolono im umrzeć. Ślady na murach wskazywały, że kiedyś pięły się po nich róże. Winorośl nie była przycinana od wieków.

Rapsodii zrobiło się żal. Wyobrażała sobie, jak mogłoby wyglądać otoczenie domu z roślinami pielęgnowanymi troskliwie. Lecz fantazując o bajecznych ogrodach, wiedziała, że i tak nic by tutaj nie wyrosło. Z gleby emanowało zło, które nie pozwoliłoby zakwitnąć żadnej roślinie. Gniew przesiąknął w głąb ziemi.

Achmed zbliżał się do altanki stojącej na niewielkim wzniesieniu na drugim końcu wyspy, w strategicznym punkcie. Nie domyślał się, co właściwie kierowało budowniczym przy jego wyborze. Obszedł budowlę, przyglądając się jej osadzeniu w gruncie. Po chwili stwierdził, że prawdopodobnie wyciosał ją na miejscu prawdziwy mistrz w swoim fachu. Marmurowy blok tak ustawiono, żeby podkreślić jego najlepsze cechy. Był gładko ociosany i wypolerowany, wzdłuż dachu biegły delikatne ornamenty, kopułę podtrzymywało sześć kolumn.

Rapsodia weszła po marmurowych stopniach i zobaczyła stojące obok siebie pośrodku rotundy dwie półkoliste ławki, tworzące literę S. Zrobiono je z tego samego kamienia co altankę, prawdopodobnie razem z nią.

W głębi budyńeczku leżała na podłodze roztrzaskana duża klatka dla ptaków, misternie kuta z metalu podobnego do złota. Słup, na którym kiedyś była zamocowana, czarny od brudu i sadzy jak cała altana, miał z pięć łokci wysokości.

Podziwiając mistrzostwo wykonania klatki, niespotykane w krainie Bolgów, dotknęła drzwiczek i cofnęła się gwałtownie, odepchnięta siłą wizji, która raptem ją nawiedziła. Czas zwolnił i Rapsodia ujrzała altankę taką, jaka była dawno temu. Kolumny lśniły bielą w półmroku ogrodu.

Przed nią stał mężczyzna o gęstej siwej brodzie i krzaczastych ciemnych brwiach. Miał na sobie złotą szatę. Jego oblicze wykrzywiała wściekłość, oczy miały błyskawice.

Widziała, jak nieznajomy robi zamach i wymierza potężny cios prosto w jej twarz. Usłyszała trzask, poczuła przeszywający ból, kolumny zawirowały. W następnej chwili obraz zniknął, a ona leżała na podłodze i patrzyła na kopulaste sklepienie. Achmed podtrzymywał jej głowę.

Wstała z jego pomocą, dała się zaprowadzić do jednej z kamiennych ławek. Usiadła. Minęło sporo czasu, nim świat wokół niej znieruchomiał.

– Teraz wiem, skąd tutaj wszędzie tyle gniewu.

– Co zobaczyłaś?

Rapsodia potarła skronie.

– Miałam okazję oczami Anwyn ujrzeć Gwyllliama w chwili, kiedy ją uderzył. Pamiętasz, co mówił Llauron?

– Tak.

– Delikatnie to ujął. Gwylliam musiał zrobić żonie dużą krzywdę. W uszach nadal mi dzwoni.

– Nic dziwnego, że próbowała go zniszczyć.

– Mimo wszystko nadal uważam jej reakcję za trochę przesadzoną. Ja też byłabym wściekła, ale nie sądzę, żebym z tego powodu poprowadziła dziesięcioletnią armię na śmierć. Raczej dosypałabym mu trucizny do owsianki.

– Z manuskryptów wynika, że pierwsza i trzecia flota i tak szukały pretekstu, żeby na siebie uderzyć. Uciekinierzy, którzy opuścili Serendair w ostatniej chwili, uważali, że poświęcili się dla dobra ogółu, podczas gdy inni dokonali pospiesznej ewakuacji. Po lądowaniu też mieli ciężko, bo musieli wywalczyć sobie drogę przez nowe terytorium, a tymczasem Serenowie z pierwszej floty nie natrafili nażaden opór i wiedli łatwe życie w lasach. Oczywiście tak pisał Gwylliam. Według mnie jego drobna bójka była jedynie iskrą, która padła na beczkę prochu.

Rapsodia wstała z ławki i rozejrzała się w zamyśleniu.

– Więc tutaj zaczęła się wojna. Na tej wyspie, w altanie. Nic dziwnego, że to miejsce jest przeklęte.

Achmed parsknął dziwnym śmiechem. Pieśniarka zerknęła na niego z ukosa.

– Boisz się duchów, Rapsodio?

– Oczywiście, że nie – powiedziała urażona. – To one się mnie boją.

– Doskonale je rozumiem – rzucił Drak sarkastycznym tonem. – Jesteś przerażająca.

Rapsodia uśmiechnęła się lekko i wzięła do ręki flet. Z powrotem usiadła na ławce. Zamknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać apatycznego wiatru, chłonąc dźwięki wypełniające grootę, szukać fałszywych nut. Znalazła je prawie natychmiast. Przystawiła instrument do ust i zagrała fragment delikatnej melodii. Czyste tony pomknęły ku ścianom pieczary, odbiły się od nich, zawisły w prawie nieruchomym powietrzu i chwilę później ucichły.

– Teraz już rozumiem! – wykrzyknęła podniecona, zrywając się na równe nogi. – Nikt do tej pory nie odkrył tej jaskini, bo chronią ją naturalne wibracje. Dno wąwozu, wicher hulający przy szczytach, podziemne jezioro i huk wodospadu tworzą dźwiękową mgłę, która zasłania grootę. Natomiast altana dzięki swojemu położeniu i materiałowi, z jakiego jest zbudowana, wzmacnia odgłosy. Stanowi naturalne podium. Każde wypowiedziane tutaj słowo niesie się daleko, dociera wszędzie. Emanująca stąd nienawiść też wydostaje się na powierzchnię, i to ona tak przeraża Firbolgów. Dlatego kotlina wydaje się nawiedzana przez demony.

Achmed tylko pokiwał głową. Jemu też nie podobało się to miejsce. Woda zawsze była jego wrogiem, uniemożliwiała tropienie ofiar. W starym świecie mogły się przed nim ukryć tylko blisko morza albo w jego falach.

– Wracajmy, skoro rozwiązałaś tajemnicę.

– Poczekaj, muszę jeszcze coś zrobić.

Zlekceważyła mordercze spojrzenie Draka i zaczęła grać na flecie. Wsłuchiwała się w smutne tony rozbrzmiewające w jaskini i do każdego dodawała weselszy, w hymn żałobny wplatała pieśń odkupienia i spokoju. Efekt nie był natychmiastowy, ale pod koniec wyczuła lekką poprawę.

– Mogę dostać tę wysepkę na własność? Proszę! Odnowię dom. Wymaga jedynie drobnych prac ciesielskich i porządnego sprzątnia. Ułożę specjalną melodię, uzdrowię to miejsce, przepędzę straszne wspomnienia, które zostawili tu Gwylliam i Anwyn. Będę miała swoje... hm, moje...

– Księżstwo?

– Co?

– Księżstwo. Grunthor nazywa cię księżniczką. Powinniśmy nadać ci tytuł i ziemię. Gratulacje. Zostałaś arystokratką wśród Firbolgów.

Rapsodia nie zareagowała na sarkazm.

– Dobrze. Dzięki temu będę mogła występować jako twój ambasador, a tytuł doda mi wiarygodności. – Roześmiała się, widząc minę Achmeda. – Nigdy nie miałam niczego na własność.

– Oddaję ci grootę w wieczne władanie, pod warunkiem że wreszcie stąd pójdziemy.

– Zgoda.

Uścisnęli sobie ręce i pobiegli do łodzi.

– Jak nazwiesz swoją posiadłość? – zapytał Achmed, wiosłując przez jezioro. Poruszali się teraz szybciej niż w drodze na wyspę.

– Myślałam o tym – odparła Rapsodia z błyszczącymi oczami. – Najlepsza byłaby jakaś nazwa ze starego świata, potężna i królewska, żeby to miejsce przejęło część cech swojego poprzednika. Dobry pomysł, nie sądzisz?

Drak westchnął.

– Co tylko zechcesz. To twoje księstwo. A tak przy okazji, będziesz mi płacić podatek od towarów, które wyprodukujesz.

– Dobrze – zgodziła się, choć wiedziała, że jej towarzysz nie mówi poważnie. – Ale musisz pobierać go w naturze. Nie zamierzam nic sprzedawać, wolę podarować.

Achmed uniósł brew.

– Sądziłem, że zamierzasz wytrwać w celibacie?

Rapsodia spiorunowała go wzrokiem.

– Nie to miałam na myśli, tylko przyprawy, zioła, może kwiaty. Potrafisz być prawdziwym świntuchem.

– Żartowałem.

– Wiem.

Spojrzała na malejący w dole wodospad. Jego muzyka cichła, a ją opuszczał dobry nastrój.

Achmed zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Przepraszam.

Machnęła ręką.

– O co chodzi, Rapsodio?

Nie odrywała wzroku od wyspy niknącej w lekkiej mgielce.

– Nie wiem. Może to zazdrość? Niezupełnie o nią chodzi, ale nie znajduję lepszego wytłumaczenia.

– Ty jesteś zazdrosna? O co?

Gdy w końcu na niego popatrzyła, w zielonych oczach brakowało niedawnego ożywienia.

– Nie zazdrosna, tylko zagubiona. Ciebie nie dręczy po nocach żal, Achmedzie, w starym świecie nie zostawiłeś nikogo, kogo byś oplakiwał. Tutaj masz powód, żeby żyć, okazje, żeby dokonać czegoś wiekopomnego. Możesz zacząć wszystko od nowa.

Drak przełknął ślinę.

– Ty również dostałaś wielką szansę. Pomagasz mi w osiągnięciu ważnego celu.

Potrząsnęła głową.

– Nie zrozum mnie źle. Chcę pomóc tobie i Bolgom, zwłaszcza dzieciom. Ale nie jest to dla mnie sensem istnienia.

– A co nim jest?

– Gdybym wiedziała, nie czułabym się zagubiona. – Zmieniła go przy wiosłach. – Mama wciąż karciła mnie za to, że zostawiam drzwi otwarte. Mieszkaliśmy na otwartej równinie i wiatry, które przedzierały się przez barierę wzgórz, potrafiły być gwałtowne. Nadal ją słyszę: „Proszę, zamknij drzwi”. Nigdy się tego nie nauczyłam. Co za ironia losu, że mój dom został zdmuchnięty przez wichurę. Chyba nigdy nie pogodzę się ze stratą. Nie wiem dlaczego. Próbuję, ale wspomnienia wciąż do mnie wracają, co noc, nawet po tak długim czasie. Muszę więc najpierw uporać się z żalem i tęsknotą, a potem zastanowić się, co dalej. Potrzebuję tego, co ty już masz: domu, celu, szansy, żeby osiągnąć coś samodzielnie. I kogoś, komu ja będę potrzebna: Jo, wnuki, Bolgów do pewnego stopnia, ciebie i Grunthora. Może na początek wystarczy mi własne księstwo.

Achmed odetchnął z ulgą, widząc, że oczy Pieśniarki odzyskują blask. Opuścił go smutek, który mimo woli odczuł przed chwilą z jej powodu. Zaczynała na niego działać tajemnicza moc, którą dał jej ogień.

– Jak zatem je nazwiesz? – spytał.

Rapsodia pomyślała o zamku sereńskiego króla, zbudowanym na urwisku ponad rozchukanym morzem. Nigdy go nie widziała.

– Chyba Elysian.

Trzy tygodnie później ogłoszono w całej krainie Bolgów, że nowy król udaje się do Kraldurge, żeby złożyć ofiarę demonom. Ogromny wóz wyładowano darami dla złych bogów, owinięto je brezentem przed oczami ciekawskich, ale żaden się nie pojawił, by życzyć władcy powodzenia. Towary kupiono w Bethe Corbair i Sorboldzie według listy przygotowanej przez Pieśniarkę, znaną w kraju jako Pierwsza Kobieta Króla.

Rapsodia przyzwyczaiła się do tego określenia, choć nie tylko ją bawiło, ale również irytowało. Wszystko dla naszego bezpieczeństwa, powiedziała do Jo, nazywanej Drugą Kobieta. Bolgowie mieli w zwyczaju napastowanie żon przywódców, którym chcieli rzucić wyzwanie, a do nich na razie żaden nawet się nie zbliżył. Rapsodia nie wspomniała siostrze o Elysian, bo chciała jej zrobić niespodziankę, kiedy dom będzie już odnowiony.

Wóz ofiarny wyruszył pewnej nocy ku Wewnętrznym Zębom i wkrótce pochłonęła go ciemność. Imperator i sierżant major wrócili następnego dnia, trochę zmęczeni po spotkaniu z demonami, ale poza tym w całkiem dobrej formie.

Demony uznały władzę króla, oznajmił wielkolud. Przestaną pożerać jego poddanych, pod warunkiem że Bolgowie będą trzymać się z dala od ich ziem. Jeśli naruszą tę umowę, straszne opowieści z dawnych czasów okażą się bajeczkami w porównaniu z losem, który spotka intruzów. Achmed uśmiechnął się, gdy po skończonej przemowie Grunthora przez zgromadzenie przebiegł dreszcz.

Rapsodia wróciła do Elysian, zachwycona nowymi nabytkami.

Ucieszyła się bardzo, kiedy Achmed i Grunthor dostarczyli jej meble i materiał na nowe zasłony i kapy. Z wdzięczności poczęstowała ich kolacją, którą przygotowała w świeżo wyszorowanej kuchni.

Gdy siedzieli przy stole jadalnym, podziwiając zachód słońca za dużym oknem, tęcze rozjaśniały im twarze kolorowym światłem. Rapsodia uśmiechnęła się do siebie. Pieśń spokoju działała, rośliny zaczynały kiełkować, a ona miała własny dom, w którym mogła przyjmować gości.

Po kolacji odprowadziła przyjaciół na brzeg i pomachała im, kiedy wsiadali do jednej z dwóch nowych łodzi. Długo patrzyła za nimi, aż zniknęli z oczu. Potem wróciła do domu, gdzie z komina snuł się dym, a w oknach paliły się światła, rozpraszając ciemność groty.

Weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rosentharn, dowódca gwardii Bethany, odchrząknął i z duszą na ramieniu zapukał do sypialni regenta.

Minęła wieczność, nim rozległ się głos lorda Rolandii:

– Kto tam?

– Rosentharn, milordzie.

Nawet przez grube drzwi słyhać było przekleństwa.

– Czego chcesz? Jeśli znowu chodzi o napaść graniczną, nie chcę nic wiedzieć, póki nie podejda pod moją twierdzę.

Przywódca gwardii poluźnił kołnierzyk.

– Nie, panie. Przychodzę z północnej bramy. Dotarła do nas wieść, że lady Madeleine Canderre jest w drodze do Bethany.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich mocno rozczochrany Tristan Steward.

– Przybędzie tuż po świcie, milordzie.

Regent przeczesał włosy palcami.

– A tak, dziękuję, Rosentharn.

Dowódca gwardii poczekał, aż drzwi się zamkną, dopiero wtedy uśmiechnął się szeroko i ruszył z powrotem na posterunek.

– U licha!

Z głębi komnaty dobiegł gardłowy śmiech.

– Przepraszam, Pru. Wkrótce zjawi się moja narzeczona.

Kobieta ponownie się zaśmiała.

– No to przyjdź do mnie czym prędzej.

Tristan uśmiechnął się i rozwiązał pasek szlafroka.

– Jesteś bardzo niegrzeczna. I to mi się w tobie bardzo podoba.

Podszedł do mahoniowego kredensu, nalał dwa kieliszki porto z kryształowej karafki i zaniósł je do łóżka. Jeden podał Prudence, przebiegając jednocześnie wzrokiem po jej ciele. Drugi podniósł do ust, ukrywając smutek, który odbił się na jego twarzy.

Za każdym razem kiedy na nią patrzył, coraz trudniej było mu uwierzyć, że urodzili się tego samego dnia. Mimo różnicy stanów spędzili ze sobą dzieciństwo, razem dojrzewali, niemal dzielili jedną duszę. Czas jeszcze nie naznaczył jego ciała, pozwolił mu zachować młodzieńczą sylwetkę i muskulaturę, ale na Prudence wycisnął swoje piętno; rzecz nieunikniona u ludzi, którzy nie pochodzili od Cymrian.

Zawsze wiedział, że tak się stanie, ale do niedawna o tym nie myślał. Może bliski ożenek skłonił go do podsumowań, do liczenia minionych lat, które na nim nie pozostawiły śladu... na razie. Może dlatego, kiedy był sam, nie czuł zupełnie ich upływu.

Tak czy inaczej, zaczął patrzeć na Pru innymi oczami. Dostrzegał lekko obwisłą skórę, delikatne zmarszczki wokół oczu i ust, plamki na rękach, niegdyś gładkich i jasnych jak alabaster.

Prudence odłożyła grzebień i potrząsnęła głową. W blasku ognia płonącego w kominku zniknęły siwe włosy, które wcześniej zauważył w długich rudych lokach. Kobieta uśmiechnęła się do niego i podciągnęła satynową kołdrę pod brodę.

– Na co patrzysz, Tristanie?

Lord Rolandii odstawił pusty kieliszek na nocny stolik i wyjął z rąk Prudence jeszcze pełny, który przed chwilą jej podał. Usiadł na łóżku, przesunął dłońmi po kołdrze, chwycił za jej brzeg, tuż przy szyi kochanki.

– Chyba jej nienawidzę.

Prudence oparła się o poduszki. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Wiem. I nadal nie rozumiem, dlaczego wybrałaś Madeleine. Zawsze sądziłam, że oświadczysz się tej miłej dziewczynie z Yarim... Jak ona miała na imię?

– Lydia.

– Właśnie. Była ładna i czarująca, choć trochę za spokojna. Jej ojciec jest wielkim właścicielem ziemskim. Co się z nią stało?

– Wyszła za Stephena. Zginęła kilka lat temu w czasie najazdu Lirinów.

– A tak, oczywiście. Teraz pamiętam.

Delikatnie pogłaskała go po policzku. Tristan spojrzał jej w oczy i odsunął kołdrę. W oczach Prudence widział zrozumienie, niezmierną głębię, ciepło przywołujące wspomnienie gorącego źródła, w którym kochali się przed wielu laty. Jej jedynej na całym świecie mógł ufać. Prudence odwróciła twarz do ognia i zamknęła oczy.

Tristan sięgnął po kryształowy kieliszek i delikatnie wylał z niego kroplę porto między jej piersi. Gwałtownie wciągnęła powietrze, tak samo jak w ich pierwszą wspólną noc. Ogarnęło go podniecenie.

Skóra na piersiach Prudence zwiotczała wyraźnie od czasu, kiedy pierwszy raz ich dotknął. Zamknął oczy i przywołał na pamięć ich dawny wygląd, gdy twardniały pod jego dłońmi. Teraz były wiotkie i pokryte takimi samymi plamami jak ręce. Nachylił się i spił kroplę porto. Starał się, żeby Prudence nie dostrzegła na jego twarzy bólu. Ściągnął kołdrę i cisnął na podłogę.

– Dlaczego mi nie powiesz, co cię naprawdę dręczy, Tristanie?

Musnął ustami jej brzuch.

– Dlaczego sądzisz, że coś mnie dręczy?

Odsunęła go od siebie zdecydowanym ruchem, oparła się o wezgielowie i zasłoniła poduszką. Jej oczy zabłysły gniewem.

– Byłam kochanką twojego ojca, Tristanie. Zawsze uważałam się za twoją przyjaciółkę.

Jej reakcja całkiem go zaskoczyła, do reszty gasząc i tak nikły miłosny zapach.

– Oczywiście, że nią jesteś.

– Więc nie baw się ze mną w żadne gierki. Jestem za stara na te bzdury. Widzę, kiedy coś nie daje ci spokoju. Znam twoje nastroje lepiej niż ty sam. Zwykle wszystko mi mówisz. Dlaczego dzisiaj udajesz skrytego?

Tristan westchnął. Nic nie dało się ukryć przed Pru. Walczył nie tylko z melancholią wywołaną przez świadomość, że czas niesprawiedliwie się z nią obchodzi. Niepokoiło go, że kochanka zaczyna przypominać mu matkę. Nie mógł nawet myśleć o jej utracie, ale dręczyło go coś jeszcze.

Wspomnienie Rapsodii.

Od chwili kiedy opuściła jego twierdzę, nie mógł wymazać jej z pamięci. W dodatku aż cierpła mu skóra na myśl, że z wyboru została poddana króla Bolgów. Obraz zielonookiej w ramionach potwora denerwował go równie mocno jak wrażenie, które na nim wywarła. Spędził w jej towarzystwie raptem kilka minut; nie powinien nawet zapamiętać jej imienia.

Uśmiechnął się na widok intensywności spojrzenia Prudence.

– Dobrze, powiem ci, ale pod warunkiem że przed przybyciem Madeleine będę cię mieć tyle razy, ile zdołam.

Odetchnęła z ulgą i wyciągnęła do niego rękę.

– Jak sobie życzysz, wasza wysokość.

Tristan spojrział w sufit, czekając, aż wróci pożądanie. Dzięki wprawnym dłoniom Pru i jego wyobraźni stało się to szybko.

– Słyszałaś o Canrif, gdzie kiedyś rządili Cymrianie?

– Chyba gdzieś w górach na wschodzie?

– Tak. Cztery lata temu zajęli je Firbolgowie.

Zadowolona z rezultatu swoich wysiłków kochanka otoczyła go ramionami.

– Kim są Firbolgowie?

Regent się zaśmiał.

– Nie kim. Ale czym. To potwory, człekokształtne bestie, które zjadają szczury, siebie nawzajem i każdego schwytanego człowieka.

Prudence zadrżała teatralnie, ściągnęła z niego szlafrok i koszulę nocną. Uśmiech zniknął jej z twarzy, gdy zobaczyła jego muskularne barki. Tristan wyglądał tak samo jak przed laty, pierwszej nocy, kiedy do niej przyszedł.

– To straszne.

– Bo oni są straszni, wierz mi. Każdego roku muszę robić z nimi porządek. Moja armia wyłapuje wszystkich, którzy kręcą się w pobliżu Beth Corbair. Ta pora znowu nadchodzi.

Prudence podciągnęła kolana, oparła stopy na jego piersi i łagodnie zepchnęła go z łóżka na podłogę.

– Więc skoro robisz to od co najmniej dziesięciu lat...

– Prawie od dwudziestu. Wcześniej był to obowiązek mojego ojca.

– Dobrze, od dwudziestu. Skoro od tak dawna to robisz, dlaczego akurat teraz tak się przejmujesz?

Tristan chwycił ją za uda i przyciągnął na brzeg łóżka, po czym objął jej biodra, pełniejsze niż kiedyś.

– Mają nowego władcę. Niedawno przysłał emisariusza, kobietę, która w bardzo niegrzeczny sposób zażądała, byśmy zerwali z odwieczną tradycją Wiosennego Czystczenia.

– Z corocznym wyłapywaniem Firbolgów z okolic Bethe Corbair?

– Tak.

Przesunął dłońmi po jej brzuchu i talii, ujął piersi w dłonie. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że są mniejsze, jędrniejsze, doskonalsze w kształcie, a między nimi wisi złoty medalionik. Obraz wzbudził w nim silniejsze pożądanie. Pochylił się nad Prudence, a ona oplotła go nogami w pasie.

– Czegoś tu nie rozumiem. Jeśli chcą uniknąć pogromu, wystarczy, że przestaną atakować Bethe Corbair, prawda?

– Tak.

– I powiedziałeś to wysłannicze?

– Tak... no, właściwie odesłałem ją do suwerena z wiadomością, że odrzucam jego żądania.

Spocili mu się dłonie, kiedy przypomniał sobie twarz Rapsodii, lśniące pasma złotych włosów okalające gładką twarz o różanej cerze, roziskrzone zielone oczy.

Prudence wzięła jego rękę i włożyła sobie między uda.

– W takim razie dlaczego się denerwujesz, Tristanie?

Nogi Rapsodii były niewiarygodnie zgrabne, nawet w wełnianych spodniach. Jego oddech stał się płytszy. Poczował, że skóra mu płonie, a ręce drżą. Ogarnęło go poczucie winy, że kochając się z Prudence, wyobraża sobie inną kobietę.

– Bo nie ufam temu królowi. Podejrzewam, że planuje atak, skoro... Bolgowie są... podobno... zjednoczeni.

Prudence usiadła i przycisnęła lśniące od potu piersi do jego nagiego torsu, objęła go ramionami. Poruszała się tak, jak lubił, o czym dobrze wiedziała. Praktyka i zażyłość zwykle czyniły akt niemal automatycznym. Lecz dzisiaj z jakiegoś powodu było w nim więcej pasji, niepohamowanej żądzy.

Tristan powędrował dłońmi do włosów Pru, których rzadko dotykał w takich chwilach. Zaczął gładzić długie pasma, owijając je wokół palców.

Jak płynne światło słoneczne, pomyślał. Związane prostą wstążką ze skromnego czarnego aksamitu. Tylko wściekłość powstrzymała go wtedy od przesadzenia biurka jednym susem i rozpuszczenia tych złotych włosów.

– Co zamierzasz, Tristanie?

Chwyił Prudence za biodra i przyciągnął do siebie. Zadrżał, kiedy opasała go nogami. Płonął w nim taki sam ogień, jaki dostrzegł w oczach Rapsodii. Od tamtej pory jej wewnętrzny żar wyobrażał sobie w najdziwniejszych fantazjach.

– Rozgromić ich – wysapał. – Pośle wszystkich... swoich żołnierzy... Zniszczę łotra... i jego... żalosnych poddanych.

Łapczywie przyłgnął ustami do warg Prudence, pozbawił ją oddechu. Kochanka przywarła do niego kurczowo i po chwili szepnęła do ucha:

– Tristanie?

– Mmm...?

– Jak ma na imię ta kobieta?

– Pru...

– Jej imię, Tristanie.

– Rapsodia – jęknął, gdy ogień rozlał się po całym jego ciele. – Rapsodia – powtórzył ciszej.

Opadł na Prudence, wyczerpany i zawstydzony.

Leżał bez ruchu, aż w końcu poczuł, że ciało kochanki robi się chłodne. Gdy już dłużej nie mógł unikać spojrzenia jej w oczy, podparł się na łokciach i uniósł głowę.

Nie takiego wyrazu się spodziewał. Bał się, że zobaczy gniew, zranioną dumę i ból, ale dostrzegł jedynie zrozumienie, nic więcej.

– Przepraszam, Pru – wykrztusił. Policzki mu płonęły.

Prudence cmoknęła go w czoło i wstała z łóżka.

– Nie musisz, najmilszy. – Schyliła się po halkę leżącą na podłodze i zaczęła się ubierać.

– Nie jesteś zła?

– Dlaczego miałabym być zła?

Przeczesał palcami wilgotne włosy.

– Skąd wiedziałaś?

Prudence podeszła do wysokiego okna, rozchyliła zasłonę i spojrzała na wygwieżdżone niebo.

– Znam cię przez całe życie, Tristanie. To ja, pamiętasz? Ta niesforna córka pomywaczki, z którą razem ukrywałeś się w spiżarni przed ojcem. Od prawie czterdziestu lat wsuwasz mi rękę pod spódnicę, więc umiem poznać, kiedy jesteś nieobecny duchem. Wiem, że mnie kochasz, a ty wiesz, że ja kocham ciebie. Zawsze będę cię kochać. Nie musisz mnie pragnąć, wystarczy, że kochasz. Ostatnio parę razy wziąłeś mnie do łóża z litości...

– Nic podobnego, nigdy! – zaprotestował z oburzeniem.

– Dobrze. Okłamuj się, jeśli musisz, ale ja nie mam zamiaru. Czułam, że od pewnego czasu ktoś inny zaprzęta ci myśli... i nie tylko. Teraz nawet śpiąc jesteś bardziej podniecony, niż kochając się ze mną. Cieszę się jednak, że to nie o Madeleine śniesz. Zaczynam się obawiać, że postradałeś rozum. A tak przy okazji, ona jest jedzą.

Rzuciła Tristanowi uśmiech, a on mimo woli go odwzajemnił. Odeszła od okna, wzięła z toaletki suknię i włożyła ją szybko. Rozczesała splecione włosy platynowym grzebieniem.

– Posłuchaj, Tristanie. Cokolwiek czujesz do tej kobiety, o czymkolwiek marzysz, nie trać głowy. Podejrzewam, że eskalację przemocy rozważasz z żądzą i wściekłości, a nie z konieczności. Uważaj, Tristanie. Wojny wszczynane z powodu kobiety prowadzą do klęski.

Regentowi zrzęda mina.

– Jestem zdumiony, że mówisz takie słowa – powiedział urażonym tonem. – Wysyłając armię w bój, kieruję się wyłącznie troską o bezpieczeństwo Rolandii i moich poddanych. Nie mogę uwierzyć, że posądzasz mnie o rozpętywanie wojny, żeby zrobić wrażenie na jakiejś kobiecie.

– Czyżby? W takim razie chcesz odplacić jej panu za to, że wybrała jego zamiast ciebie. Albo została zraniona twoja duma. Nie padnij jej ofiarą.

Zagniewany odwrócił się plecami. Ostre słowa sprawiały mu duży ból, a jeszcze większy świadomość, że Pru może mieć rację.

– Prudence?

Gdy zerknął przez ramię, już jej nie było w komnacie.

Co rok wraz z końcem zimy na Bolgów padał strach. Odwilż stanowiła dla nich zapowiedź Loterii, w której wybierano najmniej użytecznych osobników, żeby umieścić ich w sztucznych wioskach budowanych pospiesznie na skraju Zębów.

Coroczna danina składana żądnym krwi rolandzkim wojakom bardziej niż wszystko inne przekonała Achmeda o sprycie pobratymców. Imponujący był już sam fakt, że przez kilka wieków najeźdźcy nie przejrżeli podstępui. Zestawienie strat i zysków wykazało bez żadnych wątpliwości, że z Bolgami należy się liczyć.

Wszyscy dostali rozkaz, żeby zjawić się w kanionie za Zębami w pierwszy dzień po nastaniu odwilży. Byli niezwykle cisi, kiedy Achmed pojawił się na wrzosowisku. Silni i wpływowi nigdy nie brali udziału w Loterii, dlatego wezwanie bez względu na pozycję społeczną najpotężniejsi uznali za niepokojące i obraźliwe. Ich postawa zmieniła się szybko, kiedy władca przemówił.

Koniec Loterii, oznajmił. Bolgowie już nigdy więcej nie będą jagniętami idącymi na rzeź. W tym roku zgłoszą się ochotnicy. Kiedy przedstawił swój plan, nie znalazł się nikt, kto wyraziłby żal z powodu zmiany obyczaju.

Tristan Steward obserwował z okna gabinetu wojsko gromadzące się na dziedzińcu. Na Wiosenne Czyszczenie nigdy nie posyłano więcej niż trzystu lub czterystu rekrutów i podoficerów. Ale ponieważ sam ogłosił, że w tym roku wyruszą wszyscy zdadni do walki, plac przy stajniach okazał się dla nich za mały. Prawie dwa tysiące żołnierzy powodowało nieopisany harmider.

Stephen Navarne z niepokojem patrzył na zbrojny tłum. Wcześniej próbował przekonać kuzyna, żeby odwołał akcję, lecz został wyśmiany nie tylko przez lorda Rolandii, ale również przez Quentina Baldasarre, regenta Bethe Corbair. Ihrman Karsric, diuk Yarim, nie odezwał się słowem.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i chwilę później do pokoju wszedł Rosentharn.

– Milordzie?

Steward odwrócił się zaskoczony. Dowódca zawsze przebywał z oddziałami do czasu ich powrotu, a w twierdzy zjawiał się tylko wtedy, gdy miał coś ważnego do zameldowania, czyli rzadko.

– Czy byłbyś tak łaskawy, panie, i przemówił do żołnierzy? Ich morale jest dość niskie, bo wielu uważa zadanie za uwłaczające. Do tego stopnia, że można wątpić w powodzenie misji.

– Naprawdę? A dlaczego?

Rosentharn zakaszłał.

– Do Czyszczenia zwykle wyznacza się żółtodziobów w ramach szkolenia i żołnierzy ukaranych dyscyplinarnie, więc ci, którzy już kiedyś wypełnili ten obowiązek, zastanawiają się, za co ponownie dostali karę.

– Może im się należy – stwierdził diuk Bethé Corbair. – Moja armia nigdy nie kwestionuje rozkazów dowódcy.

– Zamknij się, Quentin – warknął lord Rolandii. – Będę wdzięczny, jeśli zachowasz swoją opinię dla siebie. Nie uznałeś za stosowne wesprzeć naszego przedsięwzięcia własnymi oddziałami, co jest dość dziwne, zważywszy, z kim graniczą twoje ziemie. Dla mnie to duży kłopot. Moi żołnierze mają do krainy Bolgów siedem dni drogi. Prawdę mówiąc, zastanawiam się nad nałożeniem na ciebie podatku, żeby opłacić akcję, którą od wieków za ciebie podejmujemy.

– Dzięki naszym podatkom utrzymujesz armię – wtrącił diuk Yarim. – Jeśli zaczniesz naliczać je od poszczególnych kampanii, będziemy musieli rozważyć, czy jest konieczna na stałe. Moje wojsko śmiało może przejąć zadanie, skoro mają się z nim wiązać dodatkowe koszty.

– Nadal uważam, że powinniśmy się zastanowić, czy akcja w ogóle jest potrzebna – odezwał się Stephen Navarne. – Już ci mówiłem, że ludzie, przeciwko którym teraz wyruszasz, są doskonale wyszkoleni i bardzo potężni. Jeszcze raz radzę ci wycofać się w porę. Dlaczego nie chcesz zawrzeć traktatu pokojowego? Może od niego zaczęłaby się wymiana handlowa?

Lord Rolandii spojrział na kuzyna z niedowierzaniem.

– Zwariowałaś? – Z jego tonu wynikało, że odpowiedź jest oczywista. – Handel z Bolgami? Traktat pokojowy? Nic dziwnego, że musiałem cię ratować, gdy wybuchło u ciebie powstanie chłopskie. Zejdźcie mi z drogi.

Odsunął regentów na bok i wymaszerował z gabinetu razem z dowódcą oddziałów.

Achmed patrzył, jak się zbliżają. Oceniał na oko, że jest ich dwa tysiące, co chwilę później potwierdził Grunthor.

– Wysłał całą brygadę, trzy, może cztery kohorty – zameldował z punktu obserwacyjnego w Kotle. – Chyba powinniśmy uznać to za komplement.

– Musimy pomyśleć o specjalnych podziękowaniach – stwierdził król. – Rapsodio, zabierz siostrę w bezpieczne miejsce.

– Nic z tego – oświadczyła Jo. – Przez cały tydzień ćwiczyłam lanie wrzącej smoły. Jestem w tym naprawdę dobra. Nie po to wdychałam smrody, żebyś teraz mnie odprawił.

– Jak chcesz.

– Dzielną dziewczyna – szepnął Grunthor z aprobatą.

Rapsodia westchnęła.

– Regencie, ty ośle! Cóż, ostrzegałam go. Odniosłam wrażenie, że nie jest zbyt bystry. Szkoda, że za jego głupotę zapłacą żołnierze.

– Tak jest od wieków – skwitował Achmed. – Ale popatrz na to z jaśniejszej strony. Jeśli damy mu nauczkę, może w przyszłym roku nie spróbuje najazdu, choć pewnie za wysoko go oceniam.

– A poza tym będzie świetna zabawa – dodał Grunthor. – Moje wojsko nie może się doczekać.

– Cóż, w takim razie ruszajmy – powiedział Achmed i spiął konia ostrogami.

Rozgromienie nieprzyjaciela zabrało Bolgom niecałą godzinę. Zamiast na słabeuszy, kalek i nieudaczników wybranych w Loterii żołnierze Rolandii trafili na doborowe oddziały gwardii Grunthora przyczajone w chatach.

Ścięli głowy dwóm manekinom, w jamie z wrzącą smołą stracili jednego konia wraz z jeźdźcem, nim zorientowali się, że wpadli w pułapkę. Odwrót nie wchodził w grę, bo na skalnych półkach i urwiskach pojawili się uzbrojeni Firbolgowie. Wyszczerezeni od ucha do ucha runęli jak lawina na zaskoczoną orlandańską brygadę, którą przewyższali liczebnie niemal pięć razy.

Na głowy napastników posypał się grad kamieni wielkości ludzkiej głowy. W chaosie, który zapanował po nieoczekiwanym ataku, członkowie górskiej gwardii, ukryci w prowizorycznych chałupach wioski skazanej na zagładę, napięli druty, do tej pory zagrzebane w ziemi. Konie zaczęły się potykać i padać.

W tym momencie do rolandzkiej armii dotarła fala Bolgów. Żołnierze stali jak sparaliżowani. Paru sięgnęło po łuki, ale większość przybyła uzbrojona tylko w miecze, maczugi i pochodnie, które już na samym początku zmiotło kamienne gradobicie.

Kilku rzuciło się do ucieczki, lecz zaraz pochłonęło ich piekło wrzącej smoły. obrońcy zawczasu ustawili u wylotu wąwozu cztery katapulty do miotania beczek. Rapsodia z drżeniem słuchała szalonego śmiechu Jo, która zakrzywionym mieczem z brązu przecinała sznury.

Przeniosła spojrzenie na Bolgów, przez wieki ofiary dorocznej rzezi, którzy teraz biegali po poboju i wśród straszliwego zamętu dobijali wrogów. Grunthor stwierdził później, że nie pamięta równie druzgoczącej klęski.

Rapsodii żołądek podchodził do gardła. Nie brała udziału w walce, nawet jej nie wspomagała muzycznym akompaniamentem, ale teraz obserwowała, jak Bolgowie metodycznie odzierają trupy z broni i zbroi, a następnie wrzucają ciała do dołu ze smołą.

– Prawdziwa zgroza – stwierdziła.

– Nie martw się, księżniczko, zawsze po sobie sprzątam – odparł wesoło Grunthor, który ćwiczył z Jo fechtunek, żeby nie dopuścić jej do plądrowania.

– Właśnie – odezwał się Achmed, zajęty liczeniem strat. – Skoro już mowa o sprzątanii, może byłoby dobrze, żebyś wróciła z Jo do Kotła.

– Co, nie będzie dzielenia łupów? – spytała dziewczyna.

– Później, młoda panienko – uspokoił ją wielkolud. – Najpierw musimy je zebrać.

– Racja. Chodź, Jo – powiedziała Rapsodia, biorąc ją za łokieć. Z wyrazu twarzy Achmeda wywnioskowała, że powinny jak najszybciej wrócić do Canrif.

Gdy kobiety odeszły, król zwrócił się do Grunthora i generałów czekających na polu bitwy.

– Armia może się teraz pożywić – oznajmił.

Tydzień później, w środku nocy, lorda regenta Rolandii obudził z koszmarne snu dziwny odgłos.

– Pst! Pst!

Obok łóżka stała ciemna postać, obracała w chudych palcach książeczkę koronę. Światło ogarka dopalającego się na nocnym stoliku padło na złoty filigran. Refleksy omiotły sypialnię w krótkich rozbłyskach niczym krew tryskająca z rany.

Tristan Steward usiadł na łóżku, ale straszna zjawą nie zniknęła, tylko rzuciła mu koronę, lekko uderzając go w pierś.

– Jeśli krzykniesz, będzie to ostatni głos, jaki wydasz w swoim życiu – ostrzegła.

Lord Rolandii nie mógłby krzyknąć, nawet gdyby chciał.

W mroku pojawił się mały ogień. Oprócz niego książkę widział tylko białe, kościste ręce zapalające lampy w pokoju. Usiłował otrząsnąć się z resztek snu.

Gdy w komnacie pojaśniało, Achmed zdjął kaptur i uśmiechnął się na widok miny regenta. Usiadł na brzegu królewskiego łóżka, przesunął palcami po satynowej kołdrze.

– Wstawaj – rzucił spokojnym tonem i skinął głową na krzesła stojące w wykuszu.

Tristan Steward wypełnił polecenie, trzęsąc się jak osika. Jego białe stopy i buty tajemniczego intruza nie wydawały prawie żadnego dźwięku, kiedy szli po kamiennej podłodze do okna, za którym widać było gwiazdziste niebo.

Regent usiadł i splótł ręce na piersi, żeby pohamować drżenie. W miarę, jak przytomniał, uświadamiał sobie, że ma powody do strachu. Był wdzięczny za półmrok, bo podejrzewał, że w pełnym słońcu oblicze nieznanego budziłoby jeszcze większą grozę. Zebrał całą odwagę i zapytał, siląc się na spokój:

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Jestem Okiem, Pazurem, Piętą i Brzuchem Góry. Przychodzę cię powiadomić, że twoja armia już nie istnieje.

Zamiast słów z gardła księcia wydobył się charkot.

– Wysłałeś dwa tysiące żołnierzy, ale nie otrzymasz od nich żadnego meldunku.

Po krótkiej chwili niedowierzania Stewarda ogarnęła panika.

– Gdzie są ci, którzy ocaleli? Co z nimi zrobiłeś?

– Przygniotła ich góra. A teraz posłuchaj uważnie i zachowaj naszą rozmowę w sekrecie, oczywiście jeśli pożyjesz dostatecznie długo. Masz dziesięć dni na przygotowanie projektu umowy handlowej i traktatu pokojowego. Zajmiesz się tym osobiście, bo układ ma być twoim pomysłem. Dziesiątego dnia mój emisariusz będzie czekał na obecnej granicy królestwa Bolgów i Bethe Corbair. Jedenastego dnia granica przesunie się bliżej ciebie, żeby ułatwić nasze spotkanie. Jeśli brzydka pogoda zniechęci cię do podróży, możesz poczekać dwa tygodnie i odbyć konferencję w swojej twierdzy, na nowej granicy.

Regent wytrzeszczył oczy, ale nic nie powiedział.

– To jedyna propozycja, jaką otrzymasz ty i twój lud. Jeśli ją zlekceważysz, przekonasz się na własne oczy, jak wyglądają potwory. Każdej wiosny pobieraliśmy lekcje. – Achmed wstał. – A przy okazji, może cię pocieszy zapewnienie, że moja lirińska pieśniarka odśpiewała wspaniałą pieśń żałobną za twoich żołnierzy. Bardzo wzruszającą. Mieszkając w krainie Bolgów, Rapsodia nabrała dużej wprawy w lamentach i rekwiem. – Uśmiechnął się, widząc, że na twarz regenta wypływa szkarłatny rumieniec. Nachylił się ku niemu i szepnął konspiracyjnie: – Nie martw się. Ona nie ma pojęcia, że to z jej powodu doszło do masakry. Oczywiście ja wiem. Jak sądzisz, dlaczego akurat ją wysłałem do Rolandii?

– To była pułapka – wykrztusił Tristan.

– Ależ lordzie regencie, nie doceniasz swojej roli. Przecież masz wolną wolę. Gdybyś naprawdę pragnął pokoju, przyjąłbyś moją emisariuszkę i propozycję z otwartymi ramionami. – Spoważniał. – Mężczyzna, szczególnie zaręczony, który żywi wobec kobiety nieuczciwe zamiary, nie jest godny zaufania również jako sąsiad. Poświęciłeś życie dwóch tysięcy ludzi, żeby zdobyć jej zainteresowanie. Na razie dostałeś nauczkę. Później koszty będą jeszcze większe. – Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. – Zostawiam cię, żebyś się przygotował – rzucił przez ramię.

– Do czego?

Król Firbolgów spojrzał na księcia i uśmiechnął się lekko.

– Do nabożeństwa żałobnego za swoich ludzi.

Cienie w pokoju się przesunęły i intruz zniknął.

O świcie dziesiątego dnia zjawilo się poselstwo z Rolandii. Emisariuszka Firbolgów i jej gwardia honorowa już czekali na stepie. Rapsodia dopilnowała, żeby nie przydzielono im koni zdobytych na wrogach. To kwestia delikatności, tak powiedziała Achmedowi. Uśmiechnęła się teraz, kiedy wśród jeźdźców rozpoznała samego lorda Rolandii i przypomniała sobie niemiłą rozmowę sprzed kilku tygodni.

Pięciu ludzi eskorty regenta było odzianych w proste stroje i wełniane płaszcze podróżne, prawdopodobnie żeby nie rzucać się w oczy. Rapsodia odrzuciła sugestię Achmeda, żeby włożyć najlepsze szaty. Uznała, że byłoby to niestosowne. Ubierając się wcześniej rano w skromne rzeczy, westchnęła z zalem. Właściwie ile mam ostatnio okazji, żeby się wystroić? – pomyślała.

Oprócz dwóch ciężkozbrojnych gwardzistów Tristanowi Stewardowi towarzyszył kuzyn Stephen Navarne. Posłał jej uśmiech, kiedy ich oczy się spotkały. U drugiego boku regenta jechał mężczyzna bardzo do niego podobny, ale trochę młodszy. Na głowie miał hełm z rogami, a na szyi ciężki złoty amulet w kształcie słońca ze lśniącą rubinową spiralą pośrodku, symbol benisonów Bethany. Zapewne podlegały mu prowincje Canderre i Yarim. Jego portret widziała na ścianie bazyliki ognia.

Lord Rolandii ściągnął wodze i zsiadł z kasztanowatego wałacha. Najwyraźniej chciał już mieć za sobą przykrą rozmowę. Przemyślał wszystkie możliwości i doszedł do smutnego wniosku, że traktat jest nieunikniony. Na jego decyzji zaważyła głównie chłodna reakcja pozostałych książąt na propozycję inwazji.

Sorbold, rywal, ale jednocześnie partner w handlu i sojusznik na wojnie, też uprzejmie odmówił udziału w ekspedycji, tłumacząc się zamiarem podjęcia stosunków handlowych z Ylorc i włączenia nowego kraju do diecezji swojego benisona. Po słowach ambasadora żyły na szyi regenta nabrzmiały jak postronki. Wieść o klęsce armii orlandańskiej nagle uświadomiła wszystkim sąsiadom, że od wieków zastanawiali się nad nawiązaniem kontaktów z Bolgami.

Steward patrzył, jak emisariusz zsiada z wierzchowca i idzie w jego stronę. Tak jak się obawiał i jednocześnie miał nadzieję, okazała się nim kobieta, którą kilka tygodni wcześniej wygonił ze swojej twierdzy, ale nie mógł przepędzić z myśli. Oczekiwał złośliwych uwag, lecz na jej twarzy nie dostrzegł śladu triumfu, jedynie miły uśmiech. Przyłapał się na tym, że pozerają wzrokiem, a myśli ma bardzo nieprzyzwoite.

– Witaj, milordzie – powiedziała Rapsodia, składając ukłon. – Jesteśmy zaszczyceni twoją obecnością.

W jej tonie nie było sarkazmu. Lord Rolandii potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć.

– Lady Rapsodio, pozwoli pani, że przedstawię mojego brata, jego świątobliwość lana Stewarda, Błogosławiącego Canderre-Yarim.

Wysłanniczka pochyliła się nad upierścienioną dłonią, którą podał jej benison.

– Zapewne zna pani mojego kuzyna, lorda Stephena Navarne.

– Tak. Jak się pan miewa, milordzie?

– Dobrze, dziękuję, milady. Cieszę się, że wyszła nam pani na powitanie.

Rapsodia odwzajemniła uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Dała znak swojej świcie. Dwaj z dwunastu żołnierzy rozstawili na trawie drewniany stół i krzesła. Potem wyszczerzyli się przyjaźnie do orlandańskich lordów, przyprawiając ich o dreszcz. Zachwyceni reakcją Bolgowie pospieszyli do towarzyszy.

Tristan Steward odchrząknął.

– Przygotowaliśmy dokumenty, o które prosiliście. Pierwszy to umowa o handlu między Bethany a Ylorc, zachęcająca inne prowincje do zawierania podobnych. Znajdziecie w niej korzystne warunki i takie same taryfy, jakie zapewniamy najstarszym partnerom handlowym.

– Obawiam się, że to za mało – powiedziała Rapsodia łagodnym tonem. – Prosimy o rezygnację z wszelkich ceł przez pierwszych dziesięć lat na znak tego, że Rolandia sprzyja rozwojowi gospodarki i odbudowie Ylorc ze zniszczeń przez was spowodowanych.

Trzej mężczyźni osłupieli. Stephen pierwszy zamknął usta i uśmiechnął się nieznacznie, natomiast wyraz twarzy regenta i benisona zmienił się na mniej przyjemny.

– Zapewne pani żartuje – stwierdził regent. – Rezygnacja z opłat? Jaki jest wtedy sens handlowania?

– Handel bez ceł to uczciwa wymiana jednych towarów na drugie, usług albo walut – odparła Rapsodia spokojnie. – Tak przynajmniej było, póki nie wmieszali się poborcy podatkowi. Król Achmed odmawia wnoszenia opłat, z których później utrzymuje się armie napadającą od wieków na jego poddanych. Wasze ustępstwo natomiast uzna za gest dobrej woli i potwierdzenie szczerego zamiaru utrzymania pokoju.

– Ja chętnie zrezygnuję z ceł w imieniu Navarne – odezwał się lord Stephen, nie zważając na gniewne spojrzenia kuzynów. – Sądzę, że każda prowincja będzie miała prawo do ustalania wysokości opłat jak do tej pory, prawda, Tristanie?

– Taka jest obecna praktyka – odparł krótko lord Rolandii.

– Navarne ma wobec Ylorc dług wdzięczności za udział w ratowaniu naszych dzieci. Dynastia cymriańska powinna również docenić odzyskanie Domu Pamięci i przywrócenie zdrowia tamtejszemu Wielkiemu Drzewu.– Lord Stephen mrugnął ukradkiem do Rapsodii. – Dlaczego więc nie chcesz się zgodzić na zniesienie ceł i nie pozwalasz, by inni zrobili to samo, Tristanie? Prowincje chętnie przystaną na warunek Firbolgów, żeby tylko móc kupować od nich broń.

– Istotnie. Cóż, nie zaszkodzi spróbować – powiedział regent ostrożnie.

– Doskonale. Dziękuję. – Rapsodia uśmiechnęła się promiennie i podpisała dokument. Najwyraźniej nie dostrzegała palących spojrzeń mężczyzn, którzy siedzieli naprzeciwko niej.

– Co dalej?

Książę Bethany rozwinął następny zwój.

– W zamian za obietnicę nieagresji i zwrot ciał poległych w czasie ostatniej wyprawy Rolandia zgadza się, jako zjednoczone królestwo, powstrzymać od nieuzasadnionych wrogich działań przeciwko Ylorc.

Rapsodia potrząsnęła głową, zachowując miły wyraz twarzy.

– Nie mogę wyrazić zgody – oświadczyła z żalem. – Po pierwsze, nie ma żadnych ciał, milordzie. Jest tak, jakby pańską armię pochłonęło morze. Proszę uczcić ich pamięć, ale zapomnieć o doczesnych szczątkach. – Konfidencyjnym tonem dodała: – Tak między nami, bitwa trwała niecały kwadrans, a... sprzątanie pobojuwiska kolejnych parę minut. Później nikt by nie poznał, że cokolwiek się wydarzyło. Wracając do naszych spraw, nie podoba mi się określenie „nieuzasadnione”. Jesteśmy tu dzisiaj z powodu napaści, które Rolandia przez wieki uważała za „uzasadnione”. Uważam, że powinien być to zwykły pakt o nieagresji podpisany przez obu władców. Król Achmed gwarantuje, że jego poddani nie będą napadać na obywateli Rolandii, lord Rolandii obiecuje to samo. Każde naruszenie traktatu będzie równoznaczne z wypowiedzeniem wojny, a jedynym zadośćuczynieniem – natychmiastowe oddanie przez agresora dziesięciu procent jego królestwa. Co pan na to, milordzie?

Z trudem pohamowała śmiech na widok trzech wstrząśniętych twarzy.

– Czy ten ostatni warunek nie jest przesadą? – spytał młody benison Canderre-Yarim. – Kto chciałby dziesięć procent Ylorc?

Rapsodia zaśmiała się melodyjnie.

– Cóż za świeżość myśli! I słuszne pytanie, ale jeśli Rolandia ma uczciwe intencje, a słowo lorda regenta jest święte, w co nie wątpię, możecie przystać na każdą cenę, skoro stawką ma być honor waszego kraju. Natomiast jeśli chodzi o wartość Ylorc, nie muszę chyba przypominać, że była to kiedyś siedziba cymriańskich władców. Proszę nie sądzić po pozorach, wasza świątobliwość. W górach też mieszkają dzieci Stwórcy, może nawet więcej niż w pańskiej diecezji. Choćby z tego względu warto je chronić, prawda?

– T-tak – wyjąkał benison. Widząc groźne spojrzenie brata, dodał pospiesznie: – Lady Rapsodia ma rację, Tristanie. Jej propozycja wygląda mi na uczciwy kompromis.

Lord Rolandii bez słowa zaczął kreślić na pergaminie nowe warunki, kipiąc ze złości. Gdy skończył, Rapsodia wzięła pióro, muskając przy okazji jego dłoń. Kiedy podpisywała dokument, dłonie regenta już nie drżały, a z twarzy zniknęły rumieńce gniewu.

– Teraz moja kolej – powiedział benison.

Rozwinął ostatni zwój i podsunął wysłannicze.

– Kraina Bolgów zawsze należała do diecezji Bethe Corbair. Oto pismo, w którym Błogosławiący Bethe Corbair, Lanacan Orlando, proponuje... eee... obywatelom Ylorc przyłączenie się do jego diecezji. Benison Bethe Corbair zapewni kleryków, posługi religijne i eskortę dla pielgrzymów, a także schronienie, leczenie, oczywiście za zwyczajową dziesięćcinę.

Zerknął niespokojnie na kuzynów. Oferta była bardzo ryzykowna. Kraj Bolgów graniczył również z diecezją innego benisona lojalnego wobec patriarchy. Gdyby Ylorc wybrało Sorbold zamiast Bethe Corbair, doszłoby do poważnego osłabienia teokratycznej władzy Rolandii.

– Dziękuję, wasza świątobliwość, ale nie jestem kompetentna w tej kwestii. Firbolgowie mają własną religię i własnego szamana. Będzie najlepiej, jeśli Błogosławiący Bethe Corbair przyśle emisariusza, który porozmawia bezpośrednio z królem. Mam przekazać, że będzie przyjmował ambasadorów po pierwszym następnego miesiąca.

Benison skinął głową.

– Cóż, panowie – ciągnęła Rapsodia – jeśli to już wszystko, dziękuję wam bardzo i życzę dobrego dnia.

Schowwała dokumenty do kieszeni płaszcza i dała znak gwardzistom. Firbolgowie zabrali stół i krzesła, niemal je wrywając spod orlandańskich notabli.

– Chwileczkę – powiedział lord Stephen. – Mamy dla ciebie, pani, kilka darów. Moje są wyrazem wdzięczności mieszkańców Navarne i pamiątkami od twoich wnucząt, między innymi ich portrecik.

Rapsodia uśmiechnęła się z radością.

– Dziękuję! Co u Gwydiona i Melisande?

– Wszystko w porządku. Przesyłają ci całusy i chcą podziękować za flet i harfę, które od ciebie dostali. Mają nadzieję, że wkrótce ich odwiedzisz.

– Ja również. Ucałuj ode mnie dzieci i powiedz, że myślę o nich każdego dnia, dobrze? Może kiedyś przyjadą do mnie z wizytą.

– Może – odparł Stephen, unikając osłupiałego wzroku kuzynów. – Powodzenia.

Odsunął się, żeby gwardziści mogli przenieść skrzynie z podarkami na konie Firbolgów, po czym ucałował jej dłoń i dosiadł wierzchowca. Regent i benison poszli w jego ślady. Wszyscy trzej wraz z eskortą skierowali się na zachód. Rapsodia pomachała im na pożegnanie.

Lord Rolandii zatrzymał się w pewnym momencie, odwrócił z dziwnym wyrazem twarzy i uniół rękę. Rapsodia złożyła mu głęboki ukłon, tak jak przy pierwszym spotkaniu. Księżę uśmiechnął się, spiął konia ostrogami i puścił się galopem przez step.

– Nieźle jak na chłopkę, co, Llauronie? – mruknęła pod nosem, podchodząc do swojej klaczy. – Hej, trzymaj łapy przy sobie! – krzyknęła na Firbolga, który właśnie dobierał się do skrzyni z darami. – To moje prezenty!

– Oddaj mi pudełko, bo zjesz wszystkie.

– A co, chciałaś schować je na zimę? Przecież się podzieliłam.

– Tak, jeden dla mnie, sześć dla ciebie, jeden dla mnie, cztery dla ciebie...

– Ty jesteś malutka i drobna. Potrzebujesz mniej jedzenia.

– Uważaj – powiedziała Rapsodia, siląc się na surowość. – Stoczmy dziesięciorundowy pojedynek na maczugi i łańcuchy, i zobaczymy, kto tu jest malutki.

– Maczugi i łańcuchy? – powiedziała Jo z udawanym lekceważeniem. Wierzchem dłoni otarła czekoladę z ust i wzięła następny łać. – Zabawki Firbolgów. Ja wolę sztylet.

Pieśniarka sięgnęła po ostatnią czekoladkę z górnej warstwy, ale Jo chwyciła ją pierwsza i szybko wsadziła sobie do ust. Uśmiechnęła się szeroko.

– Sztylet to bardziej finezyjna broń, zgadzam się – przyznała Rapsodia, zadowolając się suszonym jabłkiem. – Ale jest mało przydatny, jeśli trzeba zachować pewien dystans. Jak smakuje?

– Mmm, pycha – odparła Jo z pełnym ustami.

Przełknęła czekoladkę, otworzyła następne pudełko i wydała okrzyk radości na widok ulubionych smakołyków. Wysypała je na łóżko i podłogę. Przybrana siostra nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Ale nadal czuję smak paskudztwa, którym mnie nakarmiłaś, by uchronić przed zatruciem. Ciekawe, kto wpadłby na pomysł, żeby dodawać truciznę do prezentu, jeśli chciał się wkupić w łaski króla?

Rapsodia spojrzała na nią z rozbawieniem.

– Skoro mówimy o naszym Achmedzie, dziwne, że pudełka nie są pełne kwasu.

– Czemu odmówiłaś założenia ślicznych kolczyków z granatami, przysłanych przez benisona Avonderre-Navarne? Ze strachu?

– Nie, bałam się, że od tych tandetnych świecidełek uszy zrobią mi się zielone. Muszę przyznać, że w kwestii biżuterii jestem snobką. Nie noszę jej dużo, ale lubię, żeby była ładna.

Jo spróbowała kolejnego cukierka.

– Nie licząc tamtego dnia w Bethe Corbair, nie nosisz żadnej oprócz tego wisiorka – stwierdziła, wskazując złoty łańcuszek.

Pieśniarka wzięła medalion do ręki i przez chwilę przyglądała mu się bez słowa.

– Kimkolwiek jest lord MacAlwaen, ma dobry gust, jeśli chodzi o słodycze – dodała Jo, rozwijając orzech w karmelu.

– Ziemię barona leżą na południe od Sepulvarty – wyjaśniła Rapsodia, kładąc się na podłodze. – Uważaj na zęby. Sądzę, że jego dary to wyraz zwykłej uprzejmości. Ylorc mu raczej nie zagraża.

– Zupełnie jakby Achmeda można było przekupić słodyczami.

– To nie wszystko, co przysłał. Uważam jednak, że sprytnie wybrał podarunek, gdyż w ten sposób dał do zrozumienia, że docenia wyrafinowanie nowego władcy Firbolgów.

– Jakie znowu wyrafinowanie?

– Są jeszcze nugaty?

– Nie ma. – Jo zachichotała, rzucając ostatni w powietrze i łapiąc go ustami.

– Małpa. – Rapsodię cieszył widok roześmianej siostry. – Chyba jednak zatrzymam twój prezent.

Jo wytarła usta w rękaw i usiadła prosto.

– Prezent? Jaki prezent?

– Pomyślałam, że tobie też się coś należy spośród całej góry podarków, którymi zasypano Achmeda. Ale zachowałam się tak paskudnie, jeśli chodzi o czekoladki, że...

Jo szybko sięgnęła po pierwszy lepszy łać i podała go Rapsodii z komiczną powagą. Pieśniarka spojrzała na swoją dłoń. Leżała na niej śliwka. Obie wybuchnęły śmiechem.

– Dobrze, już dobrze.

Wstała z podłogi, strzepnęła okruszki z koszuli nocnej i podeszła do wysokiej szafy przywiezionej aż z Bethany. Wyciągnęła z niej dużą drewnianą skrzynię i pokazała dziewczynie szerokim gestem. Jo skwapliwie otworzyła wieko. Sypiąc po całym pokoju trocinami użytymi do pakowania, odwinęła sztywny papier i zobaczyła dużo małych, płaskich dysków z metalowymi szpikulcami pośrodku. Spojrzała zdziwiona na siostrę.

– Dziękuję – powiedziała słodkim tonem. – Właśnie marzyłam o pułapkach na karaluchy.

Rapsodia się roześmiała.

– Zobacz dalej.

Jo pogrzebała głębiej i po chwili wyjęła garść świec, długich i krótkich, w wielu kolorach.

– Nie masz w pokoju kominka, a pewnie przydałoby ci się w nocy trochę ciepła i światła.

– Jest ich tu tysiące – powiedziała dziewczyna z zachwytem. – Przez całe życie miałam tylko jedną, na czarną godzinę. Zabrałam ją martwemu żołnierzowi. – Ostrożnie odłożyła świece do skrzyni i podniosła wzrok. – Dziękuję.

– Nie ma za co – odparła Rapsodia, poruszona wyrazem jej twarzy. Zupełnie jakby patrzyła na samą siebie sprzed kilku lat. – Nie oszczędzaj ich, tylko używaj. Zawsze możemy sprowadzić więcej. Chciałam po prostu uczynić twoje życie jaśniejszym.

– I dlatego przywlokłaś mnie tutaj, żebym mieszkała pod ziemią z gromadą Firbolgów. Wypróbujmy je.

Zeskoczyła z łóżka, dźwignęła skrzynię z ziemi. Rapsodia otworzyła jej drzwi i razem przeszły do sypialni Jo.

– Bogowie, co tu się stało?! – wykrzyknęła, stanąwszy w progu. – Ktoś splądrował twój pokój. Pójdę zawiadomić Achmeda, każę mu wezwać strażników...

– O czym ty mówisz? Wszystko jest w porządku. Tak go zostawiłam.

– Żartujesz. Celowo zrobiłaś taki potworny bałagan?

– Oczywiście – odparła dziewczyna urażonym tonem. – Nie wiesz, jak najlepiej ukrywać cenne rzeczy!

– Najwyraźniej nie.

– Trzeba je położyć na wierzchu – wyjaśniła Jo. – W ten sposób nikt ich nie znajdzie.

Wyjęła ze skrzyni świece w różnych kolorach i zaczęła je umieszczać w metalowych lichtarzach.

– Łącznie z tobą – zauważyła Rapsodia, patrząc na poborowisko z mieszaniną przerażenia i rozbawienia na twarzy. – Właściwie sama mogłabyś się tutaj zgubić i nigdy byśmy cię nie znaleźli.

Przekroczyła stertę brudnych ubrań oraz resztek jedzenia i podeszła do krzesła, na którym leżało kilka par butów. Zrzuciła je na podłogę i usiadła ostrożnie.

– Nie bądź śmieszna – burknęła Jo, rzucając jej kilka świec i podstawek. – Wiem dokładnie, gdzie jest każda rzecz. Udowodnię ci.

– Nie musisz.

– No dalej, wymień coś, a ja ci powiem, gdzie to jest.

Rapsodia rozejrzała się po pokoju, skrywając uśmiech.

– Dobrze, gdzie są pochewki na noże?

Jo posłała jej lekceważące spojrzenie i odsunęła rękawy koszuli nocnej.

– Tutaj.

– Zabierasz sztylety do łóżka? – zdziwiła się Rapsodia.

– Tylko dwa. Resztę trzymam pod poduszką.

– O bogowie! No dobrze... gdzie chowasz pieniądze?

Dziewczyna łypnęła na nią podejrzliwie.

– Mniejsza o to, niewłaściwe pytanie. A co z książką, którą ci dałam, żebyś ćwiczyła czytanie?

– Aha! – zawołała Jo.

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła przekopywać się przez stos ubrań, pudeł, worków i innych rupieci. Po chwili triumfalnym gestem uniosła w górę zakurzony manuskrypt. Wyraźnie z siebie zadowolona, rzuciła go kolana siostry.

– Widzę, że pilnie się uczysz – stwierdziła Rapsodia z przekąsem.

– Zapytaj mnie jeszcze o coś.

– Nie ma potrzeby, Jo. Wierzę ci.

– Zabawa staje się coraz lepsza. Wymień jakąś rzecz.

– Gdzie trzymasz czystą bieliznę?

Dziewczyna zrobiła niepewną minę.

– Co to znaczy „czystą”?

– No nie! Nie wiesz, co znaczy „czysta”?

– Są różne rodzaje czystości – wyjaśniła Jo z lekkim zakłopotaniem. – Wiesz, rzeczy, które nosiło się w tym miesiącu albo w zeszłym.

– Błagam, nie mów nic więcej! Wygrałaś. Jak tylko wrócę do swojego pokoju, przejmę twoje zwyczaje. Tylko proszę, nie każ mi więcej o nic pytać.

– Z kogo sobie robisz żarty? Gdybyś nie miała ubrań poskładanych według kolorów tęczy, a obok nich dodatków w osobnych workach, dostałabyś apopleksji. Jak myślisz, gdzie umieścić te świece?

Rapsodia rozejrzała się po pokoju.

– Czy nie było tu kiedyś komody?

Jo się rozpromieniła.

– Dobry pomysł.

Podeszła do góry ubrań o różnym stopniu czystości i jednym ruchem zrzuciła je na podłogę, odsłaniając komodę.

Rapsodia uniosła brzeg koszuli nocnej i brnąc przez skarby Jo, ruszyła na drugą stronę pokoju. Pod pozorem ustawiania lichtarzy na dużym kufrze, zaczęła ukradkiem porządkować tę część sypialni.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, Jo. Nie chciałabym, żeby wybuchł tu pożar.

– Nie martw się – odparła dziewczyna. – Ułożę wszystko w dwa stosy na środku pokoju. To powinno wystarczyć.

– Pod warunkiem że je spalisz – powiedziała Rapsodia. Skupiła się na ogniu płonącym w jej duszy i dotknęła świec.

Knoty zajęły się płomieniem.

– Hej! Imponujące! – zawołała Jo. – Gdzie masz krzesiwo? Pożycz mi na chwilę.

Rapsodia podeszła do dziewczyny, objęła ją ramieniem i w taki sam sposób zapaliła resztę świec. Jo przez chwilę gapiła się na nie jak urzeczona, po czym opadła na łóżko.

Migotliwy blask wypełnił sypialnię, bałagan zniknął w półcieniach, wnętrze nabrało przytulniejszego wyglądu. Rapsodia siadła na krześle, podciągnęła kolana pod brodę i uśmiechnęła się do Jo.

– Jak ci się podoba? – spytała. Dziewczyna rozglądała się z zachwytem.

– Cudownie! Światło w nocy. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam poza Quimsley, bogatą częścią Navarne. Kiedyś próbowałam tam spać, ale po przejściu lampiarzy obchód zaczynali strażnicy, a gdy człowiek dostał się w ich łapy, wkrótce marzył o tym, żeby wrócić do przyjaznej ciemności innych ulic. Tak czy inaczej, pokój wygląda teraz milej.

– Moja mama mawiała, że najskromniejszy dom wydaje się pałacem w blasku świec. Teraz rozumiem, co miała na myśli.

– Nie sędę, żeby tak wyobrażała sobie twój dom – stwierdziła Jo, wyciągając się na łóżku. – Pewnie dostałaby ataku serca, gdyby cię tu zobaczyła.

– Zdziwiłabyś się – powiedziała Rapsodia z uśmiechem. – Mamą trudno było wstrząsnąć. Wiele w życiu przeszła, ale nie straciła pogody ducha. Światło w jej oczach nigdy nie gasło.

Jo milczała przez dłuższą chwilę. W końcu wyjęła sztylet spod poduszki i zaczęła nim balansować na czubku palca.

– Chyba bardzo ją kochałaś.

Rapsodia zapatrzyła się w migotliwe płomyki.

– Tak.

– I ona ciebie też kochała, prawda? Czyż nie miałaś wspaniałego dzieciństwa? – W jej głosie brzmiała nuta goryczy.

– Tak, Jo. Ale to nie powstrzymało mnie przed opuszczeniem domu rodzinnego.

– Naprawdę? Przecież to głupota.

– Owszem.

– Więc dlaczego to zrobiłaś?

Rapsodia dotknęła medalionu i po chwili powiedziała coś, czego nigdy nikomu nie mówiła.

– Z powodu chłopca.

– Och. Był twoim pierwszym?

– Tak. I ostatnim. Od tamtej pory nigdy nikogo więcej nie kochałam. I nigdy nie pokocham.

– Z nim uciekłaś?

Rapsodia mocniej objęła kolana ramionami.

– Nie. Uciekłam, żeby go odszukać. Nie znalazłam. Dostał ode mnie, co chciał, i poszedł w swoją stronę.

– Dlaczego po prostu nie wróciłaś do domu?

– Co dzień zadaję sobie to pytanie.

– A teraz nie możesz wrócić?

– Nie.

Nic więcej nie dodała, tylko patrzyła na świecę, pogrążona we wspomnieniach. Wreszcie zniecierpliwiona dziewczyna usiadła i zaczęła wodzić sztyletem po nodze.

– Jak to jest? To znaczy, jak się ma matkę?

– Hm? A, cudownie. Niektóre moje przyjaciółki nienawidziły swoich matek. Jestem przekonana, że właśnie dlatego wiele z nich bardzo wcześnie wyszło za mąż. Po prostu chciały uciec z domu. Ale moja była nadzwyczajna. Musiała taka być jako jedyna w wiosce przedstawicielka swojej rasy.

– Rasy?

– Tak. Była Lirinką, jedyną, która przeżyła zniszczenie domu. Odkąd poślubiła mojego ojca, spotykało ją dużo upokorzeń, ale znosiła je, jak wszystko, z łagodnością i wdziękiem. Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła o kimś źle, nawet o tych, którzy brzydko się do niej odnosili. Nie pozwalała moim braciom się gniewać, kiedy ludzie traktowali ich okrutnie. W czasie, gdy ja pojawiłam się na świecie jako szóste dziecko i jedyna dziewczynka, już wszyscy w wiosce ją kochali.

– Widzę, że była wyjątkowa – powiedziała Jo dyplomatycznie.

– Dla mnie tak. Moje ulubione wspomnienia to te, jak siadałyśmy po kolacji przy kominku, tylko ona i ja. Cesała mi włosy i śpiewała stare lirińskie pieśni, opowiadała legendy, żeby nie poszły w zapomnienie, kiedy jej zabraknie. Rozmawiałyśmy o wszystkim. Teraz myślę o niej za każdym razem, kiedy siedzę przy ogniu. Widok płomienia dodaje mi otuchy. Z całej mojej przeszłości za matką tęsknię najbardziej.

Rapsodia umilkła i świece w całym pokoju przygasły na chwilę. Jo wpatrywała się w cienie tańczące na suficie.

– Przynajmniej miałaś matkę, która cię chciała. Mogło być dużo gorzej.

– Opowiedz mi o swojej, Jo.

– Co tu opowiadać? Nawet jej nie znałam. – Nadal bawiła się sztyletem.

– Więc skąd wiesz, że cię nie chciała?

Jo upuściła nóż na podłogę i schyliła się po niego.

– Głupie pytanie. Nie sądzisz, że gdyby mnie chciała, teraz też zachowywałabym się tak płaczliwie jak ty i mówiła o niej miłe rzeczy? Nie sądzisz, że przynajmniej pamiętałabym, jak wyglądała?

Ze złością wsunęła sztylet z powrotem pod poduszkę i położyła się, zakładając ręce pod głowę.

Rapsodia wstała z krzesła i usiadła na łóżku przy stopach Jo.

– Niekoniecznie – powiedziała, unikając jej wzroku. – Nie wiesz, co was rozłączyło. Może nie miała wyboru.

Jo usiadła gwałtownie.

– A może byłam dla niej kłopotem. Może nie mogła się doczekać, żeby się mnie pozbyć. Ty też nie masz pojęcia, Rapsodio. Wspaniale, że trafiła ci się cudowna matka. Jestem szczęśliwa ze względu na ciebie, ale zrób mi łaskę i oszczędź ckliwych wspomnień, dobrze? Poza tym wolę myśleć, że mnie nie kochała, bo mogę jej nienawidzić i nie czuć się źle z tego powodu. Odkąd pamiętam, zawsze byłam zdana na siebie, i to się nie zmieni. Zresztą, co za różnica, czy mnie kochała, czy nie.

Z oczu dziewczyny popłynęły łzy gniewu. Rapsodia objęła ją, zaczęła kołysać, głaskać po włosach i śpiewać pieśń pocieszenia tak cicho, że szlochająca Jo nie mogła nic słyszeć.

Po chwili melodia przyniosła skutek i dziewczyna przestała drzeć spazmatycznie. Rapsodia ujęła w dłonie jej mokre policzki.

– Teraz posłuchaj mnie, Josephine Bez Nazwiska. Wszystko się zmieniło. Nie jesteś i nigdy więcej nie będziesz sama. Kocham cię. Należymy do siebie nawzajem, jestem zawsze pod ręką. Postaram się, żeby było lepiej.

Jo pociągnęła nosem.

– Co żeby było lepiej?

– Wszystko. Cokolwiek. Poza tym mama cię kochała. Jak mogłaby nic nie czuć do własnego dziecka? Śmiało, do woli rób brzydkie miny. Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale jestem pewna, że cię kochała. A teraz kochają cię również inni.

Jo patrzyła na nią przez chwilę bez słowa, a potem w żartach pchnęła ją na plecy.

– Nie mówiłam, że nikt mnie nie kocha – powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

– Tak? – Rapsodia zainteresowała się nagle. – Ciekawe, o kum mówisz? Coś przede mną ukrywasz?

– Nie – odparła Jo z westchnieniem. – Jeszcze nie, choć mam nadzieję, że będzie co ukrywać.

– A któż jest tym szczęściarzem?

Dziewczyna usiadła ze skrzyżowanymi nogami, wzięła poduszkę i przytuliła ją do siebie.

– Ashe.

– Kto?

– Ashe. No, przecież wiesz.

– Kto to jest Ashe?

– O bogowie, Rapsodio, jesteś głucha czy co? Ashe. No wiesz, ten z pięknymi włosami, z Bethe Corbair.

Siostra patrzyła na nią pustym wzrokiem.

– Naprawdę nie mam pojęcia, o kim mówisz. Kto to jest Ashe?

Jo przewróciła oczami.

– To ten mężczyzna z tym... no wiesz... – Poczzerwieniała z zakłopotania.

W tym momencie Rapsodia przypomniała sobie spotkanie z nieznajomym na miejskim targowisku.

– A! Ten. – W jej oczach zabłyśły wesole iskierki. Szepnęła konspiracyjnie: – Jo, zapewniam cię, że wszyscy mężczyźni mają „no wiesz”.

– Jędza!

Dziewczyna ze śmiechem uderzyła ją poduszką, ale była wyraźnie zawstydzona. Rapsodia sama poczuła się skrępowana, więc zmieniła ton z kpiącego na rzeczowy.

– Skąd wiesz, że ma piękne włosy? – zapytała. – O ile sobie przypominam, w ogóle nie widziałymy jego twarzy pod kapturem.

– Ty nie widziałas – sprostowała Jo. – Ja znajdowałam się pod trochę innym kątem...

– Istotnie. – Pieśniarka parsknęła śmiechem, za co dostała następny cios poduszką.

– Dostrzegłam włosy koloru miedzi, nie takie matowe jak monety, lecz lśniące jak złoto, i oczy o niesamowitym odcieniu błękitu. Właściwie tylko tyle zobaczyłam, miedziane włosy i bardzo niebieskie oczy, ale to mi wystarczyło. – Westchnęła przeciągle.

– O bogowie, Jo, a jeśli on nie ma nic więcej? – zapytała Rapsodia z udawaną troską. – Niezbyt przyjemna myśl. Nie uważasz, że powinnaś chociaż obejrzeć go całego, zanim wybierzesz ślubną zastawę?

Dziewczyna splotła ręce na piersi i milczała z uporem.

– Przepraszam, Jo. Jestem nieznośna. Cieszę się, że spotkałaś kogoś, kto ci się podoba. Ale on przypadkiem nie próbował uciąć ci ręki?

– Nie, to ty próbowałaś uciąć mu rękę – odparła Jo, nadal zagniewana. – Był dla mnie miły, to wszystko. Zapomnijmy już o nim, dobrze?

Rapsodia westchnęła.

– Chyba rzeczywiście źle cię w życiu traktowano, dziewczyno, skoro uważasz, że był dla ciebie miły. Ale kto wie? Czasami pierwsze wrażenie jest najtrafniejsze. Co sądzisz o szansie powtórnego spotkania?

– Wspomniał, że nas odwiedzi. Czemu zwleka? Pewnie już nigdy go nie zobaczę.

Sięgnęła pod łóżko po nocnik. Rapsodia ruszyła do wyjścia.

– Zobaczymy. Nigdy nie wiadomo, Jo. Dziwne rzeczy się zdarzają. A teraz już śpij, Jo. Może tym razem, jeśli będziesz bardziej wypoczęta, trafisz na sakiewkę. – Mrugnęła wesoło i otworzyła drzwi.

– Dobranoc, siostrze – rzuciła dziewczyna ze śmiechem.

Gdy Pieśniarka się uśmiechnęła, Jo odniosła wrażenie, że ciepłe ramiona biorą ją w objęcia.

– Dobranoc, skarbie.

Rapsodia cicho zamknęła drzwi i wróciła do swojej sypialni podniesiona na duchu. Mroczna komnata wydała się jej jaśniejsza.

– Nadchodzą.

– Wiem.

Saltar wstał z kamiennego tronu, przesuwając palcami po granitowych poręczach wygładzonych w ciągu wieków przez liczne dłonie. Był to jeden ze starożytnych skarbów, które zagarnięto po zdobyciu wspaniałego podziemnego miasta i Ukrytego Królestwa, i to wcale nie najcenniejszy.

Zbliża się armia, lecz nie ma z nią tego, którego szukam.

Ogniste Oko przełknął ślinę, ale nic nie powiedział. Duch okazał się bardzo przydatny, dał mu zdumiewającą odporność, wręcz nieśmiertelność – nieocenioną, gdy się dąży do władzy – lecz trudno było się od niego uwolnić, odwrócić jego uwagę.

Zdjął łańcuch z szyi i popatrzył nieobecny wzrokiem na oko umieszczone pośrodku złocistego płomienia, symbol, od którego wzięło się jego szamańskie imię. Ogniste Oko. Tak nazywali go Bolgowie, zwykle szeptem.

Talizman przez wieki leżał na dnie wielkiej skrzyni. Bolgowie z Ukrytego Królestwa bali się go dotknąć, a co dopiero założyć. Wzdragali się przed tym nawet najdzielniejsi łowcy z jego własnego klanu Pięści i Ognia. Dopiero on zebrał się na odwagę i zawiesił talizman na szyi. Z radością patrzył, jak wszyscy cofają się przed nim z poniżającego strachu.

Nigdy go nie zastanowiło, dlaczego Willumowie schowali taki potężny amulet pod stertą szmat, razem z dwoma alabastrowymi lwami i broszką z macicy perłowej, których nikt nie śmiał ruszyć, ale które zniknęły natychmiast po tym, jak wyjął ogniste oko ze skrzyni. Od tamtego dnia minęło dwadzieścia cykli.

Duch objawił się prawie od razu. Ukazał się w mroku pod jego własną postacią. Ogniste Oko przeraził się tak, że zaczęły mu drżeć ręce. Słyszał głos mało wyraźny, ale z czasem nauczył się go rozumieć. Duch nadał mu imię Saltar.

Saltar?

Ogniste Oko podniósł głowę i przeszukał wzrokiem ciemność, wypatrując prawie niewidzialnej Zjawy. Tak nazywały ducha inne klany, zdjęte takim samym lękiem jak on.

– Wiem, jak go zwabić – powiedział.

Cisza.

– Tym razem musisz walczyć – dodał, wieszając łańcuch z powrotem na szyi. – Wtedy przyjdzie.

Powietrze zgęstniało, przez mroczną komnatę Saltara przemknął gorący podmuch. Tak.

Emmy.

Na dźwięk głosu matki pod powiekami Rapsodii wezbrały łzy. Resztkami świadomości próbowała odepchnąć od siebie wizje. Koszmary często zaczynały się właśnie w taki sposób, zaskakując ją nieprzygotowaną, bezbronną.

– Nie – szepnęła przez sen. – Proszę.

Łagodna dłoń spoczęła na jej głowie. Zamajaczyła uśmiechnięta twarz matki, przesłonięta przez łzy.

Nie płacz, Emmy.

– Mamo – wyszeptała Rapsodia i pogrążyła się we śnie.

Podoba mi się twój dom, Emmy, zwłaszcza świece.

W oczach matki odmalowała się aprobata na widok migotliwych płomyków rozjaśniających ciemność.

Nawet najskromniejszy dom jest pałacem w ich blasku.

– Mamo...

Chodź, uczeszę ci włosy przy kominku, tak jak kiedyś to robiłyśmy.

Rapsodia wstała i ruszyła za matką. Na twarzy poczuła ciepło. Płomienie skoczyły wyżej, zatańczyły.

Pieszczota miękkich dłoni, ostre zęby grzebienia, lekkie szarpnięcia.

Pamiętasz, dziecko?

– Tak – szepnęła, połykając łzy. – Mamo...

Ciii... Wyjmij tamten przedmiot. Ja nie mogę tego zrobić. Ogień mi nie pozwoli.

Rapsodia włożyła rękę w huczące płomienie. Poczowała żar, ale nie ból. Namacała coś gładkiego i chłodnego. Wyciągnęła z ognia miecz. Płomienie zgasły w jednej chwili, oprócz tych, które lizały ostrze.

– Clarion.

Taki jak był w przeszłości, nim zabrano go z naszej ziemi, z dala od blasku Seren. Spójrz, jak wtedy wyglądał.

Rapsodia obróciła broń w rękach, przesunęła palcem po srebrzystej klindze.

– Wydaje się taki sam.

Popatrz uważniej.

Obejrzała go jeszcze raz. Na rękojeści, przytrzymywany przez srebrne zęby, płonął intensywnym blaskiem mały ognik jaśniejszy niż słońce.

– Teraz brakuje tego światełka – powiedziała Rapsodia. – Oprawa jest pusta. Co w niej było?

Kawałek gwiazdy Seren. Źródło wielkiej mocy, prastarej magii żywiołów, sprzed Czasu. To twoja gwiazda, Emmy.

– Aria – wyszeptała Rapsodia.

Tak, powiedziała matka i wskazała na niebo, gdzie tak jak kiedyś lśniła Seren. Mówiłam ci dawno temu, dziecko, że jeśli potrafisz odszukać swoją gwiazdę, nigdy się nie zgubisz. Już o tym zapomniałaś.

– Pamiętam, mamó.

Coraz trudniej było jej oddychać.

Więc dlaczego się zgubiłaś?

– Ja... straciłam ją z oczu, mamó. Serendair zginęła tysiąc lat temu.

Wyspa zatonała, ale gwiazda pozostała.

– Mamó...

Patrz, dziecko.

Matka wskazała na niebo. Od Seren odłamał się maleńki kawałek i poszybował przez nieboskłon. Maleńka spadająca gwiazda. Płomyk na rękojeści miecza zamigotał i zgasł. Oprawa była pusta.

Rapsodia powędrowała wzrokiem za matczyną dłonią. Wydawało się, że jej palec prowadzi gwiazdę w czasie spadania.

W mroku zobaczyła stół lub coś w rodzaju ołtarza. Leżał na nim człowiek, ale widziała tylko zarys postaci. Maleńka gwiazdka spadła prosto na niego. Ciało rozjarzyło się na chwilę. Rapsodię przeszedł zimny dreszcz na wspomnienie wizji, którą miała w Domu Pamięci.

Tam właśnie trafił odłamek Seren, dziecko, na dobre lub złe. Jeśli potrafisz odszukać swoją gwiazdę, nigdy się nie zgubisz. Nigdy.

Rapsodia czuła, że coś jest nie tak. W snach rodzice albo inne osoby znane jej z dawnego życia zwykle opowiadali o rzeczach minionych. W wizjach przyszłości nie pojawiali się bliscy, którzy zginęli w kataklizmie. Natomiast teraz matka mówiła o dużo późniejszych wydarzeniach.

– Skąd to wszystko wiesz, mamó?

Poczuła, że obejmują ją ciepłe ramiona.

To twoje wspomnienia, tyle że przyszłe. Jeśli potrafisz odszukać swoją gwiazdę, nigdy się nie zgubisz. Nigdy.

Ciało spoczywające na ołtarzu rozplynęło się w ciemności.

– Już go nie widzę, mamó. Dlaczego?

Obejrzyj się przez ramię.

Rapsodia odwróciła się i zobaczyła troje oczu. Dwoje, z czerwonymi obwódkami, należały do ledwo widocznej twarzy, trzecie znajdowało się pod nimi, w środku płonącej kuli. Zaczęła drżeć.

– Mamó?

Zapamiętaj, co powiem, Emmy. On nie jest tym, kim się wydaje.

Płomienie rozprzestrzeniły się, aż wypełniły całe pole widzenia. Pochłonęły matkę. Ogarnięta przerażeniem Rapsodia wyciągnęła do niej ręce.

– Mamo!

Twoja rodzina zginęła w pożarze, Emmy.

– Mamo!

Ogień jest silny, ale blask gwiazd narodził się pierwszy. Jest potężniejszym żywiołem. Użyj ich światła, żeby oczyścić siebie i świat z nienawiści, która nami zawładnęła. Wtedy odpocznę w spokoju, a kiedyś znowu mnie ujrzysz.

– Mamo, nie! Proszę, wracaj

On nie jest tym, kim się wydaje.

– Rapsodio?

– Nie! – jęknęła, rozpaczliwie chwytając powietrze.

– Rapsodio, dobrze się czujesz?

Usiadła na łóżku i rękawem koszuli nocnej otarła łzy z twarzy. W drzwiach rysowała się sylwetka Jo, rzucając długi cień.

– Tak. Przepraszam, kochanie. Obudziłam cię?

Dziewczyna weszła do pokoju, siadła na łóżku i uściskała ją mocno.

– Nie, Grunthor mnie obudził. Jesteś potrzebna w szpitalu.

Bolgańscy sanitariusze nadal znosili rannych, kiedy Rapsodia zjawiała się z torbą lekarską, w nocnej koszuli, z rozpuszczonymi włosami. Podbiegła do olbrzyma, który właśnie kładł jednego ze swoich ludzi na pryczy.

– Jesteś cały, Grunthorze? Co się stało?

Gdy dowódca zdjął żołnierzowi skórzany napierśnik, ukazało się potworne ciecie od szyi do pasa.

– Mnie nic, kochanie, ale stary Warthy jest w złym stanie. – W głosie wielkoluda brzmiała troska.

Rapsodia otworzyła torbę i sprawnie zamienili się miejscami. Nie pierwszy raz dochodziło do potyczek, ale jeszcze nigdy nie było aż tylu rannych. Musiało się wydarzyć coś strasznego.

– Czyste kompresy i liście pomocnika, proszę – powiedziała do Krinsel.

Kobieta skinęła głową i zniknęła.

Na te słowa Grunthorowi wyciągnęła się twarz. Zioło, o które prosiła Rapsodia, podawało się konającym dla uśmierzenia bólu.

– Już po nim, co, księżniczko?

Pieśniarka uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Obawiam się, że tak. Ma uszkodzone serce. – Wzięła od akuszerki płótno i zaczęła tamować krwawienie. – Spróbuję chociaż mu ulżyć.

– Pierwsza Kobieto? – szepnął Bolg.

Rapsodia delikatnie pogłaskała go po twarzy.

– Słucham cię.

– To był Ogniste Oko i jego klan.

W jej oczach pojawiło się współczucie, choć nie rozumiała, o czym mówi ranny.

– Teraz odpoczywaj – powiedziała łagodnie.

Umierający zamrugał powiekami, starając się skupić wzrok na jej twarzy.

– Ogniste Oko... tak go nazywają... Bolgowie... ale jego imię... brzmi... Saltar.

Rapsodia wzięła od akuszerki lecznicze zioło.

– Przekażę królowi.

– Pierwsza.... Kobieto...

Przyłożyła liście do rany.

– Tak? – spytała cicho, patrząc, jak z porucznika uchodzi życie.

– Jesteś... jak... poranek.

Oczy żołnierza zrobiły się szkliste.

Ścisnęło ją w gardle. Nachyliła się i pocałowała zroszone chłodnym potem czoło. Poczula, że bruzdy trochę się wygładzają. Cicho zaśpiewała biedakowi do ucha początek tradycyjnej lirińskiej Pieśni Przejścia, którą zawsze intonowało się przy stosie pogrzebowym, żeby rozluźnić więzy zmarłego z ziemią i ułatwić duszy podróż ku światłu.

Przerwał jej nagły hałas i krzyki. Na szpitalnym korytarzu pojawiła się upiorna karawana żołnierzy i sanitariuszy z rannymi. Zapanował chaos.

– Dobrzy bogowie! – wyszeptwała.

Krew lała się na podłogę, powietrze wypełnił straszliwy odór spalonego mięsa. Rapsodia zerwała się z pryczy i podbiegła do Achmeda, który kierował najbardziej poszkodowanych do medyków opatrujących rany, oglądał każdego Bolga, żeby się upewnić, czy jest żywy, czy martwy. Niosących trupy odsyłał poza teren szpitala. Twarz miał ponurą. Samej bitwy nie widział.

Rapsodia przejęła ciężko rannego Pazura od chwiejącego się na nogach towarzysza, zarzuciła sobie jego ramię na szyję i powlokła go w spokojniejszy zakątek sali, gdzie podłoga była jeszcze w miarę czysta. Skinieniem wezwała Grunthora. Dowódca ściągnął z żołnierza zbroję i skrzywił się na widok tego, co zobaczył.

– Co się stało? – zapytała go ponownie.

– Wybraliśmy się na pokojowe manewry – odparł gigant, zawiązując opaskę uciskową na nodze podwładnego.

– Właśnie widzę.

– Mówię poważnie, księżniczko – warknął Grunthor. – Zwykła procedura: najpierw rekrutacja, potem łupienie. Zapuściliśmy się w głąb Ukrytego Królestwa. Warthy i Ringram ruszyli przodem ze swoją drużyną. Powinnaś widzieć tych, których nie daliśmy rady stamtąd zabrać. Ci tutaj to jeszcze nic.

Rapsodia zadrżała.

Nagle dobiegło ją histeryczne wołanie. Podniosła wzrok i zdrętwiała ze strachu. Krinsel należała do najbardziej opanowanych akuserek. Nigdy nie zdradzała żadnych emocji, nie wpadała w panikę. Teraz trzęsła się jak osika.

Pieśniarka wstała szybko i wzięła ją za ramię.

– Chodźcie ze mną – powiedziała Bolganka.

Ruszyli za nią przez tłum w kąt szpitalnej sali, ostrożnie przekraczając ciała rannych i martwych. Odór spalonego mięsa był tutaj najsilniejszy. Rapsodia zasłoniła usta i nos, żeby go nie wdychać.

Wszystkie ofiary miały na torsach, brzuchach, twarzach rany cięte, głębokie jak od mieczy. Pieśniarka szeroko otworzyła oczy na ich widok.

– Achmedzie! – zawołała.

Pochyliła się nad nieszczęśnikami, sprawdziła im puls. Żył tylko jeden, ale już tracił przytomność. Chwilę później zjawił się Drak.

– Spójrz na to – powiedziała, wskazując straszne cięcie na plecach ostatniej żywej ofiary.

Delikatnie obmyła ranę leczniczym roztworem tymianku i czystej wody. Rana była głęboka i rozległa, ale nie krwawiła, jakby jej brzegi przypalono żelazem do piętnowania bydła. Jeszcze dymiła.

Achmed kucnął przy umierającym.

– Co o tym sądzisz?

– Nie wiem, ale rany wyglądają jak zrobione Clarionem – stwierdziła.

– Tylko że są głębsze i nie takie wąskie – dodał Achmed.

– To mi wygląda na ślady szponów – odezwał się Grunthor.

Rapsodia spojrzała na akuszerkę, która wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

– Krinsel, wiesz, co zadało te rany?

Bolganka skinęła głową.

– Zjawa. Zjawa Ognistego Oka.

Rapsodia opuściła szpital dopiero wieczorem następnego dnia.

Do tego czasu zabitych przeniesiono do krypty w pobliżu wielkich kuźni, rannych opatrzone i znalezione dla nich łóżka. Sanitariusze i akuszerki poruszali się cicho wśród ofiar, zajmując nimi z taką samą wprawą jak filidzi z hospicjum Khaddyra.

Zostawiła Jo z Grunthorem, który nie chciał opuścić swoich ludzi i popadł w uporczywe milczenie. W jego oczach dostrzegła wyraz, który widziała już wcześniej, kiedy sierżant major opowiadał o swoim dawnym wojsku. Próbowwała go pocieszać, ale gigant jeszcze bardziej sępniał. W końcu doszła do wniosku, że najlepiej będzie pozwolić mu czuwać przy rannych. Dała mu więc spokój i przykazała młodszej siostrze mieć na niego oko.

Choć marzyła o wymoczeniu się w wannie, mocniej zawiązała pasek poplamionego krwią fartucha i ruszyła do tunelu prowadzącego na Przekłète Wrzosowisko.

Zbliżała się noc. Na niebie widniały różowe i karmazynowe smugi, nad horyzontem kłębiły się chmury, a świat przekrzywił się pod dziwnym kątem, odkąd ostatni raz spała. Zaczęła drewnianym głosem śpiewać vespery. Starła się trzymać rozpacz na wodzy, ale tym razem nie znajdowała pocieszenia w cowieczornym rytuale. Bolgowie tak strasznie ucierpieli.

Achmed siedział tam, gdzie spodziewała się go znaleźć, u wylotu tunelu, który wychodził na kanion i leżące za nim wrzosowisko. Z tego miejsca po raz pierwszy przemówił do swoich poddanych, objął nad nimi władzę. Teraz zwiesił nogi poza krawędź urwiska, nad przepaścią, i spoglądał w dal.

Usiadła obok niego. Razem w milczeniu obserwowali słońce, które pospiesznie schowało się za brzeg świata, jakby wstydziło się pozostać na niebie choćby chwilę dłużej. Wraz z

nadejściem zmroku zerwał się chłodny wiatr. Dmuchał im w twarz, przeczesał włosy, zajmował w wąwozie.

Kiedy ciemność zapadła nad rozległym królestwem Firbolgów, Achmed odezwał się pierwszy:

– Dziękuję, że nie próbujesz przerwać ciszy wyważonymi słowami pociechy.

Rapsodia tylko się uśmiechnęła. Drak westchnął ciężko.

– Czy Grunthor już przemówił?

– Jeszcze nie.

Achmed pokiwał głową, sięgając pamięcią na drugą stronę czasu.

– Już kiedyś przeżywał coś podobnego, nawet dużo gorszego. Wkrótce dojdzie do siebie.

– Na pewno – zgodziła się Rapsodia. Z twarzy Draka wyczytała głęboką troskę i smutek.

Strachu się nie dopatrzyła. – Pewien porucznik zdążył mi coś powiedzieć przed śmiercią.

Zerknął na nią z ukosa.

– Co?

Odgarnęła pasmo włosów, które wiatr cisnął jej na oczy.

– Zdradził mi prawdziwe imię Ognistego Oka. – Rozejrzała się niespokojnie. – Saltar.

– Wiem.

– Brzmi ci znajomo? Słyszałeś kiedyś podobne?

– Owszem. Tsoltan.

Rapsodia wypuściła powietrze z płuc.

– Wcale nie jestem zaskoczona, że wiesz.

– Nie wiedziałem, ale spodziewałem się tej chwili, odkąd wypęziliśmy z korzenia Wielkiego Drzewa. – Patrzył na wrzosowisko, na wysokie łąkowe trawy kołysane wiatrem. – Ironia losu nigdy nie przestaje mnie zdumiewać.

W jego głosie nie było zwykłego sarkazmu.

– Co masz na myśli? – zapytała Rapsodia.

Achmed utkwiał wzrok w dalekim punkcie na horyzoncie, jakby próbował zajrzeć w przeszłość. Podniósł kamyk z dna tunelu i zaczął się nim bawić z roztargnieniem.

– Przez całe dorosłe życie byłem myśliwym, i to dobrym. Tak mnie wychowano. F'dorowie bezlitośnie tępilili mój lud, więc ja też stałem się bezlitosny. Przy narodzinach otrzymałem dar, więź z krwią, która pozwalała mi być Bratem wszystkich ludzi. Używałem go jednak w imię śmierci. Chodziłem samotnie, nasłuchiwałem bicia serca i podążałem za nim nieomylnie, aż znajdowałem ofiarę, chyba że schroniła się w morzu, bo tam nie potrafiłem jej wyczuć. Lecz nikt nie mógł wiecznie się przede mną chować. Teraz jestem tutaj, po drugiej stronie Czasu. Zrezygnowałem ze wszystkiego, z naturalnej broni, która tak długo mi służyła, i uciekłem przed jedynym niepokonanym prześladowcą. Przed sobą samym. Duch zdobył moje imię; byłem jego współnikiem w polowaniu na mnie. Podobnie jak ja nigdy nie pozwalałem wymknąć się zdobyczy, F'dorowie też nigdy nie przegrywają, bo

nawet w razie klęski czynią ze zwycięzcy swojego nowego gospodarza. Lepiej zginąć, niż pozwolić, by duch żył dalej w tobie. Nie wiem jednak, czy nie jestem z nim związany. Powinienem wiedzieć, że na tym małym świecie nie można się przed nim ukryć. Ukryć przed sobą. Lawiny nie da się powstrzymać.

Rapsodia nic nie powiedziała, tylko nakryła ręką jego dłoń.

– I wtedy ty się zjawiałaś, namieszalaś mi w głowie swoim nieustannym gadaniem, aż w końcu uwierzyłem, że udało mi się uciec F’dorowi. Powinienem być mądrzejszy i rozumieć, że duch mnie odnajdzie, to tylko kwestia czasu. – Rzucił kamyk do wąwozu.

– Nie wiadomo, czy już cię znalazł – powiedziała cicho Pieśniarka. – Może nadal jesteś myśliwym, Achmedzie, i twoim przeznaczeniem jest stawić mu czoło, zabić go. Może właśnie on będzie twoją ostatnią ofiarą. Ale masz rację w jednej sprawie. Nie możesz dłużej uciekać, ponieważ F’dor cię dopadnie wcześniej czy później. Na twoim miejscu wołałabym nie pokazywać mu pleców.

– Świetna rada z ust kogoś, kto nie ma pojęcia, jakie konsekwencje mnie czekają – burknął Drak i cofnął rękę.

– Wiem za to, co mi grozi. Mogę stracić jedyną rodzinę, jaka pozostała mi na świecie, zwłaszcza nieznośnego brata, który jest moim całkowitym przeciwieństwem. – Dostrzegła, że spojrzenie Achmeda łagodnieje. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się tego boję. Lecz bez względu na konsekwencje stanę u twojego boku jak Grunthor. Tak się postępuje w rodzinie.

Uśmiechnęła się, Drak natomiast ze wszystkich sił usiłował zachować kamienną twarz, choć zrobiło mu się ciepło na sercu.

– Słyszałeś, że Bolgowie szepczą coś o Zjawie Ognistego Oka? – zapytała.

– Tak.

– O co chodzi? Jeśli to jest Tsoltan, który zdążył umknąć przed zagładą Serendair i przybył tutaj z ostatnimi Cymrianami, czy mogli go zobaczyć?

Achmed potrząsnął głową.

– Wątpię, choć może powinniśmy przyjąć, że tutaj nie obowiązują zasady ze starego świata. F’dorowie związani z ludzkim gospodarzem na ogół są niewidzialni, ale czasami można wyczuć w powietrzu wstrętny odór zgnilizny. Raczej rzadko, dlatego są tak diabelnie niebezpieczni.

– Więc jak myślisz, o kim mówią Bolgowie?

Drak wstał i otrzepał piasek z ubrania.

– Nie mam pojęcia. Ktokolwiek to jest, posługuje się czarnym ogniem jako bronią. Stąd te okropne rany. Bolgowie uważają, że Zjawa Ognistego Oka to dzieło Saltara, magiczna moc, która czyni go niezniszczalnym i zapewnia mu zwycięstwo.

– Więc to człowiek opętany przez demona? Damy radę go zabić?

– Nie wiem. – Pomógł jej wstać z ziemi. – Nie zamierzam ryzykować. Muszę sam stawić czoło Ognistemu Oku, Rapsodio. Istnieje starożytny dracki rytuał zwany Zniewoleniem, który nie pozwala demonowi opuścić gospodarza. Giną obaj. Sztuka polega na tym, żeby za wcześnie nie zabić człowieka. Lecz jeśli Ogniste Oko nie jest gospodarzem, czar nie zadziała.

– Potrafisz go wyśledzić?

Achmed oparł się o ścianę tunelu i zamknął oczy. Skupił wewnętrzny wzrok na kanionie oddzielającym ich turnię od Przeklętego Wrzosowiska. Popędził nad przepaścią, ponad górską łąką i skalnymi ścianami Kraldurge, ku rozległym poloni czekającym na wiosenne siewy. Bardzo dobrze znał tę trasę. Przebył ją wielokrotnie razem z Grunthorem, kiedy podporządkowywali sobie i rekrutowali Bolgów. Wszystkie ziemie znajdowały się teraz pod jego władzą, podobnie jak ich mieszkańcy.

Przemknął nad starymi winnicami na łagodnych wzgórzach rozdzielonych rzeką. Obecnie troskliwie pielęgowali je Bolgowie wyszkoleni przez Rapsodię. Z zawrotną szybkością sunął nad lasami i śródgóorskimi kotlinami, które niegdyś należały do Nainów i Gwaddów, cymriańskich ludów żyjących pod ziemią. Za gęstymi borami, gdzie Lirinowie lojalni wobec Gwyllliama zbudowali swoje domy, zobaczył Ukryte Królestwo, kamienne rumowiska w miejscu wiosek i miast, najdalej wysuniętych posterunków Cymrian. Gleba była tutaj czarna, żyzna, nie uprawiana, ludność ukryta w ogromnym labiryncie górskich korytarzy.

Wpadł w kręte tunele, podążył nimi do ogromnej pieczary z dużą niszą na końcu. Zatrzymał się raptownie przed szerokim kamiennym łóżem bez materaca, na którym spał Bolg. Oczy szamana otworzyły się w ciemności i spojrzały na niego, otoczone czerwonymi obwódkami. W tym momencie wizja zbladła i zniknęła.

Achmed wypuścił powietrze z płuc i uśmiechnął się mimo woli, gdy ujrział wyraz oczekiwania na twarzy Rapsodii.

– Wiem, gdzie on jest – oznajmił. – Ale on może teraz to samo powiedzieć o mnie.

– Miałas z nią jakieś kłopoty, księżniczko?

Rapsodia mocowała się ze zbroją, którą dał jej Achmed.

– Najmniejszych – odparła, wykręcając sobie ramię, żeby zapiąć jakąś sprzączkę. W końcu poddała się i zwróciła do Grunthora o pomoc. – Postarałam się, żeby dobrze obejrzała ciała ofiar Ognistego Oka, tak że była bardziej niż szczęśliwa, mogąc zostać w szpitalu. Prawdę mówiąc, zgłosiła się na ochotnika do pilnowania moich wnucząt.

Grunthor uśmiechnął się, ale w jego oczach brakowało zwykłych wesołych iskierek.

– To dobrze. Przynajmniej będzie bezpieczna. Nie sądzę, żebyś również zmieniła zdanie, wasza wysokość?

Rapsodia poklepała go po ramieniu.

– Nie.

– W takim razie cieszę się, że będziesz nam towarzyszyć. Tylko pamiętaj, czego się nauczyłem.

– Oczywiście. I mądrą radę Achmeda: wcześniej czy później zostaniesz ranna, więc bądź na to przygotowana i nie zamykaj oczu. Lepiej widzieć, co się dzieje.

Król Firbolgów uśmiechnął się pod kapturem.

– Więc jesteś gotowa?

Rapsodia podeszła do wylotu tunelu. Spojrzała w dół na morze Bolgów. W wąwozie zebrało się dziesięć tysięcy żołnierzy pałających straszliwym gniewem i żądzą zemsty. Hałas był ogłuszający.

Oddziały szykowały się do walki. Wciąż przybywali kolejni wojownicy, mężczyźni i kobiety.

– Jesteś pewny, że nad nimi zapanujesz? – spytała z niepokojem.

– Nie – odparł Grunthor lekkim tonem. – Ale przynajmniej wiem, że odpłacą wrogowi.

Konie były kopytami, po skórze przebiegło im nerwowe drżenie. Rapsodia podejrzewała, że ma w oczach taki sam dziki wyraz jak one. Wcześniej obserwowała Bolgów ze strachem. Teraz, na dnie kanionu, poczuła się jak w oku huraganu.

Wokół niej kłębili się ludzie i półludzie, unosił się zapach potu i podniecenia przed bitwą. Widziała, że w tysiącach ochotników narasta bojowy szał, i to ją przerażało.

– Co z Górskimi Oczami? – zapytał Achmed.

– Ani śladu – odparł Grunthor, który wydawał rozkazy z grzbietu Rockslide’a, potężnego rumaka, daru od lorda Stephena. – Nie sądzę, żeby byli tak głupi, by teraz zaatakować. – Potoczył spojrzeniem po kanionie wypełnionym wojskiem.

– To Pięści i Ogień, Oczy czy Brzuchy? – zainteresowała się Rapsodia.

– Brzuchy – odpowiedzieli jednocześnie Achmed i Grunthor.

– W takim razie, dlaczego ich przywódca nazywa się Ogniste Oko? Bolgańscy naczelnicy zwykle dołączają do imienia nazwę klanu.

Achmed zsiadł z konia i podszedł do niej, zamiast przekrzykiwać harmider. Rapsodia nachyliła się z siodła.

– Wszystkie klany w Ukrytym Królestwie to Brzuchy. Imię tego szamana nawiązuje do czerwonych obwódek jego oczu. Czasami w ten sposób można dojrzeć F’dora, ale tylko przelotnie. Takie oczy pojawiały się w twoich wizjach, prawda? Możliwe również, że używa tego samego świętego, czy też raczej diabelskiego symbolu, który zobaczyliśmy w Bethany. To był znak Tsoltana.

Rapsodia wróciła pamięcią do ostatniej strasznej wizji, która ją nawiedziła tuż przed tym, jak rzeczywistość zmieniła się w koszmar.

– Chyba tak. Widziałam go we śnie.

– Ja nie, ale trudno, żeby miał je wyhaftowane na kocach. Nie wiem, czy znajdzie się jakiś na jego ceremonialnych szatach, jeśli w ogóle ich używa.

Achmed chwycił wodze klaczy i odciągnął ją z drogi trzech tarמושących się bolgańskich kuszników. Grunthor chwycił jednego za kołnierz, dwóch warknięciem przywołał do porządku. Wszyscy trzej pospiesznie wrócili do nierównych szeregów.

– Pamiętaj, co mówiłem o rytuale Zniewolenia. Nie atakuj go, póki się nie upewnisz, że jest w transie.

Zgiełk jeszcze się nasilił, Rapsodia tylko skinęła głową. Achmed poklepał ją po nodze i wrócił do swojego wierzchowca.

Jazda do Ukrytego Królestwa była długa i męcząca. Rapsodia mocno ścisnęła kolanami boki klaczy i kurczowo trzymała się łęku, żeby nie spaść z siodła.

Jechali na czele kolumny Firbolgów, która wciąż się powiększała. Z każdą milą przybywało coraz więcej klanów i rodów, samotnych łowców, ojców z synami i całych oddziałów. Wydawało się, że całe góry podążają za Achmedem.

Rapsodii znowu rozbrzmiał w uszach jego głos, pełen energii i żaru, kiedy po raz pierwszy zwracał się do nowych poddanych z półki nad wąwozem, zasnutym dymami z ognisk. „Jesteście tylko odpryskami złamanej kości, która sprawia wam ból, kiedy idziecie. Przyłączcie się do mnie, a razem utworzymy kroczącą górę”... Stało się tak, jak przewidział.

Po lewej stronie usłyszała bas Grunthora intonującego marszową piosenkę:

*Mówiono mi, że zemsta
To wystygłe danie,
Ja wolę ciepłą strawę,
Więc kiedy po ciebie przyjdę,
Urwę ci rękę i zjem ze smakiem.*

Przy drugiej zwrotce wsparły go już tysiące chrapliwych głosów:

*Od stóp do głów
Pożrę cię całego,
A kości odrzucę.
Przy odrobinie szczęścia
Twoja rodzina i przyjaciele
Znajdą sobie innego osła.*

Góry opowiedziały potężnymi echami. Mimo żartobliwych słów w śpiewie Bolgów słychać było ból i jednocześnie bojowy zapach.

Rapsodia dołączyła do chóru, skupiając się na wzmocnieniu dźwięku. Piosenka wzbijała się pod niebo, podejmowało ją coraz więcej żołnierzy, w marszowym rytmie zapowiadając zemstę.

Po plecach przebiegł jej dreszcz strachu zmieszanego z podnieceniem. Zerknęła na Achmeda. Drak uśmiechnął się do niej. Przeniosła spojrzenie na Grunthora, który właśnie zaczął następną pieśń, tym razem posępną. Z jego twarzy zniknęła radość. Olbrzym bardzo wziął sobie do serca rzeź swoich ludzi i teraz planował pomścić ich okrutnie. Rapsodia już szykowała się w duchu na to, co wkrótce miało nastąpić.

Przez pierwsze trzy dni podróży armia nadal rosła liczebnie, do rozciągniętej kolumny wciąż dołączali nowi ochotnicy. Po ustaleniu, że to nie trzęsienie ziemi, tylko przemarsz wojska, zjawilo się wielu przedstawicieli Pazurów, Oczu i nawet Brzuchów z pól i lasów.

Nocami rozbijali obóz. Wartownicy pilnowali wielkich ognisk, śpiewając hymny zagrzewające do boju. Rapsodia obserwowała gigantyczne cienie, które tańczyły na skalnych ścianach, i dym wzbijający się pod ciemne niebo, między gwiazdy.

Pod koniec czwartego dnia doszło do pierwszych potyczek. Bolgowie, którzy teraz schodzili ze wzgórz lub przybywali ze zniszczonych cymriańskich osad, nie zamierzali dołączyć do królewskiej armii, tylko zaatakowali jej flanki. Te próby nie spowodowały najmniejszego zamieszania w głównej kolumnie i były udaremniające bez wypadania z rytmu marszowych piosenek.

Piątego dnia wszystko się zmieniło.

Poprzedniej nocy Achmed ostrzegł Rapsodię, że znajdują się na terytorium Pięści i Ognia, licznego i dzikiego plemienia, które w dodatku umiało zastawiać pułapki.

Udowodniło to o wschodzie słońca. Dzięki diecie służącej poprawieniu wzroku, a złożonej z korzonków i podrobów, żołnierze dostrzegli w porannej mgle szare sylwetki napastników. Pierwsza fala otoczyła bolgańską armię wielkim kręgiem, sięgającym od krańca do krańca dużego niegdyś i ładnego miasta, z którego zostały tylko ruiny. Druga wypłynęła spomiędzy szczątków budowli, miotając pochodnie nasączone żrącym płynem. Przerazona Rapsodia ściągnęła wodze klaczy.

– Ogień flankowy! – ryknął Grunthor.

Wojsko Achmeda rozdzieliło się pośrodku i zaczęło strzelać z kusz do nacierających Pięści. Raptem pod niebo buchnęły płomienie. Wrogowie podpalili sadzawki oleju i smoły, odcinając napadniętym drogę ucieczki. Powietrze wypełnił gryzący dym. Ciężkie wyziewy utrudniały oddychanie.

Grunthor odwrócił się do Pieśniarki.

– Śpiewaj! – krzyknął.

Rapsodia pospiesznie zaintonowała wojenną pieśń, którą wcześniej przeciwczyli. Ułożona specjalnie do rytmu bolgańskich serc, miała rozpalić krew w walczących. Rzeczywiście poskutkowało. Przez równinę spowitą czarnym dymem przetoczył się ogłuszający ryk. Królewskie wojsko, rozwścieczone i zagrzane do boju, wypuściło kolejny grad strzał i ruszyło na wroga.

U jej boku nagle zjawił się Achmed.

– Chodź. Zostaw konia. Musimy dotrzeć do jaskini, zanim ogień się rozprzestrzeni.

Pobiegli przez bitewne kłębowisko, unikając ciosów i przeskakując przez trupy. Chwilę później dogonił ich Grunthor. Wyrąbał sobie drogę Salem, ulubionym toporem, z furią rąbiąc wojowników Pięści i Ognia.

– Wchodzimy? – wysapał.

Achmed wskazał skałę pośród szalejącego piekła.

– Tam jest wejście.

Saltar miał zamknięte oczy, ale jego ręce poruszały się nerwowo.

– Nadchodzą – wyszeptał.

Słowa odbiły się echem w mrocznej pieczarze. Potem zapadła cisza. Oczy z czerwonymi obwódkami otworzyły się raptownie.

– Słyszałeś? Powiedziałem, że nadchodzą.

Chłodna mgła zwilżyła mu twarz, ale nie był pewny, czy to duch, czy jego własny pot.

Nie ma go z nimi.

Ogniste Oko chwycił miecz Willuma, swój drugi największy skarb. Nie spodziewał się, że będzie go kiedyś potrzebował.

– Jak to? Oczywiście, że jest! Są tutaj, nadchodzą!

Nie widzę go. Nie ma z nimi tego, którego szukam.

Z ust Saltara wyleciał stek przekleństw, plugawych nawet dla Bolgów.

– Musisz mi pomóc! – krzyknął. – Musisz walczyć!

Odpowiedziało mu tylko echo.

Achmed zatrzymał się przed wałem ognia. Zza niego łypali szyderczo ustawieni w nierównej linii wojownicy z klanu Pięści broniący wejścia do jaskini. Drak skinął na Pieśniarkę.

Rapsodia wzięła głęboki oddech i dobyła miecza; świst Clariona wzbił się ponad tumult. Uniosła klingę na wysokość oczu. Nim je zamknęła, dostrzegła, że buńczuczne miny Bolgów ustępują miejsca przerażeniu.

– *Slypka* – powiedziała. – Zgaśnij.

Ściana płomieni zniknęła.

Grunthor ruszył przed siebie ze straszliwym rykiem, wymachując Salem. Ciął kilku nieszczęśników, którzy nie zdążyli uskoczyć. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby wyciągnąć ostrze z ciała martwego Bolga, i wbiegł do tunelu. Achmed i Rapsodia popędzili zanim.

Pieśniarka zwolniła na chwilę, żeby schować ognisty brzeszczot. Za sobą usłyszała tupot nóg, ale nie miała czasu sprawdzić, czy do jaskini wpadli poddani Achmeda, czy wrogowie.

Przed nimi wyrósł nagle oddział strażników, uzbrojonych w antyczne miecze i równie stare włócznie. Achmed sięgnął po wąski, długi miecz, którym posługiwał się w Domu Pamięci.

Rapsodia spojrzała za siebie. U wlotu korytarza Bolgowie toczyli ze sobą bratobójczą walkę wręcz. Ich krew splamiła kamienie. Gdy odwróciła głowę z powrotem, strażnicy leżeli na ziemi.

– Chodź – powiedział Drak, biorąc ją za rękę.

Pobiegli razem z Grunthorem w głąb pieczary, gdzie niegdyś ciągnęło się cymriańskie miasto. Rapsodii serce waliło młotem, oddech miała krótki i urywany. Nagle poczuła ostre szarpnięcie. Jej towarzysz zatrzymał się w pół kroku.

Przed nimi stał Bolg o niezbyt imponującej posturze, mniej więcej wzrostu Achmeda, z cymriańskim mieczem w długiej, wychudzonej ręce. Odziany w mocno sfatygowaną szatę, włosy miał zmierzwione, jakby stał na silnym wietrze. Spod zmarszczonych brwi patrzyły na nich oczy z czerwonymi obwódkami. Malował się w nich strach.

Achmed zamknął oczy i lekko rozchylił usta. Rapsodia położyła dłoń na rękojęści Clariona, a tymczasem Grunthor rzucił Sala i dobył Kosiarza.

Drak przystąpił do rytuału Zniewolenia. Z jego gardła wydobyły się cztery oddzielne dźwięki, utrzymane w jednej tonacji, piąty wydostał się przez zatoki i nos. Zabrzmiało to tak,

jakby pięciu śpiewaków jednocześnie zaintonowało pieśń. Do tego zaczął rytmicznie cmokać językiem.

Ogniste Oko zamrugał zdumiony.

Achmed uniósł prawą rękę z otwartą i sztywną dłonią, jakby kogoś zatrzymywał. Lewą powoli wysunął w bok, a następnie w górę, lekko poruszając palcami. Stosował odwieczną praktykę Draków. Szukał wibracji demona. Nagle otworzył oczy.

Niczego nie wyczuł. Nawet śladu F'dora.

Saltar skrzywił się z wściekłości. Z krwiożerczym pomrukiem skoczył do przodu i zamachnął się mieczem. W tym momencie Grunthor wydał ryk, od którego strop zadrżał. Odepchnął króla i zasłonił go własną pierśią. Achmed upadł. Rapsodia sięgnęła po Clariona.

Saltar ciął jeszcze raz i obronił się przed atakiem olbrzyma. Grunthor rozdziawił usta. Ogniste Oko przewidział jego manewr, który miał być zaskakujący.

Wielki Bolg wziął kolejny zamach. Saltar uchylił się i odparował cios. Błyskawicznie zrobił dwa kroki do tyłu, przewidując, że tym razem wielkolud zaatakuje oburącz. Pot spływał mu po twarzy, mieszając się z krwawymi łzami wysiłku.

Grunthor sapnął z wściekłości.

– Drań wcześniej ode mnie wie, co zrobię.

Uniósł Kosiarza, licząc na to, że przeciwnik zareaguje tak jak poprzednio, po czym zebrał wszystkie siły i opuścił go na broń szamana. Miecz upadł na kamienie, głowa z wytrzeszczonymi czerwonymi oczami poturlała się po dnie jaskini.

Rapsodia cofnęła się przerażona. Gdy ciało runęło na ziemię, rozległ się dziwny brzęk. Głowa przetoczyła się kilka razy i znieruchomiała. Achmed pochylił się zaintrygowany. Martwe oczy patrzyły w sklepienie pieczary. W szklistych źrenicach odbijał się blask Clariona.

– Dziwne – powiedział. – Czerwone obwódki zniknęły.

Rapsodia zadrżała.

– Gdzie jest demon? Nie uwięziłeś go?

– Nie wyczułem go nigdzie w pobliżu – odparł Drak.

W tym momencie spod szaty bezgłowego trupa wysunął się złoty talizman na ciężkim łańcuchu. Rapsodia schyliła się bez zastanowienia.

– Nie dotykaj! – krzyknął Achmed.

Grunthor wsunął czubek Kosiarza pod amulet i odwrócił go ostrożnie. Języki ognia wykute z metalu lizały złotą kulę, tak że całość wyglądała jak planeta w płomieniach. Do wnętrza kręgu opadała spirala z czerwonych kamieni szlachetnych, kończąca się w środku pojedynczym okiem.

– To on, panie! – zawołał olbrzym ze strachem.

Rapsodia rozejrzała się płochliwie, ale w przepastnej jaskini nie dostrzegła nikogo poza ich trójką; Bolgowie nadal walczyli u wejścia, nieświadomi, że ich szaman zginął. Nagle poczuła na twarzy chłodną mgłę.

W tym momencie rozległ się krzyk Grunthora. Nie był to wojenny okrzyk, który przerażał ludzi i płoszył konie, ani dziki śmiech, którym zwykle kwitował czynione przez siebie spustoszenie.

Był to ryk bólu.

Firbolg okręcił się w miejscu. Niewidzialna ręka zadała mu potworne cięcie przez oczy. Rapsodia skoczyła mu na pomoc i została odepchnięta do tyłu przez silny podmuch.

Wielkolud cofał się na osłep. Krew lała mu się z oczu. Na piersi i ramieniu widniały dwie głębokie rany. Jego płaszcz zajął się ogniem.

Achmed chwycił przyjaciela za ramiona, pchnął na ziemię i zaczął gasić ogień. Pod siłą niewidocznego ciosu wymierzonego w podbródek głowa Draka odskoczyła do tyłu. Płomienie buchnęły wyżej.

Rapsodia z trudem dźwignęła się na kolana i wyciągnęła przed siebie miecz. Wzięła głęboki oddech, oczyściła umysł.

– *Slypka* – szepnęła.

Ogień zgasł, ale Grunthor nadal leżał twarzą do ziemi. Straszliwy cios rozplątał mu plecy od szyi do pasa.

– Achmedzie, patrz! – krzyknęła Rapsodia.

W świetle Clariona dostrzegli, że nad rannym pochyla się jakiś cień. Z rękawów luźnej szaty wystawały szkieletowate ręce zakończone ognistymi pazurami. Sylwetka migotała, przechodząc ze świata żywych ludzi do świata duchów. Wewnątrz kaptura panowała całkowita ciemność. Tylko na chwilę rozjaśnił ją odbłask miecza. Potem nawet to nikłe światelko zniknęło.

Grunthor poruszył się raz i znieruchomiał. Zjawa odwróciła się i ruszyła w ich stronę.

– Szing – wyszeptał Achmed. – O bogowie!

– Szing? Co to takiego? – zapytała Rapsodia ledwo słyszalnym głosem.

– Oko F'dora. Idzie na nas. Walcz, póki dasz radę. Potem uciekaj. Ja spróbuję go powstrzymać.

Rapsodia zaczęła się cofać, nie wstając z klęczek.

– F'dor? Powiedziałeś, że tu go nie ma.

– Nie wyczułem żadnych wibracji – syknął Achmed z wściekłością, rozglądając się gorączkowo. – Ale on tu jest. To sługa Tsoltana. Saltar był jego gospodarzem.

On nie jest tym, kim się wydaje.

Słowa rozbrzmiały w głowie Rapsodii tak wyraźnie, jakby matka stała obok. Powtórzyła je na głos:

– On nie jest tym, kim się wydaje.

Nagle głowa Achmeda odskoczyła do tyłu, na ramieniu pojawiła się rana, szata stanęła w płomieniach. Drak zatoczył się, potknął o rannego przyjaciela i runął na niego całym ciężarem. Grunthor jęknął i odruchowo zacisnął wielką pięść. Potem znowu znieruchomiał.

On nie jest tym, kim się wydaje.

Rapsodia powędrowała wzrokiem ku amuletowi. Wyciągnęła drżącą rękę.

– Nie! – wykrztusił Achmed, chwytając się za ramię. – Nie dotykaj tego!

Niewidzialna siła obróciła ciało Grunthora na plecy. Rapsodia chwyciła talizman i uniosła go wysoko.

– Przestań! – rozkazała.

Tsoltan?

Głos rozbrzmiał w jej umyśle, jakby dobiegał z drugiej strony pieczary. Był stłumiony, niewyraźny. Potrząsnęła głową, próbując uwolnić się od intruza.

Achmed oparł się na łokciu.

– Uciekaj! On zabije Grunthora, a potem weźmie się za mnie. Nie przestanie, póki się nie upewni, że ofiara nie żyje. Biegnij! – Raptem na jego twarzy odmalowało się przerażenie. – O bogowie, Rapsodio, twoje oczy!

W źrenicy talizmanu dostrzegła odbicie zielonych oczu z czerwoną obwódką.

On nie jest tym, kim się wydaje.

– To amulet – powiedziała cicho i wyciągnęła go przed siebie. – On, a nie szaman kierował Szingiem.

Odwrociła się do cienia majającego w ciemności.

– Odejdź od niego – poleciła. Nad ciałem Grunthora ukazała się słaba poświata. – Czego chcesz?

Szukam Brata.

– Słyszałeś? – Gdy Achmed potrząsnął głową, wyjaśniła: – On szuka Brata.

Drak wstał z ogromnym wysiłkiem i podniósł z ziemi miecz.

– Powiedz mu – wyszeptał po bolgańsku.

– Nie. On cię nie widzi. Teraz jesteś Achmedem Wężem.

– Powiedz mu, bo wróci do Grunthora, a później zabije ciebie. Powiedz.

– Nie.

Chwiejnie zrobił krok do przodu.

– Ja jestem Bratem! – krzyknął. – Ja! Mnie szukasz!

Pieśniarka zobaczyła z przerażeniem, że Achmed wije się w płonących szponach. Migotliwa zjawa uniosła go z ziemi i cisnęła bezwładnego pod jej nogi. Ciężki zawisł przed nią w powietrzu. W głowie znowu usłyszała głos.

Znalazłem Brata. Dostarczę go zgodnie z rozkazem. Uwolnij mnie teraz.

Rapsodia ścisnęła łańcuch, mokry od potu.

– Gdzie są pozostałe oczy z Tysiąca?

Nie ma. Już dawno zginęły w żarze Śpiącego Dziecka. Zostałem sam. Przebyłem szeroki ocean w poszukiwaniu Brata. Nikomu więcej się udało. Uwolnij mnie teraz.

Achmed poruszył się lekko.

– Zapytaj o jego pana.

– Kto cię wezwał? Gdzie teraz jest?

Nie żyje, człowiek i duch, jego imię zostało zapomniane. Ja byłem ostatnim, który powstał z jego ognia. Teraz on niczyje. Uwolnij mnie.

Głos stawał się coraz słabszy. Rapsodia spojrzała na Achmeda.

– Żąda uwolnienia.

Drak skinął głową.

– Najpierw ukaż się cały – powiedziała.

Migotliwa poświata przybrała niewyraźny kształt wychudzonej postaci okrytej workowatą szatą. Szponiaste pazury już nie płonęły, tylko jaśniały słabym blaskiem. Wnętrze kaptura wypełniała nieprzenikniona czerń.

– Są jeszcze inne demony? Inni F’dorowie?

Szing przybladł.

– Słypka.

Zjawa zniknęła.

Rapsodia pobiegła do Grunthora. Łzy ścisnęły jej gardło, kiedy zobaczyła straszliwe rany na jego twarzy i ciele. Gigant oddychał płytko, szkliste oczy patrzyły na sklepienie jaskini. Policzki powlekała trupia bledość.

Słabym głosem zaczęła śpiewać jego trudne bolgańskie imię, pełne świszczących głosek i gardłowych warknięć.

Dziecko piasku i otwartego nieba, syn jaskiń i mrocznych krain.

Bengard, Firbolg, sierżant major. Mój trener, obrońca. Mistrz Śmiercionośnej Broni.

Najwyższy Autorytet, Którego Trzeba Słuchać Za Wszelką Cenę.

Grunthor, silny i godny zaufania jak sama ziemia.

Mój przyjaciel, drogi, najdroższy przyjaciel.

Zaniosła się spazmatycznym szlochem. Na zewnątrz pieczary zachodziło słońce.

– Księżniczko?

Znajomy głos w uszach, pulsujący ból w oczach. Rozmywające się białe kręgi na tle czerni.

Rapsodia próbowała się obudzić, ale znowu zapadła w sen, w którym mogła wierzyć, że Grunthor żyje. Uśmiechał się do niej jak wiele razy w czasie wędrówki korzeniem Wielkiego Drzewa, budził ją z koszmaru, przemawiał kojąco.

– Nie spiesz się, kochanie.

Szarozielona twarz ze wspomnień, wyszczerzona od ucha do ucha. Ile razy tak do niej mówił z bezgraniczną cierpliwością i troską, czekając, aż znajdzie oparcie dla stóp?

– Jak długo jest nieprzytomna?

– Od świtu. – Głos Achmeda był bardziej zgrzytliwy niż wtedy, gdy ostatnio go słyszała. – Śpiewała całą noc. Gdy wzeszło słońce, zemdląca.

– Grunthorze... – szepnęła. Słowo zabrzmiało, jakby wypowiedział je bardzo stary Firbolg. Gardło miała obolałe.

– Jestem, panienko. Jak nowo narodzony.

Rapsodia z trudem otworzyła oczy. Nad sobą zobaczyła szarozieloną twarz rozjaśnioną szerokim uśmiechem. Chciała się odezwać, ale tylko bezgłośnie poruszyła wargami.

– Nic nie mów, księżniczko. Ładnie mnie wykurowałaś. Wyglądam teraz dużo lepiej niż ty.

Rzeczywiście nie dostrzegła na nim nawet zadrapania. Odwróciła głowę, żeby sprawdzić, co ciśnie ją w ramię. Obok niej siedział Achmed, zabandażowany i posiniaczony, ale cały i zdrowy.

Z głębi pokoju dobiegł głos.

– Obudziła się? Wszystko dobrze? Niech na nią spojrzę.

Chwilę później dziewczyna stanęła przy łóżku. Jej twarz, z wyraźnymi śladami łez, była jednocześnie uradowana i wściekła.

– Posłuchaj, jeśli następnym razem sama pójdziesz na taką świetną wyprawę, a mnie zostawisz ze swoimi nieznośnymi wnukami, spuszczę ci porządne lanie. Te bachory związały mnie i okradły. Gdybyś nie wróciła w porę, byłabym pierwszym człowiekiem, który pożarł Bolga.

Rapsodia wydała głębokie westchnienie. Czowała bolesny ucisk w klatce piersiowej.

– Ty naprawdę... żyjesz... Grun...

– Przestań mówić, panienko – powiedział olbrzym. – Jestem jak nowy i bardzo ci wdzięczny. Chyba naprawdę dobrze mnie znasz, skoro pieśnią sprowadziłaś z powrotem do świata żywych, choć jedną nogą byłem już na tamtym.

Szeroki uśmiech obrócił wniwecz usiłowanie olbrzyma, żeby zachować poważny wyraz twarzy.

– Nic dziwnego. Ostatecznie nieraz ze sobą spaliśmy – wychrypiła i po chwili zapadła w sen, ukołysana ich śmiechem.

Wiatr poświstywał nad Przekętym Wrzosowiskiem, szarpiąc opończami niczym żaglami na wzburzonym morzu. Achmed i Grunthor stali na straży, czekając, aż Rapsodia zbada amulet. W osłoniętym miejscu kotliny Pieśniarka wypaliła krąg trawy i położyła talizman na dużym kamieniu. Oko spoglądało w ciemne niebo.

Teraz śpiewała pieśń o zmiennej melodii i wysokiej tonacji, od której Achmedowi cierpły zęby.

– Grunthorze, znalazłem nową metodę torturowania – oznajmił Drak w pewnym momencie. – Nikt nie wytrzyma tego dźwięku. Prędzej czy później wyjawi największy sekret. Gigant parsknął śmiechem.

– Dobry pomysł. Z amuletu też wydusi całą prawdę.

Wreszcie po dwóch godzinach, kiedy zaświecił księżyc i posrebrzył jej złote włosy, Rapsodia wstała z ziemi, otrzepała spódnicę i wróciła do przyjaciół. Wzięła Achmeda pod ramię.

– Oto co ustaliłam. Talizman widział w swojej historii straszne rzeczy, więc postanowiłam nie cofać się za daleko w przeszłość. Nie chciałam tracić czasu na oglądanie potworności, a poza tym nie jestem pewna, czy nie miałyby na mnie szkodliwego wpływu.

Ten amulet jest martwym przedmiotem, który należał do istoty bardzo potężnej, związanej ze światem duchów, i po prostu zachował trochę jego mocy. Szing mówił prawdę. Tsoltan wezwał Tysiąc Oczu i rozdzielił między nie swoje siły życiowe. Każde otrzymało część jego potęgi albo, jak wolicie, duszy. Czerpały z tej energii, kiedy wyruszyły z misją odnalezienia Brata i dostarczenia go demonowi. Ponieważ udało ci się uciec, Achmedzie, Szing kontynuował poszukiwania. Duch, którego spotkaliśmy w jaskini, ocalał jako jedyny, bo w przeciwieństwie do pozostałych opuścił wyspę Serendair i przebył morze. Inne wytrwale przeczesywały świat. Nawet gdyby cię znalazły, i tak by nie rozpoznały, bo zmieniłeś imię. Tak więc Tsoltan nie dostał tego, co chciał, ani nie mógł odwołać Szinga. Przegrał z kretesem. Stracił siłę wraz z demoniczną częścią swojej natury, została mu tylko ludzka powłoka. Właśnie wtedy dopadł go MacQuieth. Zabił człowieka, w którym nie zostało wiele z F'dora. Osłabiony demon zginął razem z gospodarzem.

Rapsodia zadrżała na lodowatym, porywistym wietrze. Grunthor czym prędzej otulił ją swoim płaszczem.

– Dziwnie się rozmawia z przedmiotem. Jego perspektywa jest nieco spaczona, delikatnie mówiąc. W każdym razie MacQuieth zerwał amulet z szyi umierającego kapłana, zawiózł go do Elysian, tego prawdziwego, i podarował królowi jako trofeum. Nie wiem tylko, któremu władcy. Talizman nie zna się na dynastiach. Przez całe pokolenia wisiał na ścianie w królewskim muzeum. Jak to często bywa, ludzie w końcu zapomnieli o jego pochodzeniu i znaczeniu, stał się po prostu jeszcze jednym eksponatem. Potem nastąpiła ewakuacja. Kiedy Serenowie opuszczali wyspę, wrzucili amulet do pudła razem z innymi skarbami i zabrali ze sobą jako część kulturowego dziedzictwa. Pudło bezpiecznie dotarło do Canrif, ale nie zostało rozpakowane. Sądzę, że Gwylliam i jego poddani mieli dość wyzwań, blasku i wspaniałości, żeby jeszcze potrzebowali zapomnianego symbolu minionej potęgi. W dodatku brzydkiego, bez żadnej wartości dekoracyjnej. Leżał więc w skrzyni i porastał kurzem. Później wybuchła wojna, Gwylliam zginął, Bolgowie zdobyli górę i znaleźli amulet w ruinach wioski, prawdopodobnie Lirinów albo Gwaddów, w głębi Ukrytego Królestwa. Bali się go jednak i zostawili w pudle, aż Saltar, czy jak tam brzmiało jego imię, zdobył się na odwagę.

Założył talizman na szyję i stwierdził, że ogniste oko daje mu siłę. Z początku ta moc polegała tylko na budzeniu strachu w innych bolgańskich klanach, nawet w Pięściach i Ogniu. Lecz wkrótce zjawiał się Szing, który nie ustawał w tropieniu Brata, a kiedy wiatr przyniósł mu zew amuletu, zaczął szukać Tsoltana lub jego następcy. Nauczył Saltara, jak korzystać z oka, żeby widzieć na duże odległości i uprzedzać działania innych, o czym przekonałeś się na własnej skórze, Grunthorze.

– Podstępny kurdupel – mruknął olbrzym. – Gdyby nie amulet, rozplątałbym go na pół.

– Z pewnością. Od daru widzenia oczy robiły się czerwone, co mi też się przytrafiło, kiedy dotknęłam talizmanu. To już chyba cała historia. Ale jest jeszcze jedna ciekawa rzecz, związana z twoim imieniem, Achmedzie, tym dawnym.

– Tak?

Rapsodia pogrzebała w plecaku i wyjęła kawałek brezentu z rozmazany węglowym odciskiem inskrypcji.

– Pamiętasz to?

– Oczywiście.

– Wspomniałeś, że tabliczka, z której zdjęliście ten napis, była przytwierdzona do bloku obsydianu.

– Tak – wtrącił się Grunthor.

– Uznaliśmy, że to mógł być kamienny ołtarz świątyni Jedyne Boga.

– Tak.

– Gdy Tsoltan zniszczył świątynię w imię swojego bóstwa, Pożeraczki, Bogini Pustki, wykorzystał ołtarz do składania krwawych ofiar. – Na twarzy Draka nie dostrzegła śladu emocji. – Myślę, że właśnie w nim uwięził twoje imię.

– Bardzo prawdopodobne.

– Zwycięskie wojska odzyskały kamień i ponownie poświęciły go Bogowi Życia, bo takie imię nosił wcześniej Stwórca. Amulet przekazał mi bardzo wyraźny obraz paniki, w jaką wpadł Tsoltan, kiedy odkrył, że mu się wymknął. Szkoda, że nie mogłam ci go pokazać. Na pewno byś się ubawił. Może kiedyś napiszę o tym komiczną odę. Jesteście gotowi?

Bolgowie spojrzeli na siebie, po czym skinęli głowami. We trójkę udali się na wietrzną górską łąkę, gdzie na kamieniu leżał amulet, patrząc w gwiazdy niewidzącym okiem.

– Wiesz, co robisz, księżniczko? – spytał Grunthor.

– Nie.

Gigant zamrugął.

– Trudno. Trzeba spróbować.

Pieśniarka się uśmiechnęła.

– Właśnie.

Zamknęła oczy. Dobyła miecza ze stalowej pochwy wykutej w kuźniach Achmeda i ozdobionej kawałkami czarnego stalaktytu, w którym go znalazła. Clarion wydał taki dźwięk, że całej trójce dreszcz przebiegł po plecach.

Klinga jaśniała eterycznym światłem, wyżej lizały ją płomienie. Ogrzały twarz Rapsodii, dodały blasku włosom, które zalśniły jak latarnia w mroku.

Pieśniarka dołączyła swój głos do pieśni miecza i poczuła, że wypełnia ją jego moc, rozbrzmiewa w jej duszy niczym symfonia chwały. Otworzyła oczy i odszukała na niebie gwiazdę żeglarzy. Mała i intensywne niebieska Maurinia wisiała nad południkiem zerowym.

Znowu, tak jak w snach, usłyszała głos matki. Ogień jest silny, ale blask gwiazd narodził się pierwszy. Jest potężniejszym żywiołem. Użyj ich światła, żeby oczyścić siebie i świat z nienawiści, która nami zawaładnęła.

Rapsodia wzięła głęboki oddech i uniosła miecz ku firmamentowi. Poczowała, że muzyka Clariona ogarniają całą. Wskazała na Maurinię i usłyszała, że gwiazda zaczyna śpiewać razem z nią w cudownej harmonii. Zamknęła oczy i zawołała jej imię, a wtedy szczyty gór, wąwóz i łąkę oblała srebrzysta poświata, zmieniając noc w dzień. Pośród tej jasności zarysowały się na chwilę trzy czarne cienie, po czym, całkowicie przez nią pochłonięte, zajaśniały migotliwym blaskiem. Z nieba spadł z ogłuszającym hukiem płomień gorętszy niż ogień szalejący w jądrze ziemi. Uderzył w skałę, na której leżał złoty amulet, rozbijając ją w pył. Wszyscy troje osłonili oczy przed oślepiającym blaskiem. Chwilę później światło zgasło, zostawiając po sobie garstkę popiołu w miejscu, gdzie znajdował się talizman.

Grunthor chwycił Rapsodię za ramiona.

– Nic ci nie jest, księżniczko?

Pieśniarka ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Patrzyła w dal, wsłuchując się w głos, który odpływał od niej unoszony wiatrem. ...*Wtedy odpocznę w spokoju, a kiedyś znowu mnie ujrzysz...* Wyteżała słuch, póki szept całkiem nie umilkł.

Wielkolud objął ją i przytulił mocno. Dopiero wtedy oprzytomniała. Było tak, jakby pożegnała się ze zmarłymi krewnymi w obecności nowej rodziny. Po uderzeniu gwiazdnego ognia poczuła się zagubiona i bardzo smutna. Otuchy dodawały jej jedynie silne ramiona i pocieszające słowa towarzyszy, których całe wieki temu uznała za braci.

– Już po wszystkim. Co teraz?

Achmed uśmiechnął się pod kapturem.

– Wracamy do pracy. Grunthor i ja mamy dużo roboty po wyprawie do Ukrytego Królestwa. Z wyjątkiem Górskich Oczu wszystkie klany z Wrzosowiska i Zewnętrznych Zębów są zjednoczone. Pora zacząć wprowadzać w życie nasz plan. Ale najpierw musimy jeszcze urządzić wielki pogrzeb.

Rapsodia skinęła głową.

– Już wykopaliscie groby?

Drak zamrugął.

– Pomyślałem sobie, że wrzucimy ciała do pieców w kuźni.

– Nie! – zaprotestowała z oburzeniem. – Wprawdzie tak zrobiliśmy z Nainami, którzy dawno temu zginęli w obronie kuźni, ale w przyszłości nie powinny odbywać się tam żadne kremacje.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, teraz jest to miejsce budowania i tworzenia, a kremacja, choć konieczna, byłaby aktem destrukcji. Po drugie, i dużo ważniejsze, w przeciwieństwie do dzieci nieba, Lirinów, którzy palą zmarłych na stosach i w ten sposób oddają ich ciała wiatrowi i gwiazdom, Bolgowie są dziećmi ziemi i dlatego w niej należy ich grzebać po śmierci.

Achmed wzruszył ramionami.

– Dobrze, ustępuję przed twoją znajomością rytuałów pogrzebowych. Bolgowie mają szczęście, że nadworna Pieśniarka zaśpiewa im pieśń żałobną. – W tym momencie zauważył, że oczy Rapsodii znowu pochmurnieją. – Co cię smuci?

Gdy nie odpowiedziała, wziął ją za ramie.

– Jesteśmy bezpieczni. Rapsodio. Amulet zniknął, podobnie jak ostatni Szing. Tsoltan nie żyje i prawdopodobnie razem z nim zmarł F'dor. Teraz możemy wreszcie zająć się odbudową Ylorc. Czeka nas ogromne wyzwanie, ale cel wydaje się osiągalny. Już nie musimy się ukrywać, żałoba też dobiegła końca. Pora brać się do pracy.

Rapsodia uśmiechnęła się niewesoło.

– Dla ciebie może pora.

Popołudniowe słońce od czasu do czasu wyglądało zza szczytu, kiedy Rapsodia wspinała się po skalnych półkach na wrzosowisko.

Każdego ranka biegała po stepie i wzgórzach z mieczem na plecach, trenując wytrzymałość i szybkość. Na świeżym powietrzu prędko nabierała sił, co sprawiało jej wielką radość, choć treningi były męczące. Teraz szukała nowego miejsca, ale tym razem nie kierowała nią ambicja, lecz przemożna potrzeba ucieczki.

Nowe królestwo Achmeda było krajem koszmarów. Nawiedzały ją coraz straszniejsze sny. Bała się na samą myśl o pójściu do łóżka. Zastanawiała się nawet, czy nie spać z Jo, ale się rozmyśliła. Nie chciała jej przerazić.

Achmed i Grunthor prawie cały czas przebywali poza Kotłem, mogła więc spędzać noce w jego zimnych komnatach albo w Elysian. Dzisiaj po kolacji przyszła jej do głowy myśl, że zmęczy się do całkowitego wyczerpania i nie będzie nawet miała siły śnić.

Dotarwszy na wrzosowisko, prawie zapomniała o tragicznych wydarzeniach, z powodu których tu się znalazła. Trawiasta łąka budziła się z długiego zimowego snu, zachodzące słońce oblewało ją złotawą poświatą, tak że wyglądała jak dotknięta boską ręką.

Pokazały się pierwsze wiosenne kwiaty, znacząc stok kolorami, na razie nieśmiało, jak tęcza, która czeka na zaproszenie, żeby pokazać się w pełnej krasie. Rapsodia schyliła się i zaczęła im śpiewać pieśń Llaurona, dodając zachęty, na którą czekały. Gdy pąki się otworzyły, rozejrzała się zachwycona urodą górskiej krainy. Nad Zębami zapadał zmierzch. Popatrzyła na poszarpane turnie strzegące dawnego cymriańskiego dominium.

Próbowała sobie wyobrazić, jak tu było, kiedy Firbolgowie mieszkali w dalekich jaskiniach, a tymi ziemiami rządili jej krajanie. Kamieniste stepy, hale porośnięte wrzosami i niedostępne góry zupełnie nie przypominały krajobrazów Serendair, Czy Cymrianie kiedykolwiek poczuli się tutaj jak w domu? Czy udało się im zapomnieć o rodzinnej wyspie, którą musieli opuścić? Czy pocieszała ich świadomość, że mają przy sobie rodziny?

Kłujący ból przeszył jej serce na myśl o sennych koszmarach. Próbując się przed nimi ratować, nabrała takiego zwyczaju, że wieczorami kładła obnażony Clarion w kącie sypialni Elysian albo swojej komnaty w górskiej twierdzy, żeby rozjaśniał mrok. Miała wyrzuty sumienia, że używa starożytnej broni jako lampki nocnej, ale miecz stanowił źródło ciepła i dodawał otuchy jak świeca, którą matka zostawiała w pokoju dziecinnym. Wtedy jednak rzadko dręczyły ją złe sny, natomiast teraz co noc, bez wyjątku.

Już nie śnił się jej Michael ani jemu podobni, tylko dom rodzinny i ludzie nieżyjący od ponad tysiąca lat. Czasami słyszała nawoływania rodziców albo braci, w bezmiernym smutku czekających na jej powrót.

Kiedy indziej nawiedzały ją obrazy wojny sereńskiej i wywołanych przez nią zniszczeń. Zastanawiała się, co spotkało jej bliskich. Przeżyli czy padli ofiarą wojennej pożogi? Co matka miała na myśli, gdy powiedziała, że wszyscy zginęli w ogniu? Z tych koszmarów budziła się z krzykiem, zwłaszcza kiedy wyobraźnia podsuwała jej odpowiedzi.

Lecz najgorsze były sny nostalgiczne, tak prawdziwe, jakby nadał mieszkała w swojej wiosce i prowadziła dobrze znane, spokojne życie, bezpieczna na łonie rodziny. Często przekonywała w nich siebie i innych, że naprawdę uciekła, i błagała, by zatrzymali ją siłą, nie pozwolili wrócić do nowej strasznej egzystencji. Potem budziła się w ciemności Kotła i wybuchała rozpaczliwym płaczem.

Nie dzisiaj, powiedziała do siebie. Nie chcę znowu przez to przechodzić. Omiotła wzrokiem wrzosowisko, szukając wśród nowo rozkwitłych kwiatów ścieżki do biegania. Żałowała, że nie przebrała się w odpowiedniejszy strój. Miała na sobie miękką szarą suknię, dopasowaną w talii, ale z szeroką spódnicą i bufiastymi rękawami.

Rozpostarła ramiona i pobiegła przed siebie na oślep, bez celu. Wiatr wpadł w rękawy, aż zafurkotały niczym skrzydła ptaka. Gdy ściągnęła wstążkę, musnął jej włosy, delikatnie jak kochanek, przeczesał je, cisnął na twarz.

Na południowym krańcu wrzosowiska odwróciła się i popędziła ku zachodzącemu słońcu. Tanecznym krokiem przeskakiwała kępy traw i duże kamienie. Wiatr płasał razem z nią, wzdymał fale sukni niczym fale na wzburzonym morzu.

Z gracją wykonywała obroty i podskoki, sadziła długimi susami. Zrzuciła pęta i poczuła się całkowicie wolna. Już nie tańczyła, lecz skupiła się na szybkości. Przemierzywszy łąkę wszerz i wzdłuż, puściła się jej skrajem. Biegła nad przepaścią, ale to nie robiło na niej wrażenia. Czasami wręcz pragnęła, żeby silny podmuch zwał ją z płaskowyżu prosto w otchłań. Wreszcie stanęła bez ruchu i wystawiła twarz do słońca chowającego się za góry. Wyobraziła sobie, że niebo się oddała, a ona szybuje ku ziemi.

Wyraźnie się ochłodziło. Pot parował z rozgrzanej skóry. Po siedemdziesięciu okrążeniach mogła już biec z zamkniętymi oczami. Po wrzosowisku przesuwali się coraz dłuższe cienie niebotycznych szczytów.

Gdy wreszcie uznała, że jest dostatecznie wyczerpana, ruszyła szybkim krokiem w gęstniejącą ciemność. Omal nie wpadła na ciemną postać, która nie wiadomo skąd wyrosła jej na drodze. Musiała zatrzymać się raptownie i straciła równowagę. Intruz chwycił ją za ramiona.

Uwolniła się błyskawicznie i zręcznym ruchem, wypraktykowanym na ulicach Easton, sięgnęła po sztylet. Dyszała ciężko, starając się opanować.

– Bardzo przepraszam – usłyszała znajomy głos. – Nie chciałem pani wystraszyć.

– Kim... kim pan... jest?

– To ja, Ashe. Jedliśmy razem obiad w Bethe Corbair.

– O bogowie! Proszę nigdy więcej tego nie robić. Jeszcze chwila, a poderznięłabym panu gardło.

Spod kaptura dobiegł cichy śmiech.

– Następnym razem będę ostrożniejszy, obiecuję.

– Co pan tutaj robi? – zirytowała się. – Jakim cudem przedostał się pan przez bolgańskie posterunki? Grunthor będzie wściekły.

– Nie wiem, kto to jest Grunthor, ale mam nadzieję, że nie będzie zbyt surowy dla strażników. – W głosie brzmiało współczucie. – To naprawdę nie ich wina. Poza tym przybyłem tu na zaproszenie.

Rapsodia nadal była rozdygotana. Jeszcze nie doszła do siebie po przeżytym strachu, ale oddychała już wolniej.

– Naprawdę? Czyje?

– Wasze. Tak potraktowałem słowa Jo, że zawsze mogę złożyć wizytę w Canrif. Przepraszam, jeśli źle ją zrozumiałem.

– Ależ nie – zapewniła pospiesznie. – To ja muszę przeprosić. Oczywiście, że jesteś tu mile widziany, panie. Po prostu mnie zaskoczyłeś i wystraszyłeś. Jeszcze cała się trzęsę.

– Przed czym pani ucieka?

Zastanawiała się przez chwilę, ale w końcu stwierdziła, że na to pytanie nie da się odpowiedzieć w kilku słowach.

– Przed niczym namacalnym – odparła, siląc się na lekki ton.

– Naprawdę?

– Tak. A przed czym pan się ukrywa?

Ashe wybuchnął śmiechem i uklonił się żartobliwie.

– Też przed niczym namacalnym.

Ochłonawszy z przerażenia wywołanego nagłym pojawieniem się obcego na pustej łące, Rapsodia poczuła lęk innego rodzaju. Przybiegła na wrzosowisko, żeby uciec przed koszmarami, i prawie jej się to udało, lecz teraz pamięć podsunęła obraz, który już dwa razy nawiedzał ją w snach: mężczyzny leżącego na ołtarzu. W tej wizji jego ciało zaczynało się jarzyć niesamowitym blaskiem, a potem znikało.

...Już go nie widzę, mamo. Dlaczego?

On nie jest tym, kim się wydaje...

Zajrzała w obszerny kaptur, lecz nic nie dostrzegła. Ogarnął ją dziwny niepokój, trochę złagodzony przez smutek. Ona też często musiała się w życiu maskować. Ale dlaczego Ashe bał się pokazać ludziom? Wyglądał jak monstrum? Był poznaczony bliznami lub okaleczony? Może padł ofiarą jednego z licznych aktów przemocy, do których ostatnio dochodziło w całym kraju?

W jej umyśle pojawił się kolejny obraz – tonący człowiek. Zadrżała gwałtownie.

– Dobrze się pani czuje?

Dotknęła zmarszczonego czoła, napiętych mięśni policzków. Jej twarz wyrażała strach.

– Tak – odparła krótko. – Może pójdziesz ze mną, panie? – Uśmiechnęła się blado i odgarnęła włosy z oczu. – Zaprowadzę cię do Kotła. Achmed się ucieszy. Jest teraz królem.

– Do Kotła?

– Tak nazywa swoją twierdzę i dwór.

– O bogowie!

– Ostatecznie to są ziemie Firbolgów. Chodź, panie. Pokażemy ci, że jesteśmy gościnni.

Przewiązała włosy wstążką i ruszyła przez łąkę, kierując się ku skalnej półce. Ashe podążył za nią. Wiatr łopotał połami jego szarego płaszcza.

– Milady, wierz mi, że poszedłbym za tobą wszędzie. Tylko nie jestem pewny, czy zdołam dotrzymać ci kroku, jeśli zaczniesz biec.

Przełęczy strzegło wojsko uzbrojone i wyekwipowane jednolicie, choć skromnie. O dziwo, Firbolgowie pełnili obowiązki równie dobrze jak żołnierze Sorboldu i lepiej niż Rolandczycy, których zbroje wielu nosiło. Pod tym względem lepiej spisywali się tylko Lirinowie.

Ashe, który ujrzał Canrif po raz pierwszy w życiu, był oszołomiony i zaskoczony. Ostatnio dotarł w poblizę krainy Bolgów z armią Bethany jako rekrut, dawno temu w czasie Wiosennego Czystczenia, w poprzednim życiu, kiedy jeszcze miał powód i możliwość, żeby otwarcie chodzić po świecie. W wyprawie brał udział bez wrogości, ale gorliwie czyścił nadgraniczne wioski i ochoczo zabijał ich półludzkich mieszkańców.

W tamtym czasie nie dręczyły go wyrzuty sumienia. Poczul je dopiero teraz, gdy zobaczył, że prymitywni i krwiożerczy Firbolgowie nie są zwierzętami, tylko ludźmi. A ci dwoje, Rapsodia i Achmed, zdołali ich okiełznać i w krótkim czasie wyszkolić groźną armie. To osiągnięcie dobitnie świadczyło o ich mocy.

Zanim się ujawnił, długo stał na ciemnym wrzosowisku i obserwował Rapsodie. Z początku nie rozumiał, czemu ta kobieta biega po łące, pozwalając, żeby wiatr rozwiewał jej włosy i wzdymał suknie niczymżagiel na niespokojnym morzu. Gdy wreszcie dostrzegł jej zatracenie w pędzie, dzikość tańca, poczul ściskanie w gardle. Wyraźnie próbowała uciec, ale nie miała dokąd. Zapragnął jej jeszcze bardziej.

Próbował odpędzić od siebie tę myśl, idąc za Rapsodią przez górskie przełęcze i dalej przez oświetlone pochodniami skalne korytarze, prowadzące do dawnej siedziby cymriańskiego króla.

Canrif. Legendarne miejsce narodzin epoki cymriańskiej, najwspanialszego okresu w historii tych ziem. Wtedy właśnie stworzono kodeksy, dokonano wielkiego postępu w nauce, technice, architekturze, medycynie i sztuce, zbudowano wielkie bazyliki i drogi. I wszystko to zostało zaprzepaszczone z powodu małżeńskiej kłótni.

Wielka szkoda, pomyślał Ashe. Maszerując wilgotnymi, niszczącymi tunelami, przesyconymi zapachem dymu i smoły oraz wyczuwalną jeszcze teraz wonią kłęski, odnosił wrażenie, że cofa się w przeszłość. Ruiny fortecy musiały wyglądać podobnie czterysta lat temu, gdy uciekali z niej Cymrianie.

Gwylliam zaprojektował i wznosił największe budowle znanego świata, między innymi Canrif. W niedostępnych górach wykuł twierdzę nie do zdobycia, doprowadził do niej światło, ciepło i świeże powietrze. Stworzył królestwo, w którym różne rasy, przybyłe z

ostatnią flotyllą, mogły żyć w swojskim otoczeniu, i utrzymał je przez trzysta lat. Dzieło godne podziwu.

Gdy wreszcie po długiej wędrówce dotarli do dawnej sali tronowej Canrif, czy też Ylorc, jak obecnie nazwali je Bolgowie, ujrzał Jo, którą poznał na targowisku w Bethe Corbair, i straszego Achmeda.

Towarzyszył im ogromny Bolg mieszanej krwi. Gdy Rapsodia przedstawiła go jako Grunthora, Ashe zorientował się, że to dowódca gwardii, o którym wcześniej wspomniała. Gigant stuknął obcasami i skinął głową, ale się nie odezwał. Jo z trudem hamowała podniecenie, mimo to milczała, tylko uśmiechnęła się do niego promiennie. Najwyraźniej otrzymała parę lekcji dobrego wychowania.

– Co cię do nas sprowadza, panie? – zapytał Achmed.

Ashe westchnął w duchu. Może nie powinien tu przychodzić. Nie zdążył jednak odpowiedzieć królowi, bo wyręczyła go Rapsodia.

– Zaprosiliśmy go, nie pamiętasz? Byłeś przy tym. – Odwróciła się do gościa. – Cieszymy się, że przybyłeś, panie. Prawda, Jo?

Na widok jej uśmiechu lekko ugięły się pod nim kolana.

– Tak – zapewniła Jo skwapliwie.

– Kiedy wyjeżdżasz, panie? – spytał władca Firbolgów.

– Achmedzie! Proszę mu wybaczyć. Chodziło mu o to, jak długo możesz zostać, panie. Musimy przygotować ci jakiś pokój.

Spiorunowała Draka wzrokiem. Ashemu coraz trudniej było oderwać od niej wzrok, ale wiedział, że musi zachować czujność.

– Zostanę, póki będę mile widziany – odparł.

– Dziękuję, że nas odwiedziłeś, panie. Miło było cię znowu zobaczyć – powiedział Achmed.

– Nie zwracaj na niego uwagi, panie – poradziła Rapsodia, czerwieniejąc z zakłopotania i gniewu. – Próbuje być zabawny, ale kiepsko mu to wychodzi.

– Wkrótce muszę ruszać w drogę.

Wyraz twarzy Pieśniarki zmieniał się jak w kalejdoskopie: od życzliwości po wściekłość. Obserwowanie takiej twarzy nieprędko się znudzi, pomyślał Ashe z rozbawieniem.

– Akurat przygotowaliśmy kwatery dla ambasadorów Sorboldu i Rolandii. Powinno być ci tam wygodnie, panie.

Słyszał o wyprawie armii rolandzkiej, ale nie wiedział, że doszło do zawarcia paktu. Kiedyś opracowanie traktatu między Rolandią a Sorboldem trwało dwieście lat. Ta trójka przebywała w Ylorc zaledwie od paru miesięcy. Samo nawiązanie rozmów w tak krótkim czasie zakrawało na cud.

Było ich troje. Wprawdzie nie wierzył w stare proroctwa, ale ta liczba dawała do myślenia. Z całą pewnością nie pochodzili z tych stron, w przeciwieństwie do Jo, która się

tutaj urodziła. Nic dziwnego, że w obecności tak wyjątkowej mocy odżyły dawno pogrzebane nadzieje.

Rapsodia się zaśmiała.

– Dlaczego jesteś zdziwiony, panie? Kilka tygodni temu podpisaliśmy pakt o nieagresji oraz umowy handlowe z Rolandią, a tydzień później z Sorboldem. Bolgowie niebawem znowu będą potęgą, z którą trzeba się liczyć, tym razem gospodarczą, a nie postrachem innych ras.

Jakby na przekór jej zapewnieniom z korytarza dobiegł harmider, odbijając się echem od kamiennych ścian. Grunthor wypadł z komnaty, a zaraz za nim wszyscy obecni. Nie musieli biec daleko. Parę kroków od sali tronowej natknęli się na zakrwawionego bolgańskiego gwardzistę.

Rapsodia zatrzymała się raptownie. Achmed i Grunthor już rozmawiali z pośląncem.

– Co się dzieje? – zapytał cicho Ashe, który stanął tuż za nią.

– Atakują Górskie Oczy, ostatnie z nie zjednoczonych plemion. Głupcy! Achmed chciał przyjąć ich do wspólnoty, lecz się sprzeciwili i stawili opór, a teraz palą wioski tych klanów, które przysięgły mu lojalność.

– Hura! – krzyknęła Jo. – Od Wiosennego Czyszczenia nie mogę się doczekać porządnej walki. Tu jest potwornie nudno. Lecę po łuk, Rapsodio. Tobie też przyniosę.

Popędziła do swojej sypialni.

Tymczasem Ashe dotknął ramienia lekko zdenerwowanej Pieśniarki.

– Mogę coś dla was zrobić?

– Owszem. Przyda się nam każda pomoc. Bolgowie dopiero niedawno się zorganizowali i łatwo wpadają w panikę w czasie bitwy, zwłaszcza z Górkimi Oczami. To najbardziej dziki i krwiożerczy ze wszystkich klanów. Królewski plan nakazuje oszczędzać cywili, ale Grunthor nie zawsze się go trzyma, szczególnie gdy jest zły.

Ashe skinął głową.

– Chętnie was wesprę.

Rapsodia uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki. Proszę ze mną.

Ognie, które oświetlały ścieżki biegnące na zewnątrz góry, podsycano zjełczalym tłuszczem. Smród gryzącego dymu przyprawiał Rapsodię o mdłości. Zakaszła, próbując go rozpędzić.

Właśnie celnym ciosem w udo powaliła ostatniego przeciwnika, gdy poczuła na ramieniu kościstą dłoń.

– Spójrz – powiedział zgrzytliwy głos. Wyczuła w nim irytację.

Odwróciła się i zobaczyła ich gościa w akcji. Ashe imponował kunsztem szermierczym i szybkością. Stał pośród ciał swoich ofiar i bez trudu bronił się przed nieporadnymi atakami

Górskich Oczu. Odnosiło się wrażenie, że za wszelką cenę próbuje unikać zabijania, by nie narazić się gospodarzom.

Akurat w tym momencie okręcił się i zadał serię cięć mieczem, tak że widać było tylko niebieskawy błysk ostrza. Ostatni Bolgowie padli jeden po drugim na wielki stos trupów.

– Jest dobry – mruknęła Rapsodia, widząc, jak Ashe skacze przed Jo i paruje przeznaczony dla niej cios. – Prawie tak szybki jak ty, Achmedzie. Hm... nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę szermierza, który byłby w stanie ci dorównać. Co o nim sądzisz, Grunthorze?

– Nieźle wyszkolony – zgodził się olbrzym. – A co ty myślisz, panie?

Drak ściągnął brwi. Jego twarz pociemniała z gniewu.

– Myślę, że jest dużo bardziej niebezpieczny, niż początkowo sądziłem.

Minęła najciemniejsza część nocy, a Achmed jeszcze nie spał, tylko dumał w samotności. Był zdenerwowany. Nie chodziło o udaremniiony atak na Canrif. Spodziewał się go od dawna. Bardziej martwił go przybysz, który jak cień chodził za Rapsodią po korytarzach twierdzy.

Zastanawiał się, czy wizyta Ashego i napaść Górskich Oczu tylko przypadkiem zbiegły się w czasie, szczególnie po tym, co widział w okolicach Białego Drzewa i w całej drodze z Navarne do Ylorc. W pozornie spokojnych wioskach i miasteczkach bez wyraźnego powodu dochodziło do rozlewu krwi. Na próżno usiłowali dociec przyczyn dziwnych ataków. Bał się, że zaraza dotrze do Ylorc.

Po wygranej potyczce spotkał się z Grunthorem. Dowódca miał niewiele czasu na rozmowę, bo właśnie ruszał z armią, żeby zrobić obławę na niedobitków Górskich Oczu i przyłączyć ich terytorium do nowego państwa Bolgów. Zdążyli jednak ustalić, że Ashego obaj oceniają tak samo. Nim Achmed zobaczył swojego gościa w walce, uznał go za darmozjada i włóczykija, tyle że z ogładą. Na ogół jego sądy nie okazywały się aż tak chybione jak tym razem.

Kimkolwiek był intruz, zgodnie uznali, że jest groźny. Achmed nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego od razu nie doszedł do tego wniosku. Zwykle potrafił oszacować przeciwnika albo chociaż jego umiejętności bojowe po postawie czy ruchach. Natomiast Ashego nie był w stanie rozgryźć, nie wiedział nawet dokładnie, jak ten człowiek wygląda. Czuł się przy nim nieswojo, co nigdy mu się nie zdarzało. Najgorsze, że Rapsodia nie dostrzegą w przybyszu nic dziwnego.

Ashe chętnie stanął w obronie Canrif. Mało tego, bez pomocy w kilka minut oczyścił główny hol z połowy napastników, po czym wyruszył z Grunthorem na górskie ścieżki. Szedł za nim i rozprawiał się z wrogami, którzy uniknęli śmierci z rąk olbrzyma. Popisywał się doskonałą techniką i imponującą szybkością. Ostrze jego miecza wyglądało w ciemności jak niebieska błyskawica. Schował broń, gdy tylko przestała być potrzebna, tak że nikt nie zdążył jej dokładnie obejrzeć.

Był dobrze wyszkolony i doświadczony, lecz bez oporów słuchał rozkazów. Chętnie osłaniał Jo, ale w taki sposób, żeby nie urazić jej uczuć. Choć wyraźnie lubił towarzystwo Rapsodii, nie starał się walczyć blisko niej, tylko szedł tam, gdzie kierował go dowódca. Miał ogromny udział w uśmierzeniu rebelii. Nawet na Grunthorze zrobił wrażenie. Natomiast Achmed sam nie wiedział, dlaczego Ashe budzi jego irytację i niechęć.

Teraz siedział samotnie w mrocznej sali tronowej i zastanawiał się, co robić. Nie podobały mu się uczucia, które go ostatnio dręczyły. Nie potrafił rozpoznać zazdrości, bo nigdy wcześniej jej nie doświadczył.

Doszedł do wniosku, że na razie będzie znosił obecność tego człowieka. Lepiej dowiedzieć się o nim wszystkiego, niż go przepędzić, mając świadomość, że wróci. A najważniejsze to zorientować się, po co właściwie przybył do Canrif. Przeczuwał jednak, że nie spodoba mu się powód niepożądanego wizyty.

Rapsodia pchnęła ciężkie drzwi i odsunęła się, wpuszczając Ashego do komnaty gościnnej.

W czasie gdy razem z Jo jadł kolację, wykąpała się i przebrała w czyste ubranie, a wcześniej opatrzyła drobną ranę, którą zadał jej naczelnik Górskich Oczu.

Kiedy upadła, Ashe z niekłamaną satysfakcją ściał mu głowę. Zaimponowała mu, bo błyskawicznie poderwała się z ziemi, gotowa do dalszej walki.

Zmysły mówiły mu, że rana jest bolesna, ale niegroźna, pod warunkiem że przemyje się ją oczarem, żeby uniknąć infekcji, a następnie zrobi okład z tymianku i babki. Pieśniarka tak właśnie postąpiła. Mijając ją, wciągnął w nozdrza świeży zapach z nutą wanilii i mydła, bez śladu perfum. Zadrzał.

Przestąpiwszy próg, rozejrzył się zaskoczony. Pokój był wysprzątny, w kominku płonął ogień, na podłodze leżał pleciony dywan. Na umeblowanie składało się łóżko z materacem i niebieską kołdrą, stojak na miednicę i dzbanek, wieszak na ubrania. Nie spodziewał się, że tak będzie wyglądała sypialnia gościnna w królestwie Firbolgów.

Płomienie trzaskały wesoło, zupełnie jakby do drzew dorzucono zielonych szyszek sosnowych. Ashe nie zdjął płaszcza, tylko wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Mimo kaptura czuł na powiekach żar bijący od kominka.

Rapsodia stała twarzą do drzwi. Kiedy się odwróciła, miała na twarzy olśniewający uśmiech, który już nieraz przyprawił go o drżenie kolan, ale dostrzegł w iskrzących się oczach nowy, dziwny wyraz.

Nic nie mówiąc, położyła ręce na biodrach, przesunęła je w górę, na piersi. Sięgnęła do sznurowania bluzki i zaczęła je rozwiązywać z gracją.

Kiedy ukazała się świetlista skóra w zagłębieniu szyi, Ashe poczuł, że palą go wargi. Jego oddech stał się płytszy, serce забиło mocniej, gdy Rapsodia rozpięła bluzkę do końca. Ogień w kominku był zimny w porównaniu z jego krwią.

Zdjęła czarną aksamitną wstążkę i potrząsnęła głową. Kaskada lśniących złotych włosów spłynęła jej po plecach. Ashe stwierdził, że jego postanowienie, by ukrywać się przed ludzkim wzrokiem i pozostać samotnym, słabnie wobec palącej żądzy, która nagle go ogarnęła.

Bluzka zsunęła się z ramion do pasa, a potem na podłogę. Choć była noc, Rapsodia wyglądała jak bogini poranka, gdy tak stała przed nim półnaga, a blask ognia złocił jej delikatną różową skórę.

Uśmiechnęła się promiennie, rozwiązała spódnicę i zsunęła ją przez biodra. Ashe zadrżał na widok zgrabnych nóg; były dokładnie takie, jak je sobie wyobrażał. Podeszła do łóżka i usiadła na brzegu, ale nie poruszył się z obawy, że straci panowanie nad sobą.

Lecz jej chyba właśnie o to chodziło. Ujęła jego dłoń swobodnym gestem, najwyraźniej pewna, że potrafi zdobyć każdego mężczyznę, jakiego zapragnie. Zrobiło mu się gorąco, kiedy sobie uświadomił, że teraz wybrała jego.

Położyła jego drżącą rękę na swoim udzie i wolno przesunęła ją wyżej. Zamknęła oczy, gdy dotknął jej cudownych piersi i zaczął je pieścić. Słyszając jej przyspieszony oddech, zdobył się na odwagę i musnął drugą dłonią jedwabistą wewnętrzną stronę uda. Rapsodia zatopiła w jego oczach tęskne spojrzenie.

– Chcę ci podziękować za to, co dla nas dzisiaj zrobiłeś, panie.

Ashe zamrugał i gwałtownie usiadł na łóżku. Rapsodia stała przy drzwiach kompletnie ubrana, ze związanymi włosami.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, uśmiechając się pod kapturem. Na szczęście mglisty płaszcz skrywał jego podniecenie. – Jesteś dzielną wojowniczką, pani.

Rapsodia zrobiła powątpiewającą minę.

– Nie sądzę.

– Naprawdę – zapewnił, opuszczając nogi na podłogę. – Siałaś, pani, istne spustoszenie tym swoim ognistym mieczem.

– Rzeczywiście dzisiaj rozgromiliśmy wrogów – przyznała, podchodząc do szafki z miednicą. Z dolnej półki wyjęła szorstki ręcznik i położyła go na krześle. – Ale nie lubię rzezi. I bałaganu.

Ashe się zaśmiał.

– Jesteś interesującą kobietą, pani.

– Dziękuję. Choć czuję się trochę nieswojo, słysząc te słowa od człowieka, którego twarzy jeszcze nie widziałam, bo nigdy nie zdejmuje kaptura. Jeśli już niczego nie potrzebujesz, panie, chyba zostawię cię samego. Z pewnością zasłużyłeś na odpoczynek.

Ashe westchnął w duchu. Prawdę mówiąc, czegoś potrzebował, ale nie zamierzał o to prosić, przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Chętnie posłuchałbym pieśni. Jo wspomniała, że jesteś muzykiem, pani.

– Może jutro? Czuję się trochę zmęczona.

Ashe skrzywił się, zły na siebie. Zapomniał o jej ranie.

– Oczywiście. Czy to znaczy, że mogę tu zostać do jutra?

– Jak długo zechcesz, panie. Jesteśmy ci wdzięczni, że pomogłeś nam odeprzeć atak. Ale nawet gdybyś nic nie zrobił, też byłbyś mile widzianym gościem.

– Jesteś bardzo łaskawa, pani. W takim razie niczego już dzisiaj nie potrzebuję.

Rapsodia skinęła głową i chwyciła za klamkę.

– Dobranoc. Śpij dobrze, panie.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Ashe gwałtownie wciągnął powietrze i chwycił za brzeg łóżka. Oddychał płytko, póki ból trochę nie zelżał. Dopiero potem przyszedł niespokojny sen.

– Jeśli naprawdę czujesz się taka samotna wśród Bolgów, znajdę ci kota.

Rapsodia spiorunowała Achmeda wzrokiem; ogień w kominku zapłonął jaśniej.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że on jest tutaj już od tygodnia, i nie wygląda na to, żeby szybko zamierzał nas opuścić. Włoczy się z Jo po całym Ylorc, bez żadnych ograniczeń, choć wydałem, zdaje się, polecenie, żeby nie dopuszczać go do miejsc, których nie powinien zobaczyć.

Z kąta pokoju, gdzie stał cel ze słomy, dobiegł głuchy huk.

– Przepraszam, czy ktoś umarł, żebyś ty mógł zostać władcą? – spytała dziewczyna lodowatym tonem.

Grunthor podniósł wzrok znad mapy, którą pilnie studiował.

– Janthir Łamacz Kości, młoda panienko – powiedział.

– Może dla Bolgów jesteś królem, ale ja nie pamiętam, żebyś składała ci przysięgę. – Jo wyciągnęła nóż z tarczy. – Nie wiem, czym się martwisz. Ashe to dobry człowiek. Nie jego wina, że nie ufasz nikomu. Moja również nie.

– Patrzcie, kto to mówi! – skwitował Achmed cierpko i odwrócił się do Rapsodii. – Chcę, żeby do rana stąd zniknął.

Pieśniarka odłożyła lirę. Przez jej piękną twarz przemknął wyraz zdziwienia.

– Dlaczego?

– Bo tak.

Zaskoczenie ustąpiło miejsca gniewowi.

– Naprawdę? Zgadzam się z Jo. Nie sądziłam, że liczy się tylko twoja opinia. Ostatecznie wszyscy tu mieszkamy.

– Dobrze, niech zostanie. Grunthorze, zabij go, proszę. Przed kolacją.

– Zaczekaj – wtrąciła szybko Rapsodia, widząc, że wielkolud odsuwa mapę. – To wcale nie jest zabawne.

– Nie żartowałem. On jest skryty i niebezpieczny. Mówiłem ci to już wcześniej. Nie chcę, żeby kręcił się po Ylorc, ale jeśli ze względu na kurtuazję wzdrgasz się przed wyproszeniem go, Grunthor i ja załatwimy sprawę po swoim.

W Draku narastała irytacja, ale daleko mu było do Jo, która bawiła się sztyletem, z najwyższym trudem hamując wściekłość.

– Uspokójcie się – powiedziała Rapsodia tonem Bajarki. – Nie sądzę, żeby tajemniczość była czymś złym. Ty, Achmedzie, jesteś najbardziej skrytym człowiekiem, jakiego znam. To, że Ashe nie pokazuje twarzy, nie oznacza, że coś knuje. Może jest okaleczony?

– Nie odbieram od niego żadnych wibracji. Gdy jest obok, mam wrażenie, jakbym stał nad oceanem, a wiesz, jak lubię morze.

...On nie jest tym, kim się wydaje...

Rapsodia przez chwilę nasłuchiwała matczynego głosu, ale w jej głowie nie rozbrzmiały już więcej żadne słowa.

– Może chodzi o jego strój? – podsunęła. – Co o tym sądzisz, Grunthorze? Cały czas milczysz.

Gigant splótł palce.

– Zgadzam się z jego wysokością. Uważam, że nie powinniśmy spuszczać gościa z oczu.

– Świetnie – wtrąciła Jo pospiesznie. – Już nigdy nie zostawię go samego w żadnej z głównych komnat. Będę wszędzie z nim chodzić. Co wy na to?

– Dobry pomysł, moim zdaniem – oświadczyła Rapsodia. – I tak wkrótce nas opuszcza, więc możecie ten jeden raz mi ustąpić. Czy muszę wam przypomnieć, że z własnej woli pomogłem stłumić bunt Górskich Oczu, nie oczekując niczego w zamian?

Achmed wstał z krzesła.

– Widocznie niczego nie potrzebował – powiedział, ruszając do wyjścia. – Może jego celem było wywołanie rebelii.

Ciężkie drewniane drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Ashe obudził się ze snu, zrzucając strój, który nosił przez cały czas, dzień i noc, bez wyjątku. Z płaszcza uniósł się kłęb pary, chłodząc rozpaloną twarz. Mgła zawsze przynosiła ulgę, nieco łagodziła ból. I skrywała go przed prześladowcami.

Nie śnił od dwudziestu lat, od tamtej nocy, kiedy jego życie legło w gruzach.

Dawniej marzenia senne uważał za błogosławieństwo, jedyną szansę, żeby być z kobietą, którą kochał. Jej śmierć była dla niego końcem nadziei i wiary w przyszłość, ale pozostało mu najcenniejsze na świecie wspomnienie. W końcu zaczął tęsknić za tymi rzadkimi nocami, gdy odwiedzała go w snach, uśmiechała się w ciemności, tak jak kiedyś.

...Jest bardzo mały, taki jak moja dłoń. Dziadek trzyma go na półce nad kominkiem, w butelce...

Jego jedyne wspomnienie. Musiało mu wystarczyć.

Lecz pewnej nocy nawet ta pociecha została mu odebrana. Przestał być panem swojego życia, stał się pionkiem w diabelskiej grze. Ból, który w sobie nosił, nie ustępował ani na chwilę. Walka z udręką duchową i cierpieniem fizycznym wymagała całej siły woli. Wtedy też przestał nawiedzać go sen, zbyt święty i czysty, żeby towarzyszyć conocnym koszmarom.

Ostatnio jednak coś się zmieniło. Od spotkania na targowisku w Bethe Corbair śnił o Rapsodii. Wyrzuty sumienia z powodu zdrady pamięci Emily szybko ustąpiły pod wpływem kojącego głosu Pieśniarki. Zanim ją poznał, nie potrafił uciec od stałego pulsowania w głowie i piersi.

Wypląawszy się z koców i płaszcza, usiadł na łóżku i zamknął oczy. Oddychał płytko, starając się uwolnić od zdradzieckich myśli. Ciałem, duszą i pamięcią pozostawał niezłomnie wierny dziewczynie, którą poznał po drugiej stronie czasu. Choć spędzili razem tylko jedną noc, jego serce było świątynią Emily.

Dlaczego więc nie mógł przepędzić z niego Rapsodii?

...Będę myślał o tobie przez cały czas, póki się nie spotkamy...

W miarę, jak mijały dni, Ashe coraz bardziej zadomawiał się w Ylorc. Achmed nie znosił go i najczęściej zaszywał się w bibliotece lub skarbcu Gwyllliama, do których oprócz niego mieli wstęp tylko Rapsodia i Granthor. Dzięki smoczym zmysłom Ashe oczywiście wiedział, gdzie znika cała trójka, ale nie potrafił stwierdzić, co znajduje się w niedostępnych komnatach.

Na szczęście Rapsodia chętnie rozmawiała o najnowszych odkryciach, Achmed zaś wieczorami czytał manuskrypty znalezione w bibliotece.

Gdy pewnego razu pozwolił sobie zerknąć w zwój, który władca akurat przeglądał, dokument został nagle zwinięty. Ashe otworzył oczy i zobaczył, że Achmed wpatruje się w niego z drugiego końca pokoju, jakby się domyślał, co robi gość. Władca Firbolgów znał się na sztuce rządzenia i niczym smok zawsze doskonale wiedział, co się dzieje w jego królestwie. To były jego ziemie. Ashe nie miał tutaj żadnej władzy.

Nie przejmował się jednak obraźliwymi uwagami ani restrykcjami, ponieważ najbardziej zależało mu na bliskości Rapsodii. Samo patrzenie na nią sprawiało mu radość. Pieśniarka miała bogatą osobowość, bywała zarówno łagodna, jak i gwałtowna, a jednocześnie posiadała rzadką umiejętność śmiania się z samej siebie. Pogodnie znosiła nieraz grubiańskie docinki przyjaciół. Była bardzo oddana Jo, pilnowała jej jak kwoka, w razie potrzeby broniłaby dziewczyny niczym prawdziwy drapieżca. Jej inteligencja i poczucie humoru nie miały sobie równych.

Ashe wiedział, że powinien już ruszać w drogę. Osoba, która na niego czekała, na pewno denerwowała się coraz bardziej. Nie potrafił jednak zdobyć się na rozstanie. Zachowywał się swobodnie, niezobowiązująco, dzięki czemu Rapsodia dobrze się czuła w jego towarzystwie. Traciła czujność i rezerwę, nabierała do niego sympatii. Przynajmniej takie odnosił wrażenie. Jeszcze tylko kilka dni, powtarzał sobie co noc, kiedy leżał w łóżku i zastanawiał się, o czym śni Pieśniarka. Najwyraźniej władza Achmeda rozciągała się nawet na kamienne ściany, bo nie mógł się przez nie przebić zmysłami, co mu się bardzo nie podobało.

Wszystko zmieniło się kilka dni później. Achmed i Grunthor przez prawie cały dzień badali zakamarki górskiej twierdzy. Ashe spędził rano na uczeniu Jo gry zręcznościowej polegającej na odpowiednim rzucaniu nożem, w której, jak słusznie przewidział, powinna celować. Dziewczyna szybko opanowała technikę i akurat demonstrowała ją Rapsodii, kiedy dwaj Bolgowie wrócili z wyprawy. Na ich twarzach malowało się podniecenie.

– Chcesz zobaczyć, cośmy znaleźli, księżniczko? – zapytał Grunthor, podając jej wąską szkatułkę wysadzaną klejnotami.

Puzderko było bardzo stare, zrobione z czarnego o niebieskawym odcieniu drzewa hespery, które rosło w głębi Ukrytego Królestwa i z którego wykonano większość mebli w Kotle. Wieczko nie miało zamka, tylko małe złote zawiasy.

– Leżało to wśród stosów pudeł i skrzyń w skarbcu – powiedział Achmed, nalewając sobie wina z karafki.

Rapsodia ostrożnie otworzyła szkatułkę. W środku leżał długi zakrzywiony sztylet z kości lub podobnego materiału o różowozłotym kolorze, przypominającym barwę stopu miedzi ze złotem.

– Dziwne. – Wyjęła nóż z kasetki i obróciła go w rękach. – Kto wyrabia taką broń? Jest za miękka, żeby użyć jej w walce. A poza tym zobaczcie, ile szkarad jest na powierzchni.

– Może to narzędzie ceremonialne.

Rapsodia zamknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać w skupieniu. Niemal od razu dotarł do niej wyraźny szum. Pobladła na twarzy.

– O bogowie! Chyba wiem, co to jest.

– Co?

– Pazur smoka – wyszeptwała. – Spójrzcie.

Uniosła go wyżej. Miała racje. Sądząc po wielkości pazura, bestia musiała być ogromna.

– Świetny nóż dla młodej panienki – stwierdził Grunthor.

– Oszalałeś – warknęła Rapsodia i natychmiast pożałowała szorstkiego tonu, bo olbrzym zrobił urażoną minę. – Przepraszam, Grunthorze. Po prostu wiem, że smoki to samolubne i zazdrosne stworzenia. Uważam, że lepiej zwrócić pazur, bo jeśli jego właścicielka jeszcze żyje, prędzej czy później dowie się, kto go ma, i najedzie nasze ziemie, żeby go odzyskać.

– Właścicielka?

– Elynsynos, matka Anwyn. Babka Llaurona. Nie słyszałam o innym smoku.

– Pazur leżał tu od wieków – stwierdził Achmed z irytacją w głosie. – Dlaczego sądzisz, że smoczyca nagle zapagnie go odzyskać?

– Może póki znajdował się w zapieczętowanym skarbcu, nie wiedziała, że tu jest, ale teraz z wiatrem dotrze do niej jego zapach. Nie żartuję, Achmedzie. Już na początku szkolenia Pieśniarze poznają opowieści o pierwotnych rasach, dlatego wiem, w jaką wściekłość potrafią wpaść smoki i jakich zniszczeń dokonać, gdy ktoś im coś ukradnie albo weźmie niechcący. Musimy powziąć rozsądną decyzję. Byłoby strasznie obudzić się pewnej nocy i ujrzeć Ylorc w ogniu.

– Już nic więcej ci nie pokażę – oświadczył Grunthor.

– Może ona ma rację – powiedział Achmed ku zaskoczeniu obecnych. On też znał różne straszne historie. – Ale nie jestem pewny, czy oddanie pazura to dobre wyjście. Może

powinniśmy wrzucić go w przepaść z najwyższego Zęba. Smoczyca go znajdzie, jeśli jeszcze żyje.

– Albo ktoś inny – rzuciła Rapsodia z oburzeniem. – Każdy może znaleźć szkatułkę. Skazałbyś niewinnego człowieka na potworną śmierć. Poza tym nie sądzę, żeby Elynsynos była zachwycona, że ceną dla niej rzecz, po którą jest gotowa przybyć do Canrif, wyrzuca się jak śmieć.

– Niech nikt się nie waży zaśmieczać gór – ostrzegła Jo i wróciła do gry. Ostatnio zorganizowała bolgańskie dzieci i razem z nimi uprzątnęła okolicę.

– Więc jak proponujesz zwrócić pazur właścicielce, Rapsodio? – zapytał Achmed.

– Pójdę do niej. To będzie ciekawa przygoda. Może dowiem się czegoś o smokach z pierwszej ręki.

– Nie.

– Słucham? – Zmrużyła oczy, co było pierwszym sygnałem budzącego się w niej gniewu.

– Powiedziałem „nie”. Czy to nie Elynsynos wpadła w szal, kiedy się dowiedziała, że Merithyn nie wrócił, i porzuciła swoje dzieci, jeszcze niemowlęta?

– Tak.

– I ty zamierzasz oddać jej zgubę, a potem grzecznie się pożegnać i wrócić do domu? Wątpię, czy ci się uda. Zresztą nie masz pojęcia, gdzie jej szukać, prawda?

– Ja wiem – odezwał się Ashe spokojnie. Do tej pory siedział w milczeniu, słuchając rozmowy z zainteresowaniem i lekkim rozbawieniem. Kobiety aż podskoczyły na dźwięk jego głosu. Zupełnie zapomniały o jego obecności. – Mogę tam zaprowadzić.

– Nie – powtórzył Achmed dobitnie.

– Masz lepszy pomysł? – zapytała Rapsodia z irytacją.

Drak sapnął ze złością.

– Chyba warto najpierw wy badać, co smoczyca może nam zaproponować w zamian.

– Chcesz zażądać znaleźnego od smoka?!

Nuta lekceważenia lub kpiny w głosie Ashego wyprowadziła króla z równowagi.

– Oczywiście, że nie. Po prostu chcę, żeby pamiętała, komu jest winna wdzięczność.

Rapsodia straciła cierpliwość.

– Wolę nie ryzykować – oznajmiła. – Zwłaszcza że Ashe wie, jak znaleźć jej kryjówkę.

– Dobrze. W takim razie niech narysuje nam mapę, oczywiście jeśli jest piśmienny.

Ashe się roześmiał.

– Nic z tego. Jeśli rano nadal będziecie zainteresowani, możemy wspólnie ułożyć plan podróży. A teraz życzę wszystkim dobrej nocy.

Jo też wstała.

– Odprowadzę cię.

Cmoknęła Rapsodię w policzek i wyszła z pokoju za zakapturzonym gościem.

Rapsodia odczekała stosowną chwilę i zwróciła się do Achmeda:

– Dlaczego to robisz? O co ci chodzi?

– O nic.

– Więc dlaczego tak się zachowujesz?

– Trzeba być ostrożnym na nieznanym terytorium.

– Najwyraźniej Ashemu jest znane.

– On sam jest nieznanym terytorium. Co się z tobą dzieje, Rapsodio? Natykasz się na dziwnego człowieka na targu, on nazywa cię dziwką i potem stawia ci obiad na przeprosiny, ty mu wybaczasz, dowodząc tym samym, że miał rację. Później zjawia się tutaj, na mojej ziemi, niezapowiedziany i niepożądany, i znowu wkupuje się w twoje łaski. Czy towarzystwo Firbolgów jest takie odpychające, że znosisz awanse tego bezużytecznego głupca, by tylko znowu znaleźć się wśród ludzi?

Rapsodię zapiekły oczy. Achmed nigdy specjalnie nie dbał o jej uczucia, ale teraz przeszedł samego siebie.

– Mówisz straszne rzeczy.

– Dużo mniej straszne niż to, co się z tobą stanie, jeśli sama, bez ochrony, wybierzesz się w podróż z prawie obcym człowiekiem. Wiesz, że nie mogę teraz opuścić Ylorc. Nie pora, bym wyjeżdżał z kraju, kiedy Bolgowie są wreszcie zjednoczeni, a nasze wysiłki zaczynają przynosić pierwsze owoce.

Rapsodia zmruryła roziskrzone oczy. Jak zwykle była to zapowiedź wielkiego gniewu.

– I dlatego mam zostać w Ylorc, chociaż moja rola w twoim planie zjednoczenia już się skończyła – powiedziała cicho, z trudem panując nad sobą. – Zrobiłam swoje, Achmedzie, a nawet więcej, bo mówiłeś, że tak trzeba. Czym miałabym się teraz zająć?

Drak chwycił za poręcz krzesła.

– Rolnictwem? Szpitalem? Hospicjum? Szkołą?

– Wszystko działa jak należy.

– A produkcja towarów na handel? Winnice? Idzie wiosna, pora na siewy. Wszystko to jest ważne dla tego kraju i ludzi, na których podobno ci zależy.

– A co z ratowaniem ich przed oddechem smoka? Już zapomniałeś o niebezpieczeństwie? Widzę, że bardziej cię martwi mój przewodnik niż to, co się stanie, jeśli nie pójdę. Dziwna postawa jak na króla.

– Ja mogę iść z tobą – zaproponował Grunthor.

Pieśniarka uśmiechnęła się do wielkoluda.

– Nie, nie możesz. Jesteś tu jeszcze bardziej potrzebny niż on.

Drak tylko skinął głową. Wyraz jego oczu się zmienił. Rapsodia podeszła do stołu i usiadła na krawędzi. Ujęła dłoń Achmeda.

– Czy jako starzy przyjaciele nie powinniśmy mówić, co naprawdę myślimy? Dlaczego nie przyznasz, że się o mnie martwisz? Boisz się, że smoczyca mnie zabije albo weźmie do niewoli? Nie ufasz Ashemu, sądzisz, że bez was nie dam sobie rady?

Achmed spojrział jej w oczy.

– Przecież właśnie to powiedziałem. Skoro znasz moje odczucia, dlaczego mimo wszystko chcesz się narażać?

Rapsodia potrząsnęła głową.

– Bo ktoś musi. Moja nieobecność nie zahamuje żadnych prac. Poza tym umiem zatroszczyć się o siebie. Zapominasz, że nim was spotkałam, przez długi czas żyłam na ulicy. Poradzę sobie. Z Ashem również, jeśli spróbuje zrobić mi krzywdę. Mam Clariona, a za sobą najlepsze szkolenie, jakie można otrzymać. Powiedz mu, Grunthorze, że wszystko będzie dobrze.

– Nie mogę, panienko. Nigdy nie okłamuję jego wysokości.

Pieśniarka westchnęła.

– Twoja wiara we mnie jest doprawdy zdumiewająca, Achmedzie. Pamiętasz, co powiedziałam tamtego dnia na jeziorze Elysian? Że potrzebuję celu, szansy, by zrobić coś dla ludzi, których kocham. Teraz ją dostałam. Jeszcze nigdy od przybycia tutaj nie byłam taka potrzebna. Ylorc to również mój dom. Zaryzykuję wiele, żeby uczynić go bezpiecznym. Mogę pomóc Bolgom. To dla mnie bardzo ważne.

– Więc idź. I weź ze sobą Jo. Jak długo cię nie będzie?

Rapsodia zamrugła.

– Więc jednak chcesz mnie wysłać?

Achmed prychnął.

– Nie udawaj głupiej. Oczywiście, że nie chcę, ale znam cię dostatecznie długo, by wiedzieć, że i tak postawisz na swoim. Już się zdecydowałaś, dlatego pozostaje mi tylko dobrze cię wyekwipować i ułożyć rozsądny plan. Ustalimy też datę powrotu. Jeśli do tego czasu się nie zjawisz, przydzielimy twój pokój komuś innemu, rozdamy rzeczy i zapomnimy o tobie.

Rapsodia zastanawiała się przez chwilę.

– Dobrze. Ale nie mogę zabrać Jo. To zły pomysł.

– Będzie pilnować twoich pleców. I nareszcie się stąd wyrwie.

– W końcu znalazłam dla niej bezpieczne miejsce, a ty chcesz, żebym ciągnęła ją przez cały kontynent do kryjówki smoka? – oburzyła się Pieśniarka. – Poza tym zawsze cię martwił i denerwował jej niewyparzony język i gadulstwo. A jeśli zaczniesz opowiadać Ashemu lub komuś obcemu o Ylorc więcej, niżbyś sobie życzył?

– Skoro już mowa o Ashem, możesz go ostrzec, że jeśli przytrafi ci się coś złego albo jeśli nie wrócisz, wytropię go i zabiję na kilka sposobów, dzięki którym zostaną upamiętniony w legendach – odezwał się Grunthor z poważną miną.

Rapsodia się roześmiała.

– Przekażę mu twoje słowa.

Nachyliła się i cmoknęła Achmeda w policzek.

Pięć dni później wyruszyła z Ashem na zachód, skąd niedawno przybyła z trójką przyjaciół. Dużo czasu przed podróżą poświęciła Jo, która rozpaczliwie pragnęła iść z nimi, ale w końcu dała się przekonać, że powinna zostać z Grunthorem.

– Mam stracić księżniczkę i młodą panienkę? O nie, Jo! Byłbym taki samotny, że zwinąłbym się w kłębek i umarł.

Obie na samą myśl wybuchnęły śmiechem.

– Czy można się oprzeć takiej prośbie? – powiedziała Rapsodia, przytuliła siostrę i szepnęła jej do ucha: – I o tego drugiego również zadbaj. On jeszcze bardziej potrzebuje troski i zainteresowania.

Dziewczyna tylko skinęła głową.

Jej niechętna zgoda uświadomiła Rapsodii dziwną rzecz. Musiała użyć tych samych argumentów, którymi bez powodzenia usiłowali przekonać ją Achmed i Grunthor. W rezultacie, gdy Jo w końcu ustąpiła, Pieśniarka już sama nie była pewna, czy mądrze postępuje, a w dodatku czuła się hipokrytką.

Ostatni dzień spędziła z Achmedem, rozmawiając o wyprawie albo siedząc w przyjaznym milczeniu.

– O czym jeszcze mam mu nie mówić? – zapytała przy kolacji, którą jedli w jego pokoju.

Drak podniósł wzrok znad talerza. Po twarzy przemknął mu uśmiech.

– Mów, o czym chcesz.

Zmierzyła go uważnym wzrokiem.

– Jesteś pewny?

– Tak. Myślę, że będziesz rozsądna i zatrzymasz istotne informacje dla siebie, chyba że będziesz musiała postąpić inaczej.

– Dobrze. Spróbuję również wyjaśnić kwestię ostatnich dziwnych ataków.

– Tylko nie pakuj się w żadne kłopoty. Możesz również zwrócić uwagę na powiązania między napaściami a Ashem. Od dawna podejrzewam, że nie były przypadkowe.

W oczach Rapsodii odmalowało się zdziwienie.

– Co masz na myśli?

– Plemię Górskich Oczu zaatakowało akurat wtedy, kiedy się u nas pojawił. Do dwóch najazdów doszło niedaleko Bethe Corbair, tuż przed tym, jak spotkaliśmy go w mieście, i krótko po naszej wizycie. Może istnieje jakiś związek?

Rapsodia zadrżała.

– Mam nadzieję, że się mylisz.

– Ja też. Jeszcze nie jest za późno, żebyś zmieniła zdanie.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Lepiej podjąć ryzyko, niż ukrywać się i biernie czekać, aż smoczyca sama nas odwiedzi – stwierdziła w końcu.

Achmed skinął głową. Rozumiał ją doskonale.

Piątego dnia trójka przyjaciół wstała przed świtem, żeby ją pożegnać. Rapsodia wszystkich uściskała i pocałowała. Z suchymi oczami zapewniła ich, że wróci cała i zdrowa.

– Już jej nie zobaczymy, prawda? – spytała Jo płaczącym tonem, kiedy dwa cienie zniknęły wśród skał. Była zbyt poruszona, żeby silić się na zwykłą nonszalancję.

– Hej, młoda panienko, nawet tak nie myśl – skarcił ją Grunthor, obejmując potężnym ramieniem. – Księżniczka jest dużo twardsza, niż się wydaje. Powinnaś już o tym wiedzieć.

Jo wytarła oczy.

– Ona zginie, a ja już na zawsze utknę tutaj z wami dwoma. Po prostu cudownie.

Achmed uśmiechnął się lekko.

– Za to twoja pozycja wśród Bolgów wyraźnie się poprawi. Zostaniesz Pierwszą Kobieta i może nową księżną Elysian, chyba że gdzieś indziej dostaniesz lepszą propozycję. Poza tym będziesz mogła brać udział w audiencjach.

– Wypchaj się – burknęła Jo i odmaszerowała dużymi krokami.

Grunthor osłonił oczy przed pierwszymi promieniami słońca. Na jego twarzy malowała się troska.

– A jeśli zginie? Jak się tego dowiemy?

Achmed wzruszył ramionami. Przeszukał zachodni horyzont wzrokiem myśliwego, ale nie dostrzegł nawet jej cienia.

– Nie dowiemy się, choć może wiatr przyniesie jej ostatnią pieśń. Lirińskich Bajarzy łączy silna więź z muzyką i śmiercią. – Westchnął cicho. – Dużo dla nas zrobiła, więc na razie poradzimy sobie bez niej.

Zauważyłeś, że w jej głosie nie było bajarskiego tonu, kiedy zapewniała, że wszystko będzie dobrze?

Grunthor skinął głową.

– Bo przybiera go tylko wtedy, gdy mówi prawdę.

Kiedy dotarli na szczyt ostatniego wzniesienia, Rapsodia odwróciła się i spojrzała ku wschodzącemu słońcu, które właśnie pokazało się nad horyzontem. Osłoniła oczy, zastanawiając się, czy długie cienie to sylwetki trzech osób, które kochała najbardziej na świecie, czy tylko odbicia wysokich skał. Wydawało jej się, że jeden z cieni pomachał ręką.

Widok ostrych turni na tle różowego nieba, malejących wraz z odległością, napełniał ją bolesnym smutkiem. Na próżno usiłowała otrząsnąć się z poczucia straty, które ścisnęło ją za gardło i serce, tak jak poprzedniej nocy. Moja rodzina, pomyślała z żalem. Znowu opuszczam rodzinę.

Gdzieś wśród tych różnobarwnych gór zaczynała się historia, rodziła wielkość. Półludscy mieszkańcy podziemi wynurzali się z mroku dziejów, tak jak w dawnych wiekach wypęzli z jaskiń. Lecz tym razem mieli stworzyć nową epokę pod wodzą króla z ich własnej rasy.

Już nie bała się Firbolgów. Bała się o nich.

Zagrażał im nie tylko krwiożerczy smok, czający w się dalekiej mglistej krainie. Ludy nowego świata bardzo różniły się od Serenów, ale pod jednym względem były takie same – uważali Bolgów za potwory, jak kiedyś ona, i starali się ich zniszczyć.

Chłodny wiatr owiał jej twarz i przepłoszył resztki wątpliwości. Gdy po raz ostatni obejrzała się przez ramię, gdzie zostali przyjaciele i gdzie właśnie budzili się Bolgowie, załapa ją czułość.

Ukrywając się kiedyś w wysokiej łąkowej trawie, nie wiedziała, po czyjej stanąć stronie – ludzi, którzy wyratowali ją z opresji, czy też swoich pobratymców. Teraz już nie miała tego dylematu.

Głos ojca zabrzmiał jej w uszach: „Kiedy znajdziesz w życiu coś, w co będziesz wierzyć ponad wszystko, wytrwaj przy tym, bo nigdy więcej nie wróci, dziecino. A jeśli będziesz wierzyć z całą mocą, ludzie prędzej czy później spojrzą na to twoimi oczami. Bo kto wie lepiej jak nie ty? Nie bój się trudnych wyborów. Znajdź coś jednego, co się liczy, a wszystko inne samo się ułoży”.

Postanowiła, że gdziekolwiek przyjdzie jej żyć, Bolgowie zawsze będą mogli na nią liczyć. Uznała, że warto podjąć każde ryzyko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Miły baryton wyrwał ją z zamyślenia.

– Spójrz!

Daleko, na skraju stepu, gdzie kamieniste pogórze przechodziło w niziny, dostrzegła linię ciemnych sylwetek.

– Kto to?

– Wyglądają mi na ludzi – odparł po chwili jej towarzysz.

Rapsodia pokiwała głową.

– Ambasadorowie. Przybywają z wizytą do króla Achmeda.

– Nie zazdrozczę im – stwierdził z humorem. – Ich wyobrażenia o protokole dyplomatycznym legną w gruzach.

Rapsodia zerknęła pod ciemny kaptur, ale ujrzała tylko rzadki obłoczek pary. W skroniach jej zaszumiało, kiedy spróbowała odszukać oczy tego człowieka. Ashe sprawiał wrażenie, że czuje się wśród Bolgów swobodnie, był uprzejmym i niekłopotliwym gościem, ale widać pozory myliły.

Miał służyć za przewodnika, zaprowadzić ją do kryjówki smoka, żeby mogła zapewnić bezpieczeństwo krainie Bolgów. Teraz jednak doszła do wniosku, że powinna na niego uważać ze względu na swoich przyjaciół.

– Idziemy? – spytał, patrząc ku zachodowi.

Jeszcze raz zerknęła przez ramię na góry, po czym również skierowała wzrok na rozległą równinę. Promień złotego światła przebił szarą mgłę, która spowijała świat leżący u ich stóp.

– Tak. Jestem gotowa.

Nie oglądając się więcej, ruszyła za Ashem po stoku ostatniej góry.

W oddali człowiek wędrujący szlakiem ukrytym w głębokim cieniu zatrzymał się na chwilę, spojrzął na groźne szczyty i podążył dalej do królestwa Firbolgów.

Nic czasu pękła ze świstem i zerwała się ze szpuli, sypiąc iskrami. Ekran pociemniał, z lampy uniósł się dym. Płonący kawałek cienkiej błony spadł na podłogę.

Meridion zerwał się z krzesła, zatrzymał szpulę, zgasił tłący się koniec taśmy. Szybko wyłączył edytor czasu i schylił się po film. Z przerażeniem wziął go do ręki. Nawet bez patrzenia wiedział, że nic jest nieodwracalnie zniszczona.

Usiadł zrezygnowany. Po chwili podniósł błonę do światła.

Niemal ich widział, małą postać kobiety o lśniących włosach związanych czarną wstążką i mężczyznę w szarym płaszczu z kapturem. Stali na szczycie góry, oświetleni przez promienie wschodzącego słońca.

Westchnął ciężko. Cóż za konia losu! Zostawiać ich w bezruchu ponad zapierającą dech w piersiach doliną, podobną do tej, którą zachwycali się tamtej nocy... Wreszcie zetknął ich ze sobą po tej samej stronie Czasu, lecz ich dusze były tak naznaczone przez minione wieki, że się nie poznali. Ale nie wszystko stracone.

Ponownie przesunął dłonią nad konsolę i edytor ożył światełkami. Delikatnie wsunął osmaloną błonę pod mikroskop. Cierpliwie zaczął dostrajać okular, przesuując go w górę i w dół.

Wreszcie się poddał, wyczerpany i zmartwiony. Obraz pozostał zupełnie ciemny. Meridion miał tylko nadzieję, że wraz ze spalonymi klatkami nie przepadła wskazówka co do tożsamości F'dora. Bez niej nie mógłby znowu interweniować. Tych dwoje miało tragiczną przeszłość, a czekałby ich jeszcze gorszy los. Na zawsze utknęliby w mroku.

Wyłączył edytor i odchylił się na oparcie krzesła, żeby pomyśleć w spokoju.

Obraz na zwęglonej nici życia był czarny.

Zapadała noc, ale to nie miało dla niego znaczenia. Ciemność mu sprzyjała, oczy przywykły do braku światła w królestwie czarnego ognia. Białka oczu, nieodróżnialne w dzień od białek oczu innych ludzi, zabarwiły się teraz na kolor krwi. Gdyby ktoś mógł je obserwować, zobaczyłby, że na brzegach robią się szkarłatne. Ale oczywiście nikogo tutaj nie było. Zachowywał ostrożność. Nie chciał, żeby go zdemaskowano tak blisko celu.

W oddali widział nadchodzącego ambasadora. Rozparł się wygodnie na krześle i westchnął. Wreszcie, po tak długim czasie, zjawilo się Troje, był tego pewny.

Dziwne pogłoski krążące po Canrif, szeptane opowieści o nowym królu Firbolgów i postępach tamtejszych bestii stanowiły potwierdzenie, że miał rację. Nawet potężny Gwylliam nie potrafił okiełznać Bolgów. Pozostawała tylko kwestia, co dalej robić.

Wszystko szło dobrze, za dobrze, żeby zaprzepaścić dotychczasowe osiągnięcia. Posiano ziarna niezgody, na tyle dużo, żeby wywołać rebelię. Strata Domu Pamięci była poważnym ciosem, ale nie tak strasznym, by nie można się z niego podnieść.

Nie wiedział jeszcze, czy nowy władca, zajęty podbojami i szkoleniem wojskowym potworów, może pokrzyżować jego plany. Wydawało się to mało prawdopodobne, choćby ze względu na odległość. Tak czy inaczej ta sprawa bardzo go niepokoiła, bo wiele zależało od mordu w Sepulvarcie i przerwania obchodów święta patriarchy.

Zamknął oczy i wciągnął w nozdrza powietrze ciężkie od woni śmierci, przyniesionej przez wiatr. Zbliżała się długo oczekiwana chwila, narastały podniecenie i nienawiść, w marszowym rytmie przeradzając się w wojenny szal, żeby wkrótce tu dotrzeć, w samą porę.

Głośne pukanie wyrwało go z przyjemnych rozmyślań. Wstał powoli i otworzył drzwi, wpuszczając ambasadora, jednego z dwóch na świecie, którym mógł powierzyć najważniejsze zadania. Pierwszym było przyjrzenie się Canrif i nowemu suwerenowi. Drugim zadbanie o to, żeby Troje pozostało w królestwie Bolgów i nie weszło mu w drogę, gdy będzie się zajmował ważniejszymi sprawami.

Kiedy już wyprawił emisariusza na dwór króla Firbolgów, uśmiechnął się do siebie.

– Niebawem się przekonamy, kto naprawdę zasługuje na przydomek Dziecka Krwi – powiedział na głos.

Usłyszała go tylko ciemność.